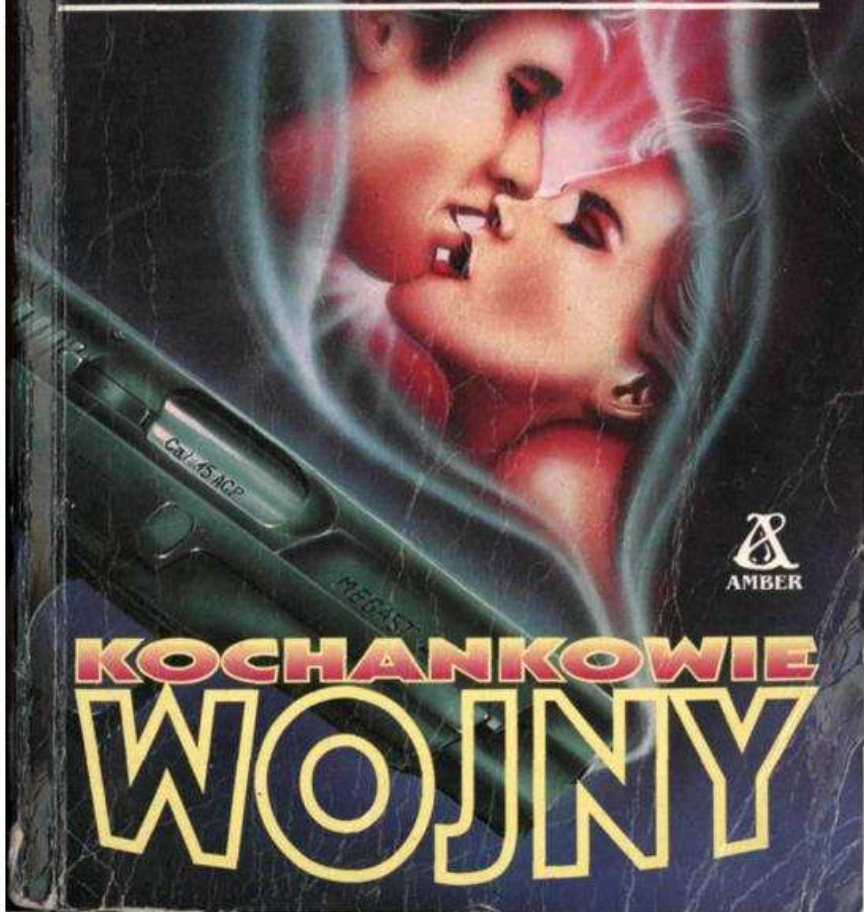


PATRICK HUTIN



KOCHANKOWIE  
WOJNY

# PATRICK HUTIN

KOCHANKOWIE

# WOJNY

Trwa wojna. Wojna zaciekła, podziemna, wciąż zmieniająca fronty, przemieniająca przyjaciół we wrogów. Wojna służb specjalnych. Michael Deves i Marie d'Elancourt ugrzęźli w nich wbrew swej woli; szantażowani – nie mogą prowadzić normalnego życia. Spotykają się w lodowatym Leningradzie, w odległym Montrealu; kochają się i nie wiedzą, że są przedmiotem straszliwej manipulacji. Kiedy Michael dowiaduje się prawdy, ma przeciw sobie wszystkich: KGB i swoich. Marie próbuje uratować jego życie i ich miłość...

Cena det. zł 13,- (130 000,-)



SENSACJA

ISBN 83-7082-773-X

PATRICK HUTIN

**KOCHANKOWIE  
WOJNY**

Przełożyła  
KRYSTYNA SŁAWIŃSKA



Tytuł oryginału

AMANTS DE GUERRE

Ilustracja na okładce

KLAUDIUSZ MAJKOWSKI

Redakcja merytoryczna

MAŁGORZATA SZUBERT

Redakcja techniczna

ANNA WARDZAŁA

Korekta

TADEUSZ MAHRBURG

Copyright © Éditions Robert Laffont, S.A., Paris, 1991

For the Polish edition Copyright © 1995 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7082-419-9

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Warszawa 1995. Wydanie I

Druk: Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Młoda kobieta minęła hotel Metropol i nagle przeszła na drugą stronę ulicy du Rhône, weszła na przeciwległy chodnik i ruszyła w odwrotnym kierunku, w stronę placu Bel-Air.

Była piękna, miała elegancką sylwetkę, ubrana była w szarości i czernie. Długie jasne włosy miała szesane do tyłu i związane wstążką, spod której wypływały pukle delikatnych złotych loków.

Szła krokiem pewnym, prawie wojskowym, z torbą na ramieniu; okulary przeciwsłoneczne jak dwie połyskujące tarcze dodawały jej powagi. Szła prosto przed siebie, pozornie niewrażliwa na świat zewnętrzny i jakby obojętna wobec własnej urody i faktu, że może wzbudzać zachwyty. Nikt się jednak nie zachwycał, przynajmniej nie w sposób ostentacyjny. W Rzymie, Madrycie, Paryżu zapewne byłoby inaczej. Ale w Genewie, a szczególnie na ulicy du Rhône, młode kobiety, piękne i eleganckie, czują się jak w domu, tak samo jak samochody marki Rolls-royce zaparkowane przy chodnikach czy diamenty w witrynach; nikomu nie przysłoby do głowy zakłócać im spokój czy w ogóle cokolwiek zakłócić w jakikolwiek sposób.

Stała przed galerią dzieł sztuki, zawahała się chwilę, podeszła do witryny, zdjęła ciemne okulary jakby w odruchu niechęci i trzymała je w ręce.

Była naprawdę piękna.

Nie urodą prowokującą, ostentacyjną, która rzuca się w oczy przy pierwszym spojrzeniu, lecz pięknnością dyskretną, subtelną, rozbrajającą. Miała twarz delikatną, o bardzo jasnej karnacji i wielkie błękitne

oczy, które zdawały się zatrzymywać światło i być może dlatego jaśniały wprost bajkowym blaskiem.

Był wyjątkowo ciepły koniec października. Powietrze suche, łagodne, pachnące. Na placu Molard kawiarnie znowu otworzyły ogródki.

Młoda kobieta przeszła przez plac nie zwalniając kroku. Miała spotkanie w położonej wyżej dzielnicy starego miasta, nie opodal katedry Św. Piotra, w małym kościółku pod wezwaniem Św. Andrzeja. Mały katolicki kościół w samym środku „protestanckiego Rzymu”.

Rozdzwonił się zegar na wieży Molard. Kobieta przyspieszyła kroku.

Przyszła punktualnie. Tak jak będzie przychodziła zawsze. Na to spotkanie i na wszystkie inne.

- Jest pani w nim zakochana?
- Naprawdę muszę na to odpowiedzieć?
- To zwyczajne pytanie.
- Zwyczajne pytanie.
- Tak.
- Zwyczajne pytanie.
- Sprawia to pani jakiś kłopot?
- To śmieszne.
- Co jest śmieszne?
- Wszystko! Pani, pani pytania, ja, ta cała historia, spotkanie w konfesjonale, to że rozmawiamy nie widząc się. Nie znam pani, pani mnie nie zna, a najspokojniej w świecie rozmawiamy o...
- Dobrze się pani czuje?
- Bardzo dobrze, dziękuję.
- Jest pani pewna?
- Ależ tak, najzupełniej! Miałam złą noc, po prostu jestem trochę nerwowa, to wszystko.
- Źle pani sypia?
- Proszę pani, nie jest pani moją matką! Mówię tylko, że źle spałam tej nocy, to wszystko. Nic nadzwyczajnego, może zdarzyć się każdemu...
- Oczywiście... Wierzę pani.
- Dziękuję, jest pani bardzo wyrozumiała.

- Możemy kontynuować?
- Możemy.
- Nie odpowiedziała pani na pytanie.
- Nie.
- Nie chce pani odpowiedzieć?
- Nie rozumiem, dlaczego to panią obchodzi.
- Aha... No dobrze.
- To wszystko nie ma żadnego związku z... moją pracą.
- Pani pracą?
- Jest jakieś inne słowo, żeby to określić?
- A to słowo nie podoba się pani?
- Pani mnie denerwuje!
- Bardzo mi przykro. Ja...
- Pani spokoj mnie denerwuje, te pytania mnie denerwują, sposób odpowiadania pytaniami na moje pytania, wszystko, wszystko mnie denerwuje!

Za każdym razem gdy miała się udać do kościoła Św. Andrzeja, najpierw się od niego oddalała.

Przeważnie jechała autobusem do Pałacu Narodów, siedziby ONZ w Genewie - może popełniała błąd, nie była pewna, ale postanowiła nie wysilać się. Później szła w stronę ogrodu botanicznego lub parku Mon-Repos. Stąd udawała się na lewy brzeg albo taksówką, albo stateczkiem, którym dopływała na drugą stronę jeziora, do bulwaru Gustave-Ador. Zależnie od nastroju czy też od czasu, jaki pozostawał do spotkania, spacerowała po parku Eaux-Vives albo wzdłuż wybrzeża jeziora, w kierunku parku Angielskiego. Kiedy padał deszcz, chrońnię się w muzeach lub kościołach. Bez względu na pogodę jednak musiała przenosić się z miejsca na miejsce, kolejno wybierając tereny kryte i odsłonięte, opustoszałe i uczęszczane, gdzieśkolwiek pozostać nieco dłużej, lub wręcz przeciwnie - krócej, zmieniać marszrutę i środki komunikacji, a wszystko to co najmniej przez trzy godziny.

Na początku bawiła ją nawet sama myśl, że powinna oddalić się od miejsca przeznaczenia, aby bezpieczniej do niego dotrzeć, ale bardzo szybko stosowanie się do tego nakazu zaczęło ją nużyć. Jak cała reszta. Począwszy od niezbędnych przystanków przed wystawami, w czasie których miała wykryć, czy ktoś jej nie śledzi. Wydawało

się to śmieszne, zupełnie niepotrzebne, była przekonana, że nikt nie może jej śledzić; z drugiej zaś strony była pewna, że gdyby nawet tak było, w żaden sposób nie mogłaby się o tym upewnić, choćby coś zobaczyła w szybie wystawy.

Ale tak kazali jej postępować. Więc tak robiła. Bez dyskusji. Nie miała ochoty z nimi dyskutować. Wolała ich słuchać. Tak było najprościej. Tak czy inaczej nie miała wyboru.

- Jak się dzisiaj pani czuje?
- Dobrze, bardzo dobrze.
- Doskonale. O czym będziemy rozmawiać?
- O czym chcieliby, żebyśmy rozmawiały?
- Dlaczego pani tak mówi?
- Znowu pani zaczyna? Dobrze pani wie, co chcę powiedzieć.
- Zgoda. Powiedzmy, że to był falstart... Proszę mi opowiedzieć o nim.
- O nim? Powiedziałam już wszystko, co pani chciała wiedzieć!
- Nie chce pani o nim rozmawiać?
- Tego nie powiedziałam! Po prostu nie bardzo wiem, co miałabym jeszcze opowiedzieć... A poza tym...
- Tak?
- Czegoś tu nie rozumiem... Bez wątpienia\*na jego temat wiecie tysiąc razy więcej niż ja. Nonsens! Nie rozumiem, o co tu chodzi. Co więcej mogę powiedzieć? Co chcecie wiedzieć?
- Chcemy mieć pewność, stuprocentową pewność.
- Co do niego?
- Co do niego.
- Dotychczas nie byliście zadowoleni?
- Nie o to chodzi.
- A o co?
- To jest człowiek. Może się zmienić w każdej chwili. Z byle powodu. Całkiem przypadkowo. Niebezpieczeństwo polega na tym, że taka zmiana może być niewidoczna. Zewnętrzna obserwacja nie wystarczy do jej uchwycenia. Pani pomaga nam sięgnąć głębiej.
- ...
- O co chodzi?
- Nie wiem, czy mi się podoba to, co pani mówi.



- Nie ma pani racji. W moim spostrzeżeniu nie ma nic wrogiego. Wręcz przeciwnie. To dla jego bezpieczeństwa, a także dla pani bezpieczeństwa. Pani o tym wie. Wie pani, prawda?

- Chyba tak.

Kościół Św. Andrzeja to mała romańska świątynia położona w samym sercu średniowiecznej części Genewy, na niewielkim placyku otoczonym drzewami. Kościółek jest zniszczony, nieco przysadzisty, bez specjalnego wdzięku.

A jednak młoda kobieta uważała, że ma on jakiś urok.

Przypominał kamienną starą kwokę, która rozsiała się między ludźmi, by chronić ich tajemnice i wspierać w niedoli; wyczerpaną modlitwami, ale ciągle gotową jak dobra matka na przyjęcie spóźnialskich; głuchą na życie ziemskie, przechowującą tylko pieczołowicie nadzieje i cierpienia, jakie jej powierzono.

„Ostatnie schronienie przed wiecznością” - pomyślała ze wzruszeniem kobieta, po raz pierwszy uważnie przyglądając się kościołowi. Nie była wierząca, a może nie zawsze była - ale lubiła kościoły.

Lubiła kościoły... Czy z tej przyczyny postanowili, że najlepszym miejscem na kontakt będzie Św. Andrzej? Wyobrazili sobie może, że będzie to na nią miało jakiś wpływ? Czy to możliwe?

- Jak pani powiedziała ostatnim razem, kocha go pani...
- Ja to powiedziałam?
- Tak, pani to powiedziała. Proszę nie udawać dziecka.
- Dobrze, mamo.
- Proszę pani...
- Przepraszam. Zaczynamy, słucham.
- Czy może pani powiedzieć, dlaczego pani go kocha?
- Mówi pani serio?
- A pani myśli, że nie?
- Psiakrew, chciałabym wiedzieć, jak pani wygląda! Jak pani może zadawać takie pytania?
- Dobrze, sformułuję pytanie inaczej. Proszę mi powiedzieć, co pani w nim kocha.
- Wszystko. Taka odpowiedź panią zadowala?

- W takim razie niech pani powie, co pani najbardziej ceni?
- Ależ to śmieszne!
- Powiedziała pani, że on jest inny, że nigdy pani nie знаła kogoś takiego jak on...
- No i co?
- Chciałabym wiedzieć, czym według pani on się różni od innych... Pytam jak najbardziej serio.
- Uważa pani, że to poważne pytać kobiety o to, co według niej wyróżnia spośród innych mężczyzn, którego kocha? Naprawdę myśli pani, że to poważne?
- Pani powiedziała nie tylko to, że w pani oczach on jest zupełnie inny. Powiedziała pani, że jest coś innego w nim samym. Coś innego. Co to jest to „coś”? Proszę spróbować to dokładniej określić.
- ...
- Ja wiem, że to jest trudne, ale bardzo proszę, niech pani zrobi wysiłek. To naprawdę ważne.
- Skąd pani wie, że to ważne?
- Ma pani rację, nie wiem. Ale może być ważne. Może być bardzo ważne. Możliwe, że coś przeoczyliśmy. Coś, z czego on sam być może nie zdaje sobie sprawy. A co może w pewnych okolicznościach stanowić jakąś lukę albo przeszkodę czy niebezpieczeństwo... Rozumie pani? Prawdopodobnie to nic wielkiego, ale...
- Nie wiem, co to takiego. Może to tylko ja... Po prostu takie odczucie.
- Odczucie.
- Tak. Nie wiem, to... Jest w nim jakaś taka wolność, dziwna niezależność, przerażająco silna.
- W jego zachowaniu?
- Nie w jego zachowaniu, nie... Nie tylko. Bardzo trudno to określić. To takie nieuchwytnie. Jak gdyby wcielał się w swoje własne życie... Tak... On promieniuje życiem, a jednocześnie jakby nie należał do swego życia.
- Lubi pani to wrażenie?
- Nie wiem.
- Przeraża panią?
- Nie... Tak. Ale też mnie rozczuła. Sama nie wiem!
- Odczuwa to pani, gdy jesteście sam na sam?
- Nie tylko.

- Ale gdy jest pani z nim sama, to się zdarza?
- Może, tak...
- Tak czy nie?
- Tak! Mówiłam już przecież, że to nie ma żadnego związku! To jego sposób poruszania się, jedzenia, palenia papierosa. Jego sposób... Nie wiem, wydaje się, że to rodzaj ekspiacji.
- Skąd pani przyszła do głowy taka myśl?
- Co on tu robi? Nie ma w nim nic z dyplomaty. Ma jakieś niejasne stanowisko w DCD\*, tłumacz czy coś w tym rodzaju. Przedtem był w ambasadzie w Bernie... Nigdy nie opowiada o swojej pracy. Zdaje się, że nic go ona nie obchodzi. Jak i wszystko inne.
- \* Delegacja francuska na Konferencję Komitetu Rozbrojeniowego w Genewie
- Tak? I jaki stąd wniosek?
- Nie wiem, myślę, że jest strasznie skupiony na sobie, że się w sobie zamyka czekając, aż coś minie... W każdym razie takie robi na mnie wrażenie.
- Zawsze?
- Nie, nie zawsze. Ale często. Jest obecny i nagle jakoś tak dziwnie się oddala, jakby uciekał. To nie dotyczy miejsca, w którym się znajduje, ale jego samego... To bardzo dziwne... Jakby dalej żył rezygnując z własnego życia. Nie rozumiem, co to może być, co to znaczy... Jedyne wytłumaczenie, to że chce coś odpokutować.
- Nie ma jakiegoś wyraźnego powodu?
- Przecież mówię, że nie!
- Często się kochacie?
- Nie będę o tym rozmawiać.
- Dlaczego?
- Nie ma „dlaczego”. Nie będę i już.
- Niemożliwe.
- Niemożliwe?
- Znajomość jego życia seksualnego jest niezbędna do oceny. Nie można tego pominąć.
- Kto to powiedział?
- Takie są zasady.
- Uważam, że to niesmaczne.
- Rozumiem.

- Wątpię, czy pani rozumie.
- Nie ma pani racji.
- Wątpię, czy pani cokolwiek rozumie!
- Pani jest bardzo w nim zakochana, prawda?
- ...
- Nie odpowiada pani?
- Nie.
- Jest pani bardzo zakochana.
- Tak! A czy to coś złego? Czy to sprzeczne z zasadami?
- Nie to chciałam...
- A pani by nie była? Przecież pani jest kobietą! Nie sądzi pani, że można zakochać się w mężczyźnie takim jak on?
- Nie wiem...
- Z czego pani jest zrobiona?
- Nigdy go nie widziałam.
- Nigdy go pani nie widziała?
- Nie.
- Mój Boże, w co my się tu we dwie bawimy?

Przy każdym kolejnym spotkaniu upraszczała i skracala wstępne spaceru, jak je nazywała - oni mówili: „trasa bezpieczeństwa” - sprowadzając je do zwykłych przechadzek w centrum miasta, trwających około godziny. Robiła to po prostu dla własnego spokoju i by upewnić się o bezcelowości tego rozkazu. Dwukrotnie wyęczała wszystkie siły, tak bardzo jak tylko umiała, aby wykryć kogoś, kto mógłby ją ewentualnie śledzić. Na próżno. Nikt za nią nie szedł.

Gdy przysłała do kościoła Św. Andrzeja, odczuła jednocześnie ulgę i ogromną niechęć na myśl, że mogła choć ten jeden raz potraktować poważnie, w sposób dosłowny, to co zawsze wydawało jej się kapitalnym głupstwem i co się nim zresztą okazało.

Całkowicie się myliła.

Ekipa złożona z trzech osób obserwowała ją dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ekipa ta, wzmocniona o dodatkowych czterech agentów, śledziła nie tylko „trasy bezpieczeństwa” poprzedzające kontakt u Św. Andrzeja, ale także sam przebieg kontaktu.

Wszyscy byli profesjonalistami, doskonale wyćwiczonymi, o wielkim doświadczeniu. „Niewidzialni”. Mieli za zadanie nie tyle śledzić

kobietę, co raczej upewnić się, że nie jest śledzona przez innych, przez jakieś obce, wrogie elementy. Nie robili niczego innego i nic nie wiedzieli.

Uchybienia młodej kobiety przeciw zaleconym zasadom bezpieczeństwa zostały zasygnalizowane. Jednak nadszedł rozkaz, aby nie reagować. Nie chciano nagle jej niepokoić. Decyzja ta nie była całkiem zgodna z zasadami, ale w tej operacji nic nie było naprawdę zgodne z zasadami. Począwszy od kontaktów powtarzających się ciągle w tym samym miejscu, w kościółku Św. Andrzeja. Było to sprzeczne z wszelkimi regułami. Należało zmieniać miejsca kontaktowania się. Lecz okazało się to niepotrzebne. Nie było żadnego problemu bezpieczeństwa. Młoda kobieta była „czysta”.

- Miała pani rację, on chce coś odpokutować.  
- Co pani mówi?  
- To nic pewnego, jedna z możliwości. Myśleliśmy, że już to przezwyciężył. Wydaje się jednak, że nie. Zwłaszcza po tym, co pani nam powiedziała.

- O czym pani mówi?  
- O śmierci jego rodziców.  
- O śmierci jego rodziców?  
- Tak. Zwłaszcza ojca... ale także matki.  
- Nie rozumiem.  
- Większość ludzi ma poczucie winy po śmierci rodziców. Często wymyślają sobie rozmaite powody, które w dodatku często okazują się słuszne, co sprawia, że ból, jaki czują, staje się jeszcze bardziej nieznosny... Jeśli o niego chodzi, problem polega na tym, że jego powody są doskonałe, jeśli tak to można określić.

- Doskonałe?  
- Najlepsze w świecie.  
- Chce pani powiedzieć, że naprawdę jest odpowiedzialny za ich śmierć?

- Najważniejsze, że on w to uwierzył.

- ...

- To zupełnie niedorzeczna historia... Zupełnie bezsensowna.

- ...

- Dzieciństwo i młodość miał jak najbardziej normalne. Kochał

i szanował swoich rodziców. Był ich jedynym dzieckiem, uwielbiał go. Matka nie pracowała, ojciec miał niewielką firmę związaną z telewizją, firma dobrze prosperowała i to zmuszało go do częstych podróży. Powodziło im się dobrze. Przeciętna rodzina jakich wiele, niczym specjalnym się nie wyróżniająca. Zaczął studiować prawo. Myślał, że musiał chyba być człowiekiem szczęśliwym... Aż do dnia, w którym wszystko się zachwiało, zawaliło, do dnia, w którym odkrył, że ojciec jest „nielegalnym” - pracownikiem KGB we Francji.

- Niemożliwe...

- Ojciec sam mu o tym powiedział w dniu jego osiemnastych urodzin. Co więcej, ten dobry człowiek nie zadowolili się tym. Zapytał swego jedynego syna, czy on także zechciałby pracować dla szczęścia ludzkości, czy chciałby zostać funkcjonariuszem wywiadu KGB. Kochany synek odpowiedział: tak. W tym momencie historyjka ta, która już i tak jest dość nieprawdopodobna - chłopak miał przecież osiemnaście lat! - staje się... Co też mogło dziać się w jego głowie? A może ich metody indoktrynacji nie są tak skuteczne albo też kolejne pobyty, w Związku Sowieckim otworzyły mu oczy, nie wiem... Nie, chyba nie, przecież to wszystko było później... Zdradził ich już na samym początku.

- O mój Boże...

- Może to z powodu matki... Zapomniałam o niej opowiedzieć. Ojciec, zanim jeszcze sprezentował swego syna KGB, wiele lat wcześniej ofiarował im także żonę. Nie była wcześniej pracownikiem wywiadu, ale została nim z miłości. KGB bardzo lubi małżeństwa nielegalnych. Podobno łatwiej się przyjmują i lepiej wtapiają w pejzaż. A poza tym z wielu powodów jest to praktyczniejsze... Jednak matka okazała się mniej odporna niż ojciec. Życie nielegalnego nigdy nie jest spokojne. Taki ktoś, nawet jeśli pozornie niczym się nie wyróżnia, zawsze musi coś udawać. Żyje w stałym napięciu, w obawie, że zostanie zdemaskowany, to bardzo męczące... Krótko mówiąc, matka zaczęła pić. Nie chciała, żeby jej syn przeżywał to samo. Ale nie mogła się przeciwstawić... Może syn nagle zrozumiał, dlaczego przez te wszystkie lata matka była tak bardzo nieszczęśliwa, może tak to sobie wyjaśniał... Tak, może to z jej powodu... Gdy skontaktował się z DGSE, francuskimi służbami wywiadowczymi, wkrótce po wyznaniu ojca, powiedział, że chciałby wydrzeć rodziców spod wpływu KGB, że chce ich uratować... Ale może myślał tylko o niej... Może zaczął

nienawidzić ojca... Ludzie z DGSE postąpili wtedy całkiem dobrze. Z ich punktu widzenia. Powiedzieli mu, że to możliwe, że można ich uratować, ale że może to zrobić tylko on, że syn musi wykupić swoich rodziców. Otwarcie mówiąc, poproszono go, aby zachowywał się jakby nigdy nic i żeby dalej robił to, czego jego ojciec i KGB po nim oczekują.

- I on się zgodził...

- Tak... Nie wiem, ale zarówno pani jak i ja, jak inni, nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie nawet, co on mógł przeżywać od tamtych dni. Przecież to byli jego rodzice, rozumie pani? Nie mówiąc już o podwójnej grze wobec KGB, o niebezpieczeństwie, jakie mu groziło, o nieustannym napięciu. To zupełny obłęd! Wytrzymał prawie cztery lata. Bez żadnej omyłki, bez żadnego fałszywego kroku... Z jednym wyjątkiem. Mógł wyprowadzić w pole wszystkich, ale nie matkę. To znaczy, ona nie rozumiała, co się dzieje, ale zdawała sobie sprawę, że coś jest nie tak, że jej syn jest jakiś nieswój. Prawdopodobnie czuła się za to odpowiedzialna i jeszcze głębiej popadła w nałóg. Aby ją uspokoić, a tym samym - jak się spodziewał - pomóc, w końcu wszystko jej powiedział. Poczuli się rozdarta między mężem a synem. Nie mogła tego znieść, niebawem zmarła. Wtedy załamał się i cała zabawa się skończyła. Ojciec został zatrzymany. Próbowali go „przerobić”. Odmówił. Odmówił też widzenia z synem. Dotrzymali więc słowa i wydali go z kraju. Syn dalej pracował z nimi. Mówił biegle po rosyjsku, doskonale znał Rosjan. Znał ich mentalność, sposób postępowania, był bardzo użyteczny. Przypuszczam, że chciał się zemścić za zło, jakie mu wyrządzili... Powtórnie załamał się wtedy, gdy dowiedział się o śmierci ojca. Ojca znaleziono prawie dwa lata temu w lesie nieopodal Moskwy. Powiesił się. Żadnego listu, żadnej wiadomości, nic. Cisza... Po pewnym czasie syn powiedział, że ma już dosyć, że chce skończyć. Pomogli mu... To wszystko.

- ...

- Powtarzam: tak się mogło stać. Wydawało się, że już uporał się z tym... Przynajmniej tak sądzili.

- ...

- Nic pani nie mówi?

- A co by pani chciała? Żeby przyklaskiwała? „Pomogli mu”!

- Ale to nie oni są winni.

- Oczywiście, nie... Od kiedy pani o tym wie?

- Od czterdziestu ośmiu godzin.
- Kazali pani to wszystko mi opowiedzieć?
- Chcą wiedzieć, jakie jest pani zdanie.
- Moje zdanie?
- Tak. Nie powinna pani z nim o tym rozmawiać, chyba że on zacznie mówić na ten temat.
- Naprawdę chcą wiedzieć, jakie jest moje zdanie?
- Tak.
- Proszę im powiedzieć, że wywołuje to we mnie mdłości.

Nazywała się Maria d'Elancourt.

Miała trzydzieści dwa lata, pracowała w dziale kulturalnym na Quai d'Orsay, we francuskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Została oddelegowana czasowo do Genewy, do stałego przedstawicielstwa Francji przy ONZ.

Nie powołanie skłoniło ją do wyboru kariery dyplomatycznej, lecz tradycja rodzinna. Jej ojciec, a przed nim dziadek, mimo że nie byli jakimś ważnymi osobistościami w Ministerstwie, przebyli w tym urzędzie drogę w każdym calu zadowalającą. Ona zaś, osoba, która nigdy za dobrze nie wiedziała, co ma zrobić ze swoim życiem, zaraz po śmierci ojca zrozumiała, że powinna mimo wszystko coś zrobić, a już na pewno zacząć na to życie zarabiać i to jak najszybciej. Ojciec umierając zostawił jej tylko nazwisko, wykształcenie i nieliczne znajomości, a wszystko to w różnym stopniu mogło ułatwić -i rzeczywiście ułatwiło - rozpoczęcie kariery dyplomatycznej i pierwsze w niej kroki. Matka źle przyjęła fakt, że córka woli zarabiać na życie „jak wszyscy”, niż raczej dokonać wyboru jednej spośród wielu nadarzających się dobrych partii, ale nie mając na to wpływu poddała się z filozoficznym spokojem. Kariera dyplomatyczna szybko okazała się tak nudna i nieprzyjemna, jak Maria przeczuwała jeszcze w dzieciństwie, ale oferowała korzyści, które w końcu przez lata nauczyła się doceniać. Praca w dziale kulturalnym głęboko ją przekonała o słuszności wyboru. Oddawała się całkowicie temu nudnemu i wygodnemu życiu, sprawiało jej to w końcu pewną przyjemność i mogłoby tak dalej trwać. Wszystko powinno być tak trwać.

Ale w Warszawie dokonał się w jej życiu całkowity przewrót.

Warszawa wszystko zmieniła.



- Jak się pani czuje?
- Dobrze.
- A jak on?
- Myśle, że dobrze.
- Świetnie. Ma mi pani coś do powiedzenia?
- Nic.
- Absolutnie nic?
- Przecież pani wie. To śmieszne.
- Miała pani widzieć się z nim w piątek. Dlaczego pani się z nim nie spotkała? Co panią tak rozśmieszyło?
- Nic.
- No więc?
- Miał iść do lekarza.
- Tak pani powiedział?
- Tak. A nie poszedł?
- Proszę się tym nie zajmować. Co dokładnie powiedział?
- Powiedział po prostu, że musi iść do lekarza.
- Powiedział dlaczego?
- Nie.
- Nie pytała pani?
- Nie! Bolała go głowa, powiedział, że potrzebuje recepty czy coś w tym rodzaju... To wszystko, naprawdę nic ważnego!
- Dobrze, niech będzie. Proszę się uspokoić, niech pani nie zapomina, gdzie jesteśmy.
- Słucham?
- Nie ma takiego zwyczaju, aby obwieszczać swe grzechy wszystkim naokoło. Proszę mówić ciszej.
- ...
- Dobrze... Przemyślała pani to, co mówiłam ostatnim razem?
- Tak.
- No i...
- I co?
- Co pani o tym myśli?
- Nie wiem.
- To mogłoby być właśnie to?
- Nie mam pojęcia. Możliwe.
- Ale pani w to nie wierzy.
- Nie.

- Dlaczego?
- Nie wiem.
- Nie wie pani?
- Nie.
- Będę bardzo wdzięczna, jeśli nie każe mi pani wyduszać każdego słowa.
- A co mogę jeszcze powiedzieć? Nie wiem dlaczego! Czy mam coś wymyślić?
- Kto wie, może w końcu dojdziemy do jakiegoś wniosku.
- Niech pani przestanie, proszę... Mówię, że nie wiem dlaczego. Po prostu intuicja, nic innego. Możliwe zresztą, że się mylę... Nawet na pewno. Cóż innego mogłoby to być? Jak gdyby cała ta historia nie wystarczyła.
- Rzeczywiście, tak... Cokolwiek by jednak było, czy wydaje się pani, że on jest w stanie nadal pracować, czy nie?
- Proszę mnie o to nie pytać.
- Muszę panią o to spytać.
- W takim razie odmawiam odpowiedzi.
- Odmawia pani?
- Tak.
- To też rodzaj odpowiedzi, czy pani tego chce, czy nie.
- Nie ma pani prawa, to nie tak!
- Niech pani nie będzie dzieckiem. Pani odpowiedź niczego nie zmieni, oni już swoje wiedzą. Wszystko inne jest już tylko czystą formą. Ani pani, ani ja nie możemy już teraz niczego zmienić. Teraz już nie.
- Co to oznacza?
- Przecież pani doskonale zrozumiała.
- Nie rozumiem nic z tego, co pani mówi!
- Myślę, że jednak pani rozumie.
- ...
- Bardzo mi przykro. Nie można już dłużej czekać.
- Kiedy?
- Natychmiast.
- Nienawidzę pani!
- Bardzo chciałabym wiedzieć, jak pani wygląda.
- Nienawidzę pani.
- Wiem. Mnie także się to zdarza.

## 2

Michael Deves odszedł od drzwi balkonowych, skąd mógł śledzić manewry limuzyn ze znakami dyplomatycznymi, pozostawiające swą zawartość - mężczyzn w ciemnych garniturach i kobiety z obnażonymi ramionami - przed willą Les Ormeaux, elegancką posiadłością z końca XVIII wieku, siedzibą stałego przedstawicielstwa Francji przy ONZ w Genewie.

Co się z nią dzieje?

Utorował sobie drogę w tłumie gości tłoczących się w salonie recepcyjnym.

W powietrzu unosiły się dźwięki muzyki Lully'ego, w kieliszkach pienieł się francuski szampan. Pośród rosnącego zgiełku rozmów tu i tam wybuchały teraz kobiece śmiechy, głośne i dźwięczne. Przyjęcie było w pełnym toku, wyglądało na udane. Oczekiwano ponad tysiąca osób, można było się spodziewać, że prawie wszyscy przyjdą. Wieczór urządzony został z okazji objęcia funkcji przez nowego francuskiego przedstawiciela przy ONZ - podobno ma to być kobieta. Nawet gdyby znalazł się dyplomata, na którym takie wydarzenie nie wywarłoby specjalnego wrażenia, małżonka natychmiast przywołałaby go do porządku, powodowana ogromną ciekawością ujżenia „tej nowej”. A także z chęci poczynienia obserwacji, które pozwoliłyby wymyślić kilka żarcików mogących stanowić uzupełnienie portretu „nowej”, a przydatnych podczas przyszłych wizyt w mieście. Poza tym było to normalne przyjęcie dyplomatyczne podobne do wielu innych w Genewie. Z wyjątkiem kwestii wypowiedzianych na osobności poufnym

tonem, okraszonych poważnymi minami, rozmawiano o rzeczach najzupełniej obojętnych. Prawdopodobnie obowiązywało milczące porozumienie, by nie poruszać tematów politycznych - jakby to było oczywiste, iż dyplomaci potrzebują tego rodzaju chwili wytchnienia, odpoczynku od międzynarodowych napięć. Równie oczywisty był fakt, że przez resztę czasu sprawy te absorbowały ich aż do znużenia.

Michael przekroczył próg jednych z wielu szeroko otwartych drzwi tarasowych; wszystkie wychodziły na czterohektarowy park należący do rezydencji. Krążyły tam grupki gości, zwabionych ciepłą, przyjemną pogodą. Był początek grudnia, ale już od kilku tygodni kula ziemską jakby wstrzymała ruch, kołysana jedynie letnim powietrzem. Za wysokimi, posępnymi drzewami otaczającymi posiadłość, ponad Jeziorem Genewskim widoczny był w poświacie księżyca Mont Blanc.

Deves nie przejmował się widokami. Uważnie obserwował po kolei, jedną po drugiej, grupki gości stojących na trawniku oświetlonym *a giorno*.

Może tam była? Czy mógłby nie zauważyć jej wejścia w tłumie zaproszonych osób? Wątpił w to. Nie przypuszczał też, by zjawiła się tu jako pierwsza. Udał się jednak w kierunku bufetu przygotowanego pod namiotem, nieco poniżej. Namiot, ustawiony przodem do jeziora, zasłaniał wielu gości.

- Deves! Jesteś! - wykrzyknął - na widok Michaela bardzo elegancki mężczyzna o jasnych włosach. - Nareszcie ktoś, kto mnie zrozumie!

Był to jeden z doradców przedstawicielstwa francuskiego, trzeci w hierarchii. Darzył Devesa przyjaźnią, lecz Deves nigdy tak naprawdę nie rozumiał dlaczego.

- Co u ciebie słychać? - spytał Michael, z trudem ukrywając rozdrażnienie. Ciągle przyglądał się gościom zgromadzonym przed bufetem, ale tam jej nie było.

- Żartujesz, czy co?

- Nie, skąd.

- Przeprowadzam się, stary!

- Jak to? - spytał Michael z udawanym zainteresowaniem. Radca wskazał wzrokiem niewielką grupę otaczającą ciemnowłosą kobietę,

lat około czterdziestu, w doskonale dopasowanym popielatym kostiumie - nową stałą przedstawicielkę Francji przy ONZ w Genewie.

- Zabierają mi moje biuro, stary - rzekł ściszym głosem. - Zdaje się, że sekretariat tej pani potrzebuje sporo miejsca.

- Znajdziemy ci coś innego.

- Już mam! Jedenaście metrów kwadratowych, piętro wyżej, po drugiej stronie.

- Wstrząsające - odpowiedział Michael.

- Przestań się wygłupiać... - westchnął radca. - Jak sobie pomyślę, że zaczynałem w tym samym czasie, co ona...

- No...

- Od tego czasu przeleciała pół ministerstwa, stary. To pomaga w karierze, prawda?

- Tylko połowę?

- Przysięgam! Wierz mi, znam ją. Dobrze wie, czego chce, kiedy ci sięga portki!

Deves zrobił współczującą minę i odwrócił się z nadzieją, że dyplomata uzna rozmowę za zakończoną.

- Ba! Jakoś sobie poradzimy - podjął radca. - A co u ciebie? Doskonale wyglądasz! - Nie dostrzegł zniecierpliwienia na twarzy Michaela, wziął go pod rękę. - Wiesz, właściwie to ci zazdroszczę. Tak, tak! To prawda. Wydaje mi się, że nic nie może ci zaszkodzić, nigdy, że tak naprawdę wszystko masz gdzieś. Wszystko i całą resztę. Tak, może tak właśnie jest... nawet na pewno... po prostu nic cię nie obchodzi, prawda? - Michael milczał. - Jestem pewien, że tak jest... Cholera jasna, jakże chciałbym być taki jak ty! Mieć wszystko gdzieś, wszystko i wszystkich, zawsze! - zaśmiał się cicho. - Jestem też pewien, że nie obchodzi cię nawet to, co teraz do ciebie mówię! Może się mylę?

Deves popatrzył mu prosto w oczy.

- Zgadnij.

- Tak, myślę, że to cię zupełnie nie obchodzi - odrzekł zdejmując rękę z ramienia Michaela. - Przepraszam, nie chciałem cię...

- Nie, nie, to moja wina. Wybacz.

Radca unióśł ręce, aby pokazać, że to nie ma znaczenia. Poruszył nimi, jak gdyby przeszkadzało mu gęste powietrze, i lekko się uśmiechnął. Michael odwrócił głowę, starając się znaleźć jakąś odpowiedź, ale nagle uświadomił sobie, że nie ma najmniejszej chęci podtrzy mywania

rozmowy i nie odczuwa z tego powodu żadnego zakłopotania.

Radca wykrzyknął:

- No tak, teraz wszystko rozumiem! To właśnie jej szukałeś!

Michael spojrzął na niego, po czym popatrzył we wskazanym przez radcę kierunku. Maria d'Elancourt stała przed wejściem do rezydencji, nadsłuchiwała jej dwaj mężczyźni. Dała mu dyskretny znak ręką.

- Naprawdę, nie mogę mieć do ciebie pretensji - odezwał się radca, wcale nie speszony. Porozumiewawczo puścił oko do Michaela. - Taka dziewczyna to podarunek niebios!

Michael spojrzął na niego z niechęcią.

- Kto jeszcze wie?

- Tylko ja, nie martw się! - szybko rzucił radca. I przed odejściem dodał poufnym tonem: - Czyż nie jestem jedynym prawdziwym dyplomata w tej budzie?

Deves odwrócił się i ujrzał Marię idącą ku niemu, rozpromienioną, z twarzą otoczoną aureolą jasnych loków. Michael poczuł, że nagle noc staje się cieplejsza, wyłącznie dla niej. „Podarunek niebios... Anioł na ziemi”, pomyślał mimo woli, z bolesnym skurczem serca. Zaraz potem zaczął mieć pretensję do siebie samego, gwałtowną pretensję; przeklinał ogarniające go uczucia i niemożność ich opanowania. Jeszcze bardziej przeklinał to, że jakąś częścią swej istoty ciągle kocha tę kobietę. To najlepszy dowód, że wszystko trwa już zbyt długo, pomyślał nie spuszczając jej z oczu. Powinien trzymać się tego, co postanowił. Nie odstępować od tego. Nie rozczulać się. Już nigdy.

Zobaczył, że w przejściu zatrzymała Marię grupa gości. W żaden sposób nie mogła już ich ominąć, uśmiechnęła się do niego przeproszająco. Patrzył, jak wymienia grzeczności, puste frazesy, widział też, że ciągle na niego zerka. Nie chciał jedynie dostrzec rosnącego w jej oczach niepokoj. Odwrócił się i zapalił papierosa.

Poznali się przypadkiem, kilka tygodni wcześniej, na bardzo podobnym przyjęciu. Zostali kochankami zaraz potem, tak po prostu. Później powiedziała, że nie była w stanie mu się oprzeć, że jest czarujący. On miał raczej wrażenie, że zrobiła wszystko, aby zaciągnąć go do łóżka. Nieco później przestał tak myśleć i doszedł do wniosku, że jak zwykle szuka usprawiedliwienia dla tego, co się stało. Dobrze jednak

wiedział, że usprawiedliwienia nie było. Może zresztą rzeczy potoczyły się naturalną koleją, tak zwyczajnie, a żadne z nich nie było w stanie temu zapobiec. Bóg jeden wie, że wcale tego nie pragnął. Ale to nastąpiło, nie można już było nic poradzić. Oczywiście, wyrzucał to sobie. Po pierwszej nocy z Marią stwierdził, że nie jest dobrą kochanką. Poczul niemal ulgę: nie będzie mu jej brakowało. Jednak wydarzenia, te cholerne wydarzenia potoczyły się inaczej. Na przekór temu, co jej zrobił i czego nie zrobił, temu, co powiedział i czego nie powiedział, wróciła nazajutrz, w dni następne i jeszcze wiele razy...

A teraz powinien już z tym skończyć. Nadeszła chwila zerwania.

Chciał tego. M u s i a ł to zrobić!

- Myślisz o mnie?

Zadrzał. Nie tyle z powodu głosu za plecami, ile raczej z powodu odcienia wyrzutu, jaki w tym głosie wyczuł. Odwrócił się. Maria uśmiechnęła się do niego smutno.

- Czy myślisz tylko o mnie? - zapytała znowu, podchodząc nieco bliżej. - Gdy tak stoisz zatopiony w myślach, czy istnieję dla ciebie? Czy jeszcze istnieję?

Stał nieruchomo, niezdolny do wypowiedzenia choćby jednego słowa.

Lekko przygryzła wargę, zmusiła się do uśmiechu. Spojrzenie jej było teraz czułe i pobłażliwe. Podeszła jeszcze bliżej.

- Nie musisz natychmiast odpowiadać - powiedziała. - To przecież głupie pytanie.

Wzięła go pod rękę i przyciągnęła do siebie.

- Chodź - wyszeptwała spoglądając na gości przy bufecie. - Zostawmy te małpizony. Na dzisiaj mam już dość małpiarstwa.

Gdy szli nad jezioro, Deves poczuł, jak przytula się do niego. Miał wrażenie, że zabiera mu całą siłę i zdolność decydowania.

- Mam ochotę cię pocałować - powiedziała cicho.

Drgnął. Nie usłyszał nuty melancholii w jej głosie, gdy dodała:

- Michael, chciałabym, aby ta noc trwała wiecznie. Abyśmy zawsze byli razem, właśnie tak, jedno obok drugiego... Nienawidzę przyszłości. Nie chcę przyszłości. Chcę tylko być z tobą.

Odsunął się niezręcznie.

- Powiedziałaś coś złego?

Nie odpowiedział. Zawołała cicho:

- Michael?

Popatrzył na nią, starał się nie dostrzegać bólu w jej oczach.

- Mario, muszę ci coś powiedzieć. Ale nie wiem jak...

- To nie mów! - przerwała mu ostro. - Nic nie mów!

- Mario...

- Nie! - zaprotestowała krzykiem. - Teraz ty posłuchaj! Ja też mam ci coś do powiedzenia. Chcę, żebyś najpierw tego posłuchał! Potem będziesz mógł mówić, co ci się żywnie podoba. Czy najpierw wysłuchasz mnie?

Zamknął oczy i westchnął.

- Michael! - krzyknęła.

- Zgoda.

- Tak, zgoda.

Zamilkła. Była tak wzburzona, że nie potrafiła ubrać myśli w słowa. Deves odwrócił się i patrzył na daleki, pogrążony w mroku Mont Blanc.

Dlaczego ona tak wszystko komplikuje?

- Michael, kocham cię...

Skoncentrował się na Mont Blanc, usiłował dojrzeć jego kontury.

- Słyszysz? Kocham cię - powtórzyła żarliwie.

Zrezygnował z odnalezienia konturów, skupił się teraz na wiecznych śniegach, połyskujących w świetle księżyca.

- Chcę, abys o tym wiedział, żebyś nie miał wątpliwości. Bez względu na to, co się wydarzy... Pokochałam cię od pierwszego wejścia i będę cię kochać zawsze. Słyszysz? Lubię być z tobą, rozmawiać z tobą, uwielbiam kochać się z tobą... - głos załamał się.

Przymknął oczy, na ekranie opuszczonych powiek obraz Mont Blanc utrzymywał się jeszcze przez chwilę, a potem rozpląnął się w ciemności.

- Michael...? Michael, popatrz na mnie... Proszę cię!

Zrobił, o co prosiła i natychmiast tego pożałował. Objęła go przeciągłym spojrzeniem, błękitnym, łagodnym. Spojrzeniem bez łez, po prostu błękitnym i łagodnym. Dojrzał na jej ustach lekki uśmiech, który pojawił się i zniknął. Chciał ją wziąć w ramiona, ale zrezygnował.

Wydała mu się nagle smutna i poważna.

- Naprawdę cię kocham, Michael - wyszeptła. - Naprawdę!

Patrzyła na niego, jakby rozpaczliwie chciała znaleźć jakiś punkt



zaczepienia. I nagle zrozumiała, że chciała mu coś powiedzieć; że miała powiedzieć zupełnie coś innego. I że bała się to powiedzieć. Odwróciła się w stronę jeziora, jakby chciała zebrać siły. Potem wyrzuciła z siebie stłumionym głosem:

- Mam dla ciebie wiadomość.

Deves poczuł gwałtowny skurcz w piersiach. Stał nieruchomo, jak sparaliżowany. Nie chciał wierzyć, że świat może się tak zawalić, tak po prostu. Ujrzał spojrzenie Marii, gdy się odwróciła, i już wiedział, że wszystko się zawali.

- Nowa Anglia - rzekła. - Kontakt „3-C”.

Zapanowało milczenie.

To milczenie, sekunda po sekundzie, było dla Marii męką. Nie miała odwagi zakłócić ciszy, pragnęła nawet, aby trwała w nieskończoność. Patrzyła na Michaela, oczekiwała jego reakcji, tak jakby od tego zależało jej życie. Zobaczyła, że lekko skinął głową, a jego usta wykrzywiły się w wyrazie rozczarowania. Potem dojrzała błysk w jego oczach, błysk pełen odrazy.

- Kazali ci się pieprzyć?

O mało nie zemdląła. Chciała głośno krzyknąć, ale miała ściśnięte gardło. Poczula, że łzy napływają jej do oczu.

- Świnia - rzuciła łamiącym się głosem. - Łajdak! Łajdak!

Jeszcze tej nocy Deves wykręcił z budki telefonicznej numer, który już od dawna znał na pamięć.

„Nowa Anglia” oznaczało, że proszony jest o kontakt; „3-C” znaczyło, że sprawa jest pilna i ważna. Ważniejsze jest tylko „4-C”, „2-C” nie istnieje, zaś „1-C”, stosowane przy sprawach bieżących, w rzeczywistości nigdy nie było używane.

Gdy podniesiono słuchawkę, Deves powiedział tylko:

- Nowa Anglia.

- Baltimore? - spytał męski głos.

- Boston jest w Nowej Anglii.

- Witaj na ziemi - odpowiedział głos. - Południe. Ten numer jest odtąd spalony. - Połączenie zostało przerwane.

Następnego dnia, w samo południe, Michael pomógł niewidomeму przejść przez plac du Cirque w Genewie. Cztery godziny później znajdował się już na pokładzie samolotu Swissair lecącego do Austrii,

do Wiednia. Tuż przed godziną dziewiętnastą wysiadł z taksówki przed elegancką kamienicą przy Holweingasse, malej, spokojnej uliczce w Margareten, piątej dzielnicy Wiednia. Po odjeździe taksówki Michael przeszedł jeszcze około stu metrów i szybko zniknął w bramie kamienicy zupełnie niepodobnej do tej, przed którą wysiadł. Znalazł się w wewnętrznym ogrodzie pełnym posągów i kotów. Skreślił w lewo i wszedł na szerokie, kamienne schody o niskich, wypolerowanych stopniach. Na ostatnim, czwartym piętrze wyszedł na krużganek oświetlony pośrodku dwiema latarenkami z kutego żelaza stojącymi po dwóch stronach kamiennej ławki, naprzeciw drewnianych drzwi polakierowanych na czarno. „Nie trzeba dzwonić”, usłyszał.

Michael poruszył klamką. Światło latarni wtargnęło na wyłożoną marmurowymi płytami podłogę przedpokoju, brudnego i pełnego kurzu, po czym szybko zniknęło pozostawiając Michaela w ciemności.

Jego mózg jak gdyby nagle wyłączył się i nie mógł kierować ciałem. Deves znieruchomiał. Nie odczuwał najmniejszego strachu, jedynie jakąś dziwną niechęć. Nie chciał posłuchać nóg i przykucnąć, był to dawny odruch, niepotrzebny, śmieszny. Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

W końcu po lewej stronie ciemności nieco się rozproszyły. Szedł bezgłośnie przed siebie i wyczuł raczej niż dojrzał szeroko otwarte wejście do pustej, przestronnej sali. Nagle zatrzymał się. Po prawej stronie był długi korytarz, na końcu świeciła mała lampka stojąca na stole. Patrzył na nią przez chwilę.

To był błąd. Zrozumiał, jeszcze zanim usłyszał głos za plecami.

- Światło w ciemności jest zwiastunem śmierci...

Michael zamknął oczy, aby nie widzieć światła.

- Trzeba wtopić się w noc. Tylko ona może ochronić.

Bardziej niż słowa poruszył go głos. Ten głos! Poważny, stanowczy, przyjazny...

Głos człowieka, który pomógł mu zdradzić ojca.

Przez dłuższą chwilę tkwili w ciemności. Nie rozmawiali, nie ruszali się, nie starali się nawzajem dojrzeć. Tak jakby tylko milczenie, bezruch, ciemności mogły sprawić, aby przeszłość, brutalnie przywołana, została uciszona i powróciła na swoje miejsce. Miejsce, którego

nigdy nie powinna opuszczać - w najintymniejszych zakamarkach duszy.

Deves odezwał się pierwszy, głosem stłumionym, zrezygnowanym:

- Zawarliśmy umowę.
- Umowa nadal obowiązuje - zapewnił głos z tyłu.
- Mielście zostawić mnie w spokoju.

Głos zawahał się.

- Czy masz spokój, Michael?

Deves nie odpowiedział.

- Przynoszę ci sposób na odzyskanie spokoju, mój chłopcze.

Ten głos! - pomyślał Michael. Nie zmienił się pomimo upływu lat; taki wyrazisty, zaskakujący i tak żywy. Głos, który potrafi obezwładnić.

W końcu przeszli do oświetlonego pokoju na końcu korytarza. Zaproponował to głos.

- Byłem przeciwny.
- Ale tamci pana przekonali.
- To nie takie proste.
- A czy u pana cokolwiek jest proste?

Deves oparł łokcie na stole i westchnął. Drobinki kurzu uniosły się w świetle lampy i wirowały. Przeniósł wzrok na męczyznę siedzącego naprzeciw.

Generał Georges Avarone. Mózg - „tajny mózg”, jak głosiła legenda - francuskich służb wywiadowczych.

Postarzał się, skonstatował Deves. Siła i energia, które niegdyś emanowały z jego twarzy, widoczne były teraz tylko w masywnej konstrukcji czaszki i szczęk. Skóra jakby na nim wisiała, zupełnie bez życia. Nieprzejrzyste, martwe źrenice upodobniały jego spojrzenie do spojrzenia ryby - niebezpiecznej ryby.

Po upływie tych długich lat Michael ciągle nie wiedział, czy może go lubić, czy też powinien go nienawidzić.

- Dlaczego? - spytał słabym głosem.

Generał Avarone trwał w bezruchu, poruszały się tylko usta.

- Potrzebujemy kogoś, kto doskonale ich zna. Kto mówi po rosyjsku. Kto potrafi jeść, pić jak oni, razem z nimi. Kogoś, kto może żyć,

poruszać się wśród nich i będzie niezauważalny... Kogoś, do kogo możemy mieć całkowite zaufanie.

- Ciągle prowadzicie z nimi wojnę? Nawet teraz?

- Ciągnie wilka do lasu - Avarone zacytował rosyjskie przysłowie.

Świat się zmienia, zimna wojna skończyła się, sowieckie imperium wali się w gruzy, ale dla służb specjalnych w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Bez względu na pieriestrojkę świat ciągle jest, tak jak zawsze był, niebezpieczny. To arena walki mocarstw. Ludzie pokroju Avarone'a nigdy nie składają broni. Nigdy jej nie złożą.

Michael popatrzył na niego przygasłym wzrokiem, po czym powiedział z bezsilną ironią:

- I ja jestem jedyny, prawda?

- Nie.

- Nie?

Stary generał lekko potrząsnął głową.

- Jesteś niezastąpiony.

To słowo uderzyło Michaela. I nagle, ku wielkiemu zaskoczeniu, ogarnęło go poczucie ukojenia i wdzięczności, które wyparło rodzącą się złość. Starał się napotkać spojrzenie Avarone'a, tak jak niegdyś usiłował spoglądać w oczy swemu ojcu, gdy chciał upewnić się, że życie rzeczywiście jest takie, jakie mu się jawiło. Teraz jednak spojrzenia nie spotkały się.

- I tak mam tę sprawę traktować?

- Myślę, że tak.

- Ale nie jest pan tego pewien?

Generał Avarone popatrzył mu prosto w oczy.

- Nie ma nikogo innego, chłopcze.

Michael miał wrażenie, że generał patrzy na niego nie widząc, jak niewidomy.

- I to wam odpowiada.

- I to nam odpowiada, istotnie.

Deves przytaknęła prawie niezauważalnym ruchem głowy. Wszystko było takie łatwe, takie oczywiste! Jesteś niezastąpiony.

- To wszystko?

- Słucham?

- To wystarczy, aby mnie przekonać?

- Nie sędzę, abym musiał cię przekonywać.

Michael napotkał spojrzenie starego generała i miał wrażenie, jakby potracił dwa odłamki szkła. Znowu rozległ się głos Avarone'a; chyba tylko ten głos jeszcze w nim żył. Spytał:

- Jak jest w rajcu?

Michael odpowiedział:

- Raj stał się piekłem, ma pan rację... Proszę mi opowiedzieć o tej misji.

Przez dłuższą chwilę słychać było wyłącznie słabe odgłosy oddychania; istniał tylko blask lampy oświetlającej obu mężczyzn oraz ich wymowne spojrzenia. Właściwie spojrzenie idące w jednym kierunku, bez odpowiedzi. Michael znowu miał wrażenie, że stary generał patrzy nie widząc.

- Nie musisz... - zaczął Avarone. Głos mu nieco zachrypl, odchrząknął. - Nie musisz się zgadzać - rzekł szybko.

Deves uśmiechnął się ironicznie.

- Czyżbym miał jakiś wybór?

- Masz, owszem.

- Niech pan nie będzie śmieszny. Przecież nie trudziłby się pan na darmo...

Stary generał zawahał się, po czym wolno, z powagą przytaknął. Znowu był nieco zakłopotany.

- Michael, chciałbym ci powiedzieć...

- Nie! - przerwał stanowczo Michael. - Proszę nic nie mówić. Nie ma nic do dodania. Dobrze pan wie, ja wiem, wszyscy wiedzą. Do nikogo nie można mieć pretensji... - zamilkł na chwilę. - Proszę mi opowiedzieć o tej misji - powiedział tonem prośby.

Usta Avarone'a zacisnęły się w ciekłą linię, spojrzał na swe złączone dłonie. Rozłączył je i przyglądał im się, jakby wszystko było na nich zapisane. Lewym kciukiem podrapał prawą dłoń. Deves rzeczywiście miał wrażenie, jakby generał starał się coś wyczytać ze swych rąk.

- Straciliśmy kontrolę nad siatką „Airways” - rzekł Avarone nie spuszczać wzroku ze swojej prawej ręki.

Nie zabrzmiało to jak przyznanie się do winy, jednak Michael wyraźnie czuł, że wypowiedzenie tych słów wiele generała kosztowało. Stary człowiek podniósł głowę.

- To nasza siatka, tam, w Związku Sowieckim. Siatka penetracyjna

w trójkącie: Leningrad-Kijów-Moskwa... Stworzenie jej zabrało nam wiele czasu, pieniędzy, wysiłków... Także wiele istnień - Avarone popatrzył na prawą dłoń i potrząsnął głową. - W końcu jednak nam się udało... To niezwykley organizm, o niesłychanej skuteczności, bardzo użyteczny... - przerwał. - Nie rozumiem, co się dzieje... co się wydarzyło... Nikt niczego nie rozumie - znowu potarł dłoń kciukiem, jakby chciał coś jeszcze na niej dojrzeć. - Wszystko rozpełtało się chyba na skutek aresztowania przez KGB naszego agenta, Żyda, który z początku pracował dla Anglików, prawdopodobnie także dla Mossadu. Przez pewien czas używaliśmy go dla „Airways”, ale w niczym nie był zorientowany. W niczym istotnym. W rzeczywistości nic nie wiedział. Jednak daty się zgadzają. Od tej właśnie chwili została wyeliminowana boczna gałąź „Airways” o nazwie „Kijów”, zaś Tolstoj całkowicie zamilkł.

- Tolstoj?

- Szef „Airways”. W dziewięćdziesięciu procentach jej konstruktor. Ma bazę w Moskwie. Kontrola nad „Airways” przechodzi przez niego.

- Nie odpowiada?

Generał Avarone z niezadowoleniem zaprzeczył ruchem głowy. Na nowo pogrążył się w kontemplacji własnych rąk.

- Nadał wiadomość, że już nas „nie słyszy”, że nie dostał naszego nowego planu nasłuchu radiowego - mówił generał. - Wysłaliśmy agenta, który miał mu ten plan dostarczyć. Zginął w wypadku samochodowym jakieś pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Moskwy. Jego samochód podobno wpadł w poślizg i całkowicie spłonął. Nie ma żadnej możliwości sprawdzenia, czy był w drodze powrotnej, czy zdołał dostarczyć przesyłkę. Od tego czasu - cisza. Tolstoj milczy jak zakłęty. Nie wiadomo dlaczego... Nawet nie wiadomo, co się z nim stało! Nie stawiał się na żaden z punktów kontaktowych... To zupełnie niezrozumiałe.

- Chyba że zmienił obóz.

Avarone uważnie wpatrywał się w Devesa.

- Dlaczego miałyby to zrobić? - zapytał z nutką ostrożności w głosie.

- A dlaczego zmienia się obóz? - odpowiedział pytaniem Michael.

Dziwne, stary generał jakby rozważał tę kwestię nie spuszczając oczu z Devesa. W końcu przytaknął milcząco.

- Rzeczywiście, istnieje taka możliwość.

Michael milczał przez chwilę, po czym zapytał:

- Kto zasugerował zależność pomiędzy aresztowaniem Żyda a likwidacją „Kijowa”?

Avarone nie odpowiedział.

- On?

- Nie całkiem.

- Ale to on was zawiadomił.

- Tak.

- Więc o co jeszcze chodzi?

- To nie takie proste... Dlaczego tylko „Kijów”? Zna całą siatkę, to on ją stworzył. Dlaczego miałby zniszczyć tylko odgałęzienie kijowskie?

- Dla kamuflażu. Nie musiał wszystkiego niszczyć, aby zneutralizować siatkę... Jak się zdaje, wystarczył „Kijów”.

Avarone potrząsnął głową.

- Nonsens! Gdyby tak było, zdawałby sobie sprawę, że nie będziemy czekać z założonymi rękami.

Błysk zniecierpliwienia, nawet irytacji ukazał się w oczach Avarone'a. Michael miał niejasne wrażenie, że był tego powodem, że stary generał żywił do niego urazę za to, że swymi pytaniami, sugestiami zaciemnia i komplikuje sytuację, która i tak już jest skomplikowana. Zaintrygowało go to. Wtedy dojrzał w spojrzeniu Avarone'a jeszcze coś, co zaciekało go jeszcze bardziej: zakłopotanie pomieszane z obawą.

Czego on się boi?

Avarone opanował się, jego wzrok odzyskał rybią matowość. Wyszepiał:

- To jedna z możliwości. Masz rację.

W milczeniu obserwowali się nawzajem.

- Coś panu grozi? - spytał Michael.

- Dlaczego o to pytasz?

- Po prostu pytam.

- Nam zawsze coś grozi. Zawsze, w mniejszym lub większym stopniu. Powiedzmy, że sprawa „Airways” niczego nie zmienia.

- To wszystko?

- Nie rozumiem?

- Czego pan się boi?

Avarone milczał, nie reagował. Potem zupełnie nieoczekiwanie po raz pierwszy uśmiechnął się. Michael miał wrażenie, że generał odmłodził w jakiś cudowny sposób.

- Wyłącznie własnego cienia - odrzekł Avarone ni to smutny, ni rozbawiony. - Wyłącznie cienia, mój drogi.

Deves z kolei także się uśmiechnął, poczuł przyływ czułości dla starszego pana. Jak niegdyś, stwierdził w myślach. Lecz zaraz potem pomyślał: „Dobrze wybrali” i nie pozwolił sobie na przedłużenie tej chwili wzruszenia.

- Czego po mnie oczekujecie? - zapytał.
- Abyś odzyskał kontrolę nad „Airways”.
- W jaki sposób?

- Trzeba przede wszystkim rozerwać siatkę Tołstoja, poprzecinać łącza między nim a wszystkimi członkami siatki. Od nowa nawiązesz łączność, zarówno pomiędzy nimi, jak i z nimi: nowe punkty kontaktowe, nowe hasła i tak dalej. Następnie nawiązesz kontakt z Tołstojem, ale skontaktujesz się z nim na samym końcu. Na końcu. Nie wolno zostawić mu jakiegokolwiek możliwości działania wewnątrz siatki, dopóki nie będzie ona całkowicie rozerwana. Powinieneś przeanalizować jego przypadek, zorientować się, czy może wchodzi tu w grę sprawa bezpieczeństwa.

- A jeśli tak?  
- Dasz nam znać, kto z siatki, według ciebie, mógłby go zastąpić. Mamy już pewien projekt, być może potwierdzisz jego sensowność.

- Nie o to mi chodziło.

- Wiem, o co ci chodziło - powiedział chłodno Avarone. - Nie ryzykuj.

- Co to znaczy?

- To znaczy: żadnego narażania się. Żadnego osobistego ryzyka. Nie z nim. Gdybyś miał jakiegokolwiek wątpliwości, najmniejszą obawę - nie wahaj się, działaj stosownie do sytuacji.

- Jaki mam margines?

- Niewielki.

- Krótko mówiąc, chcecie, abym go zabił?

Avarone zawahał się. Popatrzył na swoje ręce, jakby w nich szukał wskazówki.

- Zrobiłbyś to? - spytał nie podnosząc oczu.

Milczenie.



Stary generał chyba odczytał w tym milczeniu odpowiedź, skinął lekkim ruchem brody.

- Nie musisz tego robić - powiedział. - Wystarczy, że wyjaśnisz nam tę sprawę... Aby tylko istota rzeczy została zachowana. - Masywne szczęki zacisnęły się, powoli podniósł głowę, wbił wzrok w Michaela. - Jeszcze raz powtarzam, żadnego ryzyka. Absolutne pierwszeństwo ma ciągłość „Airways”. Powinna być zapewniona za wszelką cenę, powtarzam, za wszelką cenę. Nic innego się nie liczy. Wobec „Airways” nic nie ma znaczenia, nic, ani ty, ani ja, a zwłaszcza Tolstoj... Rozumiesz?

Michael trwał w bezruchu.

- Ta siatka jest aż tak ważna?

- Bardziej niż przypuszczasz.

- Zwykła siatka penetracyjna.

- Nie tylko.

- A co jeszcze?

Stary generał wyprężył się.

- Naprawdę potrzebujesz uzasadnienia?

- Nie chce mi pan powiedzieć?

Milczenie.

- Ma pan rację - westchnął Michael. - Przecież to nie ma żadnego znaczenia.

Przez chwilę Avarone patrzył na niego uważnie, potem odwrócił się, jakby niechętnie, ze wzrokiem utkwionym w jakiś niewidzialny punkt gdzieś w otaczającej ich ciemności.

- „Airways” jest wielotorowa. Pozwoliła nam już zebrać bardzo cenne wiadomości. Ale to nie wszystko. Może funkcjonować w obu kierunkach. Dzięki tej siatce mogliśmy wyciągnąć ze Związku Sowieckiego pewną liczbę ludzi, którzy bez nas byłiby dzisiaj martwi... To jest właśnie ta najwyższa funkcja... - Głos generała stał się nagle zapalczywy, natchniony. - Ratować istnienia... Niezliczone istnienia.

Przerwał. Podniecenie, które go ogarnęło, nieco opadło. Zacisnął zęby. Z oczami utkwionymi w ciemnościach powiedział poufnym, nieco smutnym tonem:

- To ci chyba wystarczy, mój drogi? - Milczał przez chwilę, po czym znowu zwrócił się do Devesa. - Chyba wystarczy...?

Michael wyczytał współczucie w oczach Avarone'a; zdawało mu się,

że wyczuwa w nich zachętę do jakiejś bezwstydnego bliskości, raczej odpychającą, ale natychmiast odsunął to wrażenie od siebie.

- Myślę, że tak - odpowiedział napiętym głosem.

Avarone przyjął to w milczeniu.

Z zewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął kopertę i położył na stole, w świetle lampy. Drobinki kurzu uniosły się wokół, po czym uleciały w ciemność.

- Są tu adresy i numer konta bankowego. Naucz się na pamięć i zniszcz. Na pierwszy adres wyślesz zdjęcia. Dostarczymy ci odpowiednie dokumenty na wjazd i wyjazd. To jedyna pomoc, jaką od nas otrzymasz, oczywiście na pierwszym szczeblu infiltracji. Potem już będziesz sam, będziesz działał z własnej inicjatywy i liczył wyłącznie na siebie... W zamian za to, jeśli tak można powiedzieć, nie masz ograniczeń w płaszczyźnie finansowej - ruchem brody wskazał kopertę leżącą na stole. - Masz osobiste konto w prywatnym banku genewskim, całkowicie bezpiecznym. Kredyt: milion franków. Powinno wystarczyć... - Przez chwilę milczał zamyślony. - Jak będzie trzeba, możemy dać więcej. Tym bardziej że w późniejszym czasie będziemy tam przekazywać pewne sumy, jeśli wszystko pójdzie dobrze - dostrzegł wyraz rozbawienia, a także znużenia na twarzy Devesa i zachmurzył się. - Powiedziałem już, że „Airways” nie ma ceny - zawahał się. - Ty także. Przynajmniej dla mnie... Jestem ci to winien.

Avarone wytrzymał spojrzenie Devesa, po czym opuścił wzrok i przyglądał się swoim rękoma. Michaelowi zdawało się, że pragnie raczej ukryć zażenowanie niż złapać wątek swojej przemowy.

- Jest jeszcze coś, o czym zapomniałem ci powiedzieć. Dotyczy swobody twego działania.

Michael zamienił się w słuch. Avarone mówił dalej.

- Jest jedno ograniczenie.

- Jakie?

- Będziesz miał swojego agenta łącznikowego. W Moskwie.

- Z kim mnie będzie łączył?

- Z nami. Ze mną... Będziesz mu zdawał sprawę, tylko jemu, po każdym etapie - Avarone zawahał się. - Po każdym etapie. To rozkaz.

Michael poczuł nagle, że ciężą mu własne ramiona. O wszystko się zatroszczyli, stwierdził w myślach.

Niczego nie pozostawiać przypadkowi. Nigdy!

- Dostarczy ci hasła i dane agentów, z którymi nawiążesz kontakty w odpowiednim momencie - kontynuował Avarone, po czym dodał bardziej szorstkim głosem - w miarę jak będziesz posuwał się naprzód - znowu złągodniał. - Myślę, że rozumiałeś?

Michaelowi wystarczyło siły jedynie na opuszczenie powiek.

- Nie ma w tym nic osobistego - zapewnił Avarone.

- Naturalnie.

- I tak zrobilibyśmy to.

- Wiem.

- Z każdym innym.

Michael lekko skinął głową.

- Musisz być o tym przekonany, synu.

- Postaram się.

- Musisz. Ty...

Deves przerwał mu ruchem ręki.

- Zrobiłbym to samo - rzekł.

Milczenie. Michael poczuł przemożną chęć zapalenia papierosa i pomyślał, że właściwie mógłby to zrobić.

- Kto to jest? - spytał przypalając. Wypuścił dym w otaczającą ciemność.

- Kto? - zapytał Avarone, jakby wracając do przytomności.

- Ten agent łącznikowy.

- Dyplomata.

- Z ambasady?

- Nie całkiem. Jeszcze ci o tym opowiem.

Deves westchnął lekko rozczarowany.

- Bez wątpienia...

- Słucham?...

- Nie, nic.

Avarone obserwował go z zakłopotaniem. W końcu wreszcie chyba pojął, do czego Deves zrobił aluzję, i rzekł:

- To ona.

- Pan chyba żartuje.

Stary generał potrząsnął głową.

- Dlaczego ona?

- Jest doskonała.

- Dlaczego właśnie ona?

- Mogę cię zapewnić, że...
- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie!
- Nie było wyboru - oświadczył Avarone.
- Nie było wyboru?
- Nie.
- Dlaczego? - spytał Michael z trudem powstrzymując irytację.
- Nie było innego wyboru, musisz mi wierzyć. Ta misja jest arcytajna. Nasza moskiewska placówka nawet się o tym nie dowie. Nie powinienes mieć żadnego kontaktu z naszymi ludźmi stamtąd. Byłoby to zbyt wielkie ryzyko. Nie chcę ryzykować - zrobił krótką przerwę.
- Z tego punktu widzenia ona, powtarzam to, jest doskonała. Sowietej nie znają. Nasi ludzie także nie. Zapewnia maksymalne warunki bezpieczeństwa. - Znowu zamilkł na chwilę. - Dlatego zresztą użyliśmy jej do nawiązania kontaktu z tobą. Jeszcze raz mogliśmy ją sprawdzić. Jest absolutnie pewna. Doskonale czysta. W stu procentach. Teraz rozumiesz?

Deves zgasił papierosa na podłodze, nie odpowiedział. Potarł niedopałek o brzeg stołu, aby usunąć popiół, po czym włożył do kieszeni. Entuzjazm na twarzy starego generała nie wzruszył go w najmniejszym stopniu.

- Była już tam kiedyś?
- Tak.
- Dla was?
- Nie.
- Co ona właściwie robi, jeśli nie jest w ambasadzie?
- Ściśle biorąc, nie należy do personelu ambasady, ma osobne biuro. Wraz z innymi przedstawicielami ministerstwa pracuje nad projektem stworzenia w Moskwie ośrodka kultury francuskiej.
- Całkiem praktycznie - przyznał Michael oschle.
- Dlatego sporo podróżuje.
- Z pewnością.

Stary generał patrzył na Devesa, najwyraźniej chciał jeszcze coś dodać. Rozmyślił się jednak. Jego oczy znowu stały się podobne do oczu ryby, tak samo pozbawione wyrazu, tak samo intensywnie uważne.

- Muszę ci jeszcze coś powiedzieć... - poczekał, aż Deves uniesie głowę. - „Airways” jest ważniejsze niż wszystko. Nie możesz dać się złapać.

- A jeśli?  
- Nie wolno ci.  
- Boi się pan, że będę mówił?  
- Są różne sposoby... Nawet na kogoś takiego jak ty.  
- Nawet na kogoś takiego jak ja - powtórzył Michael jakby do siebie.

- Jesteś niezastąpiony - powiedział z trudem Avarone. - Ale jesteś tylko człowiekiem. Uważaj więc... - szczęki mu się zacisnęły jakby w jakimś niewidzialnym uchwycie. - Nie możesz pozwolić się złapać - dodał prawie szeptem. - Jasne?

Zaległa kłopotliwa cisza.

- Jasne - odrzekł w końcu Michael.

Nie może być bardziej jasne, pomyślał z mieszaniną ironii i gorczy.

Zabić się albo pozwolić się zabić. Dlaczego mieliby sobie tego odmówić? - pomyślał. Poczul, jak nieodparcie wzbiera w nim gorzyc. Ale dlaczego?

Deves wyszedł pierwszy.

Wkrótce po jego wyjściu generał Georges Avarone zgasił lampę. Był zmęczony, światło boleśnie raziło go w oczy... Nie chciał też oglądać pustego krzesła naprzeciwko.

Trwał tak zupełnie sam w ciemności, czekając aż opadnie napięcie, a umysł ożywi się w uspokajających ciemnościach. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Wręcz przeciwnie, poczul, że jego umysł jest coraz bardziej ociężały. Stopniowo, po troszeczkku, osaczał go cień pustego krzesła. Tak naprawdę nie patrzył na krzesło, nie chciał na nie patrzeć, ale wiedział, że jest; za każdym razem gdy ukradkiem na nie spoglądał, stawało się jeszcze bardziej obce. Tak jakby żywiło się otaczającymi je cieniami.

- Dlaczego płaczesz, synku?

- Ten człowiek jest moim ojcem!

Wstał i wyszedł z pokoju. Bezgłośnie poruszał się po pustym mieszkaniu. Nie wiedział, dokąd idzie.

Zrobiłeś to, co powinieneś, nie masz sobie nic do wyrzucenia. On

skłamał, zdradził... On pierwszy... Jest zdrajcą... Nie zrobimy mu nic złego, obiecuję ci to...

Zatrzymał się przy wysokim oknie, otworzył je, rozsunął story. Świeże powietrze nic nie pomogło.

- Nie musisz tego robić.

- Zrobię to.

- Wiem, że zrobisz. Chcę tylko, abyś wiedział, że nikt cię nie zmusza...

- Zrobię to.

- Masz do niego pretensje, prawda?

Noc była przejrzysta, niebo pełne gwiazd. Generał oparł się o balustradę i zmusił do śledzenia linii dachów rozciągających się przed oczami. Słychać było dźwięki fortepianu. Wiedeńska noc, skomentował w myśli, lecz ta uwaga pogłębiła jedynie pustkę.

- To profesjonalista. Jak my. Wykonywał tylko swoją pracę, najlepiej jak potrafił. Robił to doskonale, nadzwyczajnie... Do tego stopnia, że gdyby nie ty, nigdy nie dowiedzielibyśmy się o tym. Może nie powinienem ci tego mówić, ale to prawda... W jakiś sposób możesz być z niego dumny, tak jak możesz być dumny z siebie samego. On nie ma ci nic do zarzucenia, a ty nie powinieneś go osądzać... Rozumiesz?

- Moja matka od tego umarła.

- Chłopcze, to twój ojciec, tego już nie zmienisz.

- Czy mam pewność?

- To jest twój ojciec!

- Skąd mam wiedzieć, czy nie jestem wyłącznie narzędziem jego pracy? Częścią jego płaszczyka ochronnego... Skąd?

Avarone zatopił się w rozpamiętywaniu przeszłości mając nadzieję - lecz nie za bardzo wierząc - że pomoże mu to przezwyciężyć teraźniejszość. Ale wspomnienia, które przywołał, wcale nie koły ran, raczej je rozdrapywały. Nie był tym zaskoczony.

- Gdybyś potrzebował jakiegokolwiek pomocy, synu... Zawsze będę w pobliżu...

Wyrężył się i obiema rękami mocniej chwycił balustradę. W końcu zamknął okno i zaraz potem wyszedł z mieszkania. Długo w nocy przechadzał się po ulicach Wiednia. Poczł się bardzo staro. Lecz, co dziwne, uczucie to zamiast go przytłoczyć sprawiało mu przyjemność. Bo w istocie był stary. Niebawem dojdzie do kresu drogi.

W końcu znajdzie odpoczynek. Nie będzie już musiał robić takich rzeczy... Służba krajowi, obrona Francji zmuszała go niejednokrotnie do wykonywania trudnych zadań. Naprawdę trudnych. To było najprawdopodobniej ostatnie i w jakiś sposób ta myśl przynosiła ulgę.

Tak, czuł ulgę, gdy sobie powtarzał: to chyba będzie ostatnie. Nawet jeśli ma być najgorsze ze wszystkich.

Zaraz po powrocie do Genewy Michael zaczął załatwiać urlop zdrowotny. Nie miał trudności. Później załatwił sprawę fotografii do fałszywych dokumentów.

Dopiero wtedy skontaktował się z Arclet & Cie.

Był to jeden z siedmiu genewskich prywatnych banków, drugi licząc od daty założenia. Gdyby powstał rok wcześniej, byłby pierwszy: rodzina Arclet prowadziła swoje banki z pokolenia na pokolenie od roku 1797.

Prywatni bankierzy genewscy to zupełnie odrębny świat wśród bankierów szwajcarskich; stanowią jednocześnie klan, kastę i prawdziwą arystokrację. Mają doskonałą reputację, ich dyskrecja jest wprost legendarna; posuwają się nawet do tego - i to już jest coś więcej niż kokieteria - że nie wywieszają nazwisk przed wejściem do banku, zadowolają się niewielką miedzianą tabliczką z inicjałami nazwiska rodowego połączonymi z „Cie”!

Michael przedstawił się nazwiskiem Dave.

Nie sprawdzono jego tożsamości, nie było takiej potrzeby. W Szwajcarii ustawa o tajemnicy bankowej zobowiązuje oczywiście banki do sprawdzania tożsamości właściciela konta, nawet konta osobistego. Nie jest to jednak wymagane w stosunku do osoby dysponującej pełnomocnictwem ogólnym, które pozwala swobodnie dysponować pieniędzmi na koncie.

Przybycie „pana Dave” było już oczekiwane. Wystarczyło podać numer konta: 51.47.77.84 oraz hasło identyfikacyjne: „Świętokradca”.

Urzędnik bankowy, który go przyjął, mężczyzna lat około pięćdziesięciu, elegancki, z niewielkim brzuszkiem, uprzejmy i kojąco spokojny, poprosił, aby Deves podpisał pełnomocnictwo ogólne, oraz wyjaśnił, że jego podpis będzie dodatkowym elementem identyfikacji,

czyli kolejnym wyrazem nadmiaru ostrożności, przy wszystkich operacjach przeprowadzanych w przyszłości. Zwłaszcza przy każdej wypłacie trzeba będzie podpisać pokwitowanie.

Tego dnia Michael podpisał dwa. Pierwsze na piętnaście tysięcy dolarów wypłaconych gotówką, drugie na czterdzieści pięć tysięcy dolarów. Suma ta, jak oznajmił bankierowi, ma zostać przelana na nazwisko niejakiego Thomasa Harriera, którego dane bankowe poda telefonicznie w terminie późniejszym. Urzędnik zapewnił, że nie będzie z tym najmniejszego kłopotu.

Po wyjściu z Arclet & Cie Deves udał się do podziemnego garażu w nowoczesnym budynku w prawobrzeżnej dzielnicy Vermont. Tam w boksie otwieranym za pomocą kodu cyfrowego znalazł dwa paszporty schowane w starym modelu samochodu marki Volvo, szwajcarski i kanadyjski. Włożył do kieszeni paszport szwajcarski, w samochodzie zostawił kanadyjski i swój własny paszport francuski.

Następnego dnia pierwszym samolotem poleciał do Helsinek. Zaraz po przylocie otworzył konto bankowe w filii banku Kansallis Osaake-Pankki na nazwisko Thomasa Harriera, obywatela szwajcarskiego, jak wskazywał paszport. Potem zatelefonował do Arclet & Cie i wydał dyspozycję, aby dokonano zapowiedzianego przelewu czterdziestu pięciu tysięcy dolarów.

Dwadzieścia cztery godziny później Deves wynajął, płacąc niecałe tysiąc dolarów za cztery miesiące, mieszkanie w biurowej dzielnicy Helsinek. Było to komfortowe studio wyposażone w sprzęt i urządzenia, jakich miał prawo oczekiwać prawdziwy człowiek interesu. Były tam ponadto udogodnienia, które według Devesa czyniły z owego studia schronienie całkiem do przyjęcia - przynajmniej na pewien czas. Przede wszystkim nie trzeba było posługiwać się kluczem. Kod cyfrowy mógł zapamiętać wybrany zestaw cyfr i otwierał drzwi wejściowe. Taki kod bardzo - Michael zgodził się w tej kwestii z hostessą, która go przyjmowała - ułatwi poruszanie się, a jednocześnie nie pozwoli nikomu oprócz Michaela tam wejść, nawet personelowi sprzątającemu, jeśliby tak sobie życzył. Jednak w takim razie powinien ze względów bezpieczeństwa złożyć kaucję w recepcji. W mieszkaniu znajdował się także sejf z zamkiem szyfrowym, solidnie wbudowany w ścianę. Michael włożył tam pięć tysięcy dolarów. Później schowa tu również paszport szwajcarski.

Następnego dnia poświęcił na robienie zakupów. Kupił między



innymi trochę nie psujących się szybko artykułów spożywczych, które ustawił w mieszkaniu, luksusowe ciepłe ubranie produkcji fińskiej, niemieckie walizki, w tym czarną skórzaną dyplomatkę.

Wieczorem stwierdził, że jest gotów. Przed czasem.

Spotkanie miało się odbyć dopiero nazajutrz.

Po raz pierwszy od wizyty w Wiedniu pozwolił sobie na chwilę wytchnienia. Jego mózg jednak nie chciał przystać na to, zmuszał go do przypomnienia sobie w szczegółach, punkt po punkcie wszystkiego, czego dokonał po opuszczeniu austriackiej stolicy; nakłaniał ustawicznie do szukania jakiegoś niedociągnięcia, wyłowienia błędu. Michael nie znalazł ani jednego.

Napił się wódki prosto z butelki, próbował się odprężyć. Szwedzka wódka zadziałała dość szybko. Czuł, jak opada z niego napięcie. Spojrzeniem błędził beładnie po mieszkaniu, tępo wpatrując się w zupełnie przypadkowe miejsca.

Schronienie...

W pewnej chwili bogactwo środków ostrożności, jakimi się otoczył, wydało mu się po prostu śmieszne. Zachowuje się tak z przyzwyczajenia czy może odruchowo...? A może doszedł do wniosku, że nie chce umierać w ZSRR?

Uśmiechnął się do tej myśli.

Może rzeczywiście tak jest, pomyślał.

A jednak to było zupełnie niedorzeczne, wiedział o tym. Nikt bardziej niż on nie mógł wiedzieć, jak bardzo to wszystko było niedorzeczne.

Tego samego dnia, w sobotę po południu, europejskie niebo było sceną zdarzenia, o którym nie wiedziało dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent mieszkańców Starego Kontynentu. Z ziemi francuskiej wzniósł się „burst” i poleciał w eter, w kierunku wschodnim.

Trwało to krótko, mniej niż jedną sekundę - najdłuższe „bursty” trwają zaledwie kilka sekund, niewidzialne, prawie niesłyszalne - ucho ludzkie przy pomocy odpowiednich aparatów łapie tylko pewien rodzaj szumów zakłócających, często spotykanych. Francuzi doliczyli się w ich kraju prawie stu dwudziestu tysięcy w ciągu jednego roku.

„Bursty”, prawdę mówiąc, nie są szkodliwe, ale dla niektórych mogą okazać się wyjątkowo niebezpieczne, nawet śmiertelne.

„Burst” to tajna wiadomość podana przez radio HF, wiadomość zaszyfrowana, a przede wszystkim skompresowana: zarejestrowana z przyspieszoną prędkością. Technika ta pozwala przy pomocy niezbyt kosztownych aparatów, ogólnie dostępnych w sklepach, przesłać na falach krótkich tekst zawierający około pięćdziesięciu słów w czasie dziesiątej części sekundy.

„Burst”, o którym mowa, został natychmiast przechwycony przez komputery dużych zachodnich stacji nasłuchowych rozmieszczonych w Europie. W gmatwaninie elektronicznych przekazów różnego rodzaju, w większości zupełnie niewinnych, które kłębią się noc i dzień wokół planety, komputery wychwyciły go i utrwaliły. Został następnie „rozciągnięty”, potem zaś, po daremnej próbie dekodażu, przekazany do archiwum w nadziei na ewentualne przyszłe rozszyfrowanie.

Specjaliści z DST, czyli francuskiego kontrwywiadu, przy pomocy komputerów zrobili to wszystko, a nawet więcej: precyzyjnie zlokalizowali miejsce emisji. Patrol francuskiej żandarmerii został tam bezzwłocznie wysłany. Odkryto, że chodzi o poboczne normandzkiej autostrady, sto kilometrów na zachód od Paryża. I to wszystko, co zdołano ustalić.

Komputery należące do DST - nawet gdyby były najdoskonalsze na świecie, i tak nie zmieniłyby to sytuacji - nie potrafiły określić, gdzie znajdował się adresat owej wiadomości. Ponieważ jednak „bursty”, zarówno we Francji, jak i gdzie indziej, były dziełem nielegalnych agentów KGB, nikt nie robił sobie złudzeń w tej kwestii.

Miejszem przeznaczenia była Moskwa.

Niektóre wtajemniczone osoby mogłyby nawet stwierdzić ironicznie, że prawdziwym adresatem jest „Departament Ochrony Wód”, jak głosił napis przy wejściu do siedmiopiętrowego budynku w kształcie trójramiennej gwiazdy, zbudowanego ze szkła i stali, ukrytego w lesie, około piętnastu kilometrów na południowy zachód od Moskwy. Nawet jeśli ktoś mógł uważać, że woda także, jak wiele innych rzeczy w ZSRR, ma znaczenie „w wysokim stopniu” strategiczne, trudno byłoby uwierzyć, że pomieszczenia tak spokojnego urzędu muszą być otoczone wysokim ogrodzeniem zwieńczonym drutem kolczastym, strzeżone całą dobę przez niezliczonych uzbrojonych

wartowników z jednostek obronnych KGB oraz że niezbędne są co najmniej trzy posterunki kontrolne dla sprawdzenia wchodzących i wychodzących... W rzeczywistości chodzi o siedzibę I Zarządu Głównego KGB, który kieruje wszystkimi operacjami za granicą i w którego skład wchodzi między innymi Dyrekcja „S”, mająca w swej gestii wszystkich nielegalnych agentów KGB rozrzuconych po całym świecie.

„Burst”, który przewędrował przez europejskie niebo w to sobotnie popołudnie, rzeczywiście przeznaczony był dla Dyrekcji „S”.

Jego treść nie wskazywała na to, że niósł w sobie jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, a tym bardziej śmiertelne zagrożenie. A jednak tak było.

Wiadomość była krótka:

„Saxon wyruszył w drogę”.

### 3

Deves wysiadł z taksówki już piątej w czasie niecałej godziny - przy Teatrze Szwedzkim, w centrum fińskiej stolicy. Przeszedł pieszo do wschodniej części miasta przez ogrody Esplanady.

Temperatura była wyjątkowo wysoka jak na początek grudnia, nie spadł jeszcze pierwszy śnieg. Korzystając z tak niespodziewanej okazji mieszkańcy Helsinek przechadzali się po parku Esplanada, siedzieli nawet w kawiarnianych ogródkach, zupełnie jak w lecie.

Michael poczuł morze, zanim jeszcze je ujrzał. W Helsinkach Morze Bałtyckie było wszędzie, miasto ma kształt leżącej na morzu dłoni o rozłożonych palcach.

Doszedł do Rynku wychodzącego na wody portu południowego. Kilka mew klóciło się wokół porozrzucanych skrzynek. Inne, bardzo liczne, hałaśliwie przelatowały ponad żaglówkami i zakotwiczonymi statkami spacerowymi. Przy nabrzeżu stały dwa olbrzymie promy. Trzeci, czerwono-biały, towarzystwa Viking-Line właśnie podniósł kotwicę i oddalał się powoli. Wyruszał w czternastogodzinną podróż przez Morze Bałtyckie do Sztokholmu. Stopniowo, jedna za drugą, mewy odfrwały od statku. Michael wodził za nim wzrokiem, gdy malał na horyzoncie błyszcząc wszystkimi światłami w zmierzchu kończącego się dnia. Była dopiero druga po południu, a już za niecałą godzinę zapadnie noc.

Deves poszedł w stronę pobliskiego ratusza, okrążył go i wyszedł na plac Senacki. Z lewej i prawej strony stały tam duże budynki, żółtawy i biały, całkiem takie same; w jednym mieści się uniwersytet,

w drugim siedziba rządu. Na wprost, u szczytu monumentalnych schodów, ciężkich i przytłaczających, cała biała z wyjątkiem bladoniebieskich kopuł helsińska katedra.

Michael przeszedł przez plac i znowu pomyślał - ile już razy przychodziła mu do głowy ta refleksja? - że w tym miejscu Helsinki są bliźniaczo podobne do Leningradu.

Zwolnił kroku w pobliżu wejścia do biblioteki uniwersyteckiej, wzrokiem skontrolował okolicę obserwując każdego przechodnia, bliźkiego czy oddalonego, mężczyznę czy kobietę, młodego czy starego. Upewniwszy się, że wszystko w porządku, udawał, że podziwia zachodni fronton katedralnego portyku.

Minęło dziesięć minut. Było coraz ciemniej. W oknach urzędów państwowych zapalono światła. Tuż obok Devesa migocąc zajaśniała latarnia, po niej przysła kolej na zegarową wieżę katedry. Zawyla syrena promu, w zapadającej ciemności zabrzmiało to jak skarga zwierzęcia.

Nagle Michael drgnął. Powędrował wzrokiem ku górze schodów prowadzących do katedry. Stała tam Maria d'Elancourt i patrzyła na niego.

Zaczęła schodzić po schodach. Deves poczuł, że serce skacze mu w piersi, tak jakby ono także - na jej widok - chciało pobiec co tchu na jej spotkanie. Wypreżył się, pod wpływem nagłej złości krzyczał na siebie w myślach, nawet sobie naurągał. Oderwał oczy od Marii, zmuszając się do uważnej obserwacji ludzi idących za nią po schodach. Kiedy zdał sobie sprawę, że zmierza prosto ku niemu - było już za późno.

Za późno, aby zapobiec tej nieostrożności.

- Dzień dobry, Michael - rzekła nieśmiało.

Zmusiła się do uśmiechu, lecz zaraz potem spoważniała. Deves rzucił wokół siebie spojrzenia pełne niepokoju.

- Co się dzieje?

- Zwariowałaś czy co?

- Co? Co takiego zrobiłam?

Nie patrzył na nią, ciągle obserwował okolice, choć wiedział, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa i nigdy nie było. „Jest całkowicie czysta”, zapewnił Avarone.

- Popeliłaś głupstwo - powiedział chłodno.

Oniemiała.

Dalej z uporem obserwował przechodniów idących w różne strony, próbował uchwycić to, co go zaniepokoiło w chwili, gdy do niego podeszła.

- Kontakt powinien przebiegać w dwóch etapach - mówił dalej, dozując chłód w głosie. - Pierwszy jest tylko wzrokowy. Tylko wzrokowy.

- Nawet tutaj?

- Wszędzie.

Przez chwilę Maria patrzyła na niego ze smutkiem.

- Dobrze, zgadzam się, popełniłam nieostrożność, przyznaję... Więcej tego nie zrobię, obiecuję!

- To nic zabawnego.

- Przecież nie żartuję! Ale tak naprawdę miałabym raczej ochotę na...

- Przestań.

W dalszym ciągu nie patrzył na nią. Maria zawahała się, po czym jakby z rezygnacją nieco się odwróciła. Dopiero wtedy Michael spojrział na nią. Ujrzał prawie niedostrzegalne drgnienie jej twarzy. Delikatnie zamknęła oczy, jak gdyby czuła to spojrzenie. Jakby sprawiało jej ból. Michael miał nadzieję, że w końcu zacznie go nienawidzić.

- Nie powinniśmy tu stać - powiedział. - Chodź za mną.

- Piętnaście kroków za tobą? - zażartowała z goryczą.

Poddała się bez reszty, bez najmniejszego oporu jego niemej złości, przyjęła ją jak zasłużoną karę i jak dobrodziejstwo.

- Wybacz - westchnęła w końcu.

Gwałtownym ruchem wziął ją pod rękę i przyciągnął do siebie.

- To boli - szepnęła i natychmiast tego pożałowała.

Bez słowa puścił jej ramię.

Idąc obok siebie skierowali się do katedry.

- Nazywa się Arkadij Tczenko. Jest kluczem do leningradzkiej siatki „Airways”. Wskaże ci całą procedurę kontaktowania się z innymi agentami tej sekcji.

- To jego prawdziwe nazwisko?

- Nie wiem.

- W jaki sposób mam się z nim skontaktować?

- On skontaktuje się z tobą. Należy do leningradzkiej siatki infiltracyjnej. Jest uprzedzony o twoim przyjeździe... to znaczy o przyjeździe „Douglasa”.

- Znak rozpoznawczy?

- Nie ma znaku. Powie po prostu: „Prawda?”, a ty odpowiesz: „Iskra”.

Michael wyczuł w głosie Marii ironię pomieszaną z konsternacją. Postanowił udąć, że tego nie dostrzega, i spytał:

- W Moskwie tak samo?

- Co?

- Myślałem, że to ty miałaś mi podać sposób kontaktowania się z „Airways”.

- Nie rozumiem...

- W Moskwie też tak będzie?

- Nie wiem.

- Nie wiesz?

Maria z trudem ukryła zakłopotanie.

- Jeszcze nie wiem.

- Tak kazali ci powiedzieć?

Maria nagle poczuła ulgę, a jednocześnie ogarnęła ją gwałtowna złość na siebie samą, a zwłaszcza na niego.

- Jeśli wiesz, dlaczego pytasz?

- Nie tak głośno.

- Co chcesz wykazać? Czego chcesz dowiedzieć? Że jestem z nimi, a nie z tobą? Że jesteś sam? Że cię oszukałam? O to ci chodzi?

Michael ani drgnął.

- Nie tak głośno - rzekł.

- Nie tak głośno - powtórzyła drżącym głosem. Zamilkła na chwilę. - Możesz myśleć, co ci się podoba, Michael. Wydaje się, że jesteś głęboko przekonany o swoich racjach... Ale powtarzam ci: nie uda ci się skłonić mnie, abym myślała to samo. Nie masz najmniejszej szansy! - Chwila milczenia. - Żadnej - powtórzyła cicho.

- Dobrze.

- To była... to jest po prostu praca, którą muszę wykonać. Tak jak ty, przypuszczam.

- Nikt temu nie przeczy.

- Nie - powiedziała z rezygnacją. - Oczywiście, że nie.

Deves wstał i poszedł wyrzucić niedopałek do muszli klozetowej.

Znajdowali się w pokoju hotelu położonego nad zatoką Töölö, nieopodal pałacu „Finlandia”, centrum kongresowego, w którym odbywają się także ważne imprezy kulturalne Helsinek. Deves nie wpisywał się do ksiąg hotelowych. Dwieście dolarów „za dwie godziny” zupełnie wystarczyło do pozyskania całkowitej wyrozumiałości recepcjonisty. Michael dostrzegł nawet błysk pełnej szacunku aprobaty w jego spojrzeniu, kiedy zauważył sylwetkę Marii czekającej na uboczu, w hotelowym hallu.

Deves, zanim usiadł, wziął brunatną kopertę leżącą na łóżku.

- Sprawdziłaś? - spytał otwierając.
- Po co? Miałam to zrobić? - odparła agresywnie.
- Tak tylko pytam.

Był tam paszport fiński. Wystawiony na przedstawiciela niemiecko-fińskiego konsorcjum mającego zbudować sieć moteli wzdłuż tras turystycznych w ZSRR. Wszystko było w największym porządku: paszport, służbowa wiza i rezerwacja hoteli najwyższej kategorii, a także zapraszający teleks z Ministerstwa Turystyki.

Michael nie był zaskoczony, gdy zauważył, że tylko zdjęcie w paszporcie było jednym z dwóch dostarczonych przez niego oryginałów; pozostałe, w wizie, a także te, które miały być przekazane sowieckiemu konsulowi w Helsinkach, były duplikatami. Z prostego i zrozumiałego powodu: gdyby sowieckie władze zorientowały się, że „pan Kaarlo Ekkonen” nie tylko nie zgłosił się do większości hoteli, w których był oczekiwany, ale przede wszystkim opuścił terytorium ZSRR przed upływem ważności wizen, poszukałyby w segregatorze podwydziału sekcji turystyki II Zarządu Głównego KGB fotografii tego obywatela Finlandii, aby je porozysłać do kompetentnych urzędów, nawet do telewizji. I wtedy okazałoby się, że zdjęcia Kaarla Ekkonena nie da się rozpowszechnić, bo na miejscu twarzy widać jedynie szarawą masę. Duplikaty zostały zrobione na specjalnym papierze, w specjalnym utrwalaczu, co zapewnia w żądanym czasie efekt odwrotny do tego, jaki uzyskuje się fotografując polaroidem.

Były jeszcze dwie oryginalne fotografie. Michael wiedział, że zostały użyte do fałszywych dokumentów wyjazdowych.

Maria nie miała ich przy sobie.

- Dam ci je, gdy już będziesz tam - powiedziała.

Michael mlasnął.



- Nie? - spytała zaskoczona.
- Znajdź w Moskwie jakiś schowek. Zakop je gdzieś.
- Gdzie?
- Nie powiedzieli ci?
- Tak, ale...
- Znajdź miejsce gdzieś przy końcowej stacji metra albo autobusu. Może nie będę miał samochodu.

Maria wydawała się zaskoczona.

- A jeśli będzie padał śnieg? - spytała z ironią.
- Poradzisz sobie - odrzekł sucho. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął grubą kopertę i rzucił na łóżko. - To także zakopiesz.

Maria ledwo rzuciła okiem na kopertę. Zapytała:

- Mam prawo wiedzieć, co to jest, czy mam się zamknąć?
- Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów - powiedział powstrzymując irytację.

Nie skomentowała.

- Nie ma niebezpieczeństwa - zniecierpliwził się Michael mylnie zrozumiawszy jej milczenie. - Jesteś dyplomatą. Dyplomatów nikt nie kontroluje.

Maria popatrzyła na niego jakby ogarnięta całkowitą, niemal bolesną niepewnością, jak gdyby odkryła w jego prawdziwej naturze coś, czego nie była w stanie pojąć, czego nie była w stanie kochać.

- Masz jakiś problem? - spytał Michael rozdrażniony. Ciągle mu się przyglądała, nie odpowiadając.

- Lubisz to, prawda? - spytała wreszcie.

- Co lubię?

- Cały ten cyrk.

- Jaki cyrk?

Mówiła dalej:

- Myślałam, że nie jesteś taki jak oni, ale myliłam się. Jesteś taki jak oni! Ty to lubisz w gruncie rzeczy, delektujesz się tym!

- Przestań się wygłupiać - powiedział Michael.

- Ja się wygłupiam? - wykrzyknęła. - A przyjrzałeś się sobie? Widziałeś te twoje miny?

Deves aż zdrętwiał, tak jakby wysiłek zmierzający do powstrzymania wybuchu złości wymagał udziału całego ciała i duszy.

- Bawisz się w wojnę, Michael - drwiła gorzko. - Jak dzieciak. Bez

najmniejszego dystansu... - Przerwała, ponieważ zorientowała się, że może powiedziała głupstwo. - Wiem, że to nie jest gra, ale... Znowu przerwała. Spojrzała mu głęboko w oczy, starając się w ten sposób dać do zrozumienia to, czego nie udawało jej się wyrazić słowami. W końcu zrezygnowała i odwróciła się.

- Zapomnij o tym, co powiedziałam - wyszeptwała. – Wszystko zapomnij.

Michael obserwował ją. Patrzył, jak kilkakrotnie odsuwa za ucho jasny kosmyk włosów, widział, że przełyka z trudem. Jest całkiem pewna. Całkowicie czysta. W duchu przeklinał Avarone'a.

- A co ty tu robisz, Mario? - spytał w końcu. Nie odpowiadała. - Co ty w ogóle robisz w tym całym cyrku, jak to nazywasz? - powtórzył czując, jak nagle wzbiera w nim ciekawość.

Zdawało mu się, że Maria przestała oddychać.

- To samo co ty - odrzekła.

- Mnie nikt nie zmusza, żebym to robił. Milczenie.

- Mam dług wobec nich - powiedziała. Michaelowi zdawało się, że słyszy głos obcej kobiety.

- A przynajmniej oni tak sądzą - mówiła dalej. - I wbili sobie do głowy, że powinnam go spłacić...

- Co to za dług? - spytał.

- Dług - odpowiedziała i zamilkła. Nabrała powietrza, wstrzymała oddech, po czym wypuściła powietrze bezgłośnie, przymykając oczy. - Dług, który zaciągnęłam w Warszawie.

Opowiedziała historię, która natychmiast wydała się Michaelowi znajoma, tak bardzo była podobna do setek innych, tak samo banalnych, tak samo typowych.

W Warszawie kochała pewnego mężczyznę. Polskiego dyplomatę. Było to w czasach „Solidarności”. W chwili gdy cały świat, szczególnie Francja, zastanawiał się, co można zrobić, aby pomóc Polsce wydobyć się spod jarzma komunistów. Człowiek, w którym się zakochała, zwierzył się jej, że należy do podziemnej komórki „Solidarności” w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, że chciałby w miarę swoich możliwości pomóc Wałęsie i jego przyjacielom, ale że okropnie brakuje mu informacji. Polska znowu była odizolowana. Na kogo można było liczyć? Jaka była opinia rządu francuskiego? Co zamierzał

robić? Jak daleko chciał się posunąć w sprawie pomocy narodowi polskiemu? Jakiej pomocy byli w stanie udzielić polscy emigranci we Francji? Maria powiedziała mu to, co wiedziała. Dla Polski i dla niego; bo go kochała. Z czasem pytania wykroczyły poza kwestie związane z Polską i zaczęły dotyczyć innych dziedzin, na przykład Paktu Atlantycznego. Tu też Maria udzielała odpowiedzi, jeśli je znała; jeśli nie znała, starała się zdobyć. W niektórych przypadkach pojawiały się też dokumenty. W dalszym ciągu z miłości, dla dobra Polski i stosunków francusko-polskich... Wreszcie pewnego dnia zdarzyło się to, co miało się zdarzyć. Wszystko w jej życiu nagle się zawaliło: zjawili się u niej ludzie z DGSE ze zdjęciami, filmami, nagraniami. Powiedzieli, że jej kochanek w rzeczywistości jest „uwodzicielem” z polskiego MSW i pracuje dla wydziału bezpośrednio podlegającego KGB. Powiedzieli, że mogą zatuszować sprawę, jeśli zgodzi się w przyszłości z nimi współpracować.

- To nie była zdrada - Maria broniła się szeptem. - Nigdy nie ujawniłam prawdziwych tajemnic... Tylko rzeczy nieistotne...

Kłamała.

Michael wiedział, ale nic nie mówił.

Kłamała albo oszukiwała samą siebie. Ludzie z DGSE nigdy nie porywają się na dyplomatów z Ministerstwa... bez broni. Jeśli zaś chodzi o „rzeczy nieistotne”, nawet jeśli takie były, w niczym nie zmieniało to istoty sprawy. Przy werbunku zawsze na początku pytano o „rzeczy nieistotne”. Rzeczy nieistotne, bez znaczenia w oczach ofiary. W rzeczywistości nitki, jakimi ją oplątywano, z biegiem czasu stawały się sznurami, potem łańcuchami. Kiedy ofiara zaczynała się orientować, było już za późno: zbyt wiele już zrobiła i nie mogła się wycofać. Wpadała w pułapkę. W pułapkę...

Michael nic nie powiedział. Nawet tego, że być może jej związek z agentem MSW został zauważony już na samym początku, ale pozwolono jej brnąć dalej, aby później mocniej trzymać ją w garści. Dyplomata, z racji pewnych przywilejów związanych z jego statusem, może być bardzo przydatny służbom wywiadowczym. Jednak na Zachodzie, we Francji może nawet bardziej niż gdzie indziej, dyplomaci odmawiają najdrobniejszej współpracy ze służbami specjalnymi, bo uważają ich działalność za zupełnie zbyteczną, nieodpowiedzialną i niebezpieczną, okazują im wyłącznie wyniosłą pogardę, jeśli nie otwartą, zdeklarowaną wrogość.

- To wszystko... - zakończyła cicho Maria nie mając odwagi spojrzeć Michaelowi w oczy.

W pułapce...

Deves poczuł dla niej współczucie i nieodpartą czułość. Starał się tego nie okazywać. Patrzył, jak bez słowa wstaje i znika w łazience. Usłyszał plusk wody w umywalce, później dźwięk odstawianej gdzieś szklanki. Długo nie wracała, nie chciał zastanawiać się dlaczego. Wyobraził sobie tę szklankę. Pomyślał, że nie można o tym zapomnieć. Miał zamiar pogratulować sobie tej refleksji, ale nagle gdy Maria ukazała się i znieruchomiała w drzwiach, serce aż skoczyło mu w piersi. Ledwie widział zagniecenia na jej ubraniu. Znienacka, zupełnie nie wiadomo dlaczego, usiadła obok niego na brzegu łóżka i poczuł, że obezwładnia go jej obecność, ciepła i delikatna. Nie mógł się temu przeciwstawić.

- Michael... - wyszeptała jak w modlitwie.

Przez pełną napięcia chwilę dryfował po złocistej powierzchni jej włosów, potem przez usta, policzki, skronie, a potem pograżył się w żywym, głębokim błękitcie jej oczu.

- Chciałam ci o tym powiedzieć, Michael, od razu... Ale oni zdecydowali, żeby poczekać, więc... - jej głos załamał się. – Potem już nie mogłam... Po prostu nie mogłam!

Zamilkła. Wydawała mu się bledsza, bardziej rozczulająca niż zwykle.

- Nie zdradziłam cię, Michael - rzekła.

Milczenie.

Kocham ją, stwierdził w myśli zupełnie mimowolnie. I nagle, w jednej chwili całą jego istotą wstrząsnął konwulsyjny dreszcz. Jak gdyby w głębi duszy otworzył się zawór i uwolnił jakąś szkaradną bestię, przerażającą, mogącą zadać cierpienie, którego nie miałby siły przetrwać. Najgorsze, że nie chodziło tu o „gdyby”. To było realne. Okropnie realne.

Wszystko jest w twojej głowie.

Nie! Miał wrażenie, że pęknie mu czaszka.

Wszystko jest w głowie!

Nie!

Tak! Nie czujesz tego? Nie mów, że nie czujesz...

Gwałtownie wstał, nagły ból przeszył mu czaszkę. Zamknął oczy, ale zaraz potem je otworzył ze strachu przed mogącą go nawiedzić

wizją. Nagle wszystko ucichło. Niepokój odpłynął pod wpływem zimnej wściekłości, w której pogrążył się bez reszty i której użył do wepchnięcia ohydnej bestii na samo dno jej jamy.

- Michael...?

Odwrócił się.

Ujrzawszy jego twarz Maria ledwo powstrzymała krzyk rozpaczny.

- Wytrzymaj szklankę i wszystko czego dotykałaś - powiedział. Podszedł do drzwi. - Poczekaj dziesięć minut. Spotkanie w Leningradzie - dodał i wyszedł.

Maria ciągle siedziała na łóżku, znieruchomiała, załamana. Nie rozumiała, co się wydarzyło. Nic z tego nie rozumiała! Tylko to, że jego już nie ma, a ona cierpi. „Spotkanie w Leningradzie”.

Bardziej niż nieczułe słowa, niż to nagłe wyjście przybiło ją i zraniło ostatecznie spojrzenie, jakie rzucił w jej stronę.

Mój Boże, to spojrzenie, to okrutne spojrzenie! Dlaczego?

Co takiego powiedziała? Co zrobiła? Czyj zawiniła, że zasłużyła na takie traktowanie? To nie miało żadnego związku z tym, co mu powiedziała, ani z jej wyznaniem, ani z zapewnieniem lojalności wobec niego - tak bardzo chciała, aby o tym wiedział. O co w takim razie chodzi? Spodziewała się jakiegoś cudu w czasie tego spotkania i cud o mało nie nastąpił. Już był blisko, bliźniutko. Michael ją kochał, jeszcze ją kochał, tak, na przekór wszystkiemu ciągle ją kochał. Więc dlaczego tak zareagował? Dlaczego odmawiał sobie tej miłości? Bo o to przecież chodziło, nie o co innego, dobrze to czuła. „Chce coś odpokutować...” Nonsens! Ze strachu przed cierpieniem? Jeszcze większy nonsens!

Cierpienie jest w nim, pomyślała Maria. Już jest w nim. Miłość każe mu cierpieć... Ale dlaczego?

Mój Boże, dlaczego?

Długo się tak dręczyła, zadawała sobie ciągle te same pytania, nie po to, aby na nie odpowiadać - dobrze wiedziała, że nie znajdzie odpowiedzi - lecz aby uniknąć postawienia tego jednego pytania, które miało znaczenie, które tryskało z niej, torturowało ją, gdy tylko przypominała sobie spojrzenie, jakim Michael ją przeszył, zanim odszedł.

Spojrzenie pełne nienawiści... i strachu!

Graniczni strażnicy KGB, uzbrojeni w karabiny szturmowe kałasznikow AK-74, otoczyli samolot Finnair, gdy nieruchomiał na pasie lotniska Pułkowo nie opodal Leningradu.

Wiał silny wiatr, ale to nie miało znaczenia - strażnicy ubrani byli w grube boty i szerokie czapki z rzemieniem pod brodą, ciężkie poły płaszczy koloru khaki ledwie się poruszały.

U stóp schodków pilnowali pasażerów wychodzących z samolotu. Później ustawili się z przodu i z tyłu fińskiego odrzutowca, nikt więc nie mógł wsiąść ani wysiąść. Postępowali tak samo jak inni strażnicy, nieco dalej pilnujący innych zagranicznych samolotów; dreptali w miejscu, chodzili w kółko, rzucając niekiedy spojrzenia na samoloty, jakby były wielkimi stalowymi ptaszyskami - śpiącymi, lecz wyjątkowo groźnymi.

Nic się nie zmieniło, pomyślał Deves idąc pieszo wraz z innymi pasażerami do dworca lotniczego.

Lot Helsinki-Leningrad trwał niecałą godzinę, a jednak Deves czuł się jak w zupełnie innym świecie. Jakaś zapomniana przez czas część kuli ziemskiej, gdzie - wiedział o tym dobrze - wszystko było smutniejsze, brudniejsze, bardziej wybrakowane niż gdzie indziej, gdzie nawet niebo wydawało się inne.

Dziwny świat, pomyślał Michael ogarnięty silnym wrażeniem nierzeczywistości, w czasie gdy czekał w kolejce do kontroli dokumentów. Świat, pomyślał patrząc przez szyby na postacie strażników kręcących się przy samolotach, w którym strachy na wróble są małe i żywe, a ptaki ogromne i martwe.

Bez przeszkód przeszedł przez kontrolę paszportów. Jedyną trudność, jaką napotkał, była natury technicznej: radzieccy celnicy kazali mu cztery razy przechodzić przez aparat prześwietlający bagaże, bo żaden ruchomy chodnik nie działał.

- *Back in USSR... Don't know how lucky you are!* - zanucił ironicznie młody urzędnik konsulatu amerykańskiego w Leningradzie, z którym Michael zamienił kilka słów podczas lotu. W końcu celnicy chcąc nie chcąc zdecydowali się na przeniesienie bagaży przed aparatem.

Deves zarejestrował się w biurze Inturistu; dano mu do dyspozycji starą, lecz błyszczącą czarną czajkę z soferem. Sofer ani razu nie otworzył ust w czasie drogi do hotelu Moskwa; ustalił jedynie z Michaeliem, że ocieplenie, jakie nawiedziło obecnie Leningrad, jest

błogosławieństwem niebios, lecz zaraz potem dodał, jakby chciał zatrzeć fałsz mogący zabrzmieć w tych słowach, że uwielbia śnieg i z niecierpliwością go oczekuje. Michael milczał; uznał że będzie lepiej, gdy Rosjanin skupi się na omijaniu ogromnych wyrw w jezdni, coraz liczniejszych w miarę jak zagłębiali się w ponure przedmieście Leningradu.

Hotel Moskwa to najnowszy i jeden z największych hoteli w mieście, także najbardziej oddalony od centrum i najbardziej posępny. Deves zgłosił się do recepcji, gdzie oznajmiono mu, że przedstawiciel Ministerstwa Turystyki jest do jego dyspozycji, kiedy tylko sobie tego zażyczy. Poszedł do pokoju, odmówił wymiany dolarów na ruble, co mu zaproponował portier w brudnym, podartym uniformie. Aby się go pozbyć, Deves dał mu dziesięciodolarówkę - na czarnym rynku dostanie za to ponad sto rubli, równowartość połowy średniej pensji w ZSRR. Rozpakował bagaże, zupełnie jakby urządzał się na dłużej. Po bezskutecznych próbach wyregulowania prysznica napuścił do wanny wodę, której lekko herbaciany kolor nie zachęcał do dłuższej kąpieli. Później zatelefonował do Ministerstwa Turystyki, podziękował za przyjęcie i powiedział, że specjalnie się nie spieszy: zakończył wcześniej zaplanowane zajęcia, czeka na przybycie jednego z partnerów niemieckich, chce to wykorzystać na zwiedzenie wreszcie bez pośpiechu Ermitażu. Postarał się w trakcie rozmowy wymienić nazwisko ministra turystyki, tak jakby był jego bliskim znajomym, co wywarło duże wrażenie na rozmówcy.

Trochę później wyszedł z pokoju, odebrał paszport i wizę, która miała już tylko dwie kartki zamiast trzech, wymienił pieniądze i w hotelowej „Bieriozce” - sklepiku dla turystów, w którym płaci się dewizami - kupił butelkę rosyjskiej wódki, czeski scyzoryk i słoik gruzińskich ogórków.

W końcu wyszedł z hotelu.

Leningrad był miastem bez życia. Martwym od urodzenia.

Sztuczna dekoracja, ustawiona w delcie Newy w XVIII wieku z woli cara, trwała w zapomnieniu tu, nad Bałtykiem. Ludzie po prostu przyzwyczaili się tu mieszkać. Miasto „wydumane”, ponure, mroźne, tu i ówdzie pomazane przez kohortę włoskich architektów, pracujących przy jego budowie, zielenią, kolorem malinowym, żółtym,

błękitnym, białym i ochrą, tak jakby ogarnięci nagłą paniką na widok rezultatu swej pracy starali się je ubarwić.

Pod wieloma względami miasto Trzeciego Świata, tylko ludzie mają tu białą skórę, są opatuleni grubymi i ciemnymi ubraniami; chodniki dudnią od kroków szarego, zwarte go tłumu, śmiechy są rzadkie a muzyka nieobecna, zaś jedna skrzynka bananów stojąca bezpośrednio na ziemi przyciąga tłumy.

Leningrad bez śnieżnego blichtru ukazywał swoją prawdziwą twarz miasta - abstrakcyjnego projektu rzuconego na górę błota bez końca się obsuwającego. Ziemia nad Nową w przymierzu z mrozem powoduje zapadanie się chodników, pęknięcie i dziurawienie jezdnii, tak jakby sama natura nie mogła się z tym miastem oswoić i nieustannie dawała to odczuć.

Przez cztery godziny Deves włóczył się po Leningradzie piechotą, metrem albo taksówką.

Pod koniec pierwszej godziny wszedł do „Gościnnego Dworu”, domu towarowego przy słynnej alei - Prospekcie Newskim. Kupił tam obszerny, bezkształtny płaszcz nieprzemakalny z szarego nylonu oraz małą łopatkę. Nie wyszedł od razu, chciał nieco przesiąknąć, pomimo obrzydzenia, spotniałą atmosferą, a zwłaszcza mdlącym odorem, jaki panuje w całej Rosji w miejscach zamkniętych, wypełnionych ludźmi. Zapach ten pochodzi, według niektórych, ze stosowanych środków dezynfekujących, według innych zaś - z braku mydła.

Przed opuszczeniem „Gościnnego Dworu” Michael sprawdził swą pamięć, dokonał w myśli przeglądu wszystkich możliwych wyjść z domu towarowego. Zdecydował się na wyjście służbowe, nieco na uboczu, przez które wyszedł już ubrany w szary płaszcz nieprzemakalny.

Była to zbyt ostrożność; wiedział, że nie jest śledzony.

Pod koniec trzeciej godziny zapuścił się w szeroką drogę z ubitej ziemi, pokrytą gdzieniegdzie błotnistymi kałużami, biegnącą wzdłuż kanału Gribojedowa. Na jej końcu wznosiła się cerkiew Zmartwychwstania, wysoko unosząca, swe kopuły i złożone cebulki, jakby nie chciała, aby się ubrudziły. Michael opróżnił słoik gruzińskich ogórków - wylał je do kanału, po czym okrążył cerkiew i wszedł do parku Michajłowskiego.



Spacerował tam przez chwilę, potem posiedział na ławce. Popołudnie zbliżało się do końca, zaczynał zapadać wieczór. Paru biegaczy w brązowych i pomarańczowych dresach, babcie pchające wózki z dziećmi, nieliczni spieszący się przechodnie... Deves stwierdził, że jest już dostatecznie ciemno, i wszedł w pobliskie zarośla, upewniwszy się, że nikt go nie widzi. Rosyjską wódką kupioną w hotelu rozmiękczył ziemię, wykopał dziurę przy pomocy scyzoryka i łopatkę; potem zawinął swój fiński paszport i plik ośmiu tysięcy dolarów w plastikową torebkę z „Bieriozki”, zamknął to wszystko w słoiku po gruzińskich ogórkach, umieścił w wykopanej jamie i starannie zakopał.

Nie najgorszy schowek, pomyślał odchodząc. Chwilowo do przyjęcia. Zupełnie wystarczy.

Rzucił łopatkę do kanału i podjął wędrówkę. Zaczynał już przyzwyczajać się do rozległych, słabo oświetlonych alei, do białych świateł wysłużonych aut, żółtych, pomarańczowych, beżowych, czarnych; do huków i zgrzytu wszędzie obecnych ciężarówek, do mundurów często widocznych w tłumie (Leningrad to miasto garnizonowe); do mdłego, odrażającego zapachu zimnego mięsa buchającego ze sklepów rzeźniczych w starych suterrenach, połączonego z zapachem błota w mrocznych uliczkach; do nielicznych bezbarwnych-witryn; do obłoków czarnych spalin wypuszczanych przez zatłoczone autobusy o zaporowanych szybach oraz do górujących nad wszystkim wiecznie złotych iglic, cebulek, kopuł trwających pod błękitno-czarnym niebem.

Pod koniec czwartej godziny Michael pozostawił za sobą kanał Mojka, minął budynek dawnych carskich stajni, po kilku minutach zatrzymał się przed zarysem niskiego, głębokiego sklepienia wykrojonego w parterze starej kamienicy.

W głębi mrocznego podcienia mieściła się „Zwiazdeczka”. Powiedziała mu o tym Maria.

„Gwiazdeczka”... Deves, lekko rozbawiony, zagłębił się w mrok, zastanawiając się, czy gwiazdeczka rozbłyśnie.

Wszedł na dość duże wewnętrzne podwórko pogrążone w ciemności. Na wprost zięjący mrok drugiego sklepionego przejścia. Deves domyślił się, że dalej, po prawej stronie, jest jeszcze trzecie. Stała tu zaparkowana ciężarówka, dwa żiguli, jedna wołga i jeszcze jakiś samochód przykryty plandeką. Tuż obok, po lewej stronie, Michael odkrył

„Zwiodoczkę”, Zdawało mu się, że śni: przedsionkiem siatki infiltracyjnej DGSE w Leningradzie była kawiarnia w podziemiu połączona z niewielkim hotelikiem!

Michael zawahał się; pomyślał, że Avarone i inni zwariowali. Kawiarnia! Brud i para na szybach okiennych w kształcie półksiężyców umieszczonych tuż nad ziemią nie pozwoliły mu zajrzeć do środka. Dochodziły stamtąd głosy i śmiechy.

Postanowił wejść.

Kawiarnia była jak z powieści Dostojewskiego: drewniane stoły z ławkami i taboretami na kamiennej podłodze, ludzie o twarzach trupiobladych albo czerwonych, o oczach dzikich, błyszczących, nikłe oświetlenie, powietrze nasycone wonią alkoholu, tytoniu, kapusty, potu. Gdy Deves wszedł, ucichły rozmowy, spojrzenia skierowały się ku niemu, ciekawskie, nieufne. Usiadł przy małym stoliku, nieco oddalonym od innych. Mała brunetka wyszła zza kontuaru i podeszła wycierając ręce w fartuch, który miał być biały; jej policzki były krągłe i świeące.

- *Zdrastwujtie...*

Spytała, czego sobie życzy. Przyglądała mu się zmęczonym wzrokiem, w jej spojrzeniu pojawił się błysk na widok zegarka Devesa wystającego spod rękawa szarego nieprzemakalnego płaszcza. Michael pomyślał, że powinien się go pozbyć. Zamówił kielbasę, pierożki z kapustą i dwie butelki armeńskiego koniaku.

- *Dwie?* - zdziwiła się kelnerka.

- *Dwie, pożałujsta* - potwierdził Michael.

Na twarzy kelnerki wyraźnie widać było zakłopotanie. Odeszła. Rozmowy toczyły się dalej, ale Deves przyciągał zaintrygowane spojrzenia z różnych miejsc sali. Zobaczył, że kelnerka pokazuje go ruchem brody około pięćdziesięcioletniemu brunetowi, który pojawił się za kontuarem. Brunet zerknął zmrużonymi oczyma w kierunku Michaela, dał kelnerce znak, aby się nim zajęła, położył ściereczkę na kontuarze i przeszedł przez salę. Był małego wzrostu, ale tak szeroki jak wysoki; miał krótkie włosy, żywe oczy i bardzo czarne brwi, szerokie jak dwie szczotki do zębów. Oparł obie dłonie płasko na stoliku Michaela i spytał po rosyjsku, tak aby nikt inny nie usłyszał:

- Pan jest z Erewania?

- Erewan to miasto zbyt oddalone - odpowiedział Michael pojmując, że ma przed sobą Ormianina, o którym mówiła mu Maria; to

prawdopodobnie on kieruje leningradzką sekcją „Airways”. - Pan jest Agop?

- Tak jak pan jest Douglas - odpowiedział Ormianin z lekkim uśmiechem.

Odrzucił się, powiedział coś siedzącemu obok mężczyźnie, który zaśmiał się hałaśliwie i powiedział coś swym towarzyszom; z kolei oni także wybuchnęli śmiechem.

- Powiedziałem im, że wszystko w porządku - wyjaśnił Michaelowi Ormianin - że pan jest „blacharzem”, który w przebraniu chce się uchlać incognito, ale że natychmiast pana rozpoznałem, mimo tego stroju - dodał wesoło, wskazując szary płaszcz Michaela.

Deves chciał się uśmiechnąć, ale mu się to nie udało.

- Rozluźnij się, kolego - powiedział Ormianin ścisząc głos. - Jesteś tu bezpieczny. Znam ich wszystkich. Nie ma się czego bać.

- Naprawdę? - spytał Michael rozglądając się z niepokojem po sali.

- Wierz mi - zapewnił Ormianin. - Jedyne informacje tutaj to ja - zaśmiał się. - Te cioty z Wojnowej uwielbiają mnie! - zrobił aluzję do KGB, którego siedziba w Leningradzie mieści się we wschodniej części miasta, na początku ulicy Wojnowej. Znowu się zaśmiał. - Mam nawet jednego czy dwóch, którzy wpadają odstawić numerki u mnie w hotelu! - zaznaczył poufnie i zrobił grymas zdający się mówić: „Dobra robota, co?” Znowu spowaźniał. - Nie wiem, kim jesteś, Douglas, ani po co przyszedłeś, i nie chcę wiedzieć. Ja tylko przyjmuję ludzi na pokład i pomagam im nurkować. Dopóki są ze mną, nie mają się czego obawiać. Później, kiedy już nurkują, muszą sobie radzić sami. Dobrze pomyślane?

- Dobrze pomyślane - odrzekł Michael.

- I jeszcze jak! Więc pij, jedz, kolego. Za pół godziny przyjedzie ciężarówka. Wsiądziesz do niej. Przygotujemy cię do nurkowania. Potrzebujesz dobrego skafandra.

Pół godziny później brodaty olbrzym zamknął Devesa w tyle furgonetki pozbawionej okienek. Furgonetka natychmiast ruszyła. Przez dobre dwadzieścia minut Michaeliem okropnie trzęsło, wreszcie znalazł się w czymś w rodzaju małego prywatnego garażu. Wszedł za kolosem do ciemnego domu, przeładowanego starymi meblami.

- Czekam w samochodzie - powiedział kolos, zachęcając Michaela, aby wszedł sam do oświetlonego pokoju.

Było tam duże łóżko, zdobiona szafa, na ścianach ikony, a w rogu pokoju, w fotelu, stara kobieta. Uśmiechnęła się bez słowa. Bez żadnego ruchu. Nie spuszczać Michaela z oczu.

- Rozbieraj się, kochaniutki - wymamrotała w końcu. - Całkowicie.

- Tutaj?

- Dlaczego nie?

Błysk rozbawienia mignął w spojrzeniu starej kobiety. Wstała opierając się na poręczy fotela.

- Wszystko jest w szafie - powiedziała cicho jęknąwszy. - Opróżnij kieszenie, połóż ich zawartość na łóżku - dodała wychodząc.

Gdy Michael wrócił do furgonetki, wszystko, co miał na sobie i przy sobie, było rosyjskie: począwszy od czarnej kurtki aż do bielizny i skarpetek, także torba z bielizną na zmianę, zegarek i zapalniczka. Stara kobieta zostawiła mu jedynie pieniądze i - co dziwne - fińskie botki podszyte futrem oraz amerykańskie papierosy. Najpierw go to zdziwiło, zrozumiał dopiero wtedy, gdy otworzył kopertę, jaką dała mu przed wyjściem. Koperta zawierała legitymację KGB z czerwonozłotej skóry na nazwisko pułkownika Michaiła Detlowa, który sądząc po fotografii, był Devesem we własnej osobie. Przecież nie było rzeczą niemożliwą - stanowiło nawet wyraźny akcent autentyczności - aby pułkownik KGB nosił fińskie buty i palił amerykańskie papierosy: miał możliwości i środki, nie było więc żadnego powodu, aby z tego rezygnował.

Po powrocie do „Zwizdoczki” Michael rozgościł się w pokoju na drugim piętrze hotelu.

- Tymczasowo - powiedział Ormianin. - Jutro znajdziemy ci coś innego. Póki co, śpij, kolego. Śpij spokojnie. W kilku będziemy czuwać nad twoim snem.

Michael obudził się w środku nocy i nie wiedział dlaczego.

Co go obudziło?

Jeszcze zaspany dostrzegł cienie poruszające się na suficie pokoju. I na ścianach. Potem zauważył okno, jakby rozświetlone, obramowane świetlną aureolą, bardzo ostrą, nieregularną. Ogień! W tym samym ułamku sekundy jakby włączyła się taśma dźwiękowa: usłyszał hałaśliwą bieganinę w korytarzu, natychmiast przytłumioną

dochodzącym z zewnątrz trzaskiem serii z broni maszynowej. Jakiś krzyk. Potem w obłąkańczym zamęcie krzyki, wołania, krótkie rozkazy, długa seria tłukąca kolejne szyby, w odpowiedzi wybuchy dochodzące z hotelu.

Deves rzucił się do okna. Miał wrażenie, że przeżywa jakiś koszmarny sen rodem z piekła.

Były tam dwa samochody, całe w płomieniach; pociski dymne wypuszczały czerwone pióropusze; dwaj mężczyźni kłęczący na ziemi spokojnie oddawali serię ze szturmowego karabinu na fasadę hotelu; było tam jeszcze wiele innych osób, niektóre w mundurach. Michael zdążył dostrzec żywą pochodnię odrywającą się od jednego z płonących samochodów; widział, jak jakiś człowiek w mundurze podszedł do zżeranego płomieniami ciała, kopniakiem odwrócił je na plecy i skierował na nie kamerę. Filmowali zmarłych! Michael zobaczył jeszcze operatora biegnącego w stronę niewielkiej grupy, w której rozpoznał brodatego kolosa z furgonetki. Trzymał go w szachu mężczyzna w mundurze - szarym milicyjnym mundurze! Michael widział, jak operator filmuje kolosa; ujrzał też trzeciego mężczyznę, z siwymi włosami, ściśniętego płaszczem z czarnej skóry, trzymającego lufę pistoletu na karku kolosa. Padł strzał, człowiek z siwymi włosami, nie patrząc nawet na kolosa padającego u jego stóp, ręką wskazał hotel mężczyźnie z kamerą i milicjantowi, którzy szybko oddalili się w tamtą stronę. Dał też znak innym, rzucał rozkazy przez walkie-talkie, a wszystko to z przerażającym spokojem i zimną krwią.

Drzwi pokoju gwałtownie się otworzyły. Wpadł Ormianin z pistoletem w rękę, za nim jakiś mężczyzna, który zapalił światło.

- Światło! - krzyknął Michael rzucając się na podłogę.

W tej samej chwili deszcz kul wysadził okno dziurawiąc i podciągając zasłonę; wszędzie sypał się tynk, ze ścian, z sufitu, w piekielnym tempie, z ogromną siłą. Lampa przy suficie rozerwała się na kawałki. Kule przelatywały jeszcze w ciemności, uderzały, dźwięczały, trzaskały, miauczały, niszczyły wszystko, co było w ich zasięgu jak jakieś rozwścieczone bestie.

Nagle ucichło. Strzelanina trwała dalej na dole.

Poprzez obłok pyłu Deves ujrzał sylwetki Ormianina i jego towarzysza; podnosili się z podłogi, widać ich było teraz w świetle dochodzącym z korytarza.

- Douglas?

- W porządku! Co tu się...

W hotelu nastąpił wybuch tłumiący głos Devesa. Granat!

- Co za typy? - krzyknął przez zęby Michael.

- Nie mam pojęcia! - odpowiedział Ormianin. - Z tyłu jest wyjście! Piotr cię zaprowadzi!

- A ty? - spytał mężczyzna nazwany Piotrem.

- Ja schodzę na dół! Postaram się ich zatrzymać! Pospieszcie się!

W chwili gdy Ormianin opuścił pokój, wybuchł drugi granat.

Michael ubrał się pośpiesznie.

- Chodźmy! - krzyknął chwytając torbę i kurtkę. Głos Rosjanina za plecami przykuł go do podłogi.

- Nie ruszaj się!

Michael odwrócił się. Pomyślał, że gwałt i zamieszanie osiągnęły już najwyższy stopień i zaraz wszystko zwali się w otchłań absurdu i szaleństwa: Rosjanin mierzył do niego z broni... i miał zaraz wystrzelić!

- Nigdzie nie pójdziesz.

Michael nie zdążył zareagować. Z lufy wytrysnął błysk, Michael poczuł silne uderzenie i gwałtowny ból w prawym ramieniu, jednocześnie ogłuszył go silny wybuch. Zachwiał się, stracił równowagę i runął na podłogę. Jednym susem Rosjanin znalazł się na nim i przyłożył gorącą lufę do jego czoła. Musiał krzyczeć, aby przebić się przez hałas dalej trwającej strzelaniny.

- Kim jesteś?

- Wiesz, kim jestem!

- Kłamstwo! - zawołał Rosjanin przewracając oczami pełnymi nienawiści. - Douglas nie istnieje, jesteś Saxon! Ale coś za jeden? Nie znam cię, to niemożliwe, przecież znam was wszystkich! Kim jesteś?

Deves usłyszał metaliczny dźwięk odbezpieczania tego cholernego pistoletu. Nie czuł strachu, wręcz przeciwnie, silną ulgę. Uśmiechnął się.

Rosjanin wydał dziki okrzyk i uderzył go w twarz lufą pistoletu. Znów ryknął:

- Kim jesteś?

Michael ujrzał wściekłość w spojrzeniu Rosjanina i wiedział, że

jeśli odpowie: Douglas, nawet nie zdąży usłyszeć wystrzału i wszystko będzie skończone. Otworzył usta, aby odpowiedzieć.

Wszystko potoczyło się jak we śnie. W drzwiach ukazała się jakaś postać. Przez chwilę nic się nie działo. Potem ktoś zapytał po rosyjsku:

- Prawda?

- Iskra! - Michael usłyszał swój własny głos. Ogłuszający huk.

Zdziwiona twarz Rosjanina zmieniła się w krwawą masę.

Deves z przerażeniem patrzył, jak Rosjanin zachwiał się i runął w ciemność, na podłogę. Po chwili poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu. Jakaś twarz ukazała się tuż obok. Twarz napięta w najwyższym stopniu.

Prawda? Iskra!

Arkadij Tczenko! Człowiek-klucz do siatki „Airways”.

Nawiązał kontakt i uratował mu życie!

- Tczenko... - wybełkotał Michael.

- Pan jest ranny?

- Nic poważnego.

Odgłosy strzelaniny nagle umilkły.

Ktoś krzyczał z bólu. Krótkie nawoływania po rosyjsku. Rozkazy. Zatrzeszczała krótka seria strzałów i wycie się urwało. Znowu wołania, rozkazy szczyknęły w ciszy.

- Chodźmy! Szybko! - Tczenko pomógł Devesowi wstać. - Szybko, szybko!

Michael wyrwał pistolet z ręki martwego Rosjanina i wybiegł za Tczenką z pokoju.

W korytarzu po prawej stronie kątem oka zauważył leżące przy ścianie ciało mężczyzny z rozerwaną klatką piersiową, tuż obok ogromnej smugi krwi; usłyszał głośnie rozmowy i odgłos kroków na schodach w głębi korytarza. Mordercy szli na górę!

- Tędy, szybko!

Pobiegli w przeciwnym kierunku, wyszli jakimiś drzwiami, zbiegli po ciemnych schodach. Następne drzwi prowadziły do piwnicy, w ręku Tczenki zabłysła latarka; znowu drzwi, wąski, wilgotny korytarz z podłogą z ubitej ziemi, małe kamienne schodki prowadzące do jeszcze jednych drzwi. Latarka zgasła. Zaskrzypiały drzwi, znaleźli się w cieniu sklepionego pasażu, wychodzącego z jednej strony na spokojną

noc, a z drugiej na blask pożaru i czerwony dym na wewnętrznym podwórku „Zwiozdoczki”. Słysząc było dalekie nawoływania. Hałas silników. Pisk opon w samym środku nocy. Tczenko pociągnął za sobą Devesa. Wyszli na plac, okrążyli go idąc w cieniu murów, potem weszli w błotnistą uliczkę. W ciemności, prawie niewidoczny, stał samochód żiguli... Z czarną szachownicą namalowaną na drzwiach. Taksówka.

- Do tyłu! Szybko! - rzucił Tczenko siadając za kierownicą.

Żiguli ruszyło z impetem. Michael trzymał się obiema rękami, aby móc wyglądać przez tylną szybę, podczas gdy samochód kołysał się i podskakiwał na zdewastowanej drodze. Nic. Wyłącznie ciemności.

- Ostrożnie - odezwał się Michael prawie bez tchu.

Żiguli raptownie skręciło na szeroką wybrukowaną drogę.

- Tczenko, niech pan zwolni! - krzyknął Michael. – Zatrzymaj nas!

Rosjanin zdjął nogę z gazu, gwałtownie zahamował i chwycił mocniej kierownicę, jak gdyby miało to pomóc zmniejszyć prędkość, musiał też się czegoś przytrzymać, aby zaczerpnąć tchu.

Przez chwilę słysząc było tylko przerywany oddech obu mężczyzn, jakieś zgrzytanie wewnątrz samochodu i dychawiczny pomruk silnika. W końcu Michael usiadł i wówczas poczuł rozdzierający ból w ramieniu. W lusterku wstecznym Michael zobaczył oczy Tczenki: błyszczące, nieprzytomne, przepełnione strachem.

- Co się stało? - spytał spokojnie Michael.

- Nie mam pojęcia! - wykrzyknął Tczenko, tak jakby zadawał już sobie to pytanie i nie znalazł odpowiedzi.

- Co z Ormianinem?

- Nie żyje.

- Jest pan pewien?

- Wszyscy nie żyją.

Michael zerknął na Tczenkę. Jego jasne włosy tworzyły jakby daszek kaszkieta nad wąskim czołem, oczy miał małe, jasne, jasny zarost zaznaczał się na policzkach i wokół brody. Deves ocenił go na nie więcej niż czterdzieści lat.

Tczenko zaklął i uderzył w kierownicę dłonią, jakby chciał się otrząsnąć i uwolnić od strachu, który ciągle jeszcze go dręczył.

- Co to za typy? - spytał Michael.



Tczenko znowu zaklął.

- Kto to był? - nalegał Michael stanowczo.

- Nie mam pojęcia.

- KGB?

- Możliwe.

- Jak to: możliwe?

- To mogą być tylko oni! Ale nie tutejsi. Nigdy ich nie widzieliśmy...

- Zdążył pan im się przyjrzeć?

- Ormianin! Nie rozpoznał żadnego! Znał ich wszystkich, ale tych nie... Cholera!

Tczenko nagle skręcił kierownicą w prawo i wjechał w ciemną ulicę.

- Co się dzieje? - krzyknął Michael. Taksówka nagle zahamowała.

- Zaraz wracam - rzucił Tczenko, szybko wysiadając z auta. Zaczął wymiotować pod murem.

Michael rozejrzył się wokół. Uspokojony poszukał w kieszeni papierosów, znalazł je i zapalił. Zimny powiew nagle przejął go dreszczem. Poczuł, że chłód ogarnia całe jego ciało, a jakiś gorący płomień rozgrzewa prawe ramię. Nie chciał widzieć rany. Ból był znośny, oglądanie rany na nic by się nie zdało. Jedynie pogorszyłoby sprawę, dobrze o tym wiedział.

Rosjanin wrócił do taksówki, obszedł ją, wyjął coś z bagażnika, po czym usiadł za kierownicą i podał przez ramię butelkę wódki, patrząc na odbicie Devesa w lusterku wstecznym. Deves potrząsała głową. Wyplukał usta pierwszym łykiem, wypluł przez okno, nalał sobie do ust drugi łyk i przełknął powoli, po czym zatkał butelkę.

- W porządku? - spytał.

- W porządku - westchnął Tczenko.

- Tczenko?

- Tak?

- Muszę wiedzieć.

- Co pan chce wiedzieć?

- Co się wydarzyło, jak to się stało. Niech pan powie, co pan wie. Po prostu to, co pan wie.

Rosjanin zamknął drzwi samochodu, siedział nieruchomo, w milczeniu.

- Jak to się zaczęło? - spytał Michael. - Był pan tam?  
- Przyszedłem tuż przed tym... Jeden z naszych zauważył samochód KGB spokojnie zaparkowany nie opodal „Zwiozdoczki”. Znamy tych, którzy w nim siedzieli. Ale to niecodzienna rzecz. Ormianin chciał zatelefonować, a tu telefon nie działa. W całej dzielnicy telefony nie działały... Ormianin wysłał chłopaków do tego samochodu. I nagle wszystko przybrało niespodziewany obrót: jakieś typy przebrane za milicjantów zaczęły strzelać bez uprzedzenia!

- A potem...?

- To wszystko, co mogę powiedzieć. Potem był już zupełny bałagan...

- Jest pan pewien, że byli przebrani?

- A pan w to wątpi? Nawet w tym kraju milicja nigdy nikogo nie mordowała szturmowym karabinem i granatami! - potrząsnęła głową Rosjanin głośno wzdychając. - Te cholerne łobuziaki z KGB przebrałyby się nawet za popów, gdyby było trzeba!

- Czy któryś z tych dwu płonących samochodów należał do KGB?

- Nie wiem.

- Kto je wysadził?

- Nie wiem! - krzyknął Tczenko.

Deves zamilkł na chwilę. Potem zarządził:

- Niech pan rusza. Nie możemy tu stać.

Tczenko posłuchał.

- Dokąd możemy pojechać? - spytał Michael.

- Do mnie - odpowiedział Tczenko.

- To niebezpieczne.

- Ma pan jakiś inny pomysł?

- Nie - przyznał Michael.

- Jutro umieszczę pana gdzieś indziej - powiedział Tczenko uspokajająco. - Proszę się nie denerwować, nawet jeśli wysłędzili „Zwiozdoczkę”, nie ma najmniejszej szansy, aby mnie zidentyfikowano. Tylko Ormianin mnie znał - a on nie żyje.

- Zgoda - odpowiedział Michael. - Gdzie to jest?

- Dwadzieścia kilometrów na południe od miasta, w pobliżu miejscowości Wukowna.

- Nie ma posterunku milicji?

- Jest jeden, przy wjeździe do miasteczka. Można go objechać,

ale to zbyt cenne. Gdy będziemy przejeżdżać obok, położy się pan na siedzeniu. Milicjant nigdy nie wychodzi z budki. Dobrze mnie zna.

- Zgoda - rzekł Michael.

Swobodnie rozparł się na tylnym siedzeniu, starał się znaleźć pozycję, w której ramię byłoby jak najmniej narażone na wstrząsy. Rozmyślał.

- Tczenko?

- Słucham?

- Kto wiedział, że miałem przyjść i kim jestem, oprócz pana i Ormianina?

- Nikt.

- Piotr wiedział.

- Kto?

- Ten typ, który chciał mnie zabić.

- Nie znam go. Nie wszystkich znałem w „Zwiozdocze”.

- On wiedział, kim jestem - powtórzył Michael dziwnie zamyślony.

- Co tam się mogło wydarzyć? - spytał Tczenko.

- Prawdopodobnie Ormianin nie znał swojego otoczenia tak dobrze, jak sądził - odparł Michael ciągle zamyślony.

Rosjanin zaklął.

Deves uważnie wpatrywał się w lusterko wsteczne.

- Tczenko?

- Słucham?

- Kto to jest Saxon?

- Kto jest... co?

- Nie, już nic.

Michael zamilkł.

Rosjanin z niepokojem zerknął na niego w lusterku. Potem patrzył na drogę, wydawał się zamyślony. Ponownie podniósł wzrok do lusterka i zerkał na Devesa z ciekawością. Ciekawością połączoną z obawą.

- Jest coś, co chciałbym wiedzieć - rzekł.

Ich spojrzenia skrzyżowały się w lusterku.

- Chciał pana zabić, prawda?

- Tak.

Rosjanin wpatrywał się w drogę.

- To dlaczego pan się do niego uśmiechał?

Arkadij Tczenko mieszkał w niewielkim domku kilometr za miejscowością Wukowna. Mały, stojący samotnie domek z kamienia i drewna był oazą spokoju z wyjątkiem chwil, kiedy przejeżdżały pociągi jadące lub wracające z Witebska i z Białorusi. Tczenko był kierowcą taksówki, natomiast jego żona była dróżniczką. Oprócz nich dwojga w domu mieszkały także dwie córki i matka Tczenki.

Gdy zajechali, była druga w nocy. Cały dom pogrążony we śnie. Tczenko opatrzył ranę Devesa. Kula poszarpała ciało w górnej części ramienia, jednak nie naruszyła kości ani nie uszkodziła mięśni. Później zjedli kilka kotletów wieprzowych, trochę razowego chleba, popili czeskim piwem.

Podczas gdy jedli w zacisznej kuchni, Deves cichym głosem poinformował Rosjanina, że wypełnia tajną misję dotyczącą „Airways”: Tczenko powinien teraz „odpocząć”, aż do nowego rozkazu. Wszystkie poprzednie polecenia są anulowane, nie powinien mieć żadnego kontaktu z kimkolwiek z siatki, a przede wszystkim z szefem, Tołstojem. Deves zreorganizuje linie łączności z leningradzkim oddziałem „Airways”. Tczenko przytaknął w milczeniu, jakby z ulgą, potwierdził, że z Tołstojem już od kilku miesięcy nie miał kontaktu oraz zapewnił Devesa, że poinformuje go następnego dnia o nawiązaniu łączności przez innych agentów sekcji. Nie znał naturalnie ich nazwisk ani rzeczywistych danych personalnych - znał tylko kryptonimy, skrzynki kontaktowe, hasła.

W czasie rozmowy do kuchni weszła mrużąc oczy żona Tczenki, mała korpulentna brunetka z krótkimi włosami i zaróżowionymi policzkami, ubrana w coś w rodzaju kombinezonu z grubej bawełny i w grube skarpety zrobione na drutach z burej wełny. Tczenko przedstawił Devesa jako przyjaciela swego kuzyna z Rostowa, chwilowo bezrobotnego, który przez kilka dni pomoże mu jeździć taksówką - Tczenko pracował na własny rachunek, taksówka była jego własnością. Żona słuchała ziewając, uśmiechnęła się do Devesa, gdy dotarło do niej, że gość od jutra zamieszka w mieście, pociągnęła łyk piwa ze szklanki męża i poszła spać mamrocząc: *spokojnoy noci*.

Wkrótce potem Tczenko pościelił Devesowi na sofie w dużym pokoju i także wyszedł.

Przed snem Michael sprawdził broń, tę którą zabrał martwemu Piotrowi w „Zwiozdoczce”. Pistolet makarow kalibru dziewięć milimetrów, wydajność: dziewięć strzałów, osiem kul w magazynku, jedna w lufie. Ręczna broń, solidna, niezawodna, najbardziej rozpowszechniona w ZSRR. Byli w nią wyposażeni milicjanci, oficerowie armii i funkcjonariusze KGB, była więc bardzo praktyczna, stwierdził Deves - pocisk do niej będzie można znaleźć na każdym rogu ulicy lub prawie na każdym, tak w Leningradzie jak i w Moskwie.

Michael zorientował się, że zostało mu osiem kul, załadował pistolet, jedną kulę pozostawił w lufie, zablokował spust i ukrył broń w posłaniu na sofie.

Miał trudności z zaśnięciem. Nie tyle z powodu bólu ramienia, ile raczej z powodu wrzenia mózgu. Udało mu się uciec od kłębiących się w głowie pytań bez odpowiedzi, dokuczliwych jak osy. Nie mógł jednak w żaden sposób odepchnąć wizji, które osaczały go aż do chwili zaśnięcia i prześladowały potem we śnie: wizji chaosu, morderczego i krwawego, podczas ataku na „Zwiozdoczkę”. Wizji, jednej z wielu, człowieka o siwych, krótkich włosach, niewzruszonego w czasie krwawej jatki. Mężczyzny o twarzy bez żadnego znaku szczególnego, twarzy spokojnej, zimnej, prawie obojętnej.

To twarz, której się nie zapomina, fascynująca - twarz śmierci w ludzkiej postaci.

Michael uśmiechnął się do niej we śnie.

W półmroku wpatrywały się w niego trzy pary oczu, jedna nad drugą.

Michael usłyszał coraz bardziej cichnący rytmiczny stukot pociągu i zorientował się, że to go obudziło. Przewrócił się na prawy bok i jęknął. Najbliższe oczy, najjaśniejsze, najżywsze, nagle zniknęły. Natrafił na nie trochę dalej, gdy ujrzał łagodną twarzyczkę małej blondyneczki wciśniętej między starszą siostrę i babcię. Dalej się w niego wpatrywała, potem uśmiechnęła się; Michael prawie poczuł na swojej skórze falę ciepła emanującego z dziewczynki.

Gdzieś w mieszkaniu rozległ się głos Tczenki, babcia bez słowa wyprowadziła dzieci z pokoju.

- Jak się pan czuje? - spytał Tczenko wchodząc.
- Dobrze.
- Za godzinę wyjeżdżamy.

Rosjanin pomógł mu zmienić opatrunek. Potem obaj zjedli w kuchni śniadanie. W czasie jedzenia Deves ujrzał małą blondynkę siedzącą po turecku na podłodze w sąsiednim pokoju. Obserwowała go zafascynowana, jakby czekając, aż zwróci na nią uwagę. Nie odniosło to jednak skutku. Gdy skończył jeść, wrócił do pokoju, zatknął markarowa z tyłu za pas, włożył kurtkę, wziął torbę i poszedł w stronę drzwi wejściowych, którymi już wyszedł Tczenko. Obejrzał się - dziewczynka stała na progu kuchni, taka malutka. Wtedy, nie mogąc już się opanować, z lekkim uśmiechem na ustach puścił do niej oko. Rozczarowanie na twarzy dziewczynki natychmiast ustąpiło miejsca

promiennej radości - zabrał tę radość ze sobą, całkiem mimowolnie, jak kruchy, serdeczny podarunek.

Godzinę później Tzenko ulokował go na poddaszu małego garażu-warsztatu bez okna, nie opodal Dworca Witebskiego w Leningradzie. Był tam tylko jeden materac na podłodze z rozeschniętych desek, jakieś koce, piec węglowy; na dole, na czarnym klepisku zardzewiałe części karoserii, skrzynki przepelnione narzędziami i różnymi przedmiotami, a pod zieloną ceratą dwie skrzynki butelek z wódką. Rosjanie sprzedają je po trzykrotnie wyższej cenie turystom lub wszystkim tym, którzy nie mają ochoty stać dwie godziny w ogonku, aby zdobyć wódkę. Za całe oświetlenie służyły dwie żarówki bez abażurów.

Tzenko nocował tu czasami, gdy nie czuł się na siłach wracać w nocy do Wukownej. Ale tak naprawdę było to miejsce, w którym prowadził nielegalną działalność mechanika samochodowego. Garaż był własnością starej wdowy mieszkającej w sąsiednim domu; użyczała mu go w zamian za udział w zyskach z nie zadeklarowanej działalności, a do wzrostu zysków przyczyniała się naganiając klientów.

Tzenko poinformował Devesa, w jaki sposób nawiązuje się kontakt z czterema innymi agentami „Airways” w Leningradzie, dał mu kluczyki do swojej taksówki, poszedł zawiadomić wdowę, że jego matka staruszka jest chora i musi się nią zająć, a przyjaciel z Rostowa będzie za niego jeździł taksówką - tylko przez jakiś czas. I wyszedł.

Tego samego dnia i nazajutrz Michael jeździł po mieście za kierownicą taksówki, aby „zapalić” umówione sygnały mające wywołać kontakt z czterema agentami „Airways”: krzyże w kółku narysowane kredą w jakiejś sieni, znaczki przylepione w dolnej części ulicznej latarni czy bramy. Przez następne dwa dni jeździł kolejno w cztery różne części Leningradu o określonych godzinach, w określone, z góry ustalone miejsca.

Drugiego dnia wieczorem poczuł, że rodzi się w nim niemy strach i świadomość bezradności: żaden agent „Airways” nie nawiązał kontaktu.

Żaden z czterech!

Tego samego wieczora, nieco później, Deves znowu wyruszył na

miasto i stwierdził, że sygnały zniknęły: nie było już śladu ani obrysowanych krzyży, ani znaczków!

Ten fakt podsycił jego niepokój. Mogło się zdarzyć, że jeden sygnał czy nawet dwa - na przykład te narysowane kredą - zostały zmażane przez wyjątkowo czujną i staranną dozorczynię. Ale zniknięcia wszystkich znaczków nie można było wytłumaczyć w ten sam sposób. Ani też zniknięcia czterech sygnałów - nie jednego, nie dwóch, nawet nie trzech, lecz czterech!

Mogło to oznaczać tylko jedno: agenci „Airways” odebrali sygnały, ale z niewiadomych powodów postanowili nie brać ich pod uwagę!

Wszyscy czterej, jednocześnie, w tym samym czasie, tak jakby to uzgodnili. Ależ to niemożliwe, przecież oni się nie znają!

Co to mogło oznaczać?

Był pewien, że nie popełnił błędu.

Dlaczego nie chcieli nawiązać kontaktu?

Strach... Może coś ich przstraszyło? Ale co? Atak na „Zwiodoczkę”? Prasa przedstawiła tę masakrę jako rezultat porachunków między przestępcami ormiańskimi i uzbeckimi... Wszyscy dobrze jednak wiedzieli, że nie o to chodziło!

Michael zrozumiał, że idzie złą drogą: z wyjątkiem Tczenki nie było żadnego związku między „Zwiodoczką” a siatką „Airways”. Zasadniczo jednak tłumaczył całą sprawę strachem, nie mogło być innego wyjaśnienia.

Ale... czego się bali? Co ich przstraszyło?

Straciliśmy kontrolę nad siatką „Airways”... Tolstoj nie odpowiada... Nie rozumiem, co się stało... Nikt nic nie rozumie...

Zadźwięczały mu w głowie słowa generała Avarone, zadźwięczały jak echo jego własnych pytań, jakby dla potwierdzenia faktu, że porusza się na mrocznych, niebezpiecznych krawędziach tajemnicy otaczającej siatkę „Airways”, a jedynym rezultatem jego poczynań jest tym silniejsza świadomość, że niewiadoma nadal pozostała niewiadomą.

Co się wydarzyło?

Deves stwierdził w końcu, że tylko w jeden sposób może się dowiedzieć. Jeden jedyny. W tym celu musiał ominąć wszystkie zabezpieczenia chroniące siatkę. Kontakt bezpośredni. Może być niebezpiecznie. Ale nie było wyboru.



Tego ranka niebo nad Leningradem było zamglone, szare. Zapowiadano śnieg. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin zima zwyciężyła. Przeszywające zimno opanowało miasto, mumifikując jeszcze bardziej jego pałace i złocenia.

Michael przyspieszył. Pozostało mu zaledwie pięć minut. Czas kontaktu ograniczony był do pół godziny. Jeśli w tym czasie kontakt nie nastąpi, spotkanie zostaje odwołane i ma nastąpić dwadzieścia cztery godziny później w tym samym miejscu, o tej samej godzinie. Deves jeszcze bardziej przyspieszył, złorzecząc na żiguli i na trudności, jakie miał rano z jego uruchomieniem.

Gdy dojechał do soboru Św. Izaaka, czas kontaktu był już przekroczony o pięć minut. Objechał naokoło i zaparkował nie opodal innych taksówek i samochodów. Jego spojrzenie powędrowało ponad szeroką brukowaną jezdnią na świątynię.

Stała tam Maria.

Czekała na niego, zgodnie z ustaleniami, u stóp potężnych kolumn noszących ślady pocisków - sto czterdzieści osiem tysięcy pocisków spadło na miasto podczas oblężenia przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej.

Jeszcze na niego czekała!

Widział, jak przez chwilę patrzy na taksówkę, po czym odwraca się, ściąga kołnierz czarnego długiego płaszcza, odgarnia z czoła jasne loki wychodzące spod czapki i rzuca wokół niepewne spojrzenia. Michael miał do siebie pretensje. Szybko wysiadł z samochodu.

Stał obok żiguli nieruchomy, na mrozie.

Kiedy w końcu Maria go dostrzegła, drgnęła. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę w zupełnym bezruchu, bledsza niż kiedykolwiek, jakaś zmieniona. Zrobiła ruch, jakby chciała podejść, zawahała się, oczekiwała zapewne gestu zachęty, zmieniła kierunek raz, potem drugi, wreszcie ruszyła ku niemu. Deves wsiadł do taksówki.

- Myślałam, że nie żyjesz! - powiedziała wsiadając na tylne siedzenie. Mówiła jak w gorączce. - Myślałam, że nie żyjesz!

Natychmiast ruszył.

Oczywiście wiedziała już o ataku na „Zwiozdoczkę”. Cały kraj wiedział; wydarzenie to zasłużyło na wzmiankę w największym sowieckim dzienniku telewizyjnym „Wriemia”. Od Marii dowiedział się między innymi o tym, że zniszczenie leningradzkiej bazy infiltracyjnej wzbudziło panikę, co prawda niewielką, ale całkiem realną,

na zamkniętym piętrze ambasady Francji w Moskwie. Michael opowiedział jej wszystko, co wiedział. Prawie wszystko.

- Zdrada?

- Możliwe.

- Możliwe? Chyba oszalałeś!

- To jedna z możliwości, ale nie pewność.

- Przecież sam powiedziałeś, że jeden z tych typów wiedział, kim jesteś!

- Tego nie powiedziałem.

- Ale to na jedno wychodzi.

Zamilkł w nadziei, że Maria się uspokoi. Od dziesięciu już minut jechał bez celu. W końcu postanowił zatrzymać się nad kanałem, w mało uczęszczanym miejscu.

- Co robisz? - spytała Maria słabym głosem. Michael odwrócił się.

- Potrzebuję informacji.

Wyjaśnił jej, jak wygląda sprawa z agentami „Airways”, i poprosił, aby jak najszybciej dostarczyła mu ich prawdziwych danych.

- Nie ma innego sposobu - powiedział na koniec.

Maria była głęboko zaskoczona.

- Nie ma innej drogi - powtórzył.

Patrzyła na niego pełna niedowierzania i niepokoju.

- Jesteś chory...!

Nie odpowiedział.

Potrząsnęła głową, zupełnie skonsternowana.

- Uważasz zapewne, że to takie mądre?

- Co?

- Co! Jeszcze pytasz co?

- Tak, pytam, co?

- Ryzykować życiem! - krzyknęła.

- Nie rozumiem.

- Michael, przestań!

- Co mam przestać?

Maria z trudem się opanowała.

- Nie powinieneś tego dalej ciągnąć po tym wszystkim, co się wydarzyło - mówiła. - Powinieneś przynajmniej poczekać na nowe instrukcje...

- Dlaczego nowe?

- Dlatego, że biorąc pod uwagę okoliczności szaleństwem byłoby ciągnąć to dalej. Czystym szaleństwem!

Przez chwilę przypatrywał jej się uważnie, po czym odwrócił się i zapalił silnik.

W czasie następnych kilku minut silnik jakby starał się wypełnić ciszę, jaka zapanowała w samochodzie.

- Potrzebuję tych informacji na dziś wieczór - powiedział w końcu obojętnym tonem. - Będziesz mogła?

Maria była zupełnie zrezygnowana.

- Jeśli zdołam połączyć się z Moskwą, będziesz je miał.

Było już ciemno, gdy Deves poszedł pieszo w stronę klasztoru Św. Aleksandra Newskiego, wznoszącego się na wschodnim krańcu Prospektu Newskiego, niedaleko najwyższych położonych brzegów Newy. Padały pojedyncze płatki śniegu, rzadkie, rozproszone.

Michael wmieszał się w tłum wiernych, spacerowiczów i turystów, licznych jeszcze tego popołudnia. Poszedł wzdłuż cmentarza Św. Łazarza, przeszedł przez wąski most i znalazł się na terenie klasztoru. Zadzźwięczały dzwony. Bez wahania skierował się w stronę kościoła Św. Trójcy, jedyne kościoła z zespołu klasztornego, w którym odprawiano nabożeństwa.

Ludzka pieczara, pomyślał Michael wchodząc do środka. Zawsze odnosił to samo wrażenie w kościele, a szczególnie w kościele prawosławnym.

Ludzka pieczara... Wypełniona niezliczonymi małymi ruchliwymi cieniami „babuszek”, staruszek w kwiecistych chustkach, jeszcze pamiętających starą, świętą Rosję... Wypełniona piskiem ich gumowych podeszew trących o zniszczoną, wyslizganą kamienną podłogę, odgłosem pocałunków na oszklonych ikonach. Czasami babuszki upodabniały się do myszy, wirowały we wszystkich kierunkach w nawie bez ławek, chodziły od jednego ołtarza do drugiego jak ofiary jakiejś niejasnej konieczności, bez przerwy robiąc znak krzyża. Czasem, podobne do starych pomarszczonych wróbli, pojawiały się niespodziewanie całą chmarą, aby ucałować krzyż podawany przez brodatego popa o obojętnej twarzy, potem odchodziły i znów robiły znak krzyża jak opętane. Wreszcie trafiały przed ikonę i jak stare amantki na salonach szeptały czule słówka ukochanej istocie za szybą, całowały

tę szybę pełnymi ustami, niezazdrosne ani nie czujące odrazy do jeszcze wilgotnych śladów pozostawionych przez innych; przytykały czoło, policzki, przymykały oczy jak przy najczulszym spotkaniu.

Gdzieś z boku nawy zabrzmiał chór, poważny, posepny.

Michael zastanawiał się, co on właściwie tu robi. Nagle, gdy rozległy się głosy drugiego chóru, dostrzegł, że dwie czy trzy babuszki oglądają się za siebie i rzucają niezbyt przyjazne spojrzenia. Odwrócił się. Przy wejściu stała Maria, obojętna na niechęć, jaką wywołała swoim pojawieniem się. Ujrzała Michaela i dała mu ledwie zauważalny znak głową.

Wychodząc przeszedł obok niej, nawet na nią nie spojrzawszy.

Dziesięć minut później dostrzegł ją brnącą w śniegu po chodniku Prospektu Newskiego. Zwolnił i zatrzymał taksówkę tuż przy niej. Wsiadła na tylne siedzenie.

- Odrabiasz jakieś zadanie na temat kościołów? - spytał Michael niezbyt zachęcającym tonem.

- Dlaczego?

- Trzy spotkania, trzy kościoły.

- Lubię kościoły. Przeszkadza ci to?

- W Moskwie trzeba będzie znaleźć coś innego - odrzekł.

- Sam wybierzesz - stwierdziła chłodno.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo nie! Rozbijamy kontakt na dwie części. Wzrokowy na Placu Czerwonym. Bezpośredni ustalisz ty.

- A jeśli się zgubimy?

- Powtarzamy dwadzieścia cztery godziny później.

- Jak chcesz - odpowiedziała.

Michael jechał prosto przed siebie, nie spiesząc się. Padał coraz gęstszy śnieg.

- Postaraj się nie mieć takiego zachodniego wyglądu.

- Jak to?

- Ubierz się trochę skromniej.

- To nie będzie łatwe.

- Postaraj się.

- Nie rozumiem dlaczego!

- Żartujesz czy co?

- Ty chyba zgłupiałeś! - wykrzyknęła. - Jeśli jestem śledzona i teraz się przebiorę, to dopiero wyda się podejrzanę! - Opanowała się. - Powinnam wyglądać tak, jak wyglądam teraz. W miejscach naszych spotkań jestem jedną z wielu turystek, to wszystko.

- Nie chodzi o to, żebyś się przebierała... - odpowiedział łagodnie Michael, pojawiając się, że Maria ma rację.

- O co więc chodzi? - odparowała nieco już znużona.

Nie odpowiedział.

Maria głośno westchnęła, po czym rzuciła kopertę na miejsce obok kierowcy.

- Masz tu swoje informacje.

- Dobrze. Były jakieś kłopoty?

- Żadnych. Zatrzymaj się tutaj.

- Nie wracasz do konsulatu?

- Mam ochotę się przejść.

- W taką pogodę?

- Lubię śnieg.

- Lubisz śnieg...

- Tak! Lubię śnieg! Lubię kościoły i lubię śnieg! Zatrzymaj się, proszę cię...

- Ale przecież jesteś okropnie daleko...

- Michael, chcę wysiąść!

- Wsiądziesz dalej.

Deves usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i głos Marii:

- Zatrzymaj, albo zaraz...

Gwałtownie przyspieszył wyjeżdżając na środek jezdni, czym sprowokował chór klaksonów.

- Michael! - protestowała głośno. Przyspieszył jeszcze bardziej.

- Zwariowałaś! Zatrzymaj się! - krzyknęła. Zamknęła drzwi i opadła na tylne siedzenie. Zwolnił.

- Jesteś chory! - rzekła głosem drżącym ze złości i ze strachu.

Deves dziwnie uśmiechnął się na te słowa. Później wyrzucał sobie brak opanowania.

- Ciężko chory! - powtórzyła.

Zapanowało długie milczenie.

Gdy ukazała się iglica gmachu Admiralicji, Michael odezwał się:

- Wysłałaś już raport?

Nie odpowiedziała. Łagodnie nalegał:

- Mario?...
- Jeszcze nie.
- Chcę, abyś zadała im jedno pytanie.
- Jakie pytanie? - spytała znużonym głosem.
- Zapytaj ich, kim jestem... I kto to jest Saxon.
- Nie rozumiem.
- Po prostu zadaj im to pytanie.

Zwolnił, aby skrócić w prawo na końcu Prospektu Newskiego, wjechał na plac przed Pałacem Zimowym i od razu zahamował. Odwrócił się w stronę Marii.

- Chcę, żebyś zapytała ich jeszcze o coś.

Czekała w milczeniu.

- Przypuszczam, że nastąpiła zdrada - powiedział spokojnym głosem.

- I cóż? - głos jej drżał.
- Spytaj ich, czy to stanowi część gry.
- O co właściwie chodzi?
- Po prostu zadaj im to pytanie.

Maria popatrzyła na niego z niedowierzaniem, potem ze smutkiem; chyba zdała sobie sprawę, że nigdy niczego innego od niego nie uzyska - absolutnie niczego, już nigdy. Otworzyła drzwi.

- Baw się dobrze, Michael - powiedziała gorzko, zanim odeszła.

Patrzył, jak się oddala, a potem znika w śnieżnej zadymce wirującej na przestronnym placu przed Pałacem Zimowym.

Mógłby ją kochać, pomyślał ze ściśniętym sercem.

Boże, jakże mógłbym ją kochać!

Ruszył złorzecząc na siebie samego i zarazem na cały świat.

Spotkanie dwóch mężczyzn odbyło się na tylnym siedzeniu samochodu, w zaciszu trzeciego poziomu podziemnego parkingu w samym środku Paryża, w pewne sobotnie popołudnie, niecały tydzień przed świętami Bożego Narodzenia.

Zarówno jeden jak i drugi byli profesjonalistami, doświadczonymi i bardzo ostrożnymi. Potrafili nawet czterokrotnie zwiększyć środki ostrożności w przypadkach, w których najbardziej przezornie zadawalają się zaledwie ich dublowaniem. Tego dnia w godzinach poprzedzających spotkanie trzykrotnie przeszli obok siebie bez słowa, nie

dając sobie najmniejszego znaku, tylko po to, by obaj mogli upewnić się, że nie są obserwowani. Dwaj mężczyźni około pięćdziesiątki, ani wyglądem, ani zachowaniem nie wyróżniający się z tłumu, jaki mrowi się na ulicach francuskiej stolicy.

Jeden przybył z Moskwy przez Wiedeń i przez Londyn, tak wymagała „legenda”. Fałszywa tożsamość, którą posługiwał się podczas zagranicznych podróży, została przemyślana starannie, w najdrobniejszych szczegółach. Był to wysokiej rangi funkcjonariusz „K” I Zarządu Głównego KGB, zajmującego się przede wszystkim penetracją obcych służb specjalnych.

Drugi był Francuzem, także oficerem wywiadu. Był człowiekiem numer dwa w dyrekcji kontrwywiadu DGSE, mającej za zadanie chronić francuskie służby specjalne przed działaniami infiltracyjnymi służb zagranicznych. KGB nadało mu kryptonim „Golden Voice” - „Złoty Głos”. Okazywało mu wielkie względy, otaczało największymi środkami ostrożności. W rzeczywistości Francuz był „kretem” KGB wewnątrz DGSE.

Tego dnia wewnętrzne napięcie obu mężczyzn sięgało szczytu. W niczym nie przypominało normalnego, stałego napięcia, jakie przeżywali przed każdym tajnym spotkaniem.

Wydarzyła się katastrofa niwecząca ich wspólne wysiłki, której następstwa mogły w najbardziej nieprzewidzianym momencie wystawić ich na niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo śmiertelne.

- Co się stało? - spytał Francuz głosem poważnym, powolnym, z trudem powstrzymując złość.

- Nikt nic nie rozumie - bronił się Rosjanin.

- Mieliście go tylko obserwować.

- Taki mieliśmy zamiar. Ale wszystko potoczyło się zupełnie inaczej.

- Dlaczego?

- Saxon wszystkich pozabijał.

- Co zrobił?

- Pozabijał naszych ludzi, którzy pilnowali „Zwizdoczki”. I wszystkich członków waszej grupy.

- Na pewno on? - wykrzyknął zdumiony Francuz.

- To może być tylko on - oświadczył Rosjanin.

Zapadło milczenie.

Głuchy niepokój przytłumił głos Francuza.

- Przecież to nie ma najmniejszego sensu... Dlaczego to zrobił? - Przerwał na chwilę. - Czy człowiek, którego umieściliśmy w „Zwiozdocze”, rozpoznał go?

- Nie żyje. Trafiony kulą w głowę.

Znów milczenie.

- Zgubiliście go?

Rosjanin kiwnął głową.

- Leningrad to całkowite fiasko. Nie tylko zgubiliśmy Saxona. Ulotnił się, a w dodatku nie wiemy, kto to jest, jak wygląda i nie mamy nikogo, kto mógłby nam to powiedzieć!

Francuz kłął na ludzi z KGB, którzy prowadzili tę sprawę. Rosjanin upierał się przy swoim.

Obaj mężczyźni bardzo się nawzajem cenili. Każdy czerpał z szacunku, jaki wzbudzał w swoim mniemaniu w drugim, aby umocnić poczucie własnej ważności. Rosjanin kontrolował Francuza już od wielu lat. Z nich dwóch on wyciągał z tego większą korzyść: swą pozycję, awans, profity i przywileje zawdzięczał w dużej mierze człowiekowi o kryptonimie „Golden Voice”. Zdawał sobie z tego sprawę i w głębi duszy był mu wdzięczny. Francuz zaś w tej przygodzie miał wszystko do stracenia. Nie działał z chęci zysku, ale z przekonania. O tym także Rosjanin wiedział i żywił dla niego tym większy szacunek.

- Po co pan przyszedł? - spytał Francuz.

- „Grom” - odpowiedział Rosjanin. - Centrum żąda waszej pomocy.

- Centrum niech się wypcha! Nie ma żadnych zmian, absolutnie żadnych!

- Zgoda. Ale oni chcą wiedzieć, co kryje „Grom” - i nie zrezygnują. Teraz już nie.

Francuz zaklął przez zęby.

- Informuję ich na bieżąco o misji Saxona - uniósł się. - Mówię im, że dotyczy bezpieczeństwa „Airways”, siatki, której istnienia aż dotąd nikt nawet nie podejrzewał, a zwłaszcza oni! Nawet więcej, odsłaniam przed nimi ścisły związek pomiędzy tą siatką a „Gromem”, tajną operacją naszych służb na ich terenie, operacją, o której nic nie wiedzą, o której nikt nic nie wie! Na której łamią sobie zęby już tyle czasu! - przerwał, po czym potrząsnął głową wdychając.



- Czego jeszcze chcą? Żebym poprosił, zresztą sam nie wiem kogo, o przekazanie mi dokumentów?

O to właśnie chodzi - wtrącił Rosjanin bez żenady.

- Z pomocą Saxona mieli możliwość ujawnienia „Gromu” - kontynuował Francuz, jakby zatopiony we własnych myślach. - Saxon miał zapalić „Airways”, „Airways” ujawniłoby „Groma”... A ci idioci wszystko popsuli.

- Jest jeszcze rozwiązanie, tymczasowe.

- Rozwiązanie tymczasowe?

- Według nich tak.

- Jakie?

- Sięgnąć do genezy Saxona. Do jego „ojca”.

- Wspaniałe rozwiązanie! Jest co najmniej dziesięć tylko w jednym sektorze „Wschód”! I coraz bardziej jestem pewien, że to nie wyszło stamtąd. Jeśli poszerzymy koło, dojdziemy do pięćdziesięciu!

- Ale tylko jeden związany jest z „Gromem”.

- Jak to?

- Znaleźli zbieżność pomiędzy jedną z operacji dla zamaskowania „Gromu” i dwiema innymi operacjami: na terytorium Angoli w roku osiemdziesiątym pierwszym i Libii w osiemdziesiątym piątym. Znaleźli też drugiego Saxona, w Kambodży w roku siedemdziesiątym ósmym. Został zabity na granicy wietnamskiej.

- Drugiego Saxona - zrzędził Francuz. - Czego to dowodzi? Kryptonimy są wybierane przez komputer zupełnie przypadkowo.

- Zdarzają się wyjątki, dobrze pan wie.

- „Golden Voice”, wiem - westchnął Francuz.

- Na przykład - odpowiedział Rosjanin.

„Golden Voice” był owocem rozmyślań byłego szefa dyrekcji „K” w Moskwie, który nie tylko uważał się za człowieka mądrego, lecz wręcz błyskotliwego.

Rosjanin wymienił szybko, jakby recytował, podobieństwa wspomnianych operacji odkryte przez KGB. Francuz słuchał bez słowa.

- Czy to wystarczy, aby go wykryć? - zaniepokoił się Rosjanin skończywszy przemowę.

- Bardzo możliwe, owszem - odrzekł Francuz w zamyśleniu. - Przypuśćmy, że tak. Co się stanie potem?

- Pan się tym zajmie.

Francuz zdusił przekleństwo.

- Chcą, abym to ja posunął naprzód sprawę „ojca” Saxona?
- Tak.
- Zdaje pan sobie sprawę z bezsensowności takiego działania?
- Tak - odpowiedział szczerze Rosjanin.
- Skąd takie polecenia?
- Z Centrum. Z samej góry. Nie mamy nad tym kontroli.
- Chyba zwariowali!
- Wydają rozkazy - rzekł Rosjanin z rezygnacją. - Wściekli się, powiedziałem już przecież. Leningrad wszystko zmienił. Leningrad zapalił lont pod ich fotelami, a oni tego nie lubią. Teraz się boją... Boją się „Gromu”... Chcą bezzwłocznie schwytać Saxona. Za wszelką cenę.

Milczenie.

Po chwili ponownie rozległ się głos Rosjanina. Dziwnie ostrym tonem wymówki powiedział:

- Niech się pan skoncentruje na „ojcu”. Gdy znajdą „ojca”, będą mieli „syna”, a gdy znajdą „syna”, będą mieli „Grom”... I wtedy my odzyskamy spokój.

Padał śnieg, obfity, gęsty. Padał nieprzerwanie od poprzedniego dnia, tak jakby niebo nagle nie mogło znieść widoku, jaki się przed nim roztaczał, i postanowiło powlec wszystko bez wyjątku białym puchem.

Każdej zimy niebo maluje Rosję, pomyślał Michael. I to wszystko, co może dla niej uczynić.

Jechał przez południowe przedmieścia Leningradu w kierunku lotniska Pułkowo. Tam, w domu leżącym niecałe pięć kilometrów od portu lotniczego, mieszkał Łabędź.

Łabędź to pierwszy z czterech agentów „Airways”, z którym Deves postanowił nawiązać kontakt bezpośredni.

Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Igor Iwanowicz Iliakow. Był naziemnym pracownikiem Aerofłotu, sowieckich linii lotniczych. Pracował w Leningradzie, w biurze linii mieszczącym się przy Prospekcie Newskim. Deves na próżno starał się złapać go telefonicznie. Młoda kobieta powiedziała, że już od kilku dni jest nieobecny: „Igor Iwanowicz przekazał, że jest chory” - uściśliła, dając do zrozumienia, że w to nie wierzy. W rzeczywistości Igor Iwanowicz Iliakow dzielił

swój czas pomiędzy pracą w Aeroflocie a zajęcia w rodzinnym gospodarstwie. Mieszkał tam wraz z matką, żoną i trojgiem dzieci. Mimo że matka była jeszcze pełna energii, a żona nic uchylała się od pracy, przychodziły chwile, gdy jego pomoc była wręcz niezbędna.

Zanim wjechał na drogę wiodącą do gospodarstwa Iliakowa, Deves zatrzymał się, aby założyć łańcuch na koła. Nie było to jeszcze niezbędne, ale nie chciał ryzykować. Potem przejechał jakieś półtora kilometra przez niewielką, lekko pagórkowatą brzezinę, potem dwa kilometry przez zaśnieżone pola, aż wreszcie dotarł do zabudowań gospodarstwa. Zaparkował na podwórzu. Powtórzył sobie krótko historijkę, jaką chciał opowiedzieć rodzinie Iliakowa; miał ich uspokoić i poskromić nieco ich ciekawość. Zastanawiał się, czy będzie w ogóle potrzebna.

Wydawało się, że w obejściu nie ma żywej duszy.

Wysiadł z samochodu, przez wiatr i śnieg zrobił parę kroków w kierunku głównego budynku. Po lewej stronie, w odległości około dwudziestu metrów stał drewniany baraczek, w którym, jak mu się zdawało, dostrzegł kurę. Po prawej zauważył coś w rodzaju budy dla psa, nieco podwyższonej, zrobionej z brzoźowych belek. Jednak nie było w niej psa. Gdzieś w górze rozległ się ogłuszający huk odrzutowca startującego z lotniska Pułkowo. Gdzie jest pies?

Michael rozpiął kurtkę, sięgnął lewą ręką i uchwycił kolbę makarowa wsuniętego za pasek. Poczekał, aż ucichnie wycie samolotu. Wyrzucał sobie, że tak lekkomyślnie, bez żadnych środków ostrożności podjechał do zabudowań. Co się stało z psem?

Nic się nie działo. Gospodarstwo wyglądało na opuszczone.

Deves postanowił podejść do okna, ale nie mógł niczego dostrzec przez szybę, zawahał się, po czym skierował się w stronę drzwi wejściowych. Na progu nagromadziło się dużo śniegu. Dwukrotnie zapukał. Żadnej odpowiedzi. Zawołał, także bez skutku. Nagle do głowy wpadła mu myśl: Iliakowa już tu nie ma.

Łabędź uciekł!

Deves spróbował pchnąć po kolei oba skrzydła drzwi, wreszcie jedno otworzyło się, ukazując obszerny pokój pełniący rolę kuchni i saloniku-jadalni. Michael wszedł i natychmiast zorientował się, że popełnił błąd: pies był tutaj. Nie wydał żadnego skowytu, gdy Michael wchodząc nadepnął mu na łapę.

Pies był martwy.

Żywy był tylko wiatr.

Lodowaty wiatr, lekki, wiejący we wszystkich kierunkach wewnątrz domu. Co chwila poruszał głowy trupów.

Wszyscy członkowie rodziny Iliakowów zostali zamordowani. Wszystkich wykończono kulą w głowę. Deves nie potrafił dokładnie określić chwili śmierci; zdawało mu się, że musiała nastąpić co najmniej czterdzieści osiem godzin wcześniej.

Troje dzieci zostało zabitych w łóżkach, na piętrze, z bardzo bliskiej odległości. Dwoje chyba podczas snu, trzecie, dziewczynka o ciemnych włosach, miała jeszcze rączki zaciśnięte na pluszowym misiu, którego mocno tuliła do twarzy... Widząc to Michael poczuł mdłości; po chwili ogarnął go niewysłowny smutek i jakieś przerażające, dziwne poczucie bliskości - te martwe ciała wydawały mu się częściowo jego własnym ciałem. Wrócił do kuchni, gdzie leżały pozostałe ciała, tak jakby sam fakt, że były to zwłoki dorosłych, czynił je bardziej przystępnymi, jakby oni właśnie byli w stanie wyjaśnić to, co się tu wydarzyło, z prostego powodu: byli to ludzie dorośli i martwi.

Kuchnia była prawdziwą lodownią. Wiatr wpadający przez rozbity szybę okienną huczał ponuro. Młodsza z dwu kobiet leżała na podłodze pod rozbitym oknem. Śnieg padający przez otwór pokrył już ciało od stóp do pasa, jak jakaś zaraza docierał do rozszarpanej piersi. Druga kobieta, starsza, duża, siedziała nieruchomo na drewnianym fotelu z wysokim oparciem; jej oczy były otwarte, przestraszone, głowa lekko odchyłona do tyłu i wykręcona. Wyglądało to, jakby nawet po śmierci usiłowała oderwać oczy od widoku, jaki przedstawiał duży stół stojący przed nią.

Leżały tam rozciągnięte zwłoki dorosłego mężczyzny, rasy białej, całkiem nagie. Potraktowano go w sposób szczególny: twarz, palce u rąk, koniec członka, prawa strona podbrzusza były całkowicie zwęglone - podbrzusze aż do głębi wnętrzości. Z ust, szeroko otwartych, wyrwano wiele zębów. Jeśli to Igor Iwanowicz Iliakow, a nic nie wskazywało, że jest inaczej, jego mordercy zrobili wszystko, aby nie można było mieć co do tego pewności - albo aby zyskać pewność czegoś wręcz przeciwnego.

Przez chwilę Michael stał, uparcie wpatrując się w tę trupią głowę jak z jakiegось koszmaru. Poczerniałe kawałki ciała w kontraście z trupią bladością całych zwłok wywoływały przerażające wrażenie.

Tak jakby śmierć, niezadowolona jeszcze z tego, że zajęła miejsce życia, próbowała zniszczyć i pochłonąć wszystko, co choćby z pozoru przypominało życie, jednak nadejście Michaela przerwało tę makabryczną zaciekłość.

Dziwne myśli ogarniały Michaela. Czyżby śmierć wybrała tę chwilę i to zapadłe miejsce na północy Rosji, aby ukazać mu swe prawdziwe oblicze i obserwować, jakie wrażenie to na nim wywrze?

Pomyślał, że najlepsze, co może zrobić, to uciec z tego miejsca. Nie mógł się jednak zdecydować. Zwlekał z odejściem, głuchy na ostrzeżenie, jakie wyczuwał w szumie wiatru; uważnie przyglądał się zwłokom, dokładnie badał je wzrokiem. Cała ta potworność - czuł to - miała jakiś sens. Była jakąś informacją.

Ale co to za informacja? Czy tylko jedna? Coś mu przeszkadzało. Coś, czego nie rozumiał. Co to było?

Szum wiatru wzmógł się, a wraz z nim powtórzyło się ostrzeżenie. Michaelowi zdawało się, że wyraźnie słyszał głos niestrudzenie powtarzający jedno tylko słowo, głos, który chciał go przekonać, że teraz już nic innego naprawdę się nie liczy. Słowo to brzmiało: zdrada.

To wydarzyło się następnego dnia wieczorem. Śnieg przestał padać, legł całym swym ciężarem na polach. Noc była jasna.

Tuż przed wioską Wukowna Michael wjechał taksówką na drogę-skrót, którą Tczenko pokazał mu za pierwszym razem, gdy chciał minąć posterunek milicji. Obok torów kolejowych wysiadł z żiguli i dalej poszedł pieszo wzdłuż nasypu. Gdy ujrzał czerwonawe światło na podjeździe kolejowym, oddalił się od torów i wszedł na wzniesienie porośnięte świerkami. Minął szczyt, zszedł łagodnym zboczem jakieś dwadzieścia metrów, po czym usiadł na śniegu pod osłoną dolnych gałęzi świerków. Chciał się ukryć, a także schronić przed lodowatym wiatrem wiejącym prosto w twarz.

Sześćdziesiąt metrów dalej, nieco w dole, stał dom Tczenki.

Wszystko wydawało się zupełnie normalne. Z komina leciał dym. W oknach świeciło się światło. Wewnątrz poruszały się dwie czy trzy postaci. Wszystko było normalne... Michael poczuł, że jest tym bardziej zaskoczony niż uspokojony. A było czym: jeśli tak się rzeczy miały, Tczenko został uratowany cudem.

Czterej pozostali agenci „Airways” nie żyli.

Wszyscy zostali zabici jak Iliakow. W ten sam sposób.

Tczenko był jedynym pozostałym przy życiu agentem „Airways” w Leningradzie!

Michael przesunął się nieco i obserwował dom przez japońską lornetkę zdobytą za Bóg wie jaką cenę kilka godzin wcześniej, w małym sklepie przy Prospekcie Newskim.

Jedyny pozostały przy życiu...

Czemu Tczenko zawdzięcza uniknięcie masakry? Dlaczego on - on jeden - został oszczędzony?

Michael długo patrzył na oświetlone okna, na próżno starając się dostrzec poprzez zaparowane szyby ruchy wewnątrz domu, rozpoznać sylwetki. Wiatr, który smagał mu twarz i zatykał uszy, tłumił zbliżający się od tyłu szmer. Nieświadomy tego, co się dzieje, wstał i zaczął schodzić w stronę domu. W chwili gdy wyłaniał się spod świerkowej zasłony, noc rozpadła się tuż nad nim. Miał wrażenie, krótkie i intensywne, że jest środek dnia, że znalazł się w oku cyklonu szarpającego świerkami i wzniesającego płatki śniegu we wszystkich kierunkach. Odruchowo ukucnął i jednocześnie skurczył się. Na nowo zapadły ciemności, lecz huk i siła podmuchu zwiększyły się. Helikopter! Ujrzał ogromną bryłę, huczącą, ciężką; leciała powoli, niecałe piętnaście metrów nad nim; pomagała sobie, jak niewidomy laską, szeroką, silną wiązką światła reflektora. Łagodnie obniżala się w ciemność, powoli kierując się w stronę domu, okrążyła go, w końcu stanęła w miejscu. Wodziła po ziemi coraz szerszym strumieniem światła, jakby chciała obmacać teren, wreszcie ostrożnie usiadła wzniesając tumany śniegu.

Deves, ogłuszony, cofnął się pod swą zasłonę.

Jakieś sylwetki przysłaniały okna domu. Prostokąt światła zarysował się w cieniu fasady, dwóch ludzi wyszło z domu, poszło w kierunku MI-8, którego śmigło zwalniało obroty z przykrym jękiem. Z boku MI-8 rozsunęły się drzwi, przez które wyskoczyło sześciu uzbrojonych i umundurowanych mężczyzn.

Michael kurczowo trzymał lornetkę, odczuwał mrowienie w całym ciele. Helikopter koloru khaki nie miał żadnego znaku, lecz niebieskie wyłogi mundurów, także khaki, wyjaśniały wszystko.

KGB! Ludzie z oddziału KGB!

Jeden z żołnierzy wyszedł na spotkanie dwu cywilom, którzy wyszli z domu. Zasalutował, wysłuchał ich, znowu zasalutował. Zawrócił w towarzystwie jednego z cywilów, wydał swoim ludziom rozkazy, po czym skierował się, ciągle z cywilem u boku, w stronę niewielkiego składziku stojącego w pobliżu. Obaj zniknęli w środku. Zaraz potem dołączyła do nich biegiem grupa żołnierzy niosących pakunki.

Michael nie zastanawiał się nad tym, co się dzieje, ani co się stanie;

wszystko już odgadł. I gdy kilka chwil później rzecz potoczyła się tak, jak przewidział, daleki był od uczucia satysfakcji - był zdruzgotany. Ogarnęło go poczucie niemocy i porażki, pogrążyło go w bezsilności, był zupełnie zdezorientowany.

Pakunki okazały się workami na zwłoki - pokrowcami z ciemnego plastykowego płótna zapinanymi na zamek błyskawiczny.

Ludzie z KGB przenieśli pięć takich worków ze składziku do helikoptera. Pięć, mniej więcej wypełnionych - rodzina Tczenko w komplecie. Ostatnim workiem zajął się jeden mężczyzna. Chwycił go w połowie, przerzucił przez ramię, tak że jeden koniec zwiisał z przodu pusty, a drugi kołysał się na jego plecach jak jakiś tobołek nie całkiem wypełniony.

Nic ciężkiego, nic niewygodnego. Po prostu mała dziewczynka, delikatna blondyneczka, martwa.

Michael opuścił lornetkę. Zadrzał. Przepelniało go obrzydzenie i poczucie winy. Jeszcze przedtem, zanim worek zniknął w brzuchu helikoptera, ujrzał dziewczynkę, znowu się do niego uśmiechała uśmiechem tysiąc razy cieplejszym niż za pierwszym razem, tak jakby pozostawiała mu całą swą delikatność, wiedząc, że tam dokąd się udaje, nie będzie jej już potrzebowała. Dlaczego ona? Dlaczego dzieci? Dlaczego oni zabijają także dzieci?

To moja wina, pomyślał.

Nie! Nieprawda! Tak! To moja wina! Powinienem był ostrzec Tczenkę. Powinienem był to zrobić zaraz po historii z Iliakowem. Nonsens! Może już wtedy nie żył!

Czy to moja wina? Ze zgrozą zadał sobie to pytanie. Mój Boże, czy to moja wina?

Był zupełnie załamany, nieczuły na wiatr i zimno, od którego cały już drętwiał. Nie mógł oderwać oczu od MI-8, wpatrywał się w maszynę jak zahipnotyzowany, po pewnym czasie widział już tylko jakieś odrażające monstrum karmiące się zwłokami. W końcu zaczęło mu się wydawać, że MI-8 trawiąc to, co połknął, obserwuje go.

Gdy na nowo pośród ciemności i wiatru rozległ się świst śmigła, Michael poczuł wzbierającą zimną wściekłość, niepowstrzymaną. Wyjął zza pasa makarowa. Dostrzegł, że nie wszyscy funkcjonariusze KGB wsiedli do maszyny, i dobrze wiedział, że kilku jest jeszcze w domu, lecz nie chciał brać tego pod uwagę.

Odbezpieczył makarowa i postanowił mierzyć w pilota.



Zrobisz głupstwo...

Tak, zrobię! - mówił do siebie, opanowany jakimś wielkim, niezdrwym samozadowoleniem. Dlaczego miałbym nie zrobić? Misja. Mam gdzieś misję! Misja jest stracona! Nie ma już misji! W końcu cię dostaną. Może. Może mnie dostaną. Nawet na pewno. I co z tego? Co za różnica? Teraz jest dobra chwila. Najlepsza z możliwych.

MI-8 uniósł się warcząc, zdmuchując śnieg wokół. Deves patrzył, jak przechyla się ciężko na bok, jak gdyby nabierał rozpędu, i leci w jego stronę. Wycelował makarowa w szklaną bańkę kabiny, odbezpieczył.

Boisz się? Nie, nie boję się. Czego miałbym się bać? Czego? Powiedz, czego?

Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że mała blondyneczka, córka Tcenki, usiadła obok niego, że otaczały go wszystkie inne dzieci, wszyscy zabici z „Airways”. Pomyślał, że nie jest sam i nigdy już nie będzie.

Nie boisz się? Nie, nie boję się.

Ciemne, mrugające cielsko MI-8 wyłoniło się tuż przed nim. Rozróżnił sylwetkę pilota za szybą, ustawił szczyrbinkę makarowa nad głową w kasku.

Powinieneś się bać! To nie jest normalne! Powinieneś się bać! Przestań!

Nagle przyszło olśnienie. I poraziło go.

Z całej siły zaciskał oczy, gdy MI-8 przelatywał prosto nad nim, w ogłuszającym huku; otworzył je wtedy, gdy słyszał już tylko wiatr. Zdał sobie sprawę, że jest już u kresu sił, że serce mało mu nie wyskoczyło z piersi. Kilkakrotnie głęboko odetchnął, nie uspokoił się jednak. Był przemarznięty. Trzęsły mu się ręce. Z nadzwyczajną ostrożnością podniósł spust makarowa i zablokował go. Czuł pulsującą w skroniach krew i głuchy ból pod czaszką. Mój Boże, nie! Rozbrzmiewały w nim jakieś głosy, które powiększyły jeszcze zawrót głowy.

„Jesteś jedyny, ale jesteś tylko człowiekiem. Weź to pod uwagę!”

Avarone miał rację.

„Jesteś chory! Ciężko chory!”

Maria miała rację.

Wszystko jest w twojej głowie.

Nie! Tak! Wiesz dobrze, że tak!

Tak, wiem. Teraz uważaj. To ona zrobiła. Strzeż się jej. Przez nią głupiejesz. Chyba wiesz, prawda? Tak, wiem... Chcesz się z nią zobaczyć? Nie, nie chcę! Będzie próbowała cię wykorzystać. Prawie jej się udało. Wiem. Uda jej się. Wiem! Już jej się udaje...

Boże, przecież ja bredzę... Mój Boże, ja bredzę!

Deves uderzył się makarowem w prawe ramię. Rana była już zasklepiona, ale siła ciosu wywołała dotkliwy, wstrząsający ból. Uderzył się po raz drugi, aż zajęczał pod wpływem ciosu. Ból rozlał się w całym ciele wywołując drżenie, po czym z wolna odpłynął uciszając świadomość, przywracając spokój i przytomność.

Wykorzystał to. Podniósł się i bez zastanowienia próbował wrócić do taksówki. Ostrożnie, ale szybko. Tak jakby bał się, że zmieni zdanie, jakby chciał szybko zwiększając odległość pomiędzy sobą a domem Tzenki uciec przed własnymi reakcjami.

Kilka minut później usiadł za kierownicą żiguli. Już chciał odjechać, lecz w ostatniej chwili rozmyślił się.

Coś było nie tak...

Nie miało to nic wspólnego z jakimkolwiek niebezpieczeństwem. Nikt nie wyszedł z samochodu, był bezpieczny.

Ale coś mu przeszkadzało... Tak samo jak u Iliakowa. A także u wszystkich innych nieżyjących już agentów „Airways”. To samo dziwne uczucie, to samo przecucie, że owe masakry zawierały w sobie jakiś sens. Sens, którego nie mógł uchwycić. W rzeczywistości nie był nawet pewien, czy Jen sens istniał. Jednak zastanawiał się, czy nie przeszkadzało mu właśnie to: brak sensu...

Na Boga, znowu zaczynasz bredzić!

Nie! O coś tu chodzi!

Czy to aż tak ważne? Czy naprawdę musisz akurat teraz o tym myśleć? Czy to nie może poczekać? Na co poczekać? Aż będziesz bezpieczny! Najpierw schroń się w bezpieczne miejsce. Jestem w bezpiecznym miejscu!

Michael uprzytomnił sobie, że drży z zimna. Ból pulsował pod czaszką. Dyszał - szyby samochodowe były już całkowicie zaparowane. Czuł się jak więzień w czymś w rodzaju łodzi podwodnej zanurzającej się w gęstą czerną głębinę, łodzi mogącej w każdej chwili eksplodować pod wpływem ciśnienia.

Sowieci całkowicie zlikwidowali leningradzką „Airways”...

Michael oparł się pokusie przekręcenia kluczyka i włączenia

ogrzewania. Siedział nieruchomo, słuchając własnego oddechu, patrząc na kłęby pary wydobywającej się z ust; przez krótką chwilę miał wrażenie, że tę parę wywoływała jego myśl... Myśl ulatniająca się w zimnym powietrzu.

Sowieci wszystkich pozabijali... Tak, tak! I co z tego?

To, że coś tu się nie zgadza. Ale co?

Nie miało to związku z pytaniem „jak” - jak im się udało zidentyfikować agentów siatki; wiedział, że na to pytanie nie uzyska odpowiedzi, przynajmniej na razie. Dotyczy to raczej pytania „dlaczego”...

Dlaczego Sowieci ich zabili?

To zwyczajne pytanie jak gdyby otworzyło drzwi gdzieś w ciemnościach, w których tak się szamotał. Twarze nieżyjących już agentów „Airways” wyłoniły się wokół, otoczyły go rozszalałym kręgiem, coraz bliżej, szepcząc jakieś niesłyszalne słowa. Zrozumiał, co mu tak przeszkadzało od samego początku u Iliakowa, u Tczenki, u innych. Jeszcze raz postawił pytanie, tak jak powinien je sformułować wcześniej:

Dlaczego Sowieci ich po prostu zabili?

Dlaczego ich nie unieszkodliwili, dlaczego nie przesłuchiwali, nie wykorzystali, nie przekabacili? Dlaczego zadowolili się tylko zabiciem? Tak jakby nic innego nie miało znaczenia, jakby chodziło tylko o to, żeby zginęli! Dlaczego?

Żeby nie mogli mówić. Żeby zamilkli na zawsze! Tak! O to zapewne chodziło: aby nie mogli mówić! A o czym mówić? O jakiejś tajemnicy?

Pytania następowały jedne po drugich, piekielne, wybuchały jak bomby wokół łodzi podwodnej, wstrząsając nią za każdym razem coraz bardziej. Wreszcie zjawilo się ostatnie pytanie i wtedy całkiem już stracił grunt pod nogami:

Dlaczego dzieci? - pytał oszalały.

Po co zabijać także dzieci?

W czasie gdy Michael, prowadząc bardzo ostrożnie, jechał do Leningradu, przypomniały mu się słowa zupełnie nieoczekiwane. Zadrżał z przerażenia.

„Jesteś chory!”

Wpadł w popłoch. Wiedział, czego się boi, i zastanawiał się, czy przypadkiem nie wariuje. Słowa dźwięczały w nim słabym echem, jak odległe, prawie zamierające wołanie. Jak gdyby chciały mu zasignalizować niebezpieczeństwo. Jakie niebezpieczeństwo? Boże, znowu się zaczyna? Nie, nie zaczyna. Spróbuj zrozumieć, skoncentruj się.

„Jesteś chory!”

Pojął, że to nie słowa, ile raczej głos go przeraził. Głos, który je wymówił.

Głos Marii.

Dlaczego jej głos tak mnie przeraża?

Bo wszystkich pozabijali! Wszystkich zidentyfikowali! Zidentyfikowali wszystkich!

...Może ją też?

Przycisnął mocniej pedał gazu.

Nie wstępował do swej kryjówki w garażu-warsztacie Tczenki. Nie miał już czasu. Zresztą byłoby to zbyt niebezpieczne i w dodatku niepotrzebne. Nie zostawił tam nic kompromitującego, żadnych odcisków palców - zawsze gdy wychodził, zabierał swój skromny dobytek i starannie wycierał wszystko, czego mógł dotykać.

Podjął ryzyko - w tych okolicznościach było to ryzyko - pojechał taksówką do centrum miasta. Po prostu nie miał wyboru. Za wszelką cenę chciał złapać nocny pociąg do Moskwy.

Zaparkował żiguli w małej uliczce obok placu Powstania, wytarł odciski palców, po czym poszedł pieszo na znajdujący się w pobliżu stary Dworzec Moskiewski. Zdążył.

Urzędnik w okienku na dworcu powiedział najpierw, że w pierwszej klasie nie ma już miejsc, ale gdy Michael pokazał czerwoną legitymację KGB, jakimś cudem wygrzebał wolny przedział. Deves pomyślał, że przecież nie ma żadnego powodu, aby jako oficer KGB miał spędzić noc pośród ludzkiej zbieraniny wagonu-sypialni na ponad pięćdziesiąt osób w trzeciej klasie ani nawet w bardziej sprzyjających warunkach czteromiejscowego przedziału klasy drugiej.

Prosty fakt, że sam jeden zajmował przedział pierwszej klasy, najprawdopodobniej przedział stanowiący rezerwę, to znaczy zawsze wolny do ostatniej chwili po to, aby można nim było usatysfakcjonować choćby w ostatniej minucie ważnego pasażera - już sam ten fakt zjednał mu przychylność *prowodnicy*, konduktorki odpowiedzialnej

za cały wagon. Przychylność tę Michael umocnił jeszcze czterdziestoma rublami i prośbą o zdobycie „czegoś na sen”. Tłusta kobieta przyniosła butelkę wódki „Stolicznej”, zwykle przeznaczonej wyłącznie na eksport, inaczej mówiąc niedostępnej dla zwykłych śmiertelników - ludzi sowieckich.

Zamknięty w swoim przedziale Michael poczuł się bezpiecznie.

Teoretycznie rzeczywiście był bezpieczny. Podróż pociągiem w Związku Sowieckim miała, o dziwo, przewagę nad jazdą drogami, gdzie nie można było liczyć na uniknięcie kontroli milicyjnej, oraz podróżą samolotem, w którym nie można zająć miejsca bez okazania dokumentów. Pociąg, pod warunkiem że duże odległości pokonywało się podróżując krótkimi etapami, pozwalał zjeździć cały kraj bez żadnych kontroli, bez pozostawienia jakichkolwiek śladów.

Pociąg ruszył. W jednej chwili Michael poczuł, jak opuszcza go napięcie, a wzrasta niecierpliwość, uspokoił się, gdy pociąg osiągnął właściwą prędkość.

Leżał na kuszetce jak nieżywy, słuchając stukotu kół. Obawiał się, że usłyszy jakiś podejrzany dźwięk, który byłby zapowiedzią kłopotów; stąpił się z sobą samym, z pędem pociągu, akompaniował mu w myśli, wyprzedzał go nawet chwilami, wdzięczny za to, że ciągle trwa, potem wracał do rytmu, starał się być jak najlżejszy, jak najmniej zawadzać, rozmawiał z pociągiem, pospieszał go delikatnie, grzecznie, aby przypadkiem mu nie przeszkodzić.

I gdy tak jechał przez noc, poprzez zamrożone obszary północnej Rosji, pociąg w końcu także do niego przemówił.

Powiedział mu tylko:

„Dlaczego nie ona?” - „Dlaczego nie ona?” - „Dlaczego nie ona?”

Chmara kruków wydających przenikliwe krzyki w porze zmierzchu przeleciała nad Placem Czerwonym, zatoczyła koło wokół purpurowego sztandaru powiewającego nad Kremlem i znikła za murami miasta carów.

Michael zauważył, że świeciły się czerwone szklane gwiazdy na samym szczycie wież Spaskiej i Mikołaja. Błyszczały w mroku jak półprzezroczyste cukierki.

Obserwował Marię, zagubioną w tłumie spokojnie falującym po całym Placu Czerwonym, miejscu niedostępnym dla samochodów.

Zwyczajny tłum zagranicznych turystów i sowietów przybyłych z czterech stron imperium.

Michael zastanawiał się, na co czeka Maria. Był pewien, że dostrzegła go już co najmniej pięć minut wcześniej.

On dojrzał ją przed kwadransem z jednego z okien pierwszego piętra „Gumu”, gdzie udawał, że przymierza zimowe palto. Wykorzystał także tę chwilę, aby rozpoznać w tłumie fałszywych turystów - cywilnych policjantów, z których kilku miało aparaty fotograficzne. Nie odniósł wrażenia, że Marię śledzono. Ale musiał mieć pewność, a to miała mu ułatwić pośrednia faza kontaktu, pomiędzy wzrokowym rozpoznawczym a bezpośrednim. Maria powinna się jednak ruszać!

Zadzwonił zegar na Wieży Spaskiej: minął kwadrans.

Potem znowu zapadła cisza przerywana jedynie krakaniem kruków i rzadkimi dźwiękami milicyjnych gwizdków, dyskretnymi, lecz nakazującymi. Zatrzymywały przechodniów, aby przepuścić służbowe limuzyny albo wskazać właściwą drogę zabłąkanym na Placu Czerwonym. Placu na pozór takim samym jak inne, a jednak tajemniczo niedostępnym, zwłaszcza gdy stanęło się przy wejściu na kamienną trybunę, która w czasach carskich była miejscem egzekucji i ogłaszania ukazów.

Na co czekasz? - niecierpliwił się Michael, nie spuszczać z oczu Marii. Rusz się!

Maria ciągle jeszcze nie była skłonna do opuszczenia tego miejsca. Patrzył, jak zbliża się do mauzoleum Lenina, wchodzi pomiędzy gapiów przyglądających się ciężkim, zamkniętym drzwiom z brązu i dwu żołnierzom znieruchomiałym na warcie. Devesa ogarnęła jakaś nagle obawa. Coś się działo i w ten sposób chciała mu to dać do zrozumienia! Ależ to nonsens! Tylko w jeden sposób mogła zwrócić jego uwagę na coś podejrzanego: ruszyć przed siebie, wtedy on poszedłby za nią!

Boże jedyny! Co ona tam robi?

Podczas gdy tak uciekała minuta za minutą, Michaelowi przyszło nagle na myśl coś, w co jednak nie mógł uwierzyć: Maria nie udawała turystki, była turystką, chciała obejrzeć cogodzinną zmianę warty przed mauzoleum!

To chyba niemożliwe!

Wreszcie zegar wydzwonił godzinę. Trzy sylwetki kremlowskich

wartowników ukazały się przy Bramie Spaskiej i rozpoczęły swój pochód wzdłuż muru, w kierunku mauzoleum, wybijając krok ciężkimi butami. W tym momencie dopiero Michael zrozumiał, dlaczego Maria tak długo zwleka.

Dobrze pomyślane, przyznał szeptem, trochę z rozczuleniem, a trochę z podziwem. Dobrze pomyślane, moja mała.

W czasie gdy turyści i gapie tłoczyli się, aby zobaczyć przejście wartowników, zaś inni, jeszcze liczniejsi, rzucali się w stronę wejścia do mauzoleum, Maria ruszyła w przeciwną stronę, aby przejść Plac Czerwony w kierunku ulicy Kujbyszewa.

Postępując tak w tym momencie ułatwiła mu sprawę. O wiele łatwiej będzie dostrzec kogoś, kto ewentualnie mógłby ją śledzić.

- W jaki sposób KGB mogło ich wszystkich zidentyfikować? Michael wyczuł niepokój w głosie Marii.

- To przeze mnie - rzekł mimo woli.

- Co ty opowiadasz? - wymamrotała.

- Posłużyłem za przynętę.

- Za co?

- Za przynętę - powtórzył oschle. - Dzięki mnie mogli ich wyśledzić. I zlikwidowali ich.

- Michael! To zupełnie...

- Patrz przed siebie.

Jechali bez celu przestronną aleją Sadowoje Kolco otaczającą pierścieniem starą Moskwę. Prowadziła Maria. Po opuszczeniu Placu Czerwonego spotkali się w „Świecie Dziecka” - ogromnym sklepie z zabawkami sąsiadującym z Łubianką, siedzibą główną KGB przy placu Dzierżyńskiego. Deves był pewny, że Marii wydała się zabawna ta bliskość wroga, to, że kontakt bezpośredni nastąpił dwa kroki od niego. Powstrzymał się jednak od jakiegokolwiek uwagi na ten temat, nie miał na to siły. W końcu pomyślał, że to miejsce jest tak samo dobre jak każde inne, a nawet - któż to może wiedzieć - najlepsze jakie może być. Ze sklepu wyszli osobno, potem wsiedli do kremowej wołgi, którą Maria wynajęła do jazdy po mieście. Wtedy Michael wszystko jej opowiedział.

Maria zwolniła i wjechała na chodnik.

- Co ty wyprawiasz? - spytał Michael.

- Mam już dość... - powiedziała drżącym głosem, parkując auto ukośnie, pomiędzy innymi pojazdami. Wyłączyła silnik. - I boję się! - dodała ze strachem i złością w głosie. - Poza tym nie lubię czegoś takiego, nie jestem przyzwyczajona, nie jestem taka jak ty!

Deves zauważył, że obok stały Chevrolet, toyota i volvo. Zatrzymali się tuż obok amerykańskiej misji handlowej, nie opodal ambasad Stanów Zjednoczonych.

- Zauważyłaś, gdzie stoimy? - spytał z wyrzutem.

- Trudno nie zauważyć! - odpowiedziała ostro.

Michael nie miał odwagi dyskutować. Podczas jazdy powoli opuściło go napięcie, za to coraz bardziej dawało się odczuć zmęczenie, które narosło przez ostatnie dni i ostatnie godziny.

- Nie masz powodu się bać - powiedział. - Nie odkryli cię, nie śledzą, już ci mówiłem.

- Przepraszam, ale mimo wszystko boję się.

- Powtarzam ci, że...

- Boję się! - zaprotestowała. Mocniej chwyciła kierownicę. - A poza tym, wybacz, mogę także bać się o ciebie! Może ty się nie przejmujesz, ale ja tak! Dopóki nie okaże się, że jest inaczej, mam chyba prawo...

Michael nie odpowiedział. Maria popatrzyła na niego z ukosa.

- W dodatku nie wiem, skąd u ciebie taka pewność siebie - rzekła.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jeśli posłuchałeś za przynętę, jak ty to nazywasz, to na pewno od chwili, gdy uruchomiłeś skrzynki kontaktowe, bo przecież oni wszyscy zginęli później... W takim wypadku KGB wpadło także na twój ślad.

- Nie.

- Michael, pomyśl przez chwilę!

- Nie wpadli na mój ślad.

- Dlaczego jesteś tak tego pewien?

- Bo jestem. Faza skrzynek kontaktowych nie ma tu znaczenia. W przypadku Tcenki nie było skrzynki. To wszystko wybuchło przedtem... Albo potem - rzekł Michael patrząc na Marię.

Maria milczała. Michael przez chwilę obserwował ją zmrużonymi oczami.

- Twoje rozmowy telefoniczne mogły być podsłuchiwane?



Potrząsnęła głową.

- Jesteś pewna?

- Najzupelniej! Wszystkie odbywały się poza Rosją.

- Oprócz tych w Leningradzie - zauważył Michael.

- Słucham?

- Kiedy poprosiłem cię o dane agentów „Airways”, powiedziałaś, że musisz zadzwonić do Moskwy.

- Aha, o to chodzi... - rzekła Maria z wyraźną ulgą. - Zadzwoniłam po prostu do sekretarki ambasady z prośbą, aby podała mi numer telefonu, który zostawiłam na biurku.

Wyjaśniła, że numer ten był w rzeczywistości osobistym kodem umożliwiającym zastosowanie karty pamięciowej, którą nosiła przy sobie. Karta miała kształt zwykłej karty kredytowej American Express i była nią - ale nie tylko. W zabezpieczonym, ukrytym punkcie jej pamięci zawarty był bardzo złożony system algorytmów na sto pięćdziesiąt cyfr; był to po prostu klucz pozwalający odczytać listę danych agentów „Airways”. Cała operacja, dokonana przy pomocy mikrokomputera nie podłączonego do linii konsulatu Francji, zajęła nie więcej niż pół godziny.

- Miałaś listę przy sobie? - spytał Michael wystraszonym głosem.

- Zakodowaną? Oczywiście - odpowiedziała Maria z lekkim rozdrażnieniem. - Inaczej się nie da. Nie mogłam przecież podejmować ryzyka kontaktowania się z bankiem z terytorium Związku Sowieckiego.

- Jak to „z bankiem”?

- Każda siatka „Airways” zarejestrowana jest na fikcyjnym koncie American Express w Paryżu. Zakodowana lista leningradzka, którą miałam przy sobie, wygląda jak najzwyklejszy wyciąg z konta bankowego.

Michael wbił w nią wzrok.

- Dobrze. To upraszcza sprawę - powiedział tonem, który zaprzeczał tym słowom. - Pozostaje Tołstoj - ciągnął dalej. - Oprócz mnie i Avarone'a tylko on znał członków siatki... Tylko on ich zna... Jeśli jeszcze jest przy życiu. - Chwila ciszy. - To niczego nie wyjaśnia, ale nie ma innej możliwości.

- Może jest - odezwała się Maria głosem pełnym wahania.

- Co?

Wydawała się zakłopotana.

- Odpowiedzi na pytania, które miałam im zadać.
- Jakie... Rany Boskie! - uniósł się. - Dopiero teraz o tym mówisz!
- A kiedy miałam mówić? - Maria podniosła głos.

Gwałtownie się odwróciła. Zdawało się, że sama także szuka odpowiedzi na to pytanie. Nerwowym ruchem ręki odgarnęła włosy z czoła. Potrząsnęła głową i westchnęła.

- Jesteś niesamowity - powiedziała wreszcie.
- No dobrze - odrzekł Michael, już spokojniej. - Mów, słucham.

Na pierwsze pytanie: „Czy zdrada jest włączona do gry?” - odpowiedź była krótka i zwięzła: „Nie”. Co do drugiego pytania: „Kto to jest Saxon?” - Maria wyjaśniła, że nie od razu otrzymała odpowiedź.

- Wyczułam niepewność - rzekła. - Powiedzieli, że nie rozumieją, o co chodzi. Potem zadali mnóstwo pytań, chcieli wiedzieć, kto mówił o Saxonie, kiedy, gdzie, w jakich okolicznościach. Zaniepokoił się, gdy nie mogłam na to odpowiedzieć. W końcu powiedzieli, że zasięgną informacji, zbadają sprawę, czy coś w tym rodzaju...

- Oni, to znaczy kto?

- Nie mam pojęcia. Nigdy nikogo nie widziałam oprócz Avarone'a. Mówię „widziałam” - od czasownika „widzieć”, choć wszystko odbywało się najpierw telefonicznie, potem w konfesjonale - Maria zamilkła na chwilę, zamyśliła się. Po chwili podjęła wątek. - Odpowiedź dał mi w końcu sam Avarone. Powiedział, że musimy się zobaczyć. Zadał te same pytania, mówił, że to bardzo poważna sprawa, że koniecznie musisz dostarczyć bliższych szczegółów... - przerwała i popatrzyła Michaelowi prosto w oczy. - To ty - rzekła. - To wewnętrzny kryptonim, jaki ci nadali. Saxon - to ty!

Michael nie zareagował.

W samochodzie zapanowała cisza.

Maria patrzyła na Michaela, nie wiedząc, co o tym myśleć. Czekala, żeby coś powiedział, bała się jednak usłyszeć z jego ust, że jest powód do niepokoju, większy niż przeczuwała. Mimo wszystko miała nadzieję, choć nie za bardzo w to wierzyła, że Michael powie: to nie ma znaczenia, możesz być spokojna.

Michael nie odezwał się jednak, trwał niewzruszony. Nie wytrzymała:

- Nie robi to na tobie wielkiego wrażenia.

- A jakie powinno zrobić?
- Nie wiem, ja...
- Wiedziałem o tym - rzekł.

Zapałił papierosa. Maria, zaskoczona, patrzyła na niego. Widziała, jak powoli wypuszcza dym, przez ułamek sekundy śledziła wzrokiem smugę wydobywającą się z jego warg, jakby chciała sprawdzić, czy wraz z tym papierosowym dymem nie ulatuje coś istotnego.

- Michael?
- Tak?
- Powiedział, że to nie w porządku, że nawet ty nie powinienes tego wiedzieć... Jak się dowiedziałeś?
- Kazał, abyś mi to powiedziała? - spytał.
- Co?
- To, co powiedziałaś. Avarone kazał, abyś mi to powtórzyła?
- Tak! Chyba tak, sama już nie wiem. Dlaczego pytasz?
- Tak sobie.
- Tak sobie - powtórzyła zniechęcona.
- To nie ma znaczenia - rzekł Michael chcąc ją uspokoić.
- Oczywiście, nie.

Maria milczała przez chwilę. Potem nalegającym tonem ponowiła atak.

- Michael, odpowiedz mi: jak się dowiedziałeś?

Odpowiedział jej, nie zdradzając najmniejszych emocji, epizod z ataku na „Zwiozdoczkę”; tam właśnie usłyszał po raz pierwszy kryptonim „Saxon”, z ust Rosjanina o imieniu Piotr, który o mało go nie zabił.

Maria stłumiła okrzyk przerażenia.

- To znaczy, że KGB wiedziało o twoim przybyciu, wiedziało, kim jesteś! - krzyknęła przygnębiona. - Dlaczego nic nie mówiłeś?
- Wiedzieli, że Saxon miał przyjechać - stwierdził.
- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? - spytała Maria nie słuchając go.
- Nie byłem pewien...
- Nie byłeś pewien?
- Najpierw chciałem dowiedzieć się, co ci odpowiedzą ludzie Avarone'a.
- Dlaczego?
- Musiałem wiedzieć, czy to było zaplanowane, czy nie.

- Zaplanowane! A mogłoby być zaplanowane? Mój Boże, chyba śnię! To niebywałe! - Była u kresu wytrzymałości. - Czy to by coś zmieniło?

- Niewiele.

- Chyba żartujesz? - wykrzyknęła. - W czym ci to pomogło?

Michael nie odpowiedział. Wierzchem dłoni startł parę z przedniej szyby i z bocznego lusterka.

- Rycz dalej tak jak teraz, a zaraz zlecą się wszyscy gliniarze z okolicy - powiedział starając się dojrzeć budkę milicjanta przed amerykańską misją handlową.

Maria oparła się na siedzeniu i potrząsnęła głową.

- To obłąd! - powiedziała. - Obłąd!

- To, co wydarzyło się później, nie miało już z tym związku - rzekł Michael, jakby chciał się usprawiedliwić. - Nie mogłem tego przewidzieć. Tego nie dało się przewidzieć.

- Mam gdzieś to, co się wydarzyło później! Nawet jeśli to potworne, przerażające... - Maria odwróciła się w jego stronę. - Mówię o tobie! - wpatrywała się w niego, jakby szukała jakiegoś pęknięcia, przez które mogłaby się wśliznąć, połączyć z nim, odnaleźć go. Chyba jednak zrezygnowała. - Jaką masz przyjemność z poruszania się w tym... gnoju...? - wyszeptwała znużona walką.

- Żadnej.

- No to już nic nie rozumiem, nie rozumiem!

- Czego nie rozumiesz?

- Kim właściwie jesteś... Co powoduje, że postępujesz tak a nie inaczej?

Powoli odwrócił się w jej stronę, jak gdyby słowa, które przed chwilą padły, wstrząsnęły nim i był tym jednocześnie zaskoczony i zbity z tropu. Maria, głęboko poruszona, przez krótką chwilę myślała, że rozpręży się i zacznie mówić. Pomyślała, że jest gotowa wysłuchać wszystkiego, wszystko wybaczyć, żeby tylko do niej powrócił, żeby mogła go przytulić. Nic jej nie obchodziło morale mężczyzn, a tego mężczyznę kochała i nawet gdyby był najgorszym mordercą, popełnił najpotworniejsze zbrodnie, kochałaby go ponad wszystko.

- Nie ma tu nic do rozumienia - powiedział matowym głosem i odwrócił się.

- Michael... - nalegała cicho.

- Nic a nic.

Zawahała się, w końcu zrezygnowała.

- Brawo - powiedziała z goryczą.
- Dlaczego brawo?
- Zgadnij. Milczenie.

Maria pierwsza się opanowała. Emocje, jakie ją opanowały, ciągle jeszcze w niej tkwiły, ściszone, a jednocześnie obsesyjnie dręczące. Obserwowała Michaela i zdawało jej się, że jest u kresu, ogarnięty dzikim popłochem. Poczwała ogromną litość dla niego.

- Już nie wiesz, co się dzieje, prawda? - spytała cicho. Niedostrzeżalnie drgnęły mu ramiona.

- Chyba tak...

Maria pomyślała, że powinna mu pomóc odnaleźć grunt pod nogami, choćby przez włączenie się w jego grę bez względu na pogardę i niesmak, jaki ta gra w niej budzi. Nie miała wyboru. Spytała:

- Dlaczego twierdzisz, że posłużyłeś za przynętę?
- Tak mi się zdawało.
- Teraz już ci się nie zdaje?
- Może to niedorzeczne, wiem... Zresztą już nic nie rozumiem. To

wszystko nie ma żadnego sensu.

- Michael, co nie ma żadnego sensu?

- To wszystko... Nie ma w tym nic spójnego. W żadnym momencie. Może posłużyłem za przynętę, a może nie. Może mnie w końcu wysledzili, może masz rację. Ja twierdząc inaczej, ale to niczego nie zmienia, niczego nie wyjaśnia. Nic niczego nie wyjaśnia.

- Nie wyjaśnia czego? - spytała Maria, kryjąc zaniepokojenie.

- Jeśli posłużyłem za przynętę, to dlaczego tamtych zabili? A jeśli nie, jeśli wiedzieli o nich już wcześniej, to dlaczego musieli ich zabić? Dlaczego czekali z tym na mój przyjazd? Dlaczego nie zrobili tego wcześniej? Jeśli obawiali się, że coś odkryję, dlaczego nie próbowali zabić mnie? - Zamilkł nagle.

Maria zastanawiała się, czy on przypadkiem nie traci zmysłów.

- Próbowali, Michael - powiedziała niemal z lękiem.
- Co?
- Próbowali, w „Zwiodocze”.
- No dobrze... A potem?
- Michael! Oni przecież nie znali agentów siatki!
- No to jak to się stało, że ich pozabijali?

- Sam powiedziałaś! To ty ich wskazałaś!  
- Okey, powracamy do punktu wyjścia: dlaczego nie zabili mnie? Z powodu następnych agentów? No dobrze, możliwe, że są jeszcze inni agenci, że mogą ich wskazać... Ale nie wtedy, gdy zorientuję się, że umierają! Sowietci powinni wiedzieć, że wstrzymam działalność! - przerażony potrząsnął głową. - To nie ma żadnego sensu - wyszeptał. - Dlaczego ich pozabijali? Dlaczego tylko zabili?... I dlaczego w ogóle zabili...

Uniósł ręce przed siebie w geście całkowitej bezradności. Maria chciała mu jakoś pomóc:

- Michael, ty...

- Wstrzymuję dalsze działania - przerwał, jak gdyby odzyskiwał równowagę. - Maria aż zaniemówiła. - Trzeba powiadomić Avarone'a. Misja stoi w martwym punkcie. Od samego początku. Saxon spowodował już wiele śmierci. Trzeba mu powiedzieć...

- Tak! - zgodziła się Maria, dziękując Bogu.

- Trzeba mu powiedzieć... - powtórzył jakoś dziwnie.

Maria drgnęła. Zobaczyła jego błędny wzrok i zrozumiała, że jej radość była przedwczesna. Mój Boże, czy już za późno? - zastanawiała się z przerażeniem. Czyżby już było za późno?

Delikatnie, bardzo ostrożnie zapytała:

- Michael, co trzeba powiedzieć?

Nie odezwał się, tak jakby nie słyszał pytania. Z trudem przełknęła ślinę i ponowiła pytanie.

- Co trzeba mu powiedzieć?

W końcu odpowiedział. Usłyszawszy tę odpowiedź, wygłoszoną tonem sentencjonalnym a jednocześnie nieobecny, Maria poczuła, że krew ścina jej się w żyłach.

- Saxon sieje śmierć na swej drodze.

Bez trudu namówiła go, aby został u niej na noc. Nie miał dokąd pójść, a był zbyt zmęczony, żeby sobie czegoś poszukać.

Ambasada dała Marii do dyspozycji komfortowe czteropokojowe mieszkanie w okazałej kamienicy przy alei Kutuzowa, w zachodniej części miasta, po drugiej stronie rzeki Moskwy. Była to jedna z enklaw, w których zgrupowano zagranicznych rezydentów - dyplomatów, handlowców, dziennikarzy itp. Milicjanci dzień i noc strzegli

wszystkich wejść. Można było tam się dostać wyłącznie po podaniu odpowiedniego hasła. Aby zmylić czujność milicji, Michael musiał ukryć się w bagażniku wołgi.

Maria przekonała go, aby spokojnie siedział sobie w jej mieszkaniu, podczas gdy ona poleci do Paryża na spotkanie z generałem Avarone. Poleci samolotem następnego dnia. Zajmie jej to najwyżej trzy lub cztery dni. Jej wyjazd nie wzbudzi żadnych podejrzeń, ponieważ było już zaplanowane, że pojedzie do matki na Boże Narodzenie. Do świąt zostały dwa dni.

Zapewniła, że nie powinien się niepokoić. Był całkiem bezpieczny, nikt mu nie zakłóci spokoju, sprzątaczką przyjdzie dopiero w połowie przyszłego tygodnia. Mikrofonów nie ma - całkiem niedawno specjalna służba ambasady przeprowadziła okresową kontrolę. Powinien tylko starać się nie hałasować, nie zapalać światła. Powiedziała, że lodówka jest pełna jedzenia, spytała, czy potrzebuje czegoś szczególnego. Z początku mówił, że nie, wzruszony sposobem, w jaki wzięła sprawę w swoje ręce, jej opanowaniem i stanowczością. Był rozbrojony względami, jakimi go otaczała, pozwolił jej działać. Po chwili namysłu poprosił o aspirynę lub jakikolwiek środek przeciwbólowy, bo trochę bolała go głowa i chciał zapobiec pogorszeniu, poprosił też o wódkę, bo nie widział innego sposobu na osłodzenie sobie tych paru dni Bożego Narodzenia, które ma spędzić w samotności i zamknięciu. Na myśl o tym Marii zrobiło się przykro. Zapytała, dlaczego właściwie nie mógłby z nią pojechać. O mało nie odpowiedział: bo Saxon jeszcze nie umarł, ale powstrzymał się i odrzekł po prostu, że jeszcze na to nie czas.

## 6

Fala zimna szalejąca w Europie Północnej dotarła w końcu do Paryża. W piątek wieczorem mżyło, a ulice mieszkaniowej i biurowej dzielnicy Monceau były bardziej opustoszałe niż zwykle.

Duży, ciemny samochód marki „Renault” wjechał w ulicę obsadzoną czarnymi, lśniącoymi drzewami, kończąc się ślepo przed ogrodzeniem parku Monceau. Samochód zatrzymał się przy niewielkiej kamieniczce pogrążonej w ciemności.

- Panie generale, czy potrzebuje pan jutro samochodu?
- Nie, kapralu. Jutro odpoczynek!
- Dziękuję, panie generale... I wesołych świąt!
- Tobie też życzę wesołych świąt, chłopcze.

Generał Georges Avarone wszedł bez pośpiechu do bramy kamieniczki. Nie był w zbyt dobrym nastroju, szedł jednak krokiem lżejszym niż zwykle, ponieważ już cieszył się na przyjemności nadchodzącego weekendu. Za dwa dni Boże Narodzenie, nie spędzi więc jak zwykle niedzieli w samotności.

Stary wojskowy zniknął we wnętrzu kamienicy.

Samochód czekał z zapalonym silnikiem. Kapral zasygnalizował powrót generała do domu, a teraz z mikrofonem w ręku patrzył na drzwi wejściowe. Dwa razy rozbłysło światło w niewielkim owalnym okienku obok przedsionka.

- Austerlitz - powiedział kapral do mikrofonu.  
I odjechał.



Stojąc bez ruchu w korytarzu generał Avarone zastanawiał się, czy nie popełnił błędu.

Dał kierowcy sygnał, że wszystko w porządku, ale zrobił to machinalnie, bez zastanowienia, tak jak każdego wieczoru; w ten sposób rzucił z siebie raczej ostatni krępujący go przymus, a nie świadomie wykonał ostatni gest mający zapewnić mu bezpieczeństwo.

Chyba coś było nie w porządku...

Coś go intrygowało, niepokoiło, ale nie wiedział dlaczego. Przez chwilę stał jak na czatach, wsłuchując się w panującą w domu ciszę, w najmniejszy podejrzanym szmer. Prawie podskoczył, gdy do jego uszu doleciał z głębi korytarza po prawej stronie dźwięk włączającej się sprężarki lodówki. W końcu powiedział sobie, że padł ofiarą własnej wyobraźni albo zmęczenia, albo wręcz wieku! Nic przecież się nie działo, nie było żadnego niezwykłego dźwięku. Cóż mogłoby być? Od pięciu lat, od śmierci żony mieszkał sam. Nie miał zwierząt. Gospodyni, ta sama od trzydziestu lat, Wietnamka, bardzo mu oddana, lekka maniaczka, przychodziła każdego ranka.

A jednak coś było... Co to takiego?

Nie miało to nic wspólnego z jego wyobraźnią, zmęczeniem czy wiekiem. To było realne, czuł to. Mówił mu to instynkt - a przeszłość dowiodła, że mógł mieć do niego zaufanie, powinien mieć. Jego instynkt kazał mu odebrać sygnał, którego umysł jeszcze nie rozszyfrował.

Co to było?

Powoli zdjął płaszcz, powiesił go na ściennym wieszaku z lustrem. Spojrzał na czarną laskę-szablę, jedną z wielu w kolekcji lasek okalającej wieszak; potem zerknął w lustro, musnął wzrokiem odbicie srebrnej czarki i telefonu stojących po obu stronach lampy z brązu na półokrągłym stolczku przy ścianie, za jego plecami. Niepokój wzmógł się.

Broń! Powinien mieć broń!

Miał dwa pistolety: jeden w dużym salonie-bibliotece, do którego otwarte drzwi znajdowały się po lewej stronie, drugi na piętrze, w swoim pokoju.

Bezgłośnie posuwał się do przodu, czuł, jak serce bije mu mocniej; złapał się na tym, że czuje przelotną obawę, czy wytrzyma. Wziął się jednak w garść, nie chciał słuchać wewnętrznego głosu, który podpowiadał, że ten rodzaj emocji nie jest już dla niego. Powtarzał sobie,

że przecież niejedno już przeżył i że aż dotąd nic nie wskazywało na to, że jego serce nie jest wytrzymałe.

Wszedł do salonu, lecz przedtem zapalił światło i rzutem oka sprawdził, czy nikogo nie ma i czy wszystko jest w porządku. Wziął z szuflady angielskiego sekretarzyka colta 45, już nabitego, odbezpieczył i poruszając zamkiem załadował kulę do lufy. Jeszcze raz bez pośpiechu skontrolował wzrokiem pokój; był coraz bardziej niepokojony, coraz bardziej zaniepokojony.

Nic... Cisza.

A jednak miał uczucie, że nie jest sam. Jakby dawała znać o sobie czyjaś niewidzialna obecność... Tak jakby jego mieszkaniem zawładnęła jakaś nieznana siła.

Nagle poczuł, że pierś ściska mu zbyt ciasny betonowy gorset. Zabrakło mu tchu.

Laska-szabla! Srebrna czarka i telefon! Tam, fotel! Album na stoliku! Lampa na sekretarzyku! Dwa sztychy po obu stronach kominka! Popielniczka obok kanapy! Dywanik pod kanapą! A także... Boże jedyny! Prawie wszędzie przedmioty i meble były poprzesuwane albo pozamieniane! Drobne zmiany, ledwie dostrzegalne, ale rzeczywiste. Tak jakby ktoś chciał, żeby on i tylko on zdał sobie z tego sprawę... On i nikt więcej!

Generał Avarone stał przez chwilę nie mogąc wykonać najmniejszego ruchu, patrzył na to wszystko osłupiały z przerażenia. Po chwili wziął się w garść, jego masywne szczęki zacisnęły się, spojrzenie znów stało się spojrzeniem ryby - drapieżnej ryby.

Z pistoletem w ręce wyszedł z salonu i począł gruntownie przeglądać inne pomieszczenia. Zaczął od piętra. Nie zauważył tam niczego szczególnego oprócz tu i ówdzie przesuniętych mebli i przedmiotów w pokojach i łazience. Mimo że nieznaczące, za każdym razem rzucały mu się jednak w oczy, jak ślady jakiegoś szkodnika, podstępного, niebezpiecznego - wroga!

Oparł się o poręcz schodów, chciał zejść na parter. Gnębił go rosnący niepokój. Nie zastanawiał się, co to wszystko znaczyło. Wiedział. Albo początek destabilizacji, albo groźbę. Być może i jedno i drugie, a w każdym razie było to niebezpieczne. Ktoś chciał przekazać mu wiadomość. Całkiem zrozumiałą: że można było go osiągnąć gdziekolwiek i kiedykolwiek, w tajemnicy, bez rozgłosu, zanim zda sobie z tego sprawę, zanim poprosi o pomoc... Nie! To nie to. Coś

jeszcze gorszego, jednocześnie prostego i mocniejszego: ktoś miał możliwość kreowania rzeczywistości na swój sposób, potajemnego wpływania na innych - i dawał mu to do zrozumienia, kazał mu to odczuć.

Czy tak?

Stary wojskowy zatrzymał się u dołu schodów, oddychał szybko, jakby chciał silniej stawić czoła cyklonowi, który rozszalał się w jego czaszce. Nie powinien, wiedział o tym dobrze, próbować odpowiedzi na pytania, które bezładnie kłębiły się w jego głowie, lecz nie mógł się temu oprzeć. W przeblasku świadomości pojął, że nie jest już w stanie rozumować i reagować prawidłowo. Wpatrywał się w telefon stojący w korytarzu. Czuł, że powinien wezwać pomoc, zaalarmować władze bezpieczeństwa. Później, pomyślał, przeczując, że tego nie zrobi, że nie powinien tego robić.

Pozostały trzy największe pomieszczenia na parterze, których jeszcze nie sprawdził: kuchnia, jadalnia i pokój muzyczny. Postanowił to zaraz zrobić, bez pośpiechu, bez specjalnej obawy, przekonany, że nie zostanie tam nic innego niż to, co zastał we wszystkich pokojach, które już sprawdził. Jednak pomylił się.

Postanowił zacząć od pokoju muzycznego.

Szok, jakiego doznał po otwarciu drzwi, zaparł mu oddech. Zniechęcił na progu.

Inaczej niż w pozostałych pokojach zmiany tu dokonane były o wiele większe. Wszystkie meble - pianino, fotele, stoliki - zostały odsunięte pod ściany, obrazy pozdejmowane, chiński dywan pokrywający prawie całą podłogę był zwinięty obok kominka! Na środku pustej przestrzeni, na podłodze, z dala od innych przedmiotów coś stało... Coś przerażającego, potwornie przerażającego - do tego stopnia, że wszystkie meble jakby zdały sobie z tego sprawę i odsunęły się na boki, aby zrobić temu miejsce.

Słoi!

Generał mocniej przytrzymał się klamki u drzwi.

Słoi pełen brunatnego płynu...

Co to jest? - zastanawiał się oniemiały z przerażenia.

Ale już wiedział, co to jest. Wiedział także, przeczując już, że całe jego życie się zachwieje, że został już złapany w piekielną pułapkę.

Po prostu słoik pełen krwi. Nic innego.

Nic innego... - pomyślał Avarone czując skurcz w gardle.

Stary generał miał uczucie, jakby nagle serce przestało mu bić. Pytanie wryło się w czaszkę jak wycie pociągu.

Czyja to krew?

Poczuł, że miękną mu nogi, przez chwilę był bliski upadku. Odwrócił się i oparł plecami i głową o futrynę drzwi.

Czyja to krew?

Nie! Nie zadawaj tego pytania! Jeśli zadasz to pytanie, jesteś stracony! Wiesz o tym i oni także wiedzą. To jest częścią ich podstępного działania! Nie próbuj...

Czyja to krew?

Nie! Oni właśnie tego chcą! Nie zadawaj pytania! Nie zadawaj tego pytania! Nie!

Czyja to krew!

Nie mógł nie zadać pytania, to było niemożliwe. Nie sprzeciwiał się więc już, pozwolił, aby pytanie rozkwitło w nim jak trujący kwiat. Tortura stała się teraz jeszcze bardziej nie do zniesienia, bo zadanie owego pytania pociągało za sobą odpowiedź. W takiej sytuacji można było tylko wyobrazić sobie najgorsze, najstraszliwsze... Avarone o tym wiedział. Tortura stawała się bardziej okrutna i skuteczna, bo żywiła się faktem, że człowiek wyobraża sobie nieuchronnie największe możliwe okrucieństwo, że się boi, choć nie wie, czy ono na pewno go dotknie; w konsekwencji wydaje mu się ono większe od zwykłego okrucieństwa - tak jakby mogło istnieć coś straszliwszego niż okrucieństwo samo w sobie!

Tego chcieli, jęknął stary generał. Tego właśnie chcieli! A ja nie mogę temu zaradzić, nic nie mogę zrobić!

Oszalały ze strachu generał Avarone oderwał oczy od słoja z krwią i opierając się o ściany poszedł do salonu-biblioteki. Opadł na fotel. Było mu coraz trudniej oddychać. Podniósł się, nalał do szklanki whisky, wypił duży łyk, po czym usiadł na najbliższym krześle. Trwał tak nieruchomy, nie pijąc, z rękami płasko leżącymi na oparciach, ze szklanką ściśniętą w lewej dłoni. Prawa ręka zawisa bezwładnie, nawet nie zdawał sobie sprawy, że nie trzyma już colta 45.

Musi być jakieś wyjaśnienie, powiedział sobie. Nie ma innej możliwości, musi być jakieś... A to co? Telefon? Ale telefon nie dzwonił.

To normalne, doszedł do wniosku. Mają się na bacności przed

twoim telefonem. Telefon. Co za bzdura! Weź się w garść! Postaraj się rozsądnie pomyśleć.

Nie telefon, więc coś innego... Postaraj się znaleźć...

Może obserwują? Sprawdź!

Wstał, podszedł do okna. Wystarczyło kilka chwil, aby mieć pewność, że nie jest pilnowany. Normalne, pomyślał znowu. Nie muszą, to prawda. Nawet nie muszą cię śledzić, wiesz dobrze! Wszystko się wyjaśni, pomyślał, aby się uspokoić. Na pewno wyjaśni...

Ale wyjaśnienie nie nadchodziło.

Czyja to krew?

Mój Boże, nie! Nie!

Powieki Avarone'a zatrzepotały, wyglądał teraz jak zwykły, stary człowiek w ataku bólu nie do zniesienia. Jego wzrok utknął nagle na aparacie telefonicznym stojącym obok. Patrzył i całe jego ciało zadygotało: Zadzwoń! Zadzwoń! Dowiesz się! Przynajmniej będziesz wiedział! Nie! Na litość boską, nie! Nie dzwoń, nie rób tego! Może jest jakaś szansa, jedna na milion, że się pomyliłeś, że ta potworność nie jest potwornością! Jeśli zadzwonisz, odkryjesz się, może na to właśnie czekają!

Dlaczego nie dzwonić? To śmieszne, wiesz przecież. Jesteś śmieszny, wzbudzającym litość starcem, który po prostu boi się spojrzeć prawdzie w oczy i który odgrywa jakieś komedie. Czego się boisz? Tego że ujrzyś prawdziwe oblicze potworności, tak? O to chodzi, tak?

Nadejdzie wyjaśnienie, powiedział głośno, aby zagłuszyć myśli. Musi nadejść, musi!

Ale nie nadchodziło.

Czy musi? Nie! Nie będę tak myśleć! Nie chcę! Dlaczego? Co to zmieni? Nie chcę!

Dlaczego nie nadchodzi wyjaśnienie, martwił się w duchu. Dlaczego? Może już tu jest?

Uderzyła go oczywistość pytania: wyjaśnienie jest tutaj!

Oszalały z przerażenia stary generał zaczął krążyć po mieszkaniu jak obłąkany, obijał się o sprzęty, otwierał drzwi na oścież. Biegał w poszukiwaniu czegoś, czegoś nieokreślonego, lecz gorąco pragnął, aby to coś stanowiło lub przynosiło informację. Coś - coś napisanego? Taśma magnetofonowa? Nawet nie wiedział, czy to coś istnieje, a jednak żywił instynktowną obawę przed znalezieniem tego

i jednocześnie prosił niebo, aby udało mu się znaleźć, wpaść na to - ale gdzie? Gdzie?

Bez wytchnienia oddał się szalonemu poszukiwaniu. Tak jak ryba rozpaczliwie szarpiąca się na końcu wędki, ryba, która już wszystko zrozumiała - daremność walki i jej zakończenie.

Minęło dwadzieścia minut.

W końcu znalazł się w punkcie wyjścia, czyli w przestronnym salonie-bibliotece. Był u kresu sił, prawie nieprzytomny. Gdy zaczynał już wątpić, czy kiedykolwiek to znajdzie, jego spojrzenie padło na przedmiot stojący niedaleko, przed nim, przedmiot zupełnie nieszkodliwy... przedmiot, który jakby czekał, aż generał się nim zainteresuje: magnetowid.

Generał Avarone poczuł, że serce wali mu jak bęben. Powoli podszedł do aparatu, stwierdził, że w środku jest kasetka. Mechanicznymi ruchami jak automat włączył telewizor i magnetowid. Po czym cofnął się z oczami wbitymi w ekran, zatrzymał się nieco dalej. Stał sztywno, jakby w oczekiwaniu na egzekucję.

Wtedy na ekranie ukazały się obrazy filmu niemego, czarno-białego...

Obrazy tak oczekiwanej potworności.

Na początku twarz dziewczynki o jasnych włosach, malutkiej, rozkosznej, roześmianej... Później, po zmianie kadru, ta sama dziewczynka we łzach, starająca się opanować wstrząsający ją szloch... Kamera schodzi z twarzy, pokazuje teraz obnażone lewe ramię, z którego wychodzi rurka sięgająca do słoika, słoik powoli wypełnia się krwią. I znowu twarz dziewczynki... Cierpienie w jej oczach, a przede wszystkim strach... Mała bezbronna dziewczynka... Nawet nie związana...

Obraz znieruchomiał.

Cisza, ciągle ta sama. Nic, tylko cisza.

Stary generał stał nieruchomo, podbródek miał wysunięty do przodu, masywne szczęki zaciśnięte do granic ostateczności. Wydawało się, że już tylko one utrzymują go w pozycji stojącej. Łzy napłynęły mu do oczu, stał jak posąg i płakał, nie mogąc oderwać wzroku od straszliwego obrazu.

Płakał nad swoją porażką. Dotkliwą porażką. Dla niego ta twarz przerażonej dziewczynki we łzach była świadectwem zniweczenia życia, jego całego życia - człowieka i żołnierza. Tak jakby wszystko,

czego dotychczas dokonał, prowadziło do tej potworności. Potworności, której nic na świecie nie mogło usprawiedliwić...

Dalszy ciąg będzie karą, pomyślał.

Pozostawało już tylko czekać. Oni na pewno przyjdą.

Tak, przyjdą, był tego pewien. I będzie z nimi współpracował, tego też był pewien. Będzie współpracował. Nie miał wyboru. Będzie się starał ich zadowolić, próbując ochronić to, co najistotniejsze. Tak, próbuje. Ale tylko próbuje. Nic ponadto.

Umrzeć, pomyślał. Zadać sobie śmierć raczej niż przeżywać takie okropności, niż zdradzić... Nie, nie mógł. Musi ich zadowolić. Jeśli tego nie zrobi, wiedział o tym dobrze, mogą całkowicie pozbawić dziewczynkę krwi, aż do ostatniej kropli!

Jego wnuczkę.

Trzy godziny później, koło północy, mężczyzna w wieku powyżej sześćdziesięciu lat, szczupły i elegancki, szedł energicznym krokiem ulicą w szesnastej dzielnicy Paryża, w okolicy Muette. Była to spokojna ulica, zabudowana małymi, nowoczesnymi i luksusowymi budynkami oraz okazałymi prywatnymi kamienicami.

W tym samym momencie w górę bezgłośnie jechał samochód policyjny. Zwolnił, gdy przejeżdżał obok mężczyzny, po czym przyspieszył i odjechał dalej patrolować okolice. Dla policjantów był to zwykły, w każdym calu czcigodny - zważywszy jego wiek, wygląd i zachowanie - starszy pan, jeden z licznie zamieszkujących tę dzielnicę. Niektórzy z nich obnosili wojskowe rozetki, wielkie jak maliny. Tak więc był to prawdopodobnie jeden z owych starszych panów, który wracał do domu lub rozprostowywał nogi przed udaniem się na spoczynek, jeden z tych starszych panów, nad których bezpieczeństwem między innymi policjanci mieli czuwać.

Gdyby przypadkiem wpadli na pomysł, Bóg wie dlaczego, aby go wylegitymować, z satysfakcją mogliby stwierdzić, że dobrze go ocenili, bo stanęliby twarzą w twarz z panem „de coś tam”, wysokim dyplomata z Quai d'Orsay, ambasadorem Francji w dodatku. I wcale nie irytowałby się z powodu kontroli jak byle facet, lecz wręcz przeciwnie, pogratulowałby policjantom czujności i poczucia obowiązku. Oni zaś odjechaliby przyznając, że „Ekscelencji” nie brakuje klasy, że dobrze nosi przyimek „de” przed nazwiskiem; każdy z policjantów

poczułby się w duchu pokrzepiony i umocniony w poczuciu własnej ważności oraz znaczenia swojej misji.

Jak więc mogliby przypuszczać, że ten szacowny pan nie był tym, za kogo się podawał, że cała jego tożsamość była fałszywa, począwszy od przyimka „de” aż do tytułu ambasadora, nie mówiąc już o dokumentach? Jakże mogliby choć przez chwilę myśleć, że człowiek o tak spokojnym wyglądzie, z całą pewnością z czystym kontem, jest nie kim innym jak Charlesem Nevilles, generalnym dyrektorem DGSE, inaczej mówiąc szefem francuskich służb specjalnych? W rzeczywistości nawet gdyby policjanci zatrzymali się, nie mieliby żadnej możliwości odkrycia powyższego faktu. To zupełnie oczywiste.

Charles Nevilles przyspieszył kroku.

Był zmęczony i dokuczalo mu zimno. A przede wszystkim był zaniepokojony. Z przytulnej atmosfery domu wyrwał go telefon, pozornie bez znaczenia, lecz zakodowany. Dzwonek telefonu oznaczał po prostu „pilny kontakt”. Resztę dedukował sam: miejsce, rozmówcę i to, że powstał jakiś poważny problem. Poważny problem dotyczący „Gromu”.

Zwykle szef służb specjalnych przemieszczał się w samochodzie pancernym chroniony przez szóstkę, a nawet, zważywszy niepewny czas, dziesiątkę ludzi uzbrojonych po zęby. Jednak od czasu gdy działalność jego związana była z „Gromem”, dotychczasowe zasady bezpieczeństwa przestały obowiązywać. Dominowały inne, na pierwszy rzut oka zaskakujące, lecz koniec końców skuteczne - skuteczne dlatego, że inne. W tej kwestii, jak i w innych, „Grom” wymykał się regułom.

Charles Nevilles spojrzął na światło, które jaśniało w dwóch okrągłych okienkach znajdujących się po obu stronach paszczy lwa wyrzeźbionej na fasadzie małej kamienicy.

To umówiony sygnał wskazujący, że wszystko w porządku i że jego rozmówca już przyszedł - ten ostatni zastał światło w jednym tylko owalnym okienku. Nevilles nacisnął kod cyfrowy otwierający drzwi wejściowe i wszedł do środka.

Kamieniczka należała do starej markizy, dawnej członkini Ruchu Oporu, która po wojnie w dalszym ciągu współpracowała z pozostałymi w cieniu ludźmi wolnej Francji, ze służbami specjalnymi, zarówno z chęci służenia krajowi, jak i z zamiłowania do przygody,



a także ze strachu przed bezczynnością i nudą. Nigdy nie zażądała za swoje usługi nawet jednego centyma czy choćby odznaczenia. Nie figurowała w żadnej kartotece DGSE i wszyscy byli bardzo zadowoleni, począwszy od niej samej. Upływ czasu w niczym nie zachwiał jej potrzeby działania, w wieku ponad siedemdziesięciu lat ciągle była aktywna. Zapewniała łączność albo - jak tego wieczoru - dostarczała lokali w swoich posiadłościach w Paryżu i Anjou na spotkania lub kontakty wymagające tajemnicy. Przez wszystkie te lata trzej agencji służb specjalnych wiedzieli o jej działalności. Pierwszy, ten, który ją zwerbował - i kochał - już nie żył; dwaj pozostali to Charles Nevilles i generał Georges Avarone.

Lokal markizy w dzielnicy Muette spełniał wszelkie warunki bezpieczeństwa dla tajnych spotkań. Nie tylko z powodu osobowości starszej pani, lecz także ze względu na zupełnie niespodziewane urządzenie. Tak naprawdę jej kamieniczka nigdy nie służyła za miejsce zebrań czy jakichkolwiek spotkań. Stanowiła raczej klapę bezpieczeństwa. Podziemny korytarz łączył ją z piwnicą innej kamienicy, stojącej dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy. Ten dom także należał do markizy. Wynajmowało go towarzystwo ubezpieczeniowe, którego personel był jak najdalszy od wyobrażania sobie, że pod stopami ma szczególnie podziemie oraz że jest ono teatrem intryg służb specjalnych. To urządzenie, tak niespodziewane, lecz bardzo przydatne, zostało zbudowane na początku wieku na żądanie dziadka markizy. Mieszkał ze swą małżonką w pierwszej kamienicy, kochanki zaś zazwyczaj umieszczał w drugiej; znalazł więc bardzo wygodny sposób przechodzenia z jednych ramion w drugie bez wzniesienia skandalu. Ukryte wejście, wykonane z bliżej nie znanych powodów, pozwalało w razie potrzeby zejść do sieci kanałów.

Nevilles wszedł pewnym krokiem do korytarza pogrążonego w ciemności.

Żadnego dźwięku. Wszystko w porządku.

Markiza nie wyszła mu na spotkanie, nigdy nie wychodziła. Widywali się niekiedy pod koniec sesji.

Oczami wyobraźni ujrzał starą damę siedzącą przy oknie na pierwszym piętrze i obserwującą ulicę jednocześnie z dwóch stron dzięki odpowiedniemu ustawieniu luster według własnego pomysłu. Pod ręką miała zwykle skrzyneczkę, wystarczyło nacisnąć guzik, aby uruchomić świetlny sygnał alarmowy w podziemiach po drugiej stronie

ulicy. Ten zupełnie prosty, bardzo wyrazisty obraz starej damy u schyłku życia upierającej się służyć jeszcze w miarę sił swemu krajowi, służyć z przykładowym poświęceniem i dyskrecją, był dla Nevillesa obrazem wielkości. Żył dla markizy podziw i wdzięczność.

Musi jej to powiedzieć, postanowił wchodząc do podziemnego przejścia.

Skąd mógł wtedy wiedzieć, że markizy nie było na posterunku? Nie mógłby sobie nawet wyobrazić, że stara dama leży na podłodze swego pokoju, martwa, z głową roztrzaskaną przez kulę.

Generał Avarone już był, czekał na niego siedząc przy stole otoczonym krzesłami w małej podziemnej salce wybetonowanej od podłogi po sufit. Pomimo słabego oświetlenia z lamp na baterie szef służb specjalnych dostrzegł na pierwszy rzut oka pobladłą twarz starożytnego generała.

Podszedł bliżej.

- Georges, co się...?

Wtedy zza pleców strzelił głos. Jak grom - dziwny grom: poważny, powolny, pełen namaszczenia.

- Niech pan się nie rusza, Nevilles. Proszę podnieść ręce.

Ten głos...

Szef DGSE stał jak wryty wpatrując się w Avarone'a, jakby chciał się upewnić, że nie śni.

- Nevilles, niech pan podniesie ręce... Wyżej... Dobrze. I niech pan nie usiłuje robić czegokolwiek, to byłoby śmieszne. Jestem uzbrojony, a pan nie.

Ten głos! To jakiś koszmar!

- Doskonale... Teraz niech pan usiądzie, spokojnie. Nie, nie tutaj, trochę dalej. O tak. I ręce na stół, oddalone jedna od drugiej, dłonie w powietrzu... Proszę robić to, co mówię, Nevilles, niech pan nie komplikuje sprawy.

Oszołomiony szef DGSE wykonał polecenie. Nagle poczuł na karku zimne dotknięcie broni, lufa naciskała powoli, lecz zdecydowanie.

- Niech pan pochyli głowę i oprze czoło o stół... Proszę się nie bać, to nie potrwa dłużej niż sekundę.

Szef DGSE zdał sobie sprawę, że znowu się poddaje rozkazom, niezdolny do odparcia nacisku lufy na kark. Własna uległość przestraszyła go, napęliła odrazą, potem wściekłością. Zanim zdążył zareagować, poczuł jak palce w rękawiczce szybko pozbawiają go zegarka.

Zaklął przez zęby.

- Niech się pan uspokoi - powiedział głos oddalając się nieco. - Jesteśmy we własnym gronie... Teraz, jeśli pan chce, może pan podnieść głowę.

Nevilles nie wyczuł ironii tych słów, nawet nie zwrócił na nie uwagi. Nie mógł oderwać oczu od człowieka, który usiadł naprzeciw niego, po drugiej stronie stołu. Mężczyzna także go obserwował. Teraz już opanowany szef służb specjalnych zachował milczenie, starał się przybrać postawę zgodną z oczekiwaniami, jak sądził, owego mężczyzny, aby lepiej zamaskować rzeczywiste przerażenie, jakiego padł ofiarą. Udując niedowierzanie połączone z niezrozumieniem i przestachem patrzył po kolei na mężczyznę, na Avarone'a i na wycelowany w siebie nabity pistolet z tłumikiem. Znał tego człowieka, znał go aż za dobrze. Jednak tym, co w najwyższym stopniu przerażało Nevillesa, nie było bezpośrednie zagrożenie, jakie dla niego stanowił człowiek z bronią, lecz sama jego obecność.

Obecność tego człowieka w tym miejscu to katastrofa.

Wallahard. Pułkownik Richard Wallahard. Numer dwa CE - dyrekcji kontrwywiadu DGSE. W rzeczywistości był wężem w jej łonie. Bardzo inteligentny, zimny, bez skrupułów. Sowiecki kret w DGSE. Niebezpieczny kret - może nawet najgorszy ze wszystkich. Udało mu się dojść do samej góry wydziału zajmującego się właśnie ochroną francuskich służb specjalnych przed machinacjami i infiltracją KGB! Kret, któremu ktoś w Moskwie w sposób co najmniej niedorzeczny postanowił nadać - ilustrując tym samym znaczenie, jakie mu przypisywał - kryptonim „Golden Voice”.

Charles Nevilles wiedział o tym wszystkim. Ale nie przypuszczało, że on wie. Przynajmniej Wallahard nie przypuszczał. Uważał, że Nevilles nie wie, iż numer dwa CE jest kretem! Wszystko było tak urządzone, aby Wallahard nie powziął nawet najmniejszego podejrzenia. Absolutnie wszystko! Jednak jego obecność tutaj, w tym miejscu, o tej godzinie, zaniepokoiła Nevillesa. Obawiał się, że może nie powiódł się manewr jego i Avarone'a, aby wywieść Wallaharda w

pole. Jeśli tak rzeczywiście było, katastrofa mogła przeobrazić się w kataklizm!

Co naprawdę wiedział? Czy Avarone wszystko zdradził?

Otrzymać odpowiedź nie zadając pytań.

Tak, pomyślał. To jedyne wyjście. Jedyne sposób... Mój Boże, co on wie?

Rozległ się głos Wallaharda, wolny i poważny, z odcieniem ironii:

- Niech pan nie mówi, że jest pan zaskoczony, Nevilles.

Blefuje, pomyślał Nevilles. Jest podobny do ciebie, robi to co ty!

Szef DGSE pozostał niewzruszony.

Wallahard obserwował go trochę zaintrygowany, trochę rozba-  
wiony. Był to mężczyzna duży i krzepki, około pięćdziesiątki, twarz  
miał szczupłą, pociągłą, włosy jasne, bardzo krótkie, duże odstające  
uszy, lekko wylupiate niebieskie oczy, które sprawiały, że zawsze  
wydawał się nieco zdziwiony, grube usta, wilgotne, żarłoczne, z któ-  
rych słowa wyskakiwały jak pękające bańki.

W końcu uśmiechnął się.

- Nevilles... - powiedział z pełną rozbawienia pobłażliwością. Po-  
trząsnął głową, czemu towarzyszyło mlaśnięcie językiem. - Kogo  
jeszcze chciałby pan nabrać?

Szef DGSE ukrył wzburzenie, pozwolił złości napłynąć jedynie do  
oczu, wsączył w nie także odrobinę dystansu pełnego pogardy i za-  
dowolenia. Zobaczył wtedy, że uśmiech Wallaharda niepostrzeżenie  
przygasł, i podkreślił jeszcze swą przewagę odwracając się, tak jakby  
uświadomił sobie, że za bardzo się odkrył, i chciał od razu to ukryć.

Był to dziwny pojedynek, decydujący, w którym każdy starał się  
odgadnąć pozycję, siłę i broń przeciwnika i w którym najmniejszy  
gest, każda nieznaczną zmianą intonacji, najlżejszy oddech mogły  
być największym oszustwem lub najważniejszą wskazówką.

Nevilles patrzył na generała Avarone. Pustka w jego oczach -  
pustka całkowita, absolutna - przyprawiała go o zawrót głowy. Opa-  
nował się jednak.

Spojrzenie partnera...

Brak informacji był informacją. Oto pole do popisu dla jego ini-  
cjatywy. Jeśli jakaś inicjatywa była możliwa, jeśli Avarone zachęcał  
go do działania - chyba dobrze rozumiał, chyba nie ulega iluzji - to  
znaczy, że była też partia do rozegrania!

- Przykro mi, Charles - powiedział Avarone z przygnębieniem.

Patrzył na swe ręce, jakby chciał wziąć je na świadka. - Nie mogłem postąpić inaczej.

Widząc jego przygnębienie Nevilles pomyślał, że może się pomylił. Ale uświadomił sobie, że stary generał opuścił oczy, zanim zaczął mówić. Czy celowo?

- Co panu zrobili? - spytał obojętnym głosem.

Avarone opowiedział mu.

- Pan to zrobił? - spytał Nevilles, pozornie niewzruszony, zwracając się do Wallaharda.

Wallahard nie odpowiedział, z tajemniczą miną patrzył na szefa DGSE.

- Używa do tego Syryjczyków - rzekł Avarone. - Jako narzędzi. Przed domem siedzi trzech w samochodzie... Ale to nie zmienia sedna sprawy...

Nevilles jakby zastanawiał się przez chwilę, po czym zwrócił się do człowieka z CE:

- Jest pan po prostu kanalią, Wallahard - powiedział zimno. - Wie pan o tym? - Nie było żadnej reakcji. - Nie uda się panu. Na pańskim miejscu nie liczyłbym na to!

Wallahard dalej milczał, najwyraźniej nieczuły na groźbę. Nagle wyostrzyło mu się spojrzenie, patrzył na Nevillesa, jakby zastanawiał się, jaką formę nadać odpowiedzi, aby uzyskać największą skuteczność.

- Dlaczego miałbym się przejmować - zaczął mówić przenosząc wzrok na sufit, udając nagły niepokój w ciszy, która zapadła - przecież jesteście jedynymi ludźmi, pan i Avarone, którzy wiedzą, kim naprawdę jestem - wbił spojrzenie swych okrągłych oczu w twarz Nevillesa.

Szef DGSE nie poruszył się nawet, miał nadzieję, że z jego miny nie można nic wyczytać. Dostrzegł słodziutki uśmiech rozlewający się na twarzy człowieka z CE i powiększyło to jego niepokój.

- Wie wszystko - wtrącił Avarone.

Nevilles drgnął na te słowa i odwrócił się do generała.

- Co pan opowiada?! - wykrzyknął ze złością, skrywając w ten sposób ulgę i wdzięczność dla starego generała za podanie mu pomocnej dłoni.

- Wie wszystko - powtórzył Avarone bezsilnym głosem. - Wszystko

mu powiedziałem. Proszę nic więcej nie mówić. Nie ma tu nic do dodania.

- Co pan zrobił? - krzyknął Nevilles, przesadzając ze złością i zdumieniem, prosząc nieba o pomoc w bezbłędnym rozszyfrowaniu słów Avarone'a.

Stary generał skulił się.

- Charles, nie miałem wyboru.

- Zawsze jest wybór - odpowiedział Nevilles oschle, wbrew sobie.

- Tak pan sądzi?

- Tak sędzę.

Avarone smutno potrząsał głową.

- Pan nie wie, co pan mówi.

Nevilles napotkał wzrok generała, oprócz zaniepokojenia dostrzegł w nim zachętę, nakaz nawet kontynuowania rozmowy w tym kierunku.

- To pan sam nie wie, co pan mówi! - zagrzmiał. - O czym pan mu naopowiadał?

- O wszystkim, powiedziałem już - wyszeptał Avarone spuszczać oczy.

- O czym wszystkim? - krzyczał Nevilles.

- Wie, kto to jest Saxon. Wie także, jaki jest prawdziwy cel misji Saxona w „Airways”. Ma kody agentów. Saxon nie ma już dla niego tajemnic.

- Och, mój Boże...

- Chce wiedzieć, co kryje „Grom”. Wie, że Saxon jest związany z „Gromem”, chce wiedzieć dlaczego...

- Niemożliwe! Nie może tego wiedzieć!

- Charles, na litość boską...! On wie.

- Kłamie! Kłamiecie!

Generał Avarone był zupełnie zbity z tropu. Zwrócił się do Wallaharda, jakby chciał wziąć go na świadka swojej bezsilności. Później znowu powiedział do szefa DGSE:

- On wie, Charles - skrzywił się przelękając ślinę, jakby miała smak kwasu. - Powiedziałem mu, że chronię Saxona wyłącznie na płaszczyźnie operacyjnej, a „Grom” podlega tylko panu. Musiałem... Moja wnuczka... - wykręcał sobie ręce. - Nie mogłem inaczej postąpić, musiałem pana wezwać, nie miałem innego wyjścia... Błagam

pana, aby... - podniósł głowę i wyprostował się. - Nie ma innego wyjścia, Charles. Bardzo mi przykro... - głos mu się załamał.

Szef służb specjalnych zbladł.

Potrząsnął głową i znieruchomiał, chyba w końcu zrozumiał sytuację.

Rzeczywiście, wszystko pojał. Avarone wyraził się jasno: Niebawem umrą. Obaj. Muszą umrzeć. Dla „Gromu”. Także dla wnuczki Avarone'a. I także dlatego, że człowiek z CE nie miał wyboru, musiał ich zabić, a oni byli za starzy, żeby mu przeszkodzić. Avarone miał rację. Muszą umrzeć. Nie ma innego wyjścia.

Nevilles odwrócił się w stronę człowieka z CE, ale zupełnie go nie widział. Wpatrywał się w mrok piwnicy. Odczuwał taki spokój! Taką ulgę! Ulżyło mu, gdy zrozumiał, jak Avarone zręcznie manewrował, aby nie powiedzieć ani jednego słowa na temat „Gromu”. Jednak ulga, jaką odczuwał teraz, nie miała nic wspólnego z faktem, że „Grom” został zachowany w tajemnicy. To było coś więcej. Jakaś bezgraniczna obojętność. Chwila w próżni, w oczekiwaniu na uwolnienie, do którego bardzo mu było spieszo, tak jakby jego istota zrozumiała to wcześniej i oderwała się już od świata żywych, oczekując, aby zdobył się na śmiały krok i połączył się z nią.

W jaki sposób można powiedzieć sobie, że zaraz nastąpi śmierć, i nie odczuwać z tego powodu chociaż odrobiny żalu?

Nevilles spojrział na Avarone'a oczami pełnymi zrozumienia i aprobaty.

Rozległ się głos Wallaharda, powolny i poważny, pełen namaszczenia:

- Jak dwa łyse konie.

Człowiek z CE nie zwracając uwagi na pogardę w spojrzeniu szefa DGSE mówił:

- Doskonale porozumienie. Brawo - przerwał, jak gdyby się wahał. - Może mi pan wierzyć lub nie, Nevilles, ale nie odczuwam żadnej przyjemności z tego, co się tu dzieje... Nawet jest mi przykro. - Ciągłe przekładał pistolet z jednej ręki do drugiej, w końcu zatrzymał go w lewej. - Chcę zadać panu jedno pytanie - patrzył na Nevillesa lekko uśmiechnięty. - Od kiedy zna pan prawdę na mój temat?

- Czy moja odpowiedź coś zmieni?

- Nigdy nie wiadomo.

- Od początku.  
- Jestem pewien, że to nieprawda - powiedział ciągle uśmiechnięty.

- Tak pan myśli?

- Tak - odpowiedział Wallahard pewnym głosem.

- Niech pan się odpieprzy, Wallahard - rzekł Nevilles po chwili milczenia. Odwrócił się w stronę Avarone'a, jakby chciał ujrzyć wyraz uznania w jego oczach.

Człowiek z CE powoli wysunął wargi do przodu, robiąc miękki ryjek. Odpowiedział:

- Pan także, Nevilles.

Stłumiony strzał huknął jak petarda.

Głowa Nevillesa nagle drgnęła, gejzer krwi wytrysnął ze skroni, ciało przechyliło się, krew tryskała nieregularnie, obficie. Martwy Nevilles upadł na podłogę.

Generał Avarone ze wstrętem odwrócił się w stronę człowieka z CE. Ujrzał wycelowany w siebie tłumik przedłużający lufę. Stał nieporuszony, patrzył w otwór tłumika, jednocześnie z ciekawością i niecierpliwością, jakby starał się dojrzieć kulę, która go dosięgnie, jakby to doświadczenie, nadzwyczaj krótkie i intensywne, było jedynym, które może doskonale zwieńczyć jego wojskowe życie.

Jednak człowiek z CE nie strzelił.

Przed wyjściem z podziemnej salki człowiek z CE włożył zegarek na rękę nieżyjącego Charlesa Nevillesa. Zegarek był wyposażony w miniaturowy nadajnik, który wskazywał pozycję jego posiadacza gdziekolwiek był i powodował natychmiastowe wkroczenie do akcji ekipy ratunkowej. Jeśli nie został cofnięty do punktu zerowego, sygnał włączał się automatycznie co dwadzieścia cztery godziny.

Człowiek z CE wybrał możliwość samoczynnego włączenia się sygnału, w jego planie było to posunięcie zupełnie logiczne.

Następnie zaprowadził generała Avarone do mieszkania starej markizy. Tu, w ciemnym i wilgotnym salonie na parterze, kazał mu napisać list do córki, list, który mu podyktował od początku do końca, słowo po słowie, z przecinkami, kropkami i akapitami.

List pożegnalny.



24 grudnia, godz. 2.22

*Kochana Córeczko! Sądzę, że szybko dostaniesz ten list. Niech cię nie p~~ro~~ denerwuje jego ton.*

*Muszę cię opuścić - dla mnie*

*to wielka boleść bo jesteś mi istotą najdroższą na świecie. Ale tak zdecydowałem. Czy kiedykolwiek do-*

*wiesz się jakie byty ~~re~~ powody dla których musiałem tak postąpić? Skon-*  
*centrowanie całego życia na ideale, na wyłącznym mu służeniu, nie*

*zawsze prowadzi do szczęśliwego ~~ke~~ kresu. Powi-*  
*naś zrozumieć, że nie miałem wyboru. Wiedz też, że ani ty ani moja*  
*wspaniała wnuczka nie ponosicie za to najmniejszej odpowiedzialności.*  
*Po prostu rzeczy przybrały nie taki obrót jak powinny.*

*To wszystko.*

*Całuję was obie bardzo mocno.*

*Zawsze będę was kochał.*

*Na wieczność.*

Gdy list został już napisany, człowiek z CE przyłożył tłumik do lewej skroni starego generała i tym razem wystrzelił.

Potem uklęknął przy ciele Avarone'a. Włożył pistolet z tłumikiem do jego lewej dłoni, przedtem starannie rozmieściwszy odciski palców generała na broni, także na magazynku i pozostałych pociskach. Wstał i z coraz większą satysfakcją przyglądał się wyreżyserowanej przez siebie scenie. Perfekcyjne, powiedział sobie.

Patrząc jednak na ciało Avarone'a poczuł przypływ jakiegoś niewyraźnego niepokoju, który nie pozwolił mu się w pełni cieszyć.

Nawet po śmierci stary generał wydawał się jeszcze niebezpieczny. Czy powiedział prawdę?

Pogrążył się w domysłach. Czy w odwet za piekielną presję, jakiej został poddany, Avarone nie skłamał, czy wiedział wcześniej niż przyznał, że on, Wallahard, numer dwa CE, jest kretem, czy może przez cały ten czas posługiwał się nim bez jego wiedzy... Ale po co? W jakim celu? Wallahard, z racji swej pozycji, uświadamiał sobie, jakie zło wyrządza francuskim służbom specjalnym. Nic nie mogło ani nigdy nie będzie mogło usprawiedliwić i naprawić szkód, jakie już uczynił...

A jednak może coś takiego było?

Czy w misji Saxona rzeczywiście chodzi o to, co powiedział generał? Czy nie kryje czegoś innego? Jaki jest prawdziwy cel Saxona?

Może celem Saxona jestem ja? - zastanawiał się.

Wpatrywał się w trupa Avarone'a, jakby oczekiwał odpowiedzi. W końcu zauważył, że stary generał, żywy czy martwy, ma takie samo spojrzenie, zimne i zgaszone spojrzenie ryby - drapieżnej ryby.

Zwykłą koleją rzeczy powinien zasygnalizować to Centrali, poinformować o tym, że generał go przejrzał. Powinien powiedzieć Centrali o możliwości - mało prawdopodobnej, ale nie wykluczonej, a w każdym wypadku wymagającej głębszego rozpatrzenia - że generał zdemaskował go już bardzo dawno temu. Tak, powinien to zrobić. Ale w konsekwencji straciłby znaczenie w oczach Centrali. W najlepszym razie kazano by mu wracać. Jego działalność wyszłaby na jaw, a DGSE ścigałoby go... Wallahard nie miał najmniejszej ochoty żyć w ZSRR, a już na pewno nie chciał tam umrzeć. A więc Centrala może sobie iść do wszystkich diabłów! Tym bardziej że Centrala nie troszczyła się zbyt o jego bezpieczeństwo, a ci idioci na jej czele, aby zrealizować Bóg jeden wie jakie projekty, może nawet zaspokoić swe własne osobiste ambicje, nie zawahali się przed wydaniem rozkazu otwartego działania, nie zdając sobie sprawy ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, na jakie go narażali! Nie powinien więc mieć skrupułów. Teraz musi myśleć o sobie, wyłącznie o sobie. Każdy dla siebie, jak zwykle. I zawsze tak będzie.

Wallahard obserwował martwą twarz Avarone'a i poczuł, jak wzbiera w nim fala urazy i zimnej wściekłości.

Jezus Maria, mało brakowało, żeby go nakryli!

Uspokoił się dopiero na myśl, że wyszedł z tego cało, a zwłaszcza na myśl o bałaganie, jaki wywoła dzięki zainscenizowaniu wydarzeń, o ogromie zniszczeń, jakie to zapewne spowoduje.

Psy chciały go przepędzić? On sprawił, że teraz pożrą się między sobą.

Tak! Och, tak! Dzięki listowi Avarone'a pozabijają się wzajemnie!

Kilka godzin później, tuż przed porą wigilijnej kolacji mężczyzna o ciemnych włosach, średniego wzrostu, niczym się nie wyróżniający,

wyszedł pieszo z ambasady ZSRR w Paryżu, gigantycznego bunkra w zachodniej części miasta przy bulwarze Lannes. Jest to jeden z tak zwanych bulwarów Marszałków, które otaczają francuską stolicę. Nie spiesząc się mężczyzna doszedł do pobliskiej stacji metra Porte Dauphine i zniknął w podziemiu.

Był to oficer wywiadu należący do linii „N” dyrekcji „S” KGB - mówiąc jaśniej, oficer zajmujący się ochroną nielegalnych. Tego wieczora miał do spełnienia pewną misję.

Zaczął od zwykłych zabiegów mających upewnić go, że nie jest śledzony, jednak już w chwili wyjścia był przekonany, że nic takiego nie może się zdarzyć. A to z dwóch powodów. Przede wszystkim przygotowano mu teren. Jego wyjście było poprzedzone jednoczesnym wyjściem szóstki agentów z linii „KR”, mających ochraniać przed wrogimi knowaniami agentów wypełniających misję w terenie. Miało to zmylić mechanizm kontrolny zainstalowany przez DST, francuski kontrwywiad. Później zamilkł sygnalizator dźwiękowy, który miał przy sobie. Alarm włączy się wtedy, gdy dyżurny operator z „Zenitu” wychwyci podejrzaną szmer wokół niego, już po wyjściu. „Zenit” to nazwa sali znajdującej się we wszystkich sowieckich ambasadach, w części przypadającej rezydenturze KGB - w Paryżu są to trzy najwyższe piętra ambasady. W tej właśnie sali podsłuchiwane są dzięki najnowocześniejszym urządzeniom elektronicznym wszystkie rozmowy prowadzone w okolicy przez radio, a przede wszystkim rozmowy prowadzone przez DST.

Mimo tego podwójnego zabezpieczenia człowiek z KGB jak zwykle odbył swoją stałą trasę. Taka jest zasada postępowania, a zasady zostały stworzone po to, aby chronić ludzi. Ostrożności nigdy nie dosyć.

Tego wieczora jego misja polegała na opróżnieniu skrzynki „Golden Voice” i przekazaniu jej zawartości do Centrali w Moskwie. Mężczyzna nie wiedział, kto to jest „Golden Voice”. Wiedział jedynie, że operacja była nadzwyczaj pilna i wyjątkowa. Zazwyczaj, ale tego też nie wiedział, wiadomości od „Golden Voice” nie przechodziły przez ambasadę, lecz przekazywał je agent nielegalny mieszkający we Francji lub przybyły z innego kraju, a to wszystko w celu zapewnienia jak największego bezpieczeństwa kretowi. Jednakże gdy wymagały tego okoliczności, „Golden Voice” miał możliwość skrócenia normalnej

procedury i zaalarmowania ambasady, aby odebrała jego przesyłkę.

Skrzynka, którą posługiwał się „Golden Voice”, była jednorazowa. Nigdy przedtem jej nie używano i nie będzie użyta po raz drugi. To także dla bezpieczeństwa. Znajdowała się w podwójnym suficie, do którego można było się dostać przez otwieraną płytę ze środkowej kabiny męskich ubikacji w jednym z kin na Polach Elizejskich. Jako tymczasowa, skrzynka ta nie musiała spełniać surowych warunków dotyczących zwykłych skrzynek. Dojście do nich winno odbywać się w sposób naturalny i niezbyt utrudniony, nikt nie może widzieć wkładania i wyjmowania przesyłek, należy upewnić się, że nie są dostępne - tak w mieście jak i na łonie natury - dla zbyt ciekawych dzieci, zwierząt, personelu porządkowego, sprzątającego czy pilnującego. Człowiek z KGB wiedział o tym wszystkim, jednak stwierdził, że jakość tej skrzynki jest bardziej niż średnia, że skrzynka nie jest zbyt pewna. Przrzekł sobie, że zrobi uwagę na ten temat w swoim następnym raporcie dla Centrali. W KGB nie czekano na pierestrojkę ze ściganiem niekompetencji, była to troska każdej chwili, co jednak nie znaczy - dużo jeszcze do tego brakowało - że zdołano niekompetencję wykorzenić.

Człowiek z KGB wyjął z podwójnego sufitu męskiej toalety kopertę z papieru pakowego i oddał się bez przeszkód. O określonej godzinie, w umówionym miejscu na Polach Elizejskich wrzucił kopertę do wypchanego osiłkami z „KR” samochodu z rejestracją dyplomatyczną, który natychmiast ruszył. Mężczyzna wolał postąpić w ten sposób. Teoretycznie paszport dyplomatyczny chronił go przed sztuczkami francuskich służb specjalnych. Ale w rzeczywistości... W jaki sposób mógł protestować, u kogo szukać pomocy, gdyby napadł go jakieś „łobuzy” i okradły go z portfela, a jednocześnie z koperty?

Godzinę później odebrał kopertę z ambasady i udał się do referentury - czegoś w rodzaju „sali tajemnic”, bunkra w bunkrze wewnątrz pomieszczeń zarezerwowanych dla KGB. Wejście do niego jest chronione i dostępne jedynie dla nielicznych, pilnowane przez całą dobę przez uzbrojonych wartowników, oddzielone pancernymi drzwiami otwierającymi się tylko od wewnątrz. Przechowywano tam

dokumentację agentów, plany wywiadu, teksty tajnych depeš wysyłanych i nadchodzących z Moskwy. Tam znajdowały się także wszystkie urządzenia do porozumiewania się z Centralą.

Człowiek z KGB wręczył zakodowany tekst dyżurnemu szyfrantowi, który po przekodowaniu przekazuje go Centrali. Żaden z dwóch mężczyzn nie ma najmniejszego pojęcia o treści przesyłki „Golden Voice”.

W głównych zarysach przesyłka potwierdzała związek: Saxon - „Airways” - „Grom”. Były w niej także szczegóły na temat siatki „Airways” - kryptonimy agentów, hasła, rozplanowanie, ale nie było mowy o ich prawdziwej tożsamości. Na koniec podawała następującą informację:

„Saxon » Michael Deves. Agent klasy «Paradis». Niegdyś Nicolas de Witt... Fotografie Saxona nadejdą zwykłym kanałem”.

Natychmiast po wyjściu z samolotu Maria wykręciła numer telefonu z publicznej kabiny na dworcu lotniczym Roissy Charles-de-Gaulle, aby jak najszybciej porozumieć się z generałem Avarone. Usłyszała tylko sygnał w słuchawce dzwoniący bez końca. Postanowiła wtedy, żałując, że nie zrobiła tego od razu, skorzystać z kanału nadzwyczajnego. Numer telefonu знаła na pamięć. Zauważyła ze zdziwieniem, że był to numer hotelu Hilton-Suffren. Poprosiła niejakiego pana Kapłana. Telefonistka z centrali odpowiedziała, że łączy z jego pokojem.

Telefon dzwonił, wreszcie Maria usłyszała metaliczny głos, głos syntetyczny, który mówił:

- Dzień dobry. Pan Kaplan jest nieobecny. Po usłyszeniu sygnału dźwiękowego proszę zostawić wiadomość nie dłuższą niż trzydzieści sekund.

- Chciałabym zobaczyć się z wujem - rzekła Maria po usłyszeniu sygnału. - Zadzwoń później.

Zadzwoiła godzinę później, dwie godziny później, bez rezultatu.

Postanowiła pojechać do Normandii, do matki, która czekała na nią z wigilijną kolacją. W drodze zatrzymała się i znów zatelefonowała.

Tym razem głos ludzki, nagrany, ledwo słyszalny, oświadczył, że musi zadzwonić punktualnie o osiemnastej, a tymczasem potwierdzić odbiór na automatycznej sekretarce. Maria zrobiła, o co proszono, i zadzwoniła ponownie czterdzieści minut później. Ten sam głos podał

jej numer, na który powinna zatelefonować w ciągu minuty. Maria wykręciła ten numer.

Telefon dzwoni, ktoś odbiera.

Męski głos, dziwny, jakby lekko zniekształcony, mówi:

- Ograniczenie czasowe. Jeśli rozmowa zostanie przerwana, proszę do pierwszego numeru dodać 00-21-20-10, poczekać piętnaście minut i zadzwonić. Wszystko jasne?

- Zrozumiałam - odpowiedziała.

- Kim pani jest? - spytał głos.

- Siostrzenicą.

- Identyfikacja?

- Najpierw pan.

- Dobrze, że pani to powiedziała - odrzekł głos z zadowoleniem. - Nie muszę odpowiadać, wie pani chyba. Identyfikacja?

- 40-00-59.

- Sektor?

- Góry doliny.

- Ma pani chyba niezłą pensję - powiedział głos, głęboko i roz-  
wlekle. - Ale nie muszę wiedzieć, to osobista sprawa. Zgadza się pa-  
ni?

- Tak.

- Nic się nie zmieniło, powinno tak trwać dalej.

- Zrozumiałe.

- W porządku. Oprócz wuja ma pani rodzinę?

- Dlaczego pan pyta?

- Proszę odpowiedzieć.

- Nie.

- Nie, odpowiedź przecząca?

- Przecząca - rzekła Maria posłusznie. - Mam tylko wuja.

- Rozumiem - odpowiedział głos powoli i łagodnie. - Rozumiem.

- Chwila milczenia. - W takim razie mamy kłopot.

- Jaki kłopot?

- Pani wuj jest w podróży. Nie powiedział, kiedy wraca.

Serce zabiło jej mocniej.

- Niemały kłopot - powiedziała z trudem. - Mam tylko jego.

- Rozumiem - odpowiedział spokojnie. - Proszę się nie niepokoić.

Pomożemy pani wrócić. Nie powinna pani widzieć się z wujem. Ro-  
zumie pani?

- Tak - rzekła Maria starając się nie dopuścić do głosu wzbierającego w niej strachu.

- Pomożemy pani, niech się pani nie boi.

- Dobrze - odpowiedziała.

- Proszę zachować zimną krew, a wszystko będzie dobrze.

- Tak - powiedziała i zawahała się przez chwilę. - Czy sektor ulega zmianie?

- Doskonale - odpowiedział głos łagodnie. - Tylko tak dalej, tak jest dobrze. Odpowiedź brzmi: sektor się nie zmienia. Odpowiada to pani?

- Tak - szepnęła Maria przyciskając rękę do piersi, jakby bała się, że serce wyłamie jej żebra.

- Dobrze, teraz proszę mnie posłuchać. Odłóż pani słuchawkę, zmieni telefon i wykręci pani numer, który podałem. Proszę powiedzieć, gdzie pani jest. Nic innego, tylko to, gdzie pani jest. Zrozumiała pani?

- Tak.

- Przyjedziemy po panią. Sygnałem rozpoznawczym będzie nazwisko nagrane na sekretarce.

- Dobrze.

- Proszę powtórzyć cyfry, które należy dodać. Maria wymieniła cyfry.

- Doskonale - rzekł głos. - Teraz proszę odwieść słuchawkę.

Zrobiła, o co proszono.

Trzymała ciągle jedną rękę na aparacie, drugą oparła o szybę kabiny telefonicznej i jęknęła przeciągle, boleśnie. Potem kilkakrotnie odetchnęła głęboko, z całej siły, zupełnie jakby do tej chwili miała głowę pod wodą.

Sektor się nie zmienia.

Maria miała wrażenie, że jej serce za chwilę wyrwie się z piersi.

Przez szybę zobaczyła zjeżdżający z autostrady samochód o przyciemnionych szybach. Wjechał na pobocze, zwolnił i zatrzymał się nie opodal kabiny. Poczuli, że uginają się pod nią nogi. Drzwi samochodu otworzyły się, wysiadł mały chłopczyk i gdzieś pobiegł. Na pobocze wjechał drugi samochód...

Maria w pośpiechu wyszła z kabiny. Pobiegła do samochodu, szybko wsiadła i ruszyła z impetem, tak jakby pobocze miało zaraz wylecieć w powietrze.



Sektor się nie zmienia.

Ciągle dźwięczał jej w głowie głos nieznanego - głęboki, powolny i łagodny, prawie... aksamitny. Ten głos przerażał ją.

Sektor się nie zmienia.

To co nieprawdopodobne wydarzyło się! Och, mój Boże, jak to możliwe? Ten człowiek o wszystkim wiedział. O wszystkim! Znał rzecz do głębi, znał reguły! Przeszedł bez trudności przez pierwsze zabezpieczenie - fazę identyfikacji, był poinformowany! A potem manipulował nią. Gdy uruchomiła drugie zabezpieczenie, mające ją upewnić, że rozmówca nie mówi pod przymusem i że nie jest intruzem - czy sektor ulegnie zmianie? - odpowiedź tego człowieka dowiodła, że był zorientowany... ale dowiodła też tego, że był intruzem! Odpowiedź powinna brzmieć: sektor jest niezmienny!

Ten środek ostrożności, wymyślony przez Avarone'a, pozwalał na współpracę „A” z wrogiem „X” i na uniknięcie w ten sposób ewentualnego odwetu, a jednocześnie pozwalał uprzedzić „B”, że kontakt jest zakazany. Z początku taka ostrożność wydawała się Marii zbędna i wręcz śmieszna. Teraz już rozumiała jej sens. Zrozumiała, że ona właśnie prawdopodobnie uratowała jej życie.

Intruz!

Już samą swoją obecnością wystarczająco mógł Marię przestraszyć. Ale to, co powiedział, było tak przerażające, że względu na implikacje i konsekwencje, że nie mogła nie widzieć w intruzie kogoś nieprawdopodobnie groźnego.

Intruz powiedział jej właśnie, że generał Avarone nie żyje!

Później Maria próbowała uzyskać potwierdzenie tej wiadomości. Telefonowała bezpośrednio do Basenu - tak nazywano siedzibę francuskich służb specjalnych mieszczącą się przy bulwarze Mortier, naprzeciw basenu Tourelles. Wielokrotnie prosiła, aby połączono ją z generałem Avarone. Na próżno. Przy czwartej próbie wyczuła jakąś panikę, a potem dziwne napięcie w głosie kolejnych rozmówców. Zaczęła się bać, odwiesiła słuchawkę i zrezygnowała.

Potwierdzenie otrzymała tuż przed odlotem do Moskwy, gdy kupowała gazety na lotnisku Roissy Charles-de Gaulle. Większość gazet grubą czcionką wybijała ten sam tytuł: śmierć szefa DGSE, Charlesa Nevilles i wyższego oficera służb specjalnych, generała Georges

Avarone. Obaj zginęli w katastrofie samolotowej nad Alpami. Żadnej hipotezy nie można z góry wykluczyć, łącznie z zamachem, mówił komunikat Ministerstwa Obrony, ale pierwsze wyniki śledztwa zdają się wskazywać, że był to wypadek. Oczywiście, cała prasa w to wątpiła. Ten sam komunikat lakonicznie donosił, że nowy szef służb specjalnych zostanie oficjalnie mianowany w najbliższą środę przez Radę Ministrów.

Gdy samolot toczył się na pas startowy, Marię przytłoczyło silne poczucie osamotnienia i bezsilności. Czuli się jak cielę prowadzone na rzeź.

Lot uspokoił ją nieco i gdy ulokowała się już w tyle taksówki na lotnisku Szeremietiewo, ogarnęło ją zwodnicze uczucie, że znowu jest bezpieczna. Poczciwość kierowcy, który rozmawiał z nią przez całą trzydziestokilometrowa drogę do stolicy, umocniła ją w tym przekonaniu.

Szok, jakiego doznała zamknąwszy za sobą drzwi moskiewskiego mieszkania, brutalnie sprowadził ją na ziemię. Ujrzała czarny otwór lufy pistoletu wycelowanego w swoją twarz, potem dwoje oczu, szeroko otwartych, błyszczących, nieprzytomnych. Przez sekundę myślała, że Michael nie poznał jej, że zaraz strzeli.

- Michael, to ja - wybełkotała. - Przecież to ja!

- Co jest niemożliwe, Michael?

Milczał, a Marię na chwilę przestała interesować jego odpowiedź. Ogarnęła go przeciągłym spojrzeniem, jakby chciała odzyskać panowanie nad nim, przesiąknąć nim, wchłonąć go i w ten sposób zatrzeć to straszne wrażenie, jakie miała na początku, wrażenie, że nie może go odnaleźć.

Opowiedziała mu wszystko, niczego nie pominęła. Starła się relacjonować fakty jak najbardziej rzeczowo i dokładnie, tak jakby jej życie od tego zależało i jakby to było jedyną rzeczą, jaką może zrobić. Słuchał bez słowa, odezwał się tylko wtedy, gdy chciał jej przypomnieć, że powinna mówić ciszej - może nie było mikrofonów, ale byli sąsiedzi, Maria przecież nie mieszkała sama. Opowiadając czuła, że znów narasta w niej niepokój; nie tyle z powodu wydarzeń, o których mówiła - chociaż zdawało się, że opowiadanie o nich cichym głosem czyniło je jeszcze groźniejszymi - co z powodu samego Michaela, jego

wyglądu, jego milczenia. Żywy trup, pomyślała. Była przerażona jego bladością, podkreśloną jeszcze kilkudniowym zarostem, ściągniętymi rysami, pustką w spojrzeniu; nękała ją myśl, że mógł to być choć w części - przeczuwała to - rezultat kilkudniowego zamknięcia. Co go tak dręczyło?

- Co jest niemożliwe? - powtórzyła z naciskiem.

- Avarone - powiedział cicho.

- Co „Avarone”?

- To, że zabrali się za Avarone'a.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział.

- Co jest niemożliwe, Michael? Co jest dla nich niemożliwe? - zawałała się. Po chwili, już uspokojona, postanowiła mu wytłumaczyć.  
- Według ciebie kto odebrał telefon? Kto inny mógł odebrać telefon?

Deves wstał. Maria patrzyła, jak bierze papierosa i nie zapalając go znów powoli siada.

- Michael?

Zrobił ruch ręką, jakby prosił o chwilę do namysłu, tylko chwilę. W końcu powiedział:

- Masz rację.

Maria była zaskoczona.

- Ja mam rację?

- Tak.

- Jak to: mam rację?

- Co do śmierci Avarone'a - odrzekł. - Mógłby to być zbieg okoliczności, ale nie w sytuacji, gdy twój kontakt został zakażony - przerwał. - W każdym razie, nawet jeśli to zbieg okoliczności, niczego już to nie zmieni.

- Czego nie zmieni?

- Ta misja jest zatruta od samego początku - powiedział, jakby głośno myślał. - Silną trucizną... która już doszła do głowy.

Przez chwilę siedział nieruchomo, z błędnym spojrzeniem, potem przytaknął swym własnym słowom wydymając lekko wargi. Maria obserwowała go, zupełnie zbita z tropu, czując coraz większy niepokój. Powstrzymała się od krzyku.

- I to wszystko?

- Jak to, czy to „wszystko”?

- To wszystko, co masz do powiedzenia?
- Nie rozumiem.
- Nie rozumie! Ja chyba śnię! To nie jest...
- Nie tak głośno!

Maria nie spuszczała go z oczu.

- A co ja mam ci powiedzieć? - mówił dalej zniecierpliwiony. - Nie przejmuj się, kochana, wszystko w porządku: Avarone umarł ze starości, a ten facet, z którym rozmawiałaś, jest przyjacielem, nie musisz się martwić, to tylko zły sen, możesz dalej spać! To chciałaś usłyszeć?

Maria wzruszyła ramionami, milczała. W pewnym sensie miał rację. Rzeczywiście, milion razy wolałaby usłyszeć, że się pomyliła, że wymyśliła zależność zdarzeń, które nie mają ze sobą żadnego związku, że zdrada nie była aż tak rozległa, a niebezpieczeństwo nie tak duże, jak się obawiała. Może, nawet na pewno w głębi duszy spodziewała się takich słów.

Wstała i podeszła do okna. Dzień się kończył, ogromne kominy moskiewskich ciepłowni wyrzucały gęsty dym w ciemne, zamglone niebo. Na gotycko-stalinowskim drapaczu chmur - hotelu Ukraina, świeciła już elektryczna czerwona gwiazda, zupełnie bez wyrazu.

Dzień kończył się tak, jakby szybko chciał ustąpić miejsca nocy.

- Co teraz robimy? - spytała Maria stłumionym głosem.

Usłyszała, że Michael zapala papierosa, potem wypuszcza dym.

Odrzuciła się do niego i czekała na odpowiedź.

- Nie wiem - przyznał w końcu.
- Nie wiesz?
- Nie.
- Żartujesz, czy co?
- Wyglądam na to?

Była przygnębiona.

- Wspaniale! - krzyknęła. Po chwili opanowała się. - Niemożliwe, nie mogę w to uwierzyć! Na pewno coś trzeba zrobić. Może jest jakiś numer telefonu, ktoś, z kim trzeba się porozumieć, jakaś nadzwyczajna procedura, nie wiem! Ale na pewno przewidziano coś specjalnego w takich okolicznościach! Nie? - Deves nie reagował. Maria usiadła obok niego. - Michael?

- Nic takiego nie ma - odpowiedział.
- Niemożliwe!

- To ty zapewniałaś łączność, ja byłem na drugim końcu. Ty znałaś procedurę.

- Ale tylko do...

- Nic innego nie było, Mario. Nic nie ma!

- A jakby mnie złapali?

- Wróciłbym.

- Wróciłbyś?

- Tak. Nie miałbym wyboru.

Maria otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Michael zauważył to i westchnął szyderczo.

- Nie wystarczy wrócić, Mario. Trzeba jeszcze wejść. A żeby wejść, muszą być drzwi. I ktoś powinien je otworzyć.

Maria starała się zachować spokój.

- Dobrze, zgoda, rozumiem - powiedziała pojednawczo. - Rozumiem, co chcesz powiedzieć, doskonale rozumiem... Ale francuskie służby specjalne to nie tylko jeden Avarone. Musi być tam co najmniej tuzin różnych szefów, z którymi możesz porozmawiać!

- Na przykład kto?

- Byle kto, wszystko jedno!

- Skąd wiadomo, że to akurat ten?

- Nie mam pojęcia! To ty jesteś fachowcem w całej tej sprawie!

- Nie jestem fachowcem.

- Nie?

- Nie.

- To co ty tu robisz? - krzyknęła nie mogąc się opanować.

Michael znieruchomiał. Jego oczy straciły blask, jakby coś się w nim wyłączyło. Przez chwilę wydał jej się słaby i bezbronny jak dziecko. Była tym poruszona, a jej niepokój wzmógł się jeszcze, gdy ujrzała, że twarz mu się skurczyła, a spojrzenie, nagle otępiałe ze zmartwienia, zaczęło błądzić tu i tam, jakby w poszukiwaniu miejsca, na którym mogłoby spocząć i uspokoić się. Poczula się winna, choć nie rozumiała dlaczego, a to, o co poprosił, całkowicie odebrało jej odwagę.

- Chciałbym, żebyśmy przerwali naszą działalność - powiedział cicho. - Chciałbym, żebyśmy... - urwał.

Wydawało się, że za chwilę wybuchnie.

Z trudem przełknął ślinę, patrzył na nią z przedziwną mieszaniną delikatności i nieprawdopodobnej siły, aż poczula, że cały drży: było

to jak wołanie, wołanie, którego nie spodziewała się już usłyszeć, wołanie tylko do niej - do niej jednej!

Nie mogła zrobić najmniejszego gestu, wypowiedzieć choć jednego słowa; obawiała się, że jest ofiarą złudzenia, a przede wszystkim bała się przerwać tę chwilę czystego szczęścia. Świat wokół odpłynął. Nie widziała, że Michael wyciąga do niej rękę, nie czuła głaskania na policzku, nie słyszała jego słów. Czuła, jak ogarnia ją uniesienie, a serce przepelnia się bezgraniczną nadzieją.

- Mario...

To był szept, jak błagalna modlitwa, prawie skarga, ona jednak usłyszała. Popatrzyła mu w oczy i nagle nic już nie miało znaczenia, ani wątpliwości, ani obawy, wszystko znikło. Rzuciła się w jego stronę prawie nieprzytomna.

- Och, najdroższy, tak długo na ciebie czekałam! - krzyknęła. - Tak długo! Tak bardzo długo! Tak bardzo!

Michael obudził się i natychmiast opanowały go myśli jak wielkie, ciężkie ptaszyska; obsiadły go, jak gdyby tylko na to czekały, jakby przez całą noc czekały przy jego łóżku.

Otworzył oczy w ciemności.

Migrena się skończyła. Chociaż to, pomyślał. Dziękuję, mój Boże, dziękuję Twojemu aniołowi, poprawił się. Nie ruszał się, aby nie obudzić bólu pod czaszką.

Usłyszał oddech Marii, całkiem blisko, tuż obok. Słuchał. Słuchał, aby wyobrazić ją sobie w łóżku. Później już słuchał bez żadnego powodu, tak po prostu.

Nie wiedzą kim jest, ale teraz już wiedzą, że istnieje.

Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Starał się naśladować jej oddech, oddychać równo z nią i powoli uspokajał się.

Najdziwniejsze, że nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia ani urazy do siebie samego. Powinien mieć do siebie pretensje, wiedział o tym, miał do tego wszelkie powody - powinien śmiertelnie się nienawidzić! Zastanawiał się, czy nie jest to skutkiem tego nagłego przebudzenia i czy po pewnym czasie wszystko jakoś samo pomyślnie się ułoży. Może potrzebny był tylko czas? Myślał o tym i doszedł do wniosku, że to bardzo możliwe, postanowił więc po prostu skorzystać z tej chwili wytchnienia, nie było w tym nic złego. Nie miał do siebie

pretensji, bo po prostu nie mógł ich mieć. Jesteś jedyny... Tak, jest jedyny. Ale wszystko ma swoje granice. Nawet w jego przypadku. A co złego w tym, że... Dobrze wiesz, co w tym złego. Nie wiedzą, kim ona jest... To prawda, nie wiedzą i tak musi być. Zawsze!

Słuchał, jak Maria oddycha, i nagle poczuł się przerażająco, bezgranicznie samotny. Leżał ze ściśniętym gardłem, ale oparł się pokusie przytulenia się do niej, ukojenia bólu w jej objęciach...

Wszystko wróci do normy, pomyślał z goryczą. Nie! Nie zostawiaj tego tak! Nie ulegaj! Pomyśl o niej, to najlepsze, co możesz zrobić. Ale gdy myślę o niej, nie mogę nie... Pomyśl o niej! Pomyśl o tym, co powinieneś dla niej zrobić! Teraz już wiedzą, że ona istnieje. Czy jest coś, co się bardziej liczy? Coś co jest więcej warte? Nie? No to myśl o niej. Tak! Myśl o Saxonie. Saxon sieje śmierć na swojej drodze. Tak! Pomyśl o tym wszystkim. To najlepsze, co możesz zrobić, wiesz przecież.

Poruszyła się. Powstrzymał bieg myśli i oddech, bo obawiał się, że ją zbudzi. W jednej chwili zapadła kompletna cisza. Zdawało mu się, że Maria patrzy na niego. W końcu usłyszał oddech, najpierw dość głośny, potem lekki i regularny, wreszcie ledwo słyszalny, jakby się oddalała.

Wiedzą, że istnieje... ale nie wiedzą, kim jest, i nigdy nie będą wiedzieli! Nie masz się co przejmować, najdroższa, możesz spać spokojnie. Nigdy się tego nie dowiedzą, obiecuję ci.

Zastanawiał się nad najlepszym sposobem dotrzymania tej obietnicy, doskonale wiedząc, że jest tylko jeden: odsunąć ją, odciąć się od niej. Ona na pewno się nie zgodzi, będzie protestować, buntować się. Ale trzeba tak zrobić. Dostosuje się. Porozmawiam z nią; wiem, co jej powiedzieć. Ale czy mnie wysłucha? Zwłaszcza teraz, gdy wszystko popsulem? Jak mogłem tak się dać podejść? Jak?

Teraz miał do siebie pretensje... Teraz rzeczy wracały na swoje miejsce.

W ciemności spojrzął na zegarek: była prawie szósta rano. Odwrócił się, poszukał jej wzrokiem w ciemności, czuł ciepło jej ciała, oddychał jej zapachem. Potem powiedział sobie, że to nie ma sensu, i wstał.

Poszedł do kuchni, podgrzał wodę na kawę i pił stojąc przy oknie, paląc papierosa, zupełnie nie myśląc.

W dole, obok budynku rozbłysły reflektory; przez chwilę bezmyślnie śledził blade smugi światła na śniegu. Nagle zastanowił się, co to może być?

Wytarł parę z szyby i dojrzał ciemną bryłę ciężarówki, kilka sylwetek ludzi, ciężkich, bezkształtnych, krążących dookoła samochodu. Poszedł zgasić światło, wrócił z bijącym sercem, zdecydowanym ruchem otworzył okno. Kobiety! Zrozumiał, że niepotrzebnie się zaniepokoił: był to samochód wywożący śmiecie. Jak urzeczony oglądał ten dziwny spektakl odgrywany przez kobiety, przeważnie starsze, niezgrabne, bez radości robiące to, co do nich należy, każda w swoim rytmie, każda na miarę swych możliwości. Wszystkie dreptały kołyszącym krokiem po zmarzniętym śniegu bez jednego słowa, bez szmeru, w ciszy nocy zakłóconej pomrukiem silnika ciężarówki - ich współnika. Wydawało się, że wszystko spiskuje w ciszy i w zapomnieniu, a przede wszystkim kobiety.

Deves zmarzł, zamknął okno, zrobił sobie drugą kawę i wypił prawie się parząc, zupełnie już rozbudzony.

Rzeczy powróciły na swoje miejsce... Teraz już wiedział, gdzie jest, kim jest i dlaczego tu jest. Zaczął rozmyślać, chciał dokładnie określić sytuację i utwierdzić się w postanowieniu, które właśnie się w nim rodziło.

Wysłano go na terytorium Związku Sowieckiego. Miał odzyskać kontrolę nad rozpadającą się siatką „Airways”. Odkryć, co się wydarzyło, dowiedzieć się, dlaczego jedno z odgałęzień tej siatki przepadło, a jej szef nie odpowiadał. Już na samym początku sowieci próbowali go zabić, a ponieważ im się to nie udało, zgładzili wszystkich po kolei agentów, z którymi miał się skontaktować. Saxon sieje śmierć na swojej drodze. A teraz usunięto także szefów - mózgi kierujące jego misją! Tak jakby wszystko w tej misji, od jej koncepcji aż do celu, poprzez jej głównego wykonawcę miało zostać unicestwione i miało zniknąć. Jakby „Airways” krył w sobie jakąś tajemnicę, którą miał zachować na zawsze i której nikt nie miał prawa przeniknąć. Jakby chęć wyjścia naprzeciw, próba uchylecia rąbka tajemnicy rozbudziła nagle ukryte piekielne moce, a ich morderczy szal spadł na wszystkich bez wyjątku, łącznie z tymi, którzy - najniewinniejsi z niewinnych - nie stanowili dla nikogo zagrożenia: dziećmi „Airways”.

Co to była za tajemnica? Tajemnica tak straszna, że ktoś, gdzieś,



postanowił wszystko zniszczyć, zmasakrować raczej niż ryzykować jej odkrycie? Co to za cholerna tajemnica?

Saxon sieje śmierć na swojej drodze...

Trzeba z tym skończyć... Trzeba ich zawiadomić!

Ale jak? Pomyśl jak! Zastanów się! Pomyśl o innych, pomyśl o tych, którzy już nie żyją, o tych, których możesz uratować, pomyśl o niej, na pewno coś wymyślisz. Wymyślisz!

- Dlaczego akurat o nim pomyślałeś?

- Tak sobie. Po prostu przyszło mi to do głowy.

- Znasz go?

- Był w grupie Avarone'a na początku, kiedy mnie zwerbowali. Lubilem go. On chyba też mnie lubił.

Maria wzięła w dłoń filiżankę dymiącej kawy i uniosła do ust. Lekko dmuchała, aby ostudzić gorący napój. Nie podnosząc oczu, spytała:

- Kiedy to było?

- Kilka lat temu - odpowiedział Michael.

- Spotkałeś go potem?

- Nie.

Maria lekko się zawahała, spuściła oczy i znowu dmuchała na kawę, zanim wypila mały łyżeczek.

- Będzie cię pamiętał?

- Myślę, że tak. Powiedziałem ci, że dosyć mnie lubił.

- Masz do niego zaufanie?

Michael zastanawiał się chwilę, po czym rzekł:

- Tak czy owak nie mamy wyboru.

- Dlaczego?

- Wziąwszy pod uwagę jego wiek, jest to na pewno jedyny człowiek z tamtych lat, który pracuje w służbach specjalnych. I na dość wysokim szczeblu.

Maria obserwowała go sponad filiżanki z kawą. Była skłonna przyznać mu rację.

- Dobrze - powiedziała odstawiając na stół filiżankę. - W takim razie co robimy? - uśmiechnęła się wreszcie.

Michael pomyślał, że jest piękniejsza, bardziej rozczulająca niż zwykle. Wydawało się, że wstała jakby odnowiona, bardziej ożywiona,

wręcz nie do wiary - jej twarz stała się delikatniejsza i łagodniejsza, błękit oczu bardziej przejrzysty i świeży, ciało pełniejsze i delikatniejsze.

Oderwał od niej oczy.

Przed wszystkim trzeba ją podejść.

- Będę cię potrzebował, Mario - uprzedził niby lekko zakłopotany.

- Oczywiście! - odpowiedziała zmieszana.

Pójdzie łatwo. Łatwiej niż myślałeś.

- Wracamy - powiedział.

- Wracamy? Dokąd?

- Paryż.

- Kiedy?

- Jutro.

- Oboje?

Przytaknęła ruchem głowy.

- Nie możemy pozostać w Moskwie. To zbyt niebezpieczne. Musimy wyjechać.

- Dobrze - rzekła Maria i głęboko odetchnęła.

Michael przez chwilę milczał, po czym dodał:

- Ty się z nim skontaktujesz.

- Ja?

- Tak.

- Dlaczego?... - wydawało się, że nagle ogarnia ją gorączkowy niepokój. - A ty gdzie będziesz?

- Będę blisko, zaraz ci wytłumaczę - powiedział, żeby ją uspokoić. Widział, że jest coraz bardziej zaniepokojona. - Nie masz się czego bać - dodał szybko, nie wiedząc, jaki jest prawdziwy powód jej niepokojów. - Niczym nie ryzykujesz, powiem ci, co masz robić. Przysięgam, że nic ci się nie stanie.

Spojrzała na niego z wyrzutem, prawie z bólem.

- Michael!

- Co?

- Dobrze wiesz, co... - zawahała się, po czym nagle zmieniła zdanie. - Dobrze, zgoda... Ale dlaczego akurat ja? Co przez to osiągniesz?

Powiedzieć prawdę.

- Chodzi o bezpieczeństwo - powiedział.

- Bezpieczeństwo - powtórzyła, jakby nie mogła uwierzyć.
- Tak.
- Czyje bezpieczeństwo?  
Skłamać.
- Moje - odpowiedział.
- Naprawdę?
- Jesteś jedyną osobą, która może bez ryzyka skontaktować się z nimi - oświadczył. - Nawet teraz, po tym, co się wydarzyło, nie wiedzą, kim jesteś... Ja muszę się ukryć, pojawić się dopiero w ostatniej chwili.

Dobrze to przemyślał: to było najlepsze wyjście. Z każdego punktu widzenia. Nie był nawet pewien, czy będzie mógł wyjechać ze Związku Sowieckiego... W każdym razie, gdyby sprawa miała przyjąć dla niego zły obrót, był przynajmniej pewien, że Maria w razie potrzeby będzie miała jakieś wyjście bezpieczeństwa. Oni nie wiedzą, kim jest, ale na pewno zechcą się dowiedzieć, to jedno jest pewne. Ponadto ludzie z DGSE w ten sposób dowiedzą się o wiadomości, jaką przesyła Saxon, i zrozumieją, co się wydarzyło, ocenią rozmiary zdrady, która ich skrycie drażyła, może jakoś zareagują, może zaczną ścigać zdrajcę? Tak czy owak, był to najlepszy sposób na odsunięcie Marii: łagodnie, stopniowo, tak, żeby sobie z tego nie zdawała sprawy... Tak, dobrze się zastanowił. Będzie jeszcze Paryż, a potem odetnie się od niej. Całkowicie.

- Rozumiesz? - spytał. Obserwowała go niezdecydowana.
- Potrzebuję cię - rzekł, aby wreszcie ją przekonać. Skinęła głową prawie mimo woli.
- Trzeba uważać - zaczął, zanim zdołała się opanować. - Musisz być bardzo ostrożna. Mówić jak najmniej. Nie odpowiadać na pytania. Słyszysz? Przede wszystkim nie odpowiadać. Wszystko odbędzie się przez telefon. Nawet ze mną. Musimy ustalić nasz własny kod, coś w tym rodzaju jak twój kod z Avarone'em. To zwykła ostrożność - uściślił szybko, aby ją uspokoić, po czym dodał, bo zdał sobie sprawę ze swej niezręczności: - Nie wiem, dokąd zmierzamy, nie wiem, co się może zdarzyć... Rozumiesz?

Przytaknęła w milczeniu. Deves zawahał się, nie wiedział, czy to dobry znak. Postanowił ciągnąć dalej:

- Musimy działać szybko, nie mamy czasu do stracenia. Najpierw

muszę stąd wyjechać, pojechać po dokumenty. Przez ten czas ty zajmiesz się biletem na samolot, a potem kupisz mi ubranie. Nie mogę jechać w tym, co mam na sobie. Wszystko znajdziesz w „Bieriozce” w hotelu International, dam ci pieniądze. - Przerwał. Wydało mu się, że Marii wystarczy to, że może na niego patrzeć. Zmieszał się. - Nie zapomnij o ambasadzie - powiedział nagle. - I nie rób głupstw! - zwrócił jej uwagę tak, jakby zamierzała popełniać głupstwa. - Powiedz im cokolwiek, że matka zachorowała albo coś innego, co chcesz, ale niech to się trzyma kupy. Zgoda?

- Michael?

- Co?

- Nie wyjeżdżamy razem, prawda?

Cholera...

- Nie - odpowiedział.

- Ostrożność? - spytała z ledwo wyczuwalną ironią.

Deves udał, że jest bardziej zirytowany, niż był w rzeczywistości.

- Mam powrotny bilet do Helsinek. Nie ma żadnego powodu, abyś leciała przez Helsinki. Żadnego! To byłoby podejrzane. A więc niebezpieczne. Dla nas obojga. - Uspokoiła się. - Rozumiesz? Czy rozumiesz?

Maria siedziała nieruchomo, tak jakby w duchu słuchała echa jego słów i chciała wysłuchać do samego końca.

- Michael, na pewno nie kłamiesz?

- Posłuchaj, teraz mam co innego do roboty, niż...

- Odpowiedz.

- Nie!

- Nie? Nie kłamiesz?

- Nie, nie kłamię! Wystarczy?

Chyba się tym zadowoliła.

- Nie musisz krzyczeć.

Michael otworzył usta, lecz uprzedziła go:

- Zrobię, co tylko zechcesz - powiedziała. - Dokładnie to, co zechcesz.

Niebo było doskonale niebieskie, jasne, ziemia biała. W lesie wiał chwilami słaby wiatr. Panowała zupełna cisza, prawie można było jej

dotknąć. Od czasu do czasu zwały śniegu odrywały się od drzew i spadając na ziemię wydawały głuchy, stłumiony dźwięk.

Michael położył makarowa i czerwoną legitymację KGB na plik dolarów w małej metalowej walizeczce - z dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, które w niej były, wziął tylko siedem tysięcy. Zamknął walizeczkę, owinał w plastikową torbę, umieścił w torbie z grubej gumy - żaden aparat nie wykryje w niej metalu - po czym zakopał wszystko na nowo, starannie przykrywając to miejsce śniegiem. Odzyskał już swoje fałszywe dokumenty, sprawdził, czy są w porządku. Paszport niemiecki, każda z dwóch stron wizy nosiła czerwoną pieczęć wjazdową, jaką stawia służba graniczna; formularz dewizowy był należycie wypełniony, ale zupełnie czysty. Musiał tylko na wizie wbić stempeł z datą z hotelu International pieczętąką, która była w walizeczce, w małym hermetycznym pojemniku.

Deves oddalił się, zamazując ślady gałęzią. Nieco dalej, pod korzeniem, ukrył łopatkę. Zawahał się chwilę, zanim wypił resztkę, zaledwie łyk, wódki użytej do zmiękczenia ziemi, potem daleko odrzucił butelkę. Jeszcze przez chwilę wahał się, czuł, że coś powinien zrobić, ale nie wiedział co. Wreszcie pomyślał, że może już sobie pójść nic nie robiąc, tak zwyczajnie.

Usiadł plecami do drzewa.

Maria całkiem nieźle wybrała to miejsce. Kilka kilometrów od Moskwy, w samym środku Krastyskoje, jednego z licznych lasów, do których moskwianie przyjeżdżają o każdej porze roku, nawet w zimie. W lesie Krastyskoje było też naturalne lodowisko, bardzo cenione przez amatorów, oraz sieć pofałdowanych dróg, idealnych do uprawiania narciarstwa biegowego. Tak, pomyślał, miejsce jak wiele innych. Dlaczegoż miałyby nie wybrać lasu Krastyskoje?

Nagle zaczął się zastanawiać, czy nie zrobiła tego umyślnie.

Nonsens, wiedział, że to nonsens. To zwykły zbieg okoliczności, był tego pewien... Ale ten zbieg okoliczności głęboko go poruszył. Odczuł to jak jakiś złowróżbny znak, odrażający aż do mdłości.

Kilka lat wcześniej w lesie Krastyskoje powiesił się jego ojciec.

Michael patrzył na otaczające go drzewa, starał się z nimi zaznaczyć, obserwował pnie, niskie gałęzie, tak jakby je rozpoznawał. Po chwili zrezygnował. Kilka lat temu jego ojciec zagłębił się w las Krastyskoje w poszukiwaniu drzewa, na którym mógłby się powiesić - każde z nich było odpowiednie.

Myślał o ojcu, a także o matce. Zdał sobie sprawę, że wcale go to już nie poruszało. Tak jakby zostało wykreślone, jakby znalazło się w innej epoce. W innym życiu. W rzeczywistości nie myślał już o nich. Prawie wcale.

W końcu zdecydował się wracać.

Jadąc później autobusem do Moskwy, widział w myślach drzewa z Krastyskoje, białe i czerwone, pozbawione liści. Posępni wartownicy pamięci. Oddał się tej wizji, aby upewnić się, że już na nim nie robi wrażenia, potem odpędził ją i zaczął myśleć o czym innym, w końcu o niej zapomniał.

W Moskwie są dwa koguty, którym warto bliżej się przyjrzeć, dwie metalowe rzeźby, kunsztowne imitacje Cesara. Jeden zdobi zegar na Teatrze Marionetek przy północnym bulwarze Sadowaja Samotiochnaja i co godzinę brzęczy nad uszami mieszkańców dzielnicy, wydając donośne kukuryku, które bez trudu zagłusza hałas samochodów. Drugi, monumentalny, lepiej wykończony, znajduje się w hallu hotelu International.

Gdy Deves wrócił do hotelu, było już ciemno. Jego wygląd był w każdym calu dokładnie i ponuro sowiecki, więc pomimo pewnej siebie miny został zatrzymany przez jednego z portierów, który nie chciał go wpuścić. Ustąpił jednak, gdy tylko ujrzał niemiecki paszport - w Związku Sowieckim do hotelu dla cudzoziemców mieli wstęp tylko cudzoziemcy, klienci lub odwiedzający; pierwsi musieli pokazać przepustkę, drudzy paszport lub - czasy się zmieniają - kartę kredytową. Obywateli sowieckich nie wpuszczano, chyba że byli ważnymi osobistościami i mogli tego dowieść, albo jeśli mogli dać w łapę portierowi czy milicjantowi pilnującemu wejścia. Oczywiście w dewizach, na co mógł sobie pozwolić wyłącznie światek drobnych handlarzy czy liczne prostytutki, każdego wieczoru przesiadujące w barach dużych hoteli.

International był najnowocześniejszym moskiewskim hotelem, w którym zatrzymywali się ludzie interesu. Miał obszerny, jasny hall z licznymi sklepami, eleganckie restauracje, bary. Kręcili się tam elegancyjny ludzie, jakby nie mieli nic innego do roboty; przezroczyste bańki wind bezgłośnie wjeżdżały i zjeżdżały. Otoczenie i atmosfera niespecjalnie zaskakujące, to samo można znaleźć w Tokio, Hongkongu

czy Los Angeles. No, może z wyjątkiem ogromnego stalowego koguta, sterczącego na swoim miejscu.

Michael szedł nie spiesząc się, szukając wzrokiem Marii. Nie było jej, więc usiadł na okrągłej wyściełanej ławce. Obok dwaj Niemcy spokojnie rozmawiali, trochę dalej, po prawej stronie, rozparty Japończyk, w samej koszuli, drzemał obok walizek i toreb marki „Vu-itton”. Deves przez chwilę z rozbawieniem obserwował Japończyka. Jakiś mężczyzna o wyglądzie mieszkańca Bliskiego Wschodu, ubrany jak spod igły, usiadł nie patrząc na nikogo na miejscu, z którego mógł - było to chyba jego jedyne zajęcie - obserwować nowo przybyłych. Michael nie zwrócił na niego większej uwagi. Zapalił papierosa, czuł się bezpieczny, przyjemnie odrętwiały po długotrwałym marszu przez Moskwę.

Był prawie zawiedziony, gdy ujrzał wchodzącą Marię. Podeszła do ławki, jednym spojrzeniem w oczy upewnili się wzajemnie, że wszystko w porządku. Michael zauważył, że jest bardzo napięta -za bardzo napięta, pomyślał. Przez chwilę wahał się, spojrzał na zegarek, po czym pod wpływem nagłego impulsu wstał i podszedł do niej.

- Popatrz na Japończyka - powiedział mijając ją.
- Na kogo? - wyszeptwała przerażona.
- Na Japończyka na ławce.
- Dlaczego?
- Popatrz na niego!

Maria posłuchała i odsunęła się nieco.

Nagle straszne wycie rozdarło ciszę panującą w hallu. Jakieś dziecko zaczęło biec z krzykiem między znieruchomiałymi, osłupiałymi ze zdziwienia ludźmi; z głębi hallu doleciał okrzyk, po nim inne, towarzyszyły im wybuchy śmiechu. Była godzina osiemnasta, więc anonsował to kogut hotelowy! Marię ogarnął szalony śmiech na widok Japończyka na czworakach obok ławki, ogłupiałego, okrągłymi oczami patrzącego na koguta - zupełnie jakby czekał, aż kogut wytłumaczy mu, co się stało.

Maria śmiała się jeszcze, gdy Deves wsiadł do jej samochodu. Później się śmiali znowu w mieszkaniu przy ulicy Kutuzowa, podczas posiłku. Dzięki temu przez chwilę mieli wrażenie, że żyją jak inni ludzie, normalni, beztroscy. Deves robił wszystko, aby ta chwila trwała jak najdłużej. Wreszcie - czas naglił - postanowił powiedzieć

Marii, czego od niej oczekuje w Paryżu, co powinna robić i jak powinna robić. Maria słuchała go potulnie, nie dyskutując o szczegółach, nie zadając pytań, jakby wszystko było zupełnie naturalne i wcale dla niej nie nowe. Szybko przyswajała sobie instrukcje i kody, które jej przekazywał.

Gdy skończył, spytał, czy naprawdę nie chce zadać żadnego pytania. Zawahała się, najpierw chciała upewnić się, czy już na pewno powiedział jej wszystko, po czym dziwnie się uśmiechnęła i odpowiedziała, że tak, chce zadać jedno pytanie.

- Teraz chciałabym kochać się z tobą - powiedziała cicho, patrząc mu prosto w oczy. - Zgadzasz się?

- Nie śpisz?

- Nie. Ty też nie?

- Nie - odpowiedział. - Powinniśmy spać.

- Tak - rzekła. - Która godzina?

W ciemności popatrzył na zegarek.

- Prawie pierwsza. Postaraj się zasnąć.

Maria poruszyła się w łóżku, wyciągnęła się na plecach. Odgadł, że ma otwarte oczy.

- Dlaczego nie śpisz? - spytał.

- Nie wiem. A ty?

- Nie mogę zasnąć.

- Ja też nie.

Michael wpatrywał się w otaczającą go ciemność.

- Boisz się?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Tak. Milczenie.

- O co chodzi, Mario?

- O nic.

- Jak to o nic?

- O nic, przecież mówię.

- Mario...

Znowu milczenie.



- Kocham cię - powiedziała w końcu, jakby to było powodem wszystkiego, jej szczęścia i nieszczęścia.

- Rzeczywiście, co za obsuwa - powiedział.

- Łobuz! - krzyknęła ze śmiechem.

Przysunęła się do niego.

- Jesteś całkiem zimny!

- Bo jest mi zimno.

- Jak można tak zmarznąć?

- Po prostu jest mi zimno.

- Nie kpjij ze mnie! - uśmiechnęła się lekko.

- Przecież nie kpię.

- Aha... - przysunęła się jeszcze bardziej. - Rozgrzeję cię. Zobaczysz, zaraz ci będzie ciepło.

Poczuł, jak przytula się do niego miękko, tkliwie. Twarz wtuliła się delikatnie w zagłębienie przy jego ramieniu, loki lekko muskały jego pierś; czuł jej ramię przytulające go, ściskające. Przez chwilę całym sobą rozkoszował się tym wszystkim, aż wreszcie nie czuł już nic. Istniały tylko ich połączone oddechy, blisko, w ciemności, i kojąca rozkosz spajająca ich w jedno.

Maria przelknęła ślinę, twarz oparła o jego ramię. Czekał. Powiedziała:

- Jednak trochę się boję.

- Czego?

- Nie wiem. Wszystkiego.

- To śmieszne.

- Wiem.

Odsunęła się. Słyszał, jak westchnęła. Spytała:

- Dlaczego nie możemy wyjechać razem?

- Powiedziałem ci, dlaczego.

- Wiem, co mi powiedziałaś. To przecież nie ma sensu, dobrze wiesz! Mogę jechać przez Helsinki. Już tak było!

- Byłoby to szaleństwem.

- Dlaczego? Dlaczego? Michael, proszę cię! Powiedziałaś, że dokumenty masz w porządku, że nie będzie żadnych kłopotów...

- Tak...

- Więc gdzie jest problem?

- To zbyt ryzykowne.

- Dla kogo? Dla ciebie czy dla mnie?

Zawahała się.

- Nie jesteś jeszcze moją współniczką...

- Rozumiem to doskonale! Ale przecież powiedziałaś, że nic ma żadnego problemu!

- Nigdy nie wiadomo - powiedział.

- Czego nie wiadomo?

- Ktoś, gdzieś mógł widzieć moją twarz, ktokolwiek... Nie chcę, żebyś narażała się choćby na najmniejsze ryzyko... Jasne?

Milczenie.

- Czy to możliwe? - spytała cicho.

- Co?

- To co powiedziałaś. Że ktoś mógłby cię wysledzić.

- Nie - powiedział stanowczo. - Jestem pewien, że nie. Wszyscy, którzy mnie widzieli, nie żyją - dodał, jakby dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

- Ale nigdy nie wiadomo, prawda? - spytała smutno.

- Tak - odrzekł i natychmiast tego pożałował.

Zamilkli.

Maria usnęła pierwsza. Michael długo jeszcze leżał mocno do niej przytulony, jakby chciał obronić się przed wyciągającymi się ku niemu ramionami, których domyślał się w ciemności.

Te ramiona - to gałęzie drzew lasu Krastyskoje.

Następnego dnia w tym samym czasie, lecz każde oddzielnie, wzięli taksówki na międzynarodowe lotnisko Szeremietiewo. Ich samoloty startowały w odstępie niecałej godziny, najpierw odlatywał samolot Marii.

Czekając na odprawę celną Maria ciągle obserwowała tłum w halu dworca lotniczego, chciała odnaleźć Michaela. Na próżno. Nie była tym zaskoczona, jedynie trochę zawiedziona.

Nie znamy się. Nie rozmawiamy. Nawet nie patrzymy na siebie.

Po raz ostatni odwróciła się przed okienkami kontroli granicznej, okienkami o matowych, przyciemnionych szybach; po chwili, już spokojna, skierowała się do wyjścia zarezerwowanego dla dyplomatów - ostatecznie wolała go nie widzieć, nawet jeśli tu był.

Przez kontrolę przeszła bez przeszkód, doszła do strefy bezcłowej, gdzie czekał już tłumek podróżnych, odwzajemniła uśmiech

korespondenta AFP, którego spotkała kiedyś na przyjęciu w ambasadzie, poszukała wzrokiem kolegi z działu kulturalnego. Wiedziała, że ma lecieć tym samym samolotem, ale nie znalazła go, przechadzała się więc w sklepie bezcelowym, w którym nigdy niczego nie kupowała ani w Moskwie, ani gdzie indziej, no, może czasem mały flakonik perfum dla matki z jakiejś specjalnej okazji.

Wyjście do samolotu opóźniło się o dwadzieścia minut z niewiadomego powodu. Maria przepuściła większość pasażerów. Nie widząc ciągle attache kulturalnego ambasady, postanowiła wsiąść. Rozmyślnie zignorowała obecność dwóch uzbrojonych strażników granicznych, którzy stali na zakręcie „rękawa”, niecałe pięć metrów od drzwi samolotu Air France. Jeden z nich uważnie patrzył, jak kapitan wpuszcza pasażerów.

Maria usiadła w tyle business class, przy okienku, miejsce obok niej było puste. Spóźnienie wzrosło o kwadrans „z powodów technicznych zaistniałych na lotnisku Szeremietiewo”.

W ostatniej chwili, gdy stewardesa chciała już zamykać drzwi samolotu, na pokład wsiadł wysoki brodaty mężczyzna w jasnych szylkretowych okularach, otulony angielskim trenczem, i wydał głośny okrzyk ulgi. Powiedział coś do stewardesy i stewarda, którzy zaczęli się śmiać, dostrzegł Marię, dał jej znak, że zaraz koło niej usiądzie, znowu coś powiedział do stewarda, ten znowu wybuchnął śmiechem potrząsając głową, po czym, w chwili gdy samolot ruszył, dotarł do Marii ze śmieszłą, przesadnie przerażoną miną - już z góry chciał jej dać do zrozumienia, przez co musiał przebrnąć, aby znaleźć się wreszcie w samolocie.

- Co się z tobą działo? - spytała Maria z uśmiechem.

- Lepiej nie mówić! - odpowiedział attache kulturalny głosem dziwnie cienkim jak na takiego kolosa. - Mało brakowało, a bym się spóźnił! Musiałem poruszyć niebo i ziemię, żeby mnie przepuścili!

- Z jakiego powodu?

- Z powodu ich głupoty! - odpowiedział.

Przybrał ponurą minę. - Czasy się zmieniają... wszystko się zmienia, a na głupotę nie ma siły! Gdy chodzi o ich granice, te ruskie tu-many zupełnie dostają kręćka! - westchnął rozbawiony. - Dokładnie kręćka!

- Co ty mówisz? Co się stało?

- Gorzej niż pożar w burdelu. W jednej chwili zablokowali wszelkie kontrole. Udało mi się przejść dzięki znajomemu Gruzinowi, wydarł mi jednak dwadzieścia dolarów. Powiedział, że dostali rozkaz, aby wstrzymać kontrolę, dopóki wszyscy nie dostaną zdjęcia faceta, który jest poszukiwany. Z tego, co mi powiedział, wynika, że chodzi o jakiegoś Amerykanina.

- Amerykanina? - wybełkotała Maria.

- Tak, jakiś Deve czy coś w tym rodzaju... Po prostu kipią ze złości. Zdaje się, że jego zdjęcie zostało rozesłane po całym kraju.

Maria nie słyszała już, co do niej mówił attaché kulturalny. Z całych sił ścisnęła oparcie, zdawało jej się, że zaraz się uduśi, chciała wyć, lecz zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie nic zrobić. Gdy samolot zakręcił, aby wjechać na pas startowy, miała wrażenie, że przyspieszając oddalił ją od tego wszystkiego, przeniósł w inne miejsce, tak jak zabiera się z niebezpiecznego miejsca dziecko, aby je ochronić. Czowała, że łzy napływają jej do oczu, błagała samolot, żeby się pospieszył. Błagała jeszcze wtedy, gdy wzrastał się huk silników, maszyna pędziła... a ona błagała i błagała. Samolot jakby wysłuchał jej życzenia, wyrwał do przodu i wzbil się w powietrze.

Michael natychmiast pojął, że coś jest nie w porządku.

W gęstym tłumie i zgiełku od razu dostrzegł wylaniających się zewsząd ludzi w mundurach, zajmujących pozycje w punktach strategicznych. Wychwycił energiczne rozkazy oficerów milicji i strażników granicznych kręcących się tu i ówdzie. Kiedy nagle, bez wyjaśnienia przerwano wszystkie działania kontrolne, ku zmartwieniu najbardziej spieszących się pasażerów, był przekonany, że jedynym powodem i przedmiotem całej tej pantomimy jest on - tylko i wyłącznie on!

Ale już było za późno.

Kontrolę celną miał za sobą, znajdował się teraz w strefie przejściowej poprzedzającej stanowiska kontroli paszportów, był unieruchomiony na czele kolejki. Naprzeciwko niego, przed okienkami, jak wryci stali strażnicy owinięci obszernymi płaszczami koloru khaki, z rękami na karabinach; pozostali, a także milicjanci, stali pomiędzy celnikami, nieco z tyłu.

Deves nie mógł nic zrobić. Ani pójść do przodu, ani się cofnąć. Był zaklinowany! Mógł jedynie czekać, aż pułapka się zatrzaśnie.

- Najgorsze, że nawet nie można im nawymyślać! - narzekał jakiś Francuz z tyłu. - Nic nie rozumieją!

- Nie to jest najgorsze - poprawił inny, trochę starszy. - Najgorsze, że człowiek czuje się tu jak w latach czterdziestych.

Michael spojrział na zegarek.

Już wystartowała. Na pewno teraz już leci!

Ta myśl pokrzepiła go. W końcu, mając świadomość, że karmi się złudzeniami, powiedział sobie, że nie wszystko jeszcze stracone, że przecież nic nie wskazuje, iżby to on miał być powodem tego całego zamieszania militarno-milicyjnego. Jego dokumenty są w najzupełniejszym porządku, nie ma się czego obawiać, powinien jedynie zachować zimną krew i odgrywać rolę niemieckiego przemysłowca najlepiej jak potrafi.

Zauważył, że pojawiły się trzy milicjantki.

- A to co znowu? - zrzędził po angielsku jakiś głos z tyłu. - Na liłość boską! Niedługo przyślą tu marynarzy!

Najstarsza z milicjantek wzięła gruby pakiet dokumentów, który jedna z dwóch pozostałych, najmniejsza i najgrubsza, wygrzewała pod pachą ozdobioną okrągłymi plamami potu. Nie zaczerpnąwszy nawet powietrza, zaczęła pospiesznie rozdawać po jednym egzemplarzu wszystkim funkcjonariuszom kontroli paszportowej niewidzialnym za okienkami o przyciemnionych szybach. Gdy skończyła rozdawać, pospiesznie wróciła do koleżanek i oddała resztę dokumentów tej, która z niewiadomego powodu była upoważniona do ich noszenia. Najgrubsza odebrała je szybkim ruchem, szybkim, lecz niezręcznym. Dokumenty wypadły jej z rąk i rozsypały się na podłodze, niektóre wylądowały bardzo daleko.

Deves zobaczył, że są to czarno-białe fotografie. Oniemiał.

Ta twarz na fotografiach... To był on!

Stał jak wryty, czuł, że miękną mu nogi, a myśli szaleńczo wirują, zupełnie jakby porwał je ryczący malstrom, który za chwilę całkiem go pochłonie. Ostry ból rozdarł mu czaszkę.

Ta twarz, mój Boże, jego twarz!

Miał wrażenie, że kiedyś przeżył już taką chwilę.

Jak oni to zrobili?

Zdjęcia porozrzucane na podłodze brutalnie przypominały mu

dawne czasy. Przeszłość, która, jak sądził, już minęła, przeszłość człowieka, który dla niego już umarł i został pogrzebany. W najgłębszych zakamarkach duszy.

Dotarł do niego głos, jednocześnie bliski i oddalony:

- Na Boga, na co pan czeka? Niech pan idzie!

Ujrzał przed sobą machającą rękę i zrozumiał, że ktoś daje mu znak, aby się zbliżył.

- *Gospodin! Gospodin! Iditie siuda, požahujsta!* - szczekał funkcjonariusz służby granicznej. Gestem wskazywał okienko kontroli paszportowej, nakazując Devesowi, żeby tam podszedł.

Michael poczuł dreszcz przeszywający całe ciało.

Zaczął posuwać się do przodu. Jego mózg jakby podłączył się do zastępczego obwodu uruchamiającego reakcje odruchowe, nie do opanowania. W ułamku sekundy dostrzegł ciała, które mogłyby stanowić tarcze, broń, którą mógł wyrwać, drogi ucieczki oferujące doskonale punkty ochronne...

- *Požahujsta!* - powtórzył funkcjonariusz, odsuwając się na bok o jeden krok.

Michael, zupełnie jakby już nie rządził samym sobą, wszedł w wąskie przejście pomiędzy okienkami, tak jak polecił funkcjonariusz. Po drugiej stronie stał strażnik. Michael zauważył, że nie trzyma palca na spuście. Zatrzymał się przy okienku i położył paszport przed otworem wyciętym w ciemnej szybie.

Ukazała się ręka i zabrała paszport.

Minęło piętnaście sekund. Michael zerknął w bok. Funkcjonariusz stał teraz odwrócony do niego plecami.

Trzydzieści sekund... Michael stał nieruchomo przy ciemnym okienku i starał się wyobrazić sobie wszystkie czynności, jakie wykonywał niewidzialny urzędnik. Pięćdziesiąt sekund...

Nagle ręka ukazała się znowu i oddała paszport.

- *Spasibo* - powiedział głos zza ciemnej szyby.

Michael z pozornym spokojem powoli wziął paszport. Przeszedł do strefy bezcłowej.

Samolot wystartował punktualnie.

Następnego dnia rano w Paryżu, około godziny ósmej trzydzieści, pułkownik Richard Wallahard - „Golden Voice” - wykąpany, ogolony,

w zawiązanym krawacie, nalał sobie drugą filiżankę kawy i miał zamiar ją wypić, tak jak to robił zawsze, przy jednym z okien salonu w mieszkaniu, które zajmował sam w dzielnicy Invalides. Natychmiast zauważył żółtą furgonetkę stojącą na ulicy obok jego domu. Poczł, że filiżanka kawy staje się ciężka. Odstawił ją, poszedł po małą lornetkę i wrócił do okna. Nastawił ostrość na przednią szybę furgonetki. Wycieraczki były pozbawione piór. Pomyłka niemożliwa, sygnał został potwierdzony!

Żółta furgonetka oznaczała: pilny kontakt.

Kilka godzin później w mercedesie na podziemnym parkingu nie opodal Pól Elizejskich spotkał się ze swoim oficerem łącznikowym z KGB. Rosjanin był wyczerpany. Od wczorajszego wieczoru leciał kilkoma samolotami, później jechał samochodem z Brukseli, aby granicę francusko-belgijską przekroczyć bez zostawiania śladów, w końcu dotarł do Paryża - a to wszystko w celu całkowitego zmylenia tropu.

Gdy tylko Rosjanin zaczął wyjaśniać powody swego przyjazdu, Francuz głośno zaklął.

- Jak on to zrobił? - wykrzyknął.
- Tak jak wszyscy - odpowiedział niechętnie Rosjanin. - Pokazał paszport i przeszedł.
- Co pan opowiada? - zaperzył się „Golden Voice”.
- Zaszła pomyłka.
- Pomyłka? Na Boga! Przecież mieliście jego zdjęcia!
- No właśnie. Stąd pomyłka.
- Nie rozumiem.
- Muszę przyznać, że ja także z trudem to pojmuję - Rosjanin zamilkł na chwilę. - Dostarczyliście nam dwa zdjęcia: pierwsze odpowiadające jego dawnej tożsamości, Nicolas de Witt, drugie odpowiadające jego nowej tożsamości, nadanej mu w ramach waszego programu „Paradis”; jest na tym zdjęciu jego nowa twarz, już przerobiona...

- Niemożliwe! - stęknął „Golden Voice”.

- Tak - rzekł Rosjanin. - Rozpowszechnili pierwszą fotografię - westchnął. - Ponumerowaliście je chronologicznie. Pierwsze zdjęcie miało numer jeden, drugie zdjęcie numer dwa. Tymczasem jakiś wyższy umysł w Moskwie stwierdził, że taka klasyfikacja jest niewłaściwa i że należy je raczej ponumerować według ich znaczenia,

wprowadził więc zmianę. Cały kłopot polega na tym, że nie zamieniono dokumentów towarzyszących fotografiom.

- Wyższy umysł, tak... Chyba porządnie zalany...

- To niewykluczone.

Wallahard przez chwilę zastanawiał się, po czym spytał:

- Jak się dowiedzieliście, że przeszedł?

- Kamery kontroli granicznej - odpowiedział Rosjanin. - Gdy odkryto pomyłkę, przejrzeli wszystkie taśmy. Poleciał do Helsinek. Paszport niemiecki na nazwisko Hans Karlmüller.

Wallahard przez chwilę milczał. Wreszcie zapytał z namysłem:

- Jak pan sądzi: on wraca?

- Nie wiem... Możliwe.

- Wraca - powiedział cicho Wallahard swoim poważnym, prawie aksamitnym głosem. - Saxon wraca do domu rodzinnego - jego oczy powoli zaokrągliły się. - Pytanie: dlaczego?



## 8

- Słucham?

- Chciałam rozmawiać z Christianem Dorsetem.

- Pani pewnie się pomyliła. O jaki numer chodzi?

Maria nie dała za wygraną, mówiła dalej:

- Chodzi o „4-C”. Pochodzenie sierota. Wiadomość brzmi: ponownie sierota.

- Proszę nie odkładać słuchawki.

Minęła minuta. W chwili gdy Maria już chciała odwiesić słuchawkę, męski głos znowu się odezwał:

- Okey, otwieramy linię. - Głos podał numer telefonu. – Niech pani przejdzie do innego telefonu i zadzwoni do nas za piętnaście minut. Jest pani „Alicja”. - Połączenie przerwano.

Kwadrans później z innej kabiny telefonicznej przy Saint-Germain-des-Près w Paryżu Maria nakręciła nowy numer. Odebrano natychmiast:

- Tak? - powiedział z rezerwą męski głos.

- Alicja - powiedziała Maria. - Pan jest Dorset?

- Tak. Kim pani jest?

- Jestem Alicja - powtórzyła Maria. - Mielicie kod rozpoznawczy z sierotą: jeśli jeden z was podawał cyfrę, co odpowiadał drugi?

Chwila milczenia.

- Podawał słowo zaczynające się od jednej z liter jego imienia, odpowiadającej powyższej cyfrze - odpowiedział mężczyzna, ciągle z rezerwą w głosie.

- On chce się z panem widzieć.  
- Dlaczego?  
- Avarone, Leningrad, „Airways”, wszystkie te śmierci łączą się ze sobą. Saxon został zdradzony już na samym początku. Jest w niebezpieczeństwie. Nie ma kontaktu z bazą.

Maria nie wyczuła najmniejszej reakcji po drugiej stronie linii telefonicznej. Jedyne milczenie. Męski głos zapytał:

- Saxon to on?

- Tak.

Milczenie.

- Dlaczego ja?

- Bo ma do pana zaufanie.

Znowu milczenie.

- Kim pani jest? - spytał jeszcze raz. - Nie może pani powiedzieć?

- Nie.

- Kim pani jest dla Saxona?

- Nie mogę odpowiedzieć.

- Dlaczego?

- Mam rozkaz, aby nie odpowiadać.

- Ma pani rozkaz... Czyj rozkaz?

- Nie mogę odpowiedzieć.

- Cholera! - zaklął Dorset. Westchnął, chyba się poddał.

- Rozumiem pani problem - podjął pojedynczym tonem. - Dobrze, niech pani będzie „Alicją”, doskonale rozumiem. Pani chyba także rozumie, że muszę sprawdzić niektóre rzeczy. Rozumie pani?

- Tak.

- Dobrze - odpowiedział w zamyśleniu. - Proszę nie mówić nazwiska, lecz tylko inicjały Saxona.

- Po co?

- Wiem, kim jest Saxon. Ale nie wiem, kim pani jest.

- Rozumiem... M.D.

- Dobrze - odrzekł. - Kiedy chce się skontaktować? Maria odechnęła głęboko.

- Nie wiem - powiedziała cicho.

- Nie wie pani?

- Nie.

- Gdzie on jest?

Maria bezradnie potrząsnęła głową, jakby rozpaczliwie szukała odpowiedzi.

- Nie wiem! - odpowiedziała słabym głosem.

- Ciągle jest w Związku Sowieckim?

- Nie wiem! - krzyknęła. - Nie mam pojęcia! Nawet nie wiem, czy zdołał stamtąd wyjechać... - poczuła ucisk w gardle. - Nie wiem nawet, czy...

Milczenie.

- Zadzwoń później - powiedziała, gdy już zapanowała nad sobą. I odwiesiła słuchawkę.

Maria nie popełniła żadnego błędu. Postąpiła dokładnie tak, jak kazał Michael. A jednak jej pierwszy telefon do Dorseta w DGSE miał efekt wybuchu bomby. W pierwszych minutach po rozmowie w niektórych departamentach francuskich służb specjalnych prawie słyszano syreny alarmowe o mocy dorównującej sile syren anonsujących bombardowanie lotnicze.

Jedno słowo wypowiedziane przez Marię spowodowało wybuch i ogólne zamieszanie. Jedno jedyne słowo: Saxon.

W pewnym sensie Dorset nie liczył się w tym wszystkim. Była to jedna z logicznych sekwencji - nie do odparcia, nieunikniona - reakcji łańcuchowej zapoczątkowanej przez ostatnią wiadomość człowieka już nieżyjącego... List Avarone'a...

Nad Paryżem zapadała noc, lodowata, nieoczekiwana. Ostro jarzyły się światła pogrążonej w ciszy wieży Eiffla.

Jeden z przechodniów idących chodnikiem, jeden z licznych cieni, podszedł do bramy eleganckiej czteropiętrowej kamienicy nie opodal Trocadero. Miał przy sobie torbę podróżną.

- Tak? - odezwał się głos w trzeszczącym głośniku domofonu.

- Thomas Harrier - odpowiedział Michael.

Suchy trzask.

Deves pchnął ciężkie, oszklone drzwi z kutego metalu, wszedł do ciasnego, pustego hallu, na którego końcu otworzyło się jedno skrzydło drewnianych, polakierowanych na czarno drzwi. Wyszła mu naprzeciw uśmiechnięta kobieta, około sześćdziesiątki, ubrana w sposób niewyszukany, lecz o dystygowanym wyglądzie, szczupła, prawie

chuda. Gdy podała mu rękę, dostrzegł numer wytatuowany na przedramieniu.

- Czekałam na pana - powiedziała ciepło. - Jestem Helena. Przez telefon rozmawiał pan z moją siostrą. Proszę wejść - dodała biorąc go za rękę.

Wewnątrz leżały zniszczone dywany, stały stare, zużyte meble. Półokrągły przedpokój przechodził w szeroki korytarz, z którego prowadziły drzwi do jasno oświetlonych salonów, gdzie toczyły się przytłumione rozmowy. Dwa szare koty przeszły przez przedpokój i usadowiły się po obu stronach szerokich kamiennych schodów. Muzyka dochodząca z jednego z salonów nagle rozlała się po całym domu.

Starsza pani, jakby nieco zakłopotana, nieśmiało uśmiechnęła się do Michaela.

- To ładne - powiedział, aby ją uspokoić.

- Prawda? - odpowiedziała z rozpromienioną twarzą. - Uczyniliśmy z tego coś w rodzaju naszego hymnu, naszej pieśni dziękczynnej, jeśli pan woli. - Jej twarz zachmurzyła się nieco.

- To nam bardzo pomaga, w pewnych okolicznościach... Rozumie pan?

- Najlepszy sposób, aby pamiętać o najlepszych - przyznał Michael.

Starsza pani była miło zaskoczona. Spojrzała na niego porozumiewawczo, prawie serdecznie.

- Coraz częściej tak myślę, ma pan rację - powiedziała znowu biorąc go pod rękę. - Chciałby pan teraz poznać naszych innych przyjaciół, czy woli pan poczekać do jutra?

- Lepiej będzie jutro.

- Jak pan sobie życzy. Proszę za mną, pokażę panu pański pokój...

Kobieta oparła się na jego ramieniu, weszli na schody. Koty zawahały się chwilkę, po czym poszły za nimi w pewnej odległości; w całym domu coraz głośniejsze było słychać dźwięki *Medytacji Thais*.

To śmieszne, pomyślał Michael.

Starsza kobieta była zachwycona, gdy usłyszała, że pokój bardzo mu odpowiada. Przyjęła - bo nalegał - grubą kopertę, zawierającą dziesięciokrotnie większą sumę niż koszty jego pobytu. Zaznaczył jednocześnie, że pieniądze te są jedynie częścią sumy, jaką postanowił ofiarować jej i jej siostrze. Starsza pani podziękowała mu, zapewniła,

że to nic pilnego. Była trochę rozczarowana, gdy usłyszała, że nie jest głodny i nie będzie jadł kolacji, przyjęła za to do wiadomości fakt, że jest bardzo zmęczony i jedyna rzecz, jakiej pragnie, to odpocząć. W końcu wysłała życząc mu dobrej nocy. Michael jeszcze przez drzwi słyszał, jak odchodzi i woła swoje koty.

To śmieszne, pomyślał znowu z bolesnym skurczem serca i wyciągnął się na łóżku.

Skrzyżował ręce na karku i leżał tak z oczami wlepionymi w sufit.

Tak... Tak było najlepiej. Był bezpieczny. Nigdzie indziej nie byłby bardziej bezpieczny. Od wyjazdu z Moskwy upłynęły cztery dni.

Po przyjeździe do Helsinek najpierw pozbył się fałszywych niemieckich dokumentów; potem poszedł po pieniądze i fałszywy paszport szwajcarski do mieszkania-biura, które wynajął w fińskiej stolicy. Następnie wsiadł na pierwszy prom do Sztokholmu. Stąd poleciał samolotem do Monachium, później zaś pojechał pociągiem do Zurychu. Tu trochę odpoczął, przede wszystkim po to, aby zastanowić się, gdzie zatrzyma się w Paryżu. Był bardziej niż kiedykolwiek świadomy - zamiana zdjęć na lotnisku Szeremietiewo prawdopodobnie już wyszła na jaw - absolutnej konieczności znalezienia jakiejś pewnej kryjówki. Kryjówki, w której nie zostawi śladu, co wykluczało hotele i wszelkiego rodzaju pokoje do wynajęcia - a to właściwie wykluczało prawie wszystko!

Długo myślał i wbrew wszelkim oczekiwaniom znalazł rozwiązanie, gdy obejrzał w pokoju hotelowym reportaż telewizji Szwajcarii Romańskiej. Był to reportaż o wzroście zachorowań na AIDS w Afryce.

Telefonował do wielu szpitali w Zurychu i Genewie, później w Paryżu i w końcu udało mu się znaleźć to, czego szukał. Adres. Adres innego świata, ukrytego, niewidzialnego, w samym środku świata żywych. To świat, w którym, zarówno z miłosierdzia jak i z konieczności, zrozumieją i uszanują pragnienie dyskrekcji, gdzie zrobią wszystko, aby oddzielić go od świata zewnętrznego. Świat zaludniony wyklętymi istotami, które cała ludzkość odrzuciła przerażona, przed którymi ucieka jak przed zadżumionymi. Dwie siostry, Helena i Anna E, powodowane szlachetnością, a może też z innych powodów im tylko wiadomych, postanowiły uczynić ze swego obszernego, zbyt

dużego i zbyt pustego domu ośrodek mieszkalny i wypoczynkowy dla chorych na AIDS.

Deves opowiedział przez telefon historię, którą obie siostry znają na pamięć, historię samotności i niezgłębionego nieszczęścia, opowiedział o potrzebie życia z „sobie podobnymi”, o tym, że nie ma już siły odgrywać komedii przed innymi ani znosić ich spojrzeń pełnych obaw i wstrętu. Zaznaczył, że jego pobyt będzie tymczasowy, że nie prosi o jałmużnę, bo ma pieniądze, chciałby też ofiarować na ich dom pewną, znaczną sumę. Gdy skończył opowiadać swą historię, Anna F. powiedziała mu jedynie, żeby nie martwił się o pieniądze, że zawsze będzie mile widziany. I to też było śmieszne... Wynajął więc samochód, luksusowego mercedesa z telefonem i telefaksem, i przejechawszy granicę francusko-szwajcarską bez kłopotu, nie pozostawiając najmniejszego śladu wyruszył do Paryża.

Michael nadstawił ucha. Muzyka zmieniła się, teraz słychać było obsesyjny lament wiolonczel w utworze *Fratres* Arwo Pärta. To nie do wiary, pomyślał trochę z rozbawieniem, trochę z goryczą.

Zapałił papierosa i paląc usiłował wyobrazić sobie tych nieszczęśników, którzy tam na dole koili i podsycali swoje strapienie najbardziej rozdzierającą muzyką. Prawie natychmiast zrezygnował, bo aż nadto dobrze wiedział, jak wyglądają.

Tuż przed zaśnięciem zastanawiał się też, czy w odpowiednim momencie wybierze takie schronienie, z dala od wszystkiego, aby umierać przy muzyce... Powiedział sobie, że zobaczy, gdy zaistnieje taka potrzeba. Pomyślał jeszcze o Marii i zaraz potem zasnął.

Maria o mało nie zemdląca. Wyjąkała do telefonu:

- Gdzie jesteś?

- Jestem tu.

- Gdzie?

- Ciii... - uciszył ją. - Uspokój się.

- Jak to zrobiłeś? - krzyknęła stłumionym głosem.

- Jak co zrobiłem?

- Mieli twoje zdjęcie! Na lotnisku Szeremietiewo! Pospiesznie opowiedziała mu, jak się o tym dowiedziała.

- Zdjęcie było zupełnie niepodobne - wyjaśnił Michael. - Było zrobione dość dawno.

- Ach tak! - rzekła. Zdawało się, że nagle przestała o tym myśleć. - Jaka jestem szczęśliwa - powiedziała cicho. - Jaka jestem szczęśliwa! - cicho jęknęła. - Szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa!

Michael poczekał, aż się opanuje, a potem zaczął ją wypytywać. Poinformowała go o stanie kontaktów z Dorsetem, zapewniła, że nie ma żadnego problemu, że Dorset chętnie się z nim spotka, że postąpiła dokładnie tak, jak jej polecił i że wszystko w porządku. Dorset gwarantuje tajemnicę i bezpieczeństwo kontaktu.

- Powiedz mu, żeby był gotowy - powiedział Michael, gdy skończyła.

- Na kiedy?

- Jutro. Powiem ci, gdzie i jak. Pomożesz mi.

- Dobrze.

- Wynajęłaś samochód?

- Tak! Szary range rover.

- Numer faxu?

Maria podała numer.

W Moskwie dziwiła się, że samochód, który ma wynająć, musi być wyposażony w telefax. Wyjaśnił jej, że to dla bezpieczeństwa: nie można podsłuchiwać faxu.

Michael polecił, aby zanotowała numer faxu w jego mercedesie. Spytał:

- U ciebie wszystko w porządku?

- Tak - odpowiedziała cicho.

- Jesteś pewna?

Maria zrozumiała swój błąd. Krzyknęła:

- U mnie wszystko w porządku, Michael! Oj, cholera! Nie! Wszystko w doskonałym porządku!

- ...

- Słyszysz? U mnie wszystko w doskonałym porządku!

- Do diabła! - wybuchnął Michael. - Nigdy więcej tego nie rób!

- Przepraszam cię!

- Nigdy więcej tego nie rób! Słyszysz? Nigdy!

- Już tego nie zrobię - obiecała. - Nie uważałam, przepraszam!

Usłyszała, że Michael wzdycha, i zamilkła. Miała do siebie pretensję: zapomniała o umówionym kodzie. „Wszystko w porządku” - „Wszystko w doskonałym porządku”. Pierwsza odpowiedź, jak

najbardziej naturalna, miała skrycie ostrzec rozmówcę, że partner rozmawia pod przymusem. Zawahała się.

- Michael, nic takiego się nie stało...

- Nic - odrzekł. Zrobił krótką przerwę. - Zadzwoń do Dorseta. - I odłożył słuchawkę.

Następny dzień to była sobota. Ponura i zimna styczniowa sobota. Pomimo dość niskiej temperatury, mimo że święta i Nowy Rok były jedynie wspomnieniem, paryżanie i nie tylko paryżanie tłoczyli się wokół wielkich magazynów z tyłu Opery. Po południu właściwie nie można było tamtędy przejechać.

Maria prawie pół godziny szukała miejsca do zaparkowania przy trotuarze na bulwarze Haussmanna, mniej więcej w punkcie wskazanym przez Michaela. Stąd mogła bez trudności, zupełnie bezpiecznie, zza przyciemnionych szyb range rovera obserwować budkę telefoniczną stojącą na chodniku w odległości około dwudziestu metrów od niej, a po drugiej stronie ulicy jedno z najbardziej uczęszczanych wejść do le Printemps.

Popatrzyła na zegarek: jeszcze trzydzieści pięć minut oczekiwania. Kontakt miał nastąpić o godzinie szesnastej.

O piętnastej pięćdziesiąt dziewięć ciemnowłosa mężczyzna wysokiego wzrostu, lat około czterdziestu pięciu, w granatowym skafandrze, zatrzymał się obok budki telefonicznej, spojrzął na zegarek, po czym wszedł do środka. Skafander i opis, jaki podał jej Michael, całkowicie przekonały Marię, że jest to Dorset.

Nie spuszczała go z oczu. Widziała, jak niecierpliwi się, rzuca spojrzenia na prawo i na lewo i niecierpliwiła się razem z nim. Aż drgnęła, gdy szybkim ruchem zdjął słuchawkę, nie zdziwiła się, gdy dziesięć sekund później ją odwiesił, po czym przykucnął w budce, aby przeczytać napis podający dokładnie miejsce spotkania. Wówczas starała się wysledzić ewentualny ruch jego ust albo ukradkowe obniżenie podbródka w głąb kołnierza kurtki, co zdradziłoby obecność kieszonkowego mikrofonu. Ulżyło jej - niczego podobnego nie zauważyła ani teraz, ani później, gdy po wyjściu z budki telefonicznej przeszedł pomiędzy samochodami na drugą stronę bulwaru Haussmanna,



wszedł na chodnik i wmieszany w tłum zniknął w le Printemps.

Od tej chwili Maria w wielkim napięciu obserwowała na przemian budkę telefoniczną i jej najbliższe otoczenie oraz wejście do magazynu le Printemps. Trwało to pięć minut z zegarkiem w ręku. Nie zauważyła nikogo podejrzanego, żadnego specjalnego ruchu. Uspokojona napisała dużymi literami na kartce papieru: „Wszystko w doskonałym porządku”. Kartkę włożyła do telefaksu umieszczonego obok tablicy rozdzielczej, po czym, nakręciwszy numer faksu w mercedesie Michaela, wysłała wiadomość, wyjęła kartkę, nastawiła aparat na odbiór i dalej obserwowała.

Minutę później w range roverze rozległ się cichy sygnał dźwiękowy, na faxie zamigotało światelko sygnalizacyjne, cicho wysunęła się kartka papieru, upadła na podłogę. Maria podniosła ją i przeczytała: „O.K. Co do dalszego ciągu: 16.08, za dziewięć minut odjeżdżasz. Odjeżdżasz! (zniszcz obydwie kartki)”.

Maria znowu zaczęła obserwować budkę telefoniczną i okolice magazynu le Printemps; czuła, że ogarnia ją jakiś nieokreślony niepokój... Powiedział, że ma zaufanie do Dorseta, ale nigdy nic nie wiadomo, a zwłaszcza nie powinno się nie doceniać przeciwnika - powiedział: przeciwnika! Mój Boże! Jak można żyć z takim... Rzuciła okiem na tablicę rozdzielczą, na przycisk światel alarmowych rang rovera, aby upewnić się, że jest na swoim miejscu i że potrafi szybko go uruchomić w razie potrzeby.

Kilka sekund przed szesnastą osiemnastą z bijącym sercem położyła palce na przycisku; nie przestawała obserwować tłumu na chodnikach. Nic... Niczego nie zauważyła... Lekko zwolniła nacisk palca, z wielką ulgą, lecz jednocześnie poczuła dziwny niepokój. Nie wiedziała, gdzie jest Michael, ale wiedziała, że jest gdzieś tutaj i że ją widzi! Powiedział przecież: dziesięć minut po faxie będzie miała ostatnią okazję ostrzec go przed niebezpieczeństwem - włączyć światła alarmowe range rovera.

Upłynęła minuta.

Maria oderwała palec od przycisku i swobodnie usiadła w fotelu opierając się plecami. „Gdzie jesteś?” - spytała cichutko. Uważnie przyglądała się wirującemu tłumowi po drugiej stronie bulwaru, przy wejściu do le Printemps. „Gdzie jesteś?” Teraz powinna odjechać, tak jak kazał. Ale nie mogła się na to zdecydować.

Gdy znowu przeniosła wzrok na budkę telefoniczną, nie od razu zrozumiała, co się wydarzyło. Obok budki nieruchomo stali dwaj mężczyźni - dwaj mężczyźni o wyglądzie przybyszów z Bliskiego Wschodu.

Po paru sekundach krew ścieła jej się w żyłach.

Trzeci mężczyzna o matowej cerze, który dotychczas kucał w budce telefonicznej, wyprostował się, wyszedł i dał znak pozostałym, aby za nim poszli.

Och, nie! Nie!

Ogarnięta paniką Maria odruchowo przycisnęła klawisz świateł alarmowych range rovera. Potem zobaczyła, jak dwaj mężczyźni przeszli na drugą stronę bulwaru w kierunku wejścia do le Printemps, zaś trzeci, zanim do nich dołączył, powiedział coś do pasażerów czarnego BMW, który natychmiast ruszył i podjechał do le Printemps z prawej strony.

Och! Mój Boże...

Maria poczuła, że ma ściśnięty żołądek. Siedziała nieruchomo, zupełnie bezsilna, jakiś wewnętrzny głos krzyczał, aby się opanowała, lecz nie była w stanie. Światła alarmowe ciągle tykały, niepotrzebne, niezdolne. Oparła się jednak chęci wyłączenia ich: „Nigdy nie wiadomo...”

Co mam robić, Michael? Co ja mam robić?

Maria pomyliła się. Dorset miał przy sobie kieszonkowy nadajnik. Jednak Maria nie była tu winna - gdy go użył, był już poza zasięgiem jej wzroku, ukryty w tłumie kłębiącym się przy wejściu do le Printemps. Wypowiedział jedynie trzy słowa: „Printemps, dwa, trzeci”. Słowa zostały usłyszane w niewielkiej furgonetce marki „Renault” zaparkowanej nie opodal i natychmiast przekazane na innej częstotliwości członkom ekipy odpowiedzialnej za bezpieczeństwo.

Dziesięciu agentów służb specjalnych udało się parami do magazynu le Printemps.

Ani Dorset, ani owi agenci nie wiedzieli, że na miejscu jest już inna ekipa. Druga ekipa składająca się wyłącznie z obywateli syryjskich i libańskich.

O szesnastej osiemnaście Deves wyszedł na taras urządzony na dachu Galeries Lafayette, drugiego wielkiego magazynu przylegającego

do le Printemps. Bez trudu dojrzał range rovera w dole, na bulwarze Haussmanna, i stwierdził, że światło alarmowe nie mruga. Jednak jeszcze chwilę poczekał. Nic się nie działo, postanowił więc pójść na miejsce spotkania do le Printemps. Bez pośpiechu. Zostało jeszcze trochę czasu - od szesnastej piętnaście miał półgodzinny margines. Nie chciał się spieszyć. Światła range rovera w dalszym ciągu były zgaszone, jednak nie oznaczało to, że wszelkie niebezpieczeństwo zostało usunięte. Był to po prostu jeden z zadowalających szczegółów, nic poza tym. Michael miał się na baczności.

Nie chodziło o Dorseta. Michael ufał mu. Oczywiście w pewnych granicach. Nie był pewien, czy Dorset, z którym w końcu nie był tak blisko związany, mógł podjąć taką inicjatywę nic nikomu nie mówiąc. Jeśli dobrze się zastanowić i wziąć pod uwagę okoliczności, śmierć Avarone'a i Neville'a wywołała trzęsienie ziemi w DGSE, o czym donosiła prasa opisując wewnętrzną rywalizację, walkę frakcji, bolesne przykręcanie śruby. Deves w końcu doszedł do wniosku, że w tych warunkach prawdopodobieństwo, iż agent taki jak Dorset spotka się z nim bez takiej czy innej osłony, jest prawie żadne. A z tym nieuchronnie łączyła się inna możliwość, możliwość wkroczenia sowieckich służb specjalnych; prawdopodobieństwo, że może się tak stać, było dość duże, a na pewno nie można było go wykluczyć. Jak dotąd wykazywali przerażającą skuteczność, śmiertelnie niebezpieczną, niewątpliwie dzięki zdrajcy, który służył im w samym środku francuskich służb specjalnych. Deves był tego wszystkiego świadomy. Ale cóż innego mógł zrobić?

„Gdy niebezpieczeństwo jest wszechobecne, gdy nie wiadomo, czego można się spodziewać, należy określić swój własny teren, najlepszy z możliwych, rozpoznać go i w razie potrzeby - przygotować”, powiedział mu kiedyś Avarone.

Michael to właśnie zrobił. Wybrał magazyn le Printemps, bo znalazł miejsce na pamięć, tak samo pamiętał plany sześciu innych wielkich domów towarowych tu i ówdzie na świecie. Było to idealne miejsce na kontakt, skupiało największą możliwie liczbę osób na powierzchni czterdziestu ośmiu tysięcy metrów kwadratowych i na wielu poziomach, posiadało liczne wejścia otwarte dla wszystkich, nie licząc wyjść zapasowych czy służbowych, niemożliwe do skontrolowania bez zaangażowania znacznych sił. Jeśli tylko umie się

odpowiednio postępować i ukrywać w martwym punkcie oka kamery, łatwo tam się przemieszczać nie będąc zauważonym.

Większość czasu poprzedniego dnia Deves spędził na rozpoznaniu terenu. Jako miejsce spotkania z Dorsetem wyznaczył sobie trzecie piętro. Znajdowała się tam, oprócz stoisk z damską odzieżą, wystawa wszelkiego rodzaju wyrobów japońskich przyciągająca masę ludzi. Wybrał też drogę dojścia - i ucieczki, jeśli taka potrzeba zaistnieje: szerokie schody dla personelu, ciemne i brudne, zawalone na wielu poziomach towarami i najróżniejszymi materiałami, używane od czasu do czasu wyłącznie przez robotników i malarzy pracujących przy odnawianiu toalet. Pod koniec dnia w szatni, zaimprovizowanej obok składziku materiałów malarskich w magazynie Lafayette, ukraść kombinezon roboczy.

Już w sobotę rano kupił kilka przedmiotów w różnych miejscach: cztery zapalniczki Zippo, dwie plastikowe torby na śmieci, dwie butelki kwasu siarkowego, dwa duże worki środków chwastobójczych zawierających chloran i tuzin butelek spirytusu. Potem powrócił na miejsce do le Printemps, aby przygotować teren.

Ubrany już w roboczy kombinezon umieścił worki na śmieci na dwóch pośrednich podestach schodów służbowych. Każdy z worków zawierał torbę ze środkami chwastobójczymi oraz - zgodnie ze specjalnymi zaleceniami - butelkę kwasu siarkowego i sześć butelek spirytusu. Wszystko to przykrył wiórami z opakowań, workami po gipsie i starymi kartonami.

O szesnastej dwadzieścia pięć Dorset stał na środku przestrzeni zajmowanej przez wystawę japońską, obok stoiska przyciągającego tłumy ludzi. Robot, coś w rodzaju japońskiej wersji *Nowych czasów*, karmił płatkami kukurydzianymi zachwycone i podekscytowane dzieci; w jednej zginającej się ręce trzymał łyżeczkę, a w drugiej papierową serwetkę.

Dorset wydawał się spokojny, ufny. Od czasu do czasu rzucał wokoło szybkie i zimne spojrzenia, a potem znowu obserwował gestykulację robota - przynajmniej tak to wyglądało. Był jedynym człowiekiem w tłumie, któremu nie sprawiało to żadnej przyjemności.

Pierwszy głos komenderował. Zadawał pytania:

- Widzicie go?

- Tak.
- W jakiej odległości jesteście?
- Około dwudziestu pięciu metrów - odpowiadał drugi głos z lekkim akcentem arabskim.
- Ma na sobie skafander?
- Tak. Rozpiął go.
- Jego psy są na piętrze?
- Tak. Jest ich trzech. Tam gdzie są, nie przeszkadzają.
- Doskonale. Wszystko zmieniamy. Inicjatywa należy do Leili. Kryjcie ją, nie wchodźcie do akcji. Co z Saxonem?
- Nie widać go.
- Nie próbujcie go śledzić, zobaczy was - nakazał głos, który do-wodził, głos poważny, powolny, prawie aksamitny. – Pilnujcie tamte-go. Wejdzie do akcji, gdy ujrzy Saxona.

Tuż przed szesnastą trzydzieści Deves wszedł na schody dla per-sonelu. W kącie schował marynarkę, włożył górną część ubrania ro-boczego i zaczął wchodzić na wyższe piętro.

Zatrzymał się na półpiętrze, pomiędzy piętrami pierwszym a dru-gim, odsunął kartony przykrywające pierwszy worek na śmieci, po czym wylał do niego zawartość pięciu butelek spirytusu, szóstą zachował przy sobie. Tak samo postąpił z drugim workiem pozosta-wionym pomiędzy drugim a trzecim piętrem. W końcu rozlał zawar-tość dwóch pozostałych butelek na kartony i na ostatnie stopnie przed trzecim piętrem. To na wypadek, gdyby worki się nie zapaliły. Zasada działania była prosta: po zapaleniu spirytusu miał wysadzić butelkę z kwasem siarkowym, w połączeniu z kwasem masła chloranu gwałtownie wybucha - ten składnik środka chwastobójczego okazał się także doskonałym materiałem wybuchowym. Michael nie był pewien, czy worki wybuchną w odpowiedniej chwili ani czy w ogóle wybuchną, był jednak pewien, że spowodują w tym miejscu niezły pożar.

O szesnastej trzydzieści siedem wziął ze schodów puste wiadro i wszedł na trzecie piętro le Printemps, do jasno oświetlonej i tętniącej gwarem strefy handlowej.

Natychmiast dostrzegł Dorseta po prawej stronie, obok stoiska japońskiego, przy którym robot w dalszym ciągu rozdawał płatki kukurydziane wśród dziecięcych okrzyków i śmiechów. Michael, za-miast podejść do Dorseta, oddalił się od niego. Do końca marginesu

czasowego pozostało jeszcze kilka minut, chciał je wykorzystać na dokładniejsze obejrzenie miejsca. Wiedział, że w takim tłoku trudno odkryć jakiś podejrzany ruch czy osobę, jednak chciał przynajmniej spróbować.

Doszedł na drugi koniec trzeciego piętra, ale nie zauważył niczego szczególnego. Niebieską roboczą kurtkę i wiadro zostawił za bocznymi drzwiami zarezerwowanymi dla personelu, po czym poprawiwszy krawat, w samej koszuli zawrócił na salę - niektórzy pracownicy, jak zauważył, często tędy przechodzili i nikt nie zwracał na nich uwagi.

Tym razem również niczego nie zauważył. Żadnego utkwionego w sobie spojrzenia, poufnych szeptów, żadnych zaplanowanych ruchów, żadnych zorganizowanych przemieszczeń pośród bezładnego tłumu... Nic.

Michael zobaczył, że Dorset spogląda na zegarek. Nadeszła odpowiednia chwila. Postanowił podejść.

Dorset zerknął w jego stronę, gdy Michael zbliżał się torując sobie drogę w tłumie, po czym odwrócił się i popatrzył w innym kierunku. Deves zauważył mimo woli, że jego skafander był rozpięty, tak jak i marynarka pod spodem.

- Dorset - powiedział dość głośno, aby jego głos przebił się przez zgiełk. Utkwił wzrok w rękach agenta służb specjalnych. Dorset drgnął i odwrócił się, patrząc na Michaela.

- To pan? - rzucił okiem na ubranie Devesa, po czym uważnie mu się przyjrzał. - Boże drogi! Nigdy bym nie pomyślał... Co się dzieje? - spytał zaintrygowany.

- Nic - powiedział Michael, ciągle czujny.

Musiał cofnąć się trochę, aby przepuścić kobietę z dzieckiem na ręku. Kątem oka dostrzegł dwadzieścia metrów dalej, nieco z boku, mężczyznę o ciemnej cerze mówiącego do walkie-talkie. Ktoś z personelu ochrony, pomyślał. Krzyk dziecka gdzieś obok zelektryzował go. Zesztywniał, gdy zobaczył, że agent służb specjalnych wyciąga do niego rękę.

- Nie możemy tu zostać - rzekł Dorset biorąc go pod ramię.

- Nie - przyznał Michael uwalniając rękę. Zobaczył, jak człowiek z walkie-talkie odwraca się i odchodzi. - Tam, przy oknie - powiedział. - Chodźmy. Proszę iść przodem, zaraz przyjdę.

- Dlaczego?

- Proszę robić to, co mówię - zniecierpliwiał się Michael, tknięty nagłym niepokojem. - Coś tu jest nie tak...

- Dobrze - odrzekł Dorset i odszedł.

Zaczął torować sobie drogę poprzez tłum.

Blezer... - pomyślał Michael i poczuł skurcz w dole brzucha.

Człowiek z walkie-talkie nie miał na sobie blezera!

Chciał odnaleźć tego człowieka, ale zrezygnował. Zobaczył plecy Dorseta w tłumie ludzi, jakieś pięć metrów dalej. Wspiął się na czubki palców, aby nie stracić go z oczu, chciał jednocześnie oprzeć się napierającej fali, która także jego mogła porwać w każdej chwili, dał się ponieść pod filar, oparł się o niego plecami i patrzył na oddalający się kark Dorseta. Miał zamęt w głowie.

Nagle, z szybkością błyskawicy, wszystko nabrało sensu. W kłębiącym się tłumie i zgiełku rozegrała się akcja, zaplanowana, krótka i skuteczna. Śmiertelna. Nie umknęła uwadze Michaela, ale była tak szybka, tak prosta, tak doskonała, że śledził ją najpierw, dopiero potem zrozumiał.

Widział Dorseta podtrzymującego starszą kobietę, którą potracił, jednocześnie zobaczył zanurzoną w kapturze skafandra rękę, która nagle zniknęła, dostrzegł profil kobiety o matowej cerze - rozpychała tłum, aby szybko się oddalić. Starsza pani zaś, która zdążyła już się nieco odsunąć, zniknęła właśnie za jedną z lad.

Granat!

Chciał krzyknąć. Krzyknął, lecz za późno.

Silny, głośnie wybuch przytłumił wszystko.

Chwilę potem czas jakby się ulotnił, ustępując miejsca dławiącej, intensywnej ciszy, obłokowi kurzu, a także gryzącemu zapachowi.

Po chwili ciszę rozdarł kobiecy krzyk, po nim następny i nagle rozpętało się piekło: krzyki przerażenia, jęki, oszalałe nawoływania rozległy się ze wszystkich stron; ludzie ogarnięci paniką zaczęli biegać we wszystkich kierunkach wpadając na siebie, depcząc dzieci, rannych i zabitych. Jakaś kobieta zaczęła kręcić się w kółko, cały czas krzycząc - trzymała w rękach, ponad głową bezwładne, zakrwawione ciało małego dziecka. „Co ja tu mam?” - jakiś mężczyzna domagał się odpowiedzi od wszystkich, którzy przechodzili. „Nic nie mam? Co? Nic?” - odłamek granatu utkwiał mu w prawym oku. Gdzieś rozległ się przenikliwy dźwięk dzwonka.

Deves nie widział ani nie słyszał tego wszystkiego. Gdy tylko dostrzegł ciało Dorseta leżącego twarzą do ziemi, z poszarpanymi i jeszcze dymiącymi plecami, zaczął biec w stronę schodów służbowych. Stojący trochę dalej, po prawej stronie, dwaj mężczyźni, a chwilę potem także trzeci rzucili się w jego kierunku, pod prąd, tratując uciekających ludzi. Wszyscy trzej trzymali w ręku broń. Tuż przed wyjściem na schody Michael zauważył po lewej stronie nieruchomego, wrzeszczącego do walkie-talkie mężczyznę o ciemnej karnacji.

Dwie postaci - trzy! - ukazały się w drzwiach prowadzących na schody. Robotnicy!

- Spieprzajcie! - zawył do nich Michael rzucając się na schody.

Pierwsza zapalniczka Zippo, którą rzucił przez ramię zbiegając po schodach, zapaliła kartony i podłogę. Deves nie spojrział, aby się o tym upewnić, dalej zbiegał ze schodów w dzikim pędzie. Lewą ręką trzymał się poręczy, w prawej trzymał drugą zapalniczkę, już zapaloną - jej płomień wydłużał się jak pochodnia. Pierwszy worek pochłonął Zippo i z przytłumionym hukiem wyrzucił z siebie słup ognia. W górze schodów rozległy się krzyki. Wołania: „Pali się! Pali się!” Krótkie polecenia. Później odgłosy kroków. Przeszli! Zapalił się drugi worek. Wybuch wstrząsnął schodami, był tak silny, że Michael miał wrażenie, jakby worek eksplodował mu na plecach. Był już na końcu schodów, gdy wyżej rozległ się jęk, natychmiast zagłuszony wołaniem, jakimś dzikim krzykiem. Doszedł do parteru, wziął swoją marynarkę i wkładając ją wypadł na ulicę. Serce mu waliło, wyszedł na powietrze i zwolnił kroku. Do kogo mówił człowiek z walkie-talkie?

W oddali były syreny, coraz bliższe. Jezdnię pokrywały odłamki szkła, powietrze było mętne od pyłu. Przechodnie zgromadzeni na przeciwległym chodniku z niepokojem obserwowali fasadę le Printemps. Wielu z nich zauważyło Devesa wychodzącego z budynku, ale nie zdążyło się nawet nad tym zastanowić. Wybuchł drugi worek. Gęsty obłok pyłu wydobył się ze służbowego wejścia, deszcz tłuczonego szkła opadł wokół, na ulicę. Ludzie rozproszyli się, biegnąc krzyczeli z przerażenia.

Michael pomyślał, że także powinien biec. Tuż przed wybuchem dojrzał niebezpieczeństwo: mężczyzna z walkie-talkie w ręku rzucił się w kierunku parkującego w pobliżu czarnego BMW i ręką dał znak kierowcy, aby ruszał.



Chciał pobiec w inną stronę, ale widok BMW zbliżającego się z wielką szybkością przykuł go do miejsca. Nie miał najmniejszej szansy uciec! Wracaj do budynku, szybko! Już nie zdążył.

Nagle, z wyciem silnika o wielkiej mocy szara bryła zagroziła przejazd BMW, uderzyła go z boku i jakby ciosem ramienia wepchnęła pod tył ciężarówki dostawczej. Szara hucząca bryła waliła w BMW rozbijając mu bagażnik.

Zwariowała! Chyba zwariowała!

W pierwszym odruchu Michael chciał uciekać, aby ją ochronić. Lecz w tym samym ułamku sekundy jakiś głos zawył w nim, że jeśli to zrobi, zabije ją. Stało się: weszła do gry! Żeby się z tego wydostać - potrzebowała go!

Mario, do cholery!...

Zaczaj więc biec dając jej znaki, aby go zabrała. Gdy range rover zwolnił tuż koło niego, otworzył drzwi i rzucił się do środka.

- Wal naprzód! - krzyknął. - Wal naprzód!

- Na Boga! Co ty wyrabiasz? Powiedziałem: w lewo! W lewo!

- Przestań wrzeszczeć! Przez ciebie nie wiem, co robię!

- Rób, co mówię!

Range rover niebezpiecznie zakołysał się na zakręcie.

- Teraz w prawo! W prawo, w prawo!

- Michael!

- Zamknij się! Rób, co ci mówię!

Światło zmieniło się na czerwone. Samochód, który jechał przed nimi wąską uliczką, stanął przed skrzyżowaniem.

- Popchnij go!

- Jak to?!

Wrzasnął:

- Popchnij go!

Range rover uderzył w tył samochodu stojącego przed nim, po czym z wyciem silnika i piskiem opon bez trudności zepchnął go, pozostawił na środku skrzyżowania i nie zważając na koncert klaskonów znowu wyrwał do przodu.

- Co mam teraz robić? - krzyknęła Maria. Była bardzo błada.

- Jedź! Jedź dalej!

- Michael, wyśledzą nas! - zaprotestowała.

- Ciebie już wysłędzili!  
- Co ty opowiadasz?  
- Numer samochodu! Jesteś szalona! Za niecałą godzinę będą wiedzieli, kim jesteś! Powiedziałem ci, żebyś stąd spieprzała!

- Nie! - krzyknęła. - Nie mogli zobaczyć numeru! - Gwałtownie zwołała. - Michael, uspokój się, posłuchaj mnie!

Wyjaśniła mu, że przedsięwzięła pewne środki ostrożności i opuściła wewnętrzną część tylnej klapy rovera, która podtrzymywała numery rejestracyjne. Numery były niewidoczne!

- Dlaczego to zrobiłam? - wzruszyła ramionami. - „Ze względów bezpieczeństwa”, przypuszczam.

Michael nie zareagował.

Ile mogło być szarych range roverów? Czy ktoś mógł zobaczyć numery jeszcze przedtem? To mało prawdopodobne... ale możliwe. To było możliwe!

- Zjedź na prawo - rozkazał. - Zatrzymaj się przy postoju taksówek, tam. Nie za blisko.

- Dlaczego? - spytała, ale wykonała rozkaz.

Michael sam zgasił silnik, gdy już zaparkowała. Zapytał:

- Na jak długo wynajęłaś range rovera?

- Na miesiąc.

- Dobrze. Masz pieniądze?

- Nie wiem, tak, ja...

- Tu jest prawie trzy tysiące dolarów - powiedział podając jej plik zielonych banknotów. - Weź. Bierz! - niecierpliwił się. - Mario, nie mamy czasu dyskutować. Zrobisz dokładnie to, co ci powiem, i zrobisz to szybko! Zrozumiałaś?

Otworzyła usta, żeby zaprotestować. Wycedził przez zęby:

- Zrozumiałaś?

- Tak!

- Posłuchaj uważnie - powiedział. - Weźmiesz taksówkę. Nie pojedziesz już do domu. Pojedziesz prosto na Orly. Pierwszym możliwym samolotem polecisz do Rzymu, Monachium czy Bonn, wszystko jedno, byle nie do Szwecji. Później wsiądziesz do pociągu jadącego do Genewy. Zatrzymasz się w hotelu Rhône albo w Hiltonie, w jednym albo w drugim. I czekasz na mnie. Zrozumiałaś?

- Tak.

- No to już, biegnij! - krzyknął. - Biegnij!

Szybko wysiadła z samochodu. Nie spuszczał z niej wzroku, widział, jak wchodzi na przeciwny chodnik. Wsiadła do taksówki, opadła na tylne siedzenie; widział jeszcze, jak się odwraca, gdy taksówka ruszyła. Wtedy usiadł za kierownicą range rovera i także odjechał.

Jego umysł pracował błyskawicznie. Nie myślał o tym, co się wydarzyło, koncentrował się wyłącznie na tym, co powinien robić teraz, od tej chwili, myślał o ryzyku nierozłącznie związanym z każdym jego krokiem; starał się ocenić jego rozmiary i wyeliminować wszystko, co mogłoby zwiększać zagrożenie. Ona! Było to jak jakieś piekielne odliczanie: nie można sobie pozwolić na najmniejszą chwilę wytchnienia, na żaden fałszywy krok. Przed wszystkim range rover. Podziemny parking - jeśli ją wysłędzili, da to im obojgu dodatkową kilkugodziną przewagę. Następnie odzyskać mercedesa, samolot wykluczony, i jak najszybciej przekroczyć granicę. Spieprzać!

Jego zabezpieczenie, „Paradis”, rozprysło się w drobny mak. Znowu był w piekle.

Następnego dnia, w niedzielę późnym popołudniem, w odpowiednio zabezpieczonym podziemiu „czystego” domu na zachód od Paryża odbyło się zebranie. Uczestniczyło w nim sześciu mężczyzn.

Każdy przyszedł osobno. Wszyscy byli do siebie w jakiś szczególny sposób podobni; jedyna różnica polegała na tym, że czterej z nich byli wojskowymi, dwaj zaś pozostali - cywilami. Wszyscy mieli poważne miny, twarze napięte, nieprzeniknione. Wchodzili po kolei, w kilkuminutowych odstępach, na schody prowadzące do domu. Jeden z członków obstawy opowiadał później kolegom: „Zupełnie jak w kinie. Słychać było uderzenia w bęben”.

Mężczyźni ci byli najwyższymi funkcjonariuszami DGSE, francuskich służb specjalnych.

Powód ich spotkania: „Masakra w le Printemps”. Prawie wszystkie stacje radiowe i telewizyjne nazwały tak tragiczne wydarzenia, jakie miały miejsce poprzedniego dnia w wielkim paryskim domu towarowym. Cztery osoby zabite, piętnaście osób rannych.

Inicjatywa, wybór miejsca i pory spotkania należały do Louisa Attenheimera, nowego szefa DGSE. Bardzo dobry sposób, aby wykazać autorytet i wyższość nad „krokodylami” i „barakudami” z Basenu.

Attenheimer uchodził za człowieka silnej ręki, energicznego, nie poddającego się nastrojom. Był wysokim urzędnikiem prefektury, zajęтым wyłącznie służbą państwu; przejście do dyrekcji DST przed kilkoma laty przyniosło mu przydomek „Żelazny Prefekt”.

Pierwsze słowa, jakie wypowiedział do pięciu mężczyzn, których tu wezwał, doskonale pasowały do panującej o nim opinii.

- Chcę wiedzieć, dlaczego jesteście wciągnięci w to bagno - powiedział twardo. - Chcę wiedzieć, do jakiego stopnia. Chcę wszystko wiedzieć i to natychmiast!

- Chwileczkę, panowie! - zahuczał Attenheimer. - Chciałem upewnić się, że dobrze zrozumiałem to, co powiedzieliście... Twierdzicie, że - proszę mi przerwać, jeśli się mylę - generał Avarone, według wszelkiego prawdopodobieństwa, w dalszym ciągu kontrolował siatkę działającą w Związku Radzieckim, podczas gdy już od lat nie był odpowiedzialny za ten sektor. Że nigdzie nie ma śladu tej siatki, chyba tylko w dziale finansowym naszej firmy. Według was siatka owa pochłonęła przez ostatnie kilka lat pod kolejnymi kryptonimami - „Cuba I”, „Cuba II”, „KLM” i w końcu „Airways”, nie mylę się? - prawie dwadzieścia milionów franków. - Powoli przełykał ślinę, tak jakby rzeczywiście trudno mu było przełknąć ostatnie słowa. - Z drugiej zaś strony twierdzicie, że Saxon, agent rzekomo „uśpiony”, prawdopodobnie użył, ale tego nie jesteście pewni, bazy w Leningradzie na rozkaz Avarone'a i za zgodą poprzedniego dyrektora, aby wywiązać się z misji, przynajmniej taki motyw oficjalnie zarejestrowano, powierzonej mu na terenie siatki „Airways”. Czy tak? I wreszcie, aby całą sprawę zakończyć, ten człowiek, Saxon, z powodów, które uszły waszej uwadze - czy może się mylę? - zlikwidował wszystkich członków siatki leningradzkiej, zamordował Avarone'a i Nevillesa, i wczoraj tego agenta i wielu niewinnych ludzi! Nie wiem, panowie, zupełnie nie wiem, co o tym myślicie... Ale gdy przed chwilą mówiłem o bagnie, wyraziłem się cholernie delikatnie - zagrzmiał. - Cholera!

Nastąpiła kłopotliwa cisza.

Nowy szef francuskich służb specjalnych obrzucił wzrokiem mężczyzn siedzących wokół stołu konferencyjnego. Żaden ani drgnął. Byli to: generał Cyril Fontgarde, szef wywiadu, faktycznie numer dwa

DGSE; pułkownik Thomas Arias, szef bezpieczeństwa; pułkownik Tristan Rochambeau, szef działu Akcji; pułkownik Richard Wallahard, zastępca szefa kontrwywiadu - sam szef musiał przez kilka dni pozostać w szpitalu Val-de-Grâce; i w końcu Matthias Delange, cywil, który był dyrektorem gabinetu poprzedniego szefa służb specjalnych, nieżyjącego już Charlesa Nevillesa, a teraz pełnił funkcję nadzwyczajnego doradcy nowego szefa DGSE.

- Dwadzieścia milionów franków... - powtórzył Attenheimer jakby do siebie. - Jedno z dwojga. Nie wiem, co wolę, panowie, naprawdę nie wiem: albo to jakaś ciemna sprawa, najzwyklejsze oszustwo, albo rzeczywiście istnieje jakaś nasza siatka w Związku Sowieckim, siatka nie znana. Wam nie znana. Siatka widmo. - Zamyślił się na chwilę. Wzruszył ramionami. - A więc, panowie, co wybieracie?

- Nie mamy wyboru, Louis - powiedział jakby z żalem Matthias Delange.

- Dlaczego?

- Dlatego, że Avarone był, jest, wolny od wszelkich podejrzeń.

- Tylko tyle?

- Tak.

Wzrokiem pełnym pobłażliwości Delange poprosił Attenheimera, aby nie szedł niewłaściwym tropem.

Ze wszystkich obecnych tu mężczyzn Delange był najstarszy. On jeden był z Attenheimerem na ty, spotykali się w wielu ministerialnych gabinetach. On jeden nie musiał bać się o swoją pozycję od chwili, gdy znalazł się u steru - swą ostatnią nominację częściowo zawdzięczał naglącej rekomendacji Pałacu Elizejskiego. Był także człowiekiem najbardziej doświadczonym w służbach specjalnych, wykazywał dużą znajomość rzeczy. Był jednym z założycieli arcytajnego departamentu zwanego „departamentem spraw suchych”, dzisiaj już nie istniejącego, który miał stanowić przeciwagę „dziel mokrych” (dosłownie: „spraw mokrych”), czyli dawnego departamentu „V”, potem „8”, dyrekcji „S” I Zarządu Głównego KGB zajmującego się morderstwami i sabotażem. W małym świątku służb specjalnych nazywano go Mnichem ze względu na jego dyskrecję, cierpliwość i zamilowanie do tajnych operacji.

- Dobrze - rzekł Attenheimer po chwili namysłu. - Przypuśćmy... - Zdawało się, że znowu rozmyśla. Zatrzymał wzrok na najmłodszym

z pułkowników siedzących wokół stołu. - Arias, to pan kontrolował na płaszczyźnie operacyjnej kontakt z Saxonem, prawda?

- Zgadza się.

- Niech pan mi opowie, jak to wyglądało, tym razem z detalami i od początku.

Młody pułkownik spełnił prośbę, wyrażał się jasno, precyzyjnie. W konkluzji oświadczył:

- Nie wiedzieliśmy, jak on wygląda. Fakt, że był w kontyngencji „Paradis”, nie ułatwiał sprawy. Udało nam się tylko dostać zdjęcie w ambasadzie w Bernie... Popelniliśmy błąd. Nie kwestionujemy głównych założeń planu działania w le Printemps, tu wszystko było w porządku. Nie przewidzieliśmy jednak, że on tak zareaguje. Myśleliśmy, że jest pewien, iż zatrzasnął za sobą wszystkie drzwi i dlatego prosi o kontakt. Robak chce powrócić do owocu. Wszyscy tak myśleliśmy. Pierwszy Dorset... A Saxon go zabił...

- Był sam?

- Tak. Ale jest jeszcze jakaś kobieta... Posłużył się nią dla nawiązania kontaktu. Nie wiemy, kim jest ani skąd się wzięła. Nic o niej nie wiemy.

Milczenie.

- Świetnie - odezwał się w końcu Attenheimer.

Przez chwilę obserwował młodego pułkownika, potem przyjrzał się pozostałym mężczyznom zgromadzonym w niewielkiej podziemnej sali.

Mnich przerwał milczenie.

- Rozumowanie jest logiczne. Profesjonalne. Nikomu nie możemy nic zarzucić - dodał tonem, który zdawał się sugerować znacznie więcej.

- Na razie zostawmy to - rzekł Attenheimer, pozornie obojętny na słowa Delange'a. - Później zastanowimy się, czy były tu jakieś błędy, czy nie. Do mnie i tylko do mnie będzie należało ewentualne wyciągnięcie konsekwencji.

- Oczywiście - spokojnie odpowiedział Delange.

- A teraz chciałem powrócić do niektórych aspektów tej sprawy. Chcę się upewnić, że należycie zrozumiecie... - przerwał na chwilę. - Aha, zanim zapomnę... - Złożył ręce przy ustach, jak do modlitwy. W jego głosie zabrzmiała groźba. - Nie życzę sobie najmniejszego nawet przecieku. Nie chcę o tym czytać w prasie ani jednego słówka ani jutro,

ani pojutrze, ani nigdy. Wy powinniście tego dopilnować, panowie. - Mężczyźni siedzący wokół stołu przytaknęli ruchem głowy. - Generale, powiedział pan przed chwilą, że Saxon zlikwidował prawdopodobnie siatkę leningradzką. Co to znaczy: prawdopodobnie?

- Nie byliśmy całkowicie zgodni, że to on - wyjaśnił generał Fontgarde, chudy mężczyzna, o bladej, delikatnej twarzy i zamglonych oczach. On właśnie, dopóki Attenheimer nie objął stanowiska, stał na czele służb specjalnych, a przede wszystkim kierował dochodzeniem w sprawie śmierci Neville'a i Avarone'a. - Nie wiedzieliśmy nawet o jego istnieniu - mówił dalej. - On pierwszy powiedział o Leningradzie, kiedy nawiązał kontakt.

- A wy to wszystko powiązaliście?

- Zważywszy na to, co zrobił wczoraj, co zrobił przedtem, uważam, że nie ma najmniejszej wątpliwości.

- I to wszystko?

- Na razie tak.

- Tak samo w przypadku Avarone'a i Neville'a?

- Nie. W tym przypadku mamy pewność, że zabił ich obu.

Attenheimer o mało się nie zakrztusił.

- Co pan mówi?

- Mieliśmy pana o tym poinformować, ale wydarzenia uległy nagłemu przyspieszeniu.

- Mieliście mnie poinformować... Generale, wszyscy chyba są świadomi tego, że teraz stoję na czele służb specjalnych w tym kraju - i to z polecenia rządu - i z tego tytułu ja przede wszystkim powinienem wiedzieć o szczegółach dotyczących śmierci mojego poprzednika i generała Avarone.

- Mam więc rozumieć, że pan chce...?

- Nie, generale - przerwał oschle Attenheimer. - Dalej będzie pan kierował śledztwem. Ale wymagam, aby odtąd informowano mnie bezzwłocznie o najmniejszym postępie w śledztwie dotyczącym tej sprawy. Czy wyrażam się jasno?

- Całkiem jasno - zapewnił generał Fontgarde.

- Doskonale. Słucham pana, generale.

- Wie pan zapewne, że Neville's i Avarone zostali zabici z tej samej broni. Po drugie, Neville's nie włączył sygnału alarmowego w swoim zegarku - taki sam ma pan na sobie w tej chwili. Sygnał włączył się automatycznie dwadzieścia cztery godziny później i dzięki temu

mogliśmy zlokalizować zwłoki. Świadczy to o jednym: że Nevilles i Avarone, który także był w domu w dzielnicy la Muette, znaleziono tam jego odciski palców, znali mordercę i ufali mu - generał Fontgarde lekko zaakcentował te słowa. - Po trzecie, Saxon zadał sobie trud zainscenizowania pewnej sytuacji i zaprowadził Avarone'a do jego domu. Potem zabił go i upozorował samobójstwo.

- Mówił pan o dowodach - zniecierpliwił się Attenheimer. - Jaki dowód ma pan na to, że Saxon jest mordercą?

- Ścisłe mówiąc, to nie jest dowód - sprostował generał Fontgarde obojętnym głosem. - Raczej świadectwo.

- Świadectwo... Czyje?

- Samego Avarone'a.

- Słucham?

- Postarał się przekazać nam pewną wiadomość w liście, który napisał do córki przed śmiercią. Zastosował stary sposób, bardzo prosty, tak prosty, że mało brakowało, abyśmy to przeoczyli - generał Fontgarde podał dokument szefowi DGSE. - Tak prosty, że Saxon nic nie zauważył.

Attenheimer zapoznał się z pożegnalnym listem Avarone'a.

24 grudnia, godz. 2.22

*Kochana Córeczko! Sądzę, że szybko dostaniesz ten list. Niech cię nie*

*przenerwuje jego ton.*

*Muszę cię opuścić - dla mnie*

*to wielka boleść bo jesteś mi istotą najdroższą na świecie. Ale tak zdecydowałem. Czy kiedykolwiek do-*

*wiesz się jakie były powody dla których musiałem tak postąpić? Skon-*

*centrowanie całego życia na ideale, na wyłącznym mu służeniu, nie*

*zawsze prowadzi do szczęśliwego kresu. Powi-*

*naś zrozumieć, że nie miałem wyboru. Wiedz też, że ani ty ani moja*

*wspaniała wnuczka nie ponosicie za to najmniejszej odpowiedzialności.*

*Po prostu rzeczy przybrały nie taki obrót jak powinny.*

*To wszystko.*

*Całuję was obie bardzo mocno.*

*Zawsze będę was kochał.*

*Na wieczność.*



- Arias zauważył to pierwszy - rzekł generał Fontgarde. - Thomas, niech pan wyjaśni, o co chodzi.

Pułkownik Thomas Arias natychmiast zabrał głos:

- W tym liście należy brać pod uwagę tylko pierwszy fragment - wyjaśnił obojętnym tonem. - Klucz do kodu pozwalającego go odczytać znajduje się w informacji o godzinie, na górze po prawej stronie. Pierwsza cyfra - dwa - wskazuje, że chodzi o co drugą linijkę, zaczynając od pierwszej. Druga cyfra - dwa - i trzecia - dwa - informują, że trzeba odczytać dwie pierwsze litery i dwie ostatnie w co drugiej linii. Skreślenia znajdujące się w tych liniulkach mówią, że trzeba wprowadzić pewne poprawki. - Arias zamilkł, Attenheimer gestem kazał mu mówić dalej. - Tak więc otrzymujemy:

SA-/ON-/TO-/DE-/WIESZ-/ON-/ZA-/WI-/JA-/. Po wprowadzeniu poprawek informacja brzmi: „SAXON TO DEVES ON ZABIJA”.

Milczenie.

W końcu Attenheimer lekko pokiwał głową. Zapytał z miną poważną i zaniepokojoną:

- Kim on jest? Kto to jest ten Saxon?

Generał Fontgarde z grubsza naszkicował mu jego portret.

- Możemy uważać, że kiedyś oddał nam ogromne przysługi - powiedział w końcu. - Nie tylko udało nam się dzięki niemu wykorzystać sporą liczbę nielegalnych osiadłych w tym kraju - to zupełnie logiczne, jego ojciec został wyznaczony na nielegalnego rezydenta KGB w Francji - lecz ponadto pracując dla nas, wchodząc między nich, pozwolił nam lepiej ich poznać i zadać im ciężkie ciosy.

- To wszystko, co o nim wiadomo? - spytał Attenheimer.

- Później nastąpiła czarna dziura - odrzekł generał Fontgarde. - Rozpłynął się w „Paradisie”. Nowa twarz, nowa tożsamość. Najpierw Nicolas de Witt, potem Michael Deves, tłumacz w ambasadzie w Bernie. To wszystko, co wiemy.

Attenheimer wydawał się zamyślony.

- To jeden z waszych „Bondów”, tak? - spytał z odcieniem pogardy w głosie.

- Nie, zaraz wyprowadzę pana z błędu - zaproponował niewzruszony generał Fontgarde. - Z tego punktu widzenia wykazywał jedynie bardzo mierne zdolności. Powiedzmy, że jest to po prostu człowiek, który potrafił w odpowiedniej chwili wznieść się na wysokość zadania, jakie przed nim postawiono. Nic ponadto. - Odwrócił

się do szefa działu Akcja, jakby oczekiwał jego aprobaty. - Tacy są często najlepsi.

Pułkownik Tristan Rochambeau przytaknął szybkim ruchem brody. Miał masywną, kościstą twarz, z której patrzyły małe czarne oczka; garbaty nos znacznych rozmiarów nadawał mu wygląd tapira. Zabrał głos:

- Mała poprawka: jednak w sytuacji, o jakiej pan wspomniał, człowiek ten wykazał nadzwyczaj zimną krew, wyjątkową zimną krew. Sposób, w jaki ten sukinsyn postąpił z Dorsetem, także o tym świadczy... Nie pozostawił mu najmniejszych szansy.

- Zgadza się - odrzekł Arias.

Ten młody pułkownik z sześciu obecnych tu mężczyzn najbardziej był osobiście poruszony wydarzeniami, które pogrzyżyły w żalobie francuskie służby specjalne. A to z dwóch powodów: przede wszystkim dobrze znał Dorseta i nie potrafił nie czuć się odpowiedzialny za jego śmierć. Poza tym Avarone kierował jego pierwszymi krokami w tym niewidzialnym świecie, a później przez cały czas go wspierał. Arias nigdy tak naprawdę nie zrozumiał dlaczego, lecz ponieważ nie miał prawdziwego ojca, zaczął w końcu uważać starego generała za swego ojca duchowego.

- Dobrze - westchnął Attenheimer. - Pozostaje pytanie: dlaczego. Dlaczego to zrobił? Czy mam rozumieć, że naprawdę nie wiecie, panowie? - Pełne wahania milczenie wokół stołu. - Świetnie - zamruczał skonsternowany.

Rozległ się poważny i powolny, prawie aksamitny głos Wallaharda:

- Jest wiele możliwości. Po pierwsze: podłożyliśmy mu się jak nigdy dotąd, pierwszy Avarone. Saxon jest od początku agentem sowietów, którzy poprzez niego dokonali jednej z najwspanialszych infiltracji w naszych szeregach, o czymś takim dotychczas nie słyszałem. Całe to jego udawanie, ojciec, którego nam wydał - czy to był naprawdę jego ojciec? - nielegalni, których tropił, itp., to wszystko były gesty, które pomogły mu przetrwać...

- Nonsens, Richard - przerwał spokojnie Delange.

- Dlaczego?

- To niemożliwe w wieku, w jakim wtedy był, i nie z Avarone'em. Ponadto dobrze wiemy, jakie zło im wyrządził.

- Może istotnie - zgodził się Wallahard z namysłem. - Druga możliwość: sowietci przerobili go. Kiedy? Jak? Dlaczego na to poszedł?

Nie wiem, ale oni to zrobili - popatrzyl wokół. - Myślę, że takie mniej więcej jest zdanie ogółu.

Attenheimer zauważył wyraz niezadowolenia na twarzy Mnicha.

- Coś nie tak? - spytał.

- Nie wiem - odpowiedział Delange. - To wydaje się nieprawdopodobne. Jeśli rzeczywiście go przerobili, dlaczego się odkrył? Dlaczego został mordercą? Chcę powiedzieć, że to wszystko w żadnym razie nie odpowiada na pytanie: dlaczego.

- Zapomina pan o jednej rzeczy - odezwał się Wallahard. - On nie wie, że się odkrył. Nic nie wie o wiadomości, jaką przekazał nam Avarone.

- Zgadza się - wtrącił Arias. - Co więcej, Avarone być może go przejrzał. Nie ma w tym nic nieprawdopodobnego, wręcz przeciwnie, wyjaśniłoby wszystko. Delange - mówił teraz szybciej - mogłem rozumieć pańską rezerwę jeszcze do wczoraj, a i to nie bardzo, ale on zabił Dorseta. Zabił go!

- No właśnie - rzekł Mnich.

- Co właśnie? - krzyknął Arias zbity z tropu.

- Dlaczego zabił? Przypuśćmy, że miał powody, jak to pan sugeruje, aby zabić Avarone'a, i załóżmy, Nevillesa, to jeszcze ma sens. Ale dlaczego Dorseta? Dlaczego nawiązał kontakt?

- Żeby zrobić tu kompletny burdel - rzucił chłodnym głosem generał Fontgarde. - Zdestabilizować nas trochę i ostatecznie nas sparaliżować. Jeśli mamy temu nadać sens, to tylko taki: stanęliśmy wobec operacji mającej na celu destabilizację, operacji, w której Saxon stanowi widoczny instrument.

Mnich zachował milczenie.

- Jest i trzecia możliwość - odezwał się znowu Wallahard. Zwracał się do generała Fontgarde'a. - Daje się zresztą pogodzić z tym, co pan właśnie powiedział, jest nawet całkiem z tym zgodna. Sowieci potrafią posługiwać się tym, co mają pod ręką... Trzecia możliwość jest taka: bardzo prawdopodobne, że Saxon postradał zmysły. Że nagle postanowił - może go nieco do tego popchnięto - zemścić się na służbach specjalnych, na których, według niego, spoczywa odpowiedzialność za wszystko, co go spotkało, śmierć ojca, śmierć matki i wszystko inne... Najpierw zabrał się za Avarone'a, człowieka, który w jakimś sensie pomógł mu zdradzić ojca. Dorset z kolei był mu aniołem stróżem, gdy Saxon został zwerbowany. Co do Nevillesa, nie jestem

pewien... może po prostu dlatego, że był szefem tej haniebnej służby i stał się ofiarą pokutną w całym tego słowa znaczeniu... - Wallahard robił wrażenie głęboko przekonanego o słuszności swego rozumowania. - Postradał zmysły - powiedział na koniec. - I załatwia swoje sprawy... A sowietci liczą punkty.

Generał Fontgarde przyjął jego słowa z poważną miną.

- A Leningrad? - zauważył Delange.

- Uderza wszędzie tam, gdzie może wyrządzić jak największe zło - odrzekł Wallahard. - Wszystko ma ze sobą ścisły związek. Leningrad jest w Rosji.

Milczenie.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - powiedział cicho Attenheimer do Mnicha.

- Ja też nie - odrzekł Delange.

Attenheimer popatrzył na niego niepewnie, nieco zirytowany.

- Fakty mówią same za siebie, czyż nie? Co prawda dobrze wiem, że fakty czasami nic nie znaczą, że liczą się intencje - dodał robiąc aluzje do tego, co powiedział mu Mnich, kiedy obejmował swoje stanowisko. - Całkowicie się z tobą zgadzam. Ale w tym wypadku, Matthias, naprawdę...

Delange zgodził się z grymasem na twarzy, jakby wbrew sobie.

- W rzeczy samej - przyznał. Zaśmiał się krótko. - Gdy nieustannie poszukuje się ukrytej prawdy, w końcu się jej nie dostrzega nawet wtedy, gdy rzuca się w oczy.

Rozległ się cichy sygnał: „bip”.

Pułkownik Arias popatrzył na tarczę kieszonkowego odbiornika, zaraz potem wstał, wytłumaczył się dyrektorowi DGSE, po czym opuścił salę.

Wiadomość, jaką otrzymał, brzmiała następująco: „PILNE - OBIEKT: SAXON - MIEJSCE: SZWAJCARIA”.

- Saxon załamał się nerwowo - powiedział pułkownik Arias po powrocie do podziemnej salki. Usiadł z powrotem na swoim miejscu przy stole konferencyjnym, starając się opanować nadmierną ekscytację. - Miał pan rację, Wallahard. Pański trzeci wariant był słuszny. Saxon stracił panowanie nad sobą.

- Ach tak... - mruknął cicho Wallahard.

- Tak - oświadczył Arias. - I ma do tego powody. - Odwrócił się do dyrektora i podał mu jakiś dokument. - Teraz już możemy odpowiedzieć na pytanie: dlaczego, panowie.

- Niech się pan wyraża jaśniej, pułkowniku - rozkazał Attenheimer, nie patrząc na dokument, który położył przed sobą.

Arias wahał się przez chwilę.

- Saxon umrze - powiedział. - I wie o tym.

Attenheimer wpatrywał się w młodego pułkownika.

- Cóż to ma znaczyć, dokładniej?

- Jest skazany. Dokument, który ma pan przed sobą, to wyciąg z jego karty szpitalnej w Genewie. Ma nowotwór mózgu, nowotwór złośliwy... glezjak. - Chwila milczenia. - Zostało mu pięć czy sześć miesięcy życia, w najlepszym razie.

Zapadła cisza.

Attenheimer opuścił wzrok na dokument, który miał przed sobą, i przyglądał mu się jakoś dziwnie ostrożnie. Postanowił go przeanalizować.

- To jeden z rzadkich przypadków, gdy nie można nic zrobić - podjął Arias. - Nawet jeśli guz zostanie zoperowany, nawraca, w każdym przypadku. Jeśli dobrze zrozumiałem, z początku nie przeszkadza to w życiu, ale w pewnej chwili zupełnie obezwładnia. Chory cierpi na bóle głowy, być może wymioty. W końcu może mieć zaburzenia wzroku, przejściowy paraliż, ataki epilepsji i - w ostatnim stadium - popadnie w śpiączkę.

Attenheimer w końcu podniósł głowę.

- Jest skazany i wie o tym, tak?

- Tak, szefie.

- Wie o tym?

- Wie.

- Dobrze... Czy to coś zmienia w waszym podejściu do sprawy, panowie? Generale?

- Wręcz przeciwnie, umacnia nas w naszym sądzie - odpowiedział generał Fontgarde. - Trzeba go powstrzymać. I to szybko.

- A dlaczegoż by nie poczekać na jego śmierć... naturalną?

- To zbyt długo potrwa. Nie możemy sobie pozwolić na tak długie oczekiwanie. To co już zrobił - mówię to całkiem świadomie - jest niczym w porównaniu z tym, co jeszcze może nam zrobić.

- Zgadzam się - wtrącił Wallahard. - Wie, że umrze, nie chce już

udawać. Chce umrzeć w chwale, wyrządzić nam jak najwięcej zła. Ponadto chce, abyśmy wiedzieli, że to on. To postępowanie klasyczne... I bardzo niebezpieczne.

Attenheimer poprosił o opinię dwóch pozostałych pułkowników. Obaj przyłączyli się do zdania generała Fontgarde'a i Wallaharda, Arias bardzo stanowczo - powstrzymanie Saxona to sprawa pierwszej wagi.

Mnich zaś nie miał nic do dodania.

- Jak rozumiem - zwrócił się do Attenheimera i generała Fontgarde'a - postępując w ten sposób tracimy „Airways”.

- To możliwe - odpowiedział generał z powagą. - Ale nie takie pewne. Być może później znajdziemy sposób na odzyskanie siatki. Ale w obecnej chwili, szczerze mówiąc, Matthias, nie sądzę, abyśmy mieli wybór.

Mnich nie odpowiedział. Attenheimer zwrócił się do generała Fontgarde'a.

- Moglibyście go schwytać?

Szef wywiadu zastanawiał się chwilę, w końcu potrząsnął głową.

- Musi być wyraźny rozkaz. Jeśli nie, wymknie nam się i jeszcze raz zaatakuje. Nie ma nic do stracenia... I tak niczego już nie odzyska.

- Co innego wiedzieć, że się jest śmiertelnym - wtrącił Arias wspierając generała - a zupełnie co innego wiedzieć, że się umrze niebawem. Choroba narzuca mu termin zejścia z tego świata. To bardzo silnie działa. To czyni z niego człowieka j e d y n e g o . . . Zaskakującego i niebezpiecznego.

W małej podziemnej salce zapanowała cisza. Attenheimer wahał się jedynie przez ułamek sekundy.

- Wydać rozkaz powstrzymania go - powiedział i zamknął po siedzenie.

Matthias Delange, Mnich, opuścił salę jako ostatni. Pozostał przez chwilę sam, z oczami utkwionymi w trzech fotografiach stanowiących część dokumentacji, która leżała przed nim: fotografiach Charlesa Neville'a, generała Georgesa Avarone'a i Michaela Devesa. Intensywnie przyglądał się tym trzem twarzom. Tak jakby pytał wzrokiem i oczekiwał odpowiedzi.

Co się wydarzyło, pytał samego siebie walcząc z dręczącym niepokojem. W imię Boga! Co się wydarzyło?

Spokój ma zapach: to mieszanka delikatnej, przyjemnej jeziornej bryzy, damskich perfum, mlecznej czekolady, słodkiego dymu tytoniowego, skórzanych foteli, czystych, miękkich mokietów i lśniących boazerii.

Tak pachniała Genewa. Była pogrążona w spokoju i uspokajała ludzi. To zdumiewające miasto, prawie jak z bajki, człowiek ma tam świadomość - kiedy waha się przed wyborem ciastka, cygara czy klejnotu - że korzysta z najbardziej doskonałych, najbardziej wyrafinowanych dobrodziejstw cywilizacji. Mijające godziny wydają się tam zupełnie niepotrzebne, jednakowe, uspokajające; luksus wydaje się tylko niezbędny, nic ponadto - jest jakby zewnętrzną oznaką głębokiej, odwiecznej mądrości, a świat, nie tracąc nic ze swego blasku, po prostu trwa.

Takie wrażenia Genewa zawsze robiła na Marii, lecz tego ranka Maria daleka była od podobnych doznań. Wręcz przeciwnie: miasto jakby wyczuwało w niej zagrożenie dla swego spokoju, jakby nie chciało jej przyjąć i dokładało starań, aby poczuła się tu obco. Uczucie to spotęgowało się, niepokój także, gdy zostawiła za sobą zgiełk placu Bel-Air i szła pieszo w kierunku tej części miasta - wyludnionej, opustoszałej jak teren klasztorny - gdzie skupiły się prywatne banki genewskie. Samochody raczej się tu nie zapuszczają, a jeśli już, to rzadko, przypadkiem. Każdy z nielicznych przechodniów mógł okazać się bankierem, urzędnikiem bankowym albo klientem.

Gdzie będziesz?

Będę w pobliżu. Nie martw się.

Jednak nigdzie go nie widziała.

Punktualnie o jedenastej trzydzieści weszła do surowego, pozbawionego ozdób budynku z końca XVIII wieku. Miedziana wywieszka nad wejściem informowała tylko: „Arclet & Cie”.

Wyszła stamtąd pół godziny później. W torbie, którą niosła na ramieniu, miała nieco ponad sto pięć tysięcy dolarów. Powołując się na listowne polecenie podpisane przez Michaela, niemal całkowicie opróżniła konto numer 51 77 84, hasło: „Profanator”, otwarte w banku Arclet & Cie.

Udała się potem na plac Bel-Air, do siedziby Crédit Suisse, jednego z poważniejszych banków, dobrze znanego w Konfederacji Szwajcarskiej. Otworzyła tam numerowe konto na swoje nazwisko z pełnomocnictwem ogólnym dla niejakiego Johna Campbella, obywatela kanadyjskiego, który podpisze to pełnomocnictwo podczas następnego swego pobytu w Genewie. Wpłaciła sumę około pięćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów, resztę gotówki trzymała przy sobie.

Później, w dalszym ciągu zgodnie ze wskazówkami Michaela, zatrzymała taksówkę, która zawiozła ją do Lozanny. Tam wsiadła do innej taksówki i pojechała do niewielkiej oberży na brzegu jeziora, gdzie mieli się spotkać.

Od spotkania w Paryżu nie widziała go. Rozmawiała z nim przez telefon; ograniczył się tylko do wydania jej zimnym tonem poleceń, jakby nic się nie wydarzyło. Tak jakby nic nie było w stanie go poruszyć... Wykonała wszystkie polecenia. Raz tylko się wyłamała, gdy była przejazdem w Rzymie. Zadzwoiła do Paryża, bo chciała zrozumieć wreszcie, co się stało, wyjaśnić swoją sytuację. Nakręciła numer, pod którym znano ją jako „Alicję”. To, co usłyszała, wprowadziło ją w zdumienie, a potem przeraziło:

- Alicjo, on panią zabije, panią także! On zwariował! Wszystkich zabija! Mamy dowód, że zamordował Avarone'a i Nevillesa! Słyszysz pani? Na litość boską! Dopiero co urządził masakrę Dorseta i tylu niewinnych! Alicjo, on zwariował, słyszysz pani? Musi nam pani pomóc go zatrzymać! Alicjo? ALICJO?

Gdy zacytowała te słowa Michaelowi, ograniczył się do stwierdzenia, że zdrajca jest ważniejszy i potężniejszy, niż się mogło wydawać, że udał mu się włączyć w swoje intrygi całą służbę wywiadowczą i że



teraz, po zlikwidowaniu Avarone'a i wszystkich pozostałych, chce zabić właśnie jego, żeby zamknąć krąg.

- Michael, ty naprawdę nie rozumiesz, co to znaczy? - zaniepokoiła się.

- Co może znaczyć?

- ON nie chce cię zabić, na pewno nie to!

- ...

- Owszem, chce twojej śmierci, ale zajmą się tym służby specjalne! Nie on sam! Zdrajca uczynił cię zdrajcą, Michael! Zdrajca - to ty!

Maria wytarła parę z jednej z małych szybek okna i starała się dojrzeć w ciemności wody jeziora Leman. „Pływająca oberża” leżała na zalesionym skrawku ziemi wrzynającej się w jezioro, podobnym do zaokrąglonego grzbietu zwierzęcia. Z daleka miejsce to wyglądało jak romantyczna miniatura, gdy zapada zmierzch, można się tu czuć jak na końcu świata.

Drewno trzasnęło w kominku. Maria usłyszała za sobą głos Michaela:

- Ostatecznie wystarczy mi trzydzieści tysięcy dolarów, resztę możesz wziąć.

Odwróciła się i patrzyła, jak kończy układanie banknotów w małej walizeczce. Potem popatrzyła na swoją torebkę, która leżała otwarta na łóżku, było w niej dwadzieścia tysięcy dolarów.

- I co mam z tym zrobić?

Ciągle stał odwrócony plecami.

- Trzymaj je. - I dodał: - Na wszelki wypadek.

- Jaki wypadek?

- Na wszelki wypadek - powtórzył.

Maria zacisnęła wargi.

- Michael? - odezwała się nieśmiało.

- Słucham? - spytał odwracając się z miną najzupełniej obojętną.

Marii zrobiło się trochę przykro, patrzyła z wyrzutem przechyliwszy głowę nieco na bok.

Michael wytrzymał jej wzrok, po czym zachmurzył się.

- Muszę załatwić tę sprawę - powiedział.

- Ależ to obłąd!

- Nie ma innego wyjścia.

- Przeszkodzę ci w tym.
- Nie opowiadaj głupstw.
- Przeszkodzę ci, Michael.
- Mario! - zirytowanym i znużonym głosem kazał jej milczeć.

Szybko się odwróciła i skrzyżowała ręce na piersi, jakby tym ruchem chciała powstrzymać wybuch złości. Westchnęła głęboko i powiedziała;

- Tak bardzo zależy ci na tym, aby umrzeć, prawda?

Nie odpowiedział.

- O to chodzi, tak?

- Nie zależy mi, nie.

Uśmiechnął się blade, a ona opacznie zrozumiała ten uśmiech. Krzyknęła:

- Nie masz najmniejszej szansy i wiesz o tym! Jesteś sam, kompletnie sam, odcięty od wszystkiego! Zdrajca wszystko trzyma, wszystkie sznurki. Sowietci cię ścigają, ludzie z twojego własnego obozu cię ścigają! Nie ma nikogo, do kogo mógłbyś się zwrócić, nie masz nikogo takiego! - Dał znak, aby mówiła ciszej, co jeszcze bardziej ją zirykowało. - Cholera, jak możesz być taki...

- Jaki?

- Zgadnij! - krzyknęła.

Ledwo dostrzegalny błysk rozbawienia pojawił się w oczach Michaela. Po chwili zaczął się zastanawiać i znów spojrzął.

- To jedyne wyjście, Mario.

- Nonsens!

- Nie, wręcz przeciwnie, to całkiem logiczne - powiedział spokojnie. - Bardzo logiczne. Doskonale mieści się w porządku rzeczy - dodał i chyba natychmiast tego pożałował.

- Porządku rzeczy!

Machnął ręką, aby nie zwracała uwagi na jego słowa. Patrzyła z niedowierzaniem i jednocześnie z przestrawieniem. Unikał jej wzroku, czuł się nieswojo. Maria opanowała się i spytała:

- Ścisłej mówiąc, co masz zamiar teraz robić, mogę wiedzieć? - Zwlekał z odpowiedzią. - Chcę wiedzieć, Michael. - Chwila milczenia. - Mam prawo wiedzieć!

- Wracam tam - powiedział. - Do Rosji.

- Po co?

- Żeby dojść do końca łańcucha i znaleźć wreszcie kogoś, kto wie o

mojej misji... i o całej reszcie. Może szefa „Airways”. To tylko możliwość, ale jedyna, jaka została. - Wpatrywał się w Marię, jakby chciał wzmocnić działanie tych słów. - To także jedyna możliwość znalezienia czystego kontaktu w DGSE. I znalezienia szpiega. - Milczenie. - A poza tym może to najlepsze miejsce, gdzie mogę pojechać. Na pewno od razu na to nie wpadną. Ani oni, ani tamci...

Umilkł. Zamyślił się.

Był to także jedyny sposób, aby się z nią rozstać. Nadeszła właściwa chwila.

Dalej milczał, zaciskając zęby, jakby chciał umocnić w sobie świeżo podjęte postanowienie - że od tej pory sam będzie decydował, co się z nim stanie teraz i w przyszłości.

W końcu, wzięwszy wszystko razem, co miał lepszego do roboty?

Maria zobaczyła jego uśmiech, ledwo dostrzegalny. Zaprotestowała:

- Rzykujesz, że cię zabiją milion razy! To cię bawi? Michael, na czym polega ten twój porządek rzeczy? - prawie krzyczała. - Na czym?

Milczenie.

Popatrzył na nią, wyczytała w jego oczach coś, czego nie rozumiała i co zmroziło jej krew.

- Michael...

Dostrzegła, że jest zmieszany. Odwrócił się, jakby szukał odpowiedzi.

- Zdrada była włączona w grę - powiedział cicho. - Wiedzieli, że istnieje, nie wiedzieli, kim jestem. Wiedzieli tylko o istnieniu Saxona, ale nie znali mojego nazwiska, mojej tożsamości.

- Co to zmienia? - spytała cicho Maria, czując, że on mówi prawdę, lecz że jednocześnie znowu jej się wymyka.

- To nie jest takie proste, jak się wydaje. Gdyby chodziło o zwykłą zdradę, Rosjanie wszystko by o mnie wiedzieli. O wiele więcej w każdym razie, nie tylko połowę... W rzeczywistości „wydali” mnie specjalnie już na początku... Połowicznie, ale wydali.

- Więc to nie jest zdrada?

- Nie. To było częścią gry.

- Gry?

Ciągnął dalej:

- Inaczej mówiąc, był zdrajca... I oni o tym wiedzieli. Oni, to znaczy Avarone, Avarone i inni wiedzieli o tym. Użyli go jako pośrednika. Rozmawialiśmy przy nim... Dlaczego? Nie wiem. Może zdrajca był częścią celu... Nie wiem...

- I chcesz to kontynuować? - wykrzyknęła. - Na przekór wszystkiemu chcesz to ciągnąć dalej! Poświęcać się dla nich! Dla tych... maniaków?

- Nie ma innego wyjścia.

- Och, mój Boże! - zawodziła.

Zanurzyła ręce we włosach i powoli zsuwała je na kark. Obserwowała Michaela niezdecydowanie, bo nie wiedziała, co ją oburza bardziej: ta podłość, o której mówił, czy może spokój, nawet bierność, z jaką to wszystko przyjmował. Po chwili powiedziała:

- A ja? Pomyślałeś o mnie?

- Ciebie nikt nie będzie niepokoił - rzekł nie patrząc na nią.

- Michael, przestań traktować mnie jak idiotkę! - krzyknęła zbyt głośno. Przez moment wahała się, jakby nie wiedziała, od czego zacząć. - Kocham cię - rzekła w końcu ścisząc głos, zdawało się, że tylko to była w stanie powiedzieć. - Kocham cię!

Miała nieprzyjemne wrażenie, że Michael powoli pęka na tysiące części. Oparł łokcie na kolanach i delikatnie, koniuszkami palców masował sobie skronie.

- Nie komplikuj wszystkiego jeszcze bardziej, proszę cię - rzekł.

Maria otworzyła usta, aby coś powiedzieć, lecz rozmyśliła się. Po chwili, pod wpływem nagłej determinacji, usiadła obok niego na brzegu łóżka.

- Dobrze - powiedziała. - Chcesz to ciągnąć dalej? Ja także! Kocham cię i chcę być z tobą bez względu na to, co się wydarzy, bez względu na niebezpieczeństwo! Słyszysz? - Popatrzył na nią tak jak patrzy się na kogoś, kto oszalał. - Słyszysz, co mówię? Nic na świecie mi w tym nie przeszkodzi. Nic na świecie, Michael. Nawet ty. Nikt!

Michael zrozumiał, że nie ulegnie, że naprawdę jest zdeterminowana. Powiedział więc z niechęcią:

- Mario, a jednak coś jest.

- Powiedziałam, że nie! - powtórzyła drżącym głosem.

- Nie, Mario - mówił z naciskiem, ale spokojnie. - Widzisz, gdy tam

wrócę... być może umrę... Wiesz? - przerwał na chwilę. - I wcale mnie to nie niepokoi. Myśl o tym nie niepokoi mnie.

Maria zbladła.

- Łajdak - powiedziała cicho.

- Nie, posłuchaj - rzekł spokojnie. - Nie będę ci mówił, że cię nie kocham, wiesz dobrze, że cię kocham. Chciałbym dalej cię kochać. Ale nie mogę... nie mógłbym... - westchnął głęboko. - Mario, ja umrę. Jestem chory i umrę.

Maria, zupełnie oszołomiona, wybelkotała:

- Tylko tyle potrafisz wymyślić, aby...

Wyjaśnił jej, co to jest glejak, dlaczego ten typ nowotworu mózgu jest nieuleczalny i jaki ma to związek z bólami głowy, na które, jak pewnie zauważyła, niekiedy cierpiał. Niczego przed nią nie ukrywał, ani tego, że pozostało mu już niewiele czasu. Kiedy skończył, z twarzy Marii wyczytał, że uwierzyła. Poczul ulgę i jeszcze większą wdzięczność.

Anioł życia i łagodności...

Chciał się do niej uśmiechać, ale nie udało mu się.

- To także jest porządek rzeczy - dodał. - Oni o tym wiedzieli. Dlatego mnie wybrali. Wiedzieli, że nic mnie nie zatrzyma, że nie mam nic do stracenia - i mieli rację. - Milczenie. - Mario, ja nie chcę umierać... Ale umrę...

Patrzył na nią.

Nie płakała, była bardzo blada. Zupełnie znieruchomiała, tak jakby nagle uleciała z niej dusza. Żywy posąg.

Wyciągnął rękę, dotknął jej policzka, delikatnej skroni, bo chciał na nowo tchnąć w nią życie. Zaczęła drżeć, przycisnęła jego dłoń do twarzy, bardzo mocno; oczy jej stały się błyszczące, oddychała gwałtownie i głęboko. Przytrzymała rękę Michaela przy swojej szyi i przechyliła głowę na ramię, aby bardziej przycisnąć, lepiej poczuć jego dłoń.

- Nie ma żadnego powodu, żadnego na świecie... - Michael zmuszał się do mówienia. - Żadnego powodu, który kazałby ci ze mną jechać... umierać ze mną. Teraz rozumiesz?

Rzuciła się w jego ramiona. Przytulił ją mocno, wydała cichy, bolesny jęk.

- Rozumiesz dlaczego?

- Tak! - powiedziała wybuchając szlochem. - Och! Michael! Michael!

- Posłuchaj - powiedział, starając się nie stracić gruntu pod nogami. - Słuchasz mnie?

- Tak - odpowiedziała łkając.

- Nie płacz, proszę cię. Posłuchaj.

- Tak!

Udało jej się powstrzymać szloch.

- Posłuchaj - powtórzył cicho. - Pragnę tylko, żeby rzeczy... Pragnę, żeby rzeczy potoczyły się tak, jak tego chcę. Rozumiesz?

- Tak!

- Tak jak chcę, aby się potoczyły... - odsunął się i ujął jej twarz w dłonie. - Rozumiesz?

Kiwnęła głową przelękając łzy.

- Wszystko będzie dobrze, rozumiesz?

- Tak - wyszeptała, trochę już spokojniejsza.

Długo na niego patrzyła, czując, że dokonała się w niej jakaś głęboka zmiana. Patrzyła z czułością i miłością, objęła jego twarz i przytuliła do siebie.

- Kocham cię - wyszeptała żarliwie, całowała jego usta, policzki, oczy, czoło.

- Jesteś moją jedyną miłością - szeptała przytulając go do siebie. - Moją jedyną miłością... - Okrywała go pocałunkami, pieściła na przemian władczo i delikatnie, aż w końcu ożywił się, a ona ciągle nieprzytomna, uspokoiła się trochę dopiero, gdy wszedł w nią. Objęła go z całych sił, szeptała miłosne zaklęcia, błagała o miłość, błagała niebo, aby dało mu siłę kochać ją tak, jak ona go kocha.

Nie spali. Wtedy zapytała go. Jej głos w ciemności, tak łagodny, spokojny, był dla niego ulgą i pocieszeniem.

- To boli?

- Nie.

- A teraz cię boli?

- Nie.

- To dobrze... - Milczenie. - Będziesz cierpiał?

- Nie.

- Nie?

- Mówią, że nie.

- Tym lepiej... Tym lepiej, prawda?

- Tak. - Milczenie.
- Co czujesz?
- Nic.

Przytuliła się mocniej.

- Kocham cię - szeptała, jakby chciała dodać mu odwagi. Znowu milczenie. Potem nagle zaczął mówić; mówił, co myśli, bez obawy, prawie z ciekawością.

- Rzeczy piękne są po prostu piękniejsze, inne zaś brzydsze. Wszystko jest jakby skondensowane i przyspieszone, zwielokrotnione. Ciekawe, gdy człowiek ma umrzeć, czuje się bardziej żywy, bliższy życia niż kiedykolwiek. Aż do szpiku kości... Lecz jednocześnie nie ma czasu, aby z tego życia korzystać, wie, że nie ma na to czasu. Wszystko toczy się tak, jakby życie postanowiło ukazać się w całej swej krasie, takie bliskie, a jednocześnie nie pozwalało żyć. Tak jakby chciało jedynie pozostawić po sobie wspomnienie, tylko wspomnienie, najlepsze z możliwych... Jakby chciało, aby żałowano, że odchodzi...

- Kocham cię - szepnęła Maria. - Kocham cię - powtórzyła przyciskając się do niego całym ciałem, jakby chciała rozpląnąć się w nim.

Przytulił ją mocno i głęboko odetchnął.

- Ale to nie zawsze jest tak... Życie toczy się dalej, to znaczy czas płynie dzień po dniu i w końcu człowiek nie ma uczucia, że przeżywa tragedię, że jest tragedią... Być może to jest najgorsze... Czuje, że mu spieszo, ale jednocześnie jest jakby obok. A później coraz bardziej się oddala i coraz mniej mu się spieszy... Tak, to jest najgorsze... A czuje się jeszcze żywy... Czuje się jeszcze żywy, a nie może egzystować - mówił coraz ciszej. - Żywy i nie nadaje się do życia...

- Ciii... - szepnęła Maria głaszcząc go i pieszcząc, jak pięści się dziecko. - Kocham cię - wyszeptała mu do ucha. - Kocham cię.

W końcu zasnął w jej ramionach. Długo jeszcze obejmowała go i przytulała, wsłuchując się w jego oddech, śledząc najmniejszy ruch. Całkiem zapomniała o sobie, myślała wyłącznie o nim, nie dopuszczała do siebie myśli o tym, co powiedział, pogrążyła się w szaleństwie.

Gdy nadszedł świt, ciągle jeszcze nie spała. Wstała cicho i usiadła w fotelu przy oknie.

Patrzyła, jak szara powierzchnia jeziora nieznacznie rozjaśnia się i ożywia. Słychać było śpiew ptaka; wydawało się, że z pewnym opóźnieniem nakręca gwizdek nie przerywając śpiewu, bo nazbyt mu się spieszy i nie chce zaciąć się od razu, na samym początku. Słuchała śpiewu ptaka i odnosiła wrażenie, że Michael we śnie także słucha. Przyglądała mu się w ciemności.

Potem znowu patrzyła na jezioro i słuchała. Słuchała całą sobą, jakby starała się zrozumieć, co ptak chce jej przekazać i w czym może być pomocny. Wreszcie, nie zdając sobie z tego sprawy, przestała słuchać, już nic nie słyszała. W końcu zasnęła.

Obudziła się późno. Michaela nie było, wpadła w panikę. Po chwili znalazła karteczkę, na której napisał, że poszedł się przewietrzyć nad jezioro. Pół godziny później także tam poszła. Mówiła do niego:

- Rozumiem, że chcesz wyjaśnić tę sprawę, wrócić tam, zrozumiałam wszystko, co mi powiedziałaś, rozumiem nawet, że musimy się rozstać, rozumiem wszystko! Widzisz, jestem rozsądna, rozumiem, zapewniam cię, że rozumiem! Ale nie zgadzam się na to, abyś odszedł z mego życia tak po prostu, natychmiast. Nie chcę cię opuszczać. To ponad moje siły, Michael, nie mogłabym. Nie chcę tego i nie mogę, słyszysz? Nie potrafiłabym! Teraz ty powinieneś zrozumieć, Michael, musisz to zrozumieć...

- O co ci chodzi?
- Chcę ci pomóc.
- Pomóc mi?
- W jakikolwiek sposób.

Milczał.

- Czy chcesz, czy nie, ja to zrobię, Michael - zagroziła. – Więc lepiej, żeby to było po twojej myśli. Tak jak będziesz chciał, jak uznasz za stosowne. „Zgodne z zasadami bezpieczeństwa” – dodała z lekkim, wymuszonym uśmiechem.

Nie odpowiedział, powtarzała więc zapalczywie wszystko od początku, chcąc, aby odczuł, że jej postanowienie jest nieugięte; pełna niepokoju mnożyła argumenty, powiedziała nawet, że w każdej chwili on może umrzeć i że wróg, bez względu na to kim jest, zatriumfuje - a jego, Michaela, śmierć będzie wtedy daremna.

- Zgoda - powiedział, gdy wreszcie umilkła.
- Naprawdę?



- Przecież nie zostawiasz mi żadnego wyboru.

- Nie - zgodziła się z uśmiechem.

Przyglądał jej się z rozczuleniem.

- W dodatku masz chyba trochę racji - powiedział. - Żeby tylko to się przydało... - przerwał. - Ale tak jak ja chcę.

- Oczywiście! - Przytuliła się do niego. - Powiedz, że mnie kochasz.

- Kocham cię.

- Nie tak! Powiedz naprawdę!

- Nienawidzę cię - powiedział cicho biorąc ją w ramiona.

- Ja ciebie też - westchnęła i pocałowała go.

Dwadzieścia cztery godziny później opuścił ją.

Przedtem wrócili do Genewy. Michael wynajął doskonale wyposażone biuro w Wilson Center, w ultranowoczesnym kompleksie na prawym brzegu, mieszczącym biura i mieszkania służbowe. Zainstalował w biurze automat zgłoszeniowo-informujący, z którym można było łączyć się z daleka przez wykręcenie odpowiedniego numerycznego kodu dźwiękowego na tarczy telefonu łączącego - w przypadku aparatu o częstotliwości telefonicznej - albo też, z braku takiego, na tarczy japońskiego zegarka z wmontowanym miniaturowym głośnikiem. Aparat ten miał służyć za całkowicie bezpieczną skrzynkę kontaktową. Maria będzie mogła się z nim porozumieć albo nawet zostawić wiadomość ze zwykłej budki telefonicznej w Paryżu.

Później Deves odbył wiele rozmów telefonicznych, zwłaszcza z Hamburgiem. Musi przygotować swój powrót do Związku Sowieckiego, powiedział Marii, ale nie ujawniał żadnych szczegółów. „Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej”.

Nie chciał, aby posłużyła się biurowym komputerem w celu sprawdzenia konta w American Express zawierającego zakodowane dane agentów moskiewskiej sekcji „Airways”. Nie rozumiała dlaczego. Noc spędzili w Hiltonie jak dwoje turystów. Następnego dnia późnym rankiem wrócili do Wilson Center. Dopiero wtedy poprosił Marię, aby skontaktowała się z American Express w Paryżu. Zaraz potem odprowadził ją na dworzec, na pociąg do Paryża, sam zaś udał się na lotnisko, aby polecieć do Hamburga.

Wykiwał mnie, pomyślała Maria, gdy pociąg ruszył.

Jedyne, co ją teraz z Michael'em łączyło, to automat telefoniczny... Ale czy naprawdę łączyło? Czy w ten sposób mogłaby mu w czymkolwiek pomóc? Zabronił jej jakichkolwiek samodzielnych poczynań, nawet jeśli obwarowałaby się najdoskonalszymi środkami ostrożności.

- Michael, dlaczego? - protestowała. - Posłuchaj: Avarone nie mógł być sam w tej całej sprawie, to niemożliwe. Na pewno w rodzinach Saxona brały udział inne osoby. One zapewne wiedzą o twojej misji. Wiedzą, że to nie ty zabiłeś Avarone'a! Mogę spróbować je odnaleźć, jak najostrożniej!...

- Może wcale nie istnieją - odpowiedział. - A jeśli istnieją, są pewnie przekonani, tak jak wszyscy inni, że zabiłem Avarone'a.

- Ale mogłabym chociaż spróbować!

- Nie. Zrobisz tak: na nowo zagnieżdziesz się w ministerstwie, będziesz żyła najnormalniej w świecie, postaraj się nie jechać już do Moskwy... Bądź spokojna. Range nie został wysledzony, ale mało brakowało. Nie daj im najmniejszej szansy, aby cię zidentyfikowali, Mario. Nie daj!

- Och, Michael...

Zastanawiała się nad tym wszystkim, podczas gdy pociąg pędził przez francuskie pola. Myślała też, w jaki sposób mogłaby spróbować mu pomóc, wbrew temu co powiedział - to było silniejsze od niej. I pomagało jej. Nie chciała myśleć o tamtym. Zastanawiać się za niego, działać za niego, ale nie myśleć, przede wszystkim nie myśleć! Postępować tak jakby... To jedyny sposób, żeby nie zwariować! Nie myśleć o tym! Zastanowić się, zastanowić się!

Zastanawiała się tak długo i tak intensywnie, że w końcu, jak jej się zdawało, znalazła sposób, aby pomóc Michaelowi, pomóc skutecznie, nie wystawiając na niebezpieczeństwo ani jego, ani siebie samej. Postara się o czysty kontakt z kimś z francuskich służb specjalnych. Znajdzie kogoś nie demaskując się. Pomoże jej w tym pewien stary dyplomata. Przyjaciel jej ojca. Nagle przypomniała sobie o jego istnieniu i kontaktach, jakie utrzymywał z wysokim funkcjonariuszem służb specjalnych. Czy jej pomoże? Tak, pomoże, jest tego pewna.

Ta myśl uspokoiła ją, zaczęła rozmyślać, jak należy postąpić. Jednak spokój nie trwał długo. Nie wiadomo skąd pojawiło się natrętne, bezlitosne pytanie: czemu to wszystko ma służyć? Zrobiłaby wszystko,

aby tylko nie słyszeć tego pytania. Wtedy przyszła jej do głowy pewna myśl, nieprzyjemna myśl, serce zabiło jej mocniej...

Pojęła, dlaczego Michael czekał do ostatniej chwili ze sprawdzeniem konta w American Express.

Miała rację, że się zaniepokoiła. Michael wiedział, co robi.

Tego samego wieczora w siedzibie American Express w Paryżu jeden z urzędników dostrzegł na liście kontrolnej notatkę, że ktoś zasięgał informacji o stanie konta. Zrobił wtedy to, co powinien był zrobić: wszczął alarm.

Nawet jeśli nie dysponuje się łodzią podwodną, z której można wysiąść w środku nocy w odległości około kilometra od brzegu; gdy nie ma się pod ręką pilota samolotu gotowego przelecieć tuż nad ziemią, pod osłoną radiolokacyjną, i przetransportować człowieka za granicę, po czym wrócić; gdy nie ma się ani czasu ani ochoty, by ryzykować przetarcie szlaku przez góry ze specjalistami od przemytu ludzi na Zakaukaziu, północy Iranu czy Afganistanu; gdy nie można ryzykować kontroli granicznej, choćby nawet z najdoskonalszymi na świecie fałszywymi dokumentami - nielegalny wjazd do ZSRR jest mimo wszystko możliwy... Pod warunkiem, że ma się pieniądze i zapuka do odpowiednich drzwi.

Deves miał kieszenie pełne dolarów, a drzwi, które otworzył w Hamburgu, były doskonałe. Prowadziły do Hansa Dietricha Künstlera, siedemdziesięcioletniego antykwariusza mieszkającego z młodszą siostrą. Był to starszy pan o nobliwym wyglądzie, elegancji i manierach z innego wieku, spojrzeniu szczerym, choć nieco twardym, które łagodniało niekiedy na dźwięk muzyki Mozarta rozbrzmiewającej w jego sklepie.

W rzeczywistości Künstler był niezłą kanalią. Jeden z fanatycznych nazistów najgorszego rodzaju. Poszukiwany za zbrodnie wojenne w roku 1945, ale nigdy specjalnie nie niepokoiony. Francuskie służby specjalne - inne służby alianckie postępowały tak samo ze zbrodniarzami wojennymi - uchroniły go przed wymiarem sprawiedliwości, aby w obliczu rodzącej się zimnej wojny wykorzystać antykomunistyczne siatki, rozmieszczone zwłaszcza wśród ludności pochodzenia niemieckiego w krajach nadbałtyckich - na Litwie, Łotwie i w Estonii. Od połowy lat pięćdziesiątych Künstler do działalności dla

Francuzów dołączył inną, swą własną, która zwiększyła jego dochody: wyspecjalizował się w pomaganiu Żydom pragnącym nielegalnie opuścić terytorium Związku Radzieckiego. Ale nie wszystkim, nie byle komu, wyłącznie tym, którzy mogli zapłacić złotem lub klejnotami, nawet dewizami, za pośrednictwem krewnych lub przyjaciół mieszkających na Zachodzie. Francuskie służby specjalne nie protestowały, Künstler potrafił je przekonać, że nie ucierpią na tym ich interesy, a nawet trochę oszczędzą. Pieniądze otrzymane od Żydów - obiecał - częściowo posłużą do sfinansowania jego działalności dla służb specjalnych. Dodał nawet ironicznie, z cynizmem, który zaszkodził jego oficerowi łącznikowemu, że dla nazisty jest to jeden ze sposobów naprawiania krzywd, jakie wyrządził społeczności żydowskiej...

W przeszłości Deves zwracał się do niego dwa czy trzy razy. Był pewien, że może to zrobić ponownie bez ryzyka. Po pierwsze - z powodu pieniędzy, po drugie, z powodu obawy starego faszysty, że to sam Avarone, nawet po śmierci, przez swego pośrednika wydaje mu rozkazy.

- Bardzo trudno jest tam wjechać, zwłaszcza gdy się komuś spieszy - oświadczył Künstler, po czym dodał z poufałym uśmiechem: - Chyba że jest ktoś, kto chce stamtąd wyjechać. Wtedy, za dolary, za dużą sumę wszystko jest możliwe... Mam kogoś takiego. To nie jest Żyd. Z nastaniem pieriestrojki Żydzi już nie płacą, teraz latają czarterami... To Łotysz. Autonomista. Podziemna organizacja rosyjska Czerwone Stopy wyznaczyła nagrodę za jego głowę. Pan jest jego szansą, bo on nie ma środków na to, aby zorganizować sobie wyjazd. Zamiana to co innego. W tych samych okularach, z takimi samymi wąsami, jasnymi włosami, będziecie do siebie podobni jak dwaj bracia... Popłynie pan statkiem. Porty są ciągle jeszcze najlepszymi miejscami dla tego rodzaju podróży.

Künstler zajął się wszystkim. Koszt: piętnaście tysięcy dolarów.

Trzy dni później Deves pod osłoną nocy wszedł w Kilonii na pokład niemieckiego statku przewożącego stalowe rury do Leningradu. Kapitan natychmiast zaprowadził go do okrętowego szpitaliku, gdzie Michael pozostał nie wychodząc ani na chwilę przez trzy dni, bo tyle trwał rejs po Morzu Bałtyckim.

Tuż przed wplynięciem do kanału portu leningradzkiego, dokładnie pół godziny przed wejściem na pokład portowego pilota, kapitan

przyszedł do szpitaliku po książeczkę morską Michaela, odpowiednik paszportu dla marynarzy, w której zapisane są wszystkie kolejne zaokrętowania, wyokrętowania, nazwy statków, pełnione funkcje i tak dalej. Przejrzał dokument i stwierdził, że jest *sehr fertig*.

- Niech pan będzie spokojny - zapewnił Devesa puszczając do niego oko.

Był to mężczyzna z niewielkim brzuszkiem, o żywych, ruchliwych oczkach, z trochę dziwną cienką, siwą bródką, która pod podbródkiem biegła od ucha do ucha, jak pasek od hełmu.

- Wypadki potoczą się następująco - wyjaśnił po angielsku. – Na razie zostanie pan tutaj. Gdy statek zacumuje przy nabrzeżu, ludzie z sowieckiej komisji wejdą na pokład, aby załatwić formalności administracyjne: imigracja, cło, wszystko co jest związane z przeładunkiem i zaopatrzeniem statku. Ci z imigracji - w rzeczywistości KGB, chyba pan wie - wyjdą zabierając wszystkie książeczki marynarzy; przyniosą je po sprawdzeniu. Może to trwać godzinę lub dwie, zależnie od ich humoru. Pan nie ma się czego obawiać. Jak tylko załoga zejdzie na ląd, wróćę po pana, zejdzie pan na ląd ze mną. Musi pan mieć okulary i wąsy, a także rękę na temblaku – to będzie jednocześnie znak rozpoznawczy dla Łotysza i znak szczególny ułatwiający zamianę. Na nabrzeżu będzie trzech uzbrojonych wartowników KGB: jeden przy rufie statku, jeden przy dziobie, a trzeci przy trapie. Ten trzeci ma listę nazwisk członków załogi. Da mu pan książeczkę, on zaś wręczy panu *propusk* – oprawioną w plastik przepustkę z numerem odpowiadającym numerowi przy pańskim nazwisku na liście. Przy wyjściu poza mur otaczający port będzie jeszcze jedna kontrola. Tu także KGB i cło. Pokaże pan *propusk*, a oni odnotują pana wyjście na liście członków załogi. Celnicy mogą nas zrewidować, ale przeważnie tego nie robią. Gdy znajdziemy się poza strefą portową, pójdziemy do baru hotelu Europejska. Czeka tam na nas Łotysz ze swoją matką. Przejdziecie do toalety i zamienicie się wszystkim, ubraniem, okularami, temblakiem, dokumentami - weźmie pan jego dowód osobisty, a da mu pan *propusk*. Później on pójdzie ze mną. A pan wróci do jego matki - pańskiej matki! Dalej już ona panu pomoże. To jest obowiązek, tak jest w umowie... Wszystko dobrze się potoczy, proszę się nie niepokoić.

Michael trochę się denerwował; jednak wszystko poszło tak, jak było przewidziane, zupełnie gładko.

W toalecie Europejskiej nawet nie zamienił trzech słów z Łotyszem, jedynie uśmiech, gdy przebierali się ramię w ramię w tej samej kabinie, a na pożegnanie zwykły uścisk dłoni.

- Proszę się nie martwić - powiedział Michael po rosyjsku do matki Łotysza, gdy już siedzieli w hotelowym barze. - Patrzyła na niego z niepokojem. - Pani syn i ja jesteśmy bardzo do siebie podobni. Wszystko pójdzie dobrze.

Był o tym przekonany. Wartownik KGB, ten stojący przy trapie, w ciemnościach i w śniegu sypiącym na Leningrad, mniej lub bardziej wzmocniony kilkoma wypitymi po cichu haustami wódki, na pewno będzie w stanie lekkiej euforii. Jak zawsze przed północą, w porze gdy kończy wartę. Ostatni członkowie załogi regulaminowo powrócą już na statek, tylko kapitanowie mają prawo spać gdzie indziej, tak więc ów wartownik niczego nie zauważy. Tym bardziej że - mimo iż bardzo skrupulatny - na pewno nie zaryzykuje i nie podejdzie pod sam nos Łotysza, który ma udawać, że jest pijany i bliski wymiotów.

Matka Łotysza nazywa się Latvia, tak jak dawniej Łotwa. Latvia Talitis. Była to kobieta lat około pięćdziesięciu, raczej mocnej budowy, o krągłych wystających policzkach; wydawało się, że jej jasne zmrużone oczy mogą zgasnąć w każdej chwili. W roku 1941 straciła ojca i wujów w szeroko zakrojonych łapankach organizowanych przez NKWD - tak nazywało się KGB za Stalina - w ramach przymusowej sowietyzacji Łotwy. W końcu lat pięćdziesiątych straciła męża, wywiezionego na Syberię za działalność antysowiecką. Nie chciała, aby jej syna spotkał taki sam los.

- Może kiedyś będzie mógł wrócić - mówiła. - Mam nadzieję, że dożyję tego dnia... A na razie - znowu jej głos pełen był determinacji, a spojrzenie wyrażało wdzięczność - jestem gotowa pomóc panu, jak tylko będę mogła. Czego pan potrzebuje?

Zdziwiła się, gdy Deves poprosił jedynie, aby odprowadziła go na dworzec. Miał zamiar wsiąść do pierwszego nadarżającego się pociągu do stolicy, a w jej towarzystwie pozostanie niezauważony. Spytała, czy wie, dokąd ma pójść w Moskwie, a ponieważ zawahał się, dała mu adres kogoś zaufanego. - „Niech pan weźmie, tak na wszelki wypadek...” Dała mu także swój adres na wybrzeżu łotewskim, nie opodal portu Ventspils. - „Nigdy nie wiadomo,..”

- Nie wiem, kim pan jest i po co pan przyjechał - powiedziała przy

rozstaniu, a przedtem pocałowała go w nagłym przypiływie czułości. - Ale nawet gdyby był pan wysłannikiem samego diabła, wspomnienie pana będzie mi drogim aż do końca życia. Pomodłę się za pana. Niech Bóg pana błogosławi!

Bóg chyba wysłuchał głosu Latvii Talitis, bo podróż Devesa do Moskwy przebiegła bez przeszkód. Jednak oddziaływanie Boga w Związku Sowieckim miało swoje granice i prawdę mówiąc, w Moskwie niewiele mógł zdziałać. Dokładnie w chwili, gdy Michael, jak mu się zdawało, najgorsze miał już za sobą, gdy doszedł do wniosku, że udało mu się szczęśliwie tu wrócić, nagle sprawa przybrała zły obrót. Na dworcu, wyjątkowo czujny, mający pamięć do twarzy młody funkcjonariusz milicji dostrzegł go w tłumie.

Był taki czas, niezbyt odległy, gdy w podziemiach więzienia na Łubiance w Moskwie słyhać było dzień w dzień krzyki „wrogów narodu sowieckiego”, których tutaj torturowano, i odgłosy strzałów - wykańczano ich kulą w tył głowy. Dzisiaj Łubianka nie jest już więzieniem. I mimo że nie jest już miejscem najstraszniejszym, którego tak bardzo bali się Rosjanie, dla wielu ciągle pozostaje nie bez racji obiektem wzbudzającym trwogę. To siedziba Sztabu Generalnego KGB.

Łubianka mieści się na placu Dzierżyńskiego pod numerem 2. Jest to potężny budynek koloru brunatnożółtego, ma dziewięć pięter, ciągnie się wzdłuż całego boku placu; przed rewolucją w roku 1917 należał do towarzystwa ubezpieczeniowego. Po prawej jego stronie znajduje się wzniesiona po wojnie siedmiopiętrowa dobudówka, dość nowoczesna, lecz ponuro stalinowska, cała w szarości i czerni, ozdobiona na dole rzędem niewielkich świerków. Innym elementem dekoracji wspólnym dla obu budynków, widocznym na fasadach i nad drzwiami, jest emblemat „firmy”, z czarnego brązu, przedstawiający szablę i tarczę - KGB posługuje się taką właśnie bronią do obrony państwa komunistycznego.

Z okien biur szefowie KGB mają widok na pomnik stojący pośrodku placu, pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, towarzysza walki Lenina i założyciela Czeki, pierwowzoru KGB. Dzierżyński stoi odwrócony plecami, obojętny na odchody gołębi i kruków, które spadają mu na głowę i układają się na ramionach i plecach jak peleryna.

Patrzy w jednym kierunku, na to co stanowi obiekt marzeń pracowników KGB: na Kreml, którego złociste kopuły widać z daleka.

Jesteście pewni, towarzyszu, że to dobry kierunek? - zapytał siebie samego Siergiej Siergiejewicz Saczejew, patrząc przez jedno z okien swego biura na stojący tyłem pomnik. - Czasy się zmieniły, towarzyszu. Tak szybko się zmieniły! Czy to naprawdę odpowiedni kierunek?

Saczejew nie zdobył się ciągle jeszcze na definitywną odpowiedź. Ostatnio coraz częściej zdarzało mu się zadawać to pytanie pomnikowi. To było tylko pytanie, ale nawet on, Saczejew, szef KGB, mógł zadać je jedynie pomnikowi.

Drżący głos z tyłu mówił:

- Milicjant był wyjątkowo niedoświadczony... Tamten zmiażdżył mu krtań... Gdyby nie tracheotomia zrobiona przez tego młodego lekarza, który przypadkiem był na dworcu, milicjant nie żyłby już.

Milczenie. Szef KGB odszedł od okna i usiadł przy biurku. Zamoczył wargi w filiżance gorącej herbaty, którą zawsze rano przynosiła mu sekretarka, po czym zamyślił się, nie rzuciwszy nawet okiem na dwóch mężczyzn po drugiej stronie biurka. Jednym z nich był Wiktor Pietrowicz Rodenko, generał stojący na czele II Naczelnej Dyrekcji KGB, która zajmowała się kontrolą społeczeństwa sowieckiego i kontrwywiadem, drugi zaś pułkownik Oleg Pawłowicz Jakow, jeden z lepszych funkcjonariuszy.

- A więc wrócił - rzekł zamyślony i wypił mały łyk herbaty.

Przez chwilę zastanawiał się, potem popatrzył na pułkownika Jakowa, który opowiadał mu właśnie o zajściu na dworcu, popatrzył tak, jakby oczekiwał potwierdzenia.

- Tak, towarzyszu dyrektorze.

- Nie ma żadnej wątpliwości?

- Żadnej. Ludzie z obsługi pociągu rozpoznali go na zdjęciu.

- Dobrze.

Milczenie. Szef KGB zwrócił się do generała Rodenki:

- To zmienia twoje spojrzenie na sprawę, czy nie?

- Nie sądzę, raczej mnie w nim umacnia. Potwierdzają się też informacje od „Golden Voice”... Morderstwa w Leningradzie są takie same jak morderstwa w Kijowie przed sześcioma miesiącami. Ta sama technika. Ta sama troska o zatarcie najmniejszego śladu. Saxon



dobrze spełnia misję zabezpieczającą „Airways”, ale likwiduje siatkę. Pytanie, które nieustannie się nasuwa, brzmi: dlaczego?

- Jak wytłumaczysz fakt, że sami Francuzi o tym nie wiedzą?

- Nie wytłumaczę, Siergieju Siergiejewiczu. Tak jak ty jedynie stwierdzam, to wszystko.

- Czy to możliwe?

- Wszystko jest możliwe... Trudno w to uwierzyć, ale możliwe. Równie dobrze Avarone mógł przygotować tę operację poza służbami. Może nawet na rachunek swoich amerykańskich przyjaciół... Wszystko jest możliwe. Ale tutaj także pada pytanie: dla czego? Czemu miała służyć ta siatka? „Gromowi”, wiemy o tym, ale co to jest „Grom”?

Szef KGB zamieszał resztkę herbaty na dnie filiżanki, robił to bardzo powoli, bo najbardziej lubił ten ostatni, najślodszy łyk. Lubiał cukier i przeciwnie niż jego współobywatelom, nigdy mu go nie brakowało.

- Dobrze, że nikt nie słyszy - powiedział z ledwo dostrzegalnym błyskiem rozbawienia w oku. - Mielibyśmy się z pyszna...

- Tak - zgodził się generał Rodenko, bardziej zirytowany niż rozbawiony. - Bardzo dobrze... - Zrozumiał spojrzeń, które rzucił mu szef KGB, odwrócił głowę do pułkownika Jakowa, uspokajająco wyjął wargi patrząc na swego starego towarzysza.

Szef KGB wypił ostatni łyk herbaty; wydawało się, że w tej chwili zajęty jest jedynie delektowaniem się jej smakiem. Ostrożnie odstaawił filiżankę na spodeczek i popatrzył na nią po raz ostatni, poufale i z wdzięcznością.

- Jakie środki działania przewidujecie? - spytał w końcu pułkownika Jakowa.

- Jedynym wyjściem jest „Airways”, towarzyszu dyrektorze.

- To znaczy?

- Musimy wykorzystać informacje na temat siatki dostarczone przez „Golden Voice”, głównie informacje o sekcji obejmującej region moskiewski. Mamy tylko kryptonimy, sposoby nawiązywania kontaktu, skrzynki kontaktowe... to jednocześnie mało i dużo. Z czasem powinniśmy w końcu zidentyfikować tych agentów. „Golden Voice” ze swej strony także może posunąć sprawę do przodu. Ale potrzebuje na to czasu.

- A co w tym czasie zrobicie z Saxonem?

- To podstawowa trudność...
- To pan powiedział.
- Trzeba go usunąć, towarzyszu dyrektorze.

Szef KGB odwrócił się do generała Rodenki. Generał rzekł:

- Jakow ma rację. Nie mamy wyboru.

Milczenie.

- Nie jest to sprawa osobista, towarzyszu dyrektorze – zapewnił go spokojnie Jakow. - Po prostu on nam nie daje wyboru.

Szef KGB popatrzył na pułkownika z zagadkową miną.

Pułkownik Oleg Jakow. Od początku kierował polowaniem na Saxona. Jego zapał podwoił się, gdy „Golden Voice” zidentyfikował Saxona. W rzeczywistości Jakow znał osobiście człowieka ukrywającego się pod kryptonimem Saxon i miał wiele powodów, aby żywić do niego urazę. To właśnie on, Jakow, zaakceptował i spowodował zwerbowanie przez KGB Michaela Devesa alias Nicolasa De Witta. Gdy wyszedł na jaw bezmiar szkód spowodowany przez Jakowa, jego kariera zawisła na włosku. Dzięki poparciu rodziny udało mu się z trudem utrzymać stanowisko. Lecz było ono niczym - żywił co do tego zupełnie słuszne przekonanie - w porównaniu z rangą, do jakiej mógłby dojść, gdyby nie brudne oszustwo Michaela Devesa, w którego rękach był zabawką i pierwszą ofiarą.

- Możecie chyba spróbować go schwytać? - powiedział szef KGB zupełnie obojętnym głosem.

- Możemy spróbować, lecz to nie będzie łatwe - wtrącił generał Rodenko. - Czytałeś ostatnie informacje... Jest chory, skazany. Nie ma nic do stracenia. Zupełnie nic. To doskonały agent, nie do złapania...

- Tak czy owak, wątpliwe, aby coś wiedział - odrzekł Jakow. - Wszystko wskazuje na to, że nie wie nic, towarzyszu dyrektorze. Jest jedynie przeszkodą. Musimy go wykryć i zgładzić. I to szybko.

Szef KGB przytaknął w milczeniu.

- Trzeba uważać na jedno - powiedział lekko zaniepokojony. - Francuzi są przekonani, że przeciągnęliśmy go na naszą stronę. Jeśli dowiedzą się, że polujemy na niego, mogą zacząć się zastanawiać. Bezpieczeństwo „Golden Voice” stanie wtedy pod znakiem zapytania. A jego musimy chronić. Bezwzględnie.

- Myślałem o tym - rzekł Jakow.- Możemy załatwić przeciek do prasy, dać wzmiankę, że wywarliśmy nacisk na milicję, aby zostawiła

go w spokoju... Damy rozkaz, aby szukały go wszystkie służby, a jednocześnie niewielki artykuł w prasie zasugeruje, że wcale nie zależy nam na tym, aby go złapano. Oczywiście jeśli będzie trzeba, zdementujemy.

- Doskonale - pochwalił szef KGB. - Do roboty, pułkowniku. Nie traćmy czasu.

Jakow zawahał się przez chwilę, po czym wstał i wyszedł.

- Jesteś go pewien? - spytał szef KGB po chwili milczenia.

- Całkowicie - zapewnił generał Rodenko. - Ma... motywację, to pewne. W tym wypadku to nie jest wadą - uśmiechnął się porozumiewawczo. - Chyba że w takich czasach jak nasze już się stało wadą.

Szef KGB uniósł brwi, minę miał lekko zawiedzioną, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie ma już nic pewnego. Po chwili wziął papierosa z paczki na biurku i zapalił.

- Sądziłem, że przestałeś palić.

- Właśnie przestaję. Widzisz, co palę? Wróciłem do rosyjskich papierosów, to pomaga. Są obrzydliwe i ciągle gasną!

Zaśmiali się obaj.

Wreszcie szef KGB przestał się śmiać i spytał głośno:

- Dlaczego wrócił? Dlaczego? Jest odcięty od swoich korzeni, zdany na łaskę losu. Wie, że jego własne służby poszukują go, że już próbowały go złapać... A jednak wrócił! Dlaczego? Żeby kontynuować misję? Nonsens, co? W tej historii wszystko jest nonsensem.

- Albo wszystko ma sens - powiedział zamyślony generał Rodenko. - Może właśnie to dostrzegł.

Szef KGB wpatrywał się w swojego starego towarzysza. Po chwili, jakby nagle przyszło mu coś do głowy, powiedział z determinacją:

- Trzeba zrobić wszystko, aby złapać go żywego.

- Spróbujmy - obiecał generał Rodenko. - Ale nie mamy żadnej szansy.

- Dlaczego?

- KGB jest wszechmocne, Siergieju Siergiejewiczu. Mamy pełną władzę, ale nie możemy sprawić, aby człowiek umarł dwa razy! Bez względu na to, z której strony się patrzy, ten człowiek jest martwy i wie o tym. Wie o tym, Siergieju Siergiejewiczu... Nie możemy już nic zrobić takiemu człowiekowi.

Ma pan połączenie z Genewą - powiedziała po angielsku młoda rosyjska hostessa, kładąc, jakby była to rzecz najnormalniejsza w świecie, przenośny japoński telefon na stole gruzińskiej oberży, w której Deves akurat jadł kolację. Oberża znajdowała się trzydzieści kilometrów na południe od Moskwy.

Michael ukradkiem rozejrzał się wokół i z zadowoleniem stwierdził, że nikt ze współbiedniaków w sali restauracyjnej nie zwraca na niego uwagi. Był jednym z wielu biznesmenów, pozwalającym sobie na chwilę wytchnienia w przyjemnym towarzystwie. W gruzińskiej oberży nikogo to nie dziwiło.

- Mówiłam ci przecież - powiedziało po angielsku jego „przyjemne towarzystwo”, uśmiechając się czarująco. Była to brunetka, lat około dwudziestu pięciu, raczej ładna. Trzymała papierosa marlboro i przypalała go powolnym, delikatnym ruchem zapalniczką marki „Cartier” z masywnego złota. - Jak w Nowym Jorku, prawda?

- Miałś rację - rzekł Michael. Wszędzie na świecie mając pieniądze można wiele załatwić. Ale w Moskwie mając dolary można było dokonać cudów. Pod warunkiem umiejętnego zabrania się do rzeczy - lecz nie było to aż tak trudne. Deves wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Taksówkarz, u którego wymienił dolary na ruble, zawiózł go na miejsce, gdzie odbywał się nielegalny handel używanymi samochodami. W niecały kwadrans kupił za niecałe dwa tysiące dolarów szarą wołgę w niezłym stanie. Rosjanin musiałby za nią zapłacić dwadzieścia tysięcy rubli - sto razy średnia pensja! Taki sam

samochód, nowy, kosztowałby połowę taniej, ale Rosjanin musiałby na niego poczekać od dwóch do ośmiu lat, zależnie od swej pozycji społecznej, zanimby go w końcu mógł kupić.

Po odnalezieniu legitymacji KGB i pistoletu w lesie Krastyskoje Deves poszedł na zakupy. Sprawił sobie trochę ubrań, głównie w „Bieriozce” hotelu International. Później w hotelowym barze dał się uwieść Irinie, młodej prostytutce dewizowej; jest ich wiele w hotelach dla cudzoziemców. Nie wszystkie są zawodowymi prostytutkami w zachodnim znaczeniu tego słowa, nie wszystkie też są informatorkami KGB; często bywają to studentki, a nawet zwykłe robotnice, pragnące w ten sposób poprawić nieco swój los i skorzystać z udogodnień i przyjemności zarezerwowanych wyłącznie dla cudzoziemców. Irina studiowała anglistykę na moskiewskim uniwersytecie, była też tłumaczką i redaktorką na pół etatu w „Argumentach i Faktach”, reformistycznym tygodniku o największym na świecie nakładzie: ponad trzydzieści milionów egzemplarzy! Dzięki Irinie Deves odkrył gruzińską oberżę. Był to luksusowy lokal, jedna z kooperatyw sektora prywatnego powstałego wraz z pieriestrojką, niedostępny dla przeciętnego Rosjanina; najtańszy posiłek kosztuje tam co najmniej pięćset franków, co więcej, płatne w dewizach. „To jeden z niewielu, który nie dał się zastraszyć”, powiedziała mu Irina z miną konspiratorki. „W rzeczywistości ten lokal należy do gruzińskiej mafii!” Przyjeżdżali tam głównie biznesmeni lub turyści zagraniczni, a także ważniejsi członkowie nomenklatury, którzy - mimo że było to zabronione - mieli pełne kieszenie dewiz, a nawet kart kredytowych z otwartych na Zachodzie kont.

W tej właśnie oberży zdarzył się, według Devesa, prawdziwy cud. Tak jak obiecała mu Irina, nie musiał nawet czekać dziesięć minut na połączenie telefoniczne z Wilson Center w Genewie! W większości przypadków, aby rozmawiać z zagranicą, trzeba było prosić o połączenie wiele godzin wcześniej i wcale nie miało się pewności, czy operacja się uda. „Nie łączy”, wyjaśniała najczęściej telefonistka z centrali międzynarodowej i trzeba było się tym zadowolić.

„Gruzini zawsze sobie jakoś radzą”, powiedziała Irina ze śmiechem. „A ci tutaj są jeszcze bardziej zaradni niż inni. Zawsze mają w zanadrzu odpowiednie hasło i dostają nadzwyczajne połączenie”.

Młoda Rosjanka patrzyła bardzo zainteresowana, kiedy Michael nakręcał na tarczy swojego zegarka kod, który połączył go z auto matem

w - Wilson Center, po czym przyłożył zegarek do mikrofonu uruchamiając w ten sposób nadawanie sygnału dźwiękowego.

Od Marii były dwie wiadomości. Pierwsza informowała, że otrzymała list, który dość długo szedł, bo zaadresowany był do domu jej matki. List od generała Avarone do Michaela. Zawierał tylko te słowa: „Saxon równa się Norymberga. Garbo trzyma z wrogiem. Przepraszam”.

Wiadomość ta nie poruszyła Michaela. Potwierdzała po prostu to, co już wiedział: zdrada była włączona w grę od samego początku. Zastanawiał się tylko, co sprawiło, że stary generał odczuwał żal i że zechciał mu to przekazać.

Natomiast po usłyszeniu drugiej informacji zadrżał z przerażenia i ze złości. Maria błagała go, aby się nie narażał i wracał; mówiła, że za pośrednictwem starego przyjaciela, dyplomaty, który zgodził się jej pomóc, nawiąże niebawem czysty kontakt, „całkiem bezpieczny”, jak zapewniała, z francuskimi służbami specjalnymi. Michael zaprogramował swój zegarek tak, aby wymazać obie wiadomości od Marii i żeby nagrać z kolei wiadomość dla niej. Tonem pełnym rozdrażnienia oświadczył po francusku: „Powrót niemożliwy. Co do drugiej sprawy - odwołaj wszystko, natychmiast, to rozkaz. Odwołaj wszystko”.

- Jakies kłopoty w interesach? - spytała Irina, gdy skończył. Uśmiechała się współczująco.

- Tak, właśnie - odpowiedział po chwili milczenia.

- Zapomnij o tym - rzekła posyłając mu czule spojrzenie. Skończyli kolację. Poszli do pokoju na piętrze.

- Zapomnij o wszystkim - wyszeptała rozkochana, przytulając się naga do Michaela. - Zapomnij o wszystkim - powtórzyła z drżeniem. - Jesteśmy tylko my, ty i ja, tylko ty i ja... Och, tak! Ty i ja.

- Jesteś jakimś dziwnym cudzoziemcem - powiedziała Irina następnego dnia rano, zanim wysiadła z wołgi.

- Dlaczego?

- Nie wiem... Chociażby ten samochód. Cudzoziemcy zwykle mają zagraniczne samochody z żółtymi tablicami rejestracyjnymi. Twoje auto jest tutejsze i ma białe tablice. Miejscowe.

- Jestem szpiegiem, po prostu - powiedział Michael najpoważniej w świecie. Irina uśmiechnęła się.

- Myślałam, że szpiegdy są łysi, mają brzuchy i wrzody żołądka.

- Zachód poczynił ogromne postępy w tej dziedzinie.

- Jakie to szczęście! - powiedziała ze śmiechem. Pochyliła się w jego stronę. - Nie daj się tak od razu złapać, Miszka - wyszeptala całując go w kącik ust. - Wiesz, gdzie mnie znaleźć - dodała, po czym otworzyła drzwi samochodu.

Patrzył, jak się oddala i znika w wejściu do moskiewskiego metra. Po chwili ruszył, skierował się na południowy wschód i wjechał na drogę do Tuły.

Ruch był dość duży. Ciężarówki pozostawiały za sobą czarne pióropusze, tak czarne jak dym z hutniczych kominów. Droga pokryta była błotnistym śniegiem, który na poboczach tworzył grubą, szarą skorupę. Nieco dalej olśniewająca biel pejzażu konkurowała z błękitem nieba.

Był to zimowy dzień - takie dni bardzo w Rosji lubią - zimny i pełen blasku. Jeden z tych dni, kiedy rosyjska ziemia, bezmierna, nieskalana, wydaje się matką wszystkiego, nawet niebo jest przy niej dzieckiem bawiącym się małymi, białymi chmurkami, podczas gdy ona spokojnie odpoczywa i po prostu promienieje.

Michael spostrzegł, że niedługo zabraknie mu benzyny. Zaparkował samochód na bocznej drodze, pieszo wrócił na szosę i zatrzymał pierwszą nadjeżdżającą ciężarówkę. Kierowca bez trudu zgodził się wlać mu tyle benzyny, ile Deves potrzebował. Było to nieco droższe niż na stacji benzynowej, ale bardzo praktyczne. W ZSRR stacje były rozmieszczone niezmiernie rzadko, podczas gdy państwowe ciężarówki jeździły wszędzie i można było mieć pewność, że większość kierowców ma odpowiednią rurkę i wprawę niezbędną do tego rodzaju operacji. Należało tylko strzec się patroli milicji drogowej.

Deves ruszył w dalszą drogę. Jego celem była Aprelewskaja, wioska leżąca czterdzieści kilometrów od stolicy. Mieszkał tam Zori Balturnian, jeden z pięciu agentów moskiewskiej sekcji „Airways”.

W normalnym trybie nawiązania kontaktu Balturnian był na trzeciej pozycji. Jednak Deves postanowił zacząć od niego, ponieważ zdał sobie sprawę, że ze wszystkich agentów Ormianin mieszka najbliżej miejsca, w którym prawdopodobnie przebywa Tokstoj, szef siatki. Być może nie miało to żadnego znaczenia, lepiej jednak nie zwracać się

od razu do Tolstoja, jak Michael miał zamiar zrobić na początku. Oczywiście, jeśli ktokolwiek coś wiedział, najprawdopodobniej był to Tolstoj, lecz mógł on być włączony w zdradę od samego początku. Przecież już sam Avarone nad tym się zastanawiał i polecił Michaelowi, aby szefem siatki zajął się na samym końcu. Deves powinien postępować bardzo ostrożnie. Chodziło nie tylko o niego.

Musiał przede wszystkim chronić żyjących agentów „Airways”, musiał uważać, aby nie popełnić najmniejszego błędu, który ściągnąłby na nich taki sam los, jaki spotkał agentów leningradzkich. Dlatego właśnie postanowił nie przestrzegać zwykłego trybu nawiązania kontaktu z siatką i zdecydował się na kontakt bezpośredni.

Nikt go nie oczekiwał. Przynajmniej tak mu się zdawało... Bo istniało pewne ryzyko, a raczej niewiadoma związana z kontem w American Express. Nie wiedział, jakie skutki pociągnęło za sobą pytanie o informację.

Michael dostrzegł jeszcze inny szczegół, natury geograficznej, związany z tą sekcją „Airways”; szczegół ten zaintrygował go, bo nie rozumiał jego znaczenia: wszyscy agenci, także Tolstoj, mieszkali w promieniu piętnastu kilometrów wokół wioski Aprelewskaja...

Gdy zbliżył się do wioski, nie musiał do niej wjeżdżać i pytać o drogę. Wskazówki, jakie otrzymał, były wystarczająco dokładne, aby mógł sam zorientować się w terenie. Zori Balturnian mieszkał w niewielkim gospodarstwie, leżącym na niewysokim wzgórzu około dwóch kilometrów od wioski. Z drogi, która do niego prowadziła, w pewnej chwili można było dostrzec przez prześwit w brzezynie niedaleką wioskę, spokojnie rozłożoną na brzegu zamarzonego jeziora, widać było dymiące domy skulone w śniegu.

W końcu Deves zobaczył gospodarstwo Balturniana, po prawej stronie, jakieś sto metrów od szosy. Prowadziła tam szeroka droga, na pierwszy rzut oka przejezdna. Deves nie wjechał w nią, lecz zatrzymał się nieco dalej, na poboczu; wysiadł z samochodu i pieszo przez las poszedł w stronę zabudowań.

Były to trzy budynki ustawione w kształcie litery U. Budynek mieszkalny, z kamienia i drewna, stał wzdłuż najkrótszego boku, z komina leciał dym. Dwa pozostałe zbudowane były tylko z drewna; jeden to stodoła, a drugi - sądząc z dochodzących stamtąd porykiwań - obora.



Wszystko wydawało się normalne. Całkowity spokój.

Deves postanowił obserwować to miejsce przez co najmniej dziesięć minut. Nic się nie działo. W pewnej chwili ukazała się młoda kobieta w towarzystwie małej dziewczynki; wyszły z domu i poszły do obory, po chwili znowu się pojawiły. Wróciły do domu.

Nic poza tym.

Michael poczuł ulgę. Jeśli jego pytanie o stan konta w American Express wywołało jakąkolwiek reakcję, czego nawet nie był pewien, nie dotyczyła ona przynajmniej agentów „Airways”.

Postanowił zostawić auto tam, gdzie stało, i nie kryjąc się zaczął iść w stronę gospodarstwa.

Gdy podchodził, w domu zaszczekał pies. Otworzyły się drzwi, na progu stanęła kobieta, którą widział już wcześniej. Patrzyła, jak Deves się zbliża, jedną rękę opierała na biodrze, drugą przysłaniała oczy od słońca.

- Czy tu mieszka Zori Balturnian? - spytał Michael z uśmiechem.

Młoda kobieta - nie miała jeszcze dwudziestu lat - odpowiedziała twierdzącym ruchem głowy, nie przestając oglądać go od stóp do głów.

- Chciałbym z nim porozmawiać - powiedział Michael, znowu się uśmiechając. Stanął kilka kroków od niej. - Mam dla niego wiadomość od naszego wspólnego znajomego.

Dziewczyna obejrzała się, odeszła od drzwi i dała mu znak, aby wszedł.

Deves znalazł się w dużym, trochę ciemnym pokoju. Wlepiły się w niego cztery pary oczu i uważnie go obserwowały: pies, który już nie szczekał, staruszka siedząca na krześle obok pieca, przytulająca dziewczynkę, którą Michael widział wcześniej, i wreszcie kobieta silnej budowy, lat około czterdziestu, która stała przy kuchni, gdzie gotowało się coś w ogromnym garnku. Pokój wypełniony był zapachem kapusty i kiełbasy, w powietrzu czuło się wilgoć.

Kobieta odeszła od kuchni i zrobiła parę kroków wycierając ręce w fartuch. Stanęła nie za blisko Devesa, wierzchem dłoni otarła pot z czoła, przesunęła pasmo włosów za ucho i powiedziała:

- Jestem żoną Zoriego. Pan jest jego przyjacielem?

- Właściwie nie. Mamy wspólnego przyjaciela. W gruncie rzeczy jestem przyjacielem przyjaciela - sprecyzował Michael z uśmiechem.

- Kto to taki?

Deves zawahał się.

- Wartan, Agop Wartan - powiedział wymieniając prawdziwe nazwisko Tołstoja. Kobieta była jakby nieufna, Deves nie rozumiał dlaczego.

- Zoriego nie ma w domu - rzekła. - Pojechał na polowanie. Jak się nazywa ten pana przyjaciel?

- Wartan.

- Nie, ten drugi, „przyjaciel przyjaciela”, o którym pan mówił.

- Nazywa się Alajan - zmyślił na poczekaniu Michael.

- Zori go zna?

- On i Agop kiedyś prawie się nie rozstawali, jak mi się zdaje.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Zori pewno niedługo przyjdzie, niech pan tu poczeka, jak pan chce - powiedziała wracając na swe miejsce przy kuchni.

- Zaraz będziemy jeść. Może pan głodny? - Deves z uprzejmym uśmiechem powiedział, że tak. - Zoja, idź po brata! - zwróciła się do dziewczyny. - Powiedz, że już gotowe, niech zaraz przychodzi, mamy gościa!

Dziewczyna już otwierała drzwi, gdy nagle zatrzymała się, matka powiedziała coś do niej po ormiańsku. Zawahała się przez chwilę, z ciekawością spojrzała na matkę, po czym - matka dorzuciła jeszcze jedno zdanie po ormiańsku - zdjęła z wieszaka wełniany płaszcz i niezgrabnie zarzuciła go na ramiona. Dopiero potem wyszła.

Żona Balturniana popatrzyła na drzwi, potrząsając głową.

- Nigdy nie jest jej zimno - narzekała - a choruje tak jak wszyscy inni!

Popatrzyła na Devesa niepewnym wzrokiem, po chwili ośmieliła się, uśmiechnęła, znowu była sobą. Spojrzała na babcię i dziewczynkę, wydało się, że nagle sobie o czymś przypomniała.

- Lubi pan jajka? - spytała.

Nie czekając na odpowiedź, powiedziała do babki kilka słów po ormiańsku, babka wstała i wyszła z pokoju zabierając dziewczynkę.

- Lubi pan jajka, prawda? - zaniepokoiła się żona Balturniana, jakby nagle zaczęła się obawiać, że popełniła jakąś niezręczność.

- Oczywiście, ale proszę, niech pani nie...

- Ależ co pan! Żaden kłopot! - Odwróciła się w stronę kuchni. - Jak pan tu przyjechał, panie...

- Eljanow - powiedział Michael. - Przyjechałem samochodem. Zostawiłem go na drodze, nie wiedziałem, czy da się przejechać...

- Rozumiem... Jest pan z daleka?

Deves usłyszał, że z tyłu otwierają się drzwi. Odwrócił się. Był tak zdziwiony, że aż oniemiał: w jego stronę spokojnie zbliżał się młody mężczyzna, lat około dwudziestu pięciu, wysoki, szeroki w ramionach. Trzymał wycelowaną w Michaela myśliwską dwururkę.

- Zrób choć jeden ruch, gnoju - powiedział młody człowiek - a rozwalę ci łeb!

Michael nie wiedział, gdzie jest.

Było ciemno, nic nie widział. Wokół unosił się intensywny zapach, który przyprawiał o mdłości. Chyba zwymiotuję, pomyślał. Czuł promieniujący, pulsujący ból pod czaszką. Mój Boże, nie! Chyba zwymiotuję, pomyślał znowu. Nagle ogarnęło go przerażenie. Wpadł w panikę. Jest mi niedobrze i straciłem wzrok! Boże, to niemożliwe! Jeszcze nie teraz! Niemożliwe! Nie! Nie! Coś okropnego rozsadzało go od środka, jakaś kulista masa, jak przedziwny owoc, zgniły, drgający, obrzydliwy i trujący... Zawył z wściekłości i rozpaczy. Chciał się podnieść i przewrócić się na bok. Wpadł twarzą w coś, co było jednocześnie giętkie i kłujące. Słoma! Chciał się wyprostować i wtedy zdał sobie sprawę, że ręce ma związane z tyłu, także nogi były skrzepowane. Był związany! Nie stracił głowy, poczuł głęboką ulgę. Przez chwilę leżał z twarzą w słomie, z zadowoleniem wdychając jej zapach, słuchając, jak uspokaja się serce. Próbował umiejscowić punkt, z którego rozchodził się ból. Stwierdził, że źródło bólu jest z tyłu głowy, tuż nad karkiem. Dziękował Bogu, że nie miało to nic wspólnego z guzem. Uderzyli mnie! Teraz sobie przypominał... Obok rozległo się porykiwanie. Jestem w oborze, pomyślał. Uniósł głowę i zmrużył oczy. W odległości około dziesięciu metrów dojrzał nisko umieszczone okienko. Jestem w oborze! Tak! Zaprowadzili mnie do obory, ogłuszyli, a potem związali! Dlaczego to zrobili?

Usłyszał w pobliżu głosy i spadający z pluskiem strumień krowego moczu. Przewrócił się na plecy i wtedy usłyszał zbliżający się warkot silnika. Ciągle leżąc w słomie sprężył się, po czym doturlał się aż do okna. Tutaj usadowił się i zdążył jeszcze zobaczyć przez brudną szybę swoją szarą wołgę znikającą wewnątrz stodoły.

Wyszedł stamtąd syn Balturniana w towarzystwie siostry. Powiedzieli coś do siebie patrząc na oborę, po czym każde poszło w swoją stronę. Młody człowiek wrócił do domu, a dziewczyna szybkim krokiem zbliżała się do obory.

Skrzydło drzwi otworzyło się, trąc o ziemię. Zimne, świeże powietrze wpadło do środka.

Dziewczyna zatrzymała się na progu, w świetle dnia. Deves widział, jak mruży oczy, aby przyzwyczaić je do półmroku. Stała niecałe pięć metrów od niego, odwrócona profilem.

- Jestem tutaj - powiedział.

Drgnęła i wydała krótki okrzyk przerażenia. Cofnęła się patrząc na niego z przestachem, zerkając na miejsce, w którym powinien być się znajdować; potem znowu przeniosła wzrok na niego, zastanawiając się, w jaki sposób zdołał się przemieścić. Potrząsnęła głową, pobiegła w ciemny kąt obory i bardzo szybko wróciła z sierpem w ręku. Na chwilę znieruchomiała, po czym podeszła ostrożnie, jakby zbliżała się do rannego zwierzęcia, zwierzęcia niebezpiecznego, a w dodatku rannego. Przykucnęła obok niego. Popatrzył jej prosto w oczy, uniosła sierp do góry, w tej samej chwili poczuł na kostkach nóg jej drugą rękę szukającą po omacku sznurka, którym był związany, badającą jego grubość. Wstała, zrobiła krok do tyłu i dała mu znak, aby się odwrócił. Zwlekał z wykonaniem tego polecenia, zamachała więc sierpem w geście przesadnie groźnym, prawie komicznym; Michael popatrzył na nią zaskoczony. Przez krótką chwilę dziewczyna wydała się lekko zmieszana. W końcu Michael odwrócił się.

- Dlaczego mi to zrobiliście? - spytał, podczas gdy sprawdzała sznur, którym związane miał nogi.

Milczenie.

Poczuł, że się cofnęła, znowu więc odwrócił się twarzą do niej.

- Dlaczego? - powtórzył z naciskiem. Dziewczyna patrzyła bez słowa.

- Gdzie jest pani ojciec? - Żadnej reakcji. - Zori to pani ojciec, prawda? - Lekko skinęła głową. - Gdzie on jest? On kazał wam to zrobić? - Zawahała się, przygryzła wargi. - Dlaczego? - uniół się. Uspokoił się jednak, gdy zobaczył, że drgnęła. - Na litość boską! Nie chcę wam nic złego zrobić, ani jemu, ani wam. Wręcz przeciwnie! Przyjechałem, żeby wam pomóc, żeby was uratować, rozumie pani?

Nie wiem, co się wydarzyło, nie wiem, za kogo mnie bierzecie, ale mylicie się! Nie jestem... - nagle przerwał. - Chwileczkę. Wiedzieliście, że przyjadę, wiedzieliście o tym? - Obserwowała go z zakłopotaniem. - Wiedzieliście o tym! - krzyknął. Dziewczyna szybko potrząsnęła głową, czekała na reakcję Michaela, wydawała się zaniepokojona, może zaintrygowana jego wzburzeniem. - Skąd wiedzieliście?... - wybełkotał. - Skąd? - Dziewczyna zmieszała się, opuściła oczy. - Wiecie, kim jestem?... Co o mnie wiecie? Czy pani ojciec coś pani o mnie mówił? Zoja! Proszę, niech pani na mnie popatrzy - domagał się. - Niech pani na mnie popatrzy i odpowie! Dlaczego pani nie odpowiada, Zoju?

Dziewczyna spojrzała na niego i wycofała się powoli, potrząsając głową, jakby nie mogła już tego dłużej słuchać.

- Dlaczego? - krzyczał Michael zupełnie zbity z tropu. - Proszę nie odchodzić, niech pani odpowie!

Zatrzymała się nagle, zacisnęła pięści, kręciła głową, patrzyła na niego nieśmiało. Po chwili szybkim gestem uniosła rękę do ust i palcem wskazującym zrobiła znak krzyża. Opuściła rękę, lekko potrząsnęła głową, z niedomkniętych ust wydobył się nieokreślony pomruk.

Michael siedział jak osłupiały. Była niema!

Wpatrywała się w niego intensywnie, jakby ogarnęło ją jakieś napięcie nie do zniesienia, a tylko on mógł ją od tego uwolnić.

- Rozumiem - powiedział w końcu. - Zrozumiałem.

Popatrzyła na niego wściekłym wzrokiem, tak jakby teraz ona miała powód, aby go nienawidzić, po czym odwróciła się i poszła w stronę drzwi.

- Zoja! - Stała nie oglądając się. - Niech pani powie ojcu, że muszę z nim porozmawiać! On zrozumie, on jeden może zrozumieć, słyszy pani? Proszę!

Zamknęła drzwi, które głośno otarły się o ziemię. Powróciła ciemność.

Michael przez okno patrzył, jak dziewczyna odchodzi. W połowie drogi do domu zatrzymała się, odwróciła i spojrzała w jego stronę. Po chwili zobaczył, że znowu się odwróciła i pospiesznie poszła do domu.

- Zrób, o co cię proszę - błagał cicho. - Powiedz mu. Zrób to!

Kiedy Michael usłyszał ponowne tarcie drzwi, pomyślał, że dziewczyna zmieniała zdanie i wróciła, aby go uwolnić. Owiało go zimne powietrze, zadrżał; zrozumiał, że drzemał. Naprężył się. Przyszła.

Stała obok otwartych drzwi na progu obory, słońce oświetlało ją od stóp do ramion, twarz pozostała w cieniu.

- Co się dzieje? - spytał starając się wyprostować. - Która godzina?

- Pół do trzeciej - odpowiedział tuż obok niski głos dochodzący z tyłu.

Deves odwrócił się gwałtownie.

W mroku dojrzał jakąś zbliżającą się sylwetkę, ktoś postawił na ziemi drewniany taboret i usiadł na nim w odległości metra. Mężczyzna około pięćdziesiątki, o mocnych ramionach, z siwą brodą zrudziałą wokół ust, z małymi, błyszczącymi, nieruchomymi oczami.

- Balturnian?

Mężczyzna milczał nie spuszczać Devesa z oczu.

- Na Boga! To pan?

- Tak. A ty, Rusku, kto ty jesteś?

- Nie jestem... - Michael zamilkł, popatrzył na dziewczynę stojącą przy drzwiach. - Niech pan jej każe odejść. - Odwrócił się do Ormianina. - Niech pan zrobi, o co proszę.

Balturnian obserwował go zaintrygowany.

- Dlaczego?

- W jej interesie. W interesie wszystkich.

Balturnian przez chwilę zastanawiał się, po czym dał znak dziewczynie, aby odeszła. Posłuchała z wyraźną niechęcią. Balturnian złym okiem spojrzął na Devesa.

- Nie masz racji, Rusku, w twoim interesie powinna zostać. W jej obecności nigdy bym cię nie udusił! Słucham, mów! - rozkazał.

Michael skupił się, po czym powiedział bardzo wyraźnie:

- Czy droga do Jasnej Polany jest dobra?

Ormianin ani drgnął, jego oczy zwęziły się, widać było tylko źrenice jak dwie główki gwoździ, wypukłe i lśniące.

Widząc efekt, jaki na Ormianinie wywarły jego słowa, Deves poczuł ulgę. Powtórzył pytanie:

- Czy droga do Jasnej Polany jest dobra?

- A co cię to obchodzi? Czego chcesz?

Michael patrzył na niego, zdumiony.

„Jest dobra do Melikowa”. Taka powinna być odpowiedź!

- Niech pan się nie wygłupia! - wybełkotał. - Odpowiedź! Niech pan da odpowiedź!

Ormianin był wyraźnie zaniepokojony.

- Nie rozumiem nic z tego, co mówisz - powiedział, jakby nagle zaczął wszystkiego się bać, także własnych słów.

- Kłamie pan! - wykrzyknął Michael. - Dobrze pan o tym wie i ja także wiem! Ale dlaczego? Na Boga! Balturnian, jest pan w niebezpieczeństwie, pan i wszyscy inni, grozi wam śmiertelne niebezpieczeństwo! Nie rozumie pan? Przyjechałem, żeby wam pomóc!

- Nam pomóc?

- Tak!

Deves widział, że Ormianin mu nie wierzy. I że się boi. Dlaczego gra tę komedię? Dlaczego się mnie boi?

- Niech pan posłucha - mówił dalej. Dostrzegł ruch cienia na osłonecznionej ziemi obok drzwi; odgadł, że to dziewczyna, lecz postanowił nie zwracać na to uwagi. - Wiem, że to nie jest prawidłowe nawiązanie łączności, ale nie miałem wyboru. - Popatrzył Balturnianowi prosto w oczy. - Pańska odpowiedź brzmi: „Jest dobra do Melikowa”. Dla nas pan nazywa się „Anton”. Pański sygnał to pusta butelka po piwie stojąca przy pierwszej brzozie po lewej stronie, na początku drogi... Wystarczy, czy mam mówić dalej?

Balturnian zawałał się, zanim odpowiedział.

- Nie wiem, o czym mówisz, Rusku...

- Nie jestem Ruskiem! - krzyknął Michael. - Jestem...

- Kim jesteś?

- Do cholery!... - jęknął Michael po francusku. Ormianin zmarszczył brwi. - Jestem Francuzem.

- Jesteś Francuzem?

- Tak!

- I nazywasz się Eljanow?

- Nie!

- Nie nazywasz się Eljanow - powtórzył spokojnie Balturnian. - Doskonale. Więc jak się nazywasz? - uśmiechnął się nieszczerze. - Detlow? - zasugerował.

- Co?

Michael dojrzał w rękę Ormianina swoją czerwono-złotą legitymację KGB.

- Michaił Pietrowicz Detlow.

Wyczytał w oczach Ormianina, że wszystko, co teraz powie, będzie zupełnie niepotrzebne. Jednak, jakby wbrew sobie, wybełkotał:

- Jest fałszywa.

Balturnian pokiwał głową ze zrozumieniem, tak jakby wszystko zostało już wyjaśnione.

Po chwili wstał i bez słowa poszedł w stronę drzwi.

- Balturnian, niech pan wraca! - krzyknął Michael. - Niech pan wraca! Balturnian!

Tarcie drzwi o ziemię zagłuszyło jego wołanie. Znowu ogarnęła go ciemność.

Miał wrażenie, że przeżywa koszmarny sen na jawie; to odczucie, mimo że go zniechęcało, nie pozwalało brać tej całej sytuacji na serio. To niemożliwe - powtarzał sobie. On się jeszcze zastanowi. Na pewno wróci. Musi się coś wydarzyć, nie może być inaczej...

Usłyszał dochodzący z zewnątrz głos Balturniana mówiącego do kogoś. Starał się rozróżnić słowa, lecz bez rezultatu. Głos Ormianina umilkł.

Michael siedział nieruchomo w ciemności, prawie nie oddychał, wsłuchiwał się w każdy najmniejszy dźwięk z zewnątrz; czekał, aż drzwi się otworzą.

W oborze krowa stuknęła rąbkiem o ziemię, szeleściła słomą. Powoli zaczynał zdawać sobie sprawę z rzeczy zupełnie oczywistej: Ormianin poszedł i już nie wróci. Ogarnęła go lekka panika.

Usiłował zdjąć więzy, ale spowodował tylko skurcz w nodze. Krzyknął z bólu. Opadł z powrotem na słomę i zaczął szukać pozycji, która przyniosłaby ulgę; gdy wreszcie ją znalazł, nie śmiał się poruszyć. Absurdalność tej sytuacji, całkowita niemożność jej zrozumienia, niezdolność do jakiegokolwiek reakcji - wszystko to ukazało mu się z całą jaskrawością i strasznie go dręczyło.

Na próżno ciągle rozmyślał, przypominał sobie szczegółowo, co wydarzyło się od przybycia do wioski Aprelewskaaja; ciągle był w tym samym punkcie. Nie mógł zrozumieć zwłaszcza jednej rzeczy: bez względu na to, co Ormianin myślał na początku, mimo nieufności wobec Michaela powinien był jednak zacząć myśleć prawidłowo po tym, co Michael mu powiedział... Powinien był! Dlaczego więc tak się nie stało?

Ile czasu upłynęło? Deves nie potrafił powiedzieć. Na pewno więcej niż godzina. Może dwie. Wystarczająco długo w każdym razie,



zupełnie wystarczająco... W końcu zaczął dokuczać mu pęcherz. Wołał wiele razy, ryczał ze wszystkich sił. Bez rezultatu. Zdecydował się więc oddać mocz w spodnie. Zrobił to i wcale nie poczuł się gorzej, starał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi, bo czuł, że nie byłby już w stanie przejmować się jeszcze tym.

Dzień już się kończył. Powietrze wpadające przez otwarte drzwi było znacznie zimniejsze, Devesowi zmarzło podbrzusze.

Niema dziewczyna znowu przyszła. Słyszał, jak krząta się w głębi obory. Skończyła doić krowy.

- Zimno mi - powiedział głośno. Czekał, lecz nic się nie działo.

Tylko stukot baniek na mleko...

Usiłował coś powiedzieć, gdy przechodziła. Prawie nie zwróciła uwagi, odeszła dalej potrząsając głową, z wyrazem rozdrażnienia na twarzy; nie chciała słuchać, jakby coś jej za to groziło... Zanim się odwróciła, zdawało mu się, że widzi w jej wzroku ślad skrepowania i żalu; przyszło mu na myśl, że może nie jest jej całkiem obojętny... Teraz jednak zastanawiał się, czy przypadkiem nie było to tylko złudzenie. Dlaczego, w imię czego, miałyby choć trochę uwierzyć w to, co opowiadasz? Dlaczego, w imię czego, miałyby zaufać człowiekowi, którego nigdy nie widziała, przed którym jej ojciec ma się na baczności, cudzoziemcowi, który w dodatku ma legitymację KGB?

Odgadł w mroku obecność dziewczyny. Podeszła nieco bliżej. Usłyszał kłaśnięcie ręki na krowim zadzie, zwierzę ciężko podreptało po ziemi. Słyszał też, jak dziewczyna dotyka różnych przedmiotów, jakby czegoś szukała.

- Zoja, mówiłem prawdę - powiedział wpatrując się w mrok. Powiedział z tak poprawnym akcentem, że aż sam się tym wzruszył. - Nie jestem Rosjaninem. Nie jestem członkiem KGB. Legitymacja jest fałszywa, pomaga mi poruszać się po Związku Sowieckim, to wszystko. Jestem Francuzem. Naprawdę. Przyjechałem udzielić pomocy ludziom, którzy nam pomogli i którzy są teraz w śmiertelnym niebezpieczeństwie właśnie z powodu KGB. Zostali zdradzeni... Ojciec pani do nich należy... Nie wiem, co się stało, dlaczego on się mnie boi? Nie ma żadnego powodu, aby się mnie bał, nie chcę mu zrobić nic złego, przysięgam, że mówię prawdę! - Zamilkł. Żadnego szmeru. Cisza. Słuchała go, był pewien.

- Zoja, błagam, niech mi pani uwierzy, przecież nie próbuję pani... - westchnął. - Nawet nie proszę, żeby mnie pani uwolniła. Nie

obchodzi mnie, co się ze mną stanie! Jest mi to całkiem obojętne! Ja... Proszę tylko o jedno: niech pani przekona ojca, żeby mnie wysłuchał. Muszę mu...

Wyłoniła się nagle z ciemności tuż obok niego i rzuciła mu na ramię jakiś gruby, cuchnący koc. Obserwowała go przez chwilę, po czym wróciła w głąb obory.

- Dziękuję - powiedział bezsilnym głosem. Chciał jeszcze coś dodać, ale nie wiedział co. Mijały sekundy, milczenie zaczynało mu już ciążyć. Przytłoczyło go poczucie bezsilności.

Spojrzał przez brudną szybę na opustoszałe podwórko, potem na zaśnieżoną drogę prowadzącą do szosy. Na drodze tu i ówdzie ciężko podskakiwały kruki, tak jakby bały się wejść na teren gospodarstwa; rzucały wrzaskliwie przekleństwa na dzień, który tak powoli odchodził. Jeden kruk wzleciał bez powodu, potem drugi, potem jednocześnie wszystkie pozostałe. Parę chwil później Michael poczuł gwałtowny skurcz w brzuchu.

Drogą, lekko się kołysząc, jechały dwa samochody.

Dwa czarne auta sowieckiej marki.

- Zoja... - zawołał stłumionym głosem. Odchrząknął. Cholera! - Zoja! - krzyknął. - Zoja, niech pani zobaczy! Szybko! Szybko! Zoja! Jacyś ludzie tu jadą! Zoja!

Odrzucił się, chciał jeszcze raz zawołać, ale była tuż obok. Odruchowo cofnęła się.

- Co to za jedni? - krzyknął z wściekłością. - Komu pani powiedziała?

Patrzyła na niego ze strachem, miała taką minę, jakby nie rozumiała, co do niej mówi.

Spojrzał przez okno: samochody zaraz dotrą do zabudowań. Słychać już było warkot silników.

Dziewczyna rzuciła się w stronę drzwi. Michael zawył, aby ją zatrzymać.

- Nie! Niech pani nie wychodzi! Proszę się nie pokazywać!

Zatrzymała się w progu i prawie wstrzymując oddech wpatrywała się w otwarte drzwi.

- Na miłość boską, niech pani zrobi, co radzę! - powiedział z naciskiem. - Proszę tu przyjść, niech pani spojrzy przez okno. - Zerknęła na niego z niedowierzaniem i strachem, przez chwilę wahała się, po czym zrobiła to, o co prosił.

Auta zatrzymały się przy wjeździe na podwórko, stały z włączonymi silnikami jak dwa dyszące na zimnie drapieżniki.

- Wie pani, co to za jedni?

Dziewczyna potrząsnęła głową. Jedno z aut podjechało bliżej, drugie natychmiast zrobiło to samo. Znalazły się na wysokości obory.

- Niech się pani schyli!

Przez otwarte drzwi obory wyraźnie było słychać warkot silników; po chwili dźwięk przycichł i oddalił się.

Deves wyprostował się. Krew pulsowała mu w skroniach, był trochę ogłuszony.

- Pani ojciec kogoś zawiadomił? - spytał. Dziewczyna mocno potrząsnęła głową, coraz bardziej przestraszona. - Jest pani pewna? Do nikogo nie telefonował? - Na migi dała mu do zrozumienia, że nie ma u nich telefonu. - No to kto to jest, do cholery? - spytał przez zęby. - Kto to jest?

Samochody zatrzymały się przed domem, wysiadło kilku mężczyzn. Deves doliczył się sześciu. Na znak mężczyzny ubranego w skafander z jasnego płótna jeden z przybyszów nagle odszedł i zniknął za domem.

- Zoja, niech mnie pani rozwiąże... - wymamrotał Michael, przez cały czas obserwując scenę na podwórku.

Drzwi domu otworzyły się, na progu stanął Balturnian. Człowiek w skafandrze zrobił dwa czy trzy kroki w jego kierunku i coś do niego mówił. Ormianin podszedł bliżej. W tej samej chwili otworzyły się tylne drzwi jednego z samochodów, wysiadł mężczyzna w czarnej czapce; powoli, spokojnie ogarnął wzrokiem całe otoczenie.

Deves zobaczył go, ujrzał jego twarz, siwe włosy wychodzące spod czapki, czarny skórzany płaszcz i aż oniemiał.

Morderca z Leningradu!

To on kierował masakrą w „Zwiozdoczce”!

- Zoja, niech mnie pani rozwiąże... - wybełkotał patrząc na mordercę z Leningradu, który stał teraz oparty łokciami o dach samochodu. Nieco dalej mężczyzna w skafandrze ciągle rozmawiał z Ormianinem. - Zoja! Oni ich zabiją! Wszystkich zabijają!

Dziewczyna spojrzała na niego z odrazą, lekko potrząsnęła głową, ale Deves już na nią nie patrzył.

- Zoja, ja ich znam, to mordercy! - powiedział z wyrzutem i

groźbą. - W Leningradzie widziałem ich w akcji! Są bezlitośni! Zaraz was... - zamilkł na chwilę. - Cholera...

Człowiek w skafandrze zrobił krok do tyłu i wycelował broń w Balturniana. Deves widział, jak Ormianin podnosi ręce do góry i stoi nieruchomo. Nagle z lufy wyleciał dym i przez ułamek sekundy wydawało się, że ten właśnie dym był przyczyną wszystkiego, co nastąpiło. Deves zobaczył, że Ormianin drgnął, tak jakby miał za chwilę rozpaść się na kawałki; rozległa się seria strzałów, krótkich, urywanych. Michael widział, jak Ormianin powoli się osuwa, upada na kolana, a głowa, jak naderwana, zwisa mu na piersi i ciągnie na ziemię.

Deves usłyszał chrapliwą czkawkę dziewczyny stojącej tuż obok. Nagle wszystko potoczyło się błyskawicznie, jak w jakimś szaleńczym zawirowaniu.

Zdawało się, że dom wydał dziki okrzyk przez otwarte drzwi. Młody Balturnian wypadł na zewnątrz, w rękach trzymał strzelbę. Natychmiast padł skoszony serią, nie zdążył nawet wystrzelić ze swej broni.

Michael poczuł, że obok coś się rusza. O mało nie krzyknął.

- Zoja! Nie! - zaprotestował zduszonym głosem. - Nic nie poradzimy! To nic nie...

Rozległa się następna seria strzałów, o wiele dłuższa, huk detonacji mieszał się z odgłosem tłuczonego szkła; dziewczyna, nagle znieruchomiała, zadrżała i mocno zacisnęła powieki.

Michael odwrócił się i od razu ujrzał na podwórzu jednego z zabójców, który klęczał na kolanie i z karabinu ostrzeliwał fasadę domu. Wysadził dwa okna, a pozostali bandyci wpadli do wnętrza drzwiami. Ten, który klęczał, przestał strzelać, także podbiegł do domu i dał nurka do środka przez jedno z wysadzonych okien. Przez bardzo krótką chwilę Deves nic nie słyszał. Potem gdzieś w domu rozległ się krzyk, kobiecy krzyk. Zatrzeszczała kolejna seria strzałów, stłumionych, krótkich. Jakieś wołanie - męski głos. Później już nic.

Cisza.

Michael spojrzał na dziewczynę. Patrzyła na niego trzęsąc się, z oczami pełnymi łez.

Nie pękaj! Nie teraz!

- Zoja, ja...

Rzuciła się w jego stronę wydając ostry, rozdzierający jęk. Michael z przerażeniem patrzył, jak pada na kolana obok niego, przewraca nieprzytomnymi oczami i chwytą więzy ściskając mu nogi.

- Nie, najpierw ręce! Ręce! Szybko!

Posłuchała; podczas gdy uwijała się jak w jakimś szale, Deves spojrział przez okno. Mordercy, teraz już wszyscy razem, rozmawiali przed domem, wydawali się niezdecydowani, niepewni. Człowiek z Leningradu odwrócił się i obserwował zabudowania.

Brakuje im jednego trupa! Zaraz złączą jej szukać!

- Zoja, szybko, szybko!

Jeszcze go nie rozwiązała, gdy ujrzał dwóch morderców biegnących w stronę stodoły. Jeden z nich miał na głowie czapkę z czerwonej wełny.

- Sam rozwiążę nogi! Niech pani znajdzie jakąś broń, sierp, cokolwiek! Szybko!

Dziewczyna pobiegła do ciemnej części obory. Michael zaczął rozwiązywać sznur ściskający mu kostki. Sznur nie był zbyt gruby, ale węzły mocno zaciśnięte. Nagle pojął, że nie zdoła ich rozsypać.

Starał się nie ulegać panice.

- Zoja... Zoja, nie mogę tego rozwiązać. Trzeba przeciąć, niech się pani pośpieszy...

Przez okno widział człowieka z Leningradu rozmawiającego z mordercą w skafandrze. Nagle ten w skafandrze odwrócił się, dał znak któremuś z pozostałych, aby za nim poszedł, po czym obaj zaczęli iść w stronę obory. Na Boga!

Przybiegła przerażona dziewczyna, szybkim ruchem sierpa przecięła sznurek. Podała Michaelowi sierp, sama schwyciła widły, popatrzyła na niego w najwyższym napięciu, całkowicie zdając się na jego decyzje.

Na zewnątrz dwaj mordercy zatrzymali się, stali w odległości około trzydziestu metrów i obserwowali stodołę. Pistolet maszynowy i karabin kałasznikow, zauważył Deves.

Jego mózg pracował błyskawicznie.

- Dwaj ludzie idą tutaj - powiedział szybko cichym głosem. - Jeden wejdzie do środka, drugi stanie przy drzwiach, aby go kryć. - Nie spuszczał z oczu dwóch zbliżających się mężczyzn. - Niech się pani gdzieś schowa i proszę się nie ruszać. Przepuścimy tego, który wejdzie, pozwolimy mu wejść w głąb obory. Niech pani nic nie robi, dopóki nie zaczną działać, jasne? Zoja, rozumie pani? - Dziewczyna

skinęła głową, cała drżała ze strachu. - Niech pani idzie, szybko!

Dziewczyna odskoczyła jednym susem. Słyszał, jak podreptała w głąb obory. Zaryczała krowa.

Teren! - zawył w nim jakiś głos. Wykorzystaj teren!

Nie boję się. Nie, nie boję się... Co za nonsens! Czego miałbym się bać? Śmierci? I tak umrę. Tu czy tam, co za różnica? Chcesz powiedzieć, że nie ma różnicy? Nie masz powodu się bać. Nie ty! Wiesz dobrze!

Więc dlaczego się boję? Na litość boską, dlaczego się boję? Nie powinienem się bać! Nie powinienem...

Usłyszał kroki morderców tuż przy wejściu. Chwila ciszy. Lekki zgrzyt drzewi.

Potem cichy szelest słomy pod ich stopami: wchodzili. Nie widział ich, słyszał tylko i czuł ich obecność.

Nagle wszystko zamarło... Żadnego ruchu. Najmniejszego szmeru. Ani nawet oddechu...

Czy mnie widzieli? Czy patrzą na mnie?

Nie ruszać się. Nie oddychać.

Nie ruszał się, nawet nie oddychał. Zamienił się w jakąś dziwną istotę z bijącym sercem, z wyostrzonymi zmysłami, napiętymi mięśniami. Cały był napięty, bliski wybuchu.

Usłyszał szmer. Przesunął się jakiś cień i Michael zrozumiał, że jeden z morderców szedł w głąb obory. Skoncentrował się na słuchaniu kroków aż do chwili, gdy już prawie ucichły. A ten drugi? Gdzie był drugi?

Nie próbuj patrzeć. Słuchaj. Słuchaj go.

Lekki szelest słomy po lewej stronie. Jeden szmer, potem drugi. Szelest ubrania.

Tylko na niego nie patrz! Jeśli się poruszysz, choćby otworzysz szerzej oczy, zaraz będziesz martwy - oczy mogą błyszczeć! Zdaj się na swój instynkt. Musisz wyczuć!

Znowu zaszeleściła słoma, tuż obok. Zrobiło się ciemniej. Drugi morderca też tu był, o metr od niego. Michael właściwie nie widział go, lecz czuł. Mógł go prawie dotknąć, a morderca go nie widział!

Słyszał jego oddech. Usłyszał też metaliczny trzask w głębi obory, jakieś niezrozumiałe słowa wypowiedziane przez drugiego mordercę, stłumiony śmiech któregoś z mężczyzn. Zaryczała krowa i od razu, w

chwili gdy tylko zaczęła ryczeć, Michael wiedział, że nadszedł ten moment. Wyprostował się, nogi odrzuciły go do przodu jak sprężyny.

Nie pozostawił mordercy najmniejszej szansy. Rzucił mu się na plecy, jedną ręką zasłonił mu usta, a drugą gwałtownym ruchem poderznął gardło sierpem. Z rozciętej krtani wydobywał się przeraźliwy, bulgocący świst. Michael zdążył jeszcze rzucić sierp w słomę i złapać karabin wypadający z rąk mordercy. Ale natychmiast zrozumiał, że to nie ma sensu, i tak nie mógłby się nim posłużyć. Na zewnątrz było jeszcze pięciu morderców!

- Borys?

Głos drugiego, w głębi obory... Musiał coś usłyszeć! Deves wahał się przez ułamek sekundy, po czym odpowiedział szeptem, tak by nie można było rozpoznać głosu.

- *Ostrożno! Ciii!*

Ostrożnie odsunął na bok zwłoki mordercy, położył w cieniu, cały czas czuwał.

Krótkie milczenie.

Po chwili stłumiony głos mordercy w skafandrze - teraz już Michael wiedział, że to ten w skafandrze - rozległ się w oborze:

- *Czto?*

- *Czto to nieladno!* - odpowiedział Michael ledwo słyszalnym głosem.

Przykucnął w cieniu, tak aby karabin był częściowo widoczny w świetle dziennym wpadającym przez drzwi.

- *Czto? Ja nie ponimaju!*

Michael skulił się.

Nie rozumie, czy udaje, że nie rozumie?

- *Czto to nieladno!* - powtórzył trochę głośniej.

- *Czto? Gdzie?*

Gdzie, pyta „Gdzie?”... Odpowiedz! Powiedz coś, szybko!

- *Tam na prawo, snaruzi!* - odpowiedział Michael szeptem.

Nagle usłyszał, że morderca zbliża się do niego.

- *Snaruzi?*

- *Da! Da!*

Zaciskał ręce na karabinie i słuchał zbliżających się kroków. Głos zapytał:

- *Snaruzi? Ja nie...*

Nagły jęk i głos mordercy uwiązał w gardle.

Drugi jęk, głuche uderzenie - i rżenie dobiegające z ciemnej części obory. Wyraźny brzęk jakiegoś metalowego przedmiotu, który spadł na ziemię. Jego broń! Zoja! Ona go załatwiła!

Michael zobaczył tuż obok zataczającego się mordercę w skafandrze; zdawało się, że pchają go widły wbite w plecy. Po chwili zwałił się w pobliżu drzwi.

Usłyszał gwałtowny, przyspieszony oddech dziewczyny.

- Wszystko w porządku, Zoja - powiedział po rosyjsku uspokajającym tonem. - Wszystko w porządku. Bardzo dobrze. Ja...

Jęk bólu dobiegł od strony drzwi, dziewczyna wydała stłumiony krzyk.

Morderca w skafandrze nie był jeszcze martwy!

- Zajmę się nim! - powiedział szybko Michael. - Niech pani weźmie jego broń i nie spuszcza z oka tamtych! Szybko!

Rzucił się w stronę mordercy w skafandrze, ze wstrętem wyciągnął widły z jego pleców; mężczyzna wygiął się jęcząc i przewrócił się na plecy. Gardło! Zaatakować gardło! Deves uniósł widły, starał się nie dostrzegać szeroko otwartych oczu, nie słyszeć błagalnych słów... Nagle znieruchomiał.

Co on powiedział?

„Nie chcę tego widzieć... Och! Boże, nie chcę umierać...”

Michael był oszołomiony, te słowa grzmiały w jego czaszce jak uderzenia piorunów. Morderca jeszcze coś powiedział, trząsł się cały, czuł, że opuszczają go siły.

To nie słowa tego mężczyzny tak poruszyły Michaela. Raczej fakt, że w obliczu śmierci morderca mówił po francusku!

Powieki mordercy opadły.

I wtedy zdarzenia potoczyły się tak błyskawicznie, że Deves nie zdążył zareagować.

Gdzieś w oddali przed domem rozległ się krzyk dziecka, a po nim krótka seria strzałów. W ułamku sekundy oborę wypełnił przeraźliwy, dziki wrzask podobny do skargi zwierzęcia.

- Zoja! Nie! - krzyknął Michael, rzucając się w stronę dziewczyny.

Zatrzymał się, gdy zobaczył, że dziewczyna wybiega na zewnątrz.

Przez otwarte drzwi widział, że biegnie wyjąc w stronę domu, jak opętana strzeła z pistoletu maszynowego; spostrzegł mężczyznę w



czerwonej czapce, który właśnie przykłękał na jedno kolano i unosił broń. Michael ciągle patrzył na dziewczynę: biegła, ale już nie strzelała. Usłyszał strzały, cztery, jeden po drugim, i ciągle patrzył; widział, jak dziewczyna zachwiała się, upadła i znieruchomiała, nawet wtedy na nią patrzył. Na podwórzu zapanowała cisza.

Zabójcy obserwowali oborę.

Rozległ się głos. Rozkaz! Michael zadrżał.

I co teraz zrobię?

Zaczął się niepewnie cofać, jakby kręciło mu się w głowie, podczas gdy mordercy zbliżali się do obory.

W nagłym przeblasku rozumiał, co ma zrobić. Nie było wyboru.

Zabójcy otoczyli oborę.

- Załatwiła ich obu! - z przerażeniem krzyknął po rosyjsku ten, który wszedł pierwszy, do stojącego w progu człowieka z Leningradu.

Deves, leżąc w korycie dla krów pod warstwą siana, widział, jak człowiek z Leningradu w milczeniu podchodzi bliżej i kłeka obok ciała mordercy w skafandrze. I wtedy zdarzyło się coś nieprawdopodobnego, Michael miał wrażenie, że ogląda jakąś koszmarną wizję: prawa ręka mordercy w skafandrze uniosła się z trudem i wskazała koryto, w którym się skrył!

Dlaczego go nie dobiłem?

Michael poczuł, że zapiera mu dech w piersiach. Morderca otworzył usta, człowiek z Leningradu ujął rękę umierającego i wtedy Deves wyraźnie usłyszał w ciemnościach głos mówiący doskonałą, naturalną francuszczyzną:

- Nie ruszaj się, leż spokojnie. Wyjdiesz z tego...

Morderca w skafandrze drgnął, jego oczy znów się zamknęły.

- Niech to diabli - powiedział po francusku człowiek z Leningradu takim tonem, jakby mówił „amen”.

Wstał, przez chwilę obserwował wnętrze obory i ze złością potrząsnął głową. Podniósł leżący na słomie karabin i po rosyjsku dał rozkaz, aby zabrano ciała. Pojawił się jeszcze jeden mężczyzna. Podbiegł do drzwi obory, stanął jak wryty, gdy zobaczył zwłoki; po chwili podszedł do człowieka z Leningradu.

Podał mu coś - Deves rozpoznał czerwono-złotą legitymację KGB.

- Mieli rację - powiedział po francusku. - Wrócił.

- Gdzie to znalazłeś? - spytał człowiek z Leningradu przyglądając się legitymacji.

- Miał ją Ormianin.
- Skąd mógł ją mieć?

Nowo przybyły wzruszył ramionami.

- Musimy dać znać do Paryża o jego powrocie - powiedział w końcu człowiek z Leningradu.

- Nadajemy stąd?

Człowiek z Leningradu zawahał się. Spytał:

- A wioska?

- Pograżona we śnie. Jest zbyt daleko, żeby ktoś usłyszał, a poza tym wiatr wieje w przeciwną stronę.

Człowiek z Leningradu ciągle się wahał.

- Nie - powiedział wreszcie. Pomachał czerwono-złotą legitymacją. - Nie w tej sytuacji. Nigdy nie wiadomo. Jeśli sowieci zlokalizują nadajnik, wejdą do akcji za wcześnie. Nadamy z innego miejsca.

Wyszedł z obory ostatni, rzuciwszy jeszcze spojrzenie za siebie, jakby miał nadzieję, że patrząc na to ciemne wnętrze czegoś się jeszcze dowie.

Drzwi zaszurały po ziemi, gdy je zamykał.

Pięć minut później z podwórka dobiegł warkot silników. Deves usłyszał samochody przejeżdżające obok obory i oddalające się. Usłyszał też kruki, krakały gdzieś niedaleko zabudowań. Wsłuchiwał się w cichnący, zanikający pomruk silników. A potem wsłuchiwał się w ciszę, w krakanie ptaków, w przytłumione szmery w oborze.

Przez dłuższą chwilę leżał w korycie powalony wydarzeniami, które właśnie przeżył, porażony ich znaczeniem, a przynajmniej znaczeniem, jakie im nadawał.

Trzeba dać znać do Paryża...

W głowie mu zawrzało.

Dotychczas myślał, że był przynętą dla Sowietów, a teraz okazało się, że dla Francuzów! I to od samego początku!

To właśnie Francuzi eliminowali agentów „Airways”!

Wydawało mu się to nielogiczne, nieprawdopodobne, że Sowietci wykańczali agentów „Airways” nie starając się zmusić ich do mówienia ani przeciągać na swoją stronę. Ale teraz, kiedy okazało się, że likwidowali ich Francuzi, zaczął dostrzegać pewną logikę. Tak! Tylko Francuzi mogli lekceważyć to, co agenci „Airways” mieli do powiedzenia, bo prawdopodobnie doskonale to wiedzieli. Znali tych agentów!

To byli ich agenci! Jeśli w ten sposób ich wykańczali, to dlatego, że sytuacja - odkryto przecież zdradę - tego wymagała. Zabijali ich, aby już nigdy nie mogli im zaszkodzić ani ich zdradzić...

Ale całą siatkę? To nonsens!

Dlaczego nonsens? Dlaczego Francuzi nie mieliby całkowicie zniszczyć siatki „Airways”? A jeśli nie całkowicie - jak wybierać ofiary? Trwałoby to zbyt długo, byłoby zbyt ryzykowne, biorąc pod uwagę okoliczności. Wybierać - nie, to niemożliwe. Nagła konieczność nakazywała całkowitą likwidację, bez wyjątku.

Jaka konieczność? Jakie okoliczności? Co ty gadasz? Co ty możesz o tym wiedzieć? Staram się rozumieć! Tak, starasz się, ale źle się do tego zabierasz, upraszczasz całą sprawę, naciągasz fakty, żeby wszystko pasowało. To nie jest dobra metoda. Aby zrozumieć, najpierw trzeba zadać pytanie, a potem dopiero szukać odpowiedzi. Trzeba postawić prawidłowe pytanie: dlaczego ci zabójcy, francuscy zabójcy, od samego początku zjawiają się tuż przed tobą? Dlaczego zawsze stają na twojej drodze? Dlaczego zlecono ci nawiązanie kontaktu z agentami siatki, wykrycie ewentualnych zdrajców, jeśli w tym samym czasie wysłano ekipę morderców, która miała ich wyeliminować? Takie pytania trzeba postawić! To są właściwe pytania! Pomyśl trochę. Zastanów się! Co to wszystko znaczy? I jaką rolę ty odgrywasz w tym całym cyrku? Jaki jest prawdziwy cel misji Saxona?

Prawdziwy cel... Wyrzuty sumienia Avarone'a... Przypomnij sobie jego ostatni list: „Saxon równa się Norymberga. Garbo trzyma z wrogiem. Przepraszam”.

Norymberga nie była prawdziwym celem! Garbo kłamał! Norymberga maskowała cel! Tak! Liczy się przede wszystkim rzeczywisty cel, w tym kierunku powinny zmierzać twoje myśli!

Co jest rzeczywistym celem Saxona?

Zdajesz sobie chyba sprawę, jaką bzdurą jest wyobrażanie sobie choć przez chwilę, że mogłeś posłużyć Francuzom za przynętę. To ich siatka! Ich agenci! Nie potrzebowali cię, aby ich odszukać, prawda? Więc dlaczego szli krok w krok za tobą? Po to, aby mnie przypisano te morderstwa... Aby przypisano ci morderstwa? Tak! Tylko wtedy miałyby to sens! Przypuśćmy, że tak, ale dlaczego? Wobec kogo? Sowietów? Ale dlaczego? Na pewno jest w tym jakiś sens! Tak, jest. Dlaczego miałbyś być posądzony o te zabójstwa? Aby uwierzono, że

to ja likwiduję siatkę, że po to tu przyjechałem! Zgoda, ale dlaczego sowietci - no bo ktoś by inny - mieli w to uwierzyć? Nie wiem! To nie jest odpowiedź. Dlaczego?

Och, Boże, staram się zrozumieć, staram się... ale mi się to nie udaje!

Uspokój się. Nerwy nic tu nie pomogą, wiesz dobrze. Trzeba się po prostu zastanowić. Zastanowić się spokojnie. Wpadłeś już na pewną myśl. Może jest warta uwagi. Może nawet jest więcej warta, ale dowiesz się o tym dopiero wtedy, gdy przeanalizujesz ją dogłębnie. Trzymaj się tej myśli.

Trzymaj się jej... Dlaczego chcą przypisać ci morderstwa? Pomyśl... Dlatego, że mają one swą wymowę tylko wtedy, gdy ty je popełnisz - inaczej nie miałyby znaczenia. Tak, na pewno dlatego! Te zabójstwa nabierają znaczenia w oczach sowietów tylko dlatego, że to ty je popełniasz! Z tego wynika, że jest coś, co wyjaśnia i usprawiedliwia to wszystko. Jakiś powód. Cały kłopot w tym, że w żaden sposób nie możesz dowiedzieć się, co to za powód -zwłaszcza teraz, gdy jesteś całkowicie odcięty...

Nie, takie rozumowanie do niczego nie prowadzi. Kończy się ślepy m zaułkiem. Ten powód nie ma żadnego znaczenia, bo go przecież nie znasz. Zapomnij o nim! Wróć do faktów. Trzeba rozumować na podstawie faktów. Przemyśl je, znajdź powiązanie między nimi i miej to ciągle na uwadze! I powiedz sobie, że nie jesteś w stanie zrozumieć wszystkiego, że na pewno coś ci się wymknie albo czegoś nie uda ci się włączyć w tok rozumowania. Ale to nic nie szkodzi. Najważniejsze, żebyś starannie rozważył fakty, dostrzegł ich logikę i trzymał się jej! W nadziei, że to poprawne rozumowanie. Albo że nie jest zbyt dalekie od prawdy. Albo że nie są to po prostu czcze spekulacje.

Fakty! Trzymaj się faktów! Saxon jest faktem! Niezjący agenci „Airways” są faktem!

Umarli są światłem... Umarli są światłem? Tak... No dobrze, i co z tego? Saxon porusza się w ciemnościach... I co dalej? Posuwa się do przodu. Sieje śmierć na swej drodze... A za nim piętrzą się umarli... On zaś idzie do przodu...

Tak!

Najwyraźniej Francuzi nie potrzebowali go, aby zlokalizować agentów „Airways”, potrzebowali go natomiast sowietci! Trzeba było

zapalić styki, aby je dostrzegli! I właśnie temu miał służyć! Saxon był kimś w rodzaju Tomcia Palucha, ale nie wiedział o tym; inni pozostawiali za sobą trupy... aby wskazać drogę sowietom!

Jaką drogę? Nie wiem!

To też absurd. Po co wskazywać sowietom drogę do siatki zdrajców? Można było po prostu ich zlikwidować, czyż nie? W jakim celu tak podkreślano znaczenie ich śmierci? Tym bardziej że jeśli chodziło o zdrajców, sowieci - co logiczne - powinni byli ich znać, prawda? Nie? Tak? Och, mój Boże...

Nie, poczekaj, to błąd. Powinieneś trzymać się faktów. Zdrada nie jest faktem. Nie masz pewności w tej kwestii, nigdy nie miałeś.

Zacznijmy jeszcze raz: wskazać sowietom drogę... Ale po co?

Droga! Rozwiązanie jest na końcu drogi! Tak! Jeśli to mogło mieć jakikolwiek sens, to tylko taki. Wszystko miało związek z Saxonem. Z drogą, jaką przebywał. Zapalał styki, jedno po drugim... aż do styku końcowego?

Styk końcowy... Czy o to chodzi? To jest właśnie cel? Tak! To może być tylko to. Rozwiązanie znajduje się na końcu drogi Saxona. Na końcu może zrozumie!

Co jest na końcu?

Michael ostrożnie uchylił drzwi i wyśliznął się na zewnątrz. Było ciemno. Zapadła noc, świecił blady księżyc otoczony chmurami.

Obserwował dom. Nie pomylił się: to, co z trudem dostrzegł poprzez brudne okienko obory, to było światło. Teraz już rozróżniał nawet sylwetki poruszające się za jednym z okien. To było oczywiste: mordercy jeszcze tu byli!

Dlaczego?

Ogarnęło go i zelektryzowało jakieś niedobre podniecenie.

Przede wszystkim: ilu ich jest?

Pobiegł w stronę domu.

W obydwu wybitych oknach zawieszono koce, które wszystko zasłaniały. Michael podszedł na niespełna dziesięć metrów do okna, całego i oświetlonego. Stał w jednym miejscu, potem w innym, bo chciał zobaczyć wewnątrz pod różnymi kątami. Dwaj mężczyźni. Widział tylko dwóch. Mogli być jeszcze inni w tej części domu, której okna były zasłonięte kocami, ale to raczej rzecz wątpliwa. Dwaj mordercy siedzieli przy stole i z całym spokojem posilali się, zupełnie jakby byli we własnym domu. Czego to dowodzi? Może być jeszcze trzeci, gdzieś dalej, gdziekolwiek! Zresztą nawet jeśli jest ich dwóch - co chcesz zrobić? Rzucić się na nich? Jeśli ich zaatakujesz, dostaniesz tylko jednego, na pewno nie obu! Wejść od tyłu? Możesz to zrobić, tak, na pewno jest jakieś wejście z drugiej strony, ale co to zmienia, jeśli jest ich dwóch? Rozdzielić ich! W jaki sposób? Jak się do tego zabrać, żeby ich nie spłoszyć?

Zdał sobie sprawę, że drży. Cofnął się w stronę stodoły, aby schować się przed przesywającym na wylot wiatrem i obmyślić plan działania.

Drzwi stodoły, wysokie i szerokie, były otwarte na oścież. Michael zatrzymał się na progu. Po prawej stronie widać było w słabym blasku księżyca stos drewna. Poczekał chwilę, aby przyzwyczać wzrok do ciemności. Po lewej stronie stopniowo wyłaniały się kontury traktora, nieco dalej powoli wyłaniały się chromowane, błyszczące zde-rzaki wołgi. Posuwał się do przodu.

W bagażniku wołgi znalazł leżące luzem, w nieładzie, swoje ubranie na zmianę, paczki papierosów, nawet zapalniczkę. Najwidoczniej Balturnian zadowolili się przejrzaniem jego rzeczy, ale niczego nie zabrał. A kluczyki? Czy zostawił kluczyki? Sprawdził i stwierdził, że ich nie ma. Nie rozczarowało go to zbytnio, na razie nie miał zamiaru stąd uciekać. Włożył golf i czarny wełniany pulower, po czym bardzo ostrożnie w świetle zapalniczki obejrzał wnętrze stodoły. Szukał jakiegoś przedmiotu, którym mógłby posłużyć się jako bronią albo wykorzystać w jakiś inny sposób. Znalazł metalową rurkę zgiętą w literę L, dość duży śrubokręt, kanister w trzech czwartych wypełniony benzyną, skrzynkę pustych butelek i stare szmaty.

Zebrał razem te wszystkie znaleźziska i zaczął się zastanawiać. Gdy odkrył benzynę i puste butelki, natychmiast pomyślał o przygotowaniu koktajlu Mołotowa. Doszedł jednak do wniosku, że nie byłoby to zbyt rozsądne, bo przede wszystkim wzniciłby pożar, a pożar jest widoczny z daleka, więc zwabiłby ludzi, a tego właśnie nie chciał. Po drugie, użycie koktajlu Mołotowa nie dawałoby żadnej pewności, że uda mu się rozdzielić morderców, że nie zorientują się w sytuacji.

Nagle drgnął na dźwięk ludzkiego głosu.

Odwrócił się i przez otwarte drzwi stodoły ujrzał w odległości około dwudziestu metrów sylwetkę jednego z morderców, który szedł w jego kierunku. Nie usłyszał, że ten człowiek wychodzi! Drugi mężczyzna stał na progu domu, coś krzyczał. Ten, który wyszedł, przykucnął, zebrał trochę śniegu, zrobił kulę i rzucił w kierunku domu.

- Ciota! Pedał! - wykrzykiwał do tego drugiego, który wybuchnął śmiechem i wrócił do domu.

Pierwszy, mamrocząc coś, zbliżał się do stodoły.

Po cholerę tu lezie, pomyślał Michael z bijącym sercem, chowając się w ciemności. Czego jeszcze chce?

Przykucnął obok ciągnika, wsunął śrubokręt do buta, w ręce trzymał tylko zgiętą rurkę.

Nie zdążył nawet sprawdzić, czy morderca ma broń, czy nie. Zobaczył, że pewnym krokiem wchodzi do stodoły i zatrzymuje się tuż obok stosu drewn. Jeszcze zanim Michael usłyszał odgłos przekładanego drewna, odgadł, po co tamten przyszedł. Zrozumiał, że los mu sprzyja i że trzeba natychmiast to wykorzystać - morderca stał odwrócony do niego plecami, brał drewno na ręce, robił hałas. Teraz!

Rzucił się w jego stronę.

Morderca chyba coś zauważył, usłyszał jakiś szmer, bo gwałtownie się odwrócił. Skutek był taki, że zamiast dostać zagiętą rurką w tył głowy, został uderzony w twarz. Upuścił na ziemię drewno, które trzymał w zgiętej ręce, dostał następny silny cios w skroń i zwałił się nawet nie wydając jęku.

Deves przeszukał go. Ani broni, ani dokumentów, nic. Odzyskał równowagę, zaczął intensywnie rozmyślać. Ten, który pozostał w domu, oczekiwał powrotu kolegi! Trzeba było coś postanowić, szybko! Siedzieć cicho i czekać aż przyjdzie? To zbyt ryzykowne, na pewno jest uzbrojony i ma się na baczności! A poza tym, jeśli ma łączność z innymi, może wezwać pomoc! Do ciebie należy inicjatywa, zrób coś! To ty powinienes pójść do niego! A jeśli nie jest sam? Zapytaj tego tutaj...

Michael doskoczył do nieprzytomnego mężczyzny, kilkakrotnie uderzył go po twarzy, ale to nic nie pomogło. Zawahał się chwilę, sprawdził, czy morderca jeszcze żyje. Tracisz czas! Im dłużej tamten będzie czekał, tym bardziej będzie się miał na baczności! W końcu podjął decyzję. Zdjął z nieprzytomnego mordercy skafander, włożył na siebie, ściągnął mu z głowy wełnianą czapkę i znowu się zawahał. Co dalej? Tracisz czas! Tracisz zbyt wiele czasu! Wreszcie się zdecydował, lecz jakby chcąc się umocnić w postanowieniu, zapalił zapalniczkę i zbliżył płomień do czapki. Była czerwona. Nie myślał o niczym. Włożył czapkę, przyłożył kolano do pleców mężczyzny, schwycił go za podbródek i szybkim ruchem skrzył mu kark.

Potem nabrał na ręce drewno, wyszedł ze stodoły i skierował się w stronę domu.



Szybkim krokiem pokonał pięćdziesiąt metrów dzielących go od wejścia. Nie spuszczał wzroku z oświetlonego okna, na końcu nawet przyspieszył, tak bardzo obawiał się, że traci czas, tak bardzo chciał już z tym skończyć. Zmusił się jednak na ostatnich paru metrach do zwolnienia kroku i zboczył z prostej drogi, bo chciał przejść koło okna. Poprzez lekko zaparowane szyby dostrzegł plecy drugiego mężczyzny, który ciągle siedział przy stole; zauważył też pistolet maszynowy leżący na brzegu stołu, blisko drzwi.

To nie będzie trudne, pomyślał.

Nie obejrzał się ani razu. Gdy wreszcie to zrobił, było za późno: jakiś cień poruszający się z tyłu, na podwórku, zniknął właśnie we wnętrzu stodoły.

Uniósł drewno na wysokość twarzy, odwrócił się i otworzył drzwi.

Wszedł nieco bokiem, pokazując siedzącemu mężczyźnie tylko plecy; natychmiast zauważył karabin leżący na krześle, ogarnął wzrokiem pusty pokój. Usłyszał głos zabójcy, belkoczącego po rosyjsku z pełnymi ustami:

- Coś tam robił, do cholery? Zimno jak diabli...

Deves odwrócił się i z rozmachem rzucił drewno na stół, trafiając mężczyznę w samą twarz. Człowiek wydał krzyk zaskoczenia i bólu i przechylił się do tyłu. Deves schwycił ze stołu pistolet maszynowy. Jednym susem doskoczył do mordercy i uderzył go pistoletem, miażdżąc mu twarz. Człowiek wydał przeciągły, głuchy jęk i upadł do tyłu, na plecy. Michael przykucnął, przyłożył mu lufę pistoletu do gardła i powiedział szybko po rosyjsku, cedząc słowa:

- Jeden krzyk, jeden ruch, a wylecisz w powietrze, rozumiałeś?
- Tak - gardłowym głosem odpowiedział po rosyjsku morderca.
- Twój kumpel nie żyje, leży w stodole. Gdzie są inni?
- Nie ma nikogo innego!
- Nie kłam! - zawarczał Michael przyciskając mu lufę do gardła.
- To prawda! - zaskomlał morderca zduszonym głosem.
- Masz przy sobie broń?
- Nie!
- Połóż ręce na tyłku. Szybko! - Mężczyzna posłuchał, Deves obmacał go od stóp do głowy. - Dobrze. Leż tak, nie ruszaj się.
- Zgoda.
- Dobrze, że się zgadzasz - powiedział wrogo Michael.
- Tak! Tak! Zgoda!

Morderca bał się, ale nie był przerażony, wyraźnie starał się wrócić do siebie. Przy każdym oddechu w jego nozdrzach pojawiały się bąbelki krwi.

- Posłuchaj - powiedział zimno Michael. - Ja zadaję pytania, ty odpowiadasz. Jeśli choć jedna twoja odpowiedź nie zadowoli mnie, będzie to znaczyło, że jesteś niepotrzebny i że cię zabiję. Zrozumiałeś?

- Tak!

Michael zawahał się chwilę. Potem powiedział po francusku:

- To jedyna twoja szansa ratunku, mam nadzieję, że to rozumiesz? - Morderca ze strachu wytrzeszczył oczy. - Odpowiadaj! - rozkazał Michael po francusku. - Zrozumiałeś?

- Saxon! Jesteś Saxon! - zakrzuszył się morderca. Teraz już był przerażony. Mówił po rosyjsku. - Nie rozumiem! Nie znam francuskiego! Przysięgam, że to prawda!

- Skąd wiesz, kim jestem?

- Jurij mówił, że przyjedziesz!

- Kto to jest Jurij?

- Francuz! Ten, który dowodzi!

- Opisz mi go.

Morderca opisał wygląd człowieka z Leningradu.

- Co o nim wiesz?

- Nie wiem nic... Przysięgam, że to prawda!

- Dlaczego z nim trzymasz?

- Dla pieniędzy! Płaci mi!

Michael zamilkł, usiłował uporządkować myśli.

- Dlaczego ich zabiliście? - spytał matowym głosem. - Dlaczego zabiliście ich wszystkich? - powtórzył przez zaciśnięte zęby.

- Mieliśmy to zrobić, zanim się z nimi skontaktujesz... - wykrztusił morderca z trudem, ponieważ lufa uciskała mu szyję.

- Dlaczego?

- Nie wiem!

- Dlaczego dzieci!?

- Wszystkich bez wyjątku! - dusząc się charczał morderca.

- Dlaczego? - wrzasnął Michael.

- Nie wiem...

- Jurij wie?

- Nie... Taki był rozkaz, to wszystko! - Rosjanin zakaszłał, na wpół już uduszony.

- Czyj rozkaz?

- Nie wiem!

- Nie wiesz?

- Nie!

Chwila ciszy. Deves spytał:

- Inni także nie żyją?

- Kto?

Wymienił nazwiska czterech agentów moskiewskiej sekcji „Airways”. Morderca odpowiedział, że nie wie, kim są zabiści, wtedy Michael wymienił ich adresy.

- Tak - przyznał w końcu morderca.

Deves odsunął się. Rzucił spojrzenie w tył na otwarte drzwi, po czym znowu popatrzył na mordercę nic nie wyrażającym wzrokiem.

- A co mieliście zrobić ze mną?

- Był rozkaz, żeby cię nie zabijać! - zawołał Rosjanin ze strachem.

- Żeby mnie nie zabijać...

- Nie zabijać! Przysięgam!

- W „Zwiozdocze” także nie?

- Nie! To była pomyłka! Ciebie nie mieliśmy zabić! Jurij nie dostał rozkazu!

Michael z trudem ukrył wzburzenie.

- W Leningradzie nie mieliście mnie zabić?

- Nie! Był rozkaz, żeby unikać kontaktu z Saxonem!

Milczenie.

- Ale rozkaz się zmienił, tak?

- Tak.

- Od kiedy?

- Od dwóch dni.

Michael był coraz bardziej wzburzony. Od dwóch dni! Dopiero od dwóch dni!

- A ty oczywiście nie wiesz dlaczego.

- Nie! - krzyknął morderca ze strachem.

- Oczywiście - dodał Michael.

Mężczyzna zakrztusił się połykając krew, która ciekła mu z ust.

- Posłuchaj! - krzyknął. - Miałem tylko skierować cię do Tolstoja!  
To wszystko! Wszystko co miałem zrobić, przysięgam!

- Czekają tam na mnie? - spytał Michael bezbarwnym głosem.

- Tak!

- Tolstoj żyje?

- Nie wiem! Nie wiem, kto to jest Tolstoj!

- W ogóle niewiele wiesz - powiedział Michael.

Zbyt późno dojrzał błysk w oczach Rosjanina.

Za plecami usłyszał głos, który go poraził:

- Nie ruszaj się! Ani kroku!

Wszystko nagle wydało mu się nierzeczywiste. Zdał sobie sprawę, że leżący na ziemi morderca wyrwał mu z rąk pistolet, po chwili ogłuszyły go trzy strzały i poczuł, że traci równowagę. W mgnieniu oka ujrzał krew na sobie, na swoich rękach. Morderca wpatrywał się w niego z ogromną uwagą, potem nagle zobojętniał na wszystko i Michael zobaczył, że przewraca się na bok, na podłogę, jakby układał się do snu, jak gdyby nagle nie miał nic lepszego do roboty.

Usłyszał przekleństwo. Zupełnie osłupiały odwrócił w końcu wzrok od poszarpanego karku mordercy i ujrzał powoli zbliżającego się mężczyznę: w rękę trzymał jeszcze dymiący karabin, a na brzuchu za paskiem miał pistolet. Mężczyzna zatrzymał się i patrzył na zwłoki, był wyraźnie rozdrażniony. Był to człowiek lat około pięćdziesięciu, o wypukłym, wysokim czole, krótkich rzadkich włosach i bladej szczupłej twarzy; nosił okulary w poślacanej oprawie, które nadawały mu wygląd intelektualisty z obrazu przedstawiającego scenę z rewolucji bolszewickiej.

Pomyślał chyba, że nie ma już czego oczekiwać po zmarłym. Odwrócił się więc powoli, wzrokiem bez wyrazu popatrzył na Devesa, tak jakby Michael interesował go nie bardziej niż ciało tamtego - po prostu tu był, tylko żywy. Powiedział po rosyjsku:

- Będziemy musieli porozmawiać... Saxon.

Wydawał się całkowicie przekonany, że to konieczne. W odpowiedzi na pytające spojrzenie Devesa dodał po francusku:

- Jestem Tolstoj.

Nocne niebo rozjaśniło się. Księżyc był okrągły, blade i mętne jak

pastylka miętowa. Mocno wiał lodowaty wiatr. Słychać było skrzyżenie drzew w lesie.

W odległości pięciuset metrów, nieco niżej, pogrążony w ciemnościach stał klasztor Zaśnięcia Matki Boskiej.

Deves obserwował przez lornetkę bryły budynków leżących wokół niewielkiego kościoła, którego złote kopułki połyskiwały w świetle księżyca. Zatrzymał dłużej wzrok na niskim kwadratowym domu, nieco oddalonym od innych, jaśniejszym; na każdym jego rogu znajdowała się rotundka ozdobiona złożoną cebulką. Był to dom Agopa Wartana, Tołstoja.

- Widać coś?

- Nie.

- Niech pan pokaże - powiedział Tołstoj biorąc lornetkę.

Od dawna już w klasztorze leżącym na brzegu jeziora Aprelewska, około kilometra od wioski, nie mieszkał żaden mnich ani jakikolwiek duchowny. Po rewolucji październikowej klasztor odebrano Cerkwi. Najpierw służył za ośrodek internowania, później zaś, w czasie drugiej wojny światowej, jako sierociniec. Na początku lat pięćdziesiątych został przydzielony Ministerstwu Zdrowia i stał się tym, czym jest aż do dziś - Sanatorium Numer 8 dla południowego regionu Moskwy. Nazwy „sanatorium”, częściej w Związku Sowieckim, nie należy brać dosłownie. Sanatorium nigdy nie przyjmowało chorych na gruźlicę.

Klasztor Zaśnięcia Matki Boskiej w rzeczywistości był wakacyjnym ośrodkiem wypoczynkowym wyłącznie dla rosyjskich członków Komitetu Centralnego partii komunistycznej. Aparatczycy, którzy lubili wędrować - a było ich co najmniej trzy czwarte spośród „wypoczywających” w klasztorze - znajdowali tu wyśmienite miejsce dla uprawiania swego hobby. Mogli poza tym w zupełnym spokoju, pod osłoną otaczającego cały teren muru, który został podwyższony i pokryty tłuczonym szkłem, korzystać z luksusowych urządzeń, basenu, sauny, sali treningowej, restauracji z bardzo dobrą kuchnią i prywatnej kliniki. W zimie, gdy jezioro zamarza, sanatorium zamyka podwoje. Na miejscu pozostaje wyłącznie dyrektor, który pilnuje obiektu i ewentualnie go otwiera w nagłym przypadku, gdyby jakiemuś wysokiemu partyjnemu dygnitarzowi przyszła ochota przyjechać. W ciągu czterdziestu lat nigdy się to nie zdarzyło.

Agop Wartan, Tołstoj, był dyrektorem Sanatorium Numer 8.

- Ja też nic nie widzę - powiedział. - Jednak na pewno tam są... - Nagle wstał. - Trudno, niech sobie będą. Chodźmy stąd.

Znowu wsiedli na terenowy motocykl Wartana i odjechali zaśnieżoną leśną drogą.

„Raczej unikajmy spotkania z nimi”, powiedział Tołstoj, gdy wyjeżdżali z domu Balturniana; chciał odradzić Michaelowi wizytę w klasztorze. „To zwykli mordercy, nic nie wiedzą. W każdym razie niech pan na mnie nie liczy. Najpierw porozmawiajmy. Potem zrobi pan, co pan zechce... jeśli jeszcze będzie się panu cokolwiek chciało...”

Przez dwadzieścia minut jechali w ciemności i zimnie, okrążyli jezioro, w końcu dotarli na miejsce. Rybacki domek z drewnianych bali przylegał do niewielkiego składziku, którego blaszany dach zapadał się pod ciężarem śniegu. Domek, częściowo ukryty w drzewach, stał dwadzieścia metrów od brzegu jeziora.

- Tu będziemy bezpieczni - zapewnił Tołstoj. - Przynajmniej tej nocy.

W domku się rozgrzali. Rozpalili ogień, po czym uraczyli się suszonymi rybami, razowym chlebem i miodem, jak dwaj mężczyźni, którzy po prostu zmarzli i byli głodni. Później, tak jak życzył sobie Agop Wartan, rozmawiali. Rozmawiali bez ogródek, gorączkowo i flegmatycznie zarazem. Od razu poczuli się partnerami, świadomi tego, że ich losy splotły się, choć nie wiedzieli, do jakiego stopnia. Przezuwali, że ta rozmowa pomoże im wreszcie zrozumieć prawdziwy cel gry, w którą obaj zostali wciągnięci.

Gdy Tołstoj zaczął opowiadać tę całą historię, Michael Deves nawet nie przypuszczał, do jakiego stopnia potwierdzi się jego teoria „końcowego styku”. I w jaki zaskakujący sposób!

- Pierwszy sygnał alarmowy dotarł do mnie kilka tygodni temu, na początku grudnia. Niezbyt jasny, nie bardzo zrozumiały, ale prawdziwy. Jego treść z grubsza brzmiała tak: „Saxon jedzie do was. Nie wiadomo, skąd wyrusza. Prawdopodobnie ma złe zamiary”. Wiadomość pochodziła - zapewne to pana zdziwi - od Avarone'a. Dziwne, prawda? Ale tak jest, mój drogi. Krótko mówiąc, nie było to wyraźnie powiedziane, ale nie trzeba było tego precyzować - powinienem usunąć się na bok, ja i Zofia. Później panu o niej opowiem. W jakiś czas potem otrzymałem wiadomość o odwołaniu alarmu. Wszystko zgodnie z regulami. Wydało się, że sytuacja powróciła do normy. Aż tu

nagle trzy czy cztery dni temu znowu alarm, tym razem w całkiem wyjątkowej formie: „posłaniec” z „grupą zabezpieczającą”, kontakt bezpośredni bez wcześniejszego zasygnalizowania. Zjawili się w klasztorze. Znali kod postępowania w nagłym przypadku, to było widać, nie miałem powodu im nie ufać ani o cokolwiek ich posądzać. Treść wiadomości nie wzbudzała podejrzeń: trzeba było działać szybko, Saxon jechał tu, żeby mnie zabić, wyeliminował już wielu agentów, Saxon jest mordercą! Zgodnie z rozkazem miałem go powstrzymać. I w tym przypadku wszystko wydawało się jasne... Nagle nastąpiła całkowita zmiana. Ci dobrzy stali się złymi... Wczoraj wieczorem przypadkiem znalazłem się u siostry Balturniana, jej mężem jest jeden z członków Klubu Ararat, pan to zna pod nazwą „Airways” — uściślił Tolstoj. — Krótko mówiąc, byłem tam właśnie i ujrzałem „posłańca” i tę grupę... Dalszy ciąg pan już zna. Jeszcze teraz zastanawiam się, w jaki sposób udało mi się uniknąć masakry... Może po prostu dlatego, że nie znajdowałem się w rejestrze trupów, które trzeba było zostawić w tym miejscu... Siedziałem w ukryciu, potem pojechałem za nimi. Widziałem, jak wykończyli jeszcze inną rodzinę, a potem Balturnianów. Wtedy pojąłem, że likwidowali cały Klub, wszystkich jego członków, jednego po drugim. Nie rozumiem dlaczego, nie miało to żadnego sensu, a że dwóch pozostało na miejscu, chciałem to wykorzystać, zmusić ich do mówienia. Potem zobaczyłem pana wychodzącego z obory, ale nie wiedziałem, że to pan. Nie wiedziałem też, co mam robić, byłem zupełnie oglupiały, a najgorsze było to, że przewróciłem się o trupa mordercy w stodole! Ale właśnie wtedy zrozumiałem, że jest jeszcze ktoś inny, kto nie stoi po ich stronie. Dalszy ciąg jest już jasny. Przeszedłem tyłem, od strony spizarni. Była tam cała rodzina Balturnianów, wszystkie ciała ułożone w stos, także ciało psa; Balturnian miał przypaloną twarz i ręce... Usłyszałem pana głos, pana i tego mordercy, słyszałem, o czym rozmawialiście. W pewnym momencie pomyślałem, że pan go zaraz zabije, chciałem temu przeszkodzić, ale ten idiota... - westchnął. - No, w końcu, nic nie szkodzi, na pewno wyciągnął pan z niego wszystko, co można było wyciągnąć. Jestem tego pewien.

Milczenie.

Tolstoj powoli podniósł wzrok na Devesa.

- To tyle - powiedział, a głos miał tak samo zmęczony jak oczy. - Niezłe, co? - Tak naprawdę nie oczekiwał odpowiedzi. - Jak pan myśli,

czy to wszystko pasuje do tego, co pan o mnie wiedział? - spytał w końcu. - Do tego, co Avarone mówił panu o mnie?

- Nie.

- Nie? - powtórzył Tołstoj nieszczerze zdziwiony.

- Nie - powiedział Michael.

Tołstoj patrzył na niego w milczeniu, zastanawiał się.

- Nie - powiedział cicho - pewnie, że nie. - Przez chwilę o czymś myślał, potem uśmiechnął się smutno. - Podłożyliśmy się, stary. Obaj. Daliśmy się zrobić na szaro i na lyso. Wszystko było tak ustawione, żeby Saxon i Tołstoj się spotkali, żeby ich kontakt wywołał pożądany efekt. Cała pańska misja miała tylko ten cel. Jeśli przyjechałby pan przed nimi, gdybym nie zaskoczył ich u siostry Balturniana, prawdopodobnie bym pana zabił. A potem oni zabiliby mnie. Znalezione by nas razem, to znaczy gliny i KGB znaleźliby nas razem, nas obu razem... z Zofią - przerwał, jak gdyby bez reszty zaabsorbowany tą myślą.

- Kto to jest Zofia?

- Zofia? - spytał Tołstoj jakby nieprzytomny. - Proszę się nie obawiać, ujrzy pan ją... - wpatrywał się w ciemność panującą w domku. - Cóż to za draństwo, coż to za cholerne, obsrane draństwo!

Deves, coraz bardziej poruszony, zaprotestował słabym głosem.

- Dlaczego...? Dlaczego mieliby likwidować całą siatkę, przecież to nonsens! Jeśli cel miałby być taki, jak pan mówi, nie muszą wszystkich zabijać, poświęcać „Airways”!

- Muszą. Żeby uwiarygodnić pańskie działanie i całą resztę. W pańskich oczach, ale nie tylko.

- To zupełna bzdura!

- Nawet większa, niż pan myśli.

Deves stracił wątek.

Tołstoj obserwował go, potem powiedział cicho:

- Nie rozumie pan?

- Co mam rozumieć?

- Nie zastanawiał się pan, dlaczego Balturnian tak właśnie zareagował na pański widok?

- Nie rozumiem...

Tołstoj popatrzył na Devesa, jakby zwątpił, czy będzie on w stanie pojąć to, co za chwilę usłyszy. W końcu zdecydował się:

- „Airways” nie istnieje.



- Co pan mówi?

- „Airways” nigdy nie istniał. Nie ma takiej siatki. Nie jestem i nigdy nie byłem szefem jakiegokolwiek siatki.

- Pan chyba bredzi!

- Nie, nie sądzę. Moje kontakty ze służbami specjalnymi szły przez Avarone'a albo jego ludzi, których nie znałem. Nigdy przed pana przybyciem nie słyszałem o „Airways” ani o jej sekcjach w Kijowie i Leningradzie.

- Ależ to zupełny obłąd!

- Zgadza się, ale tak jest - odrzekł Tołstoj z lekkim zniecierpliwieniem. Po chwili opanował się. - Taki jest świat Avarone'a - dodał zamiast wyjaśnienia. - Świat Avarone'a i jemu podobnych. - Tołstoj zamilkł na chwilę, jakby chciał dać oszołomionemu Devesowi czas na pogodzenie się z tą myślą. - Niech się pan zastanowi - mówił dalej wzburzony, nie patrząc na Michaela. - Balturnian nie kłamał, gdy twierdził, że nie rozumie nic z tego, co pan do niego mówił. Wbrew temu, co pan myślał, nie mógł rozumieć, tak rzeczywiście było!

- Ale dlaczego oni...? - wybełkotał Michael.

- Nie wiem...

- Nawet nie pozwolili mi się wytłumaczyć! Tak jakby wiedzieli, kim jestem i po co przyjechałem... a poza tym bali się mnie!

- Może mordercy już wystarczająco ich przestraszyli... - powiedział cicho Tołstoj, jakby rozmyślał na głos. Znieruchomiał. - Nawet nie „może”, ale na pewno! To jedyne wyjaśnienie: wiedzieli! Wiedzieli, jak przestraszyć Balturniana, dobrze znali ten mechanizm! Dzięki mnie!

- Na litość boską! Wartan, o czym pan mówi? - wykrzyknął Michael.

- Gospodarstwo Balturniana - rzekł szybko Tołstoj - pracowało dla niewielkiej wytwórni mięsa i produktów mlecznych w Aprelewskiej. Nie jest to zwykła wytwórnia: osiemdziesiąt procent produkcji przeznaczone jest dla jadłodajni Komitetu Centralnego partii w Moskwie. Pracował tam syn Balturniana... Był w zмовie z dyrektorem i defraudował ponad połowę produkcji. Część sprzedawano po niskich cenach kilku członkom społeczności ormiańskiej zamieszkałej tu w okolicy, resztę zaś, po wysokich cenach, na targowiskach stolicy. Forsa służyła na zakup broni i amunicji dla grupy samoobrony

przeciw Azerom w Górnym Karabachu. Balturnian miał tam rodzinę... Teraz pan rozumie? Nie mieli trudności z przestraszeniem go... I nagle zjawia się pan, w dodatku z legitymacją KGB... Niech pan się postawi w jego położeniu. - Deves nie reagował. - Nie twierdzę, że wiem, co tu się wydarzyło. Ale mogło się zdarzyć tak: ludzie Avarone'a wiedzieli o działalności Balturniana, ja ich o tym poinformowałem... Chcieli wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w Aprelewskiej, o mojej pracy, moich znajomych. Dla mojego bezpieczeństwa, twierdzili, a ja im wierzyłem; to wszystko wydawało się rozsądne, nawet bardzo rozsądne. Tak więc nie dziwiłem się, gdy zainteresowali się Klubem Ararat. To tutejsze koło rybaków i myśliwych - wyjaśnił. - Nic ponadto... Powiedziałem im, że do niego należą, wtedy poprosili, żebym zebrał jak najwięcej informacji na temat jego członków, ale nie wszystkich, tylko tych pochodzenia ormiańskiego lub żydowskiego. Sądziłem wtedy, że chcieli zorientować się w możliwościach werbunku, zrobiłem więc, o co prosili. Balturnian był członkiem klubu, tamci czterej także, ci pańscy niby agenci - wzruszył ramionami. - To ich jedyna wspólna działalność... Jak najbardziej tajna i wywrotowa, w najwyższym stopniu.

Milczenie.

Przez chwilę obu opanowało coś w rodzaju umysłowego bezdechu. Musieli odczekać chwilę, zanim znów mogli mówić. Tołstoj odezwał się pierwszy:

- Wiem, że to wydaje się niedorzeczne, zupełnie niedorzeczne nawet, ale taka jest rzeczywistość. „Airways” nie istnieje. Ta siatka nigdy nie istniała. - Zamilkł na chwilę. - Rozumie pan? - Znowu chwila milczenia. - Od początku panem manipulowali. Podłożyliśmy się im, zarówno pan jak i ja, w tej cholernej operacji Avarone'a.

Michael siedział jak skamieniały.

Dźwięczały mu w głowie słowa potwierdzające to, co powiedział Tołstoj: ostatnia wiadomość Avarone'a... Jego wyrzuty sumienia... „przepraszam”... Był coraz bardziej oszołomiony.

- To nonsens... - powiedział cicho. - Po co likwidować siatkę, która nie istnieje?

- Odpowiedź zawarta jest w pytaniu.

- Żeby zaistniała.

Tołstoj przytaknął ruchem głowy.

- A poza tym? Zabijając, wskazują ich sowietom, obciążają ich w

oczach sowietów. Ci niewinni ludzie, gdy są już martwi, nabierają znaczenia, jakiego nigdy nie zdobyliby ani dłużej nie utrzymali, gdyby pozostali przy życiu... Gdy są martwi - istnieją jako agenci. I wszystko gra! Dlaczego zadali sobie trud spalenia twarzy, palców, wypalenia blizn, nawet wyrwania zębów - widziałem to u Balturniana. Dlaczego, jeśli nie po to, żeby nie można było ich zidentyfikować z całą pewnością, żeby była jakaś wątpliwość co do ich tożsamości, aby nawet drobny ślad zabiegu u dentysty czy operacji chirurgicznej nie mógł dostarczyć najmniejszej informacji i aby w ten sposób uwiarygodnić podejrzenie, że byli tajnymi agentami. Nawet fakt, że byli Żydami czy Ormianami nie był w tej sytuacji bez znaczenia... Zabili tych niewinnych ludzi właśnie dlatego, że byli niewinni. Dlatego, że nic nie wiedzieli.

- Poczynając od dzieci - zamruczał do siebie Michael.

- Co? Tak, oczywiście. Wszystko albo nic. Nie mogli dopuścić najmniejszego ryzyka, że coś się nie uda. Albo też chcieli zrobić wrażenie, że przedsięwzięli wszelkie środki ostrożności. To czyni całą sprawę bardziej zagadkową. Poza tym takie okrucieństwo jest zupełnie niezrozumiałe... To okropne, lecz skuteczne... - przerwał. - No i w końcu my dwaj. Saxon i Tołstoj. Zabójca i zdrajca. Ostatnia sekwencja mająca uwiarygodnić „Airways”... Nasza śmierć, śmierć nas obu.

Tołstoj znieruchomiał, po chwili wolno zdjął okulary, jakby przeskadzały zrozumieć myśli, które mu właśnie przyszły do głowy.

Michael obserwował go bez słowa, przyjmując jego milczenie jak dobrodziejstwo.

W końcu wynurzył się z osłupienia. Jego niepokój był teraz innego rodzaju. Czuł, że Tołstoj ma rację, lecz jednocześnie zdawał sobie sprawę, że wszystko, co mu powiedział - taka wersja wydarzeń - jest raczej pasmem domysłów... A jednak to była prawda! Wydawało się, że Tołstoj nie ma najmniejszej wątpliwości. Najmniejszej! Tak jakby poza tym wszystkim było jeszcze coś innego, o czym on nie miał pojęcia, ale czego Tołstoj był świadomy i to dodawało mu pewności siebie.

Co to było?

Zastanów się. Co jest celem tego wszystkiego? Zmylić wroga. Zmylić go co do rzeczywistej siły. Sprawić, aby uwierzył w fałszywą siatkę lub w siatkę o większym znaczeniu niż w rzeczywistości. Aby

uwierzył, że wszędzie są agenci? Albo też ujawnić mu fałszywą siatkę po to, aby ochronić prawdziwą?

Zdał sobie sprawę, że nic teraz nie wymyśli, postanowił więc podzielić się z Tołstojem wątpliwościami.

- Tak, może tak jest - odpowiedział Tołstoj w zamyśleniu. Nie włożył okularów. - Może jest w tym część prawdy, nie wiem... Ale ma pan rację, jest coś innego. - Zamilkł. - Moja śmierć, gdyby nastąpiła, pociągnęłaby za sobą pewne konsekwencje. Konsekwencje bardzo dla nich groźne, zwłaszcza wobec wszystkiego, co się wydarzyło. Wiedzieli, że moja śmierć nieuchronnie pociągnie to za sobą... Nie rozumiem - potrząsnął głową, z taką miną jakby rzeczywiście czegoś nie rozumiał. - Od prawie dziesięciu lat robili wszystko, aby to się nie wydarzyło, przedsięwzięli niewyobrażalne środki bezpieczeństwa, aby do tego nie doszło. Ja także. To była moja misja. Czuwać nad nią, chronić ją przed wszystkim i wszystkimi. Dziesięć lat... Avarone zapewnił mnie, że nie będę tego żałował, że otrzymam wynagrodzenie większe niż się spodziewam, wzięwszy pod uwagę usługi, jakie już oddałem, moje poświęcenie... Dużo większe. Tak, dużo większe - powtórzył nieco ciszej. Oprzytomniał, popatrzył na Devesa z ciekawością, jakby z góry brał go na świadka absurdalności tego, co zaraz powie, jakby Michael był w stanie już to osądzić. - A teraz, teraz z nieznanых powodów wszystko zmienili, wszystko! Idiotyczne... - Włożył okulary i stopniowo zaczynał dostrzegać obecność Devesa. - Jeśli umrę, skutek będzie taki, że Zofia wpadnie w łapy sowietów. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tego chcą, nie rozumiem...

Milczenie.

- Kto to jest Zofia? - wyszeptał Michael. Tołstoj siedział nieruchomo.

- Dziecko Avarone'a - powiedział.

- Co?

- To on chciał, żeby ją nazwać Zofią... Tołstoj i Zofia, prawdziwa para, mówił... Stary ramol! - głos drżał mu z gniewu. - Co za cholerny stary ramol! - Opanował się. - Ale na razie jeszcze jej nie mają. Umieściłem ją w bezpiecznym miejscu, podwójnie zabezpieczonym. Zwykła rzecz. Jestem do tego upoważniony. Nawet bez rozkazu... Ciągłe tam jest...

- Wartan, o czym pan mówi? - krzyknął Michael nie mogąc już się opanować. - Kto to jest Zofia?

Tołstoj patrzył na niego z tajemniczą miną.

- Proszę pójść zé mną - rzekł. Wstał i podszedł do drzwi. - Chce pan ją zobaczyć? - spytał odwracając się do Devesa, który nie ruszał się z miejsca. - No, niech pan idzie!

Otworzył drzwi i wyszedł.

Oniemiały Michael dogonił go już na zewnątrz i poszedł za nim do składziku przylegającego do domu. Tołstoj kazał mu zostać na progu, sam zaś zagłębił się w ciemności. Podszedł do swojego motocykla. Deves usłyszał, że szuka czegoś w jednej z toreb. Po chwili rozbłysło światło silnej latarki, rozplaszczyło się na ziemi, wydłużyło, uciekło dalej, w końcu spoczęło na tyle pogrążonej w ciemności półciężarów-ki. Półciężarów-ki sowieckiej marki, koloru kremowego, dość zniszczonej.

- Niech pan tu podejdzie - rzekł Tołstoj i zbliżył się do samochodu.

Otworzył ze zgrzytem tylne drzwi i skierował światło latarki na stertę pustych skrzynek.

- Proszę mi pomóc - powiedział i zaczął zdejmować skrzynki.

Gdy skończyli, Tołstoj wszedł do wozu i poprosił Michaela, aby pomógł mu zwinąć i odsunąć na bok gumową wykładzinę samochodu. Gdy już to zrobili, skierował latarkę na otwarte wnętrze półciężarów-ki i oświetlił cylinder koloru brunatnego, długości około dwóch metrów, o średnicy pięćdziesięciu centymetrów. Zwykły plastikowy cylinder - pomyślał Michael - obłożony starymi szmatami, w trzech miejscach przyczepiony rzemieniami do szkieletu półciężarów-ki.

- Oto Zofia - powiedział po prostu Tołstoj.

Popukał palcem w cylinder, jakby pukał do drzwi; przez chwilę Michael myślał, że cylinder otworzy się i ktoś z niego wyjdzie. W ciemnościach poszukał wzrokiem Tołstoja i spytał:

- Co to jest?

- Bomba termojądrowa o mocy stu pięćdziesięciu kiloton.

Wrócili do domku rybackiego i grzali się w ciepłe kominka. Słuchając w ruchomym świetle płomieni spokojnego głosu Tołstoja, Michael miał przez moment jakieś nierealne uczucie, że słucha opowiadania

tajemniczego podróżnika, który nigdy już nie otrząśnie się po spotkaniu z jakimś niewiarygodnym potworem.

- Zanim przysłali mnie tutaj, do klasztoru Zaśnięcia Matki Bożkiej, kazali mi jechać do Erewania. Potem zająłem miejsce ormiańskiego Żyda, który prowadził ten interes, udawałem jego siostrzeńca. Nie wiem, jakiego rodzaju stosunki łączyły go z ludźmi z Komitetu Centralnego, ale mogę panu powiedzieć, że były doskonałe. Wszyscy wyglądali na zadowolonych, ucieszyli się, że to ja będę dalej prowadził ośrodek, tak jakby chcieli, aby wszystko pozostało w rodzinie. Ormianin przez kilka miesięcy wprowadzał mnie w interes, po czym wyjechał i nigdy już go nie ujrzałem. W rok później pojawiła się Zofia. Przyjechała w częściach. Było sześć kolejnych dostaw. Na koniec jakiś człowiek przyjechał ją złożyć.

- Tak zwyczajnie? - zdziwił się Michael.

- Co?

- Tak po prostu ją złożył?

Tolstoj zrozumiał, o co mu chodzi.

- Nie zna się pan na tym za bardzo, prawda? - spytał. - Ja też byłem zaskoczony, ale tak się stało. Nie zabrało mu to nawet jednej doby. Miał tylko bawełniane rękawiczki i zwykłą maskę spawacza. Pluton i uran 235 w formie stałej nie stanowią, zdaje się, wielkiego niebezpieczeństwa. Ryzyko istnieje jedynie wtedy, gdy wdycha się pył metaliczny, co zawsze może się zdarzyć, on jest radioaktywny. Dlatego niezbędna jest maska. Ten człowiek mówił jednak, że może się bez niej obejść. - Zamilkł na chwilę, zamyślił się, po czym kontynuował: - Pięć lat temu zjawił się inny facet. Tym razem chodziło o konserwację. Wymienił zapalnik i zbiornik trytu. Zapalnik dostarcza energii do wywołania eksplozji - wyjaśnił - tryt zaś jest gazem, który wzmacnia wybuch, przyspiesza rozszczepienie. Kłopot polega na tym, że zapalnik z czasem zużywa się, a tryt przekształca się w hel. Bez zapalnika wybuch nie jest możliwy, a bez trytu nie jest to już bomba H, lecz zwykła bomba A. Dlatego trzeba wymieniać. Zgodnie z planem powinno to nastąpić w tym roku. Poza tym sprawa jest stosunkowo prosta. Niecałe dwieście kilo, nie wymaga specjalnej konserwacji, zimno jej nie szkodzi, nie da się jej wykryć, transport jest łatwy i bezpieczny. W sumie zupełnie niewinna. Przez większość czasu całkiem o niej zapominam. - Zamilkł. - Wcale o niej nie myślę - powtórzył jakoś dziwnie, jakby to sobie wyrzucał.

Deves popatrzył na niego i zapytał:

- W każdej chwili można ją uruchomić?
- Nie.
- Kto może to zrobić? Pan?
- Nie. Musi być sygnał.
- Jaki sygnał?
- Sygnał satelitarny.
- W klasztorze jest antena satelitarna?! - wykrzyknął Deves.
- Nawet dwie - odpowiedział Tołstoj z uśmiechem. - Dwie małe,

każda ma trzydzieści centymetrów średnicy. Gdy tu przyjechałem, już były - znowu uśmiechnął się na widok osłupiałej miny Devesa. - Dwie cebulki na budynku, w którym mieszkam, są plastikowe. W rzeczywistości to kupa anteny.

Tołstoj szczegółowo opisał instalację, która wcale nie była skomplikowana. Pierwsze urządzenie, rozmiarów niewielkiego tunera, stanowiące odbiornik i zarazem demodulator, umieszczone zostało w dachu jak najbliżej anteny. Wychodził stąd kabel ukryty w sztucznej instalacji, który ciągnął się aż do dekodera wewnątrz bomby ukrytej w podziemnym garażu.

W praktyce, gdyby chciano uruchomić mechanizm, rzecz potoczyłaby się w następujący sposób: sygnał na częstotliwości mikrofalowej dziesięć tysięcy megaherców, nadany z jakiegokolwiek punktu kuli ziemskiej, zostałby wychwycony i wzmocniony przez satelitę. Satelita, zanim go przekaże, nadaje w systemie „sport”, to znaczy zamiast nadawać na całe terytorium sowieckie we wszystkich kierunkach, w odpowiedniej chwili ogarnia tylko pewną ograniczoną przestrzeń wielkości połowy Francji, wokół miejsca, w którym znajduje się bomba. Taka z tego korzyść, że ograniczenie potrzebnej energii pozwala stosować bardzo małe anteny odbiorcze. Skoro tylko „sport” przybiera określoną formę, co trwa zaledwie kilka sekund, satelita przekazuje sygnał z prędkością światła. Czas trwania sygnału jest mniejszy od jednej setnej sekundy. Sygnał jest doskonale uchwytny. Po dotarciu do klasztoru zostaje zdemodulowany, inaczej mówiąc przetransponowany na kilkaset elementów binarnych, które stanowią rozkaz odpalenia, oczywiście zakodowany, a nawet sygnowany, aby była pewność, że źródło nadania jest prawdziwe. Dekoder umieszczony w bombie interpretuje rozkaz i przetwarza go w impuls elektryczny włączający mechanizm odpalenia.

- I wtedy pan wylatuje w powietrze? - spytał Michael, gdy Tolstoj zakończył swą opowieść.

- Nie, urządzenie działa z opóźnieniem. Jedna godzina, jeśli wybuch ma nastąpić tu, na miejscu, trzy godziny, jeśli ma to nastąpić w Moskwie. W pierwszym przypadku zapala się zielone światło, w drugim - czerwone.

- Na bombie?

Tolstoj przytaknął ruchem głowy.

- Jak pan się o tym dowiaduje?

- Drugi sygnał następuje od razu po pierwszym i słychać go na mojej aparaturze radiowej. Jest przerobiona, ma takie same świetlne wskaźniki.

- A kiedy nie ma pana w domu? - spytał Michael z przestrachem.

- Zawsze tu jestem.

- A gdy jest pan gdzieś dalej?

- Drugi sygnał włączy po kwadransie alarm dźwiękowy, którego nie mogę nie usłyszeć. Wszystko zostało przewidziane. Wszystko. Absolutnie wszystko - powtórzył Tolstoj, patrząc w jakies nieokreślone miejsce, tak jakby znowu szukał, już po raz ostatni, jakiegoś niedociągnięcia w tym systemie; tak naprawdę jednak był przekonany, że skoro upłynęło tyle lat, nie było żadnego niedociągnięcia. - Muszę sprawdzić, czy wszystko w Zofii działa, a jeśli nie, mam możliwość uruchomić ją ręcznie. Jednak możliwe jest to tylko przy zastosowaniu zapisu drugiego sygnału. Może podaję panu za dużo szczegółów... To wszystko ze względów bezpieczeństwa, abym nie mógł sam, z własnej inicjatywy uruchomić mechanizmu odpalającego. W takim przypadku włączam mechanizm zgodnie z kolorem światelka sygnalizacyjnego, a czas do wybuchu pozostaje taki sam, co daje możliwość odejścia na bezpieczną odległość... - przerwał na chwilę. - No i teraz, wzięwszy pod uwagę wszystko, co się wydarzyło, zastanawiam się, czy po prostu nie wybuchnie mi nagle w pysk.

Popatrzył na Devesa, jakby chciał dowiedzieć się, jakie jest jego zdanie. Ale Deves nie miał żadnego zdania.

- Nigdy pan nie opuścił klasztoru?

- Nie.

- Przez dziesięć lat?



- Z wyjątkiem kilku koniecznych podróży do Moskwy, nie - odpowiedział Tolstoj z gorzkim uśmiechem. - Mogła wybuchnąć podczas mojej nieobecności, przynajmniej byłem bezpieczny... Natomiast za każdym razem, gdy wracałem, oblewał mnie zimny pot, bo gdyby odpaliła w czasie, gdy zbliżam się do domu, nie wiem, czy miałbym czas na ucieczkę...

- Mógł pan przecież zachorować, ulec jakiemuś wypadkowi!

- Wiem, owszem... Avarone powiedział, żebym się tym nie przejmował - rzekł Tolstoj z jeszcze bardziej cierpkim wyrazem twarzy. Zrobił grymas, który miał dać Devesowi do zrozumienia, aby się nie trudził. - Wszystko przewidzieli - zapewnił. - I to, i inne rzeczy. Powiem panu jedno - podjął ze wzrokiem utkwionym w ciemności - jeśli istnieje piekło, Avarone na pewno tam jest. I jeszcze coś panu powiem: nie ma dla niego ratunku.

Nastąpiła cisza.

Dwaj mężczyźni obserwowali się nawzajem przez chwilę, po czym odwrócili wzrok, tak jakby wyczytali w swoich oczach, że obaj są równie samotni i zagubieni.

Deves odezwał się pierwszy. Spytał cicho:

- Co ma pan zamiar zrobić?

Tolstoj popatrzył na niego, wreszcie odpowiedział:

- Zwiąć - powiedział. - Zniknąć. W każdym razie spróbować.

- Rozumiem.

- Myśli pan, że mam wybór?

- Nie, nie sądzę - odrzekł Michael. Krótkie milczenie.

- Powinien pan postąpić tak jak ja.

- Tak.

- Co stoi na przeszkodzie?

- Nie mogę.

- Nie może pan?

- Chodzi nie tylko o mnie, mówiłem już panu.

- Niech pan ją weźmie ze sobą! W czym problem?

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Wolę o tym nie mówić. Dobrze?

- Zgoda.

- Powiedzmy, że mam wystarczający powód. Tolstoj przyglądał mu się z zakłopotaniem.

- Wyobraża pan sobie, że ma pan jakieś szanse, sam przeciw nim? Co?

- To nie ma znaczenia.

- Nie ma znaczenia?

- Nie - zapewnił Michael. - Naprawdę nie.

Tołstoj był bardzo zdziwiony. Po chwili sposępniał i tonem dającym do zrozumienia, że Deves nie powinien sobie robić żadnych złudzeń, powiedział:

- Nie pomogę panu, mój drogi.

- Nie proszę pana o to.

- To dobrze, bo...

- Powiedziałem już, że rozumiem - przerwał Michael.

Tołstoj zamilkł i ciągle na niego patrzył. Potrząsnął głową, jakby nie starał się już czegokolwiek zrozumieć.

- Pan rzeczywiście jest jedyny w swoim rodzaju. Deves nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- O co chodzi?

- Nie, o nic. Avarone także mi to powiedział.

Tołstoj znów zamilkł. W końcu rozejrzał się, jak ktoś, kto ma zamiar zaraz wyjść i nie wie, co powiedzieć, więc tylko upewnia się, że niczego nie zapomniał. Jego spojrzenie spoczęło na płóciennej torbie, którą zabrał z półciężarówki.

- Ma pan zamiar posłużyć się Zofią? - zapytał zamyślony.

- Nie wiem. Może tak... Dlaczego?

- Powinien pan - powiedział Tołstoj nie patrząc na niego. - Nie wiem, w jaki sposób, ale powinien pan.

- Tak - zgodził się Michael, ale on także nie wiedział, w jaki sposób mógłby to zrobić.

- Trzeba to przemyśleć i tyle.

- Tak.

- W każdym razie nie należy jej tu zostawiać... Jest pewne miejsce w Moskwie, gdzie mógłby pan ją na razie ukryć.

Tołstoj podał adres garażu wynalezione go na wypadek rozkazu odpalenia bomby w Moskwie.

- Zdawało mi się, że to najpewniejsze miejsce - powiedział. - Zabawne, co? Klucz jest w samochodzie. Nikt tego miejsca nie zna. - Zamilkł. - I niech pan tego nie zapomni - rzekł pochylając się, aby podnieść płócienną torbę.

Wyjął z niej stalową kulę wielkości małego melona, z zaworem redukcyjnym.

- To panu pomoże uruchomić Zofię. - Podał Devesowi kulę. - To jest główny zbiornik trytu... Powinienem go ukryć.

Michael zważył w ręku kulę, ważyła chyba około kilograma, potrząsnął nią, wydawała się pusta.

- Dwadzieścia pięć gramów trytu pod ciśnieniem - wyjaśnił Tołstoj i natychmiast się poprawił: - Tyle było na początku. Teraz połowa to hel.

- To niebezpieczne?

- Jeśli się wdycha, śmiertelne. Jest radioaktywny. Ale trzeba tam wetknąć nos... - Wziął kulę z rąk Devesa i włożył do torby. - Póki co, nie ma niebezpieczeństwa, proszę się nie niepokoić.

Michael popatrzył na torbę, zastanowił się.

- Jeśli mam to - powiedział - to znaczy, że mam także bombę, prawda?

Tołstoj skinął głową.

- Tak to można ująć. Jedno bez drugiego nie istnieje. Jak sierp i młot.

Michael wreszcie odzyskał spokój. Tak jakby wszystko znowu nabrało sensu.

Tołstoj wyjechał tuż przed świtem. Po jego odjeździe Michael długo się zastanawiał. Nie wszystko było dla niego zrozumiałe, wiedział, że nie uda mu się tego wyjaśnić, i nawet nie próbował. Jednak na niektóre pytania znalazł odpowiedzi i na razie to mu wystarczało.

Wiedział już teraz, co było „stykiem końcowym”. Zofia.

Wiedział, że prawdziwym celem jego misji jest oddanie tej bomby w ręce sowietów. A przede wszystkim rozumiał, że droga prowadząca do Zofii, ta zagmatwana droga usiana trupami, była tak samo ważna jak cel; że trudność tej drogi także miała znaczenie, nadającą prawdziwą wartość końcowemu odkryciu: Nie chcieli d a ć tej bomby sowietom, chcieli, aby sowievi ją z n a l e ź l i . A to co innego! Żeby nie było łatwo jej znaleźć, aby mieli wrażenie, że zrobiono wszystko, by im przeszkodzić.

I właśnie do tego miał posłużyć on, Saxon. On i wszyscy niewinni zabici z „Airways”. Nie wiedział, jaki cel przyświecał tej operacji.

Wątpił, czy w ogóle jakikolwiek cel może usprawiedliwić taki chaos - ale nie miał już wątpliwości co do znaczenia Saxona. Najmniejszej wątpliwości. „Saxon równa się Norymberga”, napisał Avarone.

Widział też, że jego śladami podążają już nie tylko KGB i ludzie z DGSE, ale także nowy, nieznany wróg. Wróg wśród Francuzów? Silny, niezależny, najgłębiej utajniony, który nie wiedząc o rozkazie zlikwidowania Saxona narzucił swą wolę funkcjonariuszom francuskich służb specjalnych i ze swej strony także zarządził jego natychmiastowe unieszkodliwienie. A to z powodów jemu tylko wiadomych, powodów, które Deves był w stanie teraz pojąć: Saxon zszedł z właściwej drogi i poszedł nie tam, gdzie trzeba. Tym samym mógł odkryć - co w końcu uczynił - że „Airways” nie istnieje, że ta siatka, jego misja, to wszystko, to jedynie czeze słowa...

Czeze słowa wymyślane tylko po to, aby w nie uwierzono!

KGB, DGSE, a teraz jeszcze ci... Przecież to śmieszne. Jesteś martwy, myślał, i uśmiechał się do tej myśli. Teraz, gdy sobie to powtarzał, wbrew wszelkim oczekiwaniom myśl ta przyniosła mu spokój. Przynajmniej wszystko było jasne i na swoim miejscu.

Wpisane w porządek rzeczy.

Nawet myśl, że jego śmierć na końcu misji została świadomie zaprogramowana, nie wzbudzała w nim buntu. W jakiś sposób to rozumiał. Czuł oczywiście pewien niesmak, ale w głębi duszy rozumiał. Ci, którzy wymyślili Saxona, nie byli tak bardzo winni, Avarone także nie: zaprogramowana likwidacja Saxona w rzeczywistości nie była zaprogramowana, bo przecież i tak musiał umrzeć...

Co mi innego w końcu pozostało, powiedział cicho. Jak możesz tak reagować, spytał siebie samego. Jak możesz tak łatwo akceptować los, tak biernie, i nie odczuwać żadnej urazy? To łatwe, odpowiedział sobie, akceptuję go. Akceptuję, bo nic innego nie mogę zrobić. Cóż innego mógłbym zrobić? Powiedz mi, co mógłbym jeszcze zrobić? Jesteś człowiekiem martwym! Tak! Wiem! Ale na miłość boską, co to zmienia? Użyli cię, gdy byłeś żywy, kiedy byłeś w dobrej formie, wykorzystali cię do końca. Spustoszyli twoje życie, czyżbyś już zapomniał? I jakby im jeszcze tego było mało, posunęli się aż do wykorzystania twojej śmierci. Zawsze się tobą wysługiwali. Nie zostawili ci nic twojego w całym życiu, nic a nie! Pomyślałeś o tym? Dobrze, jesteś chory, zgoda, umrzesz. Zgadzam się z tobą, że w jakiś sposób nie są tak bardzo winni; przyznaję, że są tacy jacy są i po prostu- tylko

wykorzystali to, co uczyniło z ciebie istotę jedyną - unikalny instrument. Przyznaję, że to są wymogi gry, że z powodu takiej właśnie a nie innej gry nie mieli prawa rezygnować z ciebie, z tej twojej przewagi; powiem nawet więcej, zakładam, że stawka gry usprawiedliwia to wszystko... ale mogli ci przecież o tym powiedzieć, mogli przynajmniej powiedzieć i choć raz, ten jeden raz, pozostawić ci wybór! Nie sądzisz? I w końcu do czego to doprowadziło? Możesz mi powiedzieć? Czemu służyłeś? Obronie wolnego świata, walce Zachodu ze Wschodem, czy tak? Nie mów mi, że wierzysz jeszcze w te wszystkie głupoty! Idee nie istnieją, idee to ułuda, tylko ludzie są realni, są tacy sami po tamtej jak i po tej stronie. Obydwa obozy są siebie warte i dobrze o tym wiesz. Nieprawda! Nieprawda? Pomyśl o Zofii. Pomyśl o tych niewinnych ludziach z „Airways”. Tak, pomyśl o zmasakrowanych dzieciach i powiedz, czy te oba obozy nie są siebie warte. Pomyśl o wnuczce Tczenki, pomyśl o wszystkich innych, pomyśl o nich i powiedz, że to nieprawda. Powiedz, czy masz pewność, że umierasz dla tego obozu co trzeba.

- No, powiedz! - rozkazał cicho. - Mówię do siebie - stwierdził przygnębiony.

Dobry Boże! Mówię do siebie! Od kiedy mówię do siebie, spytał w duchu, ogarnięty coraz większą paniką. Boże, czy to właśnie to świństwo? Czy to świństwo już zżera mi mózg? Czy mówię od rzeczy? Wariuję?

Starał się opanować ogarniającą go panikę. Znieruchomiał wstrzymując oddech w oczekiwaniu jakiejś odpowiedzi, która przyniosłaby ulgę. Ale żadnej odpowiedzi nie było. Był tylko on, cisza, półmrok panujący w domku, chłodne poranne powietrze, zapach wilgotnych belek i palącego się w kominku drewna. Była tylko krew przepływająca przez skronie, pulsująca. Słuchał tego pulsowania, czuł je, w końcu napełniło go odrazą i przytłoczyło. To co słyszał, to nie była jego krew, lecz śmierć, która tak pulsowała w jego czaszce, karmiła się nim. Odrażająca wizja nowotworu wywołała mdłości. Poczul, że zaraz zwymiotuje. Ogarnęła go rozpacz.

Szybko wyszedł na zewnątrz.

Przejął go chłód; czuł jak powleka mu twarz, ręce, czuł zimno przez ubranie tak intensywnie, że aż zdawało mu się, że staje się

cięższy. Zadrżał; miał wrażenie, że śmierć wycofuje się z niego zaskoczona, odchodzi pozostawiając go znowu panem samego siebie.

Zaczerpnął powietrza ciągle drżąc, zatrzymał lodowate powietrze w płucach. Zimno było jego sprzymierzeńcem, powietrze także, i uroda wstającego dnia. Chłonał więc to zimno, powietrze i piękno dnia, chłonał duszą i ciałem. Słońce, jeszcze niskie, pięło się coraz wyżej. Popatrzył na ten widok i poczuł wzruszenie. Spojrzał na niebo, błękitne, z niewielkimi strzępiastymi chmurami, obok których płynęły obłoki delikatne i wysmukłe. Wspaniałe niebo, nieruchome jak namalowane morze.

Poczuł ucisk w sercu. Pomyśl o Marii, powiedział do siebie.

Jeśli cokolwiek ma jeszcze sens, to tylko to. Pomyśl o niej. Trzymaj się tego. Ty się nie liczysz, oczywiście, że ty się nie liczysz, ale myśl o niej! Ona o tobie myśli. Powiedziała, że spróbuje skontaktować się z nimi po to, aby ci pomóc. Zabiją ją. Nic nie wie! W gruncie rzeczy tak mało wie! Tak, ale oni jej nie uwierzą, pomyślą, że kłamie. Zabiją ją. Tak jak pozabijali wszystkich mniej lub bardziej zamieszanych w tę misję. Saxon sieje śmierć na swojej drodze... Cholera, nie! Powiedziałem jej, żeby siedziała spokojnie, żeby pozwoliła mi działać, żeby nie ruszała się z miejsca, powiedziałem jej przecież! Może nie jest jeszcze za późno? Może jeszcze uda ci się ją uratować! Musisz ją uratować!

Wrócił do domku.

Może nie jest jeszcze za późno, powiedział trzęsąc się z zimna. Muszę ją uprzedzić, bo jeśli nie, gotowa rzucić się w paszczę lwa! A jeśli już jest za późno, jeśli już dostali ją w swoje łapy, co zrobisz? Zastanów się. „Wyobraża sobie pan, że ma pan jakieś szanse sam jeden przeciw nim?” Nie wiem. Nie słuchaj! Zastanów się! „Powinien pan posłużyć się Zofią”. Ma rację! Nie jesteś bezbronny, masz Zofię! Musisz tylko pomyśleć, jak się nią posłużyć.

- W jak najlepszy sposób - odpowiedział głośno.

Cholera jasna! Znowu zaczynam! Znowu zaczynam bredzić! Mówię do siebie. Nie! Zastanów się. To nazywasz zastanawianiem się? Właśnie to! Tak! Przestań myśleć o sobie, pomyśl o Marii! I zastanów się jeszcze. Tak jak potrafisz. Sposób nie ma znaczenia. Zastanów się. Nie jesteś bezbronny...

- I jestem jedyny - powiedział głośno, jakby szedł z pomocą swoim własnym myślom.

Jestem jedyny, powtórzył w duchu, znowu czując pulsowanie w czaszce. I nie jestem sam, pomyślał i poczuł, że pulsowanie nasila się. Ona tu jest, we mnie. Ze mną. Nie jestem sam! Masz rację, zaakceptuj ją. Idź razem z nią, jak najbliżej niej, słuchaj jej, pozwól się prowadzić. Gdy się do niej zbliżysz, masz szansę wygrać... Wygrać co? Och, Boże, bredzę! Majaczę! Nie! Wiesz, że tak jest. Ona jest twoją jedyną szansą. Zaakceptuj ją. Nie masz już życia, nie masz nic, masz tylko ją. W niej jest siła. Czujesz ją? Nie, nie czuję. Ależ tak, czujesz. Nie kłam! Tak, czuję... Naprawdę ją czujesz? Nic nie będą w stanie zrobić przeciw takiej sile. Można zmiażdżyć tylko żywych, nie umarłych. Nie mogą pokonać twojej śmierci. Zbliź się do niej, zbliź się jak najbardziej, nie pójdą za tobą tak daleko. Nie będą mieli odwagi! Nigdy się na to nie zdobędą!

I nie zapomnij o jednym: ponieważ przegrasz, musisz spróbować wygrać. Co za głupoty! Tak, głupoty, ale na tym polega piękno całej sprawy. Nie czujesz tego? Tak, czuję. No to zaczynaj!

Deszcz lał jak z cebra. Uderzał w duży szary samochód marki „Renault” stojący z zapalonym silnikiem, zalewał przednią szybę, zakrywając mały trójkolorowy znaczek.

- Zechce pan powtórzyć, poruczniku?  
- Nie ma potrzeby, panie pośle, doskonale pan zrozumiał.  
- Niech pan jednak powtórzy!  
- Proszę wysiąść z samochodu. Muszę pana zrewidować. Później zostawi pan tutaj samochód i pójdzie pieszo do zamku. Zaledwie trzysta metrów.

Młody deputowany Francis Davlet, wiceprzewodniczący Komisji Obrony Zgromadzenia Narodowego, przyglądał się przez opuszczoną szybę doskonale opanowanemu oficerowi spadochroniarzy w ociekającym deszczem mundurze bojowym i trzem żołnierzom uzbrojonym w karabiny szturmowe.

- A jeśli odmówię, zaczniecie strzelać, tak?  
- Będziemy celować w opony, na początek.  
- Na początek! - oburzył się Francis Davlet. - Na Boga! Poruczniku, czy pan wie, do kogo pan mówi? Co to za żarty? Jesteśmy w posiadłości prywatnej, a poza tym nie ma pan prawa wydawać rozkazów przedstawicielowi państwa. Chcę rozmawiać z pańskim przełożonym. Niech pan go natychmiast zawoła. Wykonać, poruczniku!  
- Panie pośle, to miejsce od godziny zero dzisiejszej nocy zostało zaklasyfikowane jako strefa wojskowa. Stan alarmowy „3-F”. Jestem



oficerem dowodzącym ochroną tej strefy. Nawet gdyby był pan marszałkiem Francji, nic by to nie zmieniło. Proszę wysiąść z samochodu.

- „3-F”! - wykrzyknął Davlet z przerażeniem. - Co się tu dzieje?

Co to wszystko znaczy?

- Proszę pana - rzekł porucznik otwierając drzwi samochodu.

Młody deputowany wziął parasol i nie dyskutując już ani nie zadając pytań zastosował się do zaproszenia żołnierza. Był pewien, że żołnierz i tak zignoruje jego słowa. Był też pewien jeszcze jednej rzeczy: jeśli nie posłucha, żołnierz rzeczywiście do niego strzeli, celując „na początek” w opony. Davlet zrobiłby mu prezent, bo to dowiodłoby, że żołnierz dobrze wiedział, z kim ma do czynienia, i że nie jest tępym żołdakiem, lecz wręcz przeciwnie, człowiekiem inteligentnym i pewnym siebie, zdolnym do podjęcia samodzielnej decyzji, mimo że zwykle w takich okolicznościach nie ma miejsca na samodzielne decyzje. „3-F” upoważniało go do zastrzelenia bez ostrzeżenia każdego, kto zachowuje się podejrzanie.

„3-F” to górna granica bezpieczeństwa... w czasie wojny.

Kilka chwil później młody poseł, starając się omijać kałuże, szedł już sam alejką w stronę La Tour-du-Lis, niewielkiego renesansowego zamku, całkiem białego z wyjątkiem szarego dachu. Zamek stał w głębi francuskiego parku, był otoczony wysokimi murami i leżał około godziny jazdy samochodem na południe od Paryża.

Davlet przyjechał tu po raz pierwszy w życiu i nie wiedział, kto jest właścicielem posiadłości. Przybył na osobiste polecenie prezydenta Republiki. „Proszę nie zadawać pytań i nikomu nic nie mówić. Niech pan jedzie, potem zda mi pan sprawozdanie”. Davlet oczywiście nie dyskutował. Należał do grupy ludzi nazywanych przez francuską prasę „stajnią” prezydencką. Była to szóstka młodych polityków, których karierę wspomagał sam prezydent, sprawdziwszy w trakcie współpracy ich zalety i lojalność. Ze wszystkich „prezydenckich źrebaków” - bo także w ten sposób nazywała ich prasa - Davlet nie był może najwybitniejszy, ale na pewno był najbardziej lojalny. Prezydent tylko do niego żywił ślepe zaufanie.

Patrzył przed siebie poprzez deszcz siekący powietrze i wydawało mu się, że zamek wchłania i skupia w sobie całe skąpe światło dnia. Im bliżej był zamku i im bardziej przemoczony miał nogi, tym wyraźniej czuł, że opuszcza go zdziwienie i złość, a ogarnia silna ciekawość i przedziwne poczucie nierealności. Idąc samotnie w deszczu

przez opustoszały park miał wrażenie, że jest pokutnikiem, który poddaje się rytuałowi oczyszczenia, zanim dotrze do sanktuarium - choć nie wiedział jakiego. Zastanawiał się, czy obserwowano go z okien zamku.

Odpowiedź otrzymał, gdy po wejściu na stopnie szerokich schodów ujrzał stojącego w otwartych drzwiach tarasu mężczyznę, który ze smutną miną, ale i z uśmiechem zapraszał go do środka.

- Bardzo mi przykro, że zmusiliśmy pana do tego - powiedział mężczyzna.

- Mnie także przykro, generale - odrzekł Davlet, z trudem panując nad zdumieniem, znalazł się bowiem twarzą w twarz z szefem sztabu prezydenta Republiki, generałem Rogerem Frankiem Kiefferem.

Zaskoczenie wzmogło się jeszcze, gdy wojskowy wprowadził go do przestronnego salonu, gdzie trzej mężczyźni w dojrzałym wieku czekali, jak się zdawało, na niego.

- Myślę, że chyba wszystkich pan zna...

Był tam szef sztabu armii, generał Charles De Lorraine, był naczelnym dyrektorem DGSE Robert Saint-Jean oraz człowiek, którego Davlet spotkał raz czy dwa, dokładnie nie przypominał sobie gdzie, ale wiedział, że był to najbliższy współpracownik nieżyjącego już Charlesa Nevillesa, szefa francuskich służb specjalnych zamordowanego przed kilkoma tygodniami: Matthias Delange, zwany Mnichem.

Pozwolono Davletowi rozgrzać się i wysuszyć przy kominku, w którym zmieściliby się stojąc wszyscy tu obecni. Wymieniano grzeczności i okolicznościowe banały. Później poproszono Davleta, aby usiadł w dużym wygodnym fotelu, inni także rozsiedli się w fotelach i na równie wygodnych kanapach, wokół stolika zastawionego napojami.

Mnich zabrał głos.

To, co powiedział na wstępie, a także poważny ton przemowy, wywołało dreszcz zgrozy u młodego deputowanego.

- Jeszcze raz podkreślam, panie Davlet: w chwili, w której pan się tego dowie, przekroczy pan pewną linię. Linię niewidoczną, ale całkiem realną. Nie będzie już powrotu... Szczerze mówiąc, w rzeczywistości już pan tę linię przekroczył. - Chwila milczenia. - W każdym

razie, niech pan wie jedno: nie musi się już pan martwić o swoją przyszłość.

- „W każdym razie” - powtórzył z naciskiem Davlet. - Co to właściwie znaczy?

- Myślę, że to całkiem jasne, czyż nie?

- Żałuję, ale nie.

- Będzie pan jednym z gestorów bardzo szczególnej operacji, panie Davlet - rzekł Mnich zimnym tonem. - Operacji, którą oznaczamy, jak już panu mówiłem, kryptonimem „Grom”. Jeśli nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności w taki czy inny sposób naraziłby pan na niebezpieczeństwo „Grom”, jego tajemnicę czy jego cel - te dwie rzeczy są nierozłączne - zniknie pan. Czy teraz jest jasne?

Zapadło milczenie.

Młody poseł obiegił spojrzeniem czterech mężczyzn siedzących wokół niego z kamiennymi minami. Musiał przypomnieć sobie, że właściwie zna ich wszystkich, że przyjechał tu na polecenie prezydenta, i wtedy dopiero doszedł do wniosku, że nie śni i że dobrze usłyszał to, co zostało powiedziane.

- „Grom” dotyczy najważniejszego punktu naszej obrony - powiedział Mnich rozstrzygającym tonem.

Znowu milczenie.

- Dlaczego ja? - spytał w końcu Davlet, poruszony i jednocześnie żądny dodatkowych informacji. - Dlaczego prezydent wybrał akurat mnie?

- To nie prezydent pana wybrał, lecz my - odpowiedział generał Kieffer, człowiek około sześćdziesiątki, o twarzy wyrażającej spokój, powagę i pewność siebie, ubrany po cywilnemu z surową elegancją, podobnie jak jego towarzysze. - Prezydent przyjął do wiadomości nasz wybór - dodał, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że głowa państwa nie miała właściwie wyboru. - Mogę pana zapewnić, że go zaakceptował.

- Pan jest pewny - rzekł Mnich tonem wyjaśnienia.

- Jestem pewny?

- Nie jest pan jedyny w kraju, ale był pan jednym z pierwszych na liście ludzi, których można dopuścić do tajemnicy. I ma pan pewne zalety, które mogą się nam przydać. Nie mówię już o tym, że potrzebujemy... świeżej krwi.

- Minister obrony wie o tym? - spytał Davlet po chwili wahania.
- Nie wie.
- Nie? Nie jest pewny? - spytał Davlet nieco ironicznie. Nie otrzymał odpowiedzi.

Mnich zrobił minę, jakby przerwanie milczenia było dla niego bolesnym wysiłkiem.

- Panie Davlet, chciałbym, aby był pan świadom faktu, że od chwili, gdy zostanie pan wtajemniczony w „Grom”, pańskie życie ulegnie całkowitej zmianie. Nigdy już nie będzie pan tym samym człowiekiem. Zawsze będziemy przy panu. Nigdy już nie będzie się pan obawiał przyszłości, nigdy. Nie zawsze pan to dostrzeże, ale zawsze przy panu będziemy.

- Zdawało mi się, że już przekroczyłem tę granicę?

- Niecałkowicie. Powiedzmy, że możemy przyzwyczaić się do faktu, że wie pan teraz o naszym istnieniu. Pod pewnymi warunkami... Moglibyśmy przynajmniej spróbować.

- Moglibyście spróbować! - wykrzyknął Davlet nagle rozłoszczony.

Odezwał się Robert Saint-Jean:

- Nie wydaje mi się, abyśmy musieli uciekać się aż do tego, Matthias - rzekł łagodnym tonem i uśmiechnął się do młodego deputowanego przyjaźnie i uspokajająco. - Nie z panem Davletem.

- Rzeczywiście, nie - zgodził się Mnich.

- Zbytek łaski - powiedział oschle Davlet.

Wszyscy zamilkli skonsternowani.

Wykorzystał to, jak się zdaje, generał Charles De Lorraine i także zabrał głos:

- Zanim posuniemy się dalej, musimy panu powiedzieć jeszcze coś. Zostając gestorem „Gromu” będzie pan miał satysfakcję ze służby krajowi, z działania dla jego obrony w sposób wzniosły i konkretny - satysfakcję osobistą nawiasem mówiąc, o której nikomu nie może pan powiedzieć, powtarzam: nikomu, lecz nie będzie pan miał z tego żadnej korzyści. Pańska przyszłość, jak już powiedzieliśmy, zostanie zapewniona, ale nie będzie to w ogóle dostrzegalne, rozumie pan? - Davlet przytaknął w milczeniu. - Będzie musiał pan nawet zgodzić się na pewne ograniczenia, jak na przykład możliwość opuszczenia kraju tylko pod pewnymi ściśle określonymi warunkami itp. Rozumie pan?

Davlet kiwnął głową z miną pełną napięcia.

- Właśnie, co się tyczy pańskiej przyszłości - znowu odezwał się Mnich - nie możemy panu uczciwie zagwarantować, gdy pan się do nas przyłączy, że w ogóle będzie jakakolwiek przyszłość... Zwłaszcza w obecnym stanie rzeczy.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zaniepokoił się Davlet.

- Jestem, wszyscy tutaj jesteśmy cudem ocaleni, panie Davlet. Fotel, na którym pan siedzi, był fotelem generała Avarone'a. Ten drugi - Charlesa Nevillesa. Jest więcej niż możliwe, że ich śmierć ma mniej lub bardziej bezpośredni związek z „Gromem”. Niewykluczone więc, że także inni spośród nas umrą, panie Davlet. - Mnich jakby rozmyślał nad tą ewentualnością, która chyba bardziej go fascynowała niż przerażała. - Rozumie się samo przez się, że robimy i będziemy robić wszystko, aby do tego nie dopuścić. To oczywiste.

- I pokrzepiające - dodał Davlet.

- Taka jest rzeczywistość.

Młody deputowany westchnął. Popatrzył na Mnicha i rzekł:

- Jeśli to, co pan powiedział, miało mi napędzić strachu - może pan być spokojny, udało się.

Mnich zrobił skruszoną minę.

- Nie taki był nasz cel, proszę mi wierzyć - rzekł. - Ale musieliśmy unaocznić panu powagę gry.

Francis Davlet poczuł ciężar czterech skierowanych na siebie spojrzeń. Starożytni, jak ich nazwał w myśli, czekali na jego decyzję. Zastanowił się. Obawa, jaką wywołała w nim mowa wstępna, powoli znikła, ustępując miejsca ogromnej ciekawości, a przede wszystkim nagle rozbudzonemu upodobaniu do władzy. Przeczynał, że prowadzenie „Gromu” jest jedną z mocniejszych form sprawowania władzy, bo choć utajniona, jest władzą w czystej postaci.

- Jestem gotów wysłuchać dalszego ciągu - rzekł.

Starożytni spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Po chwili Matthias Delange zwrócił się do młodego posła:

- Cieszymy się, że jest pan z nami - podkreślił te słowa bladym, lecz szczerym uśmiechem. Potem powiedział do generała De Lorraine:

- Charles, może pan zaczynać.

Dowódca sztabu armii przytaknął ruchem brody. Przez chwilę

patrzył na Davleta jak na cel, jakby zastanawiał się nad sposobem najszybszego osiągnięcia tego celu.

- „Grom” jest częścią składową naszej obrony, częścią tajną - powiedział zdecydowanym tonem. - Częścią, która w równym stopniu wzmacnia naszą siłę perswazyjną, jak i siłę uderzeniową. Nie będę tu panu robić wykładu na temat naszej polityki obronnej, ale uważam za niezbędne przypomnieć dwie lub trzy rzeczy, które pozwolą panu lepiej zrozumieć powód istnienia „Gromu”.

Młody deputowany miał przez chwilę wrażenie, że znajduje się w Zgromadzeniu Narodowym, podczas obrad Komisji Obrony, w czasie wystąpienia szefa sztabu w obronie budżetu dla wojska. Uśmiechał się w duchu.

- „Grom” jest w jakimś sensie naszą odpowiedzią na nową sytuację strategiczną, jaka powstała w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych - ciągnął generał De Lorraine. - Ujmując rzecz schematycznie: zaszły trzy ważne zmiany, do których musieliśmy się przystosować.

Po pierwsze: „Gwiezdne wojny” Reagana oraz, co oczywiste, ich sowiecki odpowiednik. Nawet jeśli szczelny parasol kosmiczny jest całkowitą utopią, mieliśmy i mamy ciągle do czynienia z rozwojem systemów obrony przeciwraкетowej zarówno ze strony Amerykanów, jak i Rosjan. Nie mamy środków na stworzenie parasola kosmicznego ani nawet bardziej klasycznej osłony przeciw rakietom balistycznym, z drugiej zaś strony wątpimy w jej przydatność; tak więc zmuszeni zostaliśmy do przystosowania naszych własnych systemów obronnych w celu zachowania ich skuteczności oraz wiarygodności, przede wszystkim ciągle zwiększając i ulepszając zdolność penetracji naszych nośników. Jednakże nawet coraz bardziej ulepszając pociski, nie można mieć stuprocentowej pewności co do ich skuteczności... W przypadku „Gromu” mamy stuprocentową pewność.

Po drugie: rozbrojenie i ryzyko związane z różnymi opcjami zerowymi. Zlikwidowanie amerykańskiej broni nuklearnej w Europie, zdenuklearyzowanie Europy pod presją dwóch potęg oznaczać będzie coś w rodzaju strategicznego Suezu stawiającego pod znakiem zapytania naszą niezależność. Nawet jeśli w tej sytuacji udałoby się nam zachować zdolność obrony, będziemy odizolowani, a tym samym słabsi. Zwiększy to ryzyko - a nie można go całkowicie wykluczyć - sparaliżowania niektórych elementów naszych sił atomowych

przez akcje, do jakich przygotowane są na przykład jednostki sowieckiego specnazu (zabójstwa przywódców cywilnych i wojskowych, unieszkodliwianie wyrzutni itp.), albo drogą sabotażu dokonywanego przez wroga, który przeniknął już do naszych szeregów, nawet do załóg podwodnych okrętów atomowych... Natomiast „Grom” pozwala nam zachować znaczną moc, bezpieczeństwo i niezależność naszej siły uderzeniowej.

Po trzecie: kwestia stopniowego kontrataku. Czy w przypadku napaści, mniej lub bardziej rozległej, znajdzie się ktoś, kto podejmie ryzyko rozpętania totalnej wojny atomowej? Czyż nie powinno się pozostawić pewnego pola manewru, aby nie stawiać nikogo wobec tak trudnego wyboru? Trzeba może wprowadzić pośredni etap kontrataku, który nie dyskredytując naszej siły odstraszającej spełniałby rolę ostatniego ostrzeżenia? Oczywiście, odpowiedź brzmi: tak. Trzeba także w takim wypadku dysponować odpowiednio przystosowaną bronią. Co do opcji zerowych dotyczących pocisków średniego czy nawet krótkiego zasięgu - takich pocisków nie posiadamy. Jednakże, nawet gdybyśmy nimi dysponowali, trzeba by było jeszcze ich użyć, a wykluczone chyba byłoby zbombardowanie całych lub części Niemiec na przykład, aby zatrzymać oddziały sowieckie. I wreszcie, trzeba by mieć pewność, że taka reakcja z naszej strony nie pociągnie za sobą totalnego kontrataku wroga... „Grom” umożliwia nam pośredni kontratak atomowy, ostatnie ostrzeżenie. Ryzykujemy jedynie niewielki odwet.

Generał De Lorraine zamilkł na chwilę i poprawił się:

- Ścisłej mówiąc, umożliwił nam... Zrozumie pan to później - powiedział do Davleta. Popatrzył mu prosto w oczy.

- „Grom” to kryptonim specjalnej operacji, której celem było doprowadzenie do takiej sytuacji, abyśmy mogli dysponować pewną liczbą bomb atomowych ukrytych na terytorium Związku Sowieckiego. Cel ten został osiągnięty.

Davlet oniemiał.

- Strategia walizki - zamruczał oszołomiony, cytując sformułowanie amerykańskiego parlamentarzysty, specjalisty od spraw obrony, senatora Nunna.

Generał De Lorraine przytaknęła z powagą.

- Sześć bomb zostało „zakopanych” w różnych miejscach Związku Sowieckiego. Są to bomby o różnej mocy. Mają za zadanie, przynajmniej

jedna z nich, spełniać rolę ostrzeżenia, oraz - w przypadku pozostałych - zadać śmiertelne ciosy, gdyby kraj nasz znalazł się w sytuacji przymusowej. Bomby te nigdy nie stanowiły najmniejszego zagrożenia dla pokoju. Nawet gdyby sowieci je odkryli, nie pociągnęłoby to za sobą żadnych konsekwencji. Są całkowicie anonimowe, nie wiadomo gdzie i przez kogo skonstruowane. - Szef sztabu zamilkł na chwilę, nie spuszczać z oczu młodego posła; zdawało się, że ocenia skutki salwy artyleryjskiej. - Strategia - podjął uroczystym tonem - którą jako słabsi siłą rzeczy przyjęliśmy, każe wyposażać się w odpowiednią broń. Sowieci są w stanie unicestwić nas po tysiackroć. My nie mamy takich środków. Ale możemy, nawet musimy wynaleźć jakieś inne sposoby na naszą obronę.

Zapanowała cisza.

Davlet siedział osłupiały, nie wiedział, co ma myśleć, zarazem przerażony i zafascynowany. Zastanawiał się, czy powinien coś powiedzieć, a jeśli tak, to co. W końcu, aby zaspokoić ciekawość, ale i po to, by odwlec chwilę, kiedy będzie musiał wyrazić swój pogląd, gdyby Starożytni chcieli go usłyszeć, w co raczej wątpił, odwrócił się w stronę Mnicha, potem w stronę byłego szefa służb wywiadowczych i wybełkotał:

- Jak to możliwe? Jak wam się udało? Myślałem, że nikogo tam nie macie?

- Tak oświadczyłem, zgadza się - rzekł Robert Saint-Jean z pobłażliwym uśmiechem. - Inni robili to samo, zwłaszcza Nevilles.

- Znowu się uśmiechnął. - Wielu w to uwierzyło, może KGB także, i niech tak będzie.

- Bomby zostały tam wwiezione w częściach - tłumaczył Mnich.

- Użyliśmy wszystkich możliwych sposobów: prawdziwi albo nieprawdziwi turyści, personel marynarki handlowej, przesyłki z materiałami budowlanymi, eksport płodów rolnych itd. Wiele razy nawet zakłócaliśmy niektóre kanały, którymi zdobywali wytwory najnowszej technologii. Niekiedy, dla pewności, dostarczaliśmy im owych materiałów - wyjaśnił Mnich zamyślony. - Dlatego możemy powiedzieć, że sowieci w dużej części sfinansowali tę operację nic o niej nie wiedząc - jeszcze bardziej zamyślił się po tych słowach.

- „Grom” był wymyślony, powołany do życia i kierowany przez wspólną strukturę, cywilną i wojskową, całkowicie anonimową i autonomiczną. Nie ma ona swej nazwy, oficjalnie nie istnieje. My, jej



gestorzy, nazywamy ją „Firmą”. Funkcjonuje ona jak prawdziwa służba wywiadowcza w łonie służb wywiadowczych, dysponuje własnymi finansami, a nawet personelem w terenie. Wszyscy, którzy w planie operacyjnym uczestniczyli z bliska lub z daleka w „Gromie”, robili to nie znając prawdziwego celu swej działalności ani płynących z niej korzyści. Człowiek, który zmontował bomby, później zaś zajmował się ich konserwacją, dzisiaj już nie żyje... Cała operacja prowadzona była z najwyższą, wręcz obsesyjną troską o zachowanie tajemnicy i zapewnienie bezpieczeństwa.

- I pomimo wszystko - rzekł Davlet - sowietów ją odkryli, czy tak?
- Tak - odpowiedział Mnich.
- Rzeczywiście, to poważny problem.
- Nie. Przewidzieliśmy to.
- Przewidzieliście?

- Nigdy nie ma stuprocentowej pewności. „Grom” był operacją stosunkowo poważną... Nie wiemy, co i jak się wydarzyło. Wiemy jedynie, przez człowieka z KGB via CIA, że KGB „słyszało” o operacji zwanej „Grom” i że chce dowiedzieć się o tym czegoś więcej. Zgodnie ze słowami owego człowieka, KGB nie wie, co kryje w sobie „Grom”. Byliśmy przekonani, że to prawda, ale wiedzieliśmy też jedno: Sowietci zrobią wszystko, aby przeniknąć tajemnicę, i nie spoczną, dopóki tego nie osiągną. Tutaj tkwi niebezpieczeństwo. W jaki sposób ochronić „Grom”? W takich okolicznościach najlepszy sposób zachowania tajemnicy to ujawnienie jej.

Davlet nie ukrywał zdziwienia.

- Przynajmniej częściowo... manewr polega na tym, że pozwala się wrogowi znaleźć to, czego szuka. Trzeba sprawić, aby uwierzył, że wygrał, pozoruje się więc ogromny zasięg przedsięwzięcia i zmusza wroga do wielkiego wysiłku, zanim osiągnie sukces. Rozumie pan?

Davlet przytaknął ruchem głowy.

- Mówiąc jaśniej, postanowiliśmy oddać im jedną z bomb po to, aby lepiej ochronić pozostałe... Taka ewentualność była przewidziana i przeanalizowana w planach zabezpieczenia „Gromu”. Wahaliśmy się nieco... Okoliczności zdecydowały za nas.

- Jedyne okoliczności? Jest pan tego pewien? - spytał Davlet z powątpiewaniem. - Wyłącznie ze względów bezpieczeństwa?

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał Mnich z ledwo uchwytnym skrępowaniem w głosie.

- To nie było przewidziane już na samym początku?

Kłopotliwe milczenie.

- Nie całkiem... nie - wtrącił Robert Saint-Jean. Uśmiechnął się grzecznie. - Niemniej ma pan rację, to wyjście nasuwało się nam w miarę, jak „Grom” potężniał - zawahał się - ale skąd panu to przyszło do głowy?

- Intuicja - odrzekł Davlet także się uśmiechając. - Oraz fakt, że metoda odstraszenia może odegrać rolę tylko wtedy, gdy wróg wie lub przynajmniej coś podejrzewa.

Gestorzy „Gromu” wymienili spojrzenia. Byli zadowoleni.

- Winszuję sobie, że mogę pana gościć wśród nas – powiedział Saint-Jean do młodego posła, uśmiechając się prawie po ojcowsku, po czym odwrócił się do Matthiasa Delange, jakby chciał zachęcić go do kontynuowania rozmowy.

Mnich złączył dłonie, jakby chciał zamknąć obieg zasilający wyrażanie myśli.

- Postanowiliśmy więc „oddać” bombę sowietom - rzekł - ale musieliśmy odstąpić od tego zamiaru. Na prośbę prezydenta. Tymczasem tak się złożyło, że sytuacja na Wschodzie uległa zmianie. Gorbaczow doszedł do władzy. Należało więc zgodnie z wolą prezydenta na nowo wszystko rozważyć... W końcu prezydent stwierdził, że „Grom” staje się nieaktualny, a nawet niebezpieczny, gdyby został odkryty, bo może opóźnić ewolucję sił w Rosji. I zażyczył sobie, aby zakończono sprawę „Gromu”. Krótko mówiąc, aby wywieźć wszystkie bomby.

- Mądra decyzja - skomentował Davlet szczerze, jakby dla zagłuszenia niepokoju, jaki wywołały w nim słowa Mnicha, a zwłaszcza słowo „życzenie”, zamiast „rozkaz” prezydenta.

- Jak najbardziej słuszna - powiedział Mnich nieswoim głosem.

- Usłuchaliście prezydenta, prawda?

- To nie takie proste, panie Davlet.

Cisza.

Młody deputowany z trudem ukrywał zaskoczenie i oburzenie.

- Panowie, czy mam rozumieć, że głowa państwa, która zgodnie z naszą konstytucją jest także dowódcą sił zbrojnych, nie ma pełnej i całkowitej władzy nad Firmą?

- Za bardzo wrywa pan do przodu, panie Davlet - odezwał się z pojednawczym uśmiechem generał Kieffer. - Przypuśćmy jednak, że Firma jest taką trochę oderwaną instancją, mającą znaczenie przede wszystkim dla wojska. Rozumie pan?

- Obawiam się, że rozumiem.

- Nie, myli się pan - zapewnił Kieffer. - Ale, za pozwoleniem, chwilowo zostawmy tę sprawę na boku. Powinien pan tylko wiedzieć, że z punktu widzenia wojskowego są dwa powody, aby tak po prostu nie likwidować „Gromu”. Dwa powody ciągle aktualne. Przede wszystkim Gorbaczow nie jest wieczny - jeżeli nawet okaże się takim człowiekiem, jakiego wielu ludzi z Zachodu w nim widzi. Po drugie, Armia Czerwona jest ciągle taka sama. Wie pan równie dobrze jak ja, że nawet jeśli wynik konferencji rozbrojeniowej w Wiedniu będzie zgodny z przewidywaniami, Rosjanie w dalszym ciągu będą mieli trzy razy więcej czołgów niż Hitler w roku 1941 przed natarciem na Związek Sowiecki, zaś liczba ich samolotów bojowych dwukrotnie przewyższy liczebność lotnictwa niemieckiego atakującego Francję w 1940...

Wiemy, że sowiecki sztab ponownie rozważy swą doktrynę obronną, ale nie wiemy, do jakich wniosków dojdzie; zresztą bez względu na to, jakie one będą, staną się faktami nie wcześniej niż za kilka lat. A na razie, i jeszcze długo, Rosja pozostanie największą na naszej planecie potęgą militarną w powietrzu i na ziemi. I wszystko nakazuje nam ciągle mieć się na baczności.

W każdym razie polityczny punkt widzenia, ten, którego prezydent jest zwolennikiem, w pewnym sensie współgrał z militarnym, bo biorąc pod uwagę okoliczności „Grom” rzeczywiście był bronią obojętną. Rozwiązanie proponowane przez Avarone'a zadawało wszystkim. Bomby miały być naprawdę wycofane, w ten sposób jednak, aby sowieci to dostrzegli i przeszkodzili ewakuacji jednej z nich. Takie rozwiązanie daje podwójną korzyść. Przede wszystkim spełnia oczekiwania prezydenta, gdyż Gorbaczow mógł w tym dostrzec dowód zaufania z naszej strony, a zwłaszcza mógłby się chlępić wobec swoich przeciwników: „Popatrzcie, dzięki mnie, dzięki mojej obecności, mojemu działaniu, Zachód rozbraja się i zmienia postawę”. Jego pozycja wobec konserwatystów zostałaby wzmocniona. Druga korzyść z rozwiązania Avarone'a to dwojakie zabezpieczenie na przyszłość. Po pierwsze osłabienie KGB, zadanie mu okrutnego ciosu, bo

nasze fiasko będzie w rzeczywistości ich niepowodzeniem, dowodem ich nieudolności i nieskuteczności wobec naszej gry, i to na ich terenie. Po drugie zasianie niepewności, bo bez wątplenia w takim przypadku Rosjanie zadadzą sobie pytanie: „Czy aby zabrali wszystkie?” W sumie, z tą dodatkową dozą niepewności i niejasności, poszerzymy zakres naszej siły perswazji.

- A czy prezydent zaaprobował takie rozwiązanie? - spytał Davlet, jakby trudno mu było w to uwierzyć.

- Oczywiście. Jedynie rozwiązanie Avarone'a było do przyjęcia.

Młody poseł zamilkł.

- Co pana trapi, panie Davlet?

Davlet spojrział Mnichowi w oczy i zwlekał z odpowiedzią. Ze wszystkich Starożytnych nie wiadomo dlaczego Matthias Delange wydawał mu się najmniej sympatyczny, a także najbardziej niebezpieczny.

- Nie rozumiem... - wyznał w końcu Davlet. - To wszystko nie pociąga za sobą żadnej konsekwencji, żadnego skandalu, żadnego kryzysu w stosunkach z Moskwą, nic?

- Nie - odpowiedział Mnich.

- Naprawdę?

- Nie mogą niczego dowieść. Bomby są zupełnie anonimowe, jak już panu powiedzieliśmy. Wobec tego w interesie sowietów leży, aby sprawa nie nabrała rozgłosu. Ten naród od ponad pół wieku żyje w przeświadczeniu, że wszystko jest odpowiednio urządzone, że krajowi nic nie jest w stanie zagrozić, że przynajmniej z tego punktu widzenia system dobrze funkcjonuje. Gdyby ta historia wyszła na wierzch, fala uderzeniowa byłaby naprawdę niszczycielska. Nie tylko dla KGB, ale dla całej klasy rządzącej, w gruncie rzeczy dla całego systemu. Także dla Gorbaczowa. Odpowiedzialność za wszystko spadnie właśnie na niego. KGB, wojsko z trudem wybaczą mu tę kompromitację i na pewno znajdą się głosy obwieszczające, że gdyby nie pieriestrojka nic podobnego nie mogłoby się zdarzyć. Natomiast jeśli uda mu się utrzymać całą sprawę w sekrecie, będzie mógł ją wykorzystać, posłużyć się nią wobec swych przeciwników.

- I to wszystko, co się wydarzy? Zamkną na to oczy i założą ręce?

- Tak - Mnich lekko wydał wargi. - W najgorszym razie odpłacą nam tym samym... Jeśli już tego nie zrobili.

Zapadła cisza.

- Dobrze... A więc, panie Davlet - kontynuował Mnich. - Powinien pan wiedzieć, że o wszystkim, co usłyszysz pan od tej chwili, będzie pan musiał zdać sprawozdanie prezydentowi. Prezydent nie chce osobiście wikłać się w funkcjonowanie Firmy, przeciwnie niż jego poprzednik - wyjaśnił, a Davlet wyczuł w tym wyjaśnieniu cień wyrzutu. - To pan, zgodnie z jego życzeniem, będzie musiał go informować. Przypominam więc panu, że cel, jaki sobie postawiliśmy, to doprowadzić do odkrycia przez sowietów jednej z naszych bomb i dać im jednocześnie do zrozumienia, że zrobiliśmy wszystko, powtarzam: wszystko, aby im w tym przeszkodzić. Aby osiągnąć cel, Avarone - to on był odpowiedzialny za aspekt operacyjny „Gromu” - przygotował, a my razem z nim, specjalną operację, którą nazwaliśmy „wariantem norymberskim”. - Mnich przerwał i patrzył na młodego deputowanego z miną coraz bardziej poważną. - Panie Davlet, czy słyszał pan kiedykolwiek o sprawie bombardowania Norymbergi przez aliantów w czasie ostatniej wojny?

Davlet zaprzeczył ruchem głowy.

- Charles - powiedział Mnich zwracając się do szefa sztabu - pan, oprócz Avarone'a, najlepiej zna tę historię, zechciałby pan...

Generał De Lorraine natychmiast odwrócił się w stronę młodego człowieka.

- 30 marca 1944 roku, panie Davlet - zacznij bez wstępów - na dwa miesiące przed desantem flotyli alianckich bombowców, największa w tej wojnie, wyleciała nad Niemcy. W całkowitej tajemnicy. Piloci nie wiedzą, dokąd lecą. Początkowy kierunek lotu zdaje się wskazywać na bombardowanie gdzieś na północy Niemiec. Kierunek zostaje zmieniony podczas lotu. Mają skierować się nad Zagłębie Ruhry. W rzeczywistości jednak celem jest Norymberga, symbol faszyzmu: zniszczyć Norymbergę, aby złamać Niemcy. Na trasie lotu aż się roi od niemieckich samolotów. Piloci są trochę zaniepokojeni, ale rozkaz został potwierdzony. Niemcy zadają im poważne straty. Ale najgorsze ma dopiero nadejść. Gdy nadlatują nad Norymbergę, napotykają prawie całe lotnictwo niemieckie, które ich oczekuje, wcale nie zniechęcone zmyłkowymi manewrami. Gigantyczna bitwa powietrzna. Ogromne straty wśród samolotów alianckich, którym nawet się nie udaje zadrasnąć Norymbergi. Totalne fiasko. Śmiertelna klęska, najtragiczniejsza ze wszystkich powietrznych walk w czasie

tej wojny... Mówi się o pechu, nawet o zdradzie... Rozpoczyna się dochodzenie, które do niczego nie doprowadzi...

Generał De Lorraine zamilkł na chwilę, potem podjął swój wykład.

- W rzeczywistości, na przekór pozorom, panie Davlet, wypad nad Norymbergę jest całkowitym sukcesem! Sukcesem fortelu zaplanowanego przez aliantów. Bo rzeczywistym celem, celem ukrytym nalotu nie była, jak się wydawało, a w co uwierzyli Niemcy, Norymberga. Nie, Norymberga była celem pozornym, który Niemcom zasugerowano po to, aby ukryć prawdziwy cel nalotu. Bo Niemcy wiedzieli, jeszcze zanim wystartowały samoloty, że celem nalotu ma być Norymberga. Skąd wiedzieli? Po prostu stąd, że poinformowano ich za pośrednictwem podwójnego agenta, ukrywającego się pod kryptonimem „Garbo”. Prawdziwy, skrywany cel operacji był dwojaki.

Po pierwsze: zapanować nad strefą powietrzną wobec rychłego desantu w Normandii. Dlatego należało zwabić wszystkie siły lotnicze wroga do wielkiej konfrontacji, z której wyjdą osłabione, a nawet zredukowane. Dlatego też rzucono nad Norymbergę armadę bombowców alianckich; wiadomo było, że Niemcy zrobią wszystko, aby obronić to miasto. Rezultat nalotu przekroczył wszelkie oczekiwania: jeśli straty aliantów były ogromne, to straty lotnictwa niemieckiego były równie wielkie, może nawet większe. Dlatego też w odpowiednim momencie Niemcy nie przeszkodzili desantowi w Normandii.

Po drugie: w sposób absolutny uwiarygodnić Garbo w oczach Niemców. Udowodnić im, że dysponują w jego osobie źródłem pewnym w stu procentach. Bez względu na to, jakim kosztem. Po to, aby później łatwiej było zastosować kłamstwo... I rzeczywiście raporty Garbo odegrały ważną rolę, być może nawet przesądziły o tym, że Hitler uwierzył, iż desant będzie miał miejsce w Pas-de-Calais; co więcej, upierał się czekać na „prawdziwy” desant w Pas-de-Calais, podczas gdy zaczął się on już na normandzkich plażach... - bo Garbo w tym samym czasie dalej zapewniał, że chodzi tu o zmylenie wroga... Nalot nad Norymbergą stanowił część całego zbioru forteli i operacji specjalnych aliantów, mających zapewnić powodzenie desantu i upadek Hitlera. Na prośbę Trumana wszystko to zostało odłożone ad acta i pozostawało w tajemnicy przez następne trzydzieści lat. Zapowiadała się już zimna wojna, Amerykanie zaś uważali, zresztą słusznie,

że te operacje, niemal modelowe, mogłyby równie dobrze posłużyć jeszcze raz w wypadku konfliktu z sowietami. Generał zamilkł, odwrócił się do Matthiasa Delange.

- To chcieliśmy panu powiedzieć, panie Davlet - rzekł Mnich. - A to wszystko po to, aby mógł pan lepiej zrozumieć dalszy ciąg, aby panu dać do zrozumienia, że rzeczy nie są, nigdy nie są tak proste, jak się wydaje, że nie ma zwycięstwa bez ofiar. Ofiary nalotu na Norymbergę zapewniły powodzenie desantu i uratowały dziesiątki tysięcy ludzi. Można - powinno się - wysłać na śmierć dwa tysiące ludzi, jeśli później ma to ocalić dwadzieścia tysięcy...

Młody poseł powoli skinął głową, jakby chciał zaznaczyć, że dobrze słyszy.

- Wydaje mi się, że rozumiem, co pan chce powiedzieć - rzekł - albo raczej, o czym chciałby pan mnie przekonać... Ale, panie Delange, to była wojna...

- Zawsze jest wojna - odpowiedział Mnich. - Zmienia się tylko jej forma. - Mnich dostrzegł w spojrzeniu młodego posła błysk niedowierzania, nawet cień ironii, ale nie zareagował. - Mógłbym panu to zademonstrować, panie Davlet, ale nie czas i miejsce na to... Powinniśmy teraz porozmawiać o Saxonie. „Saxon” to kryptonim najważniejszej operacji „wariantu norymberskiego” przygotowanej przez Avarone'a. Saxon to człowiek - jeden z naszych agentów... - Mnich przerwał, zamyślił się nagle. - Właśnie od tego momentu wszystko się pogmatwało z tym Saxonem... Bawiliśmy się z wężem w bardzo niebezpieczną grę, myśląc, że jesteśmy uodpornieni na jad. Ale straciliśmy kontrolę nad tą grą i nad wężem... I nie byliśmy tak uodpornieni, jak nam się zdawało.

Zapanowała cisza.

Młodemu posłowi zdawało się, że wszyscy gestorzy „Gromu” jednocześnie przywołali pamięć swoich kolegów, którzy opuścili już świat żywych. W końcu Mnich zabrał głos:

- Przede wszystkim powinien pan wiedzieć, że punktem wyjścia całej operacji było aresztowanie naszego agenta w Rosji, aresztowanie, które rozmyślnie sprowokowaliśmy. To był agent podwójny, można go było poświęcić. Następnie udaliśmy panikę, dając do zrozumienia, że zatrzymanie tego agenta wystawia na niebezpieczeństwo wiele innych operacji. Został wydany rozkaz zlikwidowania go. Wyruszyły nasze ekipy. Oczywiście sowietci dostrzegli te ruchy i

zaczęli zastanawiać się, co to wszystko może znaczyć. Agent ów został w końcu zlikwidowany. Sowietci nie mogli się temu nadziwić i odkryli karty. W dalszym ciągu udawaliśmy panikę, tworząc kolejne komisje mające analizować tę sprawę... Pomijam szczegóły. Sowietci pojęli wreszcie, że to wszystko dotyczyło jednej jedynej rzeczy: „Gromu” i siatki tworzącej „Airways”.

- A tym razem jak oni to „pojęli”? - spytał Davlet z nieufnością zabarwioną pogardą. Zaczynał odgadywać, dlaczego prezydent nie chciał wdawać się w szczegóły kierowania „Gromem”.

- Garbo im powiedział - odrzekł Mních niewzruszony.

- Słucham?

- Nasz odpowiednik Garbo. Kret sowiecki u nas, w DGSE, na wysokim szczeblu... Wciągnęliśmy tego kreta do gry.

Davlet oniemiał.

- Mówi pan, że sowiecki kret działa wewnątrz naszych służb specjalnych, na wysokim szczeblu, tak?

- Tak.

- I nie wyeliminowaliście go?

Matthias Delange był jakby lekko zażenowany.

- To nie leżało w naszym interesie - odpowiedział.

- To nie leżało... Dlaczego mówi pan w czasie przeszłym? - Davlet zmrużył oczy. - Wiecie, kto to jest?

Mních sprężył się, zanim odpowiedział:

- Avarone wiedział, Nevilles także.

- Mój Boże! - krzyknął Davlet z przerażeniem.

- Wszystkie służby specjalne na świecie przenikają się nawzajem, panie Davlet, to główne ich zadanie. Równie ważne jest wyławianie obcych agentów, którym udało się przedostać w nasze szeregi. Gdy wykrywa się kreta, można go unieszkodliwić. Można jednak, co niekiedy jest o wiele pożyteczniejsze, posługiwać się nim dla zmylenia wroga. Tak właśnie postąpiliśmy z naszym kretem. Uczyniliśmy z niego naszego Garbo... To właśnie Avarone dowiedział się o istnieniu tego kreta i sam, po długim dochodzeniu, zidentyfikował go. I potem on nim kierował. Ten kret nie wiedział, że został odkryty i dlatego był dla nas wielkim atutem. Za żadną cenę nie mógł czuć zagrożenia... Avarone nie wyjawiał jego tożsamości. Był zdania, i miał tu rację, że pomimo starań nie będziemy potrafili, gdy już poznamy tajemnicę, nie zmienić w żaden sposób naszego zachowania wobec tego mężczyzny



- czy może zresztą kobiety... Ten kret na pewno wyrządził nam wiele zła. Avarone starał się ograniczyć szkody do minimum. Były jednak nieuniknione, gdyż kret musiał wyrządzić trochę zła, aby się uwiarygodnić. Był nam potrzebny. Rozumie pan?

- Rozumiem przede wszystkim to - rzekł Davlet - że ten kret ciągle działa, a wy nie wiecie, kto to jest?

- Tak.

- I nie ma żadnego sposobu, żeby go zidentyfikować, czy tak?

- Tak.

Młody deputowany obserwował Starożytnych, każdego po kolei, nie dostrzegając na ich twarzach śladu zakłopotania. Te twarze wyrażały jedynie powagę i niepokój.

- Skąd możecie mieć pewność, że nie ma go wśród was? - spytał, znowu patrząc na Mnicha.

- Avarone nas o tym zapewnił.

- I uwierziliście mu? - odparował Davlet. Chciał złapać Mnicha i pozostałych w ich własne sidła.

- W tym przypadku tak - odezwał się Robert Saint-Jean. - Nie tu tkwi niebezpieczeństwo, panie Davlet, niebezpieczeństwo czyha gdzie indziej... Nie rozumiemy, co się dzieje, co się wydarzyło. Avarone stworzył Saxona, a Saxon go zabił! Saxon miał chronić „Grom”, a stało się coś wręcz przeciwnego: Saxon stał się zagrożeniem dla „Gromu”... W tym tkwi niebezpieczeństwo, panie Davlet.

Młody poseł głośno westchnął.

- Przypuśćmy - powiedział.

- Zaraz pan zrozumie - podjął Mnich.

- Tak pan sądzi?

- Jestem przekonany.

- Słucham pana.

- Celem misji Saxona było doprowadzenie Rosjan do naszej bomby... To było prawdziwym, ukrytym celem jego misji. Saxon o tym nie wiedział. Sądził, że jego zadanie polega na sprawdzeniu bezpieczeństwa jednej z naszych siatek w Związku Sowieckim, siatki „Airways”, o której przed chwilą mówiłem... Tak więc, wysłaliśmy Saxona. Jednocześnie zawiadomiliśmy Rosjan o jego wyjeździe drogą, z której korzystał Garbo. Tym samym kanałem daliśmy do zrozumienia, że Saxon jest powiązany z „Gromem”, że w rzeczywistości wykonuje operację zabezpieczającą „Grom”. Nie powiedzieliśmy sowietom, kim

jest; powiedzieliśmy jedynie, że istnieje i że udał się w drogę.

- A co to za różnica?

- Jest różnica, owszem - odpowiedział nie zmieszany Mnich. - Ma to znaczenie chociażby dla wiarygodności kanału informacyjnego...

Młody poseł milczał.

- Dobrze. W końcu sowietci stwierdzili, że Saxon sieje śmierć na swej drodze, że likwiduje kolejno wszystkich agentów „Airways”. Doszli do wniosku, że odkryli tajny cel misji Saxona, a o to nam właśnie chodziło... W rzeczywistości specjalna ekipa zakłócała drogę Saxona w ZSRR, ona właśnie likwidowała członków siatki.

- Coś w rodzaju zabawy w kotka i myszkę, aż do bomby...

- Tak to można określić.

- ...z trupami po drodze.

- Tak.

Młody poseł przyglądał się Mnichowi, jakby starał się odgadnąć, czy jest on naprawdę istotą ludzką.

- I dla tej sprawy poświęciliście, zamordowaliście wszystkich członków siatki? - spytał przygnębiony.

- Nie całkiem... nie...

- Nie całkiem! Ilu?

- Pan czegoś nie rozumie - stwierdził chłodno Mnich. - Z jednym czy dwoma wyjątkami ci ludzie, których poświęcono, nie byli to nasi ludzie. To nie byli agenci. „Airways” nigdy nie istniało.

Davlet był zaskoczony i coraz bardziej zaniepokojony. Westchnął ciężko, wyraźnie odczuwał niesmak.

- Proszę pomyśleć o Norymberdze, panie Davlet - rzekł Mnich.

- Będę musiał głęboko to przemyśleć.

- Rozumiem.

- Bardzo głęboko.

Zapanowało przytłaczające milczenie.

- Proponuję zrobić przerwę - powiedział Robert Saint-Jean, były szef służb specjalnych.

I podniósł się z fotela. W dalszym ciągu padał deszcz.

Tak jakby niebo także brało udział w tej grze, chciało odciąć od świata i ochronić to miejsce.

Po dziesięciu minutach wznowione zostało zebranie rady kierowniczej „Gromu”.

- Czego pan nie rozumie, panie Davlet? - spytał Robert Saint-Jean.

- Jednej rzeczy nie rozumiem - odrzekł Davlet. - Gdyby sowievi złapali Saxona, jeśli to by się im udało, cała ta wasza piękna konspiracja zawałiłaby się, tak? Pomyśleliście o tym? On o niczym nie wie, jak mówicie, nie wie nic szczególnego o roli, jaką pozornie odgrywa w oczach sowietów, ale mogłoby przecież ich to zaintrygować, prawda?

- On nie da się złapać - rzekł Saint-Jean.

- Chyba pan żartuje?

- Nie da się wziąć żywy.

- Skąd taka pewność?

- Saxon jest człowiekiem wyjątkowym, panie Davlet, nieprzeciętnym... Jest wymysłem Avarone'a - powiedział Saint-Jean, jakby takie tłumaczenie w zupełności miało wystarczyć.

Pospiesznie naszkicował młodemu człowiekowi portret Nicolasa de Witte, który stał się później Michaeliem Devesem, podkreślił okoliczności rodzinne, które doprowadziły Devesa do spotkania, a później i współpracy z francuskimi tajnymi służbami.

- Do tej misji - powiedział na koniec Saint-Jean - potrzebowaliśmy człowieka inteligentnego i skutecznego, aby jakoś z tego wybrnąć i móc działać na całego. Ale człowiek inteligentny mógłby zrozumieć, że jego misja nie jest tak prosta, jak to się z początku zdawało. Mógł pojąć, że czeka go śmierć, jednak nie powinno go to blokować, wręcz przeciwnie - powinno go to stymulować...

- Wiedział, że jego misja jest niebezpieczna aż do tego stopnia?

- Avarone mu powiedział. Byłoby głupotą, byłoby nawet niebezpiecznie ukrywać to przed nim.

- I to go nie powstrzymało?

- Powiedziałem panu, że to człowiek wyjątkowy.

Młody poseł przez chwilę nic nie mówił, po czym spytał:

- Jeśli jest to człowiek tak niezwykły, jak to się stało, że zabił Avarone'a, swego duchowego ojca, tak pan to chyba określił, i Neville'a na dodatek?

Odpowiedziało mu milczenie.

- Powiedział pan, że jest inteligentny, że zrozumiał nawet to, że rozmyślnie wysłano go na śmierć... Może wbrew temu, co pan myśli,

wcale się z tym nie pogodził? Na Boga! Kto pogodziłby się z czymś takim? Kto?

- On - odezwał się Mnich.

Davlet szybkim ruchem odwrócił się w stronę Matthiasa Delange.

- Nie mówi pan tego poważnie?

- Jak najbardziej. To nie mógł być powód zamordowania Avarone'a. Niemożliwe.

- Niemożliwe? - zaprotestował Davlet. - A skąd pan może wiedzieć? Skąd taka pewność?

- Saxon nie boi się śmierci - rzekł Mnich, zupełnie nie poruszony agresywnością młodego człowieka.

- Nie obawia się śmierci? - wykrzyknął Davlet.

- Nie.

- To jakiś kamikadze czy co?

Matthias Delange potrząsnął głową.

- Kamikadze szli na śmierć - powiedział enigmatycznym tonem - i wielu z nich musiało jej się bać. Saxon jej się nie obawia. On nie idzie na śmierć... on już umarł.

- Co pan opowiada? - wybełkotał Davlet.

- Dlatego właśnie jest wyjątkowy... nadzwyczajny. Uczyniliśmy z niego istotę nieprzeciętną.

- Co? Co uczyniliście?

Mnich jakby skulił się, po czym odpowiedział:

- Wmówiliśmy mu, że musi umrzeć, że jest chory na śmiertelną chorobę.

- Boże jedyny!

Nastąpiły lakoniczne wyjaśnienia, w jaki sposób Michael Deves po wizycie u lekarza z powodu coraz częściej powtarzających się migren dał sobie wmówić, przy udziale szwajcarskich specjalistów, a także lekarzy z paryskiego wojskowego szpitala Val-de-Grâce, że ma glejaka, nieuleczalnego guza mózgu.

- Odważyliście się to zrobić... - wyszeptał Davlet, przygnębiony i zniechęcony. - Za kogo się uważacie?

- Potrzebujemy takiego człowieka - wtrącił Saint-Jean, którego głos ani twarz nie zdradzały żalu czy jakichkolwiek wyrzutów sumienia. - Saxon był niezbędny dla „Gromu”... a „Grom” niezbędny dla naszego kraju.

- I kto to mówi? - rzekł Davlet z trudem się opanowując. - Pan?

A kim pan jest, że pan to mówi? - patrzył po kolei na wszystkich.

- Kto pana wybrał?

Spokojna i zimna odpowiedź Saint-Jeana zdziwiła młodego deputowanego.

- Powiedzmy, że słyszeliśmy głos, panie Davlet.

Zapadło długie milczenie.

Wreszcie zabrał głos De Lorraine. Mówił władczym tonem, zapewnił młodego człowieka, że rozumie jego reakcję, ale powinien on uwierzyć, że gestorzy „Gromu” mieli tylko jeden cel: służyć Francji działając w jej obronie wszelkimi możliwymi sposobami. Nie robili tego z lekkim sercem, może być pewien; robili to, bo ktoś musiał robić. I dalej będą tak postępować, nawet za cenę - tak jak Avarone i Nevilles - utraty życia.

Davlet uprzejmie przyjął to do wiadomości, uwierzył generałowi i innym, a zebranie potoczyło się dalej w już pogodniejszej atmosferze. Omawiano paradoksalne wypaczenie misji Saxona, zrazu życiodajnej dla „Gromu”, która potem z niewiadomych przyczyn stała się śmiertelnie niebezpieczna.

- Zabił Avarone'a i Nevillesa, a my nie wiemy dlaczego - powiedział Mnich. - Nie miał żadnego powodu, aby to zrobić, ale to zrobił. Być może należy przez to rozumieć, że Saxon dowiedział się czegoś, czego nie powinien był wiedzieć, i nie zaakceptował tego. Rzecz bardzo możliwa. Nie mamy jednak żadnej szansy, aby się dowiedzieć... Jak już powiedziałem, Avarone był jedynym łącznikiem między nim a nami. Jedynym. A może jest to po prostu zatruwający jad, który sowieci sączyli nam od samego początku? Dlaczegoż by nie?

- A jeśli padł ofiarą okoliczności? - odezwał się nagle Davlet.

Spojrzenia Starożytnych skierowały się ku niemu.

- Więcej nawet, jeśli padł ofiarą machinacji? Bo przecież był pan tak szalony, przepraszam za słowo, aby uknuć tę historię, a ci, którzy siedzą naprzeciw pana, są tak samo szaleni, prawda?

Młody poseł poczuł, jak nagle rozwiewa się początkowe zainteresowanie jego słowami.

- Nie można tego wykluczyć, istotnie - rzekł grzecznie Mnich.

- Ale to nie leży w ich interesie.

- Dlaczego?

- Nie psuje się zabawki, zanim się nie odgadnie, jak działa jej

mechanizm. Tak czy inaczej nie to nie zmienia w naszej kwestii: Saxon dalej stanowi zagrożenie dla „Gromu”, bez względu na to, czy jest aktywny czy pasywny... Powiedziałem już, że tam wrócił. Bóg jeden wie, co tam robił, co odkrył. Najpilniejsza sprawa teraz - to zlikwidowanie go. - Mnich popatrzył Davletowi w twarz. - Nie ma innego wyjścia. Przerwać wszystko. Wtedy będziemy mieli czas na ocenę szkód i na zastanowienie się, w jaki sposób ponownie uruchomić całą maszynę. Znajdziemy jakieś rozwiązanie, aby zastąpić Saxona... Przynajmniej mam taką nadzieję. Ciszka.

- Czy naprawdę nie macie żadnego sposobu, aby skontaktować się z tym człowiekiem?

- Nie.

- A kobieta, o której pan mówił?

- Nic o niej nie wiemy.

- A z jego strony... jest może jakaś szansa na...

- On nawet nie wie o naszym istnieniu.

- Jest pan tego pewien?

Mnich potwierdził ruchem głowy.

- My nie istniejemy, panie Davlet, ani dla niego, ani dla nikogo innego. Pracował dla Avarone'a, a Avarone należał do DGSE – to wszystko. Tak jak i Nevilles. - Mnich zamilkł na chwilę, zastanawiał się. - Ale dlaczego to zrobił? Zabił ich obu. Wszyscy chcą go dostać za to, co zrobił, a on chyba o tym teraz wie.

Po chwili namysłu Davlet spytał:

- Naprawdę macie zamiar odnaleźć go w tych warunkach?

- Wiele osób go poszukuje. Za wiele jak na jednego człowieka.

- A jeśli nie wy pierwsi go złapiecie?

- Wtedy zastanowimy się, co robić. Nie wydaje mi się, aby to było najważniejsze.

- Najważniejsze jest, aby umarł, prawda?

- To pytanie czy wniosek, panie Davlet?

Młody poseł najeżył się. Zawahał się chwilę.

- Proszę nie zmuszać mnie do odpowiedzi na to pytanie - powiedział poważnie. - Jeszcze nie teraz.

Mnich przybrał minę pełną zrozumienia.

- Musi umrzeć, panie Davlet. Musi umrzeć.

- No i co? - spytał generał Kieffer, gdy wrócił do gestorów „Gromu”. Właśnie odprowadził Francisa Davleta.

- Myślę, że dokonaliśmy prawidłowego wyboru - rzekł Mnich, wyrażając ogólną opinię.

- Doskonale się nadaje - zgodził się generał Kieffer.

- Powiedział panu coś?

- Spytał, jak to się dzieje, że obywamy się bez aspiryny.

Dyskretne uśmiechy wypełzyły na usta Starożytnych.

- To wszystko? - zaniepokoił się Mnich.

- Nie - odpowiedział generał Kieffer, tym razem poważnie. - Za-  
dał mi też dwa pytania. Dwa pytania, na które oczywiście nie mogłem  
odpowiedzieć - dodał z przebiegłą miną - bo posiedzenie zostało już  
zamknięte.

- Czy rzeczywiście wywieźliśmy bomby, tak? - odezwał się generał  
De Lorraine.

- Nie, pytanie było bardziej dociekliwe - zapewnił szef sztabu pre-  
zydenta Republiki. - Najpierw spytał, czy naprawdę „zakopaliśmy”  
bomby w ZSRR... Drugie pytanie brzmiało, czy nie mamy ich jeszcze  
gdzie indziej.

Zapanowała cisza.

- Niesłychane, rzeczywiście - powiedział Mnich.

Dwadzieścia cztery godziny później los, który dotąd nie oszczędzał  
„Gromu”, nagle zmienił bieg wydarzeń. Nastąpiło coś, co miało  
umożliwić gestorom jeśli nie całkowite opanowanie gry, to przynaj-  
mniej odzyskanie inicjatywy. Wydarzenie to było zupełnie nieocze-  
kiwane, jak zwykle bywa w takich przypadkach, i nastąpiło podczas  
przyjęcia, na którym spotkało się kilku starych przyjaciół, we wspa-  
niałym paryskim mieszkaniu z oknami wychodzącymi na ogrody  
Champ-de-Mars i wieżę Eiffla. Jednak wbrew pozorom wydarzenie  
to nie było dziełem przypadku.

Pan domu nazywał się Armand de Fayette, niegdyś był członkiem  
Ruchu Oporu, obecnie emerytowanym dyplomatą. Pod koniec przy-  
jęcia Fayette poprosił na stronę jednego z gości, aby omówić z nim  
sprawę - jak sądził - dość pilną. Sprawa jest niezbyt jasna, powiedział  
na wstępie, ale chce ją jakoś rozwiązać, bo zamieszana jest w to oso-  
ba, którą darzy przyjaźnią i której rodzina była mu bardzo bliska.

Zwraca się więc do starego przyjaciela, bo chciałby pomóc owej osobie, chciałby pomóc jej wyjść z niebezpiecznej sytuacji, w jakiej się znalazła.

- Jak ona się nazywa? - spytał stłumionym głosem Matthias Delange, gdy stary dyplomata wyłożył mu całą sprawę.

- Maria d'Elancourt.

Następnego dnia Matthias Delange spotkał się z Robertem Saint-Jean. Spotkanie odbyło się w pustym mieszkaniu w okolicy paryskiej Giełdy. Delange natychmiast zdał sprawę z rozmowy, jaką tego rana odbył z Marią d'Elancourt.

- Skąd ona się wzięła? - spytał Saint-Jean.

- Nie mam pojęcia. Chyba należy do personelu Avarone'a.

- Wierzy jej pan?

- W jakiej sprawie?

- Że to nie on zabił Avarone'a. I ta historia zdrady... - Na te słowa Saint-Jean znieruchomiał. - A jeśli to jest...

- Garbo?

- Tak.

Mnich przez chwilę zastanowił się nad taką możliwością, później zrobił minę, jakby chciał powiedzieć, że to raczej nieprawdopodobne.

- Myślę, że to nie jest takie skomplikowane - rzekł. - Sądzę, że ona działa w dobrej wierze, ale mam wrażenie, że jest zatruta. Saxon ją zatruł. Po raz kolejny wysługuje się nią.

Saint-Jean w milczeniu przyjął to do wiadomości.

- Tak czy inaczej to nic nie zmienia w całej sprawie - ciągnął Mnich. - Prześcignął nas w Związku Sowieckim. Teraz za dużo wie.

Saint-Jean spytał:

- Może posłużyć się nią, aby go złapać? Mnich uniósł brwi, miał minę niezdecydowaną.

- Rzecz w tym, że ona jest po jego stronie.

- Można ją przerobić.

- Wątpię. Najwyraźniej go kocha... Poza tym jest bardzo nieufna, wyjątkowo nieufna.

- Ma jakiś sposób kontaktowania się z nim?

- Mówi, że nie, ale jestem przekonany, że kłamie. Można by zmusić ją do mówienia, ale to byłby błąd. Jest nam potrzebna, musi z nami współpracować. Najpierw jednak musi nabrać do nas zaufania, a to, co już przeżyła...



- Jest jeden sposób - rzekł Saint-Jean i zrobił minę, jakby natychmiast pożałował własnych słów. - Sposób na to, aby nabrała do nas zaufania, sposób, który zmusi ją do szczerzej współpracy z nami, a wtedy namówi go do powrotu.

- Co to za sposób?

- Ona go kocha.

- Nie rozumiem...

- Ona go kocha i sądzi, że on umrze.

- Powiedzieć jej prawdę - rzekł cicho Mnich. Utkwił wzrok w jednym punkcie, zdawało się, że usiłuje rozważyć konsekwencje i ewentualne ryzyko takiego rozwiązania. - Właśnie tak - powiedział w końcu. - To jedyne, co można zrobić. Trzeba jej powiedzieć, że sprawa się zaciemniła, że błądzimy jak we mgle i potrzebujemy go, żeby to rozwiązać... Musimy też dodać, że dostaliśmy inne diagnozy lekarskie, że to wszystko nieprawda, że chcemy zrozumieć, tak, zrozumieć - podkreślił to słowo - co się dzieje i dlaczego tak z nim postąpili... Ona na to pójdzie.

- Jeśli to zrobimy - odezwał się Saint-Jean - pozbędziemy się możliwości manewru. Chyba pan zdaje sobie sprawę?

Mnich pojął, co Saint-Jean chciał powiedzieć.

- Nie ma już możliwości manewru - zapewnił zimno.

Były szef służb specjalnych przymknął oczy.

- Było już wiele trupów, Matthias - powiedział z żalem.

Mnich zdrętwiał, tak jakby nagle sobie to uświadomił.

- Ale nie dało się inaczej, prawda? Mnich dalej milczał.

Po chwili Saint-Jean wziął się w garść. Z porozumiewawczym smutnym uśmiechem powiedział:

- Co robić, gdy ogarnia człowieka zwątpienie?

- Powiedzieć sobie, że wróg także wątpi - odrzekł Mnich jakby do siebie.

Telefon robił wrażenie małego sfinksa, który wtedy dopiero zadzwoni, gdy sam uzna, że należy przerwać milczenie.

Michael siedział wpatrzony w aparat, czuł się zupełnie bezsilny; bezgłośnie wypuszczał z ust dym papierosowy, wstrzymywał oddech, jakby najmniejsze tchnienie mogło zakłócić niewidzialny sygnał elektroniczny, który w wyobraźni Michaela przebiegał wewnątrz aparatu.

Co się stało?

Bez przeszkód opuścił Aprelewską, okrężną drogą pojechał do lasu Krastyskoje, gdzie wykopał pieniądze i szwajcarski paszport, po czym umieścił półciężarówkę z bombą w samym środku Moskwy, w garażu, o którym mówił Tołstoj. Była to w rzeczywistości zwykła przegroda w baraku pokrytym blaszanym dachem, w oficynie starej kamienicy nie opodal Arbatu. Później zatelefonował do tygodnika „Argumenty i Fakty”, gdzie odnalazł Irinę, która była zachwycona jego telefonem, a jeszcze bardziej ponownym zaproszeniem do gruzińskiej oberży. Kiedy znaleźli się już na miejscu, Irina rozkoszowała się sauną i basenem, a w tym czasie Michael zatelefonował do Wilson Center w Genewie.

Zastał wiadomość od Marii. Wiadomość sprzed niespełna sześciu godzin głęboko go zdumiała. Maria podała numer telefonu i kazała mu natychmiast zadzwonić: „Błagam cię, Michaelu, zrób to. Zrób to!” Najbardziej zadziwiający w tej wiadomości był numer telefonu... numer moskiewski!

Maria jest w Moskwie!

Dzwonek telefonu nagle rozdarł ciszę.

- Michael! Pozwól mi mówić! - westchnęła, prawie jęknęła. - Michael, posłuchaj, to już postanowione... nie powinnam była przyjeżdżać, ale przyjechałam, stało się, jestem tutaj, teraz jestem tutaj! I chcę się z tobą spotkać, słyszysz? Chcę się z tobą spotkać! Są pewne...

- Przestań!

- Błagam cię, posłuchaj!

- Gdzie jesteś?

- Michael!

- Gdzie jesteś?

- W Moskwie - westchnęła.

- Wiem, że w Moskwie! Ale gdzie?

- Michael, przestań wreszcie...

- Odpowiadaj!

- Przy alei Kutuzowa - powiedziała jednym tchem.

- W tym samym miejscu?

- Tak.

- Jesteś sama?

- Tak.

- Ktoś o tym wie?

- Nie.

- Nikt? Jesteś pewna?

- Tak!

- Kuzyni, z którymi rozmawiałaś, wiedzą?

- Nie.

- Wiedzą, kim jesteś?

- ...Nie.

- Tak czy nie?

- Nie!

Milczenie.

- Wracaj pierwszym lepszym samolotem i daj spokój. Nie chcę, żebyś z nimi rozmawiała. Nie zasługują na to. Żaden z nich na to nie zasługuje, słyszysz? Żaden z nich!

- Michael, mylisz się!

- Cała rodzina jest przegniła.

- Nie! Przysięgam, że się mylisz!

- Odrzucili mnie i to samo zrobią z tobą. Rozumiesz? Dokładnie

to samo zrobią z tobą. Nie potrzebują nas, nigdy nie potrzebowali. A teraz już nie wybaczą, już nie. Teraz jestem tego pewien.

- Michael, posłuchaj! Znalazłam ludzi, którzy są po twojej stronie, nie jesteś sam! Chcą zrozumieć, jak to wszystko mogło się stać, chcą pomóc!

- Tak ci powiedzieli?

- Tak! To prawda!

- Prawda... jest kłamstwem.

- Co mówisz? - jęknęła cicho.

- Zbudowali wokół prawdy mur kłamstwa.

- Nie wszyscy, Michael, mylisz się! Mam na to dowód!

- ...

- Słyszysz? Mam na to dowód! Muszę się z tobą zobaczyć!

Milczenie.

- Michael, ja... zapewniam cię, że wszystko będzie dobrze. To znaczy... Och, Boże... - smutno westchnęła. - Zapewniam cię, że wszystko w porządku, słyszysz? Nie bój się o mnie. Wszystko w porządku.

Milczenie.

- Michael.

- Mówisz, że masz dowód?

- Tak.

- I dlatego chcesz się ze mną zobaczyć?

- Tak!

- W Moskwie?

- Tak.

- Nie mogę, nie teraz.

- Dlaczego?

- Nie jestem w Moskwie. Muszę mieć trochę czasu, żeby się uwolnić... Sporo osób chce się tu ze mną spotkać... Muszę znaleźć sposób, żeby jakoś je ominąć.

- No tak... rozumiem.

- Cholera! Muszę kończyć!

- Co?... Michael! Co się dzieje?

- Nie wychodź, zadzwonię później!

Drżącą ręką Maria odłożyła słuchawkę.

Siedziała osłupiała, wbijając wzrok w mężczyznę i kobietę, którzy siedzieli naprzeciw niej. „Absolutnie pewni współpracownicy”,

zapewnił ją Matthias Delange w Paryżu. „Pojadą z panią”. Zobaczyła, jak kobieta odejmuje od ucha małą słuchawkę i podaje mężczyźnie krzątającemu się przy magnetofonie i jakimś drugim aparacie, zupełnie Marii nie znanym.

Kobieta wstała i usiadła blisko Marii.

- Wygląda pani na bardzo poruszoną. Czy dobrze się pani czuje?  
- spytała łagodnie. Miała około trzydziestu pięciu lat, nie była ani brzydka, ani ładna, raczej wysoka, wyglądała na wysportowaną; nad jej górną wargą widać było ciemny meszek.

Maria spojrzała na nią, po czym odpowiedziała:

- Myślę, że zdaje pani sobie sprawę z tego, co pani robi.  
- Proszę się nie niepokoić - odrzekła kobieta. Ręką objęła Marię za ramiona. - Wszystko idzie dobrze. Zobacz pani, wszystko będzie dobrze. - Ścisnęła lekko ramiona Marii i uśmiechnęła się. - Doskonale daję sobie pani radę, proszę niczego nie zmieniać. Widzi pani, w jakim on jest stanie. Delange miał rację. Dobrze, że nie powiedziała mu pani prawdy, mogłoby to wywołać gwałtowną reakcję.

Maria przymknęła oczy.

- Niech pani nie czuje się winna - mówiła dalej kobieta. - To je-dyne, co możemy zrobić. On już jest bliski obłędu. Jeśli chcemy go odzyskać, musimy delikatnie wziąć go za rękę i jeszcze delikatniej przeprowadzić... To właśnie pani powinna wziąć go za rękę, tylko pani może to zrobić. Zgoda?

Maria przytaknęła ruchem głowy.

- Zgoda? - nalegała kobieta.

- Tak - wyszeptała Maria.

- Dobrze.

Maria wstała.

- Dokąd pani idzie?

- Do łazienki - odpowiedziała ulegle.

- Na pewno czuje się pani dobrze? - zaniepokoiła się kobieta, obser-wując ją przenikliwie.

Maria dała znak, że wszystko w porządku.

Zamknęła się w łazience nie blokując drzwi, zgodnie z poleceniem kobiety. Znieruchomiła. Dławiła ją cisza. Pociągnęła za łańcuch od rezerwuaru, odkręciła kran nad umywalką, opłukała twarz zimną wodą i stanęła przed lustrem. Zdziwiła się bardzo, że na twarzy nie

widać śladu cierpienia. Jeszcze bardziej przytłoczyło ją poczucie samotności i niemocy.

Mój Boże, spraw, żeby nie oszaleć, prosila bezgłośnie. Spraw, aby nie oszaleć, błagam!

Oparła się dwiema rękami o umywalkę i wyteżając wzrok patrzyła na siebie.

Boże, spraw, żeby mi to powiedział, błagam. Dlaczego nie powiedziałeś? Powiedz mi, Michael! Powiedz!

Michael odłożył słuchawkę i siedział nieruchomo. Nie był w stanie się poruszyć. Serce waliło mu jak młotem w zwolnionym tempie, uderzenia wstrząsały całą klatką piersiową.

Ciągle jeszcze brzmiał mu w głowie głos Marii.

„Wszystko w porządku...”

Miał wrażenie, okropne wrażenie, że serce pompując powietrze do płuc robi miejsce ogarniającej go przytłaczającej bezgranicznej trwodze.

„Zapewniam cię, że wszystko w porządku...”

Kłamstwo!

„Zapewniam cię, że wszystko w p o r z ą d k u . . . ”

Sklamała! Zmusili ją do kłamstwa! Wiedział, był tego pewien, powiedziała mu to: „w porządku” było przeciwieństwem „w najlepszym porządku”, „w porządku” było zakodowanym sygnałem, za którego pośrednictwem dała mu do zrozumienia, że rozmawia pod przymusem!

Wpadła w ich łapy, posłużyli się nią, żeby go ściągnąć!

Maria była w ich rękach!

Tak! Ale przynajmniej jest żywa! Ona żyje, powtórzył do siebie walcząc z duszącą go trwogą. Pomyśl o tym, trzymaj się tego: ona żyje! Możesz jeszcze coś zrobić. Sprawa nie jest całkiem przegrana!

Usiłował uspokoić się i zastanowić. Przypomniał sobie rozmowę i był zadowolony, że zareagował właśnie w ten sposób, że przerwał rozmowę, a przede wszystkim nie potwierdził odebrania sygnału. Zgodnie z umową powinien był to zrobić, powinien był przemycić do rozmowy umowne słowo: „reszta”, potwierdzające, że odebrał sygnał i bierze go pod uwagę. Teraz jednak powstrzymał się od tego, gdyż doszedł do wniosku, że ostrożniej będzie odwlec potwierdzenie sygnału. Im dłużej o tym rozmyślał, tym bardziej był pewien, że podjął słuszną decyzję. Zważywszy okoliczności, niebezpiecznie byłoby

potwierdzić sygnał od razu, bez przygotowania. Wiedział, że jego rozmowa z Marią, sama Maria, jej głos, jej reakcje, wszystko zostanie dokładnie zbadane i przeanalizowane, dziesięć razy, może sto razy - mają aparaty i specjalistów do tego rodzaju pracy... Dzieliąc rozmowę na odcinki, maksymalnie oddalając od siebie oba sygnały, stwarzał dodatkową szansę na to, że związek między nimi nie zostanie dostrzeżony, ponieważ wypowiedź będzie zbyt skomplikowana, a margines błędu zbyt szeroki. Stworzył sobie ponadto możliwość zastanowienia się nad sposobem jak najlepszego zamaskowania swego sygnału czy raczej zakamuflowania niepokoju, jaki ten sygnał zapewne wywoła u Marii - poda inny sygnał, bardzo podobny, lecz taki, który nie wyda się podejrzany.

Och, mój Boże! Rozgrywka chyba będzie bardzo trudna. Już jest. Tysiące razy trudniejsza niż przypuszczał!

Maria jest w ich rękach! Ogłuszało go bicie własnego serca, czuł się jak biegacz, który patrzy na plecy oddalających się współzawodników przykuty do pasa startowego. Co teraz zrobisz? Zabiją ją!

Nie wiem!

Musisz ją z tego wydobyć. Musisz znaleźć jakieś wyjście, musisz koniecznie. Jeśli nie - zabiją ją!

I nagle, nie wiadomo skąd, znalazło się rozwiązanie tak nęcące, tak oczywiste, tak śmiertelnie niebezpieczne jak niezdojty szczyt widniejący na horyzoncie. Gdy je dostrzegł, przeszył go dreszcz; ogarnął go strach, gdy uświadomił sobie, co musi zrobić.

Nie masz wyboru, myślał rozdygotany. To jedyne wyjście... Szalone, ale jedyne!

Pomyślał o Marii i zaczął bać się także za nią.

Żeby tylko o wszystkim pamiętała... Na miłość boską, żeby tylko pamiętała!

- Halo? Michael? Michael, to ty?

Deves miał wrażenie, że Maria jest obok, całkiem blisko, delikatna, czuła i troskliwa.

- Tak - powiedział odsuwając nieco słuchawkę od ucha.

- Och! Tak się przestraszyłam! Co to było?

- Nic. Nic poważnego. Po prostu tu jest dużo ludzi, to znaczy nie bardzo mogą robić to, co chcę, rozumiesz?

- Rozumiem, tak...
- Dobrze. Musimy się pospieszyć - powiedział - zgadzam się.
- Zgadzasz się? - krzyknęła zaskoczonym głosem.
- Tak.
- Spotkasz się ze mną?
- Tego chyba chcesz, prawda?
- Tak... Oczywiście, tak!

Wzruszyło go jej wahanie. Bał się, aby nie stchórzyła, powiedział więc:

- Pod jednym warunkiem.
- Jakim?
- Wysłucham, co masz mi do powiedzenia, po czym odejdziesz, tak jak przysłaś, bez dyskusji! I tym razem zrobisz to, co ci powiem. Zgoda?

- Zgoda - westchnęła cicho.
- Nie, nie chcę takiej odpowiedzi. Chcę mieć pewność, że tym razem będziesz posłuszna.

- Będę posłuszna, Michael.

Deves drgnął. Miał wrażenie, że ktoś inny przemawia jej głosem.

- Przysięgnij - powiedział oschle.

- Michael!

- Przysięgnij!

- Przysięgam.

Zamilkła.

Przygotuj ją.

- Posłuchaj, Mario. Przyjadę do ciebie.

- Co? Co mówisz?

Znowu milczenie.

- Mario, kochasz mnie? - spytał dziwnie łagodnie. - Czy naprawdę mnie kochasz?

- Och! Michael...

- Odpowiedz.

- ...

- Nie chcesz powiedzieć?

Cicho zajęczała.

- Oczywiście! Oczywiście, kocham cię, wiesz, że cię kocham!

Dlaczego pytasz o coś tak...?



- Muszę mieć pewność, Mario. Nigdy niczego nie chciałem być tak pewien.

- Kocham cię, Michaelu! Kocham! Mój Boże, ale dlaczego? Dlaczego? - krzyczała.

- Wszystko przemyślałem - powiedział. - To ty miałaś rację: to nie ma żadnego sensu, żadnego znaczenia... Nie potrafię już przywiązywać do tego wagi, rozumiesz? Nie potrafię... Potrzebuję ciebie, Mario - powiedział przytłumionym głosem.

- Och! Michael!

- Nie wiem, czy mam prawo... Nie wiem, czy uda mi się to przetrwać, ale chcę spróbować, chcę żebyśmy spróbowali...

Deves przestał mówić. Usłyszał oddech Marii, głośny, przerywany. Teraz!

- Kocham cię - powiedział - i chcę być z tobą przez resztę mego życia... Resztę tego co mi pozostało - dodał z wymuszonym rozgoryczeniem w głosie.

Maria westchnęła tak żałośnie, że poczuł ukłucie w sercu.

- Mario?

- Michael, jest jeszcze coś... - mówiła stłumionym głosem.

- Nie! Nic już nie mów. Chcę, żebyś się nad tym zastanowiła. Porozmawiamy później. Nie chcę, żebyś decydowała pochopnie. Najpierw musisz to przemyśleć, rozważyć wszystkie ewentualne konsekwencje, wszystko! Wszystko co może z tego wyniknąć. Zgoda?

- Zgoda.

- Obiecuj, że się nad tym zastanowisz.

- Obiecuję.

Milczenie.

- No, dobrze - odezwał się. - Jeśli chodzi o spotkanie, daj mi jeszcze czterdzieści osiem godzin. Widzimy się w tym samym miejscu co ostatnim razem, o tej samej godzinie. Okey?

- Tak.

Michael błagał w myśli niebios.

- Ale tym razem, Mario, proszę cię, uważaj.

- Na co?

- Na wszystko! Po pierwsze, ubierz się tak jak wszyscy! Nie powinnaś niczym ryzykować, nie powinnaś się wyróżniać! Zrozumiałaś? Zachowaj spokój bez względu na to, co się wydarzy! Nie rób nic, co

ściągnie na siebie uwagę, w przeciwnym razie nie uda się. Zrozumiałaś?

- Tak. Chwila ciszy.

- Do zobaczenia pojutrze - powiedział i odłożył słuchawkę. Kobieta zdjęła słuchawkę i odetchnęła z ulgą.

- Otarliśmy się o katastrofę - powiedziała. Spojrzała na Marię z wyrzutem.

- Przykro mi - szepnęła Maria drżącymi wargami i odwróciła się nieco.

- Mało brakowało.

- To było silniejsze ode mnie... To wszystko nie ma sensu! - krzyknęła Maria zdenerwowana do ostatecznych granic. - Nie może pani tego zrozumieć?

Błysk niepokoju pojawił się w oczach kobiety. Wstała trochę zakłopotana, po czym uśmiechnęła się przepraszająco i usiadła obok Marii.

- Oczywiście, że rozumiem, doskonale rozumiem – powiedziała życzliwie. - Proszę mi wybaczyć... Naprawdę przepraszam. Ciągłe myślimy tylko o nim i w końcu zapominamy o tym, co pani przeżywa. To rzeczywiście bardzo niesprawiedliwe. - Objęła Marię za ramiona. - Już dobrze..? Rozluźniła nieco uścisk, aby Maria mogła głębiej odetchnąć. - Proszę się nie przejmować, wszystko będzie dobrze. - Uważnie patrzyła na Marię. - Gdzie odbędzie się spotkanie?

Maria siedziała jak ogłuszona.

Kobieta nie spuszczała jej z oczu, wzięła ją za ramiona i potrząsnęła lekko, bardzo delikatnie.

- Gdzie to jest? - ponowiła pytanie cichym głosem.

- Na Placu Czerwonym - powiedziała Maria wbrew sobie.

- O której godzinie?

- O wpół do czwartej.

- Margines spóźnienia?

- Pół godziny.

- Powtórne spotkanie?

- Po dwudziestu czterech godzinach w tym samym miejscu.

- Dobrze - powiedziała kobieta z namysłem. Wymieniła krótkie spojrzenie z mężczyzną siedzącym przy magnetofonie, później znowu

przyglądała się Marii. Można było wyczuć, że trochę się waha. - Co to za historia z ubraniem? - spytała nagle.

- Słucham?

- Prosił, żeby ubrała się pani tak jak wszyscy. Dlaczego? Co to znaczy?

Maria spojrzała na nią pytająco i wzruszyła ramionami ironicznie wdychając.

- Robił mi wymówki, że wyglądam za bardzo „po zachodniemu”, że zwracam na siebie uwagę... Odpowiedziałam, że bardziej niebezpieczne byłoby, gdybym wyglądała jak wszyscy, ale zdaje się, że go to nie przekonało.

- Co to znaczy: jak wszyscy?

- Gdybym przebrała się na tutejszą modłę, ci, którzy mnie ewentualnie śledzą, mogliby się zorientować.

- Zauważyła pani, że ktoś panią śledzi?

- Nie! Właściwie nie wiem. Ale nie w tym problem, przecież mogłoby się tak zdarzyć...

- Rozumiem.

Kobieta przez chwilę patrzyła na Marię uważnie, po czym wymieniła spojrzenie z mężczyzną siedzącym przy magnetofonie. Mężczyzna niepostrzeżenie skinął głową. Kobieta znowu odwróciła się do Marii, która siedziała nieruchomo patrząc przed siebie.

- To raczej pani ma rację. Ale proszę zrobić, o co prosi. Tak będzie lepiej.

Milczenie.

- Nie sądzi pani?

- Słucham? - spytała Maria, jakby wracając do rzeczywistości.

Kobieta uśmiechnęła się pobłażliwie.

- Trzeba zrobić to, o co prosi... Jeśli to dla niego takie ważne... Tak będzie lepiej.

Maria odgarnęła włosy z czoła, przez chwilę przytrzymała je dłonią, jakby pomagało jej to przemyśleć ten aspekt sprawy.

- Dobrze - powiedziała bardzo cicho.

Maria leżała w swoim pokoju, była zupełnie zdezorientowana. Sama już nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nie wiedziała, w co ma wierzyć ani komu ma wierzyć. Im? Jemu? Im, gdy mówią, że on oszalał i że chcą

go odzyskać? Jemu, gdy twierdzi, że oni wszyscy są przegnili do cna, i wydaje się tak pewny siebie? Dręczył ją okropnie ten zwykły fakt, że zadaje sobie teraz takie pytania.

Krótko trwała ulga, jaką odczuła, gdy Michael wypowiedział sygnał potwierdzający. Bo dowodziło to, że w pewnym sensie się pomyliła, że Michael nie postradał zmysłów wbrew jej przypuszczeniom, wbrew przypuszczeniom, jakie jej narzucono. Miał ciągle trzeźwą głowę, bardziej niż kiedykolwiek panował nad sobą i swoimi poczynaniami. Mój Boże, co ty zrobiłaś? A jeśli się pomyliłaś?

Przynajmniej został ostrzeżony, powiedziała do siebie. Zdała sobie jednak sprawę z niekonsekwencji swojego postępowania i dręczyła się coraz bardziej.

Ostrzeżony o czym? Nie wiem. O niebezpieczeństwie? Jakim niebezpieczeństwie? Nie wiem... Nie masz już do nich zaufania? Mam! No to o czym został ostrzeżony? Nie wiem! Jednak nie masz do nich zaufania, prawda? Mam! Nie! Nie wiem, już nie wiem!

Postępowała jak dziecko, nieświadome, nieodpowiedzialne dziecko. Nie posłuchała go, bo poczuła się już na tyle silna, na tyle dojrzała, że zaczęła działać w jego interesie w pojedynkę, z własnej inicjatywy, tak jakby tylko ona była w stanie podjąć słuszną decyzję. Poszła tam, mimo że on tego nie chciał, zaciągnęła go tu wbrew jego woli, a w chwili gdy zbliża się katastrofa, oddaje mu stery, bo nie potrafi stanąć na wysokości zadania. Zdaje się na niego, bo chce, aby to on zdecydował, co należy uczynić, żeby wyjść z tej sytuacji.

Mój Boże, co ja zrobiłam?

Zdawało jej się, że zaraz się udusi. Uniosła się na łóżku i przez nie zasłonięte okno patrzyła w ciemność. Przez drzwi dolatywał dźwięk telewizora z salonu. Kobieta wyszła, został tylko mężczyzna. „Tak będzie lepiej”, powiedziała kobieta. „Nigdy nie wiadomo, co się może stać”. Co się może stać, zastanawiała się Maria zupełnie skołatana.

Jestem więziona?

Przeraziło ją i przytłoczyło nie tyle samo pytanie i to, co się za nim kryło, ile raczej fakt, że nie jest w stanie na nie odpowiedzieć. Pomyślała o Michaelu, jakby tylko to jedno mogło przywrócić jej odwagę.

Chcę być z tobą do końca życia... Do końca tego, co mi jeszcze zostało.

Niespodziewanie zadźwięczały w niej te słowa, poczuła się jeszcze bardziej przygnębiona.

Och! Michael, kochanie... To nieprawda, ty nie umrzesz! Dlaczego mu tego nie powiedziała? Dlaczego ich posłuchała? Och, kochanie, gdybyś tylko wiedział! Jakże to straszne! Jakże niesprawiedliwe! Gdybyś tylko wiedział... Jak mogłam nie powiedzieć ci o tym? Przebac, Michael. Przebac mi! Błagam cię, przebac!

Przez dłuższą chwilę tak się dręczyła. I nagle przyszło jej do głowy pytanie, które całkowicie zbiło ją z tropu:

Dlaczego skłamał?

Uzmysłowiła sobie, co Michael dał jej do zrozumienia. Nie mógł znieść myśli, że ona będzie przy nim w chwili śmierci... To dlaczego powiedział, że chce być z nią do końca swoich dni? Dlaczego? Czy mógł zmienić zdanie? Może samotność stała się dla niego nie do zniesienia - do tego stopnia, że chce do niej wrócić, chce umrzeć w jej ramionach...? Och, Michael, gdybyś tylko wiedział... Nie, to niemożliwe! Zna go dobrze, wie, że to niemożliwe. Musi być coś innego, na pewno jest jeszcze coś innego! Co chciał przez to powiedzieć?

Chcę, żebyś się zastanowiła...

Michael, zastanawiam się i zastanawiam, przysięgam, że się zastanawiam, ale nie rozumiem!

Chcę, żebyś się zastanowiła... Nie powinnaś ryzykować choćby w najmniejszym stopniu... Nie rób nic, co mogłoby ściągnąć na ciebie uwagę, Mario, w przeciwnym razie wszystko popsujesz... Nie powinnaś...

Nie powinnaś.

Maria miała wrażenie, że ktoś uderzył ją pięścią w pierś.

Kod! Jak mogła zapomnieć o kodzie!

Chciał jej coś przekazać, ale nie to, co przypuszczała. Chodziło nie tyle o treść, co o formę: forma wskazywała na treść!

Plac Czerwony... Nie powinnaś...

Czy o to chodzi, zastanawiała się zdrętwiała z przerażenia. Tego właśnie chce? Chyba oszalała!

Siedziała w ciemnościach, z bijącym sercem. A więc taki miał plan. Czuliła się tak, jakby stała na skraju ziejącej otchłani bez dna, a on kazał jej skoczyć, ale nie powiedział tego jasno i nic nie wytłumaczył.

Jeśli chcesz, Michael, zrobię to, wyszeptła cichutko ogarnięta jakimś upojeniem, które jednocześnie ją przerażało i unosiło... Ufam ci,kochany... Zrobię, co każesz... Zrobię, co każesz...

Następny dzień, sobota, późne przedpołudnie w parku Gorkiego. Słońce miejscami złociło niebo w kolorze endywii, ale było niewidoczne; przypominało o sobie tylko od czasu do czasu, gdy nieznacznie osłabiało dotyk mrozu na twarzy.

Deves siedział na ławce w samym środku parku. O tej porze spotkać tam można rzesze mieszkańców Moskwy. W powietrzu unosiły się krzyki i śmiechy dziecięce, zapach smażeniny i pieczonego mięsa. Tu i ówdzie ludzie czekali w ogonkach, lecz w radosnym nastroju, wokół odrapanych karuzeli i wielkich, pokrytych rdzą diabelskich młynów. Jedli oblizując palce, przechadzali się pochłaniając lody, jeździli z dziećmi na sankach, obejmowali się, robili zdjęcia albo po prostu siadali i obserwowali. Patrzyli na przykład, jak się ślizgają na zamrzniętych stawach, w lecie zaś - jak męczą się na łódkach lub rowerach wodnych.

Siedząc na ławce Michael widział największy staw. Zwarty tłum łyżwiarzy ślizgał się wokół, ludzie robili wrażenie uwięzionych w sieci walców wiedeńskich, ogłuszających, trzeszczących. Z dala brzmiało to jak szum jakichś dziwnych insektów, które obsiadły lód. Co pewien czas któryś odrywał się od ruchliwego roju, leciał nieco bliżej środka zamrzniętej tafli, po czym, wydając ostatni trzask, nieruchomiał jak bryłka lodu.

Michael odwrócił się tak, aby móc obserwować niewielką grupę ludzi, tłoczących się dziesięć metrów dalej wokół wózka sprzedawcy lodów. Namiętność Rosjan do lodów często wprawiała go w zakłopotanie. Jedzą je zawsze i wszędzie, o każdej porze roku, latem z nostalgią, zimą z radością, tak jakby odczucie zimna było najlepszym, co mogło ich spotkać na tej ziemi, jakby musieli - w zależności od pory roku - przypominać je sobie albo przeżywać aż do głębi.

Sprzedawca lodów w chwili wytchnienia spojrział na Michaela i uśmiechnął się do niego porozumiewawczo. Michael odwzajemnił uśmiech.

Rozpoczyna się gra, pomyślał.

Gra niebezpieczna. Gra, do której - jeśli ma potoczyć się tak, jak

sobie tego życzył - musiał wciągnąć jak najwięcej uczestników, nie wiedzących z kim, przeciw komu i w co będą grać.

Aby narzucić swój porządek, najpierw trzeba stworzyć nieład.

W końcu wyszedł z parku Gorkiego, przedtem jednak dał ostatni znak lodziarzowi. Był przekonany, że odegra on skromnie, lecz bez zarzutu swą rolę.

Teraz trzeba zdobyć broń.

W pobliżu monumentalnego grecko-stalinowskiego portyku, czyli głównego wejścia do parku Gorkiego, nie było taksówki. Deves wyszedł więc na Sadowoje Kolco i pomachał ręką. Nastąpiło to, co zwykle zdarza się w takich przypadkach: po kilku sekundach zatrzymał się jeden z kierowców i chętnie zgodził się podwieźć go do centrum, na ulicę Gorkiego, do hotelu Inturist. Kierowcy nie było po drodze, ale dziesięć dolarów warte było objazdu. Bardzo często automobilisci moskiewscy przy okazji stają się taksówkarzami; jest to nielegalne, ale bardzo wygodne i niewiele droższe niż zwykła taksówka.

W hotelowej „Bieriozce” kupił butelkę wódki, po czym już prawdziwą taksówką pojechał na Sadową Samotoczną, północną część okalającego śródmieście bulwaru. Kazał się zatrzymać nie opodal Teatru Marionetek, przeszedł ostrożnie szeroki, pokryty lodem bulwar i zapuścił się w wąską uliczkę pomiędzy dwiema dużymi kamienicami przy Sadowej.

Po lewej stronie w odległości dwudziestu metrów dostrzegł podwórko. Tam właśnie znajdowało się wejście do budynku, który go interesował. Przy wejściu nic specjalnego, chyba tylko niewidoczna z ulicy budka wartownicza ze stali i przyciemnionego szkła, ponieważ w budynku mieściły się - na co nic nie wskazywało - biura i mieszkania niektórych zagranicznych korespondentów prasowych, w tym i korespondentów Agence France-Presse.

Podwórko było puste. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że w budce nie ma nikogo, lecz Michael wiedział, że to niemożliwe. Za ciemnymi szybami stał niewidoczny milicjant albo funkcjonariusz KGB przebrany za milicjanta; przez całą dobę obserwował wchodzących i wychodzących, sprawdzał dokumenty odwiedzających, nie wpuszczał osób, które nie miały zezwolenia na spotkanie z zagranicznymi dziennikarzami.

Devesa mało obchodziło, czy jest to milicjant prawdziwy, czy nie.

Interesowało go jedynie, czy człowiek ten, bez względu na to, kim jest, ma przy pasie futerał z makarowem. Deves natychmiast uświadomił sobie, że właśnie ten pistolet to najłatwiejsza do zdobycia w Moskwie broń, ponieważ jej właściciel jest zupełnie sam. Michael zerknął przez ramię i nie zauważywszy nikogo, skierował się prosto do budki wartownika. Dolną część twarzy zakrył szalikiem. Bezpieczniej byłoby załatwić to po ciemku, ale nie miał czasu czekać.

Gdy był już dwa metry od wartowni, otworzyły się drzwi, stanął w nich milicjant średniego wzrostu i wieku, o czerwonej twarzy i łysiejącej głowie. Wystawił na zewnątrz tylko jedną nogę. Michael ucieszył się z tego, natychmiast podał paszport, żeby tylko milicjant nie wyszedł, i powiedział coś na temat pogody, jednocześnie szukając słabych punktów - tam właśnie należy zaatakować. W ułamku następnej sekundy stwierdził, że sprawa jest o wiele łatwiejsza niż przypuszczał i zrezygnował z uderzenia milicjanta butelką, którą miał w kieszeni. Oznaczało to, że nie przetnie mu tętnicy szyjnej odłamkiem szkła, jaki zostałby mu w ręku.

Dokładnie w chwili gdy milicjant otworzył paszport, aby lepiej przyjrzeć się dokumentowi, Michael złapał go lewą ręką za szyję, prawą przytrzymał za rękaw płaszcza, podciął nogi i powalił na ziemię. Zduszony jęk przerodził się w głośny chrapliwy gwizd. Michael padł na milicjanta całym ciężarem, wbijając mu kolano w żołądek. Rosjanin, w naturalnym, lecz zgubnym odruchu usiłował rozluźnić palce zaciśnięte wokół krtani. Michael wykorzystał to, schwycił go prawą ręką za włosy i trzykrotnie uderzył jego głową o metalowy kant; już przy drugim uderzeniu milicjant stracił przytomność.

Opuszczając minutę później podwórko Deves obejrzał się. Wszystko było tak samo jak zawsze - całkowity spokój. Żadnego widocznego śladu sceny, która się tu przed chwilą rozegrała. Milicjant znowu tkwił zamknięty w swojej budce wartowniczej, niewidoczny z zewnątrz tak jak przedtem, z tą jedynie różnicą, że teraz był nieprzytomny. Albo odzyska świadomość sam, albo pomoże mu kolega, który wcześniej czy później przyjdzie go zmienić; na razie nikt nie będzie mu przeszkadzał.

Deves oddalił się, nie myśląc już o milicjancie. Myślał tylko o tym, co powinien zrobić w ciągu najbliższych minut i godzin.

Najpierw to co najprostsze: Dworzec Kazański.



Mężczyzna po drugiej stronie drutu telefonicznego wydał stłumiony okrzyk:

- Ale kim pan jest?
- Już panu powiedziałem.
- Tak, wiem, obawiam się jednak, że to nie wystarczy.
- Będzie pan musiał się tym zadowolić.

Deves wyczuł w głosie swego rozmówcy wahanie, a także pewną dozę podejrzliwości.

- Dlaczego mówi pan po angielsku?
- Sądziłem, że tak będzie prościej dla pana, ale mogę to wszystko powtórzyć po rosyjsku, jeśli pan chce.
- Proszę bardzo, posłucham...

Deves powtórzył więc po rosyjsku tekst „Komunikatu numer 1 Frontu Odnowy Tatarów”. W komunikacie była między innymi mowa o „przebudzeniu narodu tatarskiego gnębnego przez Rosjan, a jeszcze bardziej przez komunistów ze Stalinem na czele”. To Stalin wygnał ich przecież z własnego kraju, z Krymu, nakazał masową deportację pod kłamliwym, haniebnym pretekstem, że Tatarzy podczas wojny kolaborowali z wojskami hitlerowskimi. Minęły już czasy milczenia i apatii Tatarów. Teraz wstrząsną Niedźwiedziem i odzyskają honor i ojczyznę

- Mówi pan po rosyjsku, to oczywiste - podsumował mężczyzna, gdy Deves skończył.
- I co pan o tym sądzi?
- Sam nie wiem... Skąd mam wiedzieć, że pan mówi prawdę?
- Nie rozumiem, w czym problem. O co panu chodzi?
- Chciałbym wiedzieć coś więcej na ten temat.
- Wszystko w swoim czasie.
- Nie możemy się spotkać?

Michael uśmiechnął się w duchu.

- Możemy - odpowiedział. - To zależy tylko od odpowiedniego obstawienia przez was jutro Placu Czerwonego.

Odwiesił słuchawkę i przez szybę budki telefonicznej poprzez szeroką ulicę Czajkowskiego obserwował zachodni odcinek ulicy Wielkiej Sadowej. W brudnym beżowo-żółtym budynku mieści się tam moskiewska ambasada Stanów Zjednoczonych.

Na pewno się uda - pomyślał z satysfakcją, wychodząc z budki.

W najmniejszym stopniu nie wątpił w skuteczność numeru, jaki

właśnie odegrał: był przekonany, że automat telefoniczny jest na podsłuchu z racji bezpośredniego sąsiedztwa „Głównego Wroga”; podsłuchiwana zapewne jest też linia telefoniczna jego rozmówcy w biurze Agencji France-Press. Michael powiedział co trzeba, a komputery KGB na pewno to wychwyciły i uruchomiły sygnały alarmowe.

Jutro na Placu Czerwonym będzie mnóstwo ludzi.

Będzie tłoczno. Właśnie o to Devesowi chodziło.

Chcąc mieć pewność, że plan na pewno się uda, nie opodał placu Smoleńskiego znów wszedł do budki telefonicznej i przekazał komunikat Frontu Odrodzenia Tatarów jeszcze jednemu rozmówcy, którego telefon - są wszelkie powody, aby tak sądzić - jest na podsłuchu. Tym razem był to korespondent „New York Timesa”.

Po skończonej rozmowie Michael wrócił tą samą drogą w pobliże ambasady USA.

Pozostał jeszcze do odegrania najważniejszy numer. I na pewno najtrudniejszy.

Wielu milicjantów strzegło siedziby amerykańskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego. Tylko przed głównym wejściem od strony Wielkiej Sadowej było ich czterech, mieli kontrolować i ewentualnie nie wpuszczać osób tu przychodzących. Inni, dalej od głównego wejścia, dreptali zmarznięci na lodowatym wietrze albo stali nieruchomo w budkach wartowniczych, które sądząc po wyglądzie milicjantów, były raczej lodówkami. Mieli też do dyspozycji drewniany barak przy sąsiedniej ulicy, do którego wchodzili po kolei, aby choć na chwilę schronić się przed mrozem i wypić coś ciepłego.

Michael skręcił w ulicę.

Opadała łagodnie przez około pięćset metrów aż do rzeki Moskwy. Po lewej stronie wznosiły się kamienice mieszkalne. Po prawej, na całej długości ulicy, ciągnęło się ogrodzenie ambasady. Najpierw widać było boczne skrzydło starego budynku, który frontem zwrócony był do ulicy Sadowej, dalej za podwójną, grubą, czarną siatką, która stanowiła dwie trzecie ogrodzenia - nowe budynki z czerwonej cegły. Amerykanie chcieli przenieść tam większość swoich biur, bo w starym budynku było za ciasno, a przede wszystkim wyczuwało się w jego ścianach zbyt wiele „uszu”. Mimo że budowa nowych biur kosztowała miliony dolarów, Amerykanie obawiali się teraz, że będą je musieli zburzyć i postawić na nowo, ich służby bezpieczeństwa stwierdziły

bowiem, że nowy budynek jest jeszcze bardziej najeżony mikrofonami i systemami podsłuchowymi niż stary!

W połowie ulicy znajduje się główne wejście, metalowa brama z podnoszoną kratą, jak w fortecy; przez tę bramę wchodzi się do nowych obiektów ambasady i na wewnętrzny parking. Po obu stronach bramy znajdują się dwie niskie wieże, na każdej oszklony sześcian. W jednym stał *marine* z owczarkiem niemieckim, drugi był pusty. Panowała dziwna cisza. Tak jakby Amerykanie w każdej chwili spodziewali się ataku Indian - co wcale, zdaje się, nie przerażało dwóch milicjantów stojących na straży przed wejściem.

W chwili gdy Deves znalazł się na wysokości bramy, krata podniosła się, aby wypuścić czerwoną terenową toyotę, którą prowadziła młoda kobieta. Kobieta po przejechaniu uśmiechnęła się do żołnierza *marine* i wyjechała na ulicę, nie zwracając najmniejszej uwagi na obserwujących ją dwóch milicjantów. Ci ostatni patrzyli na oddalający się w kierunku Sadowej samochód, po czym z uśmiechem wymienili parę słów. Brama zamknęła się bezgłośnie.

Michael poszedł dalej. Trzydzieści metrów od bramy zauważył mężczyznę za kierownicą białej wołgi zaparkowanej przy chodniku. Był to zupełnie normalny widok: asy kierownicy z VII Wydziału KGB nawet nie starały się ukryć. Zawsze były blisko podejrzanych ambasad. Ich zadaniem było śledzenie tych członków korpusu dyplomatycznego, co do których KGB chciała się upewnić, czy nie zajmują się przypadkiem działalnością sprzeczną ze swym statusem.

Kierowca wołgi ledwo spojrział na Michaela. Zdawało się, że skorzystał z okazji, aby zapalić silnik i trochę się pogrzać; ciągle obserwował wejście do ambasady. Słyszac z tyłu za sobą warkot silnika Michael lekko się uśmiechnął. Wołga, wiedział o tym dobrze - i słyszał - była wołgą jedynie z pozoru, miała silnik potężnej czajki i obciążony bagażnik.

Doszedł do rzeki Moskwy, zorientował się po uchylonych drzwiach, że budka wartownika stojąca tuż przy rogu ulicy Smoleńskiej jest pusta. Pozostali tylko dwaj milicjanci przy bramie. Wyjął zza paska makarowa i wsunął do plastikowej torby. Osobnik z plastikową torbą to w Związku Sowieckim widok jak najbardziej polity. Sprawdził, czy torba dobrze kryje pistolet, i zawrócił.

Dosyć się już napatrzył. Teraz trzeba działać.

Był około pięćdziesięciu metrów od bramy, na przeciwnym

chodniku, gdy zobaczył, jak dwaj milicjanci poruszyli się i stanęli plecami do niego, najwidoczniej po to, aby obserwować coś za ogrodzeniem ambasady. Może jakiś samochód zaraz wyjedzie? Tak czy inaczej była to okoliczność sprzyjająca. Trzeba ją wykorzystać!

Michael przyspieszył kroku zerkając na okna kamienic po prawej stronie. Nikogo... nic szczególnego. Usłyszał szczekanie psa, znowu przeniósł wzrok na bramę ambasady. Milicjanci ciągle stali do niego tyłem. Jeszcze bardziej przyspieszył kroku. Szybko! Szybko!

Akcję Devesa ułatwiły dwie rzeczy: to, że większość sowieckich aut nie była wyposażona w zewnętrzne lusterko z prawej strony, i to, że kierowca VII Wydziału KGB nie zablokował drzwi. Element zaskoczenia odgrywał tu ważną rolę.

Teraz!

Michael wskoczył do wnętrza białej wołgi i mocno przycisnął do skroni kierowcy makarowa zawiniętego w plastikową torbę; kierowca nie mógł nawet odwrócić głowy.

- Nie ruszaj się! - rozkazał Michael po rosyjsku. - Patrz przed siebie i zgaś silnik. - Kierowca bez wahania wykonał rozkaz. - Dobrze. A teraz ręce na kierownicę i zamknij oczy. No, już! - Deves roztrzaskał kolbą makarowa lusterko wsteczne i szybkim ruchem przyłożył znowu lufę do skroni Rosjanina. - Nie otwieraj oczu!

- Wiesz, w co się ładujesz, durniu? - spytał kierowca wołgi głosem trochę zbyt spokojnym.

Michael z dezaprobatą mlasnął językiem.

- Posłuchaj uważnie... Znasz ten dźwięk? - spytał odbezpieczając makarowa.

- Tak.

- Wysił się trochę. Wyobraź sobie, co kula zrobi w twojej czaszce, jeśli naciśnę cyngiel. Widzisz to?

- Tak!

- Masz na to ochotę?

Rosjanin niedostrzegalnie potrząsnął głową.

- Nie usłyszałem - zawarczał Michael przez zęby.

- Nie! - szepnął przerażony Rosjanin.

- Rozumiem. Możesz tego uniknąć, jeśli będziesz robił to, co każę, dokładnie to co każę, rozumiesz?

- Tak!

- Możesz otworzyć oczy. Patrz przed siebie. Widzisz te dwie gliny, tam? Myślisz, że mi przeszkodzą?

Rosjanin lekko się zawahał.

- Zastanów się. Myślisz, że mi przeszkodzą?

- Nie!

- Jesteś pewny?

- Tak!

- Dobrze myślicie, towarzyszu. Tak trzymajcie.

Rosjanin z trudem przełknął ślinę i rzucił szybkie spojrzenie w stronę budynków mieszkalnych naprzeciwko ambasady amerykańskiej.

- Masz broń? - spytał Michael bezdźwięcznym głosem.

- Tak.

- Daj mi ją, lewą ręką. Daj mi też legitymację.

Rosjanin zrobił to, o co prosił Deves. Michael lewą ręką otworzył legitymację KGB, tak jakby chciał się jej dokładniej przyjrzeć, nie spuszczał jednak z oczu Rosjanina. Znowu zobaczył, że tamten spogląda w stronę budynków mieszkalnych. Zrozumiał, co to znaczy, ale powstrzymał się od uwag.

- Posłuchaj - rzekł. - Masz dwie możliwości: umrzeć albo zarobić sto dolarów i być może awansować. Co wybierasz?

- Zrobię, co pan zechce - zapewnił Rosjanin.

- Nie mam żadnej pewności.

- Zrobię! Przysięgam!

- Przypuśćmy. Lubisz lody?

- Co? - spytał Rosjanin zupełnie zbity z tropu.

- Pytam, czy lubisz lody.

- Tak! - odrzekł Rosjanin, przestraszony, jakby obawiał się konsekwencji swojej odpowiedzi.

- To się dobrze składa, kupisz sobie loda. Powiem ci jakiego, gdzie i kiedy. - Deves rzucił na przednie siedzenie dwie połowy dwóch rozerwanych banknotów studolarowych. - Zapłacisz połówką oznaczoną krzyżykiem. Dostaniesz resztę, to będzie druga połówka, w ten sposób otrzymasz cały banknot. Niech to zostanie między nami, nie musisz o tym mówić swoim szefom, rozumiesz?

Kierowca potwierdził ruchem głowy. Deves wyczytał w jego oczach, że studolarowy banknot zrobił odpowiednie wrażenie: było w

nich trochę mniej strachu, trochę więcej zaskoczenia, a także odrobina ciekawości.

- Nie bądź idiotą - mówił dalej. - To co będzie się działo, to dla ciebie zbyt niebezpieczne. Rób, co ci mówię, i wyciągnij z całej sprawy jak najwięcej. Zrozumiałeś?

Kierowca wołgi znowu przytaknął ruchem głowy. Michael przez chwilę na niego patrzył, usiłując wmówić sobie, że może liczyć na jego lojalność. Następne sekundy pozwoliły mu przekonać się, jak rzecz ma się naprawdę.

Przy bramie ambasady coś się działo. Dwaj milicjanci rozstąpili się, z bramy powoli wytoczył się duży odkryty volvo.

Rosjanin jeszcze raz przelotnie spojrzął w kierunku budynków mieszkalnych po prawej stronie; widząc wyjeżdżający samochód, który skręcił w stronę Sadowej, powiedział szybko:

- Widziałeś go?

- Widziałem.

- Muszę za nim pojechać.

- Nie musisz - odpowiedział Michael. - Choć raz przejedzie się bez ciebie.

Wstrzymał oddech i badawczo przyglądał się Rosjaninowi, który jakby przez chwilę się wahał, lekko się zaniepokoił, zacisnął dłonie na kierownicy, nerwowo zamrugał oczami, po czym wykrzyknął:

- Nasi ludzie są w budynku naprzeciwko, to im się wyda dziwne!

Metaliczny dźwięk rozległ się w plastikowej torbie, to Michael za-blokował spust makarowa.

- Ruszaj - powiedział ukrywając uczucie ulgi.

Rosjanin nie kazał sobie dwa razy powtarzać, przekręcił kluczyk i ruszył w pościg za volvo. Minutę później, gdy dogonili je już na Sadowej, Michael odezwał się lodowatym tonem:

- Nie wiesz o tym, że o mało nie dostałeś kuli w łeb.

- Co? - krzyknął Rosjanin. - Dlaczego?

- Gdybyś nie powiedział o waszych ludziach w tamtym budynku, zabiłbym cię.

- Pan o nich wiedział? - spytał przerażony Rosjanin.

- Wiem wiele innych rzeczy.

Szofer KGB gwałtownie skręcił kierownicę, aby ominąć wyrwę w jezdni. Za późno. Wstrząs był gwałtowny, Deves miał wrażenie, że wołga zaraz się rozleci. Rosjanin zaklął.

- Uspokój się - rozkazał Michael.  
- Nie strzeliłbyś - rzekł Rosjanin potrząsając głową. - Potrzebujesz mnie.

- Mylisz się. W' Moskwie jest wielu takich jak ty. Nie jesteś niezastąpiony, towarzyszu, wiesz o tym dobrze. Możesz umrzeć w każdej chwili, jeśli nie zrobisz dokładnie tego, czego od ciebie oczekuję. Będą to mieli gdzieś. Nie jesteś niezastąpiony, towarzyszu... Nigdy o tym nie zapomnij.

- Zrozumiałem.

- Mam nadzieję, że zrozumiałeś. - Deves uważnie obserwował profil Rosjanina. - Lata przepracowane w VII Wydziale liczą się podwójnie do emerytury, prawda?

- Skąd o tym wiesz?

- Powiedziałem ci, że wiem wiele rzeczy. Pomyśl tylko: czy warto wszystko zaprzepaścić, żeby zabawić się w bohatera, odegrać ważniaka?

Rosjanin westchnął głęboko.

- Kim jesteś? Czego ode mnie chcesz? - spytał.

- Na razie jedź przed siebie. Kto jedzie w tym volvo?

- Attaché kulturalny.

- Jest agentem?

- Nie mam pojęcia! Dopiero drugi raz za nim jadę!

- Doskonale - odezwał się Michael po dłuższej chwili milczenia. - Tylko tak dalej... Może uda ci się wyjść z tego cało.

Następnego dnia była niedziela.

Szary mercedes stał na skraju parkingu przy hotelu Rossija, tyłem do rzeki Moskwy płynącej nie opodal, nieco niżej. Poprzez przednią szybę pasażerowie auta widzieli rysującą się w oddali fantastyczną kompozycję soboru Wasyla Błażennego.

- Już czas. Teraz musi pani tam pójść.

Maria odwróciła się do siedzącej obok kobiety - obie znajdowały się na tylnym siedzeniu mercedesa - i bez słowa na nią patrzyła; patrzyła na jej uśmiech, na nieznaczny ciemny meszek nad górną wargą.

- Proszę się nie obawiać - powiedziała kobieta. - Wszystko będzie dobrze.

Maria odwróciła się. Patrzyła teraz na kark nieruchomego, milczącego szofera. Otworzyła usta, głęboko zaczerpnęła powietrza i wypuściła je nosem zupełnie bezgłośnie.

- Idę - powiedziała i otworzyła drzwi.

Gdy oddaliła się o blisko dwadzieścia metrów, usłyszała oschły głos kobiety:

- Zaczynamy.

Kierowca wyjął spod tablicy rozdzielczej mały mikrofon i przybliżył go do ust. Rozległy się trzaski.

- Koza udała się w drogę - powiedział spokojnie.

Trzy sekundy później i kilkaset metrów dalej, na skrzyżowaniu ulicy Kujbyszewa i drogi biegnącej wzdłuż tylnej części domu towarowego Gum, prawie jednocześnie otworzyły się drzwi wołgi i czarnej czajki.

Z samochodu wysiadło ośmiu mężczyzn.

Jeden z nich, ubrany w mundur milicyjny, pozostał na warcie przy autach, podczas gdy pozostali bez słowa czy jakiegokolwiek gestu skierowali się w stronę Placu Czerwonego. Trzej mieli przy sobie miniaturowe mikrofony i słuchawki ukryte pod nausznikami czapek.

Grupa weszła w milczeniu na Plac Czerwony i tu rozproszyła się. Mężczyźni ustawili się w czterech rogach placu - ci, którzy mieli mikroodbiorniki, stali w polu widzenia pozostałych. Jeden z nich zatrzymał się nieco w tyle, pod fasadą Gumu, tuż za samochodem milicyjnym, który zawsze tu stał. Było to bardzo dobre miejsce obserwacji. Mężczyzna ten, pozornie obojętny na smród uryny wydobywający się tuż obok z podziemnych szaletów publicznych, przyjrzał się najpierw dwóm milicjantom siedzącym w aucie; po chwili podniósł karakulowy kołnierz krótkiego płaszcza i rozglądając się wokół powiedział coś prawie nieruchomymi wargami.

Miał twarz wyjątkowo zimną i pewną siebie. Patrzył na otaczających go ludzi tak, jakby nie istnieli, jakby byli tylko elementami w jego polu widzenia, w terenie jego działania, jakby wyłącznie oceniał stopień ich przydatności czy szkodliwości. Tym razem nie miał na sobie czarnego skózanego płaszcza, siwe włosy schowane były pod czapką, lecz miał ten sam sposób bycia. W Moskwie, w Aprelewskiej czy w Leningradzie zachowywał się jak pan życia i śmierci.



Był to szef grupy francuskich zabójców, kierujący masakrą niewinnych ludzi z „Airways”.

Maria z trudem pokonała stromą drogę pomiędzy murem Kremla a soborem Wasyla Błażennego na Placu Czerwonym. Dwukrotnie potknęła się na nierównych płytach chodnikowych i o mało nie upadła.

W połowie drogi przeraziła się nagle, że nie będzie miała siły dojść do celu. Zdawało jej się, że wszystko się sprzysięgło jej w tym przeszkodzić: nogi coraz bardziej słabły, każdy krok po bruku powodował ból w plecach, lodowaty wiatr jakby chciał ją zatrzymać, a rzadkie płatki śniegu przylepiały się do twarzy jak piekący, podstępny balast. Nawet kruki ostrzegały ją swym złowróżbnym, jak się zdawało, krzykiem. Potem odleciały, zostawiły ją samą, ale raz po raz powtarzały w oddali ostrzeżenia, aż wreszcie zniknęły.

Pomyślała o Michaelu, aby dodać sobie odwagi.

On tego chciał - powiedziała sobie. - Nie możesz stchórzyć. Idź dalej!

Zegar na Wieży Spaskiej wybił wpół do trzeciej, gdy Maria doszła do południowego krańca Placu Czerwonego. Jakimś cudownym trafem wiatr jakby się uspokoił.

Thum był jak zwykle gęsty i jak zwykle grzeczny i cichy. O wiele bardziej niż niewielkie rozmiary placu - dużo mniejsze, niż można było sądzić po fotografiach i zdjęciach telewizyjnych - uderzała Marię panująca tu cisza. Jakaś dziwna cisza. Cisza kościelna bez kościoła. Cisza grobowa pod gołym niebem. Gęsta, ciężka, niemal dotykalna... Cisza śmiertelna.

Nagle przeszył Marię dźwięk gwizdka.

Dostrzegła milicjanta o nieprzeniknionej twarzy, który gestem nakazał jej się zatrzymać. Grzecznie stanęła, czuła, jak serce wali jej w piersi. Niewidzącymi oczami ujrzała lśniąca czarną limuzynę, czajkę, nadjeżdżającą od strony Wieży Spaskiej. Auto zaszurało obok niej na bruku i oddaliło się w kierunku ulicy Kujbyszewa. Maria ciągle stała nieruchomo, milicjant oszczędnym gestem, bez uśmiechu pokazał, że można iść dalej.

Czuła się tak, jakby kazano jej wejść teraz na arenę.

Pokój pogrążony był w mroku. Panował tu zaduch i było zimno. Oddech przemieniał się w obłoczki pary, tak że Michael co pewien czas musiał wycierać szybę w oknie. Za sobą miał stopy skrzynek i kartonowych pudeł, półki pełne zawiązanych paczek; w tylnej ścianie były drzwi, przez które wpadała smuga światła i słychać było monotony gwar.

Ktoś cicho zapukał do drzwi i otworzył je, gwar stał się wyraźniejszy, do pokoju wpadł zapach stęchlizny.

- Potrzebujecie czegoś, towarzyszu? - spytał po rosyjsku niski, starszy mężczyzna. Stał na progu, nie miał odwagi wejść. - Chcecie może ciepłej herbaty? Mogę panu przynieść.

- Nie, dziękuję, tak jest dobrze - odpowiedział Michael.

- Zauważyliście coś?

- Jeszcze nie. A pan?

- Nie. Ale jestem czujny, proszę się nie niepokoić... Gdybyście mnie potrzebowali, będę w końcu korytarza, proszę mi dać znak.

- Doskonale, towarzyszu. Dziękuję.

- Nie ma za co, towarzyszu. Nie ma za co.

Drzwi zamknęły się, znowu zapanowała cisza. Jeszcze tylko przez chwilę pozostał zapach stęchlizny.

Michael ponownie skierował lornetkę na Plac Czerwony. Znajdował się w pomieszczeniu służącym za składzik, na trzecim piętrze Gumu, moskiewskiego domu towarowego, największego w ZSRR.

Poprzedniego dnia, w czasie rozpoznania miejsca, był świadkiem

sprzeczeki między kierownikiem działu, mężczyzną w starszym wieku, a sprzedawczynią, która nazwała go „starym reakcjonistą” i „niedobitkiem stalinizmu”. Nieco później Deves zaczepił starego „niedobitka” i opowiedział mu historię o elementach antysocjalistycznych, młodych chuliganach, prawdopodobnie popieranym przez zagranicę, którzy mają zamiar zorganizować manifestację na Placu Czerwonym. Dlatego właśnie potrzebuje jakiegoś ukrytego stanowiska do obserwacji... Okno na trzecim piętrze będzie doskonałe... Sprawa jest poważna i w dodatku delikatna. Nie trzeba nikomu mówić, te podejrzane typy dysponują, jak się zdaje, sprzymierzeńcami z bardzo wysokiego szczebla, z tego plemienia, które codziennie w prasie i w telewizji nie waha się oczerniać i zaciemniać obrazu chwalebnej przeszłości *Rodiny*, podkopuje jej fundamenty, a potem bezwstydnie przychodzi na zakupy na trzecie piętro Gumu do działu zarezerwowanego wyłącznie dla uprzywilejowanych... Stary „niedobitek” ledwo rzucił okiem na legitymację KGB podwędzoną kierowcy VII Wydziału, tak był zadowolony, że znowu może brać udział w obronie *Rodiny*. Fakt, że Deves zanotował nazwisko „tej ekspedientki, która ma tyle złej woli”, także miało znaczenie dla werwy, z jaką starszy pan chciał bronić ukochanej *Rodiny*.

Z okna składziku, mieszczącego się dokładnie naprzeciw mauzoleum Lenina, Michael mógł obserwować trzy czwarte Placu Czerwonego. Nie widział tylko odcinka wzdłuż fasady Gumu. Tak więc mógł dostrzec tylko jeden samochód milicyjny stojący na skraju placu, ten po prawej stronie, na północnym krańcu, obok Muzeum Historycznego. Natomiast drugi, zaparkowany na dole, był z jego okna niewidoczny.

Już od godziny Michael trwał przy swoim stanowisku obserwacyjnym i ciągle nie dostrzegał niczego nadzwyczajnego. Liczni spacerowicze, turyści, codzienny tłum... W końcu wyłowił bez specjalnej trudności kilku policjantów w cywilu - byli zbyt sztywni, mieli przewieszzone przez ramię aparaty fotograficzne i spacerowali po dwóch nie zwracając uwagi na otoczenie. Nie wyróżniali się zupełnie niczym, Michael wiedział jednak, że to niczego nie dowodzi, a w mgnieniu oka wszystko mogło się zmienić, najniewinniejszy z gapiów mógł stać się w jednej chwili skutecznym i brutalnym osiłkiem.

Nie, to nic nie znaczyło... Miał taką nadzieję.

Nagle poczuł mrowienie w rękach, aż po koniuszki palców.

Co to takiego?

Jego mózg zarejestrował coś, czego oczy nie zdążyły jeszcze wyraźnie zidentyfikować. Co to takiego?

Ponownie, tym razem w odwrotnym kierunku, przesunął lornetkę i zatrzymał się w strefie, którą obserwował przedtem. Gdzie to było? Co zobaczył?

Szara, niezgrabna sylwetka pojawiła się, po czym zniknęła z pola widzenia. Cofnął nieco lornetkę, skierował na tę osobę, zatrzymał na niej wzrok, drgnął. Czyżby wszystko zaczęło się bez niego?

To Maria. Już jest na miejscu. Wolno idzie na środek placu.

Jak mógł jej nie dostrzec? W ułamku sekundy przypatrzył się jej, zmierzył od stóp do głów, zwrócił uwagę na czarne, ciężkie botki, szary gruby płaszcz, zupełnie bez wdzięku, czarną wełnianą czapkę, całkowicie zakrywającą jasne włosy... O Boże! Mało brakowało, a nie rozpoznałby jej!

Z bijącym sercem oderwał oczy od tego obrazu i obserwował kolejno, ludzi - kobiety i mężczyzn, młodych i starych - którzy otaczali ją bliżej i dalej. Nie dostrzegł niczego podejrzanego, odłożył więc lornetkę i ogarnął wzrokiem cały plac, nie patrząc na jakiś konkretny punkt. Chciał odnaleźć w tłumie trasę kogoś innego, podobną do drogi Marii, przed nią, za nią, z boku.

Chciał wyłapać jakiś gest, jakąś nagłą zmianę postawy, szybki ruch. Sygnał... Lecz niczego takiego nie dostrzegł. A jednak wiedział, że oni tu są.

Jego spojrzenie nieodparcie powracało ku niej. Serce mu się ścisnęło na jej widok, takiej osamotnionej, zagubionej pośrodku Placu Czerwonego, takiej bezbronnej, rzuconej na pastwę wszystkiego i wszystkich.

Tak, oni tu są. A ona jest ich zakładniczką. Nawet jeśli tego nie widać, jest ich więźniem, ma mniej swobody niż człowiek spętany łańcuchem.

Skierował lornetkę w jej stronę.

Mario!

Jest taka bliska, prawie ją czuje, a nie może...

Och, Mario...

Dostrzegał kredową bladość jej twarzy, odgadł strach w jej oczach. Widział, że Maria waha się, rzuca wokół przerażone spojrzenia; widział też obłoczki pary, jakie wypuszczała z ust w mroźne powietrze,

dyskretny ruch, gdy delikatnie wycierała nos. Ten zwyczajny gest poruszył go, wydał mu się oznaką i dowodem jej samotności i niepokoju.

Zaczął do niej mówić. Żeby jej dodać odwagi. Nie mógł przecież postąpić inaczej.

Nie bój się, kochanie... Zaufaj mi. Nie bój się, jestem przy tobie. Nie, nie szukaj mnie. Powiedziałem przecież, że jestem przy tobie. Nie bój się, nie zrobią ci nic złego. Wyciągnę cię z tego wszystkiego... Błagam cię, zaufaj mi!

Przerwał, uprzytomnił sobie, że drży. Obraz zamazał się.

Maria ciągle nieruchomo stała pośrodku Placu Czerwonego.

Mój Boże! Spraw, żeby zrozumiała.

Odłożył lornetkę, jak gdyby przeszkadzała mu w rozmowie z Marią. Mówił cicho:

Teraz, teraz twoja kolej, kochana...

Patrzył na nią z rozpaczą. Po chwili zawołał:

- Na litość boską, Mario, zrób coś... Pomóż mi!

- Jurij do Nikity... Poruszyła się.
- Widzę ją.
- Zobaczyła coś?
- Trudno powiedzieć.
- Idzie w stronę mauzoleum... Za chwilę stracę ją z oczu.
- Mam ją.
- Nie zgub jej... Ciągle nic?
- Wydaje się, że nic. Chyba się nie spieszy. Idzie przed siebie, to wszystko. Na nic specjalnie nie patrzy.
- Ciągle idzie w stronę mauzoleum?
- Tak.
- Zbliżcie się! Niech Ukrainiec ubezpiecza milicjantów. I pojeďte bliżej! Powoli i nie za blisko!
- Zrozumiałem.
- Jurij do Karpowa... Zauważyliście coś?
- Nie.
- Niebawem powinien nadejść. Miejcie oczy otwarte. Sygnał czerwony.
- Zrozumiałem.

- Nikita do Jurija... Jestem o trzydzieści metrów od celu. Ciągł  
nie.

- A co z Saxonem?

- Najmniejszego śladu.

- Co ona robi?

- Stoi tuż obok mauzoleum w grupie turystów. Zdaje się, że nie wie, co robić. Patrzy na wejście do mauzoleum. Teraz odwróciła się, patrzy wokół siebie, wkłada ręce do kieszeni.

- Widzicie turystów?

- Tak, prawie wszystkich. Tylko jeden... Czekaście, poruszyła się... Na Boga! Co ona wyprawia?

- Co tam? Nikita! Co się dzieje?

- Cholera jasna! Nie! Zwariowała!

Nie tylko francuscy zabójcy wpadli w panikę.

Akcja Marii była tak nagle, tak szybka, tak nieprawdopodobna, że zaskoczyła wszystkich obecnych na Placu Czerwonym, począwszy od ludzi z KGB, po milicjantów mundurowych i cywilnych, a także turystów i dwóch nieszczęsnych fotoreporterów z AFP i z „New York Timesa”, którzy zapewne pójdą utopić smutek w wódce, gdy uprzytomnia sobie, co stracili.

Nawet Michael Deves był zdumiony tym, co zobaczył ze swego stanowiska obserwacyjnego, na trzecim piętrze Gumu. Jeden tylko człowiek, funkcjonariusz KGB, około sześćdziesiątki, o czerwonej twarzy i sztywnej szyi osadzonej w futrzanym kołnierzu płaszcza, stojący kilkadziesiąt metrów od Marii, widząc ją zrozumiał mniej więcej, co zaraz nastąpi. Czekał jednak na manifestację Tatarów - z tego właśnie powodu tutaj się znalazł, tak jak i wielu jego kolegów porozsiewanych w tłumie. Teraz zupełnie oniemiał na samą myśl, co tu się zaraz wydarzy, kilka chwil stał jak wryty, zanim mógł wkroczyć do akcji.

Gdy rzucił się pędem poprzez tłum, było już za późno.

Maria przekroczyła ciężki łańcuch odgradzający mauzoleum, po czym metr dalej przeskoczyła niskie metalowe drzwiczki, weszła na trzy schodki i... napłula na ciężkie drzwi z brązu, za którymi leży mumia Lenina!

Dwaj stojący na straży przy wejściu do mauzoleum kremlowscy żołnierze nie mogli już temu zaradzić.

Rozległy się krzyki. Profanacja!

Maria zdążyła napluć jeszcze raz. Po chwili jeden z młodych żołnierzy, którego mózg zapewne nie był tak przemarznięty jak mózg jego kolegi, przypomniał sobie prawdopodobnie, że jego zadaniem jest nie tylko stać tu w całkowitym bezruchu przez sześćdziesiąt minut, jak to robią żołnierze już od pół wieku. Był tu przecież także po to, aby ochraniać ten obiekt. W końcu postanowił wkroczyć do akcji. Zagroził Marii drogę, trzymając jedną ręką lufę karabinu, drugą schwycił Marię za ramię i starał się ją popchnąć do tyłu. Maria, jakby ogarnięta furją, szarpała się z całych sił, wykrzykiwała obraźliwe słowa, spoliczkowała żołnierza i zrzuciła mu czapkę z głowy. Młody rekrut nie spodziewał się takiej sytuacji, nie był też przygotowany do walki z rozwścieconą kobietą. Stracił równowagę, o mało o nie upadł na wznak, w ostatniej chwili udało mu się jednak utrzymać na nogach i przekazać Marię w ręce funkcjonariusza KGB o czerwonej twarzy i jego kolegom, którzy przybiegli z pomocą.

Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Jakiś mężczyzna wyszczeł rozkazy do walkie-talkie, podczas gdy inni uformowali kordon, aby usunąć ciekawskich. Rozlegały się krzyki. Starsza kobieta zaczęła wrzeszczeć wymachując pięścią. Maria, ziemisto błąda, ciasno otoczona mężczyznami, wydawała się zupełnie zgaszona i całkowicie nieświadoma tego, co się wokół działo. Kilkakrotnie w całym tym zamęcie przymykała oczy.

Od strony Wieży Spaskiej dał się słyszeć pisk opon. Dwa czarne samochody nadjeżdżały z ogromną szybkością.

Kilku mężczyzn nie brało udziału w ogólnym poruszeniu, jakie zapanowało na Placu Czerwonym: siedmiu francuskich morderców. Zaskoczeni stali z boku, szukając się nawzajem wzrokiem. Ich szef stał jak wryty przed fasadą Gumu, ze spojrzeniem nieruchomym jak wzrok drapieżnika śledzącego najmniejszy ruch ofiary.

- Jurij? Jurij? Co robimy?
- Tu Jurij. Nie ruszać się.
- A co z dziewczyną?
- Nic nie możemy zrobić. Odpuszczamy. Powtarzam: nie ruszać się.

Dwie czarne wołgi gwałtownie hamując zatrzymały się przed mauzoleum. Grupa mężczyzn, w środku której znajdowała się zupełnie niewidoczna Maria, torowała sobie drogę przez tłum w stronę

samochodów; pomagali w tym rozgorączkowani milicjanci, rękami i gwizdkami nakazujący gapiom, żeby się rozstąpili. Dwaj fotoreporterzy - jeden z AFP, drugi z „New York Timesa” - energicznie rozpychali się łokciami; udało im się zrobić parę zdjęć dokładnie w chwili, gdy ludzie z KGB wpychali Marię jak bagaż na tylne siedzenie wołgi. Ich obiektywy zdołały uchwycić tylko czarne botki i szary płaszcz Marii oraz beżowy skafander, który całkowicie przesłonił jej głowę i twarz.

Obie wołgi zakreśliły prawie w miejscu i odjechały z dużą szybkością w kierunku południowego skraju Placu Czerwonego, po chwili skręciły w lewo i zniknęły w ulicy Kujbyszewa.

Michael patrzył na odjeżdżające wołgi, które szybko zniknęły z jego pola widzenia; przed oczami miał już tylko śnieg, zdawało mu się, że coś w nim pękło, że część klatki piersiowej zapada mu się aż do brzucha.

Był jak ogłuszony, czuł, że miękną mu nogi, zanika oddech.

Zastanawiał się, dlaczego wołgi odjechały tą drogą. Prościej byłoby pojechać ulicą 25 Października, pomyślał mimo woli, a nieprzydatność tej refleksji bardzo go przygnębiła. Ulica 25 Października prowadziła prosto do placu Dzierżyńskiego. Na Łubiankę.

Oblał go zimny pot. Zadrżał. Miał okropne uczucie, jakby uchodziło z niego życie, opuszczały go siły, zamierało serce.

Wszystko mu się wymykało. Swemu najgorszemu wrogowi wydał kobietę, którą kochał.

- Gdzie on jest? Czy go widzicie?
- Nie, Jurij.
- Niemożliwe! Nikita? Nikita?
- Tu Nikita. Najmniejszego śladu.
- Na litość boską! Wykiwał nas! Szukajcie go! Jest tutaj, wiem, że jest tutaj!

Michael ciągle siedział w swej kryjówce w Gumie, nie mógł oderwać oczu od okna. Prześladował, obezwładnił go wręcz pewien obraz. Potworny widok: Maria z zakrytą głową, wleczona jak skazaniec na miejsce egzekucji.



Nie było innego sposobu, Mario, powtarzał w duchu, jakby chciał się usprawiedliwić. Wierz mi, nie było sposobu! Byłaś wspaniała, kochanie, nadzwyczajna. Jestem z ciebie bardzo dumny. Dobrze zrobiłaś, zrobiłaś dokładnie to, co trzeba było zrobić. Dokładnie! To było lepsze niż wszystko inne, co mógłbym ci poradzić. Tak, o wiele lepsze.

- Jesteś świetną dziewczyną - wyszeptał ze ściśniętym gardłem.

Poczuł przyływ miłości i podziwu dla niej i dla tego, co zrobiła; poczuł też wyrzuty sumienia, gdy pomyślał, czego od niej wymagał, na myśl o odwadze, jakiej dała dowód. Dręczyła go świadomość, że Maria ślepo mu zaufała.

Nie bój się, kochana, prosił w myśli. Jednocześnie zadrzał, gdy uprzytomnił sobie, że mógł popełnić jakiś błąd.

Wreszcie uznał, że musi się otrząsnąć, że teraz już nie czas na wahanie czy na żale. Lont został zapalony, palił się! Był jeden sposób uniknięcia wybuchu: musiał grać dalej.

Wtedy pojawił się obraz, który pomógł mu się otrząsnąć: widok Placu Czerwonego, a w szczególności kilku mężczyzn stojących nieco na uboczu zupełnie bez ruchu, jakby zbitych z tropu tym, co działo się naokoło. Mordercy. Rozpoznał dwóch. Francuscy mordercy!

Weź się w garść. Musisz grać dalej, musisz. Tylko to możesz teraz zrobić. Jeśli nie - ona umrze!

Jak szalony wyskoczył ze składziku, potracił, nawet nie przeprosząc, starszego szefa pięt, który szedł właśnie do niego czegoś się dowiedzieć. Trzy minuty później wybiegł z Gumu bez przeszkód i zagłębił się w małe uliczki Kitaj Gorodu, starej dzielnicy przylegającej do Placu Czerwonego.

Nie miał już chwili do stracenia.

O szesnastej dziesiątej w parku Gorkiego było jeszcze tłoczno. Ciągle sypał rzadki śnieżek, w zapadającym powoli zmierzchu delikatne białe płatki wyglądały jak ostatnie okruchy światła dziennego.

Kierowca VII Wydziału KGB zjadł właśnie pistacjowego loda, którego kazał mu kupić człowiek nazywający się Saxonem. Dlaczego trzy kulki? Dlaczego pistacjowe? Nie lubi pistacji. Lody w kolorze dolarów, pocieszył się, uśmiechając się w duchu.

Siedząc na ławce obserwował sprzedawcę lodów. Zastanawiał się, co będzie dalej. Bez względu na to, co nastąpi, nie miał absolutnie nic do roboty. Dostał już, tak jak Saxon obiecał, drugą część studolarówki.

Wymienił ją bardzo dyskretnie ze sprzedawcą lodów. Był przekonany, że żaden z agentów obserwujących park nawet przez lornetkę nie był w stanie dostrzec tego manewru. Szukaj wiatru w polu! Ani widu, ani słyhu, powtarzał sobie z zadowoleniem. Pomyślał, że sto dolarów wynagrodzi mu burę, jaką może dostać za to, że dał się podejść zagranicznemu agentowi i stracił legitymację służbową. Pomyślał też, że bardzo dobrze postąpił nikomu nic nie mówiąc; był pewien, że w przeciwnym razie sto dolarów trafiłoby bezpośrednio do kieszeni tego skurczybyka pułkownika Jakowa, który kieruje właśnie operacją w Parku Gorkiego, tak jakby była to jego osobista sprawa. Czy on zna tego Saxona?

Kierowca obserwował sprzedawcę lodów i dalej zastanawiał się, coraz bardziej zaciekawiony, co też może się jeszcze wydarzyć. Czy człowiek o imieniu Saxon pokaże się znienacka? Gdyby tak było, musiałby chyba upodobnić się do szczura. Nawet jeśliby udało mu się umknąć grupie interwencyjnej KGB rozsianej w tłumie, w dość szerokiej strefie wokół sprzedawcy lodów, nie miałby żadnej szansy na opuszczenie parku; wszystkie wejścia były strzeżone. Jediną możliwością ucieczki, pomyślał z rozbawieniem, byłby skok do zamrzniętej rzeki, wybite przerębla i przepłynięcie pod lodem, co mogłoby trwać prawie godzinę! Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl, a wraz z nią niepokój: jeśli zatrzymają Saxona, co będzie z jego stoma dolarami?

Zobaczył, że sprzedawca lodów odchodzi od wózka i zbliża się szybkim krokiem:

- Minęła godzina - rzekł - pańskiemu przyjacielowi chyba coś przeszkodziło, już nie przyjdzie. Chciał osobiście dać panu prezent, ale nie był pewien, czy to się uda. Prosił mnie, abym panu to przekazał, gdyby nie udało mu się przyjść na czas. Wszystkiego najlepszego! - dodał z porozumiewawczym uśmiechem, po czym odwrócił się i poszedł w stronę wózka, przed którym czekała już niewielka grupa amatorów lodów.

Trzy minuty później pułkownik Oleg Jakow, oficer KGB kierujący polowaniem na Saxona, człowiek, który miał osobiste powody, aby żywić urazę, śmiertelną urazę do Michaela Devesa alias Nicolasa de Witt, zapoznał się z zawartością koperty. Była tam kombinacja cyfr do zamka schowka bagażowego na Dworcu Kazańskim.

Jakow, powstrzymując wybuch złości, natychmiast porozumiał się

ze swoim przełożonym, generałem Wiktorem Rodenko, szefem II Zarządu KGB.

- Wykiwał nas - powiedział rozdrażniony Jakow.

Później nastąpiła defilada czarnych aut pędzących na sygnale środkiem jezdni, zarezerwowanym dla samochodów służbowych. Po piętnastu minutach Jakow znalazł się na Dworcu Kazańskim.

W szafce w przechowalni bagażu była czarna plastikowa torba. Wewnątrz Jakow znalazł metalową kulę wielkości małego melona zaopatrzoną w zawór. Nie wiedział, co o tym myśleć. Był tam też list pisany ręką Saxona. Zaczął czytać, zmarszczył brwi... i zbladł. Z przestraszeniem spojrzął na małą kulę i jeszcze bardziej zbladł.

- Skurwysyn! - krzyknął przez zaciśnięte zęby, jednocześnie z wściekłością i strachem.

- Analizy to potwierdziły, towarzyszu dyrektorze: to rzeczywiście jest tryt.

O dwudziestej trzydzięci Jakow siedział w towarzystwie swego szefa w gabinecie Siergieja Saczejewa, dyrektora KGB.

- Nie mamy jeszcze szczegółowego raportu ekipy wysłanej do Aprelewskiej - mówił Jakow monotonnym głosem - ale pierwsze wiadomości stamtąd, z klasztoru Zaśnięcia Matki Boskiej, zgadzają się z tym, co nam napisał.

Dyrektor KGB powoli oparł łokcie na biurku, delikatnie, końcami palców poprawił okulary na nosie, splótł dłonie przy ustach i westchnął.

Miał za sobą długi, raczej ciężki dzień pracy. Rzecz normalna w przypadku człowieka kierującego najpotężniejszą organizacją tajnej policji i służb specjalnych na naszej planecie, w dodatku - z racji pełnionego urzędu - członka Politbiura. Saczejew przeczuwał jednak, że następne dni będą znacznie trudniejsze.

- A więc nie blefuje - powiedział, tak jakby to wynikało ze słów Jakowa. - Na wszystkich świętych! - dodał cicho, skonsternowany. - On wie, że umrze. I grozi nam bombą wodorową!

Wymienił długie spojrzenie z generałem Rodenko. Starzy towarzysze rozumieją się bez słów.

- „Grom”?

- Może raczej koniec jego własnego nosa - rzekł generał Rodenko.

Dyrektor KGB zerknął na Jakowa, jakby przypomniał sobie o jego obecności i jakby mu ona przeszkadzała. W końcu zaczął obserwować końce swoich palców; zastanawiał się.

- Pułkowniku Jakow - rzekł - zdaje pan sobie chyba sprawę z powagi tej sytuacji? Wie pan, że ta bomba nie musi nawet wybuchnąć, aby stać się katastrofą.

- Wiem, towarzyszu dyrektorze.

- Jest pan zapewne świadom konsekwencji, wszelkich możliwych konsekwencji dla nas wszystkich... a dla pana szczególnie?

- Tak, towarzyszu dyrektorze.

- Od tej chwili nie ma mowy o jakichkolwiek względach osobistych w tej sprawie, rozumie pan chyba. Rozumie pan, co chcę powiedzieć, pułkowniku Jakow?

- Doskonale rozumiem, towarzyszu dyrektorze - odpowiedział Jakow nieco sztywniej.

- Dobrze - rzekł Saczejew patrząc na generała Rodenko, po chwili znowu na Jakowa. - Dobrze - powtórzył.

Dyrektor KGB przez chwilę milczał, aby rozmówcy mieli czas dokładnie przetrwać jego słowa. Wykorzystał tę chwilę ciszy, aby ponownie przestudiować leżącą na biurku kartkę papieru: wiadomość od Saxona. W końcu, nie od razu podnosząc oczy, spytał:

- Kim jest ta kobieta?

Tym razem odpowiedział generał Rodenko:

- Francuzka. Pracuje w dyplomacji. Pracownica działu kulturalnego. W średnim stopniu.

- Jest jednym z ich agentów?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale to bardzo możliwe.

- Widziałeś ją?

- Przez krótką chwilę. Mówi, że zrobiła to specjalnie. Nie chce nic więcej powiedzieć. Wygląda na bardzo wzburzoną.

- Kto z ambasady prosił o uwolnienie jej?

- Nikt. Ambasada nie jest w to zamieszana - odpowiedział generał Rodenko. - Przynajmniej oficjalnie. Interweniował tylko osobiście pewien Francuz, bezpośrednio u wiceministra spraw zagranicznych. Powiedział, że to jego przyjaciółka. Że cierpi na depresję, że lepiej uniknąć skandalu, który mógłby splamić dobre stosunki francusko-sowieckie i tak dalej...

Oczy Saczejewa zwęziły się.

- Skąd o tym wiedział? Nie ujawniono przecież ani jej zdjęcia, ani tożsamości.

- Mówi, że był z nią na Placu Czerwonym i że nie mógł jej powstrzymać.

- Naprawdę?

- Tak mówi, ale to kłamstwo. Dokładnie w tym samym czasie był na rozmowach z przedstawicielami Ministerstwa Rolnictwa. Rzecz sprawdzona, jest sześciu świadków.

Dyrektor KGB wcisnął się głębiej w fotel. Czuł się bezradny.

- Chcą ją odzyskać - powiedział - ale nie proszą o to wprost. Jednak proszą. Nie wiemy, kto żąda wydania jej ani dlaczego, ani kim ona jest w rzeczywistości... A on każe nam ją trzymać, czuwać nad nią i chronić ją!

Zapanowała cisza, wreszcie głosem poważnym i zdecydowanym odezwał się generał Rodenko:

- W gruncie rzeczy nie mamy wyboru. Powinniśmy na razie robić to, o co proszą.

Spojrzał na Jakowa. Jakow, mimo że wiele go to kosztowało, zapobiegł poleceniu przełożonego nieznacznym ruchem brody.

- Posłużył się nami, towarzyszu dyrektorze - rzekł tak, jakby wypływał kawałki ostrego szkła. - To Saxon prowadzi grę... na razie.

Dyrektor KGB popatrzył na Jakowa, potem spojrzał na generała Rodenko. W końcu zapytał zgaszonym głosem:

- Do czego on zmierza?

Więzienie KGB w Moskwie, dokąd przewieziono Marię wczesnym wieczorem, znajduje się na terenie Lefortowa, dzielnicy bloków mieszkalnych, magazynów i fabryk na północnym wschodzie Moskwy, nie opodal parku Sokolniki i rzeki Jauzy. W Lefortowie jest wiele więzień, w tym co najmniej jedno milicyjne. Nie wyróżniają się raczej spośród otaczających je budynków mieszkalnych, tak więc nie stanowią dla nikogo problemu.

Niewielu ludzi wie, jak wygląda więzienie KGB. Wszyscy wiedzą, że jest „gdzieś tutaj”, ale nikt nie wie dokładnie gdzie. Chyba w końcu zwątpiono by w jego istnienie, gdyby nie było tu i ówdzie w głębi ślepego zaułka ciężkich ciemnozielonych, metalowych bram bez napisu. Bram, które otwierają się niekiedy, aby wypuścić furgon lub

czarną wołgę i wówczas często dostrzec można sylwetkę strażnika w mundurze KGB,

Tajemnica otaczająca więzienie zwiększa lęk, jaki to miejsce zwykle budzi. Aresztowany nie wie, dokąd go wiozą, nie wie, gdzie się znajdzie; jest jak wyrwany z własnego świata i rzucony w zupełnie inny świat, całkiem obcy...

Maria siedziała na pryczy w swojej celi; nogi podwinęła pod siebie, ręce trzymała w kieszeniach płaszcza, plecami opierała się o ścianę. Patrzyła na tacę z jedzeniem, które już wystygło. Nie miała ochoty jeść, nie chciała się rozluźnić, tkwiła w złudnym poczuciu, że dopóki się od tego powstrzyma, nie nastąpi nic poważnego.

Wszystko będzie tymczasowe.

Teraz już nie tylko czuła się niepewnie, ale zaczynała się bać, odczuwać prawdziwy strach - strach przed wszystkim.

Bała się zdjąć płaszcza, bała się, że jak go zdejmie, rozpadnie się. Czuła strach przed jedzeniem, które jednocześnie ją kusilo i odpychało; im bardziej kusilo, tym bardziej odpychało. Bała się tej celi, tego powietrza, którym oddychała; obawiała się złego traktowania, następnych przesłuchań, które na pewno nastąpią. Bała się, że nie uda jej się milczeć tak jak dotychczas; bała się też, że swymi odpowiedziami, odkryciem tego co wie, a czego nie wie, może zniszczyć cały plan Michaela... Och, mój Boże! Bała się, że popełni błąd, że nie zrobi tego, czego on po niej oczekuje, albo że zrobi za wiele i wpędzi ich oboje w bardzo ciężką sytuację.

Bała się, że nigdy już go nie zobaczy...

W pierwszych godzinach po aresztowaniu na Placu Czerwonym starała się wyłowić ze spojrzeń, z gestów, ze słów, jakiś ślad Michaela, znak, że Michael uczestniczy w tym, co ona przeżywa. W końcu zrezygnowała: nie miała punktu odniesienia. Nigdy przecież nie była aresztowana przez KGB.

Nikt w jej obecności nie mówił o nim ani nawet nie wymówił jego nazwiska. Najmniejszej aluzji, nic.

Jestem w Lefortowie, pomyślała z drżeniem. Tego właśnie chciał? Czy aby wie, gdzie jestem? Czy domyśli się?

Oczywiście, że wie, nie bądź głupia! Zrobiłaś dokładnie to, co powinnaś była zrobić. Nie w tym problem, dobrze wiesz. Najważniejsze to, dlaczego chciał, abym to zrobiła. Nie, nie tak! Przecież wiesz, dlaczego. Po to, żeby cię obronić przed służbami francuskimi. Nawet jeśli

to nie ma sensu - tak jest; wepchnął cię w łapy swojego największego wroga po to, żeby uratować ci życie. Rzucił cię w szpony KGB, żeby cię wyciągnąć z DGSE. Nie ma innego wytłumaczenia. Jeśli dobrze to przemyślisz, zobaczysz, że nie mógł postąpić inaczej. To było jedyne, co mógł zrobić, nie miał wyboru, nie pozostawiłaś mu wyboru! Wiesz dobrze, że powinnaś sobie zadać inne pytanie: w jakim stopniu jest dla niego korzystny fakt, że jesteś w rękach KGB - w rękach jego najgorszego wroga? I co zamierza zrobić teraz, żeby cię stąd wyciągnąć? W jaki sposób?

Przyszła jej do głowy pewna myśl, tak szokująca, tak straszna, że nie była w stanie jasno jej sformułować. Ta myśl - czy może odpowiedź - przeszła jej serce, przeraziła ją, zaparła oddech.

Och, nie! Mój Boże, spraw, żeby to nie było to! Błagam Cię, spraw, aby tego nie robił! Spraw, żeby znalazł inne rozwiązanie, błagam! Błagam Cię, Boże!

Nie słyszała szczęku otwieranych drzwi i zadrzała, gdy ujrzała mężczyznę w mundurze.

Oficer KGB.

Maria jeszcze bardziej się skuliła, usiłowała strząsnąć z siebie niepokój, jaki ją ogarniał. Ledwo dosłyszała głos oficera - wyrażał ubolewanie, że ją przestraszył. Przysunął taboret i usiadł naprzeciw niej. Uważnie ją obserwował, w milczeniu, bez pośpiechu, bez surowości ani wrogości, ale uporczywie, z przedziwnym zaciekawieniem, tak jakby starał się zrozumieć, jaka ona naprawdę jest. Tak jakby chciał coś w niej rozpoznać. Kogoś.

- Nazywam się Jakow. - powiedział. - Pułkownik Oleg Pawłowicz Jakow.

Dlaczego on tak na mnie patrzy, zastanawiała się Maria, przytłoczona tym spojrzeniem.

Zdawało jej się, że wyczytała w jego oczach oczekiwanie, później zaś nieznaczny błysk rozczarowania.

Kto to jest? Czego ode mnie chce?

Oficer KGB dalej ją obserwował, milczący, tajemniczy. Przeraziło to Marię, poczuła, że siły ją opuszczają. Nie wiedziała, dlaczego boi się tego człowieka. Nie miał w sobie nic przerażającego. Jego twarz nie była okrutna, nie była odpychająca. Wręcz przeciwnie, miał rysy łagodne i harmonijne; delikatności przydawały im jedwabiste, kasztanowe włosy. Miał także jasne oczy, tak bardzo rosyjskie - te oczy

jakby nie widzą człowieka, na którego patrzą, lecz raczej już go wspominają. W innych okolicznościach mógłby wydawać się interesujący, nawet pociągający... Czy jest pociągający? O Boże! Co się z tobą dzieje? Chyba oszalałaś?

I wtedy pojęła, co ją tak w nim przerażało: był ludzki.

To był wróg i ten wróg był ludzki! Nie mogła go nienawidzić ani nim pogardzać, nie mogła czuć do niego wstrętu. Mogła jedynie obawiać się go.

Miała wrażenie, że niebezpieczeństwo zbliżyło się nagle jednym susem, przybrawszy postać tego mężczyzny po to, aby jeszcze bardziej ją zaskoczyć, otumanić.

Dlaczego mi się tak przygląda?

- Pani jest bardzo... ładna - powiedział z trochę smutnym uśmiechem, jakby według niego ten fakt wiele wyjaśniał.

Maria milczała poruszona. Jakow z pewnym współczuciem w głosie spytał:

- Dlaczego pani to zrobiła?

- Już odpowiadałam na to pytanie - powiedziała cicho, tak cicho, że aż przestraszyła się własnego głosu.

Jakow zrobił minę, jakby się z nią zgadzał. Milczał przez chwilę, po czym spytał zniechęcony:

- To on kazał pani to zrobić?

Michael, co ja mam zrobić? Co mam mu odpowiedzieć...? Czy powinienam odpowiedzieć?

Udała, że nie rozumie, o co chodzi, że jest nawet zaintrygowana. Była przerażona na samą myśl, że twarz może ją zdradzić.

- Hm, więc to on... Oczywiście.

Maria chciała potrząsnąć głową, wyprowadzić go z błędu, ale rozmyśliła się.

- Nie rozumiem, co pan mówi - powiedziała zmuszając się do wypowiedzenia tego zdania pewnym głosem.

Jakow popatrzył na nią w zamyśleniu, po czym uśmiechnął się pobłażliwie.

- Nie musi pani odpowiadać - powiedział obojętnym tonem. - To nie ma znaczenia. - Wstał. - Chciałem tylko panią zobaczyć, to wszystko... Proszę się nie obawiać, nie ma się pani czego bać. Od tej chwili ja za panią odpowiadam. - Ogarnął spojrzeniem wnętrze celi. - Jutro przeniosą panią w miejsce... powiedzmy, trochę wygodniejsze.



Nie ma żadnego powodu, aby pani miała przebywać tutaj.

- Skierował się w stronę drzwi. - A teraz proszę spróbować odpocząć. Powiedziano mi, że nie najlepiej się pani czuje... - dodał odwracając się. - Może potrzebuje pani lekarza? Przyślę go do pani - postanowił. Maria ciągle milczała. Zapukał w drzwi, które natychmiast się otworzyły. - Porozmawiamy później... Spróbujemy - dodał dziwnie spokojnym głosem i wyszedł.

Po jego wyjściu Maria ciągle siedziała nieruchomo.

W końcu ogarnął ją ból. Poczwała, jak się rozchodzi, powoli, bardzo powoli rozrywa serce. Położyła się na pryczy, zwinięta w kłębek, twarzą do ściany, i poddała się bólowi bez najmniejszego oporu, tak jakby na niego zasłużyła. Myślała o Michaelu, próbowała przywołać obraz jego twarzy. Szeptwała jego imię.

Nigdy już go nie zobaczę, pomyślała z rozpaczą.

Och! Michael, gdybyś wiedział, nie zrobiłbyś tego, nie zrobiłbyś! Gdybym powiedziała mu prawdę! Gdybym ich nie posłuchała! Och, kochany, przebac mi, to wszystko moja wina! Przebacz!

Teraz już wiedziała, że się nie omyliła, że ta okropna myśl, która przysła jej do głowy tuż przed przybyciem oficera KGB, była odpowiedzią na pytanie, jakie sobie zadawała. Wizyta tego oficera, jego zachowanie przekonało ją o tym. Teraz wiedziała, jak to wszystko się skończy, a rozpacz jej była tym większa, że czwała się częściowo odpowiedzialna za to, co miało nastąpić.

On umrze.

Poczwała, że ogarnia ją straszliwa pustka.

Umrze za mnie. Poświęci się. Z mojego powodu. Myśli, że jest skazany... bo nie powiedziałam mu prawdy!

Mój Boże, zabiją go... a on nawet nie będzie się starał im w tym przeszkodzić!

Będą nad nią czuwać jak nad sercem Lenina, pomyślał Michael, aby zagłuszyć niepokój, kiedy pociąg po raz kolejny podskoczył na szynach. Tej nocy nie mógł zasnąć i wiele razy jeszcze to sobie powtarzał, gdy tak jechał przez rozległe, pogrążone w ciemnościach, zlodowaciałe równiny północnej Rosji.

Jechał do Rygi, stolicy Łotwy.

W końcu przestał rozpamiętywać wydarzenia ostatnich godzin. Skupił się tylko na tym, co pozostało jeszcze do zrobienia, i na przeszkodach, jakie będzie musiał pokonać. Był poruszony, wręcz przerażony koszmarną wizją, która wylaniała się w rytm kołysania i miarowego stukotu pociągu.

Tłący się lont... biegnie równo z pociągiem! Lont, który on sam zapalił!

Będą nad nią czuwać jak nad sercem Lenina!

Gdy następnego dnia przyjechał do Rygi otumaniony ze zmęczenia, miał wrażenie, że cała Rosja przystąpiła do wojny z nim. Jak zwykle, gdy zagrażało jakieś niebezpieczeństwo, gdy chwila była poważna, *Rodina* będzie mogła korzystać ze wsparcia najwierniejszego sprzymierzeńca: zimy. Temperatura spadła do minus dwudziestu stopni. Kończyła się właśnie burza śnieżna, miała nadejść następna. Od wielu dni wiały wiatry zachodnie, północne i północno-zachodnie, Morze Bałtyckie było ścięte lodem na przestrzeni wielu kilometrów wzdłuż wybrzeży łotewskich.

Deves odegnał od siebie obraz Łotwy w okowach lodu, na dworcu

zadzwoił z telefonu publicznego, po czym wskoczył do pierwszego pociągu jadącego do Ventspils, handlowego i rybackiego portu leżącego około dwustu kilometrów na zachód od Rygi.

Po przyjeździe bez trudności dojrzał na peronie mężczyznę, który na niego czekał. Był to potężny człowiek, już nie najmłodszy, korpulentny i brodaty. Miał na sobie skafander z kapturem w kolorze odblaskowego błękitu. Brodacze zgodził się, że jego imię brzmi Andrejs, i gestem wskazał Devesowi, aby poszedł za nim do furgonetki. Prawie nie otworzył ust w czasie drogi prowadzącej wzdłuż wybrzeża, przez okolice pokryte śniegiem, aż do miejscowości Mamiltene, leżącej dwanaście kilometrów na południe od Ventspils. Furgonetka zatrzymała się przy wjeździe do miasteczka, przed niewielkim domkiem, którego drzwi natychmiast się otworzyły. Na spotkanie Michaela szybkim krokiem wyszła kobieta pięćdziesięcioletnia, mocno zbudowana, z okrągłymi policzkami i jasnymi oczami.

Latvia Talitis.

Łotyszka, której syn dzięki Michaelowi mógł uciec na Zachód. „Teraz jest w Australii”, powiedziała mu przez telefon dwa dni wcześniej. „Tam jest sporo Łotyszów i dużo słońca”, dodała głosem pełnym wdzięczności, jakby za to także, nawet za to była mu dłużna.

Latvia Talitis miała ciągle to samo spojrzenie, bardzo łagodne, jakby zmęczone. Uśmiechnęła się do Michaela i wzięła go pod rękę.

- Witaj w domu - powiedziała pociągając go do wnętrza. - Ty także wejdź, Andrejs! - dodała nie odwracając się do brodacza, który stał przed domem. - Jeśli zamarzniesz, nie będziesz się już do niczego nadawał!

Kilka chwil później Latvia Talitis usadziła Michaela w kuchni przy stole, obok pieca, spytała, czy jest głodny, zaproponowała mu i podała duży kubek gorącej herbaty. Potem postawiła pustą szklankę przed ciągle milczącym brodaczem, który siedział przy drugim końcu stołu, napełniła ją do połowy ciemnym, gęstym płynem - był to likier z leśnych ziół - dopełniła zaś wódką. Odwróciła się w stronę Devesa, popatrzyła na niego z lekkim zakłopotaniem, po czym skrzyżowała ręce na piersi i zdecydowała się przemówić:

- Nie ma żadnego statku - powiedziała szybko. - Przynajmniej na razie. Jedyne, który wchodziłby w grę, będzie tu najwcześniej za dwa tygodnie.

Michael siedział nieruchomo, twarz mu nie drgnęła, ale spojrzał tak, że Latvia Talitis aż krzyknęła.

- Mój Boże! Co panu jest?

To było tak, jakby lecąc na spadochronie zatopił się w myślach i bez przygotowania twardo spadł na ziemię.

Zmęczenie... zbyt długie napięcie, pomyślał Michael zupełnie zagubiony. O mało nie zemdlął, gdy usłyszał słowa Latvii Talitis.

Przewidywał małe trudności w Ventspils. Szybkie znalezienie statku, którym można by nielegalnie opuścić Związek Sowiecki, nie było, nawet przy pomocy życzliwych ludzi i pieniędzy, taką prostą sprawą. Ale tak naprawdę nie wierzył, że będzie to niemożliwe, nie chciał w to uwierzyć, nie chciał wziąć tego na serio. Do tego stopnia, że nie brał pod uwagę ani nie przygotował się na inną możliwość... Zmęczenie i napięcie, a także względna łatwość, z jaką udawało mu się dokonywać kolejnych akcji, to wszystko wypaczyło jego sąd i zniekształciło pojmowanie rzeczywistości. Dlatego szok wywołany słowami Łotyszki był tak silny.

Z zewnątrz dochodził świst wiatru.

- Już lepiej? - spytała cicho Latvia Talitis.

Michael ruchem ust odpowiedział, że tak. Wypił łyk wódki, poczuł, jak alkohol rozchodzi się w gardle, jak zamiera w żołądku. Czuł się zupełnie pusty. Cały jego plan zawalił się. W rozgrywce z KGB następny cios był decydujący, a żeby go zadać, musiał koniecznie wyjechać z Rosji. Koniecznie!

To niemożliwe!

Z przerażeniem spojrzał na brodacza, który uważnie go obserwował, po czym odwrócił się w stronę Łotyszki.

- Latvia, jest pani pewna, że... Jeśli to kwestia pieniędzy, zapłacę tyle, ile trzeba! Pieniądze nie są...

- Pieniądze nie są problemem - powiedziała z żalem Latvia. - Po pana telefonie Andrejs próbował wszystkiego. Zna tu wszystkich, w Rydze także. Zajmuje się dokerami w Ventspils, a jego brat jest pilotem w Rydze. Rozumie pan? - Wyglądała na zmartwioną. - W normalnych czasach to nie było łatwe, nawet z dolarami, ale dzisiaj, a przynajmniej w najbliższych dniach to niemożliwe. Wzmocniono wszystkie kontrole. Przeczesaują statki, gdy tylko mają najmniejsze podejrzenie, a nawet wtedy, gdy nie mają! - Wyjęła coś z szuflady w stole i posunęła w stronę Michaela. Rozpoznał siebie na fotografii.

- Są wszędzie, tutaj i w Rydze; myślę, że gdzie indziej także. Przypuścimy, że uda się panu wejść na teren portu, że nikt pana nie zatrzyma, że znajdzie pan jakiś sposób na zmylenie czujności strażników granicznych, ale nie będzie ani jednego kapitana, który wpuściłby pana na swój statek.

- Muszę wyjechać - rzekł Michael, jakby nie chciał o niczym innym słyszeć.

Brodacz po drugiej stronie stołu obserwował go mrużąc oczy. Po chwili odwrócił się w stronę Latvii Talitis. Latvia umyślnie go zignorowała i zbliżając się do Devesa powiedziała:

- Za piętnaście dni. Będzie jedna możliwość... Lont...

Tłący się lont!

- Nie mogę czekać - rzekł Michael.

- Latvia?

- Dlaczego? Dlaczego nie może pan czekać?

- Latvia?

- Daj spokój, Andrejs ! Niech pan odpowie: dlaczego? Deves spojrzął na nią. Co mógł odpowiedzieć? Mógł tylko powtórzyć:

- Muszę wyjechać. Milczenie.

- Latvia?

Łotyszka poczekała chwilę, wreszcie odwróciła się do brodacza.

- To on decyduje - powiedział Andrejs. - Nie ty.

- To szaleństwo!

- Może...

- Nie, nie „może”! To jest szaleństwo.

- Jeśli tak uważasz - przyznał brodacz spokojnie. - Ale to on decyduje.

Latvia Talitis wzruszyła ramionami i zamilkła. Brodacz zwrócił się do Devesa:

- Pięć tysięcy dolarów... Może pan?

- Nie ma sprawy - wybełkotał Michael.

- W dolarach amerykańskich?

- W dolarach amerykańskich.

Brodacz z zadowoleniem spojrzął na Łotyszkę, po czym mówił dalej:

- Jutro z Rygi wypływa statek, szwedzki statek kabotażowy. Nazywa się „Olaften”. Jeśli pan się zgadza, uprzedzę ich. Zabiorą pana.

- Ależ... myślałem, że... - zaczął Michael z zakłopotaniem, próbując napotkać wzrok Latvii Talitis.

- Latvia powiedziała panu prawdę - rzekł brodac. - Nie może pan wsiąść na statek w Rydze, to niemożliwe. - Milczał chwilę. - „Olaften” będzie przepływał na pełnym morzu nie opodal Ventspils. Około dwudziestu kilometrów od Ventspils. Tam wejdzie pan na statek.

- A jak tam się dostanę?

Brodacz zawahał się, jego spojrzenie powędrowało w stronę Łotyszki, zawróciło w pół drogi i znowu spoczęło na Devesie.

- Idąc po morzu - powiedział spokojnie. - Po lodzie.

Milczenie.

- Coś mi się wydaje, że to wszystko cię bawi, Andrejs – rzekła Latvia Talitis z pretensją w głosie. - Chcesz się dowiedzieć, czy to jest możliwe, prawda?

Brodacz nie odpowiedział. Michael, ochłonąwszy ze zdumienia, spytał:

- A czy to jest możliwe?

- A skąd on ma wiedzieć! Nikt tego nie wie!

- Latvia, proszę! - zniecierpliwiał się Michael. Oschłym tonem zwrócił się do brodacza:

- Jest możliwe?

- A dlaczego by nie?

- Jak mam to rozumieć?

- Wiatr wieje już od czterech dni. Wiatr z zachodu i z północy, bardzo silny, porywisty, często występuje na Bałtyku. Kiedy wieje w zimie przy tak niskiej temperaturze jak teraz, morze zamarza wiele kilometrów w głąb. Lód jest gruby i wytrzymały. Dochodzi nawet do osiemdziesięciu centymetrów grubości.

- Dwadzieścia kilometrów w głąb morza?

- W zasadzie tak. To znaczy... zdarza się, że to nie jest dwadzieścia kilometrów tylko piętnaście, ale to nic nie zmienia, lód jest taki sam. Rozumie pan?

- Można po nim iść? Bez ryzyka?

- Szedłem po nim - oświadczył brodac. - Nie od samego brzegu; kiedyś szedłem z trawlera, żeby sprawdzić... Nie było żadnych trudności.

Lód nie jest całkiem gładki. Powierzchnia nie jest równa, gdzieniegdzie są niewielkie wzniesienia uformowane przez wiatr, ale przejść można. Zrobiłem to.

- Ale nie od samego brzegu - zauważył Michael.

- Nie - zgodził się brodac. - Jednak nie ma powodu, aby było inaczej. Wręcz przeciwnie nawet.

- Nie ma szczelin czy też miejsc, w których lód będzie cienki?

- Nie ma powodu - odrzekł brodac po krótkim wahaniu.

- Nie ma powodu - Michael powtórzył za nim.

- Nie - powiedział brodac wytrzymując spojrzenie Devesa. Zabełtał płyn w szklance, podniósł szklankę wyżej, jakby chciał upewnić się, że balsam dobrze wymieszał się z wódką, i chyba zadowolony, wypił. - Będzie pan dobrze wyekwipowany, mamy wszystko, co potrzeba - mówił dalej przechylając głowę w stronę Latvii Talitis. - Przy prędkości dwóch kilometrów na godzinę, moim zdaniem nie można iść szybciej, wszystko potrwa od dziesięciu do dwunastu godzin. Jest pan młody, zdrowy, chyba w dobrej formie, może więc pan iść... Co?

- Nic, nic. Proszę mówić dalej.

- Co pan ryzykuje? - zadał sobie pytanie. - To, że pan zabłądzi? Tak... Chyba że nie będzie pan brał pod uwagę punktów orientacyjnych, które panu wskażą. A potem już wystarczy kompas. Jedyne ryzyko jest takie, że z tego czy innego powodu nie wsiądzie pan na statek. Wtedy będzie pan musiał wracać. Ale nie ma powodu...

- Nie ma powodu - wymamrotała Latvia Talitis. - Tylko to umiesz powtarzać? A pan go słucha? - spytała Devesa. Westchnęła potrząsając głową ze złości. - No to niech pan go słucha! - dodała i przesiadła się w kąt kuchni. - Niech pan go posłucha, wszystkiego dobrego!

Michael milczał.

To wszystko wydawało się takie bezsensowne... i jednocześnie tak oczywiste, tak proste! Gdzie była jakaś luka?

- Nie ma żadnych straży? - spytał z niedowierzaniem.

Brodacz uśmiechnął się po raz pierwszy. Był to błydy uśmiech, z trudem wydobył się z gęstej brody i wyglądał jak przecinka w gęstych zaroślach.

- Oczywiście, że są. Ale w taką pogodę dają sobie trochę luzu, a już na pewno są mniej skuteczni; kutry straży przybrzeżnej nie wypływają,

kiedy jest lód. Są też reflektory, za pomocą których przeczesują brzeg. Używają przeciwlotniczych reflektorów z czasów ostatniej wojny, które oświetlają teren na przestrzeni piętnastu kilometrów. Ale jeżeli burza śnieżna zapowiadana na tę noc rzeczywiście nadejdzie, nie będą tak skuteczne. W dodatku widać, kiedy smuga światła się zbliża; jeśli leży pan płasko na brzuchu na lodzie, w jasnym ubraniu, nie są w stanie pana dostrzec.

- A wzdłuż wybrzeża nie ma patroli? Nie ma psów?

- Dziwne byłoby, gdyby wyszły tej nocy. Nawet jeśli będą, z łatwością pan je ominie. Mówię panu, że nie ma co się martwić o strażę... Trzeba po prostu uważać, to wszystko. Moim zdaniem, gdy przejdzie pan pierwszy kilometr, nie ma się już pan czego obawiać. Nadbrzeżne radary przecież pana nie wykryją, co?

Michael przytaknął w milczeniu. Radary nie będą mogły wykryć jego obecności - obecności człowieka, nie do tego są przystosowane. Gdzie była więc luka?

Radary przeciwko ludziom? Takie jakie stosują Izraelczycy wzdłuż granicy libańskiej, aby zapobiec przenikaniu oddziałów palestyńskich, albo takie jakich używają służby bezpieczeństwa w kopalniach diamentów w Afryce Południowej, żeby wykryć złodziei: dzięki efektowi Dopplera mogą „słyszeć” fale wywołane przez ruch człowieka na odległość pięciu do czterdziestu pięciu kilometrów, w zależności od modelu. Czy sowieci posiadają takie radary? Jeśli tak, czy zainstalowali je na wybrzeżu łotewskim? Nic na to nie wskazywało. Ten rejon nie był aż tak ważny z punktu widzenia strategii. Poza tym takie urządzenie jest szalenie kosztowne, warte od trzech do pięciu milionów franków, i trzeba by było je zainstalować co piętnaście kilometrów - a ZSRR ma w sumie ponad sześćdziesiąt tysięcy kilometrów granic na lądzie i na morzu!

System detekcji termolokacyjnej? Kamery termiczne o zasięgu trzech do czterech kilometrów, wykrywające ciepło organizmu ludzkiego... Takie rozwiązanie wydawało się jeszcze mniej prawdopodobne. To także jest kosztowne, taki aparat musiałby znajdować się prawie na każdym kilometrze i nie mógłby działać w czasie deszczu, mgły i śniegu!

Rozumiesz nie tak jak trzeba, pomyślał Michael. Przecież mogli coś takiego zainstalować punktowo, w miejscach, w których wydawało



się to niezbędne. Dlaczego więc nie tutaj? A dlaczego tutaj? Czym okolice Ventspils miałyby zasłużyć sobie na takie wyróżnienie? Jest jednak sposób na to, żeby wyzbyć się obaw. Urządzenia tego rodzaju, aby działać prawidłowo, muszą być umieszczone na pewnej wysokości, co najmniej czterdziestu metrów w przypadku radarów rozpoznających człowieka, a to ze względu na krzywiznę powierzchni Ziemi. Płaska rzeźba terenu łotewskiego wybrzeża wymagałaby zbudowania w odpowiednich miejscach dość wysokich wieżyczek.

- Nigdy czegoś podobnego nie widziałem - oświadczył brodac, gdy Deves zapytał go o to. - Niech pan mi wierzy, dobrze znam tutejsze wybrzeże i nie tylko tutejsze. Niczego takiego tutaj nie ma.

- Jest pan tego pewien?

- Absolutnie pewien - tym razem brodac uśmiechnął się szeroko. - Skąd panu przyszło do głowy, że mogą być tutaj takie doskonałe urządzenia techniczne? - spytał z błyskiem drwiny w oczach. - Żeby panu przeszkodzić w ucieczce? Tylko panu? Bo oprócz pana nikt nigdy tego nie zrobił. Nikt nigdy nie próbował wsiąść na statek idący po zamrzniętym morzu! Nikt o tym nawet nie pomyślał, a jeśli już - co za niedorzeczność!

Michael także uśmiechnął się. Tak czy inaczej nie miał wyboru...

- Ma pan rację - powiedział. - Niech pan zawiadomi „Olaften”.

- To było wiosną, pod koniec wojny. Byłam wtedy bardzo młoda. Byłam sama, mieszkalam z matką, babcią i starszym bratem. Któregoś ranka oddziały NKWD wkroczyły do Mamiltene. Dziesięć dni wcześniej odjechali Niemcy. Centrum dowodzenia Rosjanie ulokowali w klasztorze, przy drodze wyjazdowej z miasta... Nigdy nie zapomnę twarzy oficera dowodzącego oddziałami NKWD... Zgromadzili wszystkich przed kościołem. Z jednej strony kobiety, dzieci i starcy, z drugiej zdrowi mężczyźni - ci, którzy zostali, którzy nie byli zmobilizowani czy deportowani jak mój ojciec i moi wujowie w 1941, ci, którzy zdezerterowali z szeregów armii niemieckiej, do których wcielano ich często siłą. Brat stał z mężczyznami. Miał siedemnaście lat. Oficer NKWD zaczął krzyczeć w megafon. Krzyczał bardzo głośno. Mówił, że wszyscy jesteście zdrajcami, że nie tylko jesteście złymi komunistami, ale w dodatku kolaborowaliśmy z nazistami, że

naziści przy pomocy takich jak my zmasakrowali miliony patriotów sowieckich... Myślę, że to prawda, że Łotysze kolaborowali z Niemcami. Zarówno w Mamiltene jak i gdzie indziej. Nienawidziliśmy Niemców, ale jeszcze bardziej nienawidziliśmy Rosjan, czerwonych. Oficer długo przemawiał do ludzi z miasteczka, bardzo długo. Wyglądał na rozwścieczonego. Potem powiedział, że taka hańba nie powinna już nigdy się powtórzyć, że wszystkiemu winne są złe myśli, że trzeba wszystko wymazać, zacząć od zera. Powiedział „od zera”... i wtedy związali mężczyzn. Wszystkich. Było ich dwudziestu czterech. Położyli ich na plecy po obu stronach szosy - głowy leżały na szosie - i kołkami przybili do ziemi. A nam, kobietom, dzieciom i starcom kazali stanąć u ich stóp... Abyśmy mogli zobaczyć, abyśmy widzieli... Nie wiem, co to były za pojazdy. To chyba nie były czołgi, chyba nie... Ale były ciężkie i miały gąsienice. Gąsienice, które zgrzytały... Kiedy zaczęli miażdżyć pierwsze głowy, słychać było krzyki, wycie i pamiętam dobrze, że nie od razu zrozumiałam, co się dzieje. Kiedy wreszcie do mnie dotarło, spojrzałam na brata. Płakał, a ja pomyślałam, że to niemożliwe, że on chyba coś zrobi, jakoś się podniesie i wstanie. Krzyki tych nieszczęśników były okropne, tych, którzy krzyczeli - bo nie wszyscy krzyczeli. Ale najgorsze było, gdy te krzyki się urywały... Mój brat nie krzyczał... Zemdlął, tak mi się zdaje. Nie pamiętam już, czy cokolwiek widziałam. Pamiętam tylko warkot motoru, zgrzytanie gąsienic i wycie mojej matki. A także mokrą od łez twarz brata, twarz, której za chwilę już nie było... Po prostu nie było... Cała kolumna tak przejechała. Aż nie pozostało już nic, ani śladu czaszek, mózgu, ani śladu antykomunistycznych myśli w Mamiltene. Tylko ciała bez głów...

Przez chwilę był tylko wiatr wiejący na zewnątrz, w ciemnościach. Nadeszła zapowiadana burza śnieżna, nie tak gwałtowna jak przewidywano, ale jednak nadeszła.

- Jeszcze jedno - rzekła Latvia Talitis siadając tuż obok Michaela. Wyciągnęła zza dekoltu wisiołek, otworzyła puzderko i wyjęła zwitek pożółkłego papieru; ostrożnie go rozwinęła. - Mój mąż stał w roku pięćdziesiątym siódmym na czele buntu w obozie, do którego go deportowano, tak powiedzieli. Rozstrzelali go wtedy. - Przyglądała się kartce. - Nic innego nie powiedzieli... Nawet nie wiem, gdzie jest pochowany. - Podała kartkę Michaelowi. - To wszystko, co po nim mam:

przysłali mi rachunek za kule, którymi go zastrzelono... Czternaście rubli... Musiałam zapłacić czternaście rubli...

Milczenie.

Michael oddał jej kartkę, którą starannie złożyła i włożyła na miejsce, do puzderka; nosiła ją na sercu. Odgarnęła pasmo włosów za ucho.

Ile mogła mieć lat, zastanawiał się wzruszony Michael. Mimo wieku, mimo ociężałości sylwetki było w niej coś, co przetrwało, coś wzruszającego, połączenie zmysłowości i wdzięku. Ujawniało się to niekiedy w pozie, w geście, w sposobie trzymania głowy czy w niemal prowokującym zwyczajnym wypinaniu piersi do przodu... Była kiedyś piękna, a jej ciało od czasu do czasu jakby przypominało sobie o tym.

- Teraz pan rozumie, dlaczego nie zadaję panu pytań - powiedziała podnosząc wzrok i patrząc łagodnie na Michaela. - Dlaczego pomagam panu o nic nie pytając. Rozumie pan?

Michael gestem odpowiedział, że rozumie. Łotyszka obserwowała go przez chwilę ze smutną miną, po czym odwróciła głowę.

Gwałtowny podmuch owionął dom, wiatr wciskał się drzwiami i oknami do kuchni, śnieg osiadał na szybach. Przez chwilę Michael wsłuchiwał się w wycie wiatru. Po pewnym czasie burza się uciszyła, oddaliła i prawie w całym domu słychać było lekkie skrzypienie i trzaski.

Latvia Talitis wstała, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Powoli pokiwała głową.

- Myślę, że ma pan wystarczająco ważny powód, aby angażować się w coś takiego.

Teraz była już tylko noc, zimno i wiatr.

Deves niewyraźnie widział sylwetkę Andrejsa przycupniętego jakieś piętnaście metrów przed nim, na szczycie niewielkiej zaśnieżonej wydmy. Śnieg już nie padał. Gdzieś tam na niebie ukazały się gwiazdy. „Tak też jest dobrze”, oznajmił brodacze uspokajająco. „Trzeba będzie trochę bardziej uważać na reflektory, ale z drugiej strony będzie pan miał lepszą widoczność, jeśli chodzi o punkty orientacyjne”.

Po drodze bez trudu ominęli patrolowy pojazd straży granicznej.

Znajdowali się teraz blisko dwa kilometry na południe od portu Ventspils. Była czwarta trzydzieści rano.

Poprzez wiatr dał się słyszeć gwizd. Deves zbliżył się do brodacza.

- Jesteśmy - powiedział Andrejs. - Morze jest trzydzieści metrów przed nami. Wszystko idzie jak trzeba.

Najpierw Michael dostrzegł po prawej stronie światła portowe i potężną smugę z reflektora przeszukującą ciemności nocy. Potem w bladym świetle gwiazd stopniowo rozpoznawał rozległą równinę, ciemną i zaśnieżoną, nieruchomą, pogrążoną w ciszy. Niczym nie różniła się od miejsca, w którym się znajdował. Wydawało się, że w tej trwającej od niepamiętnych czasów walce ziemia zwyciężyła wreszcie morze, zapanowała nad nim, lecz nie wiedząc, co z nim teraz zrobić, a może wątpiąc, czy zdoła zachować je dłużej, postanowiła je tak pozostawić bez opieki.

Michael poczuł na ramieniu dłoń brodacza.

- Jest pan gotowy? W drogę!

Obaj mężczyźni zbiegli z łagodnego zbocza wydmy, przemierzili zaśnieżoną plażę i weszli na zamarznięte morze. Pod ich krokami lód stawał się twardszy, bardziej śliski, wydawał głuchy i zgrzytający dźwięk. Wiatr uformował małe lodowe fale, łatwe do przekroczenia, najeżone rozproszonymi wzgórkami o dziwacznych kształtach, które trzeba było obejść.

Po przejściu pięćdziesięciu metrów brodacz zatrzymał się. Zaszedł już wystarczająco daleko, wracając miał zamazać ślady na wypadek, gdyby patrol pojawił się wcześniej, zanim wiatr je zmiecie. Andrejs mocno pociągnął Devesa za rękaw, kazał mu przykucnąć za wzniesieniem. Zaraz potem lód wokół nich jakby zapłonął, stał się żółty, roziskrzony, rozświetlał ciemności, po czym znowu pogrążył się w czerni. Deves zaklął w duchu, wodził wzrokiem za bezszelestnym promieniem reflektora obiecując sobie, że o nim nie zapomni.

Rozległ się stłumiony głos brodacza:

- Uwaga na następny!

- Tak!

- Teraz już pana zostawię!

- Dobrze! - odpowiedział Michael.

- Da pan sobie radę?

- Tak! Niech pan się teraz odczepi ode mnie, zanim zmienię zdanie!

Brodacz zawahał się przez moment.

- Powodzenia! - krzyknął i odszedł.

Michael starał się nie patrzeć na niego. Wyrwał do przodu nie odwracając się; spieszo mu było pokonać taką odległość, żeby nie było już możliwości odwrotu. Przeklinał strach tkwiący gdzieś w brzuchu. Czego się bać? Jak można się bać? Starał się odsuwać od siebie wizję, straszliwą wizję lodu, który załamuje się pod nim i pochłania go.

Po dwóch kolejnych upadkach zwolnił kroku. Wpatrywał się w przestrzeń, aby wcześniej dostrzec przeszkody, nie tracił jednak z oczu ruchów reflektora, a także dalekich świateł portu po prawej stronie - zielonych gasnących co trzy sekundy i mrugających czerwonych. Te światła były jego jedyną pociechą, jedynym towarzyszem w ciemności, a zwłaszcza ostatnią deską ratunku, z której będzie korzystał jeszcze przez pewien czas. Światła te oraz dwa inne na północnym cyplu głównego mola - czerwone mrugające co dwie sekundy blisko brzegu i czerwone stałe, nieco cofnięte, pierwsze na wysokości siedemnastu metrów, drugie trzydziestu pięciu metrów - pozwolą mu odnaleźć się w tym zlodowaciałym świecie, w który się zagłębiał. Andrejs wskazał mu cztery linie orientacyjne. Michael słyszał jego głos:

„Idzie pan prosto przed siebie. Najpierw widzi pan światło czerwone i zielone, w pionie. Wtedy jest pan około półtora kilometra od brzegu. Idzie pan ciągle prosto przed siebie po osi: czerwone mrugające co dwie sekundy i zielone, potem czerwone stałe i czerwone gasnące, jeszcze później czerwone stałe - czerwone mrugające co dwie sekundy. Wtedy skręca pan nieco w lewo kierując się na czerwone stałe - czerwone mrugające co dwie sekundy. I niech pan spojrzy na kompas! Idzie pan po tej osi aż do chwili, gdy straci pan z oczu światła. Są widoczne co pięć mil. Kiedy już pan ich nie będzie widział, będzie to znaczyło, że przeszedł pan około ośmiu kilometrów. Później kieruje się pan kompasem. Niech pan trzyma kierunek! Najważniejsze są ostatnie światła, one właśnie określają w przybliżeniu punkt spotkania z «Olaftenem».”

Pierwsze światła Michael minął około piątej rano.

Szło mu się dobrze - może za dobrze? Może. Za wszelką cenę chciał przekroczyć czerwone stałe - czerwone mrugające co dwie

sekundy, które wskażą, jak dojść na spotkanie z „Olaftenem”. Dopiero potem będzie mógł zwolnić.

„Co najmniej do dziewiątej rano jest ciemno, z czego wynika, że ma pan trochę ponad cztery godziny na przejście ośmiu pierwszych kilometrów. To w zupełności wystarczy”.

Tak! Ale teren może się zmienić, pogoda także, może rozszaleć się burza, ja mogę się pomylić, zejść z drogi i wtedy wszystko będzie trwało dłużej! „Nie ma powodu...” Nie, nie ma powodu, ale także nie ma powodu, aby to się nie stało! „To szaleństwo!” Być może, Latvio... nawet na pewno, ale już jestem w drodze! Już za późno!

Najpierw czerwone stałe - czerwone mrugające co dwie sekundy!

Szedł różnym krokiem, swoim własnym rytmem, nie przyspieszając zbyt, aby się nie spocić, bo spocenie się w niskiej temperaturze to najgorsze co się może zdarzyć, trzeba tego absolutnie unikać. Na razie nie było mu zimno, a to dzięki napięciu, jakie ciągle jeszcze czuł, ale także dzięki ubraniu, które dała mu Latvia Talitis - dwie pary spodni z moltonu, długi skafander podbity futrem, kominiarka i czapka, rękawice i filcowe boty, także na futrze. Za radą Łotyszki owinął stopy plastikowymi torebkami, na nie włożył dwie pary wełnianych skarpet, „bo w przeciwnym razie skarpetki będą mokre od potu, nogi panu zamarzną i nie będzie pan mógł iść”, część twarzy wystawioną na mróz posmarował tłuszczem z fok. Był wyposażony tak, jakby wybierał się na wyprawę polarną, co zresztą nie było całkiem niezgodne z prawdą, mogłoby nawet stać się prawdą, gdyby powiał wiatr taki jak poprzedniego dnia. Na tej szerokości geograficznej wiatr wiejący z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę może zmienić minus dwadzieścia stopni - tyle teraz właśnie jest - w prawie minus czterdzieści.

Doszedł do ostatniej ustalonej linii: czerwone stałe - czerwone mrugające co dwie sekundy, do siódmej było jeszcze sporo czasu.

Nie zadowoliło go to, raczej zaniepokoiło: albo szedł za szybko, co nie wydawało się prawdopodobne, albo nie zdając sobie sprawy zбочył z drogi i za bardzo zbliżył się do toru wodnego... Widok przybliżającej się z hukiem ogromnej ciemnej bryły najeżonej światłami uświadomił mu, że właśnie tak się stało. Ogarnęło go przerażenie.

Lodolamacz!

Cholera jasna! Nie! Tak bardzo zboczyłem z drogi, że znalazłem się przy kanale prowadzącym do portu!

Pobiegł w lewo, ciągle oglądając się, czy lodołamacz nie płynie za nim, przy każdym - kroku bał się, że lód pęknie pod jego ciężarem. Był przerażony na myśl, że tak się stanie, że przy kanale lód jest o wiele cieńszy i mniej wytrzymały niż gdzie indziej. Uspokoił się dopiero, gdy zobaczył, że odległość między nim a lodołamaczem zwiększa się; wtedy skręcił w prawo, aby znowu znaleźć się na linii: czerwone stałe - czerwone mrugające co dwie sekundy. Zajęło mu to około godziny.

Odpoczął chwilę, po czym ruszył bez pośpiechu w dalszą drogę, upewniając się co pewien czas, że nie zbacza z osi czerwone stałe - czerwone mrugające co dwie sekundy. Około wpół do dziewiątej, w przyćmionym jeszcze blasku świtu mógł dojrzeć swą pozycję w kompasie. Szedł jednak trzymając się świateł tak długo, jak to było możliwe, aż do chwili, gdy obydwa światełka zaczęły słabnąć i zamierać w dali.

Ostatnie sygnały z ludzkiego świata, potem będzie już tylko zlodowaciała nicość...

Gdzieś w górze zaskrzeczał ptak i odleciał głośno krzyżąc.

Michael ruszył w dalszą drogę.

Był już dzień, ale nie widać było nawet horyzontu. Zimno i wiatr, i zamrożone morze pod stopami. Nic więcej. I co dziwne, wszystko to wydawało się jednocześnie niezwykle i dobrze znajome, jakby spełniał się sen przepowiadający, że tak właśnie opuści ten świat... Bez bólu, bez strachu, po prostu odwracając się plecami...

Przestań...

Zaczynał odczuwać zmęczenie. Przy każdym kroku po czaszce rozchodził się dotkliwy ból. Napięcie, myślał, napięcie zaczyna opadać, nic więcej. Ale czatował na ten ból, czekał na jakiś znak. Potem zaczął się zastanawiać, czy guz toczący jego mózg jest wrażliwy na zimno, czy zimno zwalnia bieg choroby. Szaleństwo! Zastanawiał się też, czy guz będzie żył dłużej niż on, Michael. Ile czasu będzie jeszcze drażył, zanim zorientuje się, że... Przestań, przestań!

Nie myśl o tym, nie myśl o sobie, pomyśl raczej o Marii! Jeśli będziesz myślał o sobie - umrzesz, ona także umrze! Tego właśnie chcesz? Och, nie! Nie? Nie! Ale tak się stanie, jeśli dalej będziesz myślał o sobie! Lont... lont! Widzisz go? Popatrz! Lont się pali! Więc

myśl o tym, co robisz. O tym, co musisz jeszcze zrobić. Myśl o Marii, tak, myśl o niej, ale nie myśl o niczym innym. Rób, co musisz zrobić, zrób to najlepiej, jak tylko potrafisz!

Temu właśnie oddał się przez następne godziny, całą duszą, całym ciałem. Szedł jak skazaniec, przerwy robił tylko po to, żeby wzmocnić się sucharem i suszoną rybą i tym raźniej ruszyć. Gdy obawiał się, że zaczyna tracić siły, przywoływał obraz Marii, wypowiadał jej imię, aby odzyskać tempo; mówił do niej nawet, tak jakby szła obok, opisywał napotkane przeszkody i pytał, jak ma je pokonać. Szedł, ciągle szedł do przodu, nie słuchając zdradzieckich podszeptów, że idzie na swoją zgubę, że tylko to mu już pozostaje.

Była czwarta po południu, gdy zorientował się, że zapada noc. Ogarnęła go panika. Szedł już prawie dwanaście godzin. Jeśli wierzyć słowom Andrejsa, musiał przejść osiemnaście kilometrów... „Przez ostatnie kilometry, powiedzmy przez pięć ostatnich, będzie pan widział światła statków płynących wzdłuż brzegu. W tym miejscu jest bardzo duży ruch”. Michael nic nie widział! Ciągle nic! Tylko lodowa pustynia jak okiem sięgnąć i wiatr wiejący z podwójną siłą, jakby chciał zakończyć już pracę i posprzątać wszystko przed nocą.

Gdzie było pełne morze?

„Spotkanie z «Olaftenem» nastąpi o szóstej, nie wcześniej. Możliwe, że statek przypłynie godzinę czy dwie później. Nie można tego dokładniej określić. Będzie to zależało od czynności kontrolnych przy wyjściu z portu, od warunków nawigacji w Zatoce Ryskiej. Od tego, czy kanał będzie wolny, i tak dalej”.

Po raz nie wiadomo który Michael spojrział na kompas. Walczył ze zmęczeniem i wyczerpaniem, które coraz bardziej go ogarniało, złorzeczył na lód i wiatr.

Mój Boże! Ile jeszcze do pełnego morza?

Szedł już dobrą godzinę, ciągle niczego nie widząc. Nagle zauważył w ciemnościach przed sobą jedno, potem drugie migoczące światełko... Dwa czerwone promienie... Czerwone stałe - czerwone migające co dwie sekundy, pomyślał i nogi się pod nim ugwały. Wyczerpany upadł na kolana, na lód.

Oto dłaczego przez cały czas nie mógł dojść do pełnego morza: kręcił się w kółko i doszedł do punktu wyjścia!

Niemożliwe, niemożliwe... - jęczał. - Jak mogłem... Kompas! Ten cholerny kompas! Och nie!



Wpatrywał się w ciemność szukając dwóch świateł. Gdzież one były? Odnalazł je nieco dalej z prawej strony i pojął swą pomyłkę, zanim jeszcze zobaczył inne światła. Statek! Widzi przecież światła statku!

Wstał z lodu i biegiem rzucił się w tę stronę.

Po kilku chwilach usłyszał morze. „Słysząc je tak samo jak na plaży”. Usłyszał pomruk niesiony przez wiatr. Biegł dalej i wreszcie je ujrzał, tak bliskie, ciemne, lśniące, żywe; wyrzucało fale na lód, lizalo lodową tafłę, wzdychało, że lód stawia opór i nie można pochłonąć go od razu.

Była godzina za piętnaście szósta.

Michael stał zafascynowany widokiem czarnych fal. Potem cofnął się powoli, ostrożnie, jak przed rozwścieczonym zwierzęciem; zdawał sobie dokładnie sprawę, gdzie się znajduje. Nie był przecież na brzegu morza, był na pełnym morzu, o wiele kilometrów od brzegu, jakby na samym skraju cienkiej, kruchej szyby!

Zatrzymał się trzydzieści metrów od wody i zgodnie ze wskazówkami Andrejsa, przy pomocy młotka, który brodacze wrzucił mu do torby, skonstruował wokół lodowego wzniesienia schronienie przed wiatrem. Usadowił się tam jak najwygodniej i usiłował skończyć wreszcie zapas jedzenia. Zjadł suchary i suszoną rybę twardą jak deska, po czym stłukł termos i ssal lub chrupał kawałki zmarzniętej kawy.

„Musi pan nabrać sił, niech pan się oszczędza, ale nie rozleniwia. Proszę się ruszać od czasu do czasu. A przede wszystkim nie zasypiać. Jeśli pan zaśnie - jest pan martwy...

Inicjatywa będzie należała do pana. «Olaften» nie może panu dać sygnału ani świetlnego, ani tym bardziej dźwiękowego, a to z powodu radarów wychwytyjących na wielu częstotliwościach. Jak pan go rozpozna? Zbliży się do lodu w pobliżu miejsca spotkania. Wtedy zwolni, ale nie za bardzo i nie na długo, tak aby niczego nie zauważono. Pan będzie musiał do niego podejść. Biały reflektor, ten z bocianiego gniazda, będzie się poruszał, jakby szukał drogi na lodzie. Musi pan stanąć w jego świetle. Jak tylko pana zauważą, statek zwolni jeszcze bardziej i wpłynie prosto na lód. Wtedy pobiegnie pan w jego stronę, do dziobu. Rzucą panu sznurową drabinę. Musi pan działać szybko. Statek od razu zacznie się cofać, bo jeśli nie, zostanie unieruchomiony przez lód!”

Upłynęło pół godziny, pół godziny intensywnego zimna, nocy,

wiatru, pomruku morza - i kilku dalekich światel przepływających, a później oddalających się statków.

Pół godziny... Te światła, te światła, dokąd one zmierzają?

Gdzie one są?

Chyba tu umrę, pomyślał robiąc wysiłek, aby otworzyć oczy; czuł, że serce bije aż do bólu. Po chwili uciszyło się. Poczul, że powieki znowu są ciężkie. Spróbował odpędzić sen, ale miał świadomość, że nie zdoła długo się opierać, nawet nie był pewien, czy ma na to ochotę. Umrę tutaj, powiedział do siebie znowu, nie pobudziło go to jednak do działania. Zwykle stwierdzenie, nic poza tym.

Zaczynam zamarzać. Nie zobaczę statku. Zresztą, kto wie, czy przypłynie? Zamarznę, a potem pochłonie mnie morze i nikt o niczym nie będzie wiedział. Będę martwy, to wszystko. Bardzo mi przykro... Mario, bardzo mi przykro, próbowałem... Mario!

Przewrócił się na bok i zaczął bić się pięściami po twarzy, najpierw niezręcznie, potem z coraz większą precyzją, uderzał się w nos, w skronie, wywoływał dotkliwy, przeszywający ból. Zachowywał się jak obłąkany, przywoływał na pomoc swój guz, kazał mu wywołać cierpienie, błagał nawet, aby cierpienie to było straszniejsze niż kiedykolwiek. Znowu wsunął się do swojego schronu, przerażony że ból znika tak szybko. Pomyśl o Marii. Chciał zapalić papierosa, zajęło mu to ponad pięć minut, tak był zeszywniały z zimna. Myśl o Marii. Myśl o tym, co powinienesz robić. Nie myśl o tym, co już zrobiłeś, myśl o tym, co masz jeszcze zrobić.

Wiesz, co masz zrobić? Tak! Oczywiście, że wiem! A ona, ona wie? Powiedz jej! No, powiedz. Mów do niej! Co zrobisz? Sztokholm! Co Sztokholm? Polecę samolotem do Sztokholmu. Co dalej? Genewa. Dlaczego? To śmieszne! Nie, to nie śmieszne, mów dalej! Mów do niej! Dlaczego Genewa? Potrzebuję pieniędzy, w Genewie muszę wziąć pieniądze, a także fałszywe dokumenty kanadyjskie. Dobrze, i co dalej? Nowy Jork via Montreal. Nowy Jork? Tak. Po co? Muszę pojechać do Nowego Jorku. Dlaczego? Dlatego, że do rozegrania następnej partii potrzebuję partnera, a wiem, że znajdę go w Nowym Jorku, a także dlatego, że Nowy Jork jest bardzo dobrym miejscem do kontynuowania gry z KGB: spotka się tam Niedźwiedzia z dala od nory, oto dlaczego! Zgoda, co zrobisz potem? Wyciągnę ją z łap Niedźwiedzia. Jesteś tego pewien? Tak! W jaki sposób? Powiedz jej! No, powiedz! Nie! Dlaczego nie? Nie powinienem jej tego mówić, nie

może tego wiedzieć! W przeciwnym razie wszystko zablokuje! Dlaczego? Dlaczego?

Już od dłuższej chwili wodził wzrokiem za wiązką białego światła w oddali, pośród ciemności. Pomyślał, że go szukają, i doszedł do wniosku, że chyba majaczy. Złudzenie? Czy istnieją złudzenia na mrozie, w ciemności? Nawet nie próbował odpowiedzieć na to pytanie. Zamknął oczy, zrezygnował z jakiegokolwiek walki. Światło zniknęło.

Otworzył oczy.

„Inicjatywa należy do pana... Musi pan stanąć w świetle reflektora... Musi pan...!”

Michael wstał i zataczając się zaczął iść pod wiatr w stronę morza, w kierunku bladej smugi. Nie myślał, nie chciał już myśleć. Chciał, żeby to się już skończyło w taki czy inny sposób. Albo dojdzie do „Olaftena”, albo pochłonie go morze.

„Nie będzie na pana czekał... Nie będzie mógł dać znaku... To pan musi do niego podejść... Pan musi...”

Kiedy stwierdził, że zrobił już wszystko co trzeba, że nie mógł już niczego więcej zrobić, upadł na kolana zaledwie kilka metrów od wzburzonych wód Bałtyku - i czekał. Patrzył na smugę światła, która zbliżała się do niego z prawej strony, potem obserwował niespokojne morze, które wzdychało, jakby już było zmęczone oczekiwaniem na niego. Czuł, że morze jest mu bliższe niż cokolwiek innego na świecie.

Reflektor „Olaftena” wpełzł na Michaela, oddalił się, po czym szybko powrócił i zatrzymał się. Po chwili znieruchomiały w świetle reflektora Michael usłyszał warkot silników statku, który zaczynał się cofać.

Dalej rzecz potoczyła się mniej więcej tak, jak przewidywał Andrejs. Michael zebrał siły, aby dojść do miejsca, w którym statek przeciął lód, ale nie był w stanie wspiąć się po sznurowej drabinie. Zdołał jedynie na niej zawisnąć, musiano wciągnąć go na pokład.

Nie czuł już nic, żadnej ulgi. Zastanawiał się tylko w myśli, ile czasu pozostało mu jeszcze do śmierci. I stracił przytomność.

Z oddali Nowy Jork wygląda jak ogromna szczęka drapieżnika o uzębieniu nieregularnym i wybujałym do tego stopnia, że zęby rosną nawet na języku. W Nowym Jorku ciągle wyrastają nowe zęby, na przykład połyskujące olbrzymie siekacze World Trade Center, ale jeśli przyjrzeć się z bliska, nowojorskie zęby nie są takie zdrowe, jak się z pozoru zdaje. Manhattan, zęby przednie, to tylko fasada. Z tyłu, w dzielnicach Bronx, Queens i gdzie indziej miasto jest całkiem spróchniałe, z rzędami zębów połamanych i zepsutych, których nawet nie ma zamiaru oczyścić - jeśli w ogóle kiedykolwiek to robiło. Gdy się bliżej przyjrzeć, nawet Manhattan nie jest w takim dobrym stanie. Dwa kroki od Wall Street czy od World Center można zobaczyć dziury w jezdniach godne Leningradu czy Moskwy; lincolny i cadillaki poruszają się tam jak rybackie kutry na wzburzonym morzu. Są też dzielnice brudne, odrażające, zrujnowane, w których człowiek czuje się jak w kraju Trzeciego Świata. Nieznana, podstępna choroba draży tę szczękę, niczego nie oszczędzając, zatruwając nawet imponujące budynki Madison i Park Avenue, wszędzie roją się jak bakterie nędzarze i bezdomni.

Rowerzysta nagle skręcił, aby ominąć szarawe, zakrwawione zwłoki wiewiórki, wrócił na drogę i dalej jechał przez Central Park, obierając albo alejki dostępne dla samochodów, albo takie, na których spotkać można jedynie pieszych ciągniętych przez psy, rowerzystów i

joggersów w różnym wieku, różnej tuszy, o wszystkich kolorach skóry, a także policyjny samochód, poruszający się bezszelestnie, jakby nie chciał rzucać się w oczy.

Sobota rano w Nowym Jorku. Pogoda jest ładna, lecz bardzo mroźna.

Rowerzysta skierował się w stronę wyjścia na Piątą Aleję, na wysokości ulicy Siedemdziesiątej Drugiej. Zanim dojechał do wyjścia, zauważył na drodze jeszcze dwa szare przejechane zwierzątka. Po tylu latach była to jedyna rzecz, do której nie mógł się przyzwyczaić. Nie tyle do śmierci tych małych zwierząt, co raczej do ich koloru. Tam, skąd pochodził, wszystkie wiewiórki były takie, jak powinny być, takie jak wszędzie na świecie, o ile się orientował - rude, a nie szare.

To miasto nie jest normalne, pomyślał po raz nie wiadomo który. Ale za to ma inne walory, powiedział sobie jak zwykle.

Przejechał Piątą Aleję, wjechał w ulicę Siedemdziesiątą Drugą, przeciął Madison, Park i Lexington, po czym skręcił w prawo, w Trzecią Aleję i szybko zjechał, rozdzierając pióropusze pary wydobywające się spod klap kanałów centralnego ogrzewania. Jeszcze raz skręcił na prawo, w Sześćdziesiątą Siódmą ulicę, rzucił okiem na tabliczkę zawieszoną na samym rogu przez władze miejskie Nowego Jorku: „Sacharow and Bonner Corner”; nieco dalej popatrzył na budynki z szarych cegieł z zasłoniętymi oknami: to sowiecka misja przy ONZ. Nie zwalniając dojechał do końca ulicy, skręcił w lewo, w Piątą Aleję, i minawszy dwa rzędy domów znów zagłębił się w Central Park.

Obejrzał się za siebie, jak już wiele razy podczas jazdy, ponieważ chciał upewnić się, że nie jest śledzony.

Nikt go nie śledził. Bardzo się z tego ucieszył.

Skierował się ku północnej części parku, w stronę stawu. Był rozluźniony, poczuł się pewnie, tym bardziej że tego ranka jeździł zupełnie bez celu, dla samej przyjemności jazdy. Takie przejażdżki zaspokajały jego zamiłowanie do jazdy na rowerze, służyły także utrzymaniu dobrej formy fizycznej i sprawdzeniu, czy nie jest śledzony. Jeśli chodzi o tę ostatnią rzecz, w Nowym Jorku, tak jak i w każdym dużym mieście na świecie, rower jest znakomitym narzędziem pracy dla tego, kto umie się nim posługiwać. Równie dobrze można w ten sposób odkryć osobę śledzącą, jak i wywieść ją w pole: w mieście rowerzystę może śledzić tylko drugi rowerzysta. Oczywiście motocykl także

umożliwia łatwe przejechanie małymi uliczkami czy przebicie się przez popołudniowy korek, ale raczej trudno bez zwracania uwagi wziąć go na ramię i wejść po schodach czy przejść ulicą wyłącznie dla pieszych, czy też dostać się do budynku o wielu wejściach, a nawet pojechać metrem!

Tak, tylko rowerzysta mógł go śledzić... a raczej próbować śledzić. Wątpił, czy w szeregach FBI znalazłby się ktoś, kto byłby w stanie rywalizować z nim w szybkości i wytrzymałości nabytej przed wielu laty na zboczach Wzgórz Lenina w Moskwie. Świadomie utrzymywał formę, a nawet poprawił ją, trenując we wszystkich możliwych miejscach na świecie, wszędzie tam, gdzie się znalazł.

Rowerzysta był obywatelem sowieckim. Nazywał się Witalij Iwanowicz Zaliakin.

Wyjechał z Central Parku na wysokościach Muzeum Historii Naturalnej, przejechał kawałek Columbus Avenue, po czym skręcił w lewo w stronę Hudson River i zatrzymał się tuż obok Riverside Park przed niewielkim budynkiem, w którym mieszkał. W domu wziął prysznic, ogolił się, ubrał, zamienił parę słów z żoną, wypił drugą już tego dnia kawę, zapalił pierwszego papierosa, a potem wsiadł do buicka i pojechał do biura mieszczącego się po drugiej stronie Manhattanu, na brzegu East River, w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Witalij Zaliakin był urzędnikiem ONZ.

Był jednym z asystentów zastępcy sekretarza generalnego do spraw politycznych i Rady Bezpieczeństwa, także obywatela sowieckiego. Zaliakina, poprzednio pracującego w UNESCO w Paryżu, zatrudniono na „prośbę” Moskwy. Prośbę przekazał towarzyszkowi zastępcy sekretarza generalnego ONZ towarzysz minister spraw zagranicznych we własnej osobie podczas jednej z podróży do Nowego Jorku. Prośbie Moskwy towarzyszyła rekomendacja, którą towarzysz zastępca sekretarza generalnego ONZ zrozumiał mniej więcej tak: „Macie zatrudnić towarzysza Zaliakina i dać mu święty spokój!” Wiadomo było, o co tu chodzi, więc towarzysz zastępca sekretarza generalnego ONZ, choć niechętnie i z niesmakiem, podporządkował się nakazowi Moskwy. Skoro chciał pozostać na Zachodzie, nie miał wyboru. Postarał się więc określić obowiązki Zaliakina, obowiązki niezbyt absorbujące, po to, aby zachować pozory, potem jednak szybko o nich zapomniał. Dobrze ocenił swego nowego współpracownika

- status międzynarodowego urzędnika był tylko płaszczykiem - pomylili się natomiast w jednym punkcie: Zaliakin nie był funkcjonariuszem KGB.

W rzeczywistości Witalij Zaliakin, major Witalij Zaliakin, był nowojorskim szefem GRU, służby wywiadowczej Armii Czerwonej.

Wymawiając się drobną niedyspozycją, choć w rzeczywistości czuł się doskonale, Zaliakin przez cały piątek ani na chwilę nie wstąpił do siedziby ONZ. Dlatego też po przyjsciu do biura w sobotę koło południa był mile zaskoczony szczupłością korespondencji i dokumentów zostawionych przez sekretarkę na jego biurku. Nie musiał długo siedzieć w biurze, mógł więc wykorzystać popołudnie, tak jak i poprzedniego dnia, na poszukiwanie dogodnych miejsc na przyszłe skrzynki kontaktowe w stanie New Jersey.

Przejrzał listę osób, które telefonowały w czasie jego nieobecności, i stwierdził, że wszystkie sprawy mogą zaczekać do poniedziałku. Może z wyjątkiem jednej: dzwonił towarzysz zastępca sekretarza generalnego ONZ, który chciał spotkać się z nim „w sprawie ważnej i bardzo pilnej”. Zaliakin wątpił, czy rzeczywiście mogło chodzić o coś naprawdę ważnego i pilnego, niemniej zadzwonił do towarzysza zastępcy sekretarza generalnego. Usłyszał, że kilku wysokich urzędników departamentu skarżyło się na zbyt ogólnikowy charakter przeglądu prasy, za który odpowiedzialny był właśnie on, Zaliakin, że jest to bardzo przykra sprawa, rzucająca cień na jakość pracy urzędników sowieckich, a tym samym na pracę całego departamentu, że należy jakoś temu zaradzić w jak najszybszym czasie. Wcale tym nie poruszony Zaliakin wyraził ubolewanie, zapewnił towarzysza zastępcę sekretarza, że dołoży wszelkich starań, aby następny przegląd prasy był zrobiony bez zarzutu, po czym nagle jakby nieobecnym głosem życzył mu udanego weekendu. Podczas rozmowy dostrzegł bowiem coś na liście osób, które telefonowały.

Kto to jest John Church?

Wziął do ręki listę i wpatrywał się uważnie: „John Church. Dzwonił dwa razy”. Numer telefonu. „Można go zastać pod tym numerem w sobotę około południa”.

Kto to jest John Church?

Zaliakin wykręcił numer i dowiedział się, że to numer telefonu piekarni na Broadwayu i nie ma tam żadnego Johna Churcha.

- Na pewno jakaś pomyłka w numerze, to się zdarza - zapewniono go.

- Prawdopodobnie tak - zgodził się, przeprosił i odłożył słuchawkę.

Przez chwilę siedział nieruchomo, niezdecydowany, co dalej robić.

Może rzeczywiście, pomyślał, to jedyne wyjaśnienie... Ale instynkt nie pozwalał mu na tym poprzestać.

Co to znaczy? Co to za jeden, ten John Church?

Doszedł do wniosku, że w najbliższym czasie nic się nie wydarzy, i postanowił przejrzeć pocztę. Obiecał sobie, że pomyśli o tym wszystkim trochę później. Musiał się zastanowić. Zwykły śmiertelnik mógł sobie pozwolić na zlekceważenie takiego szczegółu, ale on nie. On nie był zwykłym śmiertelnikiem, jak inni. Niczego nie powinien pozostawiać przypadkowi. Nigdy. Nic nigdy nie dzieje się przypadkiem. W jego świecie nie ma miejsca na przypadek.

Od razu dostrzegł tę kopertę pośród innych. Była zaklejona, nie ofrankowana, opatrzona napisem „do rąk własnych”. Otworzył kopertę i wtedy zadźwięczał ogłuszający dzwonek alarmowy.

W kopercie była czysta kartka pocztowa przedstawiająca Trinity Church i tuż obok cmentarzyk - mały kościółek z XVII wieku przycupnięty na początku Wall Street, przy samym czubku Manhattanu. I to wszystko.

Pięć minut później, spaliwszy kartę pocztową w toalecie piętro niżej, zszedł na kawę do baru w północnym hallu siedziby ONZ. Była to ogromna sala z wygodnymi fotelami, gdzie spotykali się zwykle dyplomaci i międzynarodowi urzędnicy. W chwili gdy barman postawił przed nim kawę, Zaliakin zaklął, jakby czegoś zapomniał i rzucił się w stronę jednej z kabin telefonicznych.

„Dzwonił dwa razy”.

Wykreślił numer, dodając dwójkę do każdej cyfry piekarni na Broadwayu. Linia była zajęta. Zaliakin odwiesił słuchawkę wpatrując się niewidzącymi oczyma w ogromny gobelin przedstawiający Wielki Mur, dar Chińskiej Republiki Ludowej. Może to numer budki telefonicznej, pomyślał.

Poszedł wypić łyk kawy, po czym wrócił do telefonu. Tym razem linia była wolna.

Trzy dzwonki, wreszcie męski głos powiedział:

- John Church.



- Trinity - rzucił Zaliakin.  
- Cztery godziny. Początek w południe, pod gwiazdami. Dwie godziny z osłoną, dwie solo. Spotkanie pod gwiazdami. Pomiędzy nieżyjącymi.

- Zrozumiałem.
- Szerokiej drogi.

Połączenie zostało przerwane. Zaliakin także odwiesił słuchawkę, wrócił do baru, skończył kawę, wymienił parę wesołych uwag z barmanem. Na pozór wydawał się zadowolony, spokojny i rozluźniony. Ale tak nie było - jakże mogłoby być? Było tak, jakby fragment teraźniejszości zawalił się, a z mrocznej czeluści dochodził głos.

Głos umarłego!

W południe Zaliakin znalazł się pod gwiazdami i konstelacjami firmamentu zdobiącego sufit monumentalnego hallu Grand Central, dworca kolejowego w samym środku Nowego Jorku.

Zrobił kilka kroków w tłumie w kierunku kiosku informacji kolejowej, po czym zawrócił w stronę podwójnych schodów prowadzących do wyjścia na ulicę Czterdziestą Drugą. Nie spiesząc się wszedł na górę. Przeszedł przez poczekalnię dworcową starając się wstrzymać oddech, tak mdlący był zapach nędzarzy, w większości czarnych, którzy tłoczyli się w rzędach ławek. Nigdzie nie jechali, nie mieli dokąd iść, po prostu chronili się tu przed zimnem.

Zaliakin przyspieszył kroku, popchnął wahadłowe drzwi, potem jeszcze jedno, i wyszedł na lodowaty wiatr, który właśnie omiatał ulicę Czterdziestą Drugą.

Na chodniku, obok zaparkowanego mikrobusu, niewielka grupa japońskich pań fotografowała się wykrzykując coś wesoło. Zaliakin oddalił się, nie zwracając na nie uwagi.

Przez dwie godziny chodził po Manhattanie. Nie troszczył się o to, czy jest śledzony, czy nie. Nie musiał. Przez pierwsze dwie godziny wyłowienie ewentualnej osoby śledzącej należało do Johna Churcha.

Około czternastej Zaliakin wszedł do restauracji w Soho, restauracji, którą znał, ale nigdy jeszcze nie wykorzystywał jej wyjścia służbowego. Zjadł hamburgera, popił piwem, szczegółowo obserwując wygląd każdego wchodzącego. Potem bez pośpiechu udał się w stronę

wyjścia służbowego koło toalet i wyszedł na ulicę. Postał kilka chwil na zimnie w ruchliwym i cichym towarzystwie kłębów pary wydobywających się spod kłapy centralnego ogrzewania. Nikt za nim nie wyszedł, więc uspokojony ruszył w dalszą drogę.

Rozpoczął teraz przechadzkę zabezpieczającą solo - bez Johna Churcha z tyłu. Przemieszczał się pieszo, taksówką, metrem na wszystkie cztery krańce Manhattanu; w końcu, tuż przed godziną szesnastą, znalazł się w punkcie wyjścia, przed Grand Central na ulicy Czterdziestej Drugiej.

Nie wrócił jednak na dworzec. Przeszedł przez ulicę i wszedł do budynku stojącego dokładnie naprzeciwko, do oszklonego hallu Whitney Museum - muzeum amerykańskiej sztuki współczesnej. Wydawało się, że stojące tuż przy oszklonych ścianach hiperrealistyczne posągi z przerażonymi minami obserwowały przechodniów na Czterdziestej Drugiej, na próżno usiłując przyciągnąć czyjąkolwiek uwagę. W hallu tu i ówdzie były też inne rzeźby, wszystkie tak bardzo realistyczne, że na pierwszy rzut oka trudno było odróżnić je od nędzarzy, którzy obsiedli ławki, nieruchomi, milczący, jakby nieobecni.

Zaliakin obserwował tych nieszczęśników ze współczuciem, a jednocześnie ze wstrętem i z przerażeniem. Wydawało mu się, że są tu tak samo na miejscu, jak te posągi, do których są podobni.

„Spotkanie pomiędzy nieżyjącymi”.

Rozumiem, pomyślał Zaliakin.

Poszukał wzrokiem Johna Churcha wśród nędzarzy, upewnił się, że go tam nie ma, że nie ma go także pośród nielicznych zwiedzających, którzy chodzili od sali do sali, nieodgadnionym wzrokiem przyglądając się wystawionym dziełom.

Upłynęło pięć minut.

Uwagę Zaliakina zwróciła tylko dyskretna i uprzejma interwencja strażnika muzealnego, który odradzał dwóm panienkom fotografowanie się w ramionach posągu błogo uśmiechniętego mężczyzny. Dwie młode Japonki.

Jeśli nie przyjdzie, będzie to znaczyło, że coś zauważył, pomyślał Zaliakin z niepokojem. Trzeba będzie zacząć wszystko od nowa.

Nagle jakieś poruszenie zwróciło uwagę Zaliakina. Z ławki podniósł się mężczyzna o ciemnych włosach, twarzy pokrytej kilkudniowym zarostem, ubrany w brudny, podarty trenecz; rozmawiał i uśmiechał się do drugiego mężczyzny, starszego, który siedział na ławce

trzymając kurczowo przed sobą zwinięty koc spięty paskiem. Zaliakin już chciał się odwrócić, kiedy zobaczył, że brunet zdejmuje płaszcz, kładzie go obok swego rozmówcy, po czym poklepuje starszego człowieka po ramieniu i odchodzi,

Zaliakin poczuł mrowienie w nogach widząc bruneta idącego w jego kierunku. Gdy ujrzał, że mężczyzna, zamiast skrócić ku wyjściu, idzie prosto na niego, nogi miał już jak z kamienia. Niepokój wzmógł się, gdy w ułamku następnej sekundy dostrzegł, że człowiek ten ubrany jest elegancko, wręcz wytwornie. Pomyślał, że ta twarz jest mu zupełnie nie znana, zrozumiał jednak - napotkawszy spojrzenie mężczyzny - że zaraz się czegoś dowie.

Ta twarz... Ta twarz nieznana, a jednak znajoma! To spojrzenie... Ależ to niemożliwe! Usłyszał głos, głos spokojny, zupełnie nie pasujący do rozgorączkowanego wzroku. W jednej chwili Zaliakin pomyślał, że spotyka się ze zjawiskiem reinkarnacji.

- Witalij, to ja.

Zaliakin stał jak wryty.

- Nie patrz na moją twarz. Patrz mi w oczy: to ja.

- Myślałem, że nie żyjesz...! - wybełkotał Zaliakin ledwo słyszalnym głosem. - Powiedzieli, że...

- Skłamáli, potrafią dobrze kłamać. Byłem tylko w raj, Witalij. Tylko w raj.

Zgodnie z instrukcją, KGB zaleca niekiedy nowym pracownikom śledzenie w ramach treningu osób, o których wiadomo, że należą do „wojskowego departamentu 44388” (jego kwatera główna mieści się tuż obok moskiewskiego lotniska na Chodynce), inaczej mówiąc: należą do GRU. Jest to w końcu praktyczny i oszczędny sposób testowania zdolności funkcjonariuszy KGB oraz doskonalenia ich umiejętności, ale także śledzenia wszelkich poczynań „sąsiadów”.

Na początku lat osiemdziesiątych, gdy Zaliakin był jeszcze w Moskwie, wiele razy stanowił obiekt tego rodzaju praktyk. Trzy razy z rzędu udało mu się zgubić nowicjuszy z KGB. Za czwartym razem jednak nie zdołał ich zgubić i to niepowodzenie o mało nie stało się przyczyną jego upadku. Wśród różnych rodzajów tajnej działalności Zaliakina była jedna dziedzina, która nie miała nic wspólnego z wojskiem ani ze szpiegostwem, natomiast ściśle łączyła się z jego

pragnieniem, aby dostąpić zbawienia; przyczynić się do zbawienia Rosji, przynajmniej tak to sobie wyobrażał: Zaliakin był chrześcijaninem i do tego katolikiem!

Wiara, którą przejął od matki Litwinki, w całkiem naturalny sposób godziła się z rosyjskim nacjonalizmem odziedziczonym po ojcu, słynnym oficerze sztabowym Armii Czerwonej. Ta wiara go pokrzepiała. Z czasem, wraz z odkrywaniem okropności okresu stalinowskiego, stagnacją i wszechwładną korupcją ery Breżniewa, wraz z afgańskim „Wietnamem”, gdzie zginął jego ukochany ojciec, Zaliakin nabrał przekonania, że tylko i wyłącznie chrześcijańska moralność jest w stanie wyleczyć Rosję z komunizmu i umożliwić jej odrodzenie. Praktykował wiarę w podziemiu, potajemnie chodził do kościoła, aby się modlić, albo też - bardzo rzadko, ze względu na zbyt duże ryzyko - do prywatnych mieszkań, w których po kryjomu, prawie szeptem odprawiano nabożeństwa.

W tamtych czasach, gdyby odkryto jego tajemnicę, potraktowano by go jako „zdrącę ideałów komunistycznych” i uznano co najmniej za podejrzanego. Jego kariera byłaby całkowicie przekreślona. W najlepszym razie znalazłby się na jakiejś dalekiej placówce, gdzieś przy granicy chińskiej, w najgorszym razie - w obozie na dalekiej Syberii. Tak więc łatwo wyobrazić sobie jego przerażenie, kiedy w chwili, gdy opuszczał właśnie mały kościółek na przedmieściu Moskwy, zaczepił go funkcjonariusz KGB. Zaliakinowi zdawało się, że już dawno go zgubił, a teraz ten człowiek mówi, że go rozpracował; zauważył nawet sposób, w jaki Zaliakin czynił znak krzyża - od lewej do prawej, a nie odwrotnie, jak każdy dobry chrześcijanin prawosławny!

Tego dnia Zaliakin miał jednak szczęście, bo mężczyzną owym był Nicolas de Witt alias Michael Deves.

Deves nie wyjawiał tajemnicy Zaliakina i nie prosił o nic w zamian. W tym dniu narodziła się przyjaźń. I ich przymierze. Bo mieli ze sobą wiele wspólnego — począwszy od takiej samej nienawiści do tego samego wroga, który ich obu uczynił sierotami.

- Jednym słowem, chcesz dać się wymienić za nią i mieć pewność, że później będzie bezpieczna. Chcesz, abym to z nimi wynegocjował i potem ją ukrył, czy o to chodzi?

- Mniej więcej tak.
- Dlaczego nie prosisz o to twoich przyjaciół?
- Bo zabiliby ją.

Zaliakin milczał przez dłuższą chwilę.

- Jesteś jedynym człowiekiem, na którego mogę liczyć - powiedział Michael.

- To jedyny powód? - spytał Zaliakin obojętnym tonem.
- Nie - przyznał Michael.
- Mam posłużyć za sygnał?

- Tak. Z tobą wchodzę w grę, a o to właśnie chodzi. Wystarczy, aby napędzić im stracha, ale to za mało, aby stracili kontrolę. Zrozumieją ten sygnał.

- Będą negocjować?
- Tak.

Zaliakin miał minę, jakby w to wątpił.

- Przecież mogą udać, że się zgadzają, a potem zatrzymać was oboje, ciebie i tę dziewczynę. Ich słowo nic nie znaczy, nie mają najmniejszego poczucia moralności, dobrze o tym wiesz.

- Tym razem nie, Witalij.
- Wierzysz w to?
- Tym razem postarają się.

Zaliakin patrzył na Devesa zaskoczony i bezradny.

- Może nie mają poczucia moralności - mówił dalej Michael -ale mają poczucie rzeczywistości. Wiedzą, co to jest umowa. I wiedzą, co leży w ich interesie. Zrozumieją, już zrozumieli, jestem pewien, że sprawa dziewczyny nie ma znaczenia wobec całej reszty. Dla nich liczę się ja. O nią nie będą się troszczyć, będzie im nawet zależało, aby spełnić moją prośbę i uspokoić mnie co do jej dalszego losu... Chodzi im o mnie.

- O ciebie.
- Wyłącznie o mnie.

Zaliakin obserwował go w zamyśleniu.

- Myślisz, że zwariowałem? - spytał Michael.

Zaliakin zaprzeczył ruchem głowy.

- Czekam aż mi powiesz, co takiego ich w tobie interesuje aż do tego stopnia.

Michael nie odpowiedział.

- Nie masz zaufania czy może boisz się, że mi to zaszkodzi?

- A jak sądzisz?

Zaliakin uśmiechnął się.

- Pomyśl chwilę - rzekł. - Ludzie z KGB nie są idiotami. Nawet jeśli wchodzimy do gry, jak powiedziałaś, nawet jeśli zrozumieją, że moja ingerencja jest przede wszystkim sygnałem wysłanym przez ciebie, w końcu muszą zadać sobie pewne pytanie. Tego pytania nie mogą sobie nie zadać: „Dlaczego robi to za pośrednictwem Zaliakina? Dlaczego akurat Witalij Iwanowicz Zaliakin?” I będą szukać odpowiedzi.

- Jak myślisz, co znajdą?

- Nic, dobrze wiem, w zasadzie nic. Ale to niczego nie załatwi, Kola. Ciągłe będzie istniało to pytanie bez odpowiedzi. Będą mieli kontakt funkcjonariusza GRU z zachodnim agentem... To wystarczy, żeby zrobić ze mnie trędowatego aż do końca moich dni.

- Zawsze możesz odzyskać zdrowie gdzie indziej - odpowiedział Michael po chwili milczenia.

Zaliakin wzruszył ramionami.

- Może to niezła okazja - nalegał Michael.

- Nie zrobię tego, dobrze wiesz.

- Czas ucieka, Witalij, czas tak szybko ucieka.

Zaliakin chwilę zastanawiał się, po czym potrząsnął głową ze smutkiem.

- Właściwie po co? Żeby żyć tak jak oni? - spytał omiatając spojrzeniem sąsiednie stoliki na piętrze McDonalda, gdzie właśnie siedzieli i gdzie, jak w każde popołudnie, Amerykanie napychali się hamburgerami i coca-colą.

- Przecież na świecie jest nie tylko Ameryka.

- Jestem Rosjaninem, Kola.

Teraz z kolei Deves wzruszył ramionami. Zaliakin uśmiechnął się smutno.

- Jeśli tak dalej pójdzie, niebawem cała Rosja wyjedzie na Zachód - powiedział. - Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zostać tutaj i czekać. Nie sądzisz?

Deves nie odpowiedział.

- Posłuchaj, pomogę ci, zrobię to - podjął Zaliakin nachylając się do Devesa. - Ale daj mi możliwość działania. - Zamilkł na chwilę. - To, co masz przeciwko nim, jest aż tak poważne? - Deves mimo woli opuścił powieki. - Tym bardziej! To będzie moja rękojmia. Wbrew

temu co myślisz, im więcej będę wiedział, tym lepiej dla mnie, wierz mi... I wiedz jedno: oni i tak zawsze będą przeświadczeni, że ja wiem. Albo będą tak się zachowywać, jakby byli tego pewni... Nie mogą postąpić inaczej.

Michael zrozumiał, że Zaliakin ma rację. Postanowił więc powiedzieć mu. Nie o wszystkim, jak zaznaczył, ale dowie się przynajmniej o tym co najistotniejsze - najistotniejsze z tego, co powinien wiedzieć jako Rosjanin. Po to, aby w rozgrywce z KGB siły były wyrównane. Najistotniejsze, czyli to, co dotyczy Zofii.

Niecałe dwie godziny później Zaliakin spotkał się z rezydentem KGB w Nowym Jorku w jego biurze na ósmym piętrze budynku przy ulicy Sześćdziesiątej Siódmej, gdzie mieściła się sowiecka misja przy ONZ. Zaskoczony i zaintrygowany rezydent KGB próbował odgadnąć, z jakiego powodu szef GRU poprosił o tak pilne spotkanie. W głębi duszy miał nadzieję, że - obaj panowie serdecznie się nienawdzili - Zaliakin znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Z góry już cieszył się na myśl, że zaraz mu o tym powie. O mało nie padł trupem, gdy dowiedział się, czego Zaliakin od niego oczekuje: chciał skorzystać z jego łączności, aby przesłać pilną wiadomość do Moskwy... do szefa KGB!

- Jedno z dwojga, towarzyszu - powiedział Zaliakin - albo postaradalem zmysły, a w takim przypadku zostaniecie ode mnie uwolnieni, albo rzeczywiście mam ważną sprawę, którą będę musiał załatwić poza wami. A w takim wypadku do końca życia będziecie płacić za to, że mi rzucacie kłody pod nogi.

Pół godziny później do Moskwy została przekazana zakodowana i skomprimowana wiadomość. Zawierała zaledwie dwadzieścia słów. Jedno z tych słów liczyło się bardziej niż wszystkie inne: Saxon.

W Nowym Jorku była godzina ósma wieczorem, w Moskwie czwarta rano.

Szybkość odpowiedzi, która nadeszła dwadzieścia minut później, zrobiła wrażenie na obydwu funkcjonariuszach. Tak jak i jej treść: Moskwa powiadamia majora Zaliakina, że specjalny wysłannik już jutro przyjedzie do Nowego Jorku, aby się z nim spotkać. Nakazano także zachowanie bezwzględnej tajemnicy.

Następnego dnia, w niedzielę późnym popołudniem, Zaliakin

spotkał się ze specjalnym wysłannikiem KGB w niecałą godzinę po jego przylocie. Spotkanie odbyło się w siedzibie sowieckiej misji przy ONZ. Zaliakin nie znał tego człowieka, zadowolił się więc zapamiętaniem jego danych: pułkownik Oleg Pawłowicz Jakow.

Wysłannik KGB słuchał nie poruszony od początku do końca, z wyjątkiem chwili, gdy Zaliakin wspominał o bombie termojądrowej ukrytej gdzieś w Moskwie. Lekkie ściągnięcie rysów twarzy, szybko jednak opanowane, zdradziło niezadowolenie, że człowiek z GRU wie o tym szczególe.

Gdy Zaliakin skończył mówić, wysłannik KGB dał do zrozumienia, że warunki proponowane przez Saxona są do zaakceptowania i że zostały przyjęte. Zaliakin wiedział, że ci z KGB nie mają wyboru, jednak szybkość, z jaką podjęto decyzję, wprawiała go w zakłopotanie. Mają nóż na gardle, wywnioskował, starając się nie dać po sobie poznać, jak wielką poczuł ulgę.

- Wydaje się pan zaskoczony - powiedział nagle Jakow wrogim tonem. - Takie rozwiązanie panu nie odpowiada? Ma pan jakieś inne?

Zaliakin zaprzeczył ruchem głowy.

To jeszcze nie wszystko. Uważaj. Nie pozwól, aby miał przewagę.

- Nie chodzi tu o to, że mi nie odpowiada rozwiązanie. To przecież wasz problem. I bezpieczeństwo naszej ukochanej ojczyzny.

Nieprzyjemny błysk pojawił się w spojrzeniu Jakowa niczym zapowiedź ciętej riposty. Na razie jednak Jakow obserwował majora GRU. Tak jakby czekał na właściwy moment.

Jeszcze nie koniec, powtarzał w myśli Zaliakin udając zupełny spokój. Na pewno nie!

Rozległ się znowu głos Jakowa:

- Gdzie ma się odbyć zamiana?

- Tego nie powiedział.

- Jaka będzie pańska rola?

- Gwarancja.

- Dla kogo?

- Dla niego i dla was.

- Jak to? - spytał Jakow, tym razem zaniepokojony.

- Wymianę podzielił na odcinki - tłumaczył Zaliakin. - Najpierw dziewczyna ma opuścić terytorium sowieckie, potem on się odda w wasze ręce. Na tym etapie waszą gwarancją będzie fakt, że dziewczyna



jest u mnie. Ja będę jej klapą bezpieczeństwa, nie wypuszczę jej, dopóki on się nie znajdzie u was. Kiedy będzie już w waszych rękach, zacznie mówić dopiero wtedy, gdy porozumie się ze mną. Podam mu wiadomość przekazaną przez dziewczynę, co da mu pewność, że rzeczywiście wyjechała.

Jakow patrzył przed siebie nieruchomym, nieprzenikniętym wzrokiem, po chwili powiedział w zamyśleniu, bez złości:

- Skurwysyn...

Nagle z niewiadomej przyczyny spojrzenie jego wyostriżyło się, chyba zdał sobie z tego sprawę, bo lekko drgnęły mu wargi, jakby chciał się uśmiechnąć, ale dalej uważnie patrzył na majora GRU.

Nareszcie, pomyślał Zaliakin, mam go!

- Dlaczego wy? - spytał Jakow nie spuszczać Zaliakina z oczu.

- Nie wiem.

- Nie wiecie?

- Nie. Mówi, że mnie zna.

- On was zna, a wy jego nie?

- Nigdy go nie widziałem.

Jakow miał minę, jakby trudno mu było uwierzyć w coś podobnego.

Nie zrobiło to wrażenia na Zaliakinie. Jakow udawał, przecież na pewno czytał jego akta w KGB, musiały tam znajdować się raporty o śledzeniu nowicjuszy przez KGB; na pewno doskonale wiedział, jak to jest możliwe, że Saxon widział Zaliakina, podczas gdy Zaliakin nie znał Saxona.

- I ma do was zaufanie?

- Skończcie z tymi głupstwami, Jakow - powiedział Zaliakin tonem znużonym i rozdrażnionym. Nie musiał nawet silić się na taki ton. - Nie wiem, czy ma do mnie zaufanie, ale powiem wam coś: może je mieć.

- Mieć do was zaufanie?

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo wie o mnie sporo. Zna mnie, nie wiem skąd, ale mnie zna! Wie, gdzie jest moja córka, gdzie mieszka w Moskwie, gdzie pracuje. Wie także, gdzie moja żona robi zakupy w Nowym Jorku, gdzie grywa w tenisa... Rozumiecie?

- Możecie poprosić o ochronę dla nich.

- Być może. Ale musiałbym dać jakieś wyjaśnienie. Tego właśnie chcecie?

- Możemy się tym zająć.

- I dokąd to nas zaprowadzi? - spytał Zaliakin udając, że traci cierpliwość. - Co wy sobie właściwie wyobrażacie? Co wam się tam roi w głowie? Problem nie polega na tym, Jakow, nie chodzi tu o mnie ani o moich bliskich. To Saxon postawił pewną kwestię i trzeba ją rozwiązać jak najlepiej w interesie naszej ojczyzny! I to jest cholerny problem! Nie? Choćby tylko dlatego zrobię to, co każe, słyszycie? I radzę wam zrobić to samo! - zrobił minę, jakby teraz miał wybuchnąć. - Na Boga! Jakow! Obudźcie się! W samym środku Moskwy jest bomba o mocy stu pięćdziesięciu kiloton!

Jakow zeszytywniał. Zaliakin nie zostawił mu czasu na odpowiedź:

- Nie chciałem znaleźć się w tym gnoju, ale tak się złożyło, że się w nim znalazłem. Jestem żołnierzem, nie będę się uchylał - głos stał się twardy, groźny - ale nie życzę sobie, żeby mi to spadło na łeb, Jakow. Wręcz przeciwnie.

- To znaczy? - spytał oschle Jakow.

- To znaczy, że trzeba mi pomóc, towarzyszu, i grać w otwarte karty. Bo jeśli nie, robię w tył zwrot, zawiadamiam GRU i wszystkich generałów, jakich znam w sztabie generalnym Armii Czerwonej, i przekazuję im całą sprawę!

Jakow zaniemówił. Miał minę kogoś, kto celując z broni we wroga zdaje sobie nagle sprawę, że tamten trzyma go na muszce i ma broń takiego samego kalibru.

- Ci z KGB zrobili niezłe głupstwo - podjął Zaliakin. - To na nich spada odpowiedzialność za ten cały gnój i na pewno nie chcą, aby to się rozeszło. Jeśli tak się stanie, wschodnia Syberia będzie rajem w porównaniu z miejscem, do którego was ześlą.

Na twarzy Jakowa ukazało się nagle zmęczenie.

- Do czego zmierzacie? - spytał bezbarwnym głosem.

- Donikąd - rzekł Zaliakin łagodniejąc nieco; wiedział już, że jest górą w tej rozgrywce. - Staram się po prostu dać wam do zrozumienia, że obaj jesteśmy w bardzo delikatnej, niebezpiecznej sytuacji, że jeśli coś nie uda się w tej całej sprawie, to właśnie my będziemy pokutować za cudze grzechy. Natomiast jeśli będziemy trzymać się razem, mamy szansę wyjść z tego cało i nawet na tym skorzystać. To jeszcze nic pewnego, ale mamy taką szansę. Rozumiecie? - Zaliakin

przerwał z poważną miną i popatrzył Jakobowi prosto w oczy. - Nie mówiąc już o tym, że interes ojczyzny wymaga naszej współpracy, towarzyszu.

Michael ciągle jeszcze nie wiedział, czy lubi Nowy Jork. Często odczuwał przyjemność, gdy tu przyjeżdżał, ale nigdy nie czuł żalu, gdy wyjeżdżał.

A jednak tego dnia, gdy jechał przez most brooklyński w stronę Manhattanu, gdzie miał nieco później spotkać się z Zaliakinem, odczuwał przejmującą nostalgię połączoną z odruchem buntu na samą myśl, że wkrótce będzie musiał stąd wyjechać. Żadne inne miejsce na świecie - zdawał sobie z tego sprawę teraz, gdy Manhattan coraz bardziej się przybliżał - nie mogłoby obudzić w nim tak gwałtownego, aż bolesnego uczucia.

Nowy Jork nie troszczy się o przeszłość ani nawet o teraźniejszość.

Nowy Jork, patrząc z wysokości swych wież, oddaje się tylko jednemu zajęciu - patrzy w przyszłość i wzbija się ku niej bez względu na wszystko.

- Nie powinniśmy tu dłużej zostawać - powiedział Michael z lek kim niepokojem w głosie.

Opierał się o balustradę otaczającą plażę w Rockefeller Center, gdzie, jak każdej zimy, zrobiono lodowisko. Obserwował tłum idący Piątą Aleją, ludzi spacerujących na skraju plaży, albo udawał, że interesują go ewolucje łyżwiarzy ślizgających się w dole.

- Powinniśmy pójść gdzieś indziej.

- Rozluźnij się, Kola - powiedział Zaliakin, także oparty o balustradę. - Jesteśmy wśród ludzi. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Michael rozejrzał się wkoło, obserwował spacerowiczów, turystów, którzy się fotografowali, dzieci... Chyba nie ma tu nic, co mogłoby stanowić jakieś niebezpieczeństwo.

Na lodowisku rozległy się wesołe okrzyki, Michael spojrzął na łyżwiarzy.

- Dlaczego w Finlandii? - spytał.

- Masz coś przeciw temu?

- Nie wiem, to...

- Posłuchaj, jeśli to będzie w Niemczech, większość służb zachodnich - w tym i francuska - może coś zwietrzyć. Myślę, że lepiej tego uniknąć, nie sądzisz?

Deves w odpowiedzi zacisnął wargi.

- A tam sprawa pozostanie pomiędzy sąsiadami - mówił dalej Zaliakin. - Tam mogę mieć nad wszystkim kontrolę. Mogę nawet uzyskać pomoc, gdyby taka potrzeba zaistniała.

- Czyją pomoc? Finów?

Zaliakin uśmiechnął się zagadkowo.

- Tak to można określić - odpowiedział wpatrując się w lodowisko, tak jakby działo się tam coś, co nagle przyciągnęło całą jego uwagę. Zamilkł na chwilę. Po chwili znowu zaczął mówić: - Na granicy fińsko-sowieckiej, około czterystu kilometrów na północny wschód od Helsinek płynie rzeka Brando; jest nad nią most, dobrze znam to miejsce. Był tam kiedyś posterunek straży granicznej. Finowie zaminowali dojście do mostu. Tak się złożyło, że mam plan zaminowania. Jestem pewien, że KGB go nie ma... Tak więc siły są wyrównane.

- Dobrze - rzekł w końcu Michael. - Będiesz mógł jej potem pomóc?

- Pomóc zniknąć?

- Tak.

- Przydałyby się pieniądze...

- Ona będzie miała. Ma pieniądze.

- Doskonale - rzekł Zaliakin uspokajającym tonem. - Zajmę się nią, nie martw się.

Deves odwrócił się znowu; jego spojrzenie błędziło po tłumie i nagle zatrzymało się, odkryło coś po prawej stronie, w odległości około dwudziestu metrów. Coś zupełnie niewinnego, a jednak niepokojącego: młoda dziewczyna fotografowała ewolucje łyżwiarzy. W pewnej chwili dostrzegł jej twarz.

Czy już jej gdzieś nie widział?

Tuż obok rozległ się zaniepokojony głos Zaliakina:

- Co się dzieje?

- Nie wiem, nie jestem pewny... Gdy tu szedłeś, nie zauważyłeś niczego nadzwyczajnego?

- Nie... Cholera... - zamruczał Zaliakin, nagle zbladł.

Michael wzrokiem przeczesał tłum. Gdzie się podziała?

Nagle odwrócił się do Zaliakina, wziął go za rękę i uściśnął ją, jakby już odchodził.

- Sprawdzamy.

- Dobra - odpowiedział Zaliakin uśmiechając się i ściskając mu dłoń. - W barze na dole, za godzinę. Kogo mam obserwować?

- Japonkę - rzucił Michael i oddalił się.

Godzinę później spotkali się, tak jak ustalili, przy stoliku w barze przy lodowisku w Rockefeller Center.

- Chyba zgłupiałem, bardzo mi przykro - westchnął Michael i przyznał, że on także nie odkrył nikogo, kto by go śledził, żadnych podejrzanych Japończyków.

- Nie przejmuj się tym. Przecież to niczego nie dowodzi, może zresztą coś tam było.

- Tak, oczywiście - odpowiedział Michael. - Aha, weź to - dodał, podając Zaliakinowi zapieczętowaną kopertę.

Człowiek z GRU bez żadnych pytań natychmiast schował ją do kieszeni.

- To dla niej - wyjaśnił Michael patrząc na niego z wdzięcznością.

- Dodatkowe zabezpieczenie.

- Przeciw komu? Francuzom?

Deves przytaknął w milczeniu.

- KGB ją wypuści, ale oni nie. Będą jej szukać. Nawet jeśli dobrze ją schowasz, zawsze będzie ryzyko. Dzięki temu się uspokoją, zostawią ją w spokoju... Mam nadzieję.

Zaliakin patrzył nic nie mówiąc. Michael postanowił naszkicować mu w ogólnych zarysach całą sprawę, ponieważ pragnął dowieść mu swego zaufania, chciał także sprawdzić pewność i skuteczność dyspozycji, jakie wydał.

- Jest tam numer telefonu, pod który należy dzwonić w pewne określone dni. To biuro adwokackie, tutaj, w Nowym Jorku. Jest też numer w Montrealu. Sporo mnie to kosztowało. Wszystkie szczegóły są tu opisane, wszystko co powinna zrobić... Jeśli nie zadzwoni pod te numery, nie poda hasła, na światło dzienne wyjdą historie, które ci z Paryża woleliby zachować w sekrecie... Jest dwadzieścia kopii zaadresowanych do prasy zagranicznej, także sowieckiej, schowane są w sejfach bankowych tu w Nowym Jorku i w Montrealu.

Zamilkł i czekał na reakcję Zaliakina. Ten zaś zamruczał coś z aprobatą, po czym spytał:

- Ona o tym wie?

- O czym? O tych historiach? W zasadzie nie wie nic. Nawet nie wie o istnieniu bomby.

Oficer GRU milczał, nie spuszczał Devesa z oczu, był coraz bardziej zakłopotany.

- Czy może być coś jeszcze poważniejszego niż bomba, Kola? - spytał w końcu.

- Historia tej bomby - odpowiedział Michael.

- Tylko to?

- Tak.

Milczenie.

- Nie zadawaj mi pytań, Witalij.

- Są jeszcze inne? Michael drgnął.

- Nie sądzę, nie.

- Ale to możliwe?

- Wszystko jest możliwe, nie mam pojęcia! - popatrzył mu prosto w oczy. - Nie w tym problem, Witalij, wierz mi.

- Wierzę ci.

Obaj mężczyźni zaczęli od nowa szczegółowo rozpatrywać dalszy plan działania, wyznaczyli miejsca i sposoby przyszłych kontaktów.

- Chcesz się z nią zobaczyć? - spytał Zaliakin, gdy skończyli.

- Nie.

- Nie?

- Ona w końcu zrozumie - rzekł Michael. - To by tylko skomplikowało całą sprawę. Nie powinna wiedzieć, co zrobię. - Przerwał na chwilę. - Jak tylko będzie z tobą, wywieź ją jak najdalej. Nic jej nie mów, najpierw ją wywieź.

Zaliakin lekko pokiwał głową patrząc na Michaela niepewnie.

- Ten Jakow... on cię nienawidzi - rzekł.

- Wiem.

Zaliakin jakby się zawahał.

- Kola, oni nie dadzą ci tego w prezencie. Chyba o tym wiesz?

- Nie martw się o mnie - odpowiedział Michael uspokajająco.

Maria leżała na łóżku w ubraniu. Zbliżała się szósta rano.

Czekała.

Poprzedniego dnia wieczorem jedna ze strażniczek powiedziała po prostu: „Ubierz się już teraz. Jutro nie będzie czasu. Pobudka o szóstej rano”.

Jaki to dzień, zastanawiała się Maria. Czwartek? Czy piątek? Co było wczoraj? Nawet nie wiem, jaki mamy dzień!

Zgrzyt klucza w dziurce, mimo że na to czekała, aż ją poderwał. W półmroku rozległ się kobiecy głos:

- Już czas... Jest pani gotowa?
- Właściwie nie spałam. Co się dzieje?
- Niech się pani pospieszy.

Z dwóch strażniczek, które się wymieniały, ta dzienna była młodszą i mniej nieprzyjemną.

- Dokąd idziemy? - nalegała Maria. - Wie pani?

- Pani wyjeżdża, to wszystko, co wiem.

Maria nie zdążyła już dowiedzieć się niczego więcej.

Kilka chwil później pod ścisłą strażą opuściła budynek na moskiewskim przedmieściu. Samochodem zawieziono ją na południowy zachód Moskwy, na Wnukowo nr 2, do wydzielonej części krajowego lotniska Wnukowo, zarezerwowanej dla lotów specjalnych, rządowych lub wojskowych.

Wprowadzono ją na pokład pustego Tupolewa 134, który natychmiast wystartował. Na pytanie, dokąd leci, usłyszała tylko: „Lenin-grad”. Osiemdziesiąt pięć minut później wysiadła z samolotu. Samochód wojskowy przewiózł ją na drugi koniec lotniska, do wydzielonej strefy, gdzie czekały dwa helikoptery MI-8 z powoli kręcącymi się śmigłami.

Jakow stał przy jednej z maszyn, był w towarzystwie kilku umundurowanych mężczyzn.

- Dokąd jedziemy? - spytała Maria prawie krzycząc, przy akompaniamencie narastającego świstu turbin, gdy Jakow pomagał jej wsiąść do jednego z helikopterów.

- Fińska granica! - krzyknął. Uśmiechnął się, jakby chciał ją uspokoić. - Niedługo wszystko się skończy.

W oddali wstawał dzień, różowy i niebieski. Łagodnie, bardzo powoli ogarniał niezmierzone, bezchmurne niebo, jakby uznał, że trzeba pozwolić jeszcze pospać lasom i błękitniejącym wzgórzom Finlandii.

Światło było jeszcze wątle, ale czyste. Wiał lekki wiaterek, było mroźno. Sosny na wzgórzach, przyprószone białym puchem, przytulały się do siebie jak śpiące zwierzęta.

Rzeka Brando wiała się z południa na północ, na jej zachodnim brzegu rozciągała się fińska prowincja Północnej Karelii, na wschodnim zaś Socjalistyczna Sowiecka Autonomiczna Republika Karelii. W miejscu, gdzie brzegi spinał most, rzeka była dość szeroka, zamarznięta tylko przy brzegach. Mleczna mgiełka unosiła się nad wodą, tak jakby woda była ciepła.

Most aż spuchł od śniegu.

Była to budowla z kamienia i drewna, łukowata, wąska, długości osiemdziesięciu metrów, wznosiła się ponad trzydzieści metrów nad wodą. Patrząc na ten most rzucony między dwa zbocza, łączący dwa odcinki drogi najwyraźniej mało uczęszczanej, człowiek zastanawiał się, po co w ogóle go zbudowano. Wydawał się opuszczony, jakby służył wyłącznie do dźwigania śniegu. Po obu stronach na niskich barierkach widniały napisy zabraniające wstępu z powodu bliskości granicy. W rzeczywistości tak od strony fińskiej, jak i sowieckiej już parę kilometrów wcześniej zabraniano zbliżać się do mostu.

Brzegi rzeki Brando stanowiły *no-man's-land*, który graniczni



strażnicy obserwowali przez lornetki z pobliskich pagórków z jednej i z drugiej strony.

Po raz pierwszy spokój tego miejsca został zakłócony tuż po godzinie dziesiątej trzydzięci. Od strony fińskiej.

W leśnej przecince ukazały się dwa skutery śnieżne, za nimi jakiś pojazd gaśnicowy; zatoczyły duże zygzaki na zboczu wzgórza, przejechały około pięćdziesięciu metrów drogą, w końcu zatrzymały się przed mostem. Wsiadło siedmiu mężczyzn. Czterej byli ubrani w białe kombinezony fińskich strażników granicznych. Po chwili trzy sylwetki oderwały się od grupki. Dwaj mężczyźni stanęli na niewielkim wzniesieniu nieco na lewo od mostu, trzeci wspiął się na wzgórze po stronie prawej i zniknął pomiędzy sosnami.

Kilka minut później, tym razem od strony sowieckiej, po raz drugi zakłócono spokój tego miejsca.

Najpierw dał się słyszeć przeciągły pomruk, który potężniał tak, że stał się nieznośny; na pobliskim pagórku zawirował śnieżny cyklon i wyłoniły się dwa helikoptery MI-8. Zawisły w powietrzu z warkotem i gwizdem, po czym ostrożnie usiadły tuż obok mostu, unosząc kłęby śniegu. Kilka umundurowanych i uzbrojonych postaci wyskoczyło na ziemię; ustawiły się w kilku miejscach przy drodze, podczas gdy jedna spokojnie szła w stronę niskiej barierki przy wejściu na most. Oficer KGB. Popatrzył przez lornetkę na drugi brzeg, po czym wziął do ręki radionadajnik.

Przy drugim końcu mostu, po stronie fińskiej, inny mężczyzna zrobił to samo. Zaliakin. Znalazł na swoim aparacie odpowiednią częstotliwość i uzyskał połączenie z oficerem KGB stojącym osiemdziesiąt metrów od niego. Jakow.

Jakow zaniepokoił się obecnością fińskich straży granicznych. Zaliakin uspokoił go. Strażnicy byli tu właśnie po to, aby uniknąć jakichkolwiek nieporozumień z Finami. Nie powiedział na ten temat nic więcej, lecz Jakow chyba zrozumiał, co to oznacza, i nie mylił się zbyt: oficer, który dowodził fińską strażą graniczną, był agentem GRU. Zaliakin dodał jednak, że nie rozwiązuje to wszystkich problemów, a Jakow zgodził się, że im szybciej cała sprawa zostanie zakończona, tym lepiej.

- Myślicie, że on tu jest? - Jakow nie mógł się powstrzymać od tego pytania. Jednocześnie bacznie obserwował okoliczne zalesione pagórki.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Zaliakin. - Ale wątpię w to. Jaki miałby powód, żeby tu być, może mi pan powiedzieć?

Jakow puścił ramię Marii i gestem wskazał most.

- Proszę - powiedział. - Musi pani tylko przejść ten most. Po drugiej stronie jest Finlandia.

Maria wydawała się zaskoczona. Spojrzenie jej powędrowało na drugi koniec mostu, po czym powróciło do pułkownika KGB.

- I to wszystko?

- Tak.

Maria przyglądała się mężczyźnie niepewna, co ma robić.

- Nie ma się pani czego obawiać - rzekł Jakow uspokajającym tonem. - To prawda, jest pani wolna. - Uśmiechnął się. - Proszę się pospieszyć, czekają na panią po tamtej stronie.

- Kto?

- Zobaczy pani.

- Kto?

- Niech się pani pospieszy - rzekł Jakow odsuwając się. - Powtarzam, nie ma się pani czego obawiać. - Teraz! Niech pani idzie! - rozkazał i oddalił się.

Maria, zupełnie zbita z tropu, patrzyła, jak odchodzi, po czym odwróciła się i zaczęła obserwować most, a zwłaszcza niewielką grupę mężczyzn czekających po drugiej stronie. Doliczyła się czterech.

Czy był wśród nich?

Zdecydowała się. Podeszła do barierki, przykucnęła, po czym wyprężyła się i pobiegła przez most w stronę fińskiego brzegu.

Musi tam być! Muszę z nim porozmawiać!

Przy każdym kroku zapadała się w śnieg aż po kolana. Musiała zwolnić, aby nie stracić tchu. W połowie drogi zatrzymała się na chwilę, nie po to, żeby złapać oddech, lecz by przyjrzeć się dokładniej ludziom, którzy na nią czekali. Teraz już mogła mniej więcej rozróżnić ich twarze.

Nagle poczuła, że wszystkie siły ją opuszczają: Michaela tam nie było!

Nie chciała w to wierzyć, zmusiła się do dalszego biegu. Ostatnią nadzieję obudził w niej widok dwóch białych sylwetek leżących na

śniegu, na wzgórzu. Jednak od razu zrozumiała, jaką iluzją, jaką niedorzecznością była nadzieja, że to może być on. Miała wrażenie, że zaraz pęknie jej serce.

Wszystko szło dobrze.

Wszystko toczyło się zgodnie z planem. Żaden incydent chyba nie powinien, a wręcz nie może się zdarzyć. Tak jakby spokojna, błoga atmosfera okolic rzeki Brando w końcu pokonała brutalne, hałaśliwe natręctwo istot ludzkich, wzięła nad nim górę.

Nagle wszystko się odwróciło. Na pierwszy rzut oka - bez powodu.

Widać było ożywienie wśród mężczyzn po obu stronach mostu. Najpierw po stronie fińskiej, zaraz potem po stronie sowieckiej. Rozległy się rozkazy. I głosy szczekające w nadajniki radiowe:

- Jakow! Jakow! Co to wszystko znaczy? - zawył Zaliakin.

- Nie mam pojęcia! - ryknął w drugą stronę Jakow.

- To wy kazaliście jej to zrobić?

- Nie!

- Psiakrew! Mam nadzieję, że to prawda, Jakow, bo jeśli nie... Na Boga! Co ona wyprawia? Zwariowała!

Obaj Rosjanie zaniemówili, osłupieli.

Maria zatrzymała się w swoim szaleńczym biegu i wróciła na środek mostu, po czym wspięła się na poręcz, usiadła i spuściła nogi w dół.

Zapanował nieopisany zamęt i wzburzenie. Nie tylko dlatego, że akcja została nagle nie wiadomo dlaczego przerwana, ale także dlatego, że mogła wymknąć się spod wszelkiej kontroli!

- Dlaczego ona to robi? - krzyknął Zaliakin do nadajnika. - Psiakrew, dlaczego?!

- A skąd ja mam wiedzieć? - ryknął rozwścieczony Jakow. - Potwarzam, że nie mam pojęcia, o co tu chodzi!

- Na słowo oficera?

- Na słowo oficera!

Obaj Rosjanie, odzyskując nieco zimną krew, zgodzili się, że jeden z nich pójdzie dowiedzieć się, w czym rzecz. Jakow, na dowód swej dobrej woli, chętnie przystał na propozycję, aby to Zaliakin zajął się tą sprawą. Po chwili Zaliakin biegiem ruszył w stronę mostu.

Pozostało mu już tylko około dziesięciu metrów do przejścia, gdy nagle stanął jak wryty. Zatrzymał go przeraźliwy krzyk młodej kobiety.

- Zatrzymać się! Jeszcze jeden krok, a rzucę się w dół!

Słyszając jej histeryczny głos, widząc pobladłą twarz i dziki wzrok, Zaliakin ani przez chwilę nie wątpił, że kobieta może wprowadzić w czyn swą groźbę. Przestraszył się widząc, jak lekko zachwiała się na balustradzie; pomyślał nawet, że zaraz straci równowagę być może wcale tego nie chcąc. Podniósł ręce w uspokajającym geście i cofnął się o krok.

- Przysięgam, że już się nie zbliżę - powiedział z naciskiem, tak przekonywująco, jak tylko potrafił. - Proszę panią tylko, aby pani stąd zeszła. Przysięgam, że nic nie zrobię.

- Spieprzajcie!

Zaliakin napotkał jej spojrzenie, rozgorączkowane, pełne strachu i determinacji. Zrozumiał, że nie zdoła przywołać jej do rozsądku. Postanowił więc spytać, dlaczego to robi. Odpowiedź zdziwiła go. Próbował jeszcze protestować, ale kobieta nie chciała o niczym słyszeć.

- Chcę się z nim zobaczyć! - krzyczała jak oszalała. - Słyszycie? Chcę z nim rozmawiać! Nie ruszę się stąd, dopóki go nie zobaczę! Zrozumieliście? - powtórzyła prawie wyjąc. - Zrozumieliście?

Zaliakin z zakłopotaniem potrząsnął głową.

- Nie wiem, gdzie on jest - odpowiedział.

- Kłamiecie!

- To prawda!

- Nie wierzę! - krzyczała Maria. - Nie ruszę się stąd! Powiedzcie to tamtym! - A teraz spieprzajcie! Jedźcie po niego! Spieprzajcie!

Zaliakin stał jak skamieniały. Zaczęła więc znowu zawodzić, jak wariatka. Musiał spełnić jej żądanie.

Maria patrzyła jak odchodzi. W miarę jak się oddalał, uspokajała się stopniowo, bardzo powoli, tak jakby wściekłość, która ją ogarnęła, nie mogła się zdecydować odejść.

Wpatrywała się w Zaliakina aż do momentu, gdy doszedł do końca mostu. Widziała, jak zamienił parę słów z towarzyszymi, jak kilkakrotnie wskazywał ręką w jej kierunku, po czym zaczął mówić do kieszonkowego nadajnika radiowego. Spojrzała na drugi koniec mostu, dostrzegła tam Jakowa z aparatem przytkniętym do ucha.

Odwróciła się, jakby jej to nie dotyczyło. Skupiła się w sobie, aby łatwiej oprzeć się narastającej panice. Patrzyła na okoliczne wzgórza zupełnie nieprzytomna i cichym głosem, jednocześnie namiętnym i błagalnym powtarzała:

- Chodź. Wiem, że tu jesteś... Chodź!

Oczywiście to był przypadek, takie rzeczy przecież nie mogą się zdarzać. Ale to się zdarzyło.

W tej samej chwili, gdy Maria nie widząc Michaela, słała do niego z daleka swe błagalne prośby, Michael wstał, opuścił swoją pozycję na stoku i zaczął schodzić w kierunku mostu.

Widział wszystko. Wszystko zrozumiał.

W marszu włączył walkie-talkie i wezwał Zaliakina. Zaliakin natychmiast odpowiedział, pośpiesznie zaczął wyjaśniać sytuację. Michael wpadł mu w słowo, powiedział, że się zbliża, i nie pozostawiając czasu na protesty przerwał łączność.

Kilka chwil później doszedł do mostu, do miejsca, w którym czekał Zaliakin. Major GRU z grymasem na twarzy patrzył na zbliżającego się Michaela.

- Chyba zwariowałeś! - krzyknął. - Co zamierzasz zrobić?

- Porozmawiać z nią.

- To szaleństwo! Z drugiej strony jest Jakow! Jak cię zobaczy, nie już mu nie przeszkodzi wejść do akcji i zatrzymać was oboje!

- Już mnie widział - rzekł Michael. - Uspokój się. - Odwrócił się w stronę mostu, intensywnie myśląc. - Wie, co się tu dzieje?

- Tak.

Spojrzenie Michaela zatrzymało się na sylwetce siedzącej na balustradzie Marii. Twarz miała zwróconą w dół, siedziała nieruchomo, zupełnie nieruchomo. Była przerażająco nieruchoma.

- Muszę tam iść - powiedział nagle. - Powiedz to Jakowowi. Powiedz mu też, że nie wiedziałeś, że tu jestem, że to ona zmusza mnie do ujawnienia się. Nie, Witalij, posłuchaj. Powiedz, że pójde do niej i będę się starał ją przekonać. Że nasz układ dalej obowiązuje. Nic się nie zmieniło, powiedz mu to wszystko! - Michael gestem nakazał Zaliakinowi, aby mu nie przerywał. - Powiedz mu też, że jestem potrzebny tak długo, jak pozostanę przy życiu, a jeśli będzie próbował coś zrobić - nie dostanie mnie żywego.

- To wystarczy?  
- Tak.  
- Oszalałeś!  
- Zna mnie, Witalij. Wie o mnie wszystko... To wystarczy, wierz mi. - Michael zrobił parę kroków do tyłu. - Zrób, o co proszę, szybko! Szybko!

Odwrócił się i wszedł na most.

Po przejściu dwudziestu metrów dostrzegł niewielkie ożywienie po stronie sowieckiej. Dwie, potem trzy umundurowane postaci rozbiegły się w różnych kierunkach, cały czas obserwując go przez lornetki. Słychać było coraz głośniejszy gwizd helikoptera. Spojrzał za siebie i zobaczył raczej niż usłyszał Zaliakina wściekle krzyżącego do nadajnika. Michael szedł po moście. Tak jakby nic innego nie miało znaczenia. Szedł przed siebie coraz bardziej ślepy i głuchy, całkowicie pochłonięty tym, co musiał zrobić, w pełni zmobilizowany, skupiony, gotów do stłumienia w sobie najdrobniejszego choćby kaprysu uczuć.

Przekonać ją, aby posłuchała. Nie rozczulać się... Żeby tylko się udało. Żeby tylko się udało!

Gdy zobaczył twarz Marii, gdy ujrzał jej znieruchomiałe spojrzenie, otworzył usta i drżącymi wargami cicho wymówił jej imię. Miał wrażenie, że nagle przeniknęły go promienie słońca i poczuł się do głębi, na wskroś szczęśliwy. Nie próbował opierać się temu uczuciu, poczekał tylko, aż minie, a na jego miejsce przyjdą pogarda i zniechęcenie, nawet nienawiść do samego siebie.

Zdał sobie sprawę, że Maria zesza z barierki i zbliża się do niego. Patrzył jak idzie i rozpaczliwie szukał sposobu przekonania jej, przemówienia jej do rozsądku. Była bardzo blada. Zmęczenie dawało o sobie znać, czyniło ją jeszcze bardziej kruchą i rozczulającą niż kiedykolwiek.

Michael ze wszystkich sił zacisnął zęby i przysięgł sobie, że w razie potrzeby ją uderzy.

Maria zatrzymała się i patrzyła na niego. Nie wiedziała, co robić. Chciałaby rzucić się w jego ramiona, ale teraz już czuła się do tego niezdolna.

Patrzyła więc, wpatrywała się w niego, widziała, jak cierpi, i to ją

poruszyło. Miał całkiem nieruchome spojrzenie, pełne przestachu i niedowierzania, spojrzenie, jakie mają zwykle ci, którzy odkrywają nieprawdopodobne, niezgłębione możliwości wewnętrznego cierpienia.

Chciała krzyknąć, żeby zakończyć wreszcie tortury, jakie przeżywał. Krzyknąć, żeby powiedzieć mu prawdę. O mało tego nie zrobiła, lecz krzyk uwiązł jej w gardle.

„Mógłby wybuchnąć, gdyby...”

A jeśli oni mieli rację, zastanawiała się przerażona.

Mój Boże, jak mam się do tego zabrać? Pomóż mi!

- Dlaczego to zrobiłaś? Maria miała wystraszoną minę.

- Nie! - krzyknęła.

- Co nie?

- Nie chcę, żebyś mówił... Ja...

- O co chodzi?

- Michael, nic nie mów! Posłuchaj! Nie chcę, żebyś mówił, chcę, żebyś mnie posłuchał! - prawie krzyczała. - Michael, popatrz na mnie! Nie! Nie patrz na mnie, posłuchaj. Tak, tak jest lepiej, nie patrz.

- Mario, nie mamy czasu...

- Mamy! - krzyknęła.

- Wiem, co chcesz mi powiedzieć.

- Nie, nie wiesz! Och, nie, nie!

Michael wyprężył się. Rzucił okiem na koniec mostu po stronie sowieckiej; zdał sobie sprawę, że nie słyhać już szumu helikoptera. Ile czasu mu dadzą?

- Dobrze - powiedział. - Nie wiem. Więc mów. Słucham.

- Michael!

- Słucham, mów - powtórzył.

- Michael, popatrz na mnie.

- Mario, do cholery...

Jednak zrobił to, o co prosiła. Twarz Marii drgnęła.

- Chcesz wymienić siebie na mnie, prawda? - spytała. - O to chodzi, tak?

Michael milczał.

- Jeśli to zrobisz, zabiją cię.

Dalej milczał.

- Zabiją cię i wiesz o tym.

Michael nie odpowiadał.

Maria zacisnęła wargi nie spuszczać go z oczu, była całkiem zbita z tropu.

- Michael, nie ma już... nie ma powodu, abyś to robił! Ty...

Wyglądał tak, jakby zniemacka ktoś pchnął go sztylblem, a on zorientował się w końcu, że Maria trzyma nóż.

Maria nie wytrzymała już dłużej i tłumiąc jęk rzuciła się w jego ramiona.

- Nie musisz umierać, Michael - wyjąkała uczepiwszy się go jak dziecko.

- Nie umrę.

- Nie! Nie! Nie rozumiesz!

- Uspokój się - powiedział walcząc z chęcią przytulenia jej.

- Nie! Nie! - krzyknęła bez tchu. - Posłuchaj, Michael. - Trzymała dłońmi jego twarz. - Mam ci coś do powiedzenia... Musisz mi uwierzyć - spojrzała mu prosto w oczy. - Oni kłamali - powiedziała bezsilnym głosem. - Avarone i tamci wszyscy kłamali, nie jesteś chory! To było kłamstwo! Czy ty rozumiesz wreszcie? Oni kłamali!

Powiedziała mu w pośpiechu, że szefowie francuskich służb specjalnych sami wymyślili taką diagnozę. Chciała wyjaśnić, jak do tego doszło, lecz nagle zamilkła, bo nie było najmniejszej reakcji z jego strony, jakby nie słyszał, co mówiła. Nic się nie zmieniło!

- Michael, zrozumiałeś, co powiedziałam?

- Tak.

- Wierzysz mi, prawda?

- Tak.

- Wierzysz mi? Naprawdę?

- Wierzę ci.

Patrzyła na niego oszołomiona, po czym jęknęła rozdzierająco.

- Nie! Nieprawda, nie wierzysz! Kłamiesz! Och, mój Boże! - Trzymała go kurczowo, jak oszalała. - To prawda, Michael! To prawda! Przysięgam ci, że to prawda! Nie jesteś chory, nigdy nie byłeś chory! Wszystko wymyślili! Słyszysz, Michael? Michael, czy słyszysz, co mówię? Nie jesteś chory, nigdy nie byłeś! Wmówili ci, że jesteś, ale to nieprawda!



Zamilkła i uważnie go obserwowała.

- Michael? - błagała.

- Wierzę ci - powiedział raz jeszcze, ale powiedział to tak, jakby ktoś inny mówił za niego.

Spróbował się uśmiechnąć, ale mu się nie udało. Odwrócił wzrok, patrzył chyba na drugi koniec mostu, na stronę sowiecką, ale wreszcie spojrzął na Marię i niepostrzeżenie skinął głową. Zupełnie jakby czynił nadludzki wysiłek, żeby ją rozpoznać.

- Michael?

Nie odpowiedział.

Maria poczuła okropną pustkę w brzuchu. Starła się nie ulec panice. Znowu wzięła jego twarz w dłonie, zebrała całą swą odwagę i zaczęła mówić głosem jednocześnie łagodnym i stanowczym.

- Popatrz na mnie... Hej! - szepnęła czule. - Popatrz na mnie. Sądzisz, że mogłabym skłamać w takiej sprawie? Nawet żeby osiągnąć własny cel? Naprawdę tak myślisz? - Miała wrażenie, że Michael uparcie ucieka przed jej spojrzeniem, chowa się jak ślimak do skorupy. Poczula, że nie powinna robić nic innego, tylko łagodnie do niego mówić, za wszelką cenę do niego dotrzeć. - Myślisz, że po wiedziałabym ci o tym, gdybym miała choć najmniejszą wątpliwość czy to prawda? Myślisz, że zrobiłabym to, kochanie... Tak myślisz?

Nie odpowiedział, lecz tym razem nie oczekiwała na odpowiedź. Zastanawiała się, czy powinna dalej mówić. Poczula, że jej ręka ciężko mu na ramionach, wreszcie zsuwa się po jego plecach i opada. Delikatnie odsunął się. Nie próbowała go zatrzymać; zauważyła ze ściśniętym sercem, że wygląda tak, jakby za chwilę miał się rozpaść. Patrzył na nią, ale jej nie widział, bo tak naprawdę patrzył do środka, w głąb siebie samego.

- Dlaczego mieliby to zrobić? - wybelkotał.

Chciał powtórzyć pytanie, lecz nie był w stanie dokończyć. Maria poczuła ucisk w sercu i w gardle. Przestraszony, bezsilny, wyglądał jakby był wewnątrz własnej czaszki i obserwował zanikanie swojego mózgu.

- Żeby się tobą posłużyć - powiedziała, zdając sobie sprawę, że on nic nie słyszy.

Istotnie, nie słyszał jej ani nie widział.

W głowie mu huczało, kłębiło się od wizji i głosów, które rozbrzmiewały jak rozwścieczony chór. Jego własny głos skandował

niestrudzenie jak przez megafon: „Słowa na wiatr, słowa rzucane na wiatr”, podczas gdy przed oczami defilowały twarze niewinnie zmarłych ludzi z „Airways”. Był jeszcze ten obrzydliwy guz, pulsujący, zdający się mówić: „Jesteś jedyny”. Mówił głosem Avarone'a. Pojawiła się twarz starego wojskowego, potem złała się z twarzą zmarłego ojca, była nie do rozpoznania, a jednak bardzo bliska: „Przepraszam... Saxon równa się Norymberga... Przepraszam... przepraszam... Przepraszam...” A inny głos, głos Tolstoja, powtarzał aż do znudzenia: „Jeśli istnieje piekło, Avarone na pewno tam jest. Nie ma dla niego ratunku”. Ukazała się też twarz nieżyjącej matki. „Wszystko na nic, wszystko na próżno”. I twarz Marii. „Wszystko słowa, puste słowa”. Twarzyczka wnuczki Tzenki, twarz młodej Ormianki, niemiej dziewczyny wykrzykującej swoje cierpienie jak zwierzę, twarze wszystkich innych, wszystkich zmarłych, i znowu twarz Marii. „Wszystko na próżno... Jesteś jedyny...” „Słowa, puste słowa!”

- Dlaczego to zrobili? - zamruczał.

Maria zobaczyła, że zachwiał się; wreszcie na nią popatrzył.

- Dlaczego? - powtórzył.

Ale to nie było pytanie.

Maria ostrożnie podeszła bliżej, przytuliła się. Poczuła, że jego pierś wzbiera i drży, jakby nie mógł złapać oddechu; poczuła dotyk jego rąk. Miała okropne wrażenie, że on zaraz umrze, tutaj, w jej ramionach. Westchnęła i przytuliła go z całych sił.

Głos Zaliakina grzmiał do walkie-talkie:

- Dziesięć minut! Przecież to wszystko zaraz wybuchnie, każda sekunda się liczy! Jakow jest pod presją, nie rozumie, co się dzieje, i nie zniesie tego! Jest przekonany, że chcesz go wykiwać! Nigdy na to nie pójdzie!

Deves lekko się zawahał:

- Powiedz mu, że jeśli się zgodzi, skrócę wymianę o jedną sekwencję. - Odwrócił się plecami do Marii, odsunął się nieco i zniżył głos: - Oddam się w ich ręce już tutaj.

Trzaski.

- Kola... Jesteś pewien, że wiesz, co robisz?

- Tak. Posłuchaj uważnie: niech da mi jeszcze dziesięć minut, a

ona na pewno zgodzi się pójść. Pozostanę na środku mostu, sam, przez około pół godziny, tyle ile trzeba, abyście mogli się oddalić. To powinno wystarczyć. Potem przejdę na stronę sowiecką. - Zamilkł. - Co do dalszego ciągu, warunki pozostają takie same. Powiedz mu: nie puszczę pary z gęby, dopóki nie będę miał pewności, że ona jest w bezpiecznym miejscu. Trzaski.

- Jak chcesz, Kola.

Michael wrócił do Marii.

- Co to wszystko znaczy? - spytała drżącym głosem. - Po co te dziesięć minut? Co to za historia z tą sekwencją, którą masz opuścić?

Zrobił gest, którym chciał jej powiedzieć, że to wszystko nie ma znaczenia, że nie powinna się tym przejmować. Oparł się o balustradę mostu i próbował skupić myśli. Wszystko tak szybko się toczy!

Patrzył na zaśnieżone, łagodne wzgórza i sosny, które tworzyły na nich coś w rodzaju gęstego runa. Oglądał po kolei każde wzgórze i zdawało mu się, że czekały na to, czerpały przyjemność z tego, że ktoś pieści je wzrokiem. Tak nagle... Wszystko stało się inne! Wszystko zmieniło się tak nagle! Z wierzchołka sosny zerwał się głuszec wzniciając tuman śniegu. Michael śledził wzrokiem lot ptaka ponad rzeką, leciał razem z nim, czuł niemal na szyi i piersi zimne, gęste powietrze, aż w końcu ptak zniknął gdzieś w lasach na fińskim brzegu.

- Michael?

Powinien działać, jak najszybciej musi coś zrobić!

- Michael, odpowiedz mi!

Znowu patrzył na wzgórza, wpatrywał się intensywnie w miejsce, z którego wzleciał głuszec, i tam, gdzie zniknął. Był zupełnie świadomy, że może powiedzieć tylko jedno:

- Mario, to niczego nie zmienia.

- Co ty mówisz?

Głos Marii przeszył go. Odwrócił się.

- To niczego nie zmienia - powtórzył.

- Zwariowałaś! - wykrzyknęła oburzona tym, co powiedział, a także wyrazem jego nieruchomej twarzy. Najwyraźniej wierzył w to, co mówił - tak jakby już było za późno, jakby już nie żył.

Martwy jeszcze zanim umarł!

Maria zbuntowała się na tę myśl. Krzyczała, protestowała, błagała,

Michael nie reagował. Później wyczerpana, nie mając już argumentów, wybuchnęła płaczem. Próbował wytłumaczyć jej, dlaczego, mimo tego co mu powiedziała - a wierzył w to, mogła być pewna - nic się nie zmieniło.

To było oczywiste i dotarło do niego nagle, kiedy miotał się oszłamiony tym, co powiedziała Maria. Było już za późno na to, aby cokolwiek zmienić. Saxon musi umrzeć! Z trzech powodów - wszystkich trzech śmiertelnie ważnych. Przede wszystkim ciągle uważano, że jest zabójcą Avarone'a i szefa DGSE; francuskie służby specjalne nie spoczną, dopóki nie wezmą odwetu. Po drugie, odkrył tajemnicę „Airways”, fakt, że siatka nigdy nie istniała; ludzie z francuskich służb nigdy się z tym nie pogodzą, dobrze o tym wiedział. I wreszcie, zawarł układ z KGB i jeśli się z niego nie wywiąże, Maria umrze.

Na tym właśnie polegała ironia i nieuchronność losu Saxona: wmówiono mu, że jest skazany. Wpędzono w śmiertelną pułapkę. Rozmyślnie go poświęcono, bez najmniejszych skrupułów... A teraz, gdy już zna prawdę, pułapka dalej działa... Wbrew wszystkiemu pułapka ciągle jest śmiertelna!

Tak jakby Saxon był nieuchronnie skazany na śmierć. Jakby taki właśnie miał być jego los.

Oczywiście Michael nie powiedział tego wszystkiego Marii, a przynajmniej nie tymi słowami. Sformułował to inaczej, tak aby mogła zrozumieć to, co chciał jej zaproponować. Tak więc największy nacisk położył na pierwszy powód, żeby zrozumiała, że pozostanie na Wschodzie leży w jego interesie. Powiedział też o bombie, aby ją zaskoczyć, wstrząsnąć, a także by uwierzyła, że on ma w ręku atut, który pozwala mu rozegrać równą grę z KGB. Nie powiedział o drugim powodzie - im mniej będzie wiedziała tym lepiej dla niej, lecz dał do zrozumienia, że jest coś jeszcze gorszego niż bomba; kładł nacisk na to „gorsze” z miną tajemniczą i pewną siebie, bo chciał ją przekonać, że wie, co robi. Trzeci powód naturalnie pominął milczeniem.

- Nie bierz mnie za idiotkę, Michael - rzekła Maria napięta do ostatecznych granic, ze zboląłą twarzą.

- Nie biorę cię...

Wrzasnęła:

- Nie bierz mnie za idiotkę!

Płaczliwym głosem wykrzyczała mu w twarz trzeci powód, który chciał przed nią zataić. To go przygnębiło.

- Ale wytłumaczyłem ci właśnie, że... - zaczął, ale nie dokończył. Rozłożył ręce i podniósł je w geście bezsilności.

- Wiem, co mi wytłumaczyłeś - powiedziała jeszcze raz, uspokoiwszy się nieco.

Powoli opuścił ręce, otworzył usta, lecz nie wydał żadnego dźwięku. W końcu odwrócił się z miną człowieka całkowicie zdanego na łaskę losu.

Maria patrzyła na niego bez słowa. Była tym wszystkim coraz bardziej znużona i przytłoczona. Nie dlatego, że skłamał - raczej dlatego, że dostrzegła prawdziwy, ukryty powód jego kłamstwa: nie było wyjścia z tej sytuacji. Był zaklinowany, bez żadnej możliwości wyjścia!

- Michael, to niemożliwe... to straszne! - protestowała z rozpaczą.  
- Nie chcę... - głos uwiązł jej w gardle. - Nie chcę, żebyś się dla mnie poświęcał! Nie chcę - powtórzyła jak dziecko - nie chcę!

- Posłuchaj, Mario...

- Nie! Nie chcę! Nie chcę! - krzyknęła cofając się. - Na pewno jest jakieś wyjście, na pewno jest!

Patrzył na nią, ale najwyraźniej nie znalazł w sobie siły, aby odpowiedzieć.

- Zastanów się, Michael! Otrząśnij się, proszę! Proszę cię!

Mówiąc to zdała sobie sprawę, że on nie jest w stanie tego zrobić.

Była przerażona, ale i świadoma tego, że teraz wszystko spoczywa na niej, że uratowanie człowieka, którego kocha, leży w jej rękach! Zaczęła więc gorączkowo się zastanawiać i chyba coś wymyśliła. Nic nadzwyczajnego, rzecz zupełnie oczywistą, ale w tej chwili pełnego pomieszania tylko ona mogła na to wpaść.

- Michael, skąd możesz mieć pewność, że z tego wybrnę? - spytała z oczami utkwionymi w jeden punkt jak lunatyczka.

- Co? - zapytał Michael.

Maria podeszła bliżej.

- Rozumiem - powiedziała - wydaje mi się, że rozumiem, w jaki sposób masz zamiar zneutralizować pogroźki KGB pod moim adresem... To zupełnie jasne, rozumiem - powtórzyła głośniejszym głosem. - Ale później jak ci się uda zneutralizować groźby Francuzów, DGSE czy kogokolwiek jeszcze?

- Z ich strony nie masz się czego obawiać - powiedział uspokajająco, ponieważ nie zrozumiał sensu tego pytania.

- Nie o to mi chodzi! Chcę tylko wiedzieć! I skąd możesz mieć pewność?

- Już ci powiedziałem...

- Nie! Nie powiedziałeś mi! Powiedz teraz!

Nie wiedząc, dokąd to może prowadzić, lecz zelektryzowany nakazującym tonem Marii, Deves powtórzył, że odkrył coś ważniejszego niż bomba, coś, czego Francuzi za nic w świecie nie chcieliby ujawnić. Coś, o czym Maria nie powinna wiedzieć dla własnego bezpieczeństwa. Wyjaśnił w końcu, że wszystko zapisał i wydał też dyspozycje, aby Francuzi w odpowiednim czasie zostali ostrzeżeni, żeby zdali sobie sprawę, że tajemnica „Airways” pozostanie tajemnicą, jeśli Maria będzie żyła w spokoju.

Gdy umilkł, Maria wyjąkała zmieszana:

- Jesteś pewien skuteczności...

- Tak. Jestem prawie pewien.

Była wzburzona.

- Michael! Jesteś ślepy! - krzyknęła, nagle pełna jakiejś niedorzecznej nadziei. - Dlaczego nie rozciągnąć tego na nas oboje? Jeśli ma mi to zapewnić spokój, dlaczego nie miałoby podobnie zadziałać w przypadku nas obojga? - Dostrzegła zdziwioną minę Michaela, ale mówiła dalej jak w transie: - Wtedy nie musiałbyś oddawać się w ręce KGB, Michael! Nie byłoby takiej potrzeby ani konieczności! Cały twój plan dalej jest ważny, Michael, musisz go tylko zmodyfikować. Rozumiesz? To wszystko! Przedtem było ci obojętne, zgoda, rozumiem to, rozumiem doskonale, może chciałeś się ubezpieczyć postępując w ten sposób, możliwe... ale teraz to już nie ma żadnego sensu, Michael, żadnego sensu! - Podeszła i przytuliła się do niego.

- Teraz wszystko jest inaczej. Żyjesz, będziesz żył! - Objęła go. - Słyszysz? Powiedz im, gdzie jest ta cholerna bomba i tyle, to zupełnie wystarczy, prawda? Potem zrobisz to, co mówiłeś, z Francuzami, ale weźmiesz pod uwagę nas dwoje, mnie i ciebie. Nic więcej!

- Zamilkła na chwilę. - Broń się, Michael - błagała gorączkowo. - Broń nas, broń nas!

Deves milczał.

Maria uszanowała to milczenie, pielęgnowała je niemal, tak jakby było wyrazem głębokiej przemiany, jaka się dokonywała w Michaelu.

Modliła się za niego, nie chciała słuchać głosu, który szeptał jej, że przekonać Michaela to jeszcze nie wszystko, że trzeba jeszcze wiedzieć, w jaki sposób przekonać sowietów, aby zrewidowali warunki układu.

Ona pierwsza usłyszała głos Zaliakina w walkie-talkie. Zadrżała. Michael odsunął ją delikatnie, obserwował przez krótką chwilę w skupieniu, po czym wziął aparat.

- Niedługo skończymy, Witalij - powiedział, aby uspokoić majora GRU. - Jeszcze minutka. Tylko minutka.

Wyłączył aparat. Popatrzył na Marię najpierw przelotnie, potem uważniej; zerknął na sylwetki u wylotu mostu po stronie sowieckiej i na helikoptery przyczajone w śniegu.

- To jest do zrobienia. Masz rację - powiedział. - W każdym razie można spróbować.

Maria patrzyła na niego z bijącym sercem, nie mogąc wymówić ani słowa. Kłamie, pomyślała. Czy on kłamie?

Widziała, że nagle zamyślił się. Usłyszała jego głos:

- Istnieje coś, co mogę położyć na szali... Coś, co jest dla nich o wiele ważniejsze niż moja głowa.

- Co? - spytała nieśmiało, ze strachem.

Zawahał się, zrobił krok w jej stronę i wziął ją za ramiona.

- Zaufaj mi - rzekł. - Posłuchaj...

- Powiedz mi, co to jest!

- Nie, teraz nie mamy czasu. Posłuchaj, zrobisz to, co ci powiem. Przejdiesz przez most, podejdziesz do tego człowieka, tam. To przyjaciel. Wyłumaczysz mu, co się zmieniło. Powiedz mu dlaczego, on o niczym nie wie. Powiedz też, żeby postarał się zostawić mi skuter śnieżny gdzieś w pobliżu mostu. Dalej zrobi wszystko to, co było zaplanowane: znikniecie stąd! Jedyna rzecz, jaką musi zmienić, to rozkład pierwszego etapu. Przenosi wszystko o dwadzieścia cztery godziny. Tak żebym mógł do ciebie przyjechać.

- Michael! Ale dlaczego muszę...

- Zrozumiałaś, co powiedziałem?

- Tak! Ale...

- Powtórz!

Powtórzyła.

Gdy skończyła, Deves szybko spytał, wskazując ludzi z KGB:

- Wiedzą o mnie całą prawdę?

- Nie! nie wiem... Nic im nie powiedziałam.  
- Nic im nie powiedziałas?  
- Nie! - Maria walczyła z ogarniającym ją zwątpieniem. - Michael, proszę cię...  
- Zaufaj mi - powiedział z naciskiem, potrząsając ją za ramiona. - Będę z nimi negocjować, to może się udać, są duże szanse, że się uda, ale tylko wtedy, gdy pójdziesz i nie będzie cię tutaj. Musisz stąd zniknąć!  
- Przysięgnij, że to prawda! - krzyknęła pełna niepokoju.  
- Przysięgam.  
- Przysięgasz?  
- Mario, przestań już - powiedział popychając ją, aby wreszcie poszła.  
- Przysięgnij mi to!  
- Przysięgam ci - rzekł. - Poślizgnęła się na śniegu, podtrzymał ją.  
- Teraz już idź. Szybko!  
- Michael, nie kłam! - krzyknęła, robiąc pierwsze kroki. - Błagam cię, nie kłam.  
- Nie kłamie! - krzyknął Michael. - Idź! Szybciej! Nie, nie odwracaj się! Idź dalej! Tak, właśnie tak! Dalej!  
Posłuchała go, nie oglądając się poszła w stronę brzegu fińskiego. Przez cały czas na nią patrzył, jakby chciał dodać jej tym siły.

Było to coś, czego ani Deves, ani Jakow się nie spodziewali, czego ani jeden, ani drugi nie przewidzieli, coś, co ich naprawdę zaskoczyło - ale każdego w inny sposób. To coś pojawiło się między nimi znieznacka i narzuciło się od pierwszej chwili spotkania.

Czas.

Minęły długie lata... Długie lata.

Gdy Deves zatrzymał się przed Jakowem, obaj mężczyźni nie zmierzili się nawzajem wrogimi spojrzeniami, lecz po prostu starali się rozpoznać.

Dwa wspomnienia patrzyły na siebie. Po latach.

Jakow był zdezorientowany jeszcze bardziej niż Deves. Nie tyle z powodu zmienionej po operacji plastycznej twarzy Michaela, która aczkolwiek inna, nie była jednak zupełnie obca. Raczej dlatego, że



pomimo starań nie czuł już głębokiej i szczerzej nienawiści, jaką żywił do Francuza przez wszystkie minione lata.

- Nie jadę z tobą, Jakow - powiedział Michael bez wstępu.

Pułkownik KGB nie powiedział ani słowa.

- Nie jadę z tobą - powtórzył Michael tonem, który mógłby wskazywać, iż żałuje swoich słów.

Pułkownik KGB powoli skinął głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że zarejestrował słowa Francuza. Jego twarz niczego nie wyrażała.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę.

Jakow rzucił okiem na stojącego obok młodego porucznika, potem spojrział w kierunku uzbrojonych żołnierzy trwających na posterunku nieco z tyłu, po prawej stronie; wreszcie znowu popatrzył na Devesa, z wahaniem, ale i z pobłażliwą litością.

- A dokąd masz zamiar się udać?

- Umowa stoi, Jakow, ale beze mnie.

- Kto tak postanowił? Ty?

- Tak, ja. I okoliczności. Wszystko jest sprawą okoliczności i priorytetu - powiedział jakoś dziwnie Michael. - To po prostu kwestia oceny.

- Twojej oceny?

- Nie tylko mojej. Także twojej... W przyszłości. A także oceny KGB, przede wszystkim.

- Naprawdę? - spytał Jakow z miną człowieka przekonanego, że Deves postradał zmysły.

- Ja się nie liczę, Jakow - powiedział Michael. - Moja osoba nie ma znaczenia. Jedyne, co mogę wyjawić, to miejsce, gdzie ukryta jest bomba. I to wszystko. KGB niczego na mnie nie zyska. Nie jestem ważny - powtórzył. - I nie jestem wieczny... Jest natomiast ktoś inny, kto jest dla was bardzo ważny, kogo mogę wam dać w zamian za siebie. Ktoś, kogo pozwolę wam zatrzymać.

- Kto to taki? - spytał Jakow, mimo woli zaniepokojony.

- Ktoś.

- Kto?

- Nie powiem ci, nie mogę ci tego powiedzieć, bo nie wiem, czy

mogę powiedzieć właśnie tobie. To także kwestia oceny... To raczej centrala powinna ocenić moją propozycję, nie ty.

- Głupstwa! - syknął Jakow przez zęby. - Nie wierzę ci. Poruczniku - zwrócił się do młodego człowieka - wyjmijcie broń i...

Michael, niewzruszony, przerwał mu po francusku:

- Już raz pomyliłeś się co do mnie - rzekł, robiąc aluzję do rekomendacji Jakowa przy swoim werbunku przez KGB wiele lat wcześniej. - Nie popełniaj dwa razy tego samego błędu. - Młody porucznik wyjął pistolet i patrzył na przełożonego czekając na rozkazy. - Pomyśl o tym, po co tu przyjechałeś, pomyśl o bombie - mówił Michael, ciągle po francusku, z lodowatym spokojem. - Jeśli sprawa ma przybrać taki obrót, nie dostaniecie mnie żywego. Wiesz przecież, że to nie są słowa rzucane na wiatr, wiesz, że nie mam nic do stracenia. Wiesz, prawda?

Wie, pomyślał Michael z ulgą, widząc niezdecydowane spojrzenie Jakowa.

- Schowajcie broń, poruczniku - rozkazał Jakow nie spuszczać Devesa z oczu.

- Rozkaz, panie pułkowniku - odpowiedział młody oficer i schował broń na pozór bez wahania; czujnie jednak obserwował swojego szefa i Devesa.

Michael udał całkowitą obojętność.

- Jeśli ktoś miałby się pomylić właśnie teraz, w tym stadium sprawy - podjął po francusku bez śladu groźby w głosie - zrób tak, abyś to nie był ty, Jakow. Nie tym razem. - Zamilkł na chwilę. Tym razem nie wybaczyliby ci. - Znowu przerwał. - Nie warto, wierz mi.

- Błefujesz - rzekł Jakow po francusku po chwili namysłu.

- Mylisz się.

Jakow nie odpowiedział.

Miał rację - Deves błefował, ale nie było sposobu, aby się o tym przekonać. Poza tym błef był zręczny z wielu powodów, między innymi dlatego, że możliwość pominięcia Jakowa uwierzytelniała manewr Devesa w jego oczach i w konsekwencji uwierzytelniała błef wobec kierownictwa KGB.

Michael dalej mówił po francusku:

- Chcę, abyś przekazał wiadomość Moskwie. Saczejewowi - sprezyował, wymieniając nazwisko szefa KGB. Z satysfakcją zobaczył, że młody porucznik lekko zmarszczył brwi. - Powiedz im, powiedz mu,

że śmierć generała Avarone'a to źródło wielu informacji. Powiedz, że dalej chcę uchodzić za tego, który go zabił; chcę też, aby nie odkryto prawdziwego mordercy. Wszystko mi jedno... Nie mam już nic do stracenia... Mam taką propozycję: moja swoboda działania za wolność mordercy Avarone'a. - Przerwał. - Przekaż to centrali. To propozycja, której nie odrzucają, wierz mi. Z radością ją przyjmą... Potem powiem ci, gdzie jest bomba.

- A potem ja cię zabiję - odpowiedział Jakow.

Młody porucznik czynił wyraźne wysiłki, aby zachować zimną krew. Jeszcze bardziej zaniepokoił się, gdy usłyszał, choć nie zrozumiał, odpowiedź Devesa po francusku:

- Taką masz na to ochotę? Po tylu latach? - Jakow nie odpowiedział. Michael popatrzył na niego smutnie. - Oleg Pawłowicz Jakow - powiedział powoli, w zamyśleniu - pomyśl, kim jesteś, kim ja jestem. Pomyśl o tym, kim byliśmy, co robiliśmy, i o tym, co z tego zostało dzisiaj. Pomyśl o tym, jak się wszystko potoczyło i powiedz, czy warto było... Naprawdę sądzisz, że warto było, że ciągle jeszcze warto?

- Rzygam, jak słyszę taką gadkę - odpalił Jakow po francusku.

- Domyślam się. Ale zastanów się dlaczego.

- Nie mam co się zastanawiać, nie muszę zadawać sobie tego rodzaju pytań... Nie mam twojego problemu.

- Zgadza się - rzekł Michael. - Masz rację... - Po chwili, jakby zrezygnowany, powiedział tym razem po rosyjsku: - Nie będziesz mógł mnie zabić. Chyba nie sądzisz, że jestem tak szalony, aby nie zapewnić sobie jakiegoś zabezpieczenia, chociażby dla niej - powiedział wskazując fiński brzeg, gdzie zniknęła Maria. - Nie sądzisz chyba, że zmontowałem tę całą operację polegając jedynie na lojalności tego durnia Zaliakina, co? Naprawdę myślisz, że mógłbym tak postąpić? - Michael wzruszył ramionami. - W jakimś miejscu zaczęło się odliczanie. Albo je zatrzymamy, albo straciecie waszego człowieka.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom Jakow uśmiechnął się.

- Nieumiejętnie blefujecie, towarzyszu.

- Myślisz, że blefuję? - spytał Michael, zastanawiając się, czy Jakow mówił szczerze, czy chciał go tylko przetestować.

- Nie myślę, jestem pewien.

- Jesteś gotów podjąć ryzyko?

- Nie ma żadnego ryzyka.

Michael poczuł ucisk w brzuchu. Zmusił się do uśmiechu, po czym udając zmartwienie rzekł:

- Problem w tym, że tylko ty tak myślisz.

- I wystarczy. Nie przejmuj się.

- Nie, wygląda na to, że nie rozumiesz...

- Czego nie rozumiem?

- Problem w tym, że nie będziesz mógł podjąć tego ryzyka.

- Kto mi przeszkodzi? Ty?

- Źle rozumujesz, Jakow...

- Ty mi przeszkodzisz? - nalegał Jakow z wyzwaniem w głosie.

- Nie, nie ja.

- Więc kto?

- Moskwa.

- Moskwa? - wykrzyknął Jakow. - Zwariowałeś! Moskwa nic nie wie o tych głupstwach! I nigdy się nie dowie!

- Mylisz się, Jakow - rzekł spokojnie Michael. - Moskwa już o wszystkim wie. - Wskazał młodego porucznika. - Albo będziesz musiał go zabić. - Młody oficer zatrzepotał powiekami. - Jego i innych. Wszystkich tamtych.

Porucznik zaczął uważnie przyglądać się czubkom swoich butów, lecz po chwili podniósł głowę i wojowniczo spojrział na przełożonego. Nie wiadomo, czy to spojrzenie miało wyrażać, że w dalszym ciągu obdarza go zaufaniem, mimo tego co właśnie usłyszał, czy też może chce się upewnić, czy zaufała właściwej osobie.

Jakow siedział bez ruchu, nie zdradzał najmniejszej emocji. Michael zrozumiał, że to wszystko miało służyć przetestowaniu go.

- Błefujesz - odezwał się w końcu Jakow, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie jest naiwny, ale coś w jego głosie, w jego spojrzeniu wskazywało, że nie jest do końca pewny swojej racji.

Blef chwycił, z każdą sekundą stawał się skuteczniejszy.

- Zastanów się, co mogę zyskać - rzekł Michael. - Zadaj sobie jeszcze raz to pytanie.

Jakow nie uważał, że musi zadać sobie taki trud.

- Poruczniku - powiedział nie odrywając wzroku od Devesa.

- Tak, panie pułkowniku?

- Zażądajcie połączenia radiowego, z pierwszeństwem, z biurem

towarzysza dyrektora Saczejewa, a gdyby go nie było, z generałem Rodenko. Hasło pierwszeństwa brzmi: „Bolszój”.

- Rozkaz, panie pułkowniku - odpowiedział młody oficer, odwrócił się i pobiegł w stronę jednego z helikopterów.

- Jak ma przebiegać łączność? - spytał Jakow po chwili milczenia.

Michael odrzekł, że chciałby być przy rozmowie z Moskwą oraz że zależy mu także na obecności porucznika. Jakow się nie sprzeciwiał.

Dalej wydarzenia przebiegały tak, jak Michael sobie życzył. Nawet lepiej: relacjonując fakty Jakow nie wspominał ani słowem, że jest pewny, iż Deves blefuje.

Jakow od niedawna dopiero wiedział o istnieniu „Golden Voice”, kreta na wysokim szczeblu, którego KGB umieściło we francuskich służbach specjalnych; wiedział też, nawet rozumiał wagę, jaką Saczejew i Rodenko przywiązywali do „Golden Voice”. Nie wiedział, czy właśnie do tego kreta zrobił aluzję Deves, ale po głębokim namyśle doszedł do wniosku, że o nikogo innego nie mogło tu chodzić. W tych okolicznościach zasygnalizowanie blefu doprowadziłoby jego przełożonych do wniosku, że on, Jakow, stara się osłonić siebie albo co gorsza, że dał się zwieść osobistym animozjom i jest zupełnie nieświadomy rzeczywistych faktów.

Odpowiedź Moskwy była jednoznaczna: nowe warunki Saxona zostały przyjęte. Jakow otrzymał formalny rozkaz, aby pozwolić mu wyjechać, jak tylko ujawni miejsce ukrycia bomby, a jego wskazówki zostaną sprawdzone.

Tak też zrobiono.

Później, jeszcze przed rozstaniem przy moście, Jakow spytał Devesa:

- Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie? Co ta dziewczyna ci powiedziała, że nagle zmieniłeś zamiar?

Michael znieruchomiał, popatrzył na dalekie wzniesienia na fińskim brzegu, jakby tam właśnie szukał odpowiedzi.

- Co ona ci powiedziała? - spytał powtórnie Jakow. Tak naprawdę nie oczekiwał odpowiedzi; po prostu zadał pytanie, które go nurtowało. - A Francuzi? Jak sobie z nimi poradzisz? Co? Masz na nich haka, prawda? - W końcu kiwnął głową, jakby była to dla niego rzecz pewna. - Czy jest ktoś, kogo nie zdradzisz? - spytał po chwili milczenia.

Zrobił pogardliwą minę. - Nawet nie wiem, jak mam cię nazwać.

- Nie nazywaj mnie - zimno doradził mu Michael. - Zapomnij mnie.

Odwrócił się i zaczął iść w stronę mostu. Za plecami usłyszał głos Jakowa.

- Naprawdę postanowiłeś wykorzystać tę resztkę życia, jaka ci jeszcze pozostała?

- Mam całkiem niezły powód - odpowiedział Michael nie odwracając się.

Po chwili wszedł na most.

Następnego dnia o ósmej rano Siergiej Saczejew, dyrektor KGB, znalazł na biurku raport z badań dokonanych na Zofii, bombie termojądrowej o mocy stu pięćdziesięciu kiloton. Odnaleziono ją poprzedniego dnia w Moskwie, w oficynie starej kamienicy nie opodal Arbatu. Grupa specjalistów do późnych godzin nocnych przeprowadzała sekcję bomby, aby zmusić ją do „mówienia”.

I przemówiła.

Kłopot polegał na tym, że bomba ta mówiła wieloma językami.

Specjalnie dla Saczejewa wyszczególniono pięć punktów dotyczących składników i różnych aspektów konstrukcji bomby. Miało to umożliwić określenie kraju jej pochodzenia.

Materiał wybuchowy. Przeanalizowano jego rodzaj, kolor i proporcje. Była to mieszanka trzydziestu kilogramów egzogenu i T.A.T.B. (triamino-trójnitrobenzen). Autor raportu zaznaczył - wyjaśniając jednocześnie, że nie można tu wyciągnąć jednoznacznego wniosku - że czołowe kraje nuklearne, do których należy i Francja, stosują raczej oktogen niż egzogen. Ten sam autor nadmienił, że każdy kraj ma własny sposób barwienia różnych rodzajów środków wybuchowych, aby się nie myliły; stwierdził też, że szkarłatny kolor analizowanej mieszanki egzogenu z T.A.T.B. odpowiada metodzie brytyjskiej. Jednak informacja ta nie może być traktowana jako decydująca - zaznaczył - ze względu na inne dane, dotyczące po pierwsze proporcji substancji wybuchowych w mieszance, proporcji, która tak jak barwa jest charakterystyczna dla poszczególnych krajów, po drugie zaś środka wiążącego stosowanego w każdej z substancji. I tak:

65 procent egzogenu plus 30 procent T.A.T.B. plus 5 procent spoiwa składającego się z grafitu i żywicy epoksydowej to nie jest mieszanka stosowana w Wielkiej Brytanii, lecz w Izraelu.

Materiały rozszczepialne (sześć kilogramów plutonu i pięć kilogramów uranu 235). Jedynie sześć krajów, nie licząc ZSRR oczywiście, może sobie pozwolić na taką produkcję: USA, Francja, Wielka Brytania, Chiny, Izrael, Afryka Południowa. Nie znaczy to jednak, że bezspornie któryś z tych krajów był producentem bomby - zawsze możliwe jest zapożyczenie.

Technologia. Wyprodukowanie stu pięćdziesięciu kiloton broni nuklearnej, nadanie jej minimalnych wymiarów to oczywiście nie lada sztuka; mogło to mieć miejsce w większości z krajów wyżej wymienionych i tylko w nich. Jest to jednak wskazówka dość mglista, trudno wybrać konkretny kraj.

Wyposażenie elektroniczne. Jego najwyższa jakość świadczy o pochodzeniu z kraju wysoko rozwiniętego. Jednak produkcja tych części elektronicznych nie była domeną potęg nuklearnych. To raczej inne kraje, Japonia, Korea, żeby wymienić tylko te dwa, zalewają świat produkcją w tej dziedzinie.

Źródło neutronowe (rurka, w której przyspiesza się strumień atomów deuteru skierowany na atomy trytu: zderzenie, fuzja, powstanie neutronów, wyzwolenie energii itd.). Zwykle ta część powinna najwięcej powiedzieć i ujawnić swego twórcę. Im mniejsze są rozmiary źródła neutronowego - twierdził autor raportu - tym wyższy poziom jego wykonania. Źródło neutronowe bomby, o której mowa, było względnie duże. Szczególnie transformator wysokiego napięcia, służący do przyspieszenia strumienia atomów deuteru, ze względu na swoje rozmiary był opóźniony o dziesięć lat. Ujmując sprawę krótko, źródło neutronowe było przestarzałe w stosunku do reszty układu. Tak jakby twórca tej broni nie dysponował odpowiednią wiedzą albo chciał udać, że nie dysponuje.

Wniosek wynikający z raportu był mniej więcej taki: bomba jest prawdopodobnie francuska, to bardzo możliwe, ale nie można tego udowodnić.

Do raportu dołączona została notatka na temat urządzenia do odbioru przekazów satelitarnych, odkrytego w klasztorze Zaśnięcia Marii Panny w Aprelewskiej.

Rozebrano całą instalację, lecz i tutaj nic - ani w konstrukcji, ani

w zastosowanym materiale - nie zdradzało techniki francuskiej. Nawet ukierunkowanie dwóch małych anten parabolicznych znalezionych na miejscu, pod kopułkami w kształcie złożonych cebulek, nie mogło stanowić dowodu, mimo iż rzeczywiście były skierowane tak, aby mogły wychwycić sygnał jednego z dwóch satelitów geostacjonarnych „Telecom I”, który obsługuje „Syracuse”, system francuskiego wojskowego przekazu satelitarnego. Nie mogło być dowodem z dwóch powodów. Po pierwsze: niemożliwe jest precyzyjne obliczenie kąta ukierunkowania takich anten, zawsze jest pewien margines błędu, w granicach pięciu stopni. Po drugie, obszar odbioru anten zainstalowanych w klasztorze Zaśnięcia Marii Panny sięgał dziesięciu stopni, można więc stwierdzić, że anteny z klasztoru były skierowane ku dwóm satelitom „Telecom I”, usytuowanym w odległości czterdziestu dwóch kilometrów od Ziemi, kolejno na piątym i siódmym stopniu długości geograficznej zachodniej. Jednak równie dobrze mogły być skierowane w stronę kilku innych satelitów, których pełno jest w tym miejscu przestrzeni pozaziemskiej, jak na przykład brytyjski satelita „Skynet-4” usytuowany na czwartym stopniu długości zachodniej, czy też satelita „NATO-4” na dwunastym stopniu długości zachodniej.

Do tych dwóch dokumentów dołączona była zapieczętowana koperta dla Saczejewa. Zawierała ręcznie napisaną notatkę od jego starego towarzysza generała Rodenko, szefa II Zarządu Głównego KGB. Notatka była krótka, nie podpisana, zawierała pięć punktów:

- „1. Dokumenty niniejsze nie mają kopii.
2. Nie można z nich wiele wywnioskować, nie można więc nic zrobić.
3. Można jedynie mieć nadzieję, że nie ma innych jajek.
4. Będziemy musieli, ty i ja, zastanowić się, jak najlepiej pokierować tą sprawą.
5. Jeśli zaborą się do tego Francuzi - będą najbardziej rozwścieczonymi psami na świecie!”

2.



- Jestem szczęśliwa.

- Tak.

Noc była jasna, spokojna. Światło księżycy padało przez uchylone okno i oświetlało dolną część łóżka. W pokoju panował chłód, ale nie aż taki jak na dworze. Przed pójściem spać napalili w kominku, patrzyli na ogień, słuchali trzasków płonącego drewna i rozkoszowali się jego zapachem. Teraz już ogień przygasł. W łóżku, pod kocami, pod pierzyną, było ciepło.

- Och! Mój Boże, jestem szczęśliwa - szepnęła Maria. – Jestem tak bardzo szczęśliwa, tak bardzo, tak bardzo...

Poruszyła się. Michael poczuł, jak jej piersi, brzuch i uda odsuwają się, ale po chwili znowu wtuliła się w niego czule, zupełnie inaczej. Przytulała się do jego boku, ich nogi krzyżowały się, ręką obejmowała jego brzuch, przyciskała piersi do jego torsu, delikatnie wtulała twarz w zagłębienie jego ramienia.

- Och! Boże! - szepnęła.

Głaskał ją po głowie, wsuwał palce w jej krótkie włosy, a ona kręciła głową z zadowoleniem, ocierając się o jego dłoń. Włosy miała gęste i miękkie jak sierść małego zwierzątka.

- Odrosną - powiedziała.

- Takie są bardzo ładne.

- Naprawdę?

- Tak.

- Ciągle tak mówisz.

- Bo to prawda.
- Naprawdę?
- Tak, naprawdę.
- Lepiej było przedtem czy lepiej jest tak jak teraz?
- Inaczej.
- Ale jak wolisz?
- Lubię i tak, i tak.
- Naprawdę?
- Tak.
- Odrosną - powiedziała po krótkim wahaniu.
- Oczywiście.
- I będę taka jak przedtem, zobaczysz.
- Doskonale jest tak, jak jest - rzekł.

Ciągle głaskała ją po głowie, a ona pozwoliła się głaskać, poddawała się jego pieszczotom. Spytała:

- To przyjemne?
- Bardzo.
- Dla mnie też.
- Z pewnością.
- Chciałbyś, żeby zawsze takie były?
- Lubię właśnie takie, teraz.
- Tylko teraz?
- Teraz, i jutro, i pojutrze.
- Ale nie cały czas?
- Nie wiem. Może.
- Dlaczego to lubisz?
- Wiesz dlaczego.
- Powiedz! - wyszeptwała z wyrzutem śmiejąc się jednocześnie.

Minął tydzień... Tydzień od spotkania w Finlandii na moście, nad rzeką Brando. Lecieli wieloma samolotami, aby zatrzeć ślady, w końcu schronili się w Szwajcarii. Zatrzymali się w wynajętym domku w małej górskiej miejscowości w Heilig, pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Montreux. Sezon sportów zimowych w pełni. Ale nie tylko w Heilig. Rano z okien domku przy dobrej pogodzie widać było z dala na zaśnieżonych zboczach narciarzy z sąsiednich miejscowości.

W przerwie między lotami Michael poprosił Marię, aby obcięła włosy. „Dla bezpieczeństwa”. Kiedy stanęła przed nim, pokazując rezultat, był jednocześnie zdumiony i poruszony: była nie do rozpoznania, z jasnymi, bardzo krótkimi włosami, prawie jak szczotka, ciągle jednakowo piękna, ale jakąś inną pięknnością, młodzieńczą, zmysłową. Wpatrywał się w jej spokojną, promienną twarz, w błękitne oczy. Jej ramiona wydawały się szersze, ciało było w doskonałej formie. Emanowała z niej świeżość i chęć życia. „Kochasz?”, pytała z niepokojem. Powiedział jej, jak bardzo ją kocha, powtarzał jej to i dowodził w ciągu wielu następnych godzin i dni. W jego oczach była teraz jeszcze bardziej godna pożądania, bardziej ekscytująca; łagodna i otwarta, uduchowiona i zmysłowa. Naga i bezbronna należała tylko do niego, była przeznaczona tylko jemu. Ona czuła to samo i podobało jej się to uczucie, powiedziała mu o tym.

- Głaskaj mnie po głowie - szeptała wesoło, wyciągając się na nim, ściskając go nogami. Masz na to ochotę?

- Tak.

- Naprawdę?

- Tak.

- Naprawdę? Tak, naprawdę. Och, kochanie...

- Jesteś dobra.

- Tak myślisz?

- Jesteś taka dobra...

- Pogłaszcz mnie jeszcze po głowie - błagała drżącym głosem. - Mam wrażenie... Mam wrażenie, że jestem zupełnie naga w twoich rękach, mam wrażenie...

- Kocham cię - powiedział.

- Och tak! Ja też cię kocham! Jestem twoja, prawda?

- Tak.

- Prawda, że jestem?

- Tak.

Minął tydzień. Tydzień, który właściwie spędzili w objęciach. Z wyjątkiem jednego dnia, jednego jedyne, kiedy Michael pojechał do Wiednia i od razu wrócił. Z Wiednia wysłał wiadomośc-ostrzeżenie do francuskich służb specjalnych. Ostrzeżenie, którym zamierzał zneutralizować niebezpieczeństwo grożące ze strony tych

służb jemu i Marii. „Czy to wystarczy?” - niepokoila się Maria. Ciagle nie orientowała się, na czym właściwie polega sens ostrzeżenia, nie znała sekretu odkrytego przez Michaela: że „Airways” nie istniał. Michael był nieustępliwy w tej kwestii, nie chciał niczego ujawnić, przekazał jej jedynie szczegółowe dyspozycje, aby w razie potrzeby mogła samodzielnie wykorzystać jego atuty. „Wystarczy - zapewniał - nie przejmuj się. Chyba że zwariowali do reszty”. Jedną kopertę zaniosł do ambasady Francji; drugą wysłał ze względów bezpieczeństwa do Armanda de Fayette, starego dyplomaty, przez którego Maria chciała uzyskać czysty i bezpieczny kontakt z DGSE.

- Śpimy? - spytała zaspianym głosem Maria przytulona do Michaela.

- Tak, śpimy.

Milczenie.

- Chce ci się spać? - spytała.

- Nie - odrzekł wpatrując się w promień światła księżycowego na podłodze, obok łóżka.

- To mnie też nie.

- Tobie się chce. Śpij.

- Nie chcę się z tobą rozstawać - powiedziała nieco mocniej go obejmując.

- Chyba nie zdołam się wymknąć - szepnęła.

- Nie, nie masz najmniejszej szansy - odpowiedziała przytulając się jeszcze mocniej.

Czuł jej twarde piersi, jej delikatny oddech na swojej skórze.

- Wszystko dobrze?

- Tak.

- Jesteś pewien?

- Tak. Śpij.

- Obudzisz mnie, jeśli coś będzie nie tak?

- Obudzę.

- Zrobisz to?

- Tak.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- No to śpię...

- Tak, śpij.

- Kocham cię... Kocham cię i zasypiam.

- Śpij, tak. Śpij, śpij.

Trochę później, gdy już zasnęła, zapalił papierosa i patrzył na światło księżycy, które przesunęło się nieco i oświetlało teraz górną część kominka. Powietrze w pokoju było coraz chłodniejsze, lecz jeszcze znośne, zdawało się, że oczyszcza ciemność, działa jak balsam.

Obserwował ciemności nocy, dostrzegł gwiazdę, potem drugą, potem następną. Pomyślał, że może jutro będzie ładna pogoda; marzył o tym, co będą robić jutro, jeśli będzie ładnie. Zastanawiał się, co dobrego przyniesie jutrzejszy dzień, myślał o tych wszystkich chwilach szczęścia, które dopiero przyjdą, przyjdą tylko z tego powodu, że oni będą razem, we dwoje. Za to wszystko dziękował Bogu. Dziękował niebiosom za to, że dały mu Marię. Delikatnie położył rękę na jej głowie, błagał Boga, aby ją chronił, aby nikt nigdy nie wyrządził jej krzywdy. Aby była wieczna.

Nie udawało mu się usnąć. Ostrożnie wstał, ubrał się i zszedł do kuchni. Zjadł trochę sera, chleba, wypił wino. Później usiadł na progu w nocnym chłodzie; wypalił papierosa patrząc na księżyc wędrujący pomiędzy dwiema zalesionymi górami.

Wykorzystał pobyt w Wiedniu, aby zrobić badanie tomograficzne mózgu. Wynik potwierdził słowa Marii: nie było najmniejszego śladu guza. Nie był skazany. A jednak z niewiadomego powodu miał wrażenie, że to niewiele zmieniło, że w rzeczywistości nic się nie zmieniło. Tak jakby śmierć - jego śmierć - nie opuściła go, jakby tylko cofnęła się w głąb niego i równie ohydna czekała na jakąś nową sposobność, aby nim zawładnąć. Chwilami czuł ją, naprawdę czuł, i wtedy zastanawiał się, czy nie postradał zmysłów. „To normalne”, zapewniała go Maria. „Nie może być inaczej. To przejdzie, zobaczysz. Z czasem przejdzie. Pomogę ci. Ze mną nie będzie walczyć. Nie ze mną. Nie ma żadnej szansy”.

Zmarzył, więc wrócił do domu. W końcu położył się spać.

- Gdzie byłeś? - zamruczała Maria w półśnie.
- Nigdzie - powiedział przytulając ją.
- Brakowało mi ciebie - szepnęła i natychmiast zasnęła.

„Saxon chce zniknąć w spokoju.

Odwołanie wszystkich wrogich akcji.

Jeśli nie, wszystko wybuchnie.

Wybuch będzie gorszy niż eksplozja bomby H”.

Taka była treść ostrzeżenia, które Deves wysłał do francuskich służb specjalnych.

Odebrane podczas przerwy obiadowej w piątek, w ambasadzie Francji w Wiedniu, w niecałe dwie godziny później, odpowiednio zakodowane i skompromowane zostało przekazane drogą radiową do Basenu, siedziby DGSE w Paryżu. Tam, wczesnym wieczorem, stało się tematem nagle zwołanego zebrania w biurze nowego dyrektora generalnego, Louisa Attenheimera. Oprócz dyrektora na zebraniu obecni byli: Matthias Delange, jego specjalny doradca; pułkownik Thomas Arias, szef bezpieczeństwa, odpowiedzialny za polowanie na Saxona; pułkownik Richard Wallahard, szef kontrwywiadu - szef, a nie zastępca szefa, ponieważ stan zdrowia jego poprzednika na tym stanowisku, od pewnego już czasu przebywającego w szpitalu Val-de-Grâce, uległ nagłemu pogorszeniu; generał Cyril Fontgarde, szef wywiadu.

Wbrew przewidywaniom Michaela Devesa, jego ostrzeżenie nie dało rezultatu.

- Chce nas otumanić - oświadczył pułkownik Thomas Arias, formułując w ten sposób opinię, która w końcu przeważyła. - Albo chce zyskać na czasie, albo wszystko zagmatwać. Może nawet obie rzeczy naraz. Chce nas oszukać, obezwładnić - po to, aby tym silniej uderzyć. Moim zdaniem możemy bez ryzyka zlekceważyć jego ostrzeżenie, ale nie groźbę, jaką stanowi on sam. Tym bardziej że najwyraźniej stracił rozum. „Wybuch będzie gorszy niż eksplozja bomby H” - przypomniał Arias, ze skonsternowaną miną cytując słowa Devesa. - Tym bardziej że od pewnego czasu wiemy na pewno, że ten rozum nie dla wszystkich jest stracony, jeśli tak można się wyrazić. - Zamilkł na chwilę. - Nie powinniśmy ani trochę zmieniać naszych działań przeciw niemu. Musimy go powstrzymać, nie mamy wyboru.

Matthias Delange, Mnich, starał się podważyć ogólnie zaakceptowane stanowisko; twierdził, że być może to zbyt ryzykowne, że Saxon chyba wie, o czym mówi... Nie odniosło to żadnego skutku. Uzyskał tylko tyle, że w miarę możliwości, jeśli sam Saxon na to pozwoli, najpierw będą próbowali go zatrzymać. Było to jednak tylko ustępstwo czysto formalne, Arias dał mu to do zrozumienia:

- Z jego charakterem, tym, co za sobą ciągnie, i świadomością, że

jest skazany, nie róbmy sobie złudzeń - z tonu Ariasa Delange wywnioskował, że nie zamierzają zmienić postępowania.

Ze wszystkich obecnych pułkownik Thomas Arias najbardziej zdecydowanie popierał decyzję podjętą pod koniec narady. Chciał dobrać się Saxonowi do skóry. Był przekonany, że Saxon stanowi niebezpieczeństwo dla służb specjalnych, ale także dlatego, że była to dla niego sprawa osobista - śmierć Avarone'a musi zostać pomszczona. Arias obawiał się, że z czasem konieczność wymierzenia kary ustąpi pod naciskiem mniej lub bardziej istotnych faktów. Inaczej mówiąc, nie chciał, żeby negocjowano i żeby w końcu Saxon się z tego wywinął. Arias miał poparcie innego uczestnika zebrania, który także żywił powody osobiste, choć nieco inne, aby bezceremonialnie żądać śmierci Saxona. Był nim pułkownik Richard Wallahard, „Golden Voice”.

Wiedział o negocjacjach na moście nad rzeką Brando; jego oficer łącznikowy specjalnie przyjechał z Moskwy, aby go o tym poinformować. „Wolność działania w zamian za wolność mordercy Avarone'a”, powiedział Saxon. Wallahard wątpił, aby Saxon cokolwiek wiedział na jego temat lub dysponował danymi pozwalającymi dotrzeć aż do niego. Ale nie mógł być tego pewny. Całkowita likwidacja Saxona wydawała mu się więc jedynym pewnym wyjściem. Nawet jeśli dokumenty miałyby ujrzeć światło dzienne. To właśnie on, Wallahard, jako szef kontrwywiadu w DGSE będzie jednym z pierwszych, jeśli nie pierwszym, który je przejrzy, a przede wszystkim tym, który z racji swej funkcji zajmie się ich wykorzystaniem! Śmierć Saxona może więc być pożyteczna.

Nie tylko nacisk Ariasa i Wallaharda miał wpływ na stanowisko DGSE wobec ostrzeżenia Saxona. W rzeczywistości dwa powody przesądziły o tym, że je zlekceważono. Pierwszy, zasadniczy i oczywisty, nie był nowy: z wyjątkiem Delange'a szefowie DGSE nie wiedzieli, na czym polega sens ostrzeżenia - tym samym traciło ono całą skuteczność.

Jeśli, pomimo wszystko, mogli kiedyś jeszcze żywić najmniejszą wątpliwość czy obawę, że w całej tej sprawie jest coś, co umknęło ich uwadze, drugi powód całkiem ich od tego uwolnił.

Ten właśnie powód był decydujący. Całkiem nowy, zaledwie sprzed czterdziestu ośmiu godzin, dostarczony przez sprzymierzony kontrwywiad. Potwierdzał w ich mniemaniu, że Saxon - o którym już

z listu Avarone'a wiedzieli, że jest mordercą - zdrowy czy chory jest w dodatku zdrajcą.

Ten drugi powód to seria zdjęć zrobionych niedawno w Nowym Jorku, w Whitney Museum i w Rockefeller Center, na których widać Michaela Devesa w towarzystwie pewnego Rosjanina mieszkającego w USA, niejakiego Witalija Zaliakina. A FBI podejrzewa Zaliakina o to, że jest szefem GRU w Nowym Jorku.

Saxon jest mordercą. I zdrajcą!

Po skończonej naradzie Arias zatrzymał Wallaharda w korytarzu i wzięwszy go na stronę, podziękował za poparcie. Powiedział, jak bardzo się cieszy z tego, że Wallahard jest po jego stronie. Wallahard wyczuł potencjalną korzyść z tego nieoczekiwanego spotkania i za pewnił młodego pułkownika, że może liczyć na jego pomoc.

Arias podzielił się z nim obawą, że Saxon zdoła wynegocjować jakieś rozwiązanie. Wallahard zgodził się, że takie ryzyko istnieje, dodał też, że jeśli sprawa przybierze taki obrót, nie przyniesie to zaszczytu służbom specjalnym, zwłaszcza że mają one dług wdzięczności wobec Avarone'a.

- Prawdę mówiąc - zwierzył się pułkownikowi swoim poważnym, pełnym namaszczenia głosem - uważam za całkiem słuszną pańską wolę zrobienia wszystkiego, co tylko możliwe, aby ukarać mordercę generała. Mogę pana zapewnić, że zrobię, co będzie w mojej mocy, żeby panu w tym pomóc.

Obaj mężczyźni uściskali sobie ręce na pożegnanie. I jeden, i drugi mieli wrażenie, że to coś więcej niż zwykły uścisk dłoni, że to raczej przypieczętowanie zawartego przymierza.

- Aha, jeszcze jedno - rzekł Arias odwracając się nagle, gdy już się rozchodzili.

- Tak? Słucham? - spytał Wallahard.

- Co pan chciał powiedzieć tam, przed chwilą, gdy wspomnieli pan o tym, że Saxon może zwrócić się do kogoś osobiście?

- Zwykle przypuszczenie, nic więcej.

- Zwykle przypuszczenie?

- Tak.

Arias nie mógł w to uwierzyć.

- Myśli pan o kimś konkretnym?



Wallahard patrzył na młodego pułkownika zastanawiając się, jak daleko może się posunąć. Nie zrezygnował z rozpracowania struktury i ludzi skupionych wokół Avarone'a, którzy zmontowali operację „Grom”, jednak obecność okoliczności zmuszały do rozważenia. Arias mógł okazać się pomocny, a on sam pozostałby w cieniu.

- Nie wiem - odpowiedział. - To coś w rodzaju intuicji, nie opieram się na niczym konkretnym. - Przerwał. - Myślę, że w słowach Delange'a może być trochę prawdy: Saxon wie, o czym mówi. - Znowu przerwał. - To, że nie rozumiemy ostrzeżenia, nie znaczy, że niebezpieczeństwo nie istnieje... Rozumie pan?

Arias zastanawiał się przez chwilę, po czym poważnie skinął głową.

- Chce pan powiedzieć, że mógłby u nas być ktoś, kto rozumie, co Saxon chce przekazać? I kto mógłby mu w końcu pomóc, czy o to chodzi?

Wallahard alias „Golden Voice” zachował milczenie; wystarczyło mu, że zasiał ziarenko w umyśle Ariasa.

W ten sam piątek, trzy godziny później, Francis Davlet wkroczył do rozległego salonu w zamku La Tour-du-Lis.

- Przepraszam najmocniej! Staralem się przyjść jak najwcześniej, ale jak wiecie, w Zgromadzeniu dyskutowano nad wnioskiem dotyczącym cenzury i musiałem...

- Nie szkodzi - powiedział witając go generał Roger Frank Kieffer, szef sztabu prezydenta Republiki. - Dopiero przyszliśmy.

Młody deputowany obszedł salon, aby przywitać się ze wszystkimi gestorami „Gromu”: generałem Charlesem De Lorraine, szefem sztabu armii; Robertem Saint-Jean, byłym szefem DGSE; i Matthiasem Delange, Mniczem.

- Jest jakaś szansa, aby ten wniosek przyjęto? - spytał Saint-Jean z uprzejmym uśmiechem, ściskając mu rękę.

- Nie sądzę, raczej nie tym razem - odpowiedział Davlet. Poznał po tonie głosu byłego szefa służb specjalnych, że te parlamentarne dysputy obchodzą go tyle co zeszłoroczny śnieg.

Zrozumiał, że wszyscy tu są w podobnym nastroju; żaden z obecnych nie zadał sobie trudu, aby stworzyć chociaż pozory, że jest inaczej.

Starożytni byli najwyraźniej zaniepokojeni i inaczej niż zwykle nie

starali się tego ukryć. Na Davlecie wywarło to wrażenie. Napięcie emanujące z tych zwykle opanowanych i zimnych mężczyzn było tak silne, że nawet wystrój salonu i meble zdawały się to odczuwać i miały się na baczności.

- Aż tak poważna sprawa? - spytał Davlet podchodząc do kominika i wyciągając ręce, jakby chciał je ogrzać, mimo iż nie były zmarznięte.

- Nawet więcej, panie Davlet - odpowiedział Mnich.
- Saxon? - zapytał znowu Davlet po chwili wahania.
- Tak, Saxon.

- Prawdę mówiąc, panie Davlet, sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, nie może być gorsza - powiedział Saint-Jean, który wziął na siebie trud poinformowania młodego deputowanego o ostrzeżeniu Saxona i decyzji DGSE, aby je zlekceważyć. Możemy odwołać ludzi, których wysłaliśmy w pościg za Saxonem. Myślę nawet, że już to zrobiono - rzekł odwracając się nieco w stronę Mnicha. - Ale nie możemy zatrzymać ekipy łowczych DGSE... Nie możemy, panie Davlet - podkreślił Saint-Jean z irytacją. - Nie możemy, bo przecież nie istniejemy. Bezpieczeństwo „Gromu”, tak jak niektórych z jego „pochodnych”, jeśli można się tak wyrazić, pozna je pan nieco później, zależy od tego imperatywu: my nie istniejemy.

Zapanowała cisza.

- Naprawdę nie macie żadnego sposobu, aby interweniować w DGSE, nawet jakąś okrężną drogą? - spytał skonsternowany Davlet.

Saint-Jean potrząsnął głową.

- Nawet okrężną drogą?  
- Naprawdę nie widzę sposobu - westchnął Saint-Jean.  
- Powinniście dostarczyć im elementów podważających wersję, że Saxon to morderca Avarone'a i zdrajca, i tak dalej...

- Nie dysponujemy takimi elementami.

- Sfabrykujcie je!

- A jak te „elementy” trafią do nich?

- Nie mam pojęcia! To wy powinniście...

- Czas nagli, panie Davlet - wtrącił generał Kieffer z niecierpliwością, której nie mógł opanować. - To zabrałoby za dużo czasu. O wiele za dużo. W dodatku nie ma pewności, czy to, co pan proponuje,

udałoby się. Proszę nie zapominać, że poza wszystkim innym są fotografie - dowody niedawnego kontaktu Saxona z oficerem GRU w Nowym Jorku... Na to nic nie możemy poradzić... Davlet stracił wątek.

- Rzeczywiście - powiedział w końcu.

Saint-Jean obserwował go z miną zamyśloną i poważną, po czym rzekł:

- Aby odwołać rozkaz w DGSE, trzeba to uzasadnić w taki czy inny sposób, a tym samym odkryć się... To niemożliwe...

- A za pośrednictwem prezydenta? - zasugerował Davlet. - Gdyby odwołanie rozkazu przyszło od prezydenta?

- Niewiele to zmieni.

- Nawet gdyby przyszło od prezydenta?! - krzyknął Davlet.

- Tak, nawet wtedy - powiedział stanowczo Mnich. - W każdym razie nic to by nie zmieniło. Nawet gdyby znaleziono rozwiązanie na szczeblu DGSE, bez pomocy czy z pomocą prezydenta, nawet gdyby to wystarczyło, jak moglibyśmy Rosjanom wytłumaczyć odwołanie rozkazu? Na pewno zastanawialiby się nad powodem takiego kroku, panie Davlet. Doprowadziłyby to nieuchronnie do powtórnego rozpatrzenia właściwego celu misji Saxona, do przeanalizowania wszystkiego punkt po punkcie, powtórnego oszacowania całej sprawy, w tym pewności własnych źródeł - a zacząć od Garbo, swego kreta... Skończą zaś zastanawiając się nad rzeczywistym celem tej misji. I to będzie katastrofa.

Młody poseł patrzył na Mnicha z taką miną, jakby szukał jakiejś luki w jego rozumowaniu. Nie znalazł. Generał Charles De Lorraine, dotąd milczący, wykorzystał ten moment i zabrał głos.

- Zaczyna pan powoli rozumieć sytuację, w jakiej się znajdujemy - powiedział przyjaznym tonem. - Nie możemy interweniować, bo taki krok unicestwiłby „Grom”. A ponieważ nie możemy interweniować, „Grom” zostanie unicestwiony. - Dostrzegł skinięcie głową młodego posła. - Nie powinniśmy czynić sobie złudzeń w tej kwestii, brzmienie listu tego typu nie pozostawia najmniejszej wątpliwości: wszystko zrozumiał. Przynajmniej wszystko to, co mógł zrozumieć człowiek taki jak on, a to już za wiele.

Davlet zamyślił się, potem popatrzył na Starożytnych surowym wzrokiem. Miał minę, jakby uważał ich za sprawców tej sytuacji nie do rozwiązania, jakby im to wyrzucał.

Taki był właśnie stan jego ducha, mało brakowało, a byłby to powiedział. Lecz w porę przypomniał sobie, gdzie jest, z kim ma do czynienia, a także fakt, że jest teraz członkiem rady gestorów „Gromu”. Uświadomił sobie nieprzydatność, a nawet śmieszność swojej postawy. Nie mówiąc już o niesprawiedliwości: ci ludzie przeżyli i zdawali sobie sprawę z tego, że to inni zapłacili życiem za służbę dla „Gromu”. Teraz ci ludzie byli gotowi pójść w ich ślady. „Grom” nie jest jedną z tych nędznych intryg kularowych, jakich wiele już Davlet przeżył w Pałacu Burbonów czy gdzie indziej. To jest walka w obronie kraju, ci ludzie biorą w niej udział z poczucia obowiązku, może także z upodobania, ale na pewno nie kieruje nimi osobista ambicja, a jeszcze mniej chęć zysku. Ci ludzie są żołnierzami. Wszystko dobrze rozważywszy, Davlet zaczął nawet szczyć się tym, że jest pośród nich.

Ich kompetencje nie podlegają dyskusji. Ale wróg także jest kompetentny. Na tym właśnie polega trudność tej sprawy. Tej walki.

Młody poseł rozsiadł się wygodniej w fotelu, westchnął i położył ręce na oparciu.

- Zgoda. Więc co zrobimy? - spytał. - Zadekujemy się gdzieś i zatkamy uszy?

Ze wszystkich Starożytnych tylko Saint-Jean obdarzył go uśmiechem. Davlet nie spodziewał się czegoś więcej. Znowu zabrał głos.

- Koniec końców, problem jest całkiem prosty - powiedział tonem zaprzeczającym własnym słowom. - Jeśli nie możecie... Jeśli nie możemy - poprawił się - interweniować w DGSE, a rzeczywiście nie możemy, nie pozostaje nam nic innego jak spróbować interwencji u samego Saxona. Pytanie: jak? Odpowiedź: przesyłając mu wiadomość. - Przerwał na chwilę. - Pytanie: jak? I przez kogo? I dokąd? Gdzie on jest?

Obserwował Starożytnych, aby upewnić się, czy są świadomi tego, czego coraz bardziej się obawiał.

- Co za bagno - powiedział cicho, z przygnębieniem i jednocześnie podziwem. - Co za bagno...

- Jaki rodzaj wiadomości? - spytał Mnich.

- Słucham?

- Co może skłonić go do pojawienia się? - mówił dalej Mnich myśląc głośno. - Dlaczego miałby nam zaufać? I jak przekazać mu wiadomość nie odkrywając się?

Davlet obserwował go, po chwili zrobił minę, która miała dać do zrozumienia, że rezygnuje ze swego pomysłu. Zapanowało milczenie.

- Pułapka jest prawie doskonała - zauważył generał De Lorraine po chwili. - Wszystko wskazuje na to, że powinniśmy nawiązać kontakt z Saxonem. Wszyscy tego chcemy, zarówno on, jak i my. Z różnych powodów, naturalnie, ale chcemy! I wydaje się, że wszystko się sprzysięgło - nie, nie wydaje się, rzeczywiście wszystko się sprzysięgło, żeby uniemożliwić ten kontakt. On nie wie, kim jesteśmy. Czy w ogóle wie o naszym istnieniu? My nie wiemy, gdzie on jest i jak go znaleźć nie ujawniając się - westchnął. - Jak możemy z tego wyjść?

Ostatnie słowa szefa sztabu armii jakoś dziwnie zabrzmiały w zamkowym salonie, nie jak pytanie, raczej jak zaproszenie do modlitwy. Zapadła więc cisza, Starożytni oddawali się wspólnie kontemplacji.

Młody poseł patrzył na nich z wahaniem, po czym powiedział:

- Czy takie właśnie pytanie powinniśmy sobie postawić? Czy to znaczy, że po to zebraliśmy się tutaj dziś?

Saint-Jean współczująco się do niego uśmiechnął.

- W każdym razie możemy spróbować.

Davlet cicho zagwizdał.

- Tak więc nie posunęliśmy się naprzód ani o krok - powiedział, po czym wstał, podszedł do stolika, na którym stała taca ze szklankami, butelkami alkoholu i dwoma stosami kanapek. Nalał sobie whisky, zaproponował też Starożytnym, lecz odmówili, wziął kanapkę. - Jeśli się mylę, proszę mnie poprawić. Sprawa wygląda mniej więcej tak: wiemy, że nic nie możemy zrobić, niemniej jednak staramy się znaleźć coś, co moglibyśmy zrobić. Czy tak?

- Mniej więcej tak - zgodził się Saint-Jean.

- No to nasze zdrowie, panowie! - powiedział Davlet unosząc szklankę do ust.

- Powinniśmy już pomyśleć o tym, co możemy zrobić, aby ograniczyć straty i ochronić, co się da - zasugerował niechętnie generał De Lorraine.

- Czy to nie przedwcześnie? - zaniepokoił się Saint-Jean.

- Co ochronić, Charles? - spytał generał Kieffer. - Straty będą niepowetowane, dobrze wiesz. Wszystko na to wskazuje. To tylko

kwestia czasu, Charles, brakuje nam czasu! Z pewnością moglibyśmy zareagować, ale na to potrzebujemy czasu. Czasu!

- Zgadza się - przyznał generał De Lorraine.
- I mamy też coś lepszego do roboty w nadchodzących dniach
- dodał Mnich obojętnym głosem.

Młody poseł, żując kęs kanapki, zaintrygowany odwrócił się w stronę Matthiasa Delange. Zauważył, że większość Starożytnych zrobiła to samo i przestał jeść.

- To znaczy? - spytał Saint-Jean marszcząc brwi.

- Nic nadzwyczajnego - rzekł Delange, jakby świadom wrażenia, jakie wywarły jego słowa, chciał je teraz złagodzić i nie odbierać rozmówcom resztek złudzeń. - Sądzę po prostu, że jeszcze nie doprowadziliśmy do końca rozważań na temat Saxona... Zwłaszcza że zadaję sobie pytanie, na które warto by było odpowiedzieć. Brzmi ono tak: co on robi, kiedy stwierdzi, że jego ostrzeżenie okazało się nieskuteczne?

Dobre pytanie, przyznał w duchu młody poseł z odrobiną podziwu. Słuchał Mnicha z rosnącym zainteresowaniem.

- Czy wykona swą groźbę? - mówił dalej Delange. - Wysadzi wszystko w powietrze, jak twierdzi?

Krótkie milczenie.

- To jest naturalna kolej rzeczy, czy nie? - spytał Saint-Jean.

- Niekoniecznie. Jeśli wszystko zniszczy, zniszczy także swoje zabezpieczenie... szansę przeżycia, i wie o tym.

- Chyba że nie ma na nie ochoty - zauważył generał De Lorraine.

- I chce zemścić się za to, co mu zrobiono. Bez względu na to, co się stanie. Bez względu na to, co my zrobimy.

- To nielogiczne.

- Dlaczego? Skąd wiemy, że on działa w sposób logiczny? Skąd możemy wiedzieć, czy nie próbuje po prostu zyskać na czasie? Może mylimy się na całej linii, może chce, żebyśmy zapłacili za to, co mu zrobiono? Nie wiemy przecież, czy się nie załamał?

- Wszystko co zrobił, wszystko co robi teraz, dowodzi czegoś wręcz przeciwnego. Nie załamał się. Zachował trzeźwość umysłu. Postępuje bardzo inteligentnie, świadczy o tym jego list. Dlaczego mówi: „wszystkie wrogie akcje”. Chyba tylko dlatego, że rozumiał, iż mogą mieć różne źródła... Dlaczego jest wykrętny i nieprecyzyjny w kwestii tego, co może „wysadzić w powietrze”, jak to określa?

Chyba tylko dlatego, aby nie narazić na szwank skuteczności swojego ostrzeżenia... Bo zrozumiał, że jeśli powie za dużo, jeśli będzie zbyt precyzyjny, może wszystko zawalić. A wiecie dlaczego?

Mnich zrobił krótką przerwę.

- Charles - mówił dalej zwracając się do generała De Lorraine - pytał pan przed chwilą: „czy on aby nie wie, że istniejemy?” No więc panu odpowiem: nie wie, że istniejemy, i dlatego nie wie, kim jesteśmy... ale przypuszcza, że istniejemy.

Milczenie.

- Możliwe, Matthias, bardzo możliwe - zgodził się generał De Lorraine z natężeniem wpatrując się w Mnicha. - A jeśli postradał zmysły, dlaczego grozi, że „wszystko wysadzi w powietrze”, dlaczego tego po prostu nie robi? - Przerwał, zaniepokojony. - Jest pan pewien, że pan go nie przecenia?

Mnich milczał chwilę, wreszcie odpowiedział:

- Nie sądzę, nie. Prawdę mówiąc, wcale tak nie myślę... W każdym razie jest jeszcze jeden powód, dla którego według mnie on nie działa tak, jak się obawialiście.

- Boi się - wtrącił Saint-Jean odgadując myśli Mnicha.

- Tak. Nie tylko o niego tu chodzi, nie zapominajcie, że jest jeszcze ta dziewczyna. To, co robi, robi dla niej. Także w Moskwie, to chyba oczywiste, prawda?

- Tak - zgodził się Saint-Jean dając wyraz ogólnej opinii. - Mimo to, Matthias, nie widzę żadnego wyjścia. Problem pozostaje. Jesteśmy zaklinowani.

Mnich zachował milczenie, najwyraźniej nie znalazł odpowiedzi.

- Może jednak nie.

Spojrzenia Starożytnych skupiły się na młodym pośle.

- Może nie jesteśmy tak bardzo zaklinowani, jak się zdaje - rzekł Davlet niewzruszony. Pozbył się szklanki i resztki kanapki, tak jakby chciał mieć wolne ręce, aby się lepiej skupić. - Jesteśmy o dwa kroki od katastrofy, to prawda, i nie możemy nic zrobić, możemy tylko czekać, aż nadejdzie... To znaczy, można tak rozumować. Ale można też rozumować inaczej. To nam pozwoli działać, być w gotowości.

Chwila niepewności.

- Cóż więc zrobimy, panie Davlet? - spytał Saint-Jean.

- Stawiamy na niego.

- Na Saxona?

- Tak! Na jego inteligencję, jego zimną krew - rzekł Davlet, coraz bardziej zapalając się do swego pomysłu. - Zrozumcie: nie możemy działać, to jasne. Ale możemy zareagować, jeśli on przejmie inicjatywę... jeśli on zacznie działać! To nasza jedyna szansa, aby nawiązać kontakt. Słaba szansa... Z kim innym, powiedziałbym, że prawie żadna. Ale nie z nim... Może nie...

Saint-Jean, lekko zakłopotany, odwrócił się w stronę Mnicha i zobaczył żywe zainteresowanie na jego twarzy.

- Nie po tym, co pan o nim powiedział - podjął Davlet patrząc na Delange'a. - Zrozumiał wszystko albo prawie wszystko, wiemy o tym. Nie tylko jest inteligentny, ale jest szalony; wie, że może uratować swoją skórę tylko wtedy, gdy groźbę wprowadzi w czyn. Wie, że to poważna groźba, że stawka jest zbyt duża, aby tę groźbę zlekceważono. A jednak - jednak! - wbrew wszelkiej logice jego groźba została zlekceważona!... - Davlet rozłożył ręce, uśmiechnął się lekko. - Zacznie zastanawiać się dlaczego.

Rozległ się głos Mnicha:

- I zrozumie, że pomylił drzwi.

- Tak - odpowiedział Davlet.

- Poszuka więc innych.

- Tak - przytaknął znowu Davlet. - Tak sędzę, tak.

Mnich omiół spojrzeniem młodego posła, po czym przytaknął w milczeniu.

- Nasz diabelski interes, aby trafił na dobre drzwi.

- Więcej - rzekł Davlet. - Powinniśmy być za tymi drzwiami, gdy w nie zapuka... Tylko my powinniśmy tam być.

Gestoram „Gromu” brakowało czasu.

W dodatku zabrakło im także szczęścia. Tak jakby w istocie, zgodnie ze słowami generała De Lorraine, wszystko sprzyściło się przeciw nim i ich przedsięwzięciu.

Trzy dni potem stary dyplomata Armand de Fayette otrzymał przesyłkę, którą Michael Deves wysłał do niego z Wiednia. Były w niej dwie zapieczętowane koperty. W liście zaadresowanym do niego Maria d'Elancourt prosiła, aby natychmiast przekazał drugą kopertę,



na której widniały tylko słowa „Od Saxona”, znajomym pracownikom DGSE.

„To kwestia życia lub śmierci”, pisała Maria.

Fayette starał się porozumieć ze swym dawnym przyjacielem Mathiasem Delange, nie udało mu się to jednak, postanowił więc zostawić dla niego wiadomość.

- Niech do mnie zatelefonuje - powiedział oficerowi dyżurnemu. - Mam dla niego przesyłkę od Saxona - dodał sądząc, że dobrze robi.

Wzmianka o Saxonie wywarła odpowiedni efekt. Dalej wydarzenia potoczyły się jak lawina.

Zaledwie pięć minut później pułkownik Thomas Arias dowiedział się o telefonie de Fayette'a. W następnej godzinie udał się w eskorcie dwóch umundurowanych podoficerów, wybranych właśnie dlatego, że byli w mundurach, do mieszkania starego dyplomaty. De Fayette był nieco zaskoczony, nawet zaniepokojony tym, że nie zwrócił się do niego osobiście jego przyjaciel Delange, lecz widok mundurów oraz pewność siebie i spryt Ariasa rozproszyły jego obawy.

Zawartość przesyłki nie zrobiła na Ariasie wrażenia, bo była to jedynie kopia tekstu ostrzeżenia Saxona, które nadeszło już do DGSE za pośrednictwem ambasady Francji w Wiedniu. Faktem bardziej interesującym, wręcz najważniejszej wagi, było natomiast odkrycie Marii d'Elancourt. Arias nie wątpił ani przez chwilę, że to właśnie ta kobieta, która od samego początku pomagała Saxonowi.

Błyskawiczne śledztwo w departamencie kultury MSZ potwierdziło podejrzenia: Maria d'Elancourt odbyła kilka podróży po Związku Sowieckim w czasie ściśle odpowiadającym machinacjom Saxona na terytorium sowieckim. Teraz ma bezterminowy urlop. Z departamentu bezpieczeństwa MSZ wypożyczono fotografię tej młodej kobiety sprzed sześciu lat. Zebrano wszystkie możliwe informacje na jej temat. W ten sposób wyszło na jaw, że z całej rodziny pozostała jej jedynie matka, która mieszka w Normandii.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem trzy osoby z ekipy pości-gowej Ariasa udały się w drogę do Normandii. Ich zadaniem nie było zobaczenie się z matką Marii; mieli tylko dyskretnie ją śledzić i oczywiście podsłuchiwać.

Zaraz po ich wyjeździe młody pułkownik wziął do ręki słuchawkę telefoniczną i wykręcił numer sieci wewnętrznej.

- Możemy się spotkać? - spytał.  
- Oczywiście. Coś nowego?  
- Możliwe, że miał pan rację. Być może miał na myśli kogoś konkretnego.

- Delange... - powtarzał cicho Wallahard, jakby nie mógł pogodzić się z tą myślą.

- Tak.

- To... nie do uwierzenia - Wallahard opanował się. - Jaki wniosek pan z tego wyciąga?

Arias westchnął wyraźnie niezdecydowany.

- Matthias Delange jest poza wszelkimi podejrzeniami - rzekł. - Mam na myśli jego lojalność...

Wallahard zrozumiał, że młody pułkownik milcząc domaga się, aby wyraził swą opinię, a ściślej mówiąc potwierdził jego słowa. Nie chciał rozczarować go w tej kwestii, więc wydymając wargi dał do zrozumienia, że podziela jego zdanie. Arias wydawał się usatysfakcjonowany.

- Zwłaszcza że z całą pewnością jego bezpośredni, osobisty udział w tej sprawie jest wynikiem przypadku - dodał. - Tylko przypadek wyjaśnia kontakt tej dziewczyny z Delange'em: po prostu stary Fayette zna ich oboje. I nic więcej.

- On panu to powiedział - zauważył Wallahard.

- Nie kłamie - odrzekł Arias. - To czysty przypadek.

- Zgoda.

Milczenie.

- Zgoda - powtórzył Wallahard. - Skontaktował ich ze sobą. I co dalej?

- Nie wie nic więcej. Tylko ich skontaktował, nic więcej... Fayette jest całkowicie niewinny.

Arias zamilkł i patrzył na Wallaharda, jakby chciał się upewnić, że on także nie wyobraża sobie wręcz czegoś przeciwnego.

- Fakt jest faktem: kontakt miał miejsce, a Delange nic o tym nie powiedział... Przynajmniej nie mnie...

- Mnie także nie - rzekł Wallahard, który intensywnie myślał o tym, co ta sytuacja może oznaczać dla niego. Zmarszczył brwi. - Co nie znaczy, że zachował tę wiadomość dla siebie.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Wallahard zawahał się. Sam nie wiedział, co chciał powiedzieć, nie wiedział nawet, co myśleć.

Czyżby Delange był dopuszczony do tajemnicy „Gromu”?

Otrząsnął się. Później o tym pomyśli, a także o tym, co trzeba zrobić, aby wyświetlić tę kwestię. Żeby tylko można było cokolwiek zrobić. Ponieważ jednak Mnich jest kimś o wiele bardziej groźnym i niebezpiecznym niż Avarone, nie miał najmniejszej ochoty porywać się na niego. W każdym razie nie osobiście. Ani bezpośrednio, ani w sposób okrężny.

- Richard, co pan ma na myśli? - zaniepokoił się Arias.

- Nie wiem... Nic szczególnego, wyjaśnienie tkwi może w tym, o czym wspominał pan ostatnio: w porozumieniu wynegocjowanym z Saxonem.

- Delange? - spytał Arias.

- Może nie jest sam.

Milczenie.

- To cywil - zaznaczył Wallahard, jakby miało to wiele wyjaśnić. - Ten Delange. Mnich...

Młody pułkownik siedział bez ruchu, tylko twarz mu pociemniała.

- Tak, to cywil - potwierdził Wallahard. - A Avarone był tylko żołnierzem - dodał cierpkim tonem. - Żołnierzy można poświęcać... ale nie cywilów.

Arias zastanawiał się chwilę nad tą uwagą, po czym rzekł:

- Co możemy zrobić?

Wallahard obserwował go, zastanawiał się, czy może mu zaufać.

- Czy nie zmienił pan decyzji?

- Chcę głowy Saxona - odpowiedział Arias bez wahania.

- Jestem z panem. Jest jeden sposób na to, aby uniknąć zablokowania pościgu rozkazem... z góry - powiedział Wallahard, wymawiając ostatnie słowa z miną pełną pogardy. - Trzeba zorganizować drugi pościg.

- To znaczy?

- Wbić nóż.

Młody pułkownik nawet nie drgnął, siedział całkiem nieruchomo, wydawało się, że sam czeka na jakąś reakcję ze swej strony.

- Ma pan rację - rzekł w końcu.

- Mario, niech pani z nim zerwie! On kłamie! Jest zupełnie kimś innym niż mówi, to morderca... i zdrajca!

Strach zniekształcał twarz Armanda de Fayette. Maria zaprotestowała.

- Armand! Co pan opowiada?

- Prawdę! Mają dowody, sam widziałem!

- Kto? - krzyknęła Maria stłumionym głosem. - O czym pan mówi?

- Fotografię z FBI, z Nowego Jorku! On jest w kontakcie z sowieckim agentem. Widziałem!

Przeżona Maria odwróciła się w stronę Michaela stojącego obok niej ze słuchawką przy uchu. Zobaczyła, że zbladł. Wyczytała z jego warg: „List”. Zrozumiała.

- Armand, czy przekazał pan list, który do pana wysłałam?

- To niepotrzebne, mówię pani, że...

- Armand, proszę mi odpowiedzieć! - nalegała.

- Tak!

- Przekazał pan list?

- Tak!

- Niemożliwe! - wybełkotała z przestraczem.

- Oczywiście, że przekazałem! Mario? Mario, proszę mnie posłuchać. Ludzie z DGSE chcą go dostać w swoje ręce i zrobią wszystko, aby dopiąć swego. Moja droga, bardzo proszę, niech pani z nim zerwie. Niech pani ucieka, póki jeszcze czas!

- Odlóż słuchawkę - powiedział Michael odkładając swoją. - Szybko! - Wstał i odszedł.

- Halo? Halo? Mario...?

- Armandzie, jeszcze do pana zadzwonię - rzekła Maria z bijącym sercem, po czym odłożyła słuchawkę.

Znieruchomiała, patrząc na stojący na stoliczku telefon. Osaczała ją muzyka i zgiełk rozmów. Siedzieli w herbaciarni w Montreux, luksusowej i przytulnej, której ogromne okna tarasowe wychodziły na wody Jeziora Genewskiego. Była godzina czwarta z minutami po południu.

Postanowiła pójść za Michaeliem, wstała. Czowała, że nogi się pod nią uginają; idąc po wykładzinie miała wrażenie, że stąpa po materacu. Weszła do głównej sali, gdzie tylko kilka stolików było zajętych, przeważnie przez stałe bywalczyńnię, starsze damy obwieszone biżuterią, umalowane jak lalki. Maria odnalazła Michaela w kącie, nieco na uboczu, i z ulgą zapadła się w głęboki fotel naprzeciw niego.

Przez dłuższą chwilę siedzieli patrząc na siebie bez słowa.

Słychać było wesołe rozmowy, brzęk łyżeczek, a pośród tego wszystkiego głos Leny Horne śpiewającej: „Love me a little little”, zupełnie jak w beztroskich czasach przed wojną. Atmosfera sali sprawiała, że można było stracić poczucie rzeczywistości.

Nie było już miejsca na najmniejszą wątpliwość: katastrofa, której tak się obawiali, w końcu nastąpiła!

Tak naprawdę już od wczoraj mieli prawie pewność, że to się stanie.

Michael użył podstępny. Zadzwonił do znajomego radcy ambasady francuskiej w Bernie, dyplomaty, którego związki z DGSE były tajemnicą poliszynela, i wyznaczył mu spotkanie w oberży nieopodal szwajcarskiej stolicy. Będą rozmawiać, jak mu oznajmił, o wstępnych krokach tajnych negocjacji, coraz bardziej bowiem jest przekonany, że pertraktacje powinny odbywać się odtąd pod auspicjami Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Liczba, wygląd i bagaże klientów zjeżdżających do oberży na wiele godzin przed spotkaniem nie pozostały Michaelowi żadnym złudzeń co do losu, jaki by go czekał, gdyby się tam pojawił.

On i Maria - zwłaszcza Maria - mieli jeszcze wtedy nadzieję, że reakcja ludzi z DGSE tłumaczy się spóźnieniem czy też jakimś

niedociągnięciem poczty. Jednak telefon do starego Fayette'a zmusił ich do spojrzenia prawdzie w oczy: Ostrzeżenie Saxona dotarło naturalnie do francuskich służb specjalnych... ale nic to nie zmieniło!

Michael i Maria ciągle siedzieli w milczeniu. Głos Leny Horne znowu wypełnił salon herbaciarni, tym razem śpiewała „Stormy weather”, i zaczęło to irytować Marię.

Zawahała się.

- Michael?

- Co?

- Jak to: co? - zaprotestowała cicho.

Skarcił ją spojrzeniem. Wielkim wysiłkiem opanowała się, a kiedy uznała, że może mówić bez obawy, spytała:

- To ostrzeżenie, ta groźba, którą do nich skierowałeś... Co to właściwie jest? - Nie odpowiedział. - Ciągłe nie chcesz mi tego powiedzieć? - Zaprzeczył ruchem głowy. - Dlaczego?

- Powiedziałem ci, dlaczego.

- To śmieszne.

- Nie.

- Tak, to śmieszne, zwłaszcza teraz! Proszę, powiedz mi, co to jest. Może będę w stanie pomóc ci zrozumieć, co się dzieje, może sama to wreszcie zrozumiesz. Nie sądzisz? Nie sądzisz, że mam prawo rozumieć?

Obruszył się. Doszła do wniosku, że nie zmusi go do zmiany zdania, poczuła się urażona. Spojrzenie jej powędrowało przez oszklone drzwi tarasowe w stronę ciemniejącego jeziora. Blask słońca na brzegu już zniknął.

- Jeśli się orientuję - rzekła z goryczą i wyrzutem w głosie - ta groźba jest wystarczająca... w zupełności wystarczająca.

- Tak, jest.

- To jakieś szaleństwo...

- Jest wystarczająca - upierał się Michael.

- Jak więc wytłumaczysz to, co się dzieje?

- Nie mam pojęcia.

- Nie masz pojęcia? Świetnie!

Popatrzył na nią surowo, odwróciła się więc zirytowana, usiłując wzbudzić w sobie złość, przeczuwała bowiem, że inaczej zacznie się panicznie bać.

Michael zaczął wyjaśniać. Według niego to, co nastąpiło, jest tylko

potwierdzeniem faktu, że za narodzinami Saxona coś się kryje - ludzie czy może struktura - coś odrębnego od DGSE. Coś w rodzaju służby specjalnej w łonie samych służb specjalnych. Od dawna już to podejrzewał, właściwie już od Aprelewskiej, kiedy zdał sobie sprawę, że francuscy mordercy otrzymują rozkazy co do jego osoby. Podejrzewał, owszem, ale wtedy przypuszczał, że obie te struktury są ze sobą powiązane.

- Prawdopodobnie tak jednak nie jest - podsumował, nie kryjąc zaniepokojenia.

Zobaczył, że Maria obserwuje go z uwagą. Spytała:

- To jest możliwe? Wzruszył ramionami.

- Trzeba w to wierzyć.

- Ale w to trudno uwierzyć, prawda? - spytała zamyślona.

Przez chwilę milczeli.

- Michael, jesteś pewien tego, co mówisz? - odezwała się nagle. - A propos tej groźby pod ich adresem, czy to takie poważne? Nie mogą postąpić inaczej? Muszą to wziąć pod uwagę?

- Muszą.

- Nawet ta historia ze zdjęciami z Nowego Jorku nie może...

- Nie - zapewnił Michael.

Maria zawahała się, po czym rzekła:

- Jest więc inne wyjaśnienie. Dostali twój list, Michael. Rzeczywiście dostali. Ale jeżeli prawdą jest to, co mówisz, jeśli za plecami Saxona stoi jakaś arcytajna struktura, nie mogą potwierdzić odbioru...

Nie mogą się ujawnić! - mówiła pełna nadziei, nachylając się ku niemu, ścisząc głos. - To rzecz nie do uwierzenia, żeby obie struktury nie były połączone. Sam przecież powiedziałeś, że groźba, jaką im machasz przed nosem, jest zbyt poważna, aby mogli ją zlekceważyć. Nie może być inaczej! To jedyne wytłumaczenie!

Możliwe, pomyślał Michael, starając się jak najszybciej przemyśleć jeszcze raz wszystko co się wydarzyło.

Ma rację, stwierdził w duchu. Ma rację! Tym bardziej że gdy po raz pierwszy starała się nawiązać kontakt z DGSE za pośrednictwem starego Fayette'a, skończyło się to epizodem na Placu Czerwonym, z mordercami francuskimi, tymi z Leningradu i z Aprelewskiej czatującymi wokół Marii! Michael nawet doszedł do wniosku, że stary dyplomata będzie właśnie dobrym kanałem przekazania ostrzeżenia.

Jednak telefon przed chwilą rozwiął nadzieję. Jedyny wniosek, jaki można wyciągnąć z całej sprawy, to, że struktura, która stworzyła Saxona, miała jakiś związek z DGSE.

- Michael? Więc co o tym sądzisz?

- Owszem, to rzecz możliwa - zgodził się.

Ale to i tak niczego nie zmienia, pomyślał natychmiast, choć nie miał serca powiedzieć tego głośno.

Widział, jak twarz Marii powoli chmurzy się, zrozumiał, że doszła do tego samego wniosku. Obserwowała go przez chwilę, przygryzła wargę, po chwili spojrzenie jej skierowało się w stronę jeziora.

- Nigdy z tego nie wybrniemy - powiedziała cicho.

Michael chciał coś powiedzieć, ale nic mu nie przyszło do głowy.

Nawet jeśli wyjaśnienie Marii było prawdziwe, a najprawdopodobniej było, okazało się całkiem nieprzydatne. Nie mogło w niczym pomóc. Nic nie zmieniało faktu, że ostrzeżenie Saxona pozostało bez odpowiedzi!

Michael nie mógł nic zrobić. Nie wiedział przecież, kim są ludzie, którzy stworzyli Saxona. Nie wiedział, jak do nich dotrzeć.

Gdyby wiedział, mógłby więcej zrozumieć, a tym samym skuteczniej działać! Ale nie wiedział!

Kim byli „ojcowie” Saxona?

Było już prawie ciemno, gdy wyjeżdżali z Montreux.

Najpierw pojechali do Lozanny, gdzie Michael zdobył bez trudności - pozwolenie na broń było częścią jego fałszywych szwajcarskich papierów - pistolet beretta 92, piętnastozłowy, z dwoma zapasowymi magazynkami i wieloma pudełkami nabożów. Później, nie zwlekając już dłużej, powrócili do Heilig. Oboje chcieli się tam znaleźć jak najszybciej. Miejscowość leżąca pośród gór wydawała im się najlepszym schronieniem. Tak czy owak, dokąd mieli pojechać? Musieli mieć poczucie bezpieczeństwa. Żeby się pozbierać. Przemyśleć wszystko w spokoju.

Następnego dnia nastąpiło coś, co uprzytomniło Michaelowi, że nigdzie nie są bezpieczni, w Heilig być może także nie. Było to coś nieoczekiwanego... przerażającego.

Zdarzenie to udowodniło Michaelowi nie tylko to, że jego ostrzeżenie jest nieskuteczne, lecz że osiągnęło skutek przeciwny do



oczekiwanego, sprowokowało polowanie, którego celem są on i Maria. Zaciśnięto jeszcze mocniej obręcz zacieśniającą się wokół nich. Był tym przygnębiony i czuł się winny.

Tego dnia, gdy wrócił do domku z zakupów w sąsiednim ośrodku sportów zimowych, Maria bez trudu odgadła po jego minie, że coś się wydarzyło.

- Coś się stało? - zaniepokoiła się. - Michael, odpowiedz, czy coś się stało?

Nie zrozumiała od razu, gdy gestem pokazał jej coś leżącego pomiędzy zakupami na stole w kuchni. Po chwili dopiero zauważyła tygodniki i dzienniki. Aż krzyknęła.

Zdjęcie - jej zdjęcie! - znajdowało się na dole pierwszej strony lozańskiego dziennika „24 Heures”. I ten tytuł: „Arystokratka, dyplomata... i terrorystka!”

Krótką wzmianka odsyłała do artykułu wewnątrz gazety.

Maria podeszła do stołu i wzięła dziennik do ręki.

Artykuł był przedrukiem z „Bild Zeitung”, niemieckiego dziennika o największym nakładzie. Zawierał mieszaninę faktów prawdziwych, dotyczących przede wszystkim zawodowej kariery Marii, i faktów zniekształconych, insynuacji, nawet kłamstw, najzwyczajniejszych kłamstw. Wszystko opierało się na źródłach „pewnych”, „godnych zaufania”, ale „pragnących zachować anonimowość”, a także na informacjach lub przeciekach pochodzących ze „szluzów zachodnich” - nie sprecyzowano jednak jakich.

Przedstawiono Marię jako niebezpieczną terrorystkę, aktualnie ukrywającą się. Informowano o jej kolejnych pobytach w Bagdadzie i w Damaszku, o jej kontaktach z palestyńskimi organizacjami terrorystycznymi różnego autoramentu, a także o możliwych związkach z „Fatah-Komando rewolucyjnym”, ugrupowaniem groźnego Abu Nidala. Podejrzewano ją o udział w wielu zamachach w Europie, między innymi w tym, który przed sześcioma miesiącami kosztował życie największego bankiera niemieckiego, oraz w całkiem niedawnym incydencie, który pociągnął za sobą czterech zabitych i piętnastu rannych w le Printemps, wielkim paryskim domu towarowym. Wielu świadków sygnalizowało obecność w pobliżu miejsca zamachu młodej blondynki odpowiadającej rysopisowi „arystokratki-terrorystki”. Co się tyczy tego ostatniego zamachu, uważano, że został zorganizowany po to, aby „ukarać” rząd francuski za niedotrzymanie obietnic

złożonych podczas tajnych negocjacji, które miały doprowadzić do uwolnienia francuskich zakładników w Libanie. Nie podpisany artykuł kończył się uwagą, że francuskie MSZ nie chciało skomentować tej sprawy, lecz niemiecki wymiar sprawiedliwości niebawem wyda międzynarodowy nakaz aresztowania tej młodej kobiety.

- Dlaczego to zrobili? - spytała cicho, gdy skończyła czytać.

Ciągle stojąc złożyła gazetę i odłożyła na stół. Przez chwilę patrzyła jeszcze na swoje zdjęcie z pierwszej strony, po czym spojrzała na Devesa.

- Bardzo mi przykro, Mario.

- Przykro ci?

- Tak.

Lekko potrząsnęła głową. Wyglądała na bardzo przygnębioną, nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Powtórzyła:

- Dlaczego to zrobili?

- Żeby zwiększyć swe szanse. Wiedzą przecież, że jeśli odnajdą ciebie, to przy okazji trafią na mnie. Posługują się tobą, żeby dotrzeć do mnie.

- Nonsens!

- Zwiększają presję na jedno z nas dwojga, bo tylko to mogą zrobić.

- Nonsens!

- Tak - rzekł Michael. Nie był w stanie powiedzieć nic więcej. Przyszła mu do głowy pewna myśl, która go zupełnie zbiła z tropu. - Masz rację, to nonsens. Może nas to doprowadzić do życia w ukryciu... To nie ma sensu.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo przecież dobrze wiedzą, że tak właśnie postąpimy... To zupełnie bezsensowne z ich strony!

Milczenie.

Maria uporczywie wpatrywała się w niego. Zrobiła krok do przodu, dwiema rękami oparła się o stół i pogrążyła się w szczegółowej analizie swego zdjęcia z pierwszej strony lozańskiego dziennika.

- Tak, muszą wiedzieć, że to właśnie zrobimy - powiedziała. W końcu podniosła głowę. - Ale przecież brak sensu też ma jakiś sens. Michael! Ktoś przekazuje ci wiadomość! Sugerują nam, abyśmy się ukryli! - krzyknęła w nagłym uniesieniu. - Chcą powiedzieć, że otrzymali twoje ostrzeżenie, że potrzebują tylko czasu!

Michael patrzył na nią zaskoczony.

- To jest wiadomość! - upierała się.

Nagle zamilkła i znowu wpatrywała się w gazetę leżącą na stole. Po chwili wydała zdławiony krzyk.

- I podpisali się! - Szybkim ruchem chwyciła gazetę i podała ją Michaelowi. - Zdjęcie! Popatrz, to niedawne zdjęcie! Zrobione było w Moskwie, jestem pewna! Na Placu Czerwonym!

- Genewa.

- Co? - spytała Maria podnosząc nos znad gazety.

Już chyba po raz dziesiąty czytała artykuł w „24 Heures”. Zaczynał zapadać zmierzch.

- Dlaczego mówisz o Genewie?

- Nie wiem...

Maria odłożyła gazetę i popatrzyła pytająco na Michaela, niezbyt skłonna zadowolnić się taką odpowiedzią.

- Wszystko zaczęło się w Genewie - rzekł Michael.

- Tak... i co?

- I nic. To wszystko.

- Dlaczego teraz ci to przyszło do głowy?

- Co?

- Genewa!

Deves wzruszył ramionami.

- Nie wiem, mówię, że nie wiem.

Maria przyglądała mu się przez chwilę. Nie nalegała, ponownie zagłębiła się w lekturze.

Już od prawie czterech godzin analizowali tę kwestię na wszystkie strony. I ciągle nie znajdowali rozwiązania. Po prostu dlatego, że jedyne możliwe wyjście to znaleźć sposób na dotarcie do „ojców” Saxona, a to właśnie było nie do zrobienia. Może Maria miała rację, „ojcowie” Saxona rzeczywiście - poprzez ten artykuł - nadali dla niej wiadomość, choć nie był tego tak pewien jak Maria. Zresztą to i tak niczego nie zmieniało. Ciągle czyhało na nich niebezpieczeństwo, bardziej niż kiedykolwiek śmiertelne. „Ludzie z DGSE chcą go dostać w swoje ręce i zrobią wszystko, żeby dopiąć swego!” A co zrobią z nią? Maria zawzięła się, aby odnaleźć w artykule jakiś szczegół, znak, cokolwiek, co mogłoby im pomóc wydostać się z tego ślepego zaułka,

co pozwoliłoby znaleźć jakąś drogę dotarcia do „ojców” Saxona. Była przekonana, że chodzi tu o przekazanie wiadomości; wiedziała, że w tej wiadomości jest wskazówka dla nich, ukryta gdzieś między wierszami. Jednak nie znalazła niczego takiego, Michael także nie. I niczego nie znajdują ani w artykule, ani gdzie indziej. Michael był tego pewien. Misja Saxona została przygotowana w największej tajemnicy. Nie powinna zostawić najmniejszego śladu. Wszystko miało zniknąć... Nawet Saxon. Nawet on... Jedynym łącznikiem między inicjatorami misji a nim był Avarone, a on już nie żył... Nie istniało już nic... Żadnego śladu... Nic! Z zamyślenia wyrwał go głos Marii.

- Michael! Miałeś rację!

- Jak to?

- Z tą Genewą! - patrzyła na niego błyszczącymi oczami. - Wymieniono tu wszystko, słyszysz, wszystko, od Warszawy po Moskwę, wszystko... oprócz jednego.

- Genewy.

- Tak - powiedziała cicho.

Deves zadrżał.

Genewa... Nie ma śladu.

Śmierć Saxona... Moja śmierć... Najmniejszego śladu.

- Czy to może być właśnie to? - spytała Maria. - Czy to może być sygnał?

Deves patrzył na nią, nagle poczuł się zagrożony.

- Michael, dlaczego Genewa? - spytała cicho, pochylając się ku niemu. - Co się zdarzyło w Genewie?

- Wszystko zaczęło się w Genewie.

- Tak - powiedziała jeszcze ciszej. Zawahała się. - Dlaczego przed chwilą właśnie Genewa przyszła ci do głowy?

- Nie wiem.

- Pomyśl, proszę.

- Nie wiem, Mario...

- Dobrze - rzekła z namysłem. - Dobrze, kochany. Ale pomyślałeś o niej, prawda?

- Tak.

- Oni także.

- Tak.

- Tak - powiedziała gorączkowo.

Znowu zawahała się, patrzyła na Michaela nieśmiało, jakby miała świadomość, że coś nieskończenie delikatnego, kruchego rodzi się w nim, i jakby bała się choćby spojrzeniem to spłoszyć.

- To jest coś w rodzaju... jakiegoś punktu styczności - zasugerowała. - Genewa... z czym to się wiąże?

Deves poczuł, że kręci mu się w głowie; miał wrażenie, że myśli brzęczą i roją się w uszach.

Genewa... Narodziny i śmierć Saxona...

Genewa... Geneza... Moja śmierć... I żadnego śladu... Żadnego śladu... Najmniejszego śladu...

Usłyszał głos Marii.

- Michael, dlaczego Genewa? Dlaczego? Co się wydarzyło w Genewie?

Przyszła mu do głowy odpowiedź i wiedział już, że nie ma innej. Była to jedyna możliwa.

- Profanator - wyszeptał.

- Co mówisz? - zdziwiła się Maria. Szeroko otworzyła oczy i krzyknęła: - Och, mój Boże, masz rację! Znalazłeś! Znalazłeś to powiązanie!

„Profanator”. Hasło konta bankowego w Arlet & Cie. Pieniądze były tym połączeniem, którego szukali! Pieniądze były pewnością łączącą Saxona z jego „ojcami”!

- Masz rację! - Maria nie posiadała się z radości. - To jest właśnie sposób, aby do nich dotrzeć! - nagle jej entuzjazm ulotnił się. - Ale... jak?

Wiedziała, że małe są szanse, być może żadne, na zdobycie jakiegś informacji na podstawie konta w Arlet & Cie. Z wielu powodów. Przede wszystkim w Szwajcarii tajemnica bankowa jest traktowana poważnie, szczególnie w siedmiu słynnych prywatnych bankach genewskich, do których należy Arlet & Cie. Co więcej, konto numer 51.47.77.84 było właśnie kontem numerowym, to znaczy anonimowym, z którego można korzystać po podaniu numeru i hasła „Profanator”. Oczywiście, prawo o tajemnicy bankowej w Szwajcarii nakazuje bankom znać tożsamość i dokładne dane właściciela konta. Bankierzy szwajcarscy, także ci genewscy, skrupulatnie wypełniają to zarządzenie, dlatego niektórzy z nich twierdzą - ludzie zaś w to wierzą - że konta numerowane, tajne, anonimowe, nie istniały albo już nie istnieją w Szwajcarii... Jednak nic nie stoi na przeszkodzie, aby

panamska spółka zachowała takie konto. W tym przypadku, jeśli działa się przez podstawione osoby, konto staje się całkowicie anonimowe.

Maria wiedziała o tym wszystkim, a to, czego nie wiedziała, powiedział jej Deves. Jednak nie zniechęciła się.

- Pozostaje jeszcze jedna możliwość - rzekła po chwili.

- Jaka?

- Wytropić te pieniądze.

- Przecież wyjaśniłem ci, że...

- Nie! Nie rozumiesz! - krzyknęła, gestem nakazując mu, aby jej wysłuchał. - Posłuchaj, posłuchaj... Musi istnieć jakaś procedura, nie wiem co... coś, co pozwoli im odzyskać pieniądze po zakończeniu misji... po śmierci Saxona. Po twojej śmierci!

Zamilkli oboje.

- Dlaczego musi? - spytał Michael nie spuszczając jej z oczu.

- Dlatego, że musi! Bo nie może być inaczej!

Deves zastanawiał się.

- Równie dobrze mogli odpisać te pieniądze na straty - rzekł. - W porównaniu ze stawką, o jaką chodzi, te pieniądze są niczym. Naprawdę niczym, Mario. Nawet gdyby zdecydowali się je odzyskać, ustaliliby pewnie procedurę całkowicie anonimową, tak jak przedtem... Tak bardzo starają się zachować wszelkie środki ostrożności w tej misji, Mario. Nie popełnili najmniejszego błędu.

- Przestań, proszę cię! - uniosła się Maria. - O czym ty mówisz? O kim? „Najmniejszego błędu”? Za kogo ich bierzesz? Wszyscy popełniają błędy! Oni tak samo jak inni! Śmierć Avarone'a to co - jak myślisz? A sytuacja, w jakiej jesteśmy, w jakiej oni są? Co to jest? Zejdź na ziemię, Michael! Przestań wierzyć w te wszystkie... - przerwała, potrząsnęła głową, jakby straciła nadzieję, że uda się go przekonać. - Poza tym - podjęła już nie tak gwałtownie - całe te służby specjalne to jeszcze administracja, biura, księgowi! Nie sądzę, żeby tak łatwo zdecydowali się na odpisanie tych pieniędzy na straty.

- Nie ma już pieniędzy - rzekł spokojnie Michael.

- Co?

- Opróżniliśmy konto prawie do ostatniego centa. Zapomniałaś?

- Ale oni o tym nie wiedzą! - zauważyła Maria z lekkim niepokojem w głosie. - Jeszcze o tym nie wiedzą... może nie! - opanowała się.

- Tak czy owak to nic nie zmienia. Jeśli jest jakaś procedura odzyskania pieniędzy - to jest, istnieje i tyle!

Deves przyglądał jej się nic nie mówiąc. W końcu Maria pochylila się ku niemu i cichym, lecz przenikliwym szeptem spytała:

- Michael, dlaczego nie mielibyśmy tego sprawdzić?

Była prawie północ.

Słychać było świst wiatru i ciągle padał śnieg. Zaczął padać tuż przed kolacją i od tego czasu sypał bez przerwy, musieli więc zamknąć okno w pokoju. Było ciemno i ciepło.

Maria usłyszała trzask zapalniczki Michaela, poczuła ulgę.

- Ja też nie śpię - powiedziała, odwracając się do niego.

Starala się dostrzec rysy jego twarzy w ciemności, potem w słabym świetle papierosa, kiedy się zaciągał. Jego twarz ukazała się na chwilę, po czym zniknęła. Zamknęła oczy, aby zachować jej obraz w pamięci.

- Mario?

- Tak.

Czuła, że Michael waha się.

- Słucham?

- Zdajesz sobie sprawę, że to wszystko nie ma żadnych podstaw? - spytał, jakby się bał, że Maria robi sobie zbyt wiele złudzeń. - Może nie ma żadnej wiadomości dla nas... Nic nie ma?

- Tak.

- Jesteś pewna?

- Tak.

Przez chwilę oboje milczeli.

- Nie chce ci się spać? - spytał Michael.

- Jestem zdenerwowana.

- Boisz się?

- Nie - skłamała Maria.

Chwila milczenia.

- Nie musisz ze mną iść - rzekł.

- Och, nie zaczynaj od nowa! - powiedziała z wyrzutem.

- Dobrze - obiecał.

- Jestem trochę nerwowa, to wszystko. Znowu zamilkli.

Maria słuchała pomruku wiatru wokół domu. Wyobraziła sobie domek z zewnątrz, w ciemnościach, pokryty śniegiem, owiewany lodowatym wiatrem. Osłaniał ich i chronił. Mały, dobry domek. Poczowała ukłucie w sercu na myśl, że to już może ostatnia noc spędzona z Michaeliem. Odpędziła od siebie tę myśl i starała się rozkoszować przyjemnością i szczęściem, że jest właśnie tu, w ciepłe, podczas gdy na zewnątrz sypie śnieg, wieje wiatr, a obok, tuż obok, blisko leży mężczyzna, którego kocha.

- Lubię to miejsce - powiedziała półgłosem, aby czar nie przysnął. Milczenie.

- Wrócimy tu jeszcze? - spytała. - Przecież nic nam nie może przeszkodzić powrócić tutaj, prawda?

- Nie, nic - odpowiedział Michael.

- Ciągłe nie chce ci się spać? - spytała uspokojona, przysuwając się do niego.

- Nie.

- Mnie też nie - powiedziała uszczęśliwiona.

Mocno przytuliła się do niego, jedną nogę położyła na jego nogach.

- Polubiłam to miejsce - wyszeptala znowu. Jej dłoń powędrowała na brzuch Michaela i zaczęła go głaskać. - Och! I bardzo lubię, kiedy to robisz - szepnęła z rozbawieniem i czułością.

Niewielka miedziana wywieszka, błyszcząca, jak nowa: „Arclet & Cie”.

Maria pchnęła masywne dębowe drzwi i weszła do budynku Arclet & Cie.

Znalazła się w westybulu o nowej lśniącej posadzce, pozbawionym ozdób, oświetlonym słabym blaskiem kinkietów i strzeżonym przez dwie kamery wideo. Weszła na schody, na półpiętro, otworzyła następne drzwi, pozornie cienkie. Była teraz w przedsionku. Kilka kroków przed nią - inne drzwi, także oszklone, lecz kuloodporne. Przy najmniejszym podejrzeniu po sygnale alarmowym z sufitu opada pancerna metalowa zasłona z tyłu i z przodu przedsionka. W ścianie po prawej stronie niewielkie jak otwór strzelniczy okienko, z którego sączy się bladezielone światło, poprzez okienko widać twarz pracownika ochrony.



Teraz nie ma już żadnego niebezpieczeństwa. Nie musisz się już przejmować.

Maria wzięła głęboki oddech i poszła naprzód.

Portier w uniformie otworzył drzwi, ukłonił się i kurtuazyjnie podał jej rękę, aby pomóc zejść ze schodów prowadzących do bankowego hallu.

Była to długa prostokątna sala. Podłoga pokryta błękitnym mokiety, ściany obite ozdobną wykładziną, gdzieś tam portrety męskich przedstawicieli rodziny Arclet, którzy byli kolejno właścicielami banku od roku 1797. Skąpe umeblowanie - kilka stylowych foteli, obok stoliki na jednej nodze lub niskie stoliczki, a na nich lampy dające ciepłe światło. Wystrój bez ostentacyjnego luksusu, prawie surowy, w dobrym guście i wygodny. Oczywiście nie ma żadnych okienek, jedynie biurko recepcyjne, za którym siedzi nie najmłodsza już kobieta ubrana na szaro; z biżuterii ma na sobie tylko cienki naszyjnik z pereł.

Kobieta wstała i wyszła Marii na spotkanie z bardzo uprzejmym uśmiechem na twarzy.

Już cię widziała, ale nie może cię rozpoznać. Nie musisz się bać.

- Dzień dobry pani - powiedziała kobieta miłym głosem, oglądając Marię od stóp do głowy, dyskretnie, lecz ze znawstwem. Jej uśmiech zrobił się jeszcze bardziej serdeczny. - Czy mogę pani pomóc? - spytała, jakby nic innego nie mogło sprawić jej przyjemności.

Maria poprawiła na nosie szklkowe okulary, po czym rozejrzała się po pustym hallu udając zakłopotanie. Nie znają cię tutaj. Ale nie jesteś byle kim.

- Może pani, oczywiście - powiedziała swobodnie i jednocześnie z niezadowolaniem w głosie. - Umówiłam się z moim doradcą, aby uregulować pewne sprawy, ale widzę, że oprócz mnie nikogo tu nie ma. To bardzo przykre. Czy on może tu gdzieś być? - spytała zdejmując rękawiczki. - Gdzieś tu obok?

- Obawiam się, że nie, proszę pani - rzekła kobieta lekko zaniepokojona. Zawahała się. - Ale mogę się jeszcze upewnić... Kto panią oczekuje tutaj, w banku?

- Nie wiem. Wątpię, czy zostaliśmy wcześniej umówieni. Wszystko potoczyło się tak szybko. Jestem między dwiema podrózkami samolotem i...

- Rozumiem.
- To naprawdę przykre.
- Rzeczywiście, przykre - zgodziła się grzecznie kobieta.  
Nie jesteście byle kim...

- Która to godzina? - spytała Maria rozglądając się wokół, jakby sprawiała jej trudność myślenie o takich sprawach, jakby chciała zrzucić z siebie ten ciężar.

- Za piętnaście czwarta - szybko poinformowała ją kobieta.

- Mówi pani za piętnaście czwarta? - spytała Maria nagle. -A więc wszystko się wyjaśniło! Umówiliśmy się tutaj o czwartej! Jaka ja głupia!

- To się zdarza - odpowiedziała kobieta, już uspokojona, uśmiechając się.

- Będę wreszcie musiała zacząć nosić zegarek - rzekła Maria fi-glarnie. - Jak wszyscy.

Chwilę później kobieta z naszyjnikiem z pereł wprowadziła Marię do saloniku-poczekalni. „Będzie pani tu miała spokój, będzie pani wygodniej”, powiedziała. Spytała, czy Maria napije się może herbaty, lub jakiegoś innego ciepłego napoju. Maria odmówiła, zgodziła się natomiast, aby kobieta sprawdziła, który z pełnomocników banku będzie mógł przyjąć ją i jej doradcę, gdy tylko ten ostatni się pojawi.

Gdy kobieta wyszła, Maria opadła na fotel spokojna i ufna. Kobieta w naszyjniku z pereł nie rozpoznała jej.

Dokładnie o czwartej Deves wysiadł z samochodu i skierował się w stronę siedziby Arclet & Cie; miał do przejścia około pięćdziesięciu metrów. Ulica była spokojna jak zawsze.

Przyjechał godzinę wcześniej, aby dokładnie obejrzeć to miejsce; gdy zjawiała się Maria dał jej znak, że droga wolna, potem z ulgą patrzył, jak znika wewnątrz banku. Stał jeszcze chwilę na czatach, ale nie zauważył nic podejrzanego. Ani na ulicy, ani w oknach naprzeciw banku.

Szedł szybkim krokiem. Wyglądał jak jeden z ludzi interesu, jakich często spotkać można w tej enklawie prywatnych banków genewskich; miał tylko bardziej napiętą twarz i zbyt czujne spojrzenie. Pistolet miał zostawić w samochodzie; wiedział, że nie należy wchodzić do banku z bronią.

Urzędnik bankowy, który do nich wyszedł kilka minut po przybyciu Devesa, uklonił się z zapalem nie dlatego, że ich znał - nigdy przecież nie miał z nimi do czynienia - lecz jakby było zupełnie normalne, że ich tu spotyka.

Był to niewysoki, około pięćdziesięcioletni mężczyzna, łysy, raczej tęgi, ściśnięty kamizelką pod ciemnym garniturem. Miał dobrotliwą twarz i łagodne spojrzenie. Robił dziwne wrażenie, wydawał się niekompletny, tak jakby oprócz włosów stracił coś jeszcze i sam nie bardzo wiedział co, ale był o tym głęboko przekonany.

Poprosił Marię i Michaela, aby z nim poszli. Skierowali się w stronę windy w głębi hallu, potem przeszli na pierwsze piętro do niewielkiego saloniku. Urzędnik poprosił, aby się rozgościli, sam także usiadł.

Pomieszczenie było raczej małe. Wystrój niczym nie różnił się od wystroju całego budynku. Pośrodku stał mahoniowy stół, wokół niego fotele. W każdym rogu paliła się lampa. Pełnomocnik banku usiadł obok małego stolika z telefonem i komputerem. Na mahoniowym stole stała popielniczka i szkatułka z posrebrzanego metalu z papierosami oraz blok białego papieru do notowania.

- Co mogę dla państwa zrobić? - spytał pełnomocnik, opierając łokcie na stole. Uprzejmie uśmiechnął się do Marii, po czym przeniósł wzrok na Devesa.

- Przede wszystkim chciałbym otrzymać informację na temat konta, którym dysponuję w tym banku - rzekł Michael.

- Jaki rodzaj informacji, jeśli można wiedzieć? - spytał pełnomocnik uśmiechając się.

- Wszystkie informacje na temat tego konta - odpowiedział Michael, także się uśmiechając.

- Oczywiście. O jakie konto chodzi?

Pełnomocnik zanotował numer konta i hasło, które podał Deves, przeprosił na chwilę, po czym nacisnął klawisze komputera; monitor był tak ustawiony, że tylko on mógł go widzieć. Uważnie wpatrywał się w ekran. Zmarszczył brwi.

- Jakiś kłopot? - spytał Michael.

Pełnomocnik uśmiechnął się uspokajająco, podał mu pióro i kartkę białego papieru i poprosił o podpis. W trzech egzemplarzach.

- Zwykła formalność uwierzytelniająca - zapewnił. Podczas gdy

Deves składał swój podpis, wziął do ręki słuchawkę telefonu i wezwał jakiegoś urzędnika.

Michael starał się nie patrzeć na Marię.

Szwajcar mówił prawdę... Jednak na tym etapie taka formalność nie była konieczna, a zresztą Deves nie był tego pewien. Co to mogło znaczyć?

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł młody człowiek, ukłonił się z szacunkiem i wyszedł z dwiema kartkami, które podał mu pełnomocnik. Ten ostatni uśmiechnął się przepraszająco.

- To nie potrwa długo - obiecał.

Chciał sprowadzić rozmowę na temat pogody, lecz dzwonek telefonu przerwał jego starania.

- Wszystko w porządku - powiedział odkładając słuchawkę.

Deves wyczuł w jego głosie coś, co wskazywało, że jednak nie wszystko jest w porządku. Patrzył, jak pełnomocnik znowu odwraca się w stronę ekranu komputera z prawie niedostrzegalnym zakłopotaniem.

Michael poczuł drętwienie rąk i nóg. Może on po prostu gra na zwłokę?

- Jest jedna mała trudność, proszę pana... panie Dave - powiedział pełnomocnik odwracając się twarzą do Michaela i Marii. - Takie jest pana nazwisko, prawda?

- Jaki rodzaj trudności?

- Pan nie był posiadaczem tego konta, prawda? - Szwajcar nie powinien zadawać takiego pytania. - Korzystał pan z pełnomocnictwa ogólnego, czy tak? - Deves milczał. Pełnomocnik popatrzył na niego, po czym jeszcze raz uśmiechnął się, jakby z góry chcąc przeprosić za to, co powie. - Okazuje się, że konto „Profanator” zostało zamknięte przez właściciela dokładnie osiem dni temu.

Michaela specjalnie to nie zaskoczyło. Ogarnęło go jedynie uczucie nagłej pustki.

Więź między Saxonem a jego „ojcami” została przerwana!

- Czy pan rozumie?

- Rozumiem - rzekł Michael.

Patrzył na Marię, bardzo zmieniła się na twarzy. Pełnomocnik, który nagle poczuł się trochę nieswojo, chciał coś powiedzieć, ale Maria go uprzedziła.

- To nie do wiary! - zaprotestowała, tak jakby pełnomocnik banku był odpowiedzialny za to, co się stało.

- Słucham?

- Czy może pan mi wyjaśnić, co to wszystko znaczy?

- To znaczy, że konto „Profanator” już nie istnieje, proszę pani - odpowiedział grzecznie Szwajcar.

- To chyba żart?

- W żadnym wypadku, proszę pani - powiedział Szwajcar z rezerwą w głosie. - Jak już powiedziałem, właściciel konta...

- Nie sprzedając osoby, która korzysta z pełnomocnictwa ogólnego?

- Nie musiał tego robić... To znaczy, nie miał takiego obowiązku - powiedział Szwajcar, lekko zbity z tropu tematem, na jaki zesłała rozmowa. Odwrócił się w stronę komputera i dodał: - Jednak muszę państwa zawiadomić, że saldo z konta „Profanator” zostało przeniesione na inne konto otwarte w naszym banku; jego wyłącznym posiadaczem jest osoba, która korzystała z ogólnego pełnomocnictwa dawnego konta „Profanator” - zerknął na Devesa. - Czyli, naturalnie pan, panie... Dave - powiedział pocieszającym tonem. Znowu spojrzął na ekran. - I saldo to wynosi niecałe tysiąc dolarów - wypowiedział te słowa tak, jakby szczupłość tej sumy kaleczyła go w usta. Przez chwilę milczał, patrząc na ekran. - Zaraz, chwileczkę, to jeszcze nie wszystko... - Przycisnął klawisze, poczekał na odpowiedź na ekranie, po chwili zaczął z zainteresowaniem jej się przyglądać.

- To nowe konto jest zastrzeżone dla kwoty nie znanej bankowi... pod pewnym warunkiem... - powiedział powoli. - Depozytariuszem jest spółka „Kijé” z Panamy.

Zapanowała cisza.

Pełnomocnik bankowy ciągle wpatrywał się w ekran komputera. Maria spojrzała na Michaela, ale nie dostrzegła żadnej reakcji, jakby to wszystko już go nie dotyczyło. Zawahała się, po czym spytała pełnomocnika:

- Czy byłby pan taki miły i wyjaśnił mi, o co tu chodzi? - Starala się uśmiechać jak najmiley. - Co to takiego ta kwota... pod pewnym warunkiem?

- Proszę pani, to znaczy, że kwota ta zostaje wypłacona natychmiast, gdy odbiorca wypełni pewne warunki.

- Określone przez kogo? Przez depozytariusza?

- Zgadza się - rzekł Szwajcar uśmiechając się, zadowolony, że Maria znowu miło go traktuje. - To raczej rzadka procedura, lecz całkowicie prawidłowa.

- W tym konkretnym przypadku warunki zostały postawione przez spółkę... „Kijé”, czy tak?

- Dokładnie tak.

- Rozumiem. Jakie są te warunki?

- Nie wiem, proszę pani - odpowiedział Szwajcar. - Na razie nie wiem - uśmiechnął się. - Przede wszystkim będę musiał zadośćuczynić pewnym formalnościom. - Zwrócił się do Devesa: - Jest pan właścicielem tego nowego konta, prawo bankowe nakazuje sprawdzić pańską tożsamość... Byłby pan tak uprzejmy i pokazał mi jakikolwiek urzędowy dokument potwierdzający ją?

Nastąpiła chwila niepewności.

- To bardzo osobista sprawa - przyznał pełnomocnik tonem szczerości, co miało bezsprzecznie dowieść, że doskonale rozumie wahania Devesa. - Ale może pan być pewien, że te informacje nigdy nie wyjdą poza mury tego banku.

- Czy to naprawdę konieczne? - zaniepokoiła się Maria.

- Niezbędne, proszę pani.

Michael położył rękę na ramieniu Marii, aby ją uspokoić, i podał swój szwajcarski paszport. Pełnomocnik bankowy wziął go z poważną i skupioną miną, otworzył jak książeczkę do nabożeństwa, przepisał potrzebne dane na kartkę papieru, zwrócił paszport, a kartkę wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Miał na ustach wymuszony uśmiezek. Był to dla wszystkich trudny moment i pełnomocnik starał się, aby trwał jak najkrócej.

Odwrócił się w stronę komputera i rzekł:

- Proszę pana, mam zadać panu jedno pytanie. Muszę zaznaczyć, że działam zgodnie z instrukcjami, jakie bank otrzymał w sprawie tej... operacji. Rozumie pan chyba? - Michael potwierdził ruchem głowy. - To pytanie, czy raczej pańska odpowiedź ma potwierdzić, że to właśnie pan jest wierzycielem pańskiego depozytariusza... Ja tylko stosuję się do instrukcji...

- Rozumiem - rzekł Michael, gestem prosząc pełnomocnika, aby mówił dalej. Chciał już z tym skończyć, wydawało mu się, że sprawy zbyt długo się ciągną, o wiele za długo, jakby umyślnie wszystko przeciągano. Był coraz bardziej zaniepokojony, lecz i zaciekawiony.

- Pytanie jest następujące: jak nazywa się dziecko klasztorne?  
Michael zadrżał w duchu. Czuł, że Maria uważnie mu się przygląda.

- Zofia.

- Doskonale - rzekł pełnomocnik, wyraźnie usatysfakcjonowany.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak zapoznać się z warunkami pańskiego kredytu. Pozwoli pan?

Wziął słuchawkę telefonu i poprosił o przyniesienie akt dotyczących konta, którego numer podał, a także prywatnego sejf; numer tego sejf; wyczytał przedtem z ekranu komputera.

- Proszę bardzo - powiedział z uśmiechem, odkładając słuchawkę - niebawem zakończymy wszystkie formalności. A może tymczasem chciałby pan dowiedzieć się, jaka jest wysokość wierzytelności?

Michael podejrzliwie spojrział na pełnomocnika. Jak długo to jeszcze potrwa? Maria położyła rękę na ramieniu Michaela; popatrzył na nią, uśmiechnął się na znak, że wszystko w porządku, że nie powinna się denerwować.

- Proszę bardzo - rzekł pełnomocnik.

Znowu przycisnęła klawisze komputera, przeczytał odpowiedź na ekranie. Nagły, krótki skurcz przebiegł mu po policzkach.

- Wysokość tej sumy, proszę pana - powiedział głośno przełknąwszy ślinę - to dokładnie dwa miliony dolarów.

Michael nie od razu poczuł, że Maria mocno ścisła jego ramię. Nie słyszał pukania do drzwi. Drgnął na widok wchodzącego do saloniku młodego człowieka, którego widział już wcześniej, za nim zaś drugiego, w samej koszuli. Ten drugi postawił na stole, na poduszeczce z zielonego aksamitu, jak relikwię - prywatny sejf.

Po ich wyjściu pełnomocnik złamał pieczęć z krwistoczerwonego wosku na kopercie, którą wyjął z leżących przed sobą akt. Znalazł w niej klucz, delikatnie położył go na sejfie; wyjął też formularz, podsunął Devesowi, tak jak i dwa inne dokumenty:

- Musi pan złożyć swój podpis na wszystkich trzech dokumentach

- powiedział znowu uśmiechnięty. - Wtedy pańskie konto na wyżej wymienioną sumę zostanie uznane.

Pierwszy dokument było to pełnomocnictwo na korzystanie z sejf. Drugi - zgoda na to, aby w razie przedwczesnej śmierci dysponenta suma została przekazana na rachunek jednej z fundacji

francuskiego Czerwonego Krzyża. Trzeci - to po prostu poświadczenie, że zapoznał się z zawartością sejfu.

Sejf zawierał zwykłą białą kopertę.

W kopercie był zwykły numer telefonu.

Deves wyjął ze swego nowego konta pięćdziesiąt tysięcy dolarów gotówką. Podał hasło: „Zakonnica”. Spytał, czy uzbrojony strażnik z Arclet & Cie będzie mógł odprowadzić jego i Marię do samochodu. „Nie ma najmniejszego problemu”, odparł pełnomocnik z życzliwym uśmiechem.

- Jeszcze jeden uśmiech, a udusiłabym go - powiedziała Maria, gdy już ruszyli. Jechali przez pewien czas w milczeniu. W końcu Maria nie wytrzymała.

- Jak się czujesz? - spytała, napięta i jednocześnie pełna nadziei.

- Dobrze.

- Tylko tyle?

- Wszystko w porządku. Nie przejmuj się.

Milczenie.

- Wszystko jasne, prawda? - spytała z niepokojem.

- Tak, wszystko jasne - rzekł Michael.

Wiadomość była całkiem zrozumiała. „Ojcowie” Saxona otrzymali jego ostrzeżenie. Dwa miliony dolarów - to ich odpowiedź. Całkiem jasne.

Lecz był to także znak paniki. Paniki za dwa miliony dolarów!

- Co teraz zrobimy?

- Musimy znaleźć jakieś miejsce, na jakiś czas przynajmniej.

- Nie wracamy do Heilig?

- Zobaczymy... Nie teraz.

Jeszcze z Arclet & Cie zadzwonił pod podany numer. Odebrała automatyczna sekretarka, męski głos powiedział, że wiadomości odczytywane są co dwie godziny i prosił, aby podać porę następnego połączenia biorąc pod uwagę owe dwugodzinne przerwy, tak aby odpowiadający mógł odebrać osobiście.

Deves powiedział, że zadzwoni o dwudziestej pierwszej.

- Michael, muszę zatelefonować do matki.

- Co?

- Do matki. Muszę do niej zadzwonić.



- Zwariowałaś czy co?
- Michael, nie mogę jej tak zostawić! Pomyśli, że...
- Nie ma mowy.
- Przecież będę uważać!
- Nie!

Milczenie. Nagle Michael zadrżał.

„Nie mogę jej tak zostawić. Pomyśli, że...”

- Telefonowałaś już do niej? - spytał.

- ...

- Odpowiedz!

- Oczywiście! - krzyknęła Maria. - A co ty sobie wyobrażałaś? Że ją tak zostawię, z tą moją fotografią w gazetach?

Michael gwałtownie zahamował i zaparkował samochód na poboczu.

- Przecież uważałam! - zapewniła go wystraszona Maria. - Nic nie powiedziałam, nie martw się!

Kurczowo złapał kierownicę, żeby nie wybuchnąć.

- Kiedy do niej dzwoniłaś? Skąd?
- Z miejscowości w pobliżu Heilig.
- Kiedy?
- Jakie to ma znaczenie? Nie krzycz tak!
- Mario, kiedy?
- Wczoraj.

Milczenie.

Michael zastanawiał się patrząc prosto przed siebie.

- Jesteś pewna, że nic nie powiedziałaś? Nie podałaś żadnego szczegółu, nic?

- Nic! Zapewniam cię. Przecież nie zwariowałam!

Michael spojrział na nią z trudem opanowując złość.

- Nie zwariowałaś...? - zawahał się chwilę, potrząsnął głową i odwrócił się. Znowu potrząsnął głową i westchnął. - Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym?

- Wiedziałam, że się nie zgodzisz. Michael, ona już nie jest młoda, jest chora. Ta cała historia może ją... Rozumiesz?

- Rozumiem - powiedział przekręcając klucz.

- Michael!

- Połóż krzyżyk na Heilig.

- Dlaczego? - zaprotestowała.

- Dlatego!
- Ależ to nonsens!
- Tak.

Michael zatelefonował powtórnie kilka minut po dwudziestej pierwszej z baru dużej genewskiej restauracji, której okna wychodzą na Jezioro Genewskie.

Nie znany mu męski głos od razu spytał:

- Drugi mieszkaniec klasztoru?
- Tołstoj.

- Doskonale. Żadnych nazwisk. Linia jest czysta, ale tak będzie lepiej. Kod rozpoznawczy regularnie przechodzi przez „Zaśnięcie”. W przypadku jakichś trudności dublujemy pytanie i odpowiedź. Jasne?

- Tak - rzekł Michael.
- Musimy się spotkać.
- Po co?
- Powinniśmy porozmawiać.
- Ale po co?

Krótkie milczenie. Nieznany głos, głos człowieka już niemłodego, spokojny i pewny siebie, mówił dalej:

- Możemy podwoić stawkę.
- Nie trzeba. Możemy na tym poprzestać.
- Nie możemy.
- Dlaczego?

Znowu cisza. Po chwili głos przemówił:

- Musimy mieć pewność. A pan potrzebuje pomocy.

Następnego dnia, około jedenastej przed południem, w siedzibie DGSE w Paryżu zadzwonił jeden z telefonów w gabinecie pułkownika Thomasa Ariasa, odpowiedzialnego za polowanie na Saxona.

- Słucham.
- Zgubili Mnicha - powiedział rozmówca.
- Co? - wybuchnął Arias. - Cholera jasna! Jak mogli?
- Na Orly. Wykiwał wszystkich. Myśleli, że polecą samolotem rejsowym. Tymczasem czekał na niego prywatny odrzutowiec.

- Cholera...

- Odrzutowiec należy do libańskiego biznesmena - mówił dalej rozmówca. Podał dane Libańczyka. - Z planu lotów wynika, że udaje się do Rzymu. Zaalarmowaliśmy naszych przyjaciół stamtąd.

- Rzym? - spytał Arias zaintrygowany.

- Tak.

Młody pułkownik starał się szybko myśleć.

- Okey, jeśli chodzi o Rzym. Ale zawiadomcie także Genewę. Genewę i wszystkich innych! Nie leci do Rzymu, jestem tego pewien! Zawiadomcie Genewę.

Arias odłożył słuchawkę i siedział nieruchomo wpatrzony w jeden punkt.

Nie jedzie do Rzymu, stwierdził. Zacierając ślady. Nawet jeśli tam wylądował, zaraz polecą gdzie indziej. Do Genewy!

To było coś więcej niż intuicja, Arias był tego prawie pewny, miał powody być pewny. Trzy telefony od Marii d'Elancourt: pierwszy do starego Fayette'a, dwa pozostałe do matki. Trzy rozmowy telefoniczne, wszystkie trzy ze Szwajcarii.

Jak mogli popełnić taki błąd? A jeśli to nie jest błąd? Nie, jeden telefon, no, nawet dwa, to mógłby być jakiś wybieg, ale nie trzy! Lecz Saxon wie, że możesz tak rozumować, dobrze zna twój sposób myślenia... Nie!

Nie polecą do Rzymu, powtarzał sobie podekscytowany Arias znowu myśląc o Mnichu. Nie może polecieć do Rzymu. Po co miałby tam jechać? Saxon nie ma już ruchu. Teraz jest ruch Mnicha.

Rzym jest tylko przynętą. Saxon jest w Szwajcarii!

Arias dobrze myślał. Prywatny odrzutowiec, na którego pokładzie znajdował się Matthias Delange, zmienił kurs już w czasie lotu i w końcu wylądował na lotnisku w Genewie.

Agenci z ekipy pościgowej już tam czekali.

Jednak to, co zrobił Delange, kompletnie zbiło ich z tropu i znowu go zgubili. Gdy tylko przeszedł przez kontrolę graniczną, natychmiast wszedł na pokład wynajętego helikoptera. Zanim zrozumieli i zareagowali, było już za późno. Mnich odleciał. Widzieli go zaledwie przez chwilę!

Jedyna tylko osoba miała wystarczająco dużo czasu, aby bardzo

dokładnie przyjrzeć się Mnichowi wsiadającemu do helikoptera i była z tego bardzo zadowolona. Siedziała w samochodzie na parkingu przy heliporcie.

Maria d'Elancourt.

Minutę później zamknęła się w budce telefonicznej.

- Leci helikopterem, jest sam.

- Opisz go.

Maria opisała jego wygląd. Na koniec powiedziała:

- To jest ten człowiek, którego poznałam za pośrednictwem de Fayette'a. Ten, który wydawał rozkazy.

- Rozumiem.

Helikopter przewiózł Matthiasa Delange do Montreux. Tam czekał już na niego duży mercedes. Gdy tylko Mnich wsiadł, samochód natychmiast ruszył.

Za kierownicą siedział Michael Deves.

Właściwie wszyscy oni są do siebie podobni, pomyślał Michael obserwując Delange'a. Zauważył, że Mnich jest w pewien sposób podobny do Avarone'a - może z racji wieku? Zawsze są tacy spokojni, pewni siebie i słuszności swego postępowania, jednocześnie przenikliwi i zaślepieni, tak przyjaźni i egoistyczni, tak... normalni.

Otworzył trochę okno po swojej stronie i wyrzucił niedopałek papierosa. Stali na parkingu przy oberży, nie opodal brzegu Jeziora Genewskiego. Parkowało tu kilka samochodów. W oddali, widoczny przez przednią szybę, majaczył masyw Mont Blanc. Zwiewne obłoki unosiły się wokół ośnieżonych szczytów, ocierały się o zbocza, tak jakby chciały przejąć część ich siły.

- Chyba pan nie rozumie - powiedział Michael z zimną złością. - Mam gdzieś te wasze historie. Był taki moment, że chciałem wpakować kulę w łeb pierwszemu z was, którego bym spotkał, a potem całej reszcie. Ale... - powiedział cicho z miną wyrażającą litość i pogardę: - Ale mam to wszystko gdzieś... Rozumie pan? Mam gdzieś wasze historie, wasze żale, wasze problemy, kto zabił Avarone'a, a kto zdradził, i całą resztę, obronę Francji, te wszystkie głupoty... Mam to gdzieś! - zaakcentował te słowa. - Jedyna rzecz, jaka się teraz dla mnie liczy... to ja, moje bezpieczeństwo i bezpieczeństwo tej dziewczyny. To wszystko. Rozumie pan? Powinien pan zrozumieć, jeśli ta sprawa choć trochę leży panu na sercu... jeśli jest tak ważna, jak pan mówi. Jest ważna, prawda?

- Jest ważna - powiedział z powagą Delange.

- Więc wykaraskajcie się z niej sami.

Mnich wstrzymał oddech.

- Powiedziałem panu, że zablokowaliśmy naszych ludzi - rzekł z napięciem. - Ale nie możemy nic zrobić w DGSE. Nie możemy interweniować.

- Dlaczego?

- Panie Deves, my nie istniejemy.

Mnich wyjaśniał. Deves słuchał. Nie chciał liczyć się z problemami „ojców” Saxona, nie musiał tego robić. Ale wysłuchać - to już prawie zrozumieć...

- To wasz problem - powiedział z trochę wymuszonym przekonaniem w głosie, gdy Mnich skończył przemowę.

- Teraz także i pański.

- Pan to powiedział.

- Nie - rzekł Delange - nie, nie ja. Sprawy tak się potoczyły. Proszę zrozumieć: narzucić DGSE odwołanie rozkazu byłoby rzeczą najgorszą. Z naszego punktu widzenia.

- Bo ujawniałoby wasze istnienie? - spytał Michael z pogroźką w głosie. - Zapomina pan, że ja także mogę was ujawnić!

- Nie zapominam o tym - rzekł Delange. - Moglibyśmy być może znaleźć jakieś wyjście zadowalające nas obu, przypuścimy jednak, że nie znajdziemy. Czy ujawnienie nas polepszyłoby w jakiś sposób pańską sytuację? Po prostu miałby pan wielu więcej ludzi na karku - lekko wzruszył ramionami. - Niekoniecznie wyszłoby to ode mnie, ale musiałbym zaaprobować.

Michael nie odzywał się.

- Zaczyna pan rozumieć... - ciągnął Delange znużonym głosem. - W naszym i w pańskim interesie leży, abyśmy mogli się porozumieć. Wspomagać się. Z różnych powodów, zapewne innych, ale co to szkodzi? Koniec końców, nasz interes to pański interes... A także tej młodej osoby, która jest z panem. Mamy wspólny interes... Nie chcę być nieprzyjemny, ale wydaje mi się niezbędne postawienie kropki nad i. Jedyne sposoby na to, abyśmy z tego wyszli, szczególnie pan, to współpraca. - Popatrzył Devesowi prosto w oczy.

- Proszę mówić dalej - rzekł Michael wytrzymując to spojrzenie.

- Nasza propozycja jest następująca: pomagamy panu zniknąć, wymknąć się DGSE. Pomagamy panu urządzić się w życiu na nowo, tam, gdzie pan zechce... Ale będę z panem szczerzy. Nie możemy

zagwarantować panu bezpieczeństwa w stu procentach. Zawsze będzie istniało ryzyko ze strony DGSE. Będzie musiał pan się do tego przyzwyczaić, nie da się tego ryzyka wyeliminować. Niech mi pan wierzy, bardzo żałuję, ale tak jest, zło zaistniało i nic nie można porazić. Ani pan, ani my. - Zamilkł na chwilę. - Trzeba będzie z tym żyć.

- Żyć z tym! - odezwał się Michael.

- Tak - rzekł Mnich. Milczenie.

- Bardzo mi przykro - powiedział Mnich niemal szczerze. Rzeczywiście było mu przykro, ale nie wiadomo, czy z powodu Devesa, czy dlatego, że nie mógł znaleźć innego rozwiązania.

Michael nie reagował.

Wydawało mu się, że prześladowuje go jakieś fatum. Saxon uczynił z niego potencjalnego umrzyka. A teraz, nawet jeśli pozbędzie się skóry Saxona, do końca swoich dni musi uciekać. Bez względu na to, od którego końca analizował tę historię, swoją historię, i tak wychodziło, że był skazany, przeznaczony na śmierć.

Przestań... Przestań!

Otrząsnął się i natychmiast ruszył.

- Co pan robi? - spytał nieco przybladły Delange. Michael nie odpowiedział.

- Deves?

- Musimy zmieniać miejsca.

Przez około dziesięć minut jechali wzdłuż jeziora nic nie mówiąc. Nikt za nimi nie jechał. W końcu zatrzymali się tuż nad brzegiem, nieco na uboczu, pośród drzew. Tam kontynuowali rozmowę.

- Upozorować pańską śmierć?

- Tak.

- Ludzie z DGSE nigdy na to nie pójda - rzekł Mnich. - Są wśród nich tacy, którzy nie przestaną się panem zajmować, dla których jest to sprawa osobista. Ich zdaniem jest pan mordercą Avarone'a, niech pan o tym nie zapomina. Także tamtych pozostałych, ale przede wszystkim Avarone'a... I w dodatku zdrajcą. Nawet gdyby przyniesiono pańskiego trupa - pańskiego! - zatrudniliby całą armię genetyków, aby przebadać zwłoki po kawałku, komórka po komórce! Zajęłoby to sporo czasu, ale zrobiliby to!

W samochodzie znowu zapadła cisza.

Pierwszy przerwał ją Mnich.

- Chciałbym wiedzieć jedno... Ta młoda kobieta wie o „Airways”?

- Nie! - odpowiedział Michael trochę za szybko, nagle niespokojny.

- Naprawdę? - spytał Delange obojętnym tonem.

Michael zawahał się. To wszystko było tak bardzo skomplikowane, tak napięte, tak niebezpieczne... Chwilami gubił wątek, nie wiedział już, czy powinien ich przekonać, że ona o niczym nie wie, czy też napędzić im stracha i powiedzieć, że wie wszystko! Co jest lepsze dla niej?

- Niech pan powie prawdę - rzekł Mnich, jakby czytał w jego myślach.

- Uwierzy pan w nią?

- Mogę spróbować.

- I co to zmieni?

Mnich milczał. Deves zdecydował się.

- Nie wie o niczym. Wie, że oprócz bomby jest jeszcze coś innego, ale nie wie, co to jest.

- Skąd wie?

- Skąd wie co?

- Że jest jeszcze coś innego.

- Powiedziałem jej.

- Dlaczego?

- Bo musiałem - rzekł Michael wpatrując się w Mnicha. - Powiedziałem jej też, jakie kroki przedsięwziąłem, aby wszystko, jeśli to będzie konieczne, wysadzić w powietrze. Powiedziałem jej, co trzeba zrobić.

- Rozumiem - powiedział Delange po chwili milczenia.

Deves obserwował go. Nie odczuwał ani nienawiści, ani niechęci do tego człowieka. Nie czuł nic, chyba tylko całkowitą obojętność, i zdawało mu się, że ten stan ducha ma źródło nie tylko w nim, Michaelu Devesie. Mnich był dziwną istotą, nieuchwytną, nie budzącą żadnego określonego uczucia, tak jakby w jego naturze leżało właśnie niewzbudzenie żadnych uczuć. Zimny, zrównoważony, nieprzenikniony umysł przebrany za człowieka.

- Ta sytuacja nie jest z pewnością dla nikogo wygodna - powiedział Delange po krótkim namyśle. Dostrzegł zaskoczenie, a później



złość na twarzy Devesa i natychmiast dodał dla złagodzenia: - W różnym stopniu, oczywiście, zależnie od tego, czy się patrzy z pana strony, czy z naszej... Chcę przez to powiedzieć, że pan stanowi dla nas pewne niebezpieczeństwo. Że zarówno pan, jak i my będziemy ustawicznie żyć pod mieczem Damoklesa, ponieważ zneutralizowanie groźby, jaką jest pan dla nas... dla naszego przedsięwzięcia, będzie w najlepszym razie prowizoryczne... Nie możemy nic więcej od pana oczekiwać, prawda?

Było to bardziej stwierdzenie prawdy oczywistej niż pytanie. Mnich najwyraźniej zrobił krótką przerwę, aby się o tym upewnić.

- „Prowizoryczne”... może to nie najlepsze słowo - poprawił się. - Niebezpieczeństwo, jakie stanowi pan dla nas, jest i będzie. Nawet jeśli pan umrze, wyłoni się to, co pan... teraz ukrył, czyż nie?

Deves nie odezwał się i to wydało się Mnichowi wyczerpującą odpowiedź. Westchnął przygnębiony.

- Musimy mieć gwarancje - rzekł.

- Nie możecie ich mieć - odpowiedział Michael. - Musicie zrobić tak jak ja... Żyć z tym.

- To niemożliwe.

- Musi być możliwe.

- Deves, pan chyba nie rozumie...

- Nie, to raczej pan! - uniósł się Michael. - Pan nic nie rozumie!

Co pan sobie wyobraża? Że uwierzę wam na słowo, tak? Że pozbędę się zabezpieczeń, że zadbałem o nie tylko po to, żebyście mieli spokój...? Pan chyba bredzi!

Mnich zaszepczał. Powiedział:

- Myli się pan...

- Ach tak?

- Tak! Nie chodzi tu o mnie. Nie bronię żadnego osobistego interesu, niczyjej pozycji w całej tej sprawie. Ani ja, ani ci, którzy są ze mną. Chodzi nam wyłącznie o przedsięwzięcie, nad którym pracujemy.

- Przedsięwzięcie - powtórzył Michael z pogardą.

- Tak. Tylko o to się troszczymy, tylko o to jedno. Aby je zrealizować i ochronić.

- Brzmi to bardzo szlachetnie.

Mnich chciał odpowiedzieć, ale zrezygnował. Odwrócił się.

- Od teraz będziecie się musieli troszczyć także o moje bezpieczeństwo - powiedział spokojnie Michael i umilkł na chwilę. - Przy najmniej będę miał pewność, że nie ułatwicie sprawy zabójcom ze służb specjalnych, że postaracie się nawet utrudnić im zadanie i będziecie próbowali znaleźć jakiś sposób powstrzymania ich. Kto wie? Może w końcu przyjdzie wam do głowy jakiś pomysł? Milczenie.

- A jeśli dostaną was w swoje ręce, pana i tę dziewczynę, i zabiją was? - spytał Mnich patrząc przed siebie.

- Waszym zadaniem będzie nie dopuścić do tego.

- Psiakrew! A jeśli nam się nie uda?

- Tym gorzej dla was.

Mnich zacisnął zęby.

- A jeśli przytrafi się panu jakiś wypadek?

- Wypadek?

- Tak! Wypadek samochodowy czy jakikolwiek inny!

- Wtedy ona rozstrzygnie sprawę.

- Kto...? - Delange zrozumiał, o kim mówi Deves. - A jeśli ona będzie z panem? Jeśli oboje zginiecie w wypadku?

- Tym gorzej.

- Na litość boską! Deves! Może pan równie dobrze umrzeć śmiercią naturalną!

- Ona rozstrzygnie.

- Ale może ona już wtedy nie będzie żyła?! - wykrzyknął Mnich.

Był wyraźnie poruszony.

Michael patrzył na niego z litością.

- Może się tak zdarzyć! - krzyknął głośno Delange. - Pomyślał pan o tym? Może się tak zdarzyć, bez niczyjego udziału!

- Zabezpieczyłem się w odpowiedni sposób, tak, aby nie było żadnej luki - rzekł Michael.

- W jaki sposób?

- Nie musi pan o tym wiedzieć.

- Ależ tak nie może być! - zaprotestował Delange. - Możemy zdać się na pana, dopóki jest pan przy życiu, możemy dopuścić taką możliwość, w każdym razie możemy spróbować. Ale co nastąpi potem? Kiedy pana już nie będzie?

Deves był zupełnie zbity z tropu, czuł się zakłopotany natarczywością Mnicha, tym bardziej że ta natarczywość była wyraźnie podsyta strachem.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, umrze pan przede mną, na długo przede mną - powiedział chłodno. - I co to pana obchodzi? Dlaczego miałoby to pana obchodzić?

- Po nas przyjdą inni - odpowiedział Mnich.

Michael zawahał się, po czym powiedział:

- Dokumenty i ich kopie zostaną zniszczone.

- Skąd mamy mieć pewność?

- Sprawdzicie to - zapewnił Michael. - Wy albo wasi następcy zostaniecie uprzedzeni.

- To szaleństwo! Nie może pan przekazać tych dokumentów byle komu! Jak pan chce to zrobić? A jeśli pan umrze, skąd będziemy wiedzieli, do kogo się zwrócić?

Michael zniecierpliwził się.

- W określonym dniu opublikujecie w ogłoszeniach drobnych „New York Timesa” odpowiednie dane personalne. Dopracujemy to później, ta sprawa może poczekać. Najpilniejsze jest zupełnie coś innego: moje bezpieczeństwo i to, co możecie zrobić, aby mi je zapewnić. Na razie nic innego się nie liczy. Nic innego!

Tego samego wieczoru jeden z funkcjonariuszy grupy pościgowej Ariasa zauważył Matthiasa Delange na lotnisku w Lozannie w chwili, gdy ten wchodził właśnie na pokład rejsowego samolotu do Paryża. Natychmiast wszczął alarm.

Od razu wysłano agentów na lotnisko Orly. Jednak, co bardzo dziwne, agenci nie znaleźli nawet śladu Mnicha wśród pasażerów wskazanego samolotu. Porozumiano się z Lozanną, Lozanna zaś potwierdziła, że Mnich odleciał tym właśnie samolotem.

Wyjaśnienie było proste: na lotnisku w Lozannie Mnich także dostrzegł agenta francuskich służb specjalnych, którego znał już wcześniej. Z zasady nie wierząc w przypadek zrobił, co powinien był zrobić, aby zgubić śledzącego człowieka.

Zastosował tysiące środków ostrożności i jeszcze wieczorem zjawił się w niewielkiej kamieniczce w ósmej dzielnicy Paryża, tuż obok parku Monceau. Był pewien, że nikt go nie śledził - i nie mylił się.

A jednak dokładnie w tym miejscu odnaleźli go agenci Ariasa: już od dwudziestu czterech godzin samochód DGSE stał ukryty w pobliżu

tej kamienicy. Właśnie tutaj, do tego zwyczajnego budynku mieszczącego lokale biurowe do wynajęcia, szybkim - może zbyt szybkim - krokiem wszedł Delange poprzedniego dnia, aby odebrać telefon od Saxona i umówić się z nim na spotkanie w Szwajcarii.

W jakiś czas po Mnichu wszedł tam inny mężczyzna, około pięćdziesiątki, o siwych włosach. Wszedł niecałe pół godziny później i na rozkaz Ariasa zaczęto go śledzić.

Udał się do jednego z większych paryskich hoteli, spędził tam noc i następnego dnia wczesnym rankiem pojechał na lotnisko Roissy-Charles-de-Gaulle. Ani szczerze zresztą informacje zebrane na temat siwego mężczyzny, ani nawet zdjęcia zrobione z ukrycia w niczym Ariasowi nie pomogły. Człowiek ten był zupełnie nieznanym i takim miał pozostać. Później zorientowano się, że jego tożsamość, według wszelkiego prawdopodobieństwa, jest fałszywa, fizjonomista ze służb specjalnych zauważył zaś, że twarz tego mężczyzny nie jest jego własną twarzą, inaczej mówiąc - została zmieniona przy pomocy chirurgii plastycznej.

Tak więc Arias nie wiedział, kim jest nieznajomy o siwych włosach, ale tego ranka jakoś nie troszczył się o to. W tym momencie liczyły się dla niego dwie rzeczy: przede wszystkim fakt, że nieznajomy był w kontakcie z Mnichem, i po drugie, ważniejsze, że wsiadł do samolotu Swissairu lecącego do Genewy.

Siwy nieznajomy nie był jednak zwyczajnym podróżnym. Był to człowiek, który kierował masakrą niewinnych członków „Airways”, herszt morderców, którzy paraliżowali ruchy Saxona w Związku Sowieckim.

Pułkownik Thomas Arias był informowany na bieżąco, prawie co godzinę, o ruchach siwego nieznajomego.

Dowiedział się, że zaraz po przylocie do Genewy człowiek ten udał się bezpośrednio do hotelu Noga-Hilton, gdzie zarezerwował na cały tydzień całe szóste piętro. Rezerwacji dokonano na nazwisko niejakiego Heinrichena, a należność została uregulowana z góry za pośrednictwem znanego banku genewskiego.

Jeszcze przed południem przyjechało do nieznajomego pięciu współpracowników.

Wczesnym popołudniem grupa ta trzema samochodami – dwa BMW i mikrobus - dojechała do Montreux. Siwowłosy nieznajomy zatelefonował do kogoś z budki ulicznej, po czym kilka minut później wszystkie trzy samochody wjechały na podziemny parking. Zaraz potem stamtąd wyjechały i skierowały się na drogę prowadzącą do Genewy. Drobnym szczegółem: w drodze powrotnej okna w mikrobusie były zasłonięte. Po przybyciu do hotelu Noga-Hilton trzy samochody wjechały na podziemny parking hotelowy. Pomimo szybkości i skuteczności, jakiej dali dowód członkowie grupy Heinricha przy zmianie wind na parterze, jeden z agentów ekipy pościgowej zdążył dostrzec, że grupa powiększyła się o dwie osoby. Jedną z tych osób była z całą pewnością kobieta, drugą - mężczyzna odpowiadający rysopisowi Saxona.

- Mamy ich! - rzekł Arias przez telefon, po wysłuchaniu sprawozdania z całego dnia.

- Na to wygląda.

- Co pan o tym myśli?

- To chyba coś w rodzaju ewakuacji.

- Zgadza się - powiedział Arias po chwili milczenia. - Moglibyście go schwytać?

- Trudno będzie. Chyba żeby wywołać wojnę. Jest tam chyba z piętnaście pokoi, nie wiadomo, w którym go szukać. W dodatku pilnują całego korytarza. Jedyne możliwości to dopaść go przy wyjściu. Co to za jedni? Ma pan o nich jakieś wiadomości?

- Jeszcze nie - odpowiedział trochę zaniepokojony Arias.

- Co robimy?

- To co było zaplanowane. Spuszczajcie psy i wynoście się.

Tego samego wieczoru do Noga-Hilton przybyło ośmioro dodatkowych gości. Czwooro spośród nich nie miało rezerwacji, niemniej dostali pokoje. Były to dwie pary młodych Koreańczyków. Mieli dość swobodny sposób bycia i cieszyli się z podróży, jaką właśnie odbywali po całej Europie.

W rzeczywistości byli pochodzenia wietnamskiego, przyjechali z Marsylii i przebywali w Genewie już od czterdziestu ośmiu godzin.

To były owe noże, które Arias chciał wbić w plecy Saxona.

Tego samego wieczoru w zamku La Tour-du-Lis zebrali się gestorzy „Gromu”. Mieli zapoznać się ze szczegółami rozmów Saxona z Matthiasem Delange i dać ostatecznie zielone światło dla „eksfiltracji” Michaela Devesa i Marii d'Elancourt ze Szwajcarii, a nawet z Europy.

Koszta całej operacji, a zwłaszcza cztery miliony dolarów przyznane w końcu Devesowi, nie wzbudziły najmniejszych zastrzeżeń. Uratowanie „Gromu” nie ma ceny.

Sposób „eksfiltracji” natomiast wywołał pewien niepokój. Deves przyjął pomoc tylko po to, aby bezpiecznie opuścić Europę i udać się do Kanady. Potem miał rozpląnąć się w przyrodzie.

Ten właśnie aspekt szczególnie zainteresował młodego deputowanego Francisa Davleta.

- Jest szansa, aby to się udało? - spytał.

- Z fałszywymi dokumentami i pieniędzmi, którymi dysponuje, z jego możliwościami, jest duża szansa, owszem - odpowiedział Mnich.

- Czy nie wynikną z tego jakieś kłopoty?

- Co pan ma na myśli?

- Sam pan powiedział: pozostaje pewien element ryzyka, który może zagrozić naszemu przedsięwzięciu.

- Tak, ale słaby - rzekł Mnich.

- Słaby, ale jednak jest - odrzekł Davlet.

- Zgadza się.

- Chcę powiedzieć - podjął Davlet po chwili wahania - że jeśli mu się uda, nie będziemy mogli już go kontrolować. Niczego już nie będziemy mogli kontrolować... Skąd wiadomo, co się wtedy stanie?

- On już zrozumiał, że w jego interesie leży, aby nie robił głupstw. Myślę też, że życzy sobie tylko jednej jedynej rzeczy: zniknąć i zostać zapomnianym.

Krótką chwilą milczenia.

- Być może, Matthias - wtrącił Robert Saint-Jean, były szef francuskich służb specjalnych. - Chodzi o to, że ryzyko, jakie nam grozi z jego strony, ciągle istnieje, nawet jeśli jest niewielkie. Czy tak może być? Czy to dopuszczalne?

- Nie, oczywiście, że nie - rzekł w końcu Mnich. - Ale na razie tego

ryzyka nie da się usunąć. Będziemy musieli tym pokierować, nie ma innego wyjścia.

- Nie zapominając o Garbo - dodał z powagą generał Charles De Lorraine, szef sztabu armii.

- Nie zapominając o Garbo, rzeczywiście - także z powagą potwierdził Mnich.

Gestorzy „Gromu” mieli nadzieję, że Saxon dostarczy im danych, które pomogą zidentyfikować Garbo, kreta KGB w DGSE, ale nic takiego nie nastąpiło. Saxon nic nie wiedział o Garbo.

Zapadło ciężkie milczenie.

- Nieźle się zapowiada - westchnął Davlet.

Generał Roger Frank Kieffer, szef sztabu prezydenta Republiki, uśmiechnął się do Davleta współczująco.

- Nie stawia nas to w zbyt komfortowej sytuacji, to jasne - rzekł. Mówił raczej do Starożytnych niż do młodego posła. - Ale czy ktoś z nas przypuszczał kiedykolwiek, że stanie się inaczej? Kto z nas wyobrażał sobie, że uwikłanie w sprawę, nad którą pracujemy, pozwoli na spokojne, beztroskie życie?

Znowu chwila milczenia.

Wreszcie młody poseł zwrócił się do Delange'a:

- Gdy mówi pan: „pokierować” ryzykiem, jakie stanowi dla nas ten człowiek, co właściwie pan przez to rozumie?

- W najbliższym czasie zrobić wszystko, aby zachować status quo, utrzymać ryzyko w takich granicach, w jakich mieści się obecnie... A w przyszłości zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby sprowadzić to ryzyko do zera.

- Czy to nie jest... nie do pogodzenia?

- Nie, to po prostu pewna trudność, którą należy jednak pokonać.

Młody poseł dał znak, że rozumie.

- To jest bezwzględne - rzekł.

- Tak jest, istotnie.

- Ale nie mamy wyboru - dodał jeszcze Davlet nie spuszczać oczu z Mnicha.

- Nie.

Milczenie.

- Jest pan pewien, że uda się go odnaleźć?

- W końcu go odnajdziemy, wcześniej czy później. Znajdziemy w

tym wszystkim jakąś lukę. Musimy... To tylko kwestia czasu. Wyłącznie kwestia czasu.

Młody poseł otworzył usta, ale stało się coś, co odjęło mu nagle głos. Coś, co sprawiło, że Starożytni pobledli i znieruchomieli. Coś, co nigdy nie wydarzyło się podczas poprzednich zebrań.

W głębi salonu zadzwonił telefon.

Przy czwartym dzwonku Mnich podniósł się z miejsca i poszedł odebrać.

- Tak?

- Wypadek drogowy - powiedział męski głos w słuchawce.

Delange drgnął. Człowiek po drugiej stronie telefonu był odpowiedzialny za bezpieczeństwo spotykających się tu gestorów „Gromu”. „Wypadek drogowy” - to oznaczało, że jeden z nich był śledzony w drodze do zamku i że, aby temu przeszkodzić, spowodowano prawdziwy wypadek drogowy. Przed przybyciem do zamku każdy z gestorów musiał przez chwilę kluczyć po drogach, co pozwalało strażnikom wypatrzeć samochód jadący w ślad za nim.

- Kto był śledzony - spytał Mnich.

- Pan.

- Cholera...

- Spokojnie, wypadek ich zatrzymał.

- Dlaczego dopiero teraz telefonujecie?

- Czekałem na wynik dochodzenia. Te typy, które pana śledziły, należą do ekipy Ariasa.

Mnich odłożył słuchawkę i natychmiast powiadomił pozostałych gestorów. Dodał, że poprzedniego dnia, na lotnisku w Lozannie, gdy już wracał do Paryża, dostrzegł jednego z ludzi Ariasa. Rozpętała się dyskusja na temat niebezpieczeństwa, jakie może spowodować działalność Ariasa. Poczynania pułkownika mogłyby zakłócić przebieg „eksfiltracji” Saxona. Zastanawiano się też nad podjęciem ewentualnych kroków w celu powstrzymania tej akcji. Koniec końców przeważało zdanie Delange'a, który twierdził, że na razie nie powinno się nic robić w tym kierunku.

- Nie należy reagować - oświadczył, zwracając się do Davleta, który sugerował, że w ostateczności można skontaktować się z pułkownikiem Ariasem i dopuścić go do tajemnicy. - To przedwczesne i mogłoby być niebezpieczne. Na razie, powtarzam, zupełnie niepotrzebne. Nawet jeśli posunął się jeszcze dalej, jest już za późno... Ma



za duże opóźnienie. Zmienimy tylko jedno. - Mnich zwrócił się do Saint-Jeana. - Skoro tak się mną interesuje, może lepiej będzie, jeśli jutro pojedzie do Genewy. - Saint-Jean zgodził się milcząco. - Przez ten czas zajmę ich czymś. Będziemy też musieli zmienić miejsce zebrań trochę wcześniej, niż było to przewidziane. W odpowiednim czasie przeanalizujemy kwestię Ariasa. Zobaczymy, co z tym fantem zrobić - nieprzeniknionym wzrokiem popatrzył na Daveleta. - Najważniejsze to, żeby pan jutro zabrał Saxona samolotem z Genewy. Żeby Saxon znalazł się poza ich zasięgiem.

- Słucham - rzekł Arias do telefonu.

- Mnich wrócił do domu.

- Co to za wypadek?

- Miał pan rację, to nie był wypadek. Chłopaki są w marnym stanie. Kierowca jest pewien, że kolizja została rozmyślnie spowodowana. O mało nie władowali się...

- Od dzisiaj za Mnichem będą jeździć dwa samochody - przerwał Arias oschle. - Jeśli to się powtórzy, drugi samochód pojedzie dalej. Bez zatrzymania.

- Tak jest.

Arias odłożył słuchawkę, ogarniał go coraz większy niepokój.

Co to mogło znaczyć? Nigdy nie przyszło mu do głowy kwestionować lojalności Mnicha. Do dzisiaj sądził, że Mnich działa na rachunek służb specjalnych, w imię „wyższych interesów”, których on sam nienawidził z racji swego przywiązania do Avarone'a, ale które rozumiał, choć nie mógł ich uznać, nawet nie starał się uznać... Teraz niczego już nie był pewny. Czy możliwe, że Mnich od samego początku prowadził własną grę? Jego postępowanie, zachowanie, wszystko na to wskazywało. Mnich wszystkimi siłami starał się chronić Saxona. Mordercę i... zdrajcę.

Chronił zdrajcę!

Z kim i przeciw komu działa Mnich?

Najpierw polowanie, powiedział sobie Arias z głęboką determinacją. Potem zajmiemy się Mnichem. Ale w pierwszym rzędzie Saxon!

Wykręcił numer telefonu w Genewie.

- Tak? - odpowiedział męski głos.

- Flaga.

- Czerwony pies.
- Co się dzieje?
- Zmiennicy są na miejscu.
- Dajcie sygnał - rozkazał Arias. - I kończcie.
- Rozkaz.

Matthias Delange prawie nie zmrzył oka tej nocy. Gdy w jego niewielkim mieszkaniu nie opodal Luksemburga w Paryżu tuż przed ósmą rano zadzwonił telefon, od dłuższego czasu był już na nogach, ogolony i ubrany. Pił właśnie drugą filiżankę kawy.

- Halo?
- Dzień dobry, czy jest Jean? - spytał kobiecy głos.
- Kto?
- Jean...
- Pod jaki numer pani dzwoni?
- Musiałam się pomylić, przepraszam - połączenie przerwano.

Delange powoli, z ulgą odłożył słuchawkę. Robert Saint-Jean bez przeszkód odleciał do Genewy.

Podszedł do jednego z okien salonu wychodzących na ulicę. Ciągłe tu byli, w szarym peugeocie, którego zauważył wczorajszej nocy, gdy wracał do domu. Popatrzył w głąb ulicy, ale nie dojrzał niczego nadzwyczajnego. Czy byli jeszcze inni? Rzecz bardzo możliwa, ale jakie to ma znaczenie?

Odszedł od okna i zaczął zastanawiać się, co też mógłby zrobić, aby rozerwać trochę szpicli z DGSE. Teraz, gdy Saint-Jean odleciał, czy to potrzebne? W południe wszystko będzie skończone. O tej godzinie Saint-Jean znajdzie się prawdopodobnie w samolocie powrotnym. Miał tylko odnaleźć Devesa i tę dziewczynę, odstawić ich do Londynu, dać im plik fałszywych dokumentów i dopilnować, aby wsiedli, cali i zdrowi, do samolotu Air Canada lecącego do Montrealu.

Nie powinna pojawić się żadna nieprzewidziana przeszkoda. Teraz już nie. Za późno na to. Delange pomyślał o Ariasie i wtedy wróciły te same pytania, które dręczyły go w nocy: dlaczego jest śledzony? Od kiedy? Jaki zrobił błąd?

Zastanawiał się nad tym przez całą noc i nie znalazł odpowiedzi. Był przekonany, że nie popełnił żadnego błędu i dlatego właśnie sytuacja wydawała mu się naprawdę niepokojąca. Jeśli nie popełnił błędu, to jak wytłumaczyć fakt, że jest śledzony. Chyba tylko tym, że Arias dysponuje informacjami, których on, Delange, nie zna; nie zna ani ich natury, ani pochodzenia. Jeśli rozpatrywać rzecz pod tym kątem, należałoby koniecznie zadać sobie pytanie: „jak?” Jak informacje te dotarły do Ariasa? Jak je zdobył?

Czy możliwe, że Arias jest kimś więcej?

Czy możliwe, że to on jest... Garbo?

To wydało mu się bezsensowne. Dlatego właśnie nie był w stanie całkiem tego wykluczyć. Zdrajca, kret, co charakterystyczne, zawsze stara się być wolny od wszelkich podejrzeń. Arias od samego początku, od śmierci Avarone'a ustawiał się na pozycji zupełnie czystej i mocnej. Ze wszystkich funkcjonariuszy służb specjalnych był najbardziej zawzięty w pościgu za Saxonem... Czy Arias to Garbo? Nonsens! Jak więc wytłumaczyć fakt, że uparcie zbliżał się do celu? Davlet ma rację, pomyślał, gdy przypomniał sobie sugestię młodego pośła. Trzeba zbliżyć się do Ariasa, a im szybciej, tym lepiej.

Rozważania przerwał dzwonek do drzwi.

Na gosposię jeszcze za wcześnie, pomyślał idąc w stronę wejścia. Na pewno dozorca w sprawie tego przecieku w łazience.

Otworzył nic nie podejrzewając. I stanął jak wryty.

Człowiekiem, który stał w progu, był Thomas Arias.

- Co pan rozumie przez słowa „równie dobrze”? - spytał Arias, nie starając się ukryć nieufności.

Obaj mężczyźni stali pośrodku salonu twarzą w twarz, oddaleni od siebie o kilka kroków. Nie spuszczały się z oczu, obaj mieli się na baczności. Każdy z nich wyczuwał u drugiego obawę, co jeszcze bardziej wzmacniało jego własny lęk.

- Thomas, musimy porozmawiać.

- Naprawdę?

- Przecież po to chyba pan tu przyszedł? - rzekł Delange z ledwo wyczuwalnym niepokojem.

- Jeszcze nie wiem, po co tu przyszedłem - powiedział w końcu Arias jakimś dziwnym głosem.

W spojrzaniu Mnicha zaskoczenie ustąpiło miejsca uldze. Twarz Ariasa ściągnęła się nieco.

- Nie usiądzie pan? - spytał Delange.

- Wolę stać.

- Niech pan usiądzie. Musimy...

- Matthias, mam broń - powiedział chłodno Arias.

- Ach tak! - Delange był zaskoczony.

- Zawsze ją noszę.

- Tak?

- Chciałem, żeby pan o tym wiedział, to wszystko.

Mnich zawahał się.

- Jak pan widzi, ja nie jestem uzbrojony - powiedział z coraz większą ulgą. - Jeśli panu to nie robi różnicy, wołałbym usiąść. - Usiadł na kanapie. - Proponuję panu zrobić to samo - Poczekał, aż Arias usiądzie w fotelu naprzeciw niego. - Dla pana informacji - powiedział z miną nagle poważną - jeszcze pięć minut temu, gdyby sytuacja się odwróciła, gdybym to ja przyszedł do pana, najprawdopodobniej także wziąłbym ze sobą broń. Bardzo możliwe nawet, że nie poszedłbym do pana sam... Ale teraz mam wrażenie, że byłaby to zbyt dobra przezorność.

Pułkownik Arias ani drgnął.

- Mniejsza z tym - powiedział Delange po chwili namysłu. Miał stroskaną minę. - Thomas, muszę pana o coś prosić, to bardzo ważne... - zamilkł widząc pogardliwy uśmiezek Ariasa.

- O co chodzi?

- Wiedziałem, że pan to powie.

- Wiedział pan?

- Tak. To zupełnie niepotrzebne.

- Co jest niepotrzebne? O czym pan mówi?

- Polowanie na Saxona nie zostanie odwołane. Musi osiągnąć cel.

To zrobiło wrażenie na Mnichu. Nieco zakłopotany popatrzył na Ariasa przeciągle; wyglądało to, jakby oczami chciał pojąć to, czego umysł nie był w stanie zrozumieć.

- Nie o to chciałem pana prosić, myli się pan – powiedział niepewnie. - Myli się pan! Nie chcę, żebyście wstrzymali pościg, tylko nie to!

Zamilkł na chwilę, zawahał się, potem poczuł niepokój, wreszcie się zdecydował.

- Chcę pana prosić, abyście zrobili tak, by polowanie zatrzymało się samo z siebie, z braku tropów, z braku impulsu... Nie mogę panu wytłumaczyć dlaczego, nie mam prawa, zresztą za długo by to trwało. Później pan zrozumie... później panu to wyjaśnimy. Tak. W tej chwili natomiast najważniejsze jest, aby zrobił pan to, o co proszę. Dlaczego twierdzi pan, że to niepotrzebne?

- Bo jest niepotrzebne.

- Co to znaczy? - spytał Delange.

- Już za późno, Matthias.

- Za późno?

- Tak, za późno. Przewidziałem to. Nie sądziłem, że to wyjdzie od pana i w taki sposób... ale to i tak niczego nie zmieni. Saxon zapłaci za to, co zrobił, i teraz nic ani nikt w tym nie przeszkodzi. Pytanie, które się teraz nasuwa, brzmi: czy tylko on za to zapłaci? Wiem, że pan mu pomaga, wiem, co pan zrobił - głos Ariasa stawał się groźny.

- Po której stronie pan stoi, Matthias?

Mnich zbladł.

- To niemożliwe! Pan nie wie... pan nie może wiedzieć, gdzie on jest!

- Genewa, Hilton - rzekł spokojnie Arias. I jakby nie chciał, aby Mnich doszedł do siebie, ciągnął dalej, szczegółowo relacjonując okoliczności, w jakich odkrył miejsce pobytu Saxona. - Jeszcze raz pytam - powiedział na koniec - po której stronie pan stoi? Dlaczego pan to zrobił?

Delange był sinoblady, siedział jak sparaliżowany. Teraz już rozumiał, jaką drogą poszedł Arias, i z całą pewnością wiedział, że młody pułkownik nie jest Garbo... Ale jakie znaczenie to wszystko miało teraz?

- Pan się myli... - powiedział cicho stłumionym głosem. Zamknął oczy i krzyknął: - Pan się myli! Pan robi okropny błąd! Błąd, który wywoła katastrofę!

- Katastrofę dla kogo? - spytał spokojnie Arias.

- Na Boga, Thomas, niech pan zamilknie! Niech pan posłucha! Pan się pomylił! Deves nie jest mordercą Avarone'a i Nevillesa!

Słyszysz pan?! To nie on! I nie jest zdrajcą! Słyszysz pan? - Delange prawie ryczał. - Czy pan słyszysz co mówię? Deves jest niewinny! Niewinny!

- Pan oszalał! - krzyknął Arias, kompletnie zbity z tropu.

- Thomas, niech pan posłucha! Ten człowiek działał w samym sercu operacji specjalnej, której znaczenia, znaczenia dla kraju, nawet pan nie może się domyślić! Powtarzam, nie mogę panu powiedzieć, o co chodzi, nie wolno mi, przynajmniej na razie. Dowie się pan później, może później, ale na razie to niemożliwe. Musi pan mi uwierzyć! Musi pan mi zaufać! Jeśli ten człowiek zginie, nastąpi nieodwracalna katastrofa! Katastrofa, z której już się nie podniesiemy, ani pan, ani ja, ani nikt!

- Co pan opowiada? Pan oszalał!

- Na miłość boską, Thomas, niech mnie pan posłucha!

- Naprawdę myśli pan, że w to uwierzę?

- To prawda!

Młody pułkownik zamilkł. Teraz i on był zbity z tropu.

- To prawda, Thomas.

- A list Avarone'a?

- To montaż - rzekł Delange. - Deves nie jest zabójcą Avarone'a, Thomas, przysięgam panu. - Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. - Deves nie zabił Avarone'a, Thomas, ale musi pan wiedzieć jedno: zrobię wszystko, powtarzam: wszystko, aby dalej wierzone, że to on jest winny. - Zamilkł na chwilę. - Rozumie pan, co powiedziałem? To bardzo ważne, aby dalej wierzone, aby sowieci dalej w to wierzyli!

Patrzył na Ariasa, wyczuwał jego wahanie. Mówił więc dalej, uprzedzając następne zastrzeżenia, tak jakby chciał zdusić je w zarodku.

- Fotografia zrobiona przez FBI w Nowym Jorku, masakra w le Printemps i cała reszta to tylko pozory, pozory, które obróciły się przeciw niemu... Które obrócono przeciw niemu.

- Kto?

- Ten, kto zabił Avarone'a - odrzekł Delange. Dostrzegł błysk w oczach młodego pułkownika. - Nie wiem, kto to jest - westchnął i wzruszył ramionami. - Nie będę tym pana zanudzał, nie wiem... W pewnej chwili myślałem nawet, że to mógłby być pan...

- Ja? - spytał Arias osłupiały ze zdumienia.

- Tak, pan. Kiedyś pan zrozumie dlaczego. Jest pan teraz w to wpłątany - powiedział Delange. - Czy pan tego chce, czy nie, jest pan wpłątany, za dużo pan wie. Kiedyś pan to zrozumie, słowo daję, zrozumie pan.

Zapanowała cisza.

Mnich patrzył Ariasowi prosto w oczy i drżącym głosem powiedział:

- Thomas, nie wiem, co pan narozrabiał... ale musi pan odwołać rozkaz. Niech pan znajdzie jakikolwiek pretekst, byle co, ale niech pan odwoła ten cholerny rozkaz!

Młody pułkownik zeszywniał. Delange wybuchnął:

- Thomas, zaklinam pana! Niech pan zrobi to, o co proszę!

Arias znieruchomiał, po chwili nieco się odwrócił i bezsilnie pokręcił głową.

- Dobrze! Niech pan dzwoni do Pałacu Elizejskiego! - krzyknął Delange ze złością. - Niech pan poprosi szefa sztabu prezydenta! - Arias spojrział na niego z zaskoczeniem i niepokojem. - Na Boga! Niech się pan pospieszy! Niech pan dzwoni do Pałacu!

- Nie ma potrzeby - rzekł Arias coraz bardziej zakłopotany.

- Co?

- Za późno. Nie mogę już tego zatrzymać.

- Co pan mówi?! - ryknął Delange.

Młody pułkownik powiedział, że rzucił na Saxona zabójców wynajętych poza służbami specjalnymi, z którymi nie ma już żadnego kontaktu, żadnych powiązań. Wyjaśnił, dlaczego tak postąpił.

- Nie wiem, kim są ani jak wyglądają - powiedział rozdrażniony. - Werbunek taki odbywa poprzez dwa pośrednie ogniwa. Potem ogniwa odrywają się od siebie i każdy idzie w swoją stronę. Nie można już zatrzymać tej akcji.

- Na Boga! - zagrzmiał Mnich z rozpaczą. - Ale dlaczego, ciężki idioto? Dlaczego pan to zrobił? Wszystko pan popsuje! Co pana napadło, na Boga? Na Boga!

- Powiedziałem panu dlaczego! - wrzasnął Arias. - Skąd miałem wiedzieć, do cholery! - Opanował się nieco i powiedział szybko: - Ja ze swej strony nie mogę nic zdziałać, teraz tylko pan może wejść do akcji. Niech pan zaalarmuje ludzi, którzy go chronią.

- Nie mogę! - krzyknął Delange ogarnięty paniką. - Cała operacja została dla bezpieczeństwa podzielona na krótkie odcinki. Nawet nie



wiedziałem, że są w Hiltonie, w Genewie! Nie wiem, pod jakim nazwiskiem wynajęli pokoje, ani Deves, ani grupa, która go ochrania. Nie wiem nic! A w tym hotelu musi być co najmniej czterysta pokoi!

- Chwileczkę!

- Co?

- Nazwisko, jakie podał przy rezerwacji pokoju... - Arias wbił wzrok w jakiś punkt przed sobą, westchnął skonsternowany - Cholera! Zapomniałem... Zapomniałem!

Mnich z przygnębieniem patrzył na Ariasa.

- Wszystko stracone - powiedział cicho.

Siedział nieruchomo, po chwili jego oczy zaokrągliły się. Otworzył usta. Zerwał się z miejsca i rzucił się w stronę telefonu.

„Nigdy nas nie dostaną”.

Maria kończyła właśnie kawę, stojąc przy oknie w pokoju hotelu Hilton.

Patrzyła na Jezioro Genewskie, nieco dalej widać było stare miasto. Słyszała plusk wody dochodzący z łazienki. Michael brał właśnie prysznic, słysząc też było stłumiony dźwięk telewizora z pokoju obok; tam przebywała grupa Heinrichena. Maria poczuła się samotna, trochę zagubiona, przygnębiona. W nocy źle spała. Niebo było szare. Jezioro wyglądało jak stalowa płyta. Mewy wlatywały w powietrze jak białe odłamki rozrywających się pocisków.

- Naprawdę pozwolą nam wyjechać? - spytała Michaela w nocy.

- Nie mają wyboru - odpowiedział.

- I zostawią nas w spokoju?

- Tak.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak.

- Michael?

- Nie - przyznał. - Ale nie denerwuj się, wiem, co trzeba zrobić. Zatrę wszystkie ślady, nawet nie będą mogli sobie wyobrazić, do jakiego stopnia... Do tego stopnia, że gdy mimo wszystko zechcą nas odnaleźć, będą musieli zacząć od zera i zrobić przegląd kolejno każdego z pięciu miliardów mieszkańców planety.

- To sporo pracy - powiedziała z rozbawieniem, prawie uspokojona.

- O wiele za dużo.

Nie słyszała już odgłosu lejącej się wody. Pomyślała o Michaelu, przywołała jego obraz i poczuła, że się uśmiecha. Poddała się temu uśmiechowi, uspokojona i szczęśliwa. Kocham go, pomyślała.

- Możesz tam iść - rzekł Michael wychodząc z łazienki. Zauważył jej spojrzenie.

- O co chodzi?

- O nic - powiedziała spokojnie i czule.

- Idź, pospiesz się - rzekł Michael i zaczął się ubierać. Stała nieruchomo, obserwowała go ze wzruszeniem. Spytała:

- Ożenisz się ze mną?

Podniósł głowę i popatrzył na nią. Błysk rozbawienia ukazał się w jego oczach.

- To będzie zależało.

- Od czego? - udała zaskoczenie.

- Umiesz gotować?

- Ach, ty... - parsknęła śmiechem.

- No, pospiesz się - powiedział biorąc pistolet i wkładając go za pasek. Powtórzył z czułością: - Ruszaj się, ruszaj się!

Robert Saint-Jean szedł za jasnowłosym mężczyzną w prochowcu koloru khaki. W chwili gdy przyciskając ręką na brzuchu poły czarnej płaszcza wchodził do budynku dworca lotniczego Genewa-Cointrin, zatrzymał go jeden z członków ekipy specjalnej. Był mocno zdyszany. Saint-Jean wysłuchał go, wziął z jego rąk kartkę papieru i pobiegł w stronę budki telefonicznej.

Wykręcił numer, otrzymał połączenie. Lekko zbladł i po trzydziestu sekundach odwiesił słuchawkę.

- Samochód! - krzyknął dobiegając do mężczyzny o jasnych włosach. - Jakikolwiek samochód! Szybko!

- Każę wyprowadzić samochody. Niech stoją przed hotelem, tak będzie lepiej. Parkingu nie da się dokładnie ogarnąć wzrokiem, a poza tym lepiej nie powtarzać dwa razy tego samego. Dwaj kierowcy zajmą się samochodami i wyjściem. Jednego człowieka zostawię w

hallu. Odprowadzimy pana we trzech, to powinno wystarczyć. Niech się pan nie przejmuję. Nikt nie wie, że jest pan tutaj, nawet Delange.

- A jednak się przejmuję - powiedział chłodno Michael.
- To zrozumiałe.

Michael obserwował człowieka o siwych włosach - to on kierował rzezią niewinnych członków „Airways” - i znowu zdołał okiełznać uczucia, jakie ten morderca w nim wzbudzał. I znowu udało mu się to bez trudu. Ogarnęło go obrzydzenie, poczuł się winny. Tak jakby nic innego nie istniało, nic nie miało znaczenia, a jakaś część jego samego, najbardziej ukryta, najbardziej tchórzliwa, uparcie i na przekór wszystkiemu kazała mu widzieć rzeczy w ten właśnie sposób.

Pomyślał o Marii, tylko o Marii, i zrozumiał, że po prostu nie może być inaczej.

- Coś nie tak? - zaniepokoił się człowiek o siwych włosach.
- Nie, wszystko w porządku.
- Dobrze. Proszę zostać w pokoju, przyjdę do pana.

Deves wszedł do sąsiedniego numeru, który był połączony z jego pokojem.

- Jesteś gotowa?
- Tak - odpowiedziała Maria. Chciała wstać z łóżka, na którym siedziała już ubrana do wyjścia.
- Nie, nie - rzekł Michael. - Mamy jeszcze pięć minut.

Opadł na fotel, zapalił papierosa. Patrzył, jak Maria z powrotem siada na łóżku i opiera się plecami o ścianę. Była blada, napięta. Dobrze jest, jak jest, pomyślał. Zmusił się do uśmiechu, aby ukryć napięcie i uspokoić ją.

- Na co czekamy? - spytała.

Wyjaśnił.

- Mam już dość - rzekła. - Chciałabym, żeby to już się skończyło.
- Niedługo się skończy, nie martw się.
- Nie martwię się.
- Nie ma żadnego powodu, żeby się tak przejmować.
- Nie przejmuję się.

Michael odetchnął głęboko.

- Jestem wykończony - powiedział.

Maria patrzyła na niego z niepokojem i nic nie mówiła. Rozejrzał się po pokoju:

- Niczego nie zapomniałaś?

- Nie.

Odwróciła głowę. Ciągle milczała.

- Rozluźnij się - rzekł. - Wszystko jest w porządku.

Przytaknęła lekkim ruchem głowy i zacisnęła wargi.

- Pojadą z nami do Londynu? - spytała nie patrząc na Michaela.

- Nie wiem. Tak sądzę... Dlaczego pytasz?

- Chcę wiedzieć, nie wyglądają najprzyjemniej...

- Tak.

Ktoś zapukał do drzwi.

Michael musiał siłą się powstrzymać, aby nie skoczyć na równe nogi.

- Tak?

W drzwiach ukazał się człowiek o siwych włosach.

- Idziemy? - spytał.

- Idziemy - powiedział Michael biorąc pod rękę Marię, która do niego podeszła.

Korytarz był pusty. Miał około trzydziestu metrów, nieco zakręcał na końcu, tuż przed windami. Panowała zupełna cisza. Grupa ruszyła w milczeniu. Heinrichen, człowiek o siwych włosach, szedł obok Michaela i Marii, jeden z jego ludzi szedł na czele orszaku, drugi zaś z tyłu. Mokiet zagłuszał odgłos kroków, słychać było tylko szelest ubrań.

Po przejściu dwóch trzecich odległości mężczyzna, który prowadził, dał znak ręką.

- Zwolnijcie trochę - powiedział człowiek o siwych włosach. Przed windami stała kobieta, brunetka, raczej wątłej budowy, w kurtce z ciemnego futra, oczy miała ukryte za dużymi, ciemnymi okularami. Na krótką chwilę odwróciła głowę w stronę nadchodzącej grupy, po czym znowu przeniosła wzrok na drzwi wind. Nacisnęła guzik wyraźnie zniecierpliwiona. Była Azjatką, pochodziła z Wietnamu. Winda otworzyła się, dziewczyna weszła do środka.

- Idziemy - powiedział siwy mężczyzna.

Grupa doszła do wind, jeden z mężczyzn nacisnął przycisk. Mijały sekundy. Dwie sprzątaczkę, Turczynki, przeszły korytarzem pchając wózek przepełniony brudną pościelą; rozmawiały półgłosem nie zwracając uwagi na niewielką grupkę. Rozległ się dzwonek i rozsunęły się drzwi windy. Wewnątrz stały trzy osoby. Stały nieruchomo, jak zaczarowane muzyką płynącą z głośnika; wyglądały jak figurki z pozytywki. Człowiek o siwych włosach dał znak, aby się nie ruszać.

Po chwili powtórzyła się taka sama sytuacja.

- Równie dobrze można by było zejść schodami - ironicznie, trochę nerwowo powiedziała Maria.

Trzecia próba udała się. Grupa weszła do windy. Dwaj współpracownicy Heinrichena ustawili się ramię w ramię przy drzwiach, tak aby nikt nie mógł wsiąść, gdyby winda zatrzymała się na którymś z pięter. Michael i Maria opierali się o tylną ścianę windy. Wymieniali krótkie spojrzenia, po chwili Michael zerknął na cyfry wskazujące piętra. Gdy zaświeciło się „o”, lewą ręką wziął Marię za ramię, prawą włożył pod połę kurtki i chwycił kolbę pistoletu.

Winda zakołysała się łagodnie i stanęła, drzwi się rozsunęły.

- Idź obok mnie - rzekł Michael do Marii dość głośno, aby przechrzycić zgiełk dochodzący z hallu.

- W porządku - powiedział jeden z mężczyzn, ten z przodu, gdy już ogarnął spojrzeniem cały hall.

- Idziemy - odezwał się Heinrichen. - Spokojnie.

Michael i Maria wyszli z windy. Trzy kobiety rozstały się, aby ich przepuścić, po czym weszły do kabiny. Dwie starsze wesoło rozmawiały po angielsku, trzecią była młoda szczupła Azjatka otulona beżową kurtką. Michael nie zwrócił na nią uwagi - dlaczego miałyby zauważyć akurat ją? Nie widział, jak naciska guzik blokujący zamykanie drzwi do wind.

Grupka zatrzymała się na chwilę i znowu ruszyła.

- *What's going on? Doesn't work?* - spytała jedna ze starszych Angielek po wejściu do windy.

- *I don't know* - odpowiedziała młoda Wietnamka. Patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem, wkładając rękę pod kurtkę.

Kilka metrów dalej w fotelu siedziała druga Wietnamka w futrzanej kurtce. Zdjęła ciemne okulary i z papierosem w ręku zaczęła czegoś szukać w skórzanej torbie, którą trzymała na kolanach. Grupa

przeszła obok niej. Szli przez hall Hiltona wypełniony turystami z różnych krajów, biznesmenami, wędrującymi we wszystkich kierunkach klientami i pracownikami hotelu. Nie można było, zwłaszcza idąc, ogarnąć wzrokiem całego hallu. Duża przestrzeń, za dużo ludzi, zakamarków, zbyt ożywiony ruch. Michael dostrzegł, że jeden z ludzi Heinrichena idzie właśnie w stronę oszklonego wejścia.

- Nie ściskaj tak mocno, to boli - odezwała się Maria.

Grupa nie była jeszcze nawet w połowie drogi do drzwi, gdy nagle Heinrichen zatrzymał się. Jeden z jego ludzi natychmiast go zauważył, drugi szedł jeszcze parę metrów, zanim także się zatrzymał.

- Recepcja - powiedział spokojnie Heinrichen.

- Co się dzieje? - spytał szybko Michael.

Ujrzał starszego mężczyznę w czarnym płaszczu, trzymającego w ręce telefon i patrzącego w jego stronę; po chwili mężczyzna zwrócił się do stojącego obok kolegi, blondyna w prochowcu khaki. Blondyn także spojrział w stronę grupy Heinrichena.

- Co to za jedni? - spytał Michael przez zęby, poczuł prąd przebiegający przez całe ciało.

Mężczyzna w prochowcu zaczął się do nich zbliżać, ręce miał wyciągnięte, dobrze widoczne; za nim szedł starszy mężczyzna, który uniósł jedną rękę na znak pokoju.

- Zablokuj ich! - rozkazał Heinrichen jednemu ze swych ludzi. - A ty zabezpieczasz razem ze mną - rzucił w stronę drugiego, cofając się trochę i rozglądając wokół. - W tył zwrot - rzekł do Devesa, który pociągnął za sobą Marię. - Wracamy do windy...

Huk eksplozji, potężny, ostry, zagłuszył jego słowa. Naprzeciw recepcji wybuchła jedna z walizek, szklana ściana rozleciała się na drobne kawałki, odłamki szkła i strzępy ubrań opadły w różnych miejscach hallu, wlatywały obłoki pyłu. Chcąc odwrócić naszą uwagę, pomyślał Michael.

W następnej chwili w hallu Hiltona powstał wściekły, morderczy zamęt. Ze wszystkich stron dochodził huk wybuchów i serii wystrzałów, tak silny, że zagłuszał krzyki. Wybuchła panika. „Noże” Ariasa, wietnamscy mordercy, weszli do akcji.

- Na ziemię! - wrzasnął Heinrichen.

Zanim Michael zrozumiał, co się dzieje, dwaj ludzie Heinrichena już nie żyli. Zobaczył, że mężczyzna, który ich krył, przykucnął i strzelał do Wietnamczyka, przemykającego się bokiem i posyłającego

w ich stronę serię z pistoletu maszynowego. Michael poczuł silny ból w prawej nodze, oparł się o Marię w chwili, gdy Wietnamczyk dostał kulę w sam środek piersi i zwałił się do tyłu jak pociągnięty jakąś niewidzialną siłą. Michael, z pistoletem w rękę, obejrzał się za siebie i w ułamku sekundy dostrzegł człowieka w prochowcu strzelającego do kogoś, kogo nie było widać. Po chwili zobaczył krew na nodze Marii, chciał krzyknąć, spojrzał też na swoją własną nogę w podartych i zakrwawionych spodniach. Chciał zawołać Marię, ale tuż obok rozległa się seria ogłuszających wybuchów, towarzyszył im przenikliwy, nie-ludzki krzyk. Michael odwrócił się i ujrzał Heinricha strzelającego z pistoletu maszynowego do Wietnamki w futrzanej kurtce. Kobieta podskoczyła z krzykiem, potem już bez krzyku, wystrzeliła jeszcze w podłogę krótką serię ze swej broni, po czym upadła obok fotela, na którym siedziała jeszcze przed chwilą.

- Do wind, szybko! - krzyknął Heinrich. Zdążył się już podnieść, trzymał się za lewe ramię i celował we wszystkich kierunkach.

- Chodź! Szybko! - krzyknął Michael. Chciał pomóc Marii wstać, ale jego prawa noga ugięła się i oboje upadli.

- Michael! - Maria była przerażona.

- Nic, nic - powiedział usiłując się podnieść.

- Szybko! Szybko! - wrzeszczał Heinrich.

Michael szedł kulejąc, Maria podtrzymywała go, ściskając kurczowo. Kierowali się w stronę windy.

Od pierwszego wybuchu aż do tej chwili ta przerażająca strzelanina nie trwała dłużej niż dziesięć sekund. W ciągu tych dziesięciu sekund Michael nie miał nawet czasu pomyśleć; dopiero podczas drogi do windy jego mózg nagle zaczął funkcjonować. W ułamku sekundy powrócił obraz wietnamskiego zabójcy ostrzeliwującego hall, Wietnamki w futrzanej kurtce padającej na ziemię. Zobaczył przed sobą otwarte drzwi windy, jakieś sylwetki rysujące się w głębi kabiny, i w tym samym ułamku sekundy ujrzał twarz młodej kobiety w beżowej wiatrówce czekającej na windę... Wietnamka!

Zdążył tylko odepchnąć Marię na bok.

- Połóż się! - zawył celując z pistoletu.

W tej samej chwili ujrzał ogień wokół lufy pistoletu Wietnamki w wiatrówce - przypuszczał, że to była ona, nie widział jej twarzy, dostrzegł tylko płomień - i wiedział, że już jest za późno. Poczuł ból,

straszny ból w całym ciele i nie czuł już nic, nie czuł, że pada na ziemię, nie widział, że Wietnamka także upadła skoszona serią z pistoletu, nie słyszał nawet krzyku Marii.

Nic już nie czuł, niczego nie widział ani nie słyszał.

Nawet wycia Marii.

Wszędzie rozlegały się krzyki, wołania, jęki, płacze. Padały rozkazy.

- Odsuńcie ludzi! Odsuńcie ich!

I trochę bliżej:

- Jeszcze oddycha...

- Puśćcie mnie! Przepuśćcie mnie...! Michael! Michael! Powiedz coś! Michael, błagam cię, powiedz coś!

- Nie ruszajcie go! Zabierzcie go stąd!

- Nie! Michael...! Michael!

Był ból...

Ale jakiś dziwny ból, wewnętrzny i wszechwładny, który ogarniał go całego, towarzyszył mu, ochraniał go. Był z nim. Kazał mu cierpieć, ale przypomniał o istnieniu. Bolała każda cząsteczka ciała, tak jakby był jedną żywą raną.

Ten ból...

Czy to naprawdę ból? Tak, naprawdę. Jesteś pewien? Nie wiem. Boli mnie? Czy mnie boli? Boli. Gdzie mnie boli? Czy boli? Dobry Boże, czy mnie boli? Tak, boli... boli mnie, tak. To dobrze. Musi boleć. Tak. Ale nie za bardzo. Nie, nie za bardzo. Najlepiej by było, gdyby nie bolało za bardzo, gdyby bolało tyle, ile trzeba. Chciałbym, żeby nie bolało za bardzo. Nie powinienem być zbyt wymagający, prawda? Dobrze, że jest tutaj. Mam szczęście, że jest.

Och, ten ból... Ten ból, ten ból, gdzie on jest? Jest, nie denerwuj się, jest. Czujesz? Tak, czuję. Och tak, czuję. Ale można to wytrzymać, prawda? Tak... Można wytrzymać? Tak... Nie mogę się ruszać, ot co... Jeśli się nie ruszam, można wytrzymać. Nie trzeba się ruszać, pomyślał. Dokąd idziemy? Ty nie idziesz. Nie ruszaj się. Nie ruszam się... Nie ruszam się, ale chciałbym tylko wiedzieć, dokąd idziemy. Ty nie idziesz. Tym lepiej... Jeśli się nie ruszam, można to znieść. Żeby tylko



nie był zbyt silny, prawda? Może nie będzie. Leż spokojnie, nie ruszaj się. Nie ruszam się. Teraz musisz się oszczędzać... Moje ciało, moje biedne ciało... Dosyć już zniosło... Już wystarczy, nie trzeba tak go maltretować. Teraz ma prawo do większej troski z twojej strony. Nie sądzisz? Tak... Dokąd idziemy? Donikąd. Nie ruszaj się... Jest mi dobrze. Tym lepiej. Nie powinienem się ruszać, to wszystko. Dokąd idę? Donikąd, nie idziesz wcale...

Donikąd nie idę, pomyślał. Lecz jednocześnie miał wrażenie, że kuli się w sobie, w ciemności, że ogląda świat zewnętrzny z daleka, z bardzo bardzo daleka. Nie był tym przerażony. Po prostu nie rozumiał dlaczego. Po chwili powiedział sobie, że to normalne, ból i tyle... Nie bał się. Czuł w sobie życie. Naprawdę je czuł. Ciągłe było, było obecne. Żywe. Było po prostu zwinięte, skurczone w jego wnętrzu jak kulka, w najtajniejszym wnętrzu. W ukryciu.

Jestem chyba nieźle uszkodzony, pomyślał. Moje ciało... Biedne ciało. Ale to nic nie szkodzi, moje życie czuje się dobrze. Tak, dobrze. Dalej trwa. Wiem dobrze, czuję je, mogę je czuć. Ma może mniej przestrzeni, mniej miejsca, ale dalej trwa. Znalazło sobie miejsce, trochę mniejsze, ale czuje się dobrze. Jest tu, gdzie powinno być. Jest takie kruche... Tak, ale przecież zawsze takie było, takie jest, zawsze tak było. To całkiem normalne. Tu, gdzie teraz jest, ma się nieźle. Życie? Twoje życie. Tak, to moje życie! Boże! jest takie kruche! Chroń je, chroń je! Jest takie kruche, takie delikatne. Boże, jakie ono jest słabe! To normalne. Tak, wiem, że to normalne, ale jest takie kruche...

Boli, pomyślał. Naprawdę boli... Nie wiem, gdzie mnie boli... Ból całkowicie opanował jego ciało. Zobaczył twarze i zastanawiał się, gdzie one są, dlaczego je ujrzał. Nie rozumiał, dlaczego je widzi. Ten ból... Ból odpłynął nagle, Michael nawet sobie z tego nie zdawał sprawy. Ujrzał twarz Marii. Jej oczy. Błyszczały. Boże! Tak bardzo błyszczą. Jego oczy zasnuły się mgłą. Ale twarz Marii pozostała, patrzył na nią. Oczy Marii także na niego patrzyły. Czuł, że na niego patrzają, mógł je czuć, czuł także ich słodycz, czuł ją. Umrę, pomyślał. Popatrz na nią!

Popatrzył, a twarz Marii stała się taka łagodna i rozpyłyła się jak wspomnienie, czuł jak faluje i drga tuż obok niego. Dokąd idziemy...? Popatrz na nią! Jej twarz... Jej twarz... Jej twarz...

Wtedy zaczął się zastanawiać, czy zabierze ją ze sobą tam, dokąd idzie.

Wszędzie te same krzyki, te same wołania, jęki, płacze. Jakiś męski głos wrzeszczał, na próżno prosząc o ciszę. Inny głos, trochę bliżej:

- Co powiedział? Co on powiedział?

- Powiedział...

Rozległ się krzyk kobiety, całkiem blisko, rozdzierający krzyk kobiety.

- Co? Głośniej, nie rozumiem!

- Chciałbym, żeby to było możliwe.

- Co?

- Och, Boże. Nie! Michael! Nie! Michael...!

- Tylko to, proszę pani: chciałbym, żeby to było możliwe.

- Michael!

## Epilog

Upłynęło sześć miesięcy.

Był piątek. Popołudnie. Paryż. Ciepły słoneczny dzień późnego lata. Jeden z tych dni, kiedy godziny długo się wloką, kiedy wszystko wydaje się doskonale, błękit nieba, zieleń drzew, ciepło słońca na skórze i woń cienia na chodnikach, lekki wietrzyk przy rogu ulic, powietrze, którym się oddycha, mijane kobiety i miarowy rytm serca.

Naprawdę piękny dzień.

Maria szła szybkim krokiem po terenie wojskowego szpitala Valde-Grâce. Robiła wrażenie osoby spieszącej się, ale w rzeczywistości nie było jej spieszno. Minęła pierwsze podwórko i w miarę jak gęstniała cisza wokół niej, zwalniała kroku; zdjęła ciemne okulary, szła już wolniej, spokojniej, tak jakby malał jej rozpęd, jakby wiedziała, że to w zupełności wystarczy.

Jakby najcieńsze chwile były już poza nią.

Zbliżała się do dwupiętrowego budynku, stojącego lekko na uboczu na terenie północnej części szpitala. Weszła głównym wejściem, potem po schodach na górę. Unosił się tu ciężki, mdły zapach. Pchnęła masywne drzwi i znalazła się w długim, jasnym korytarzu; szła przed siebie nie patrząc na boki, na przeszklone pomieszczenia bez drzwi, gdzie na łózkach leżały półnagie ciała ludzi - jak się zdawało - śpiących. Tu i ówdzie słychać było ciche „bip-bip”, a także regularne, powtarzające się westchnienia. Minęła ją jedna z salowych, uśmiechnęła się do niej i powiedziała „dzień dobry”. Dyżurna pielęgniarka wyjrzała na korytarz, poznała Marię i także się do niej uśmiechnęła.

Maria przez chwilę z nią rozmawiała, po czym poszła dalej swoją drogą. Otworzyła następne drzwi i weszła do innego korytarza, biegnącego prostopadłe do poprzedniego, krótszego i ciemnego. Po prawej stronie na całej długości korytarza były drzwi do sal, miały małe kwadratowe okienka, poprzez które ukośnie padały na podłogę słabe, poszarzałe promienie dziennego światła. W głębi znajdowały się jeszcze drzwi na schody prowadzące na zewnątrz.

Maria szła naprzód przecinając świetlne promienie, zatrzymała się przed ostatnimi drzwiami po prawej stronie. Postąła tu chwilę z twarzą oblaną łagodnym światłem, z pustymi oczyma, jakby na coś czekała. Była blada jak pierrot.

Bez pukania otworzyła drzwi i weszła.

Żaluzje okienne zatrzymywały zbyt ostre popołudniowe słońce, w sali panowała przyjemna, kojąca jasność. Maria poczuła, że drzwi zamykają się za nią; patrzyła na okno i na wlewający się przez nie blask słońca. Usłyszała oddech, słuchała go przez chwilę. Powolny, regularny - zawsze regularny. Westchnienie, szelest...

Taki regularny, ciągle taki regularny.

Nie słyszała „bip-bip” aparatu kontrolującego serce, ale nie zaniepokoiło jej to, nawet nie zaskoczyło; bardzo często pielęgniarki ściszały dźwięk, bowiem na dłuższą metę stawał się trudny do zniesienia i nie był potrzebny. Wiedziała o tym, poszukała więc wzrokiem ekranu aparatu i obserwowała przez pewien czas drganie punkcików świetlnych.

Potem jej spojrzenie przeniosło się na łóżko, na którym leżał. Był przykryty prześcieradłem aż po klatkę piersiową. Wydawało się, że śpi.

W pokoju było tylko jedno metalowe krzesło z oparciem i siedzeniem z pasków skóry. Maria bezszelestnie podeszła do łóżka i usiadła. Nie patrzyła na niego. Patrzyła na jego rękę na prześcieradle, zawahała się chwilę, po czym ostrożnie wzięła ją w swoje dłonie. Była wiotka, raczej chłodna. Maria z wysiłkiem przelknęła ślinę, po czym cicho, tak jakby nie chciała go obudzić, powiedziała:

- Michael, to ja...

Zamilkła, jakby w oczekiwaniu na odpowiedź.

Słysząc było tylko oddech. Ciągłe taki sam. Ciągłe ten sam dźwięk, tak bardzo regularny.

Spojrzała na niego. Na jego twarz, na widoczny spod przylepca kawałek powieki. Wyglądał jakby spał, ale Maria wiedziała, że to nie sen. Ale wyglądał, jakby spał, tylko tyle mogła powiedzieć. W końcu przeniosła wzrok na czarną gruszkę aparatu wspomagającego oddychanie - pęczniała i kurczyła się. Pęczniała i kurczyła się...

Maria wyszeptała:

- W tym tygodniu nie przychodziłam często, bo... - poczuła ucisk w gardle. - Bo...

Odłożyła jego rękę na prześcieradło.

Czarna gruszka skurczyła się, Maria pomyślała, że chyba napęlnia się z lekkim opóźnieniem. Zamknęła oczy, usłyszała tchnienie; gruszka napęczniała i zaszeleściła, kurcząc się znowu. Maria otworzyła oczy, zabrakło jej powietrza. Wzięła głęboki oddech, prawie do bólu, wypuściła powietrze powoli, bardzo powoli i spojrzała na niego.

Wyglądał jakby spał.

Przez krótką chwilę miała do niego żal, potem jednak miała o to żal do siebie.

Wygląda jakby spał, a nie śpi. Wiesz o tym dobrze. Nikt tak nie śpi. Nikt. Nikt, wiesz dobrze... Popatrz... Dobrze wszystkiemu się przypatrz.

Zmusiła się do patrzenia: rurka wprowadzona do nosa, przez którą go odżywiają; kateter w szyi i rurka łącząca go z elektrycznym destylatorem mieszanki leków podtrzymujących pracę serca; rurka wprowadzona do tchawicy, przedłużona grubym, czarnym, giętkim przewodem do aparatu do sztucznego oddychania; sonda w prawym ramieniu do mierzenia skurczów serca; rurka widoczna pod prześcieradłem, prowadząca do zbiorniczka zawieszzonego na łóżku, w połowie wypełnionego moczem; elektrody na piersi połączone z aparatem kontrolującym pracę serca; rozległe sinofioletowe blizny na górnej części klatki piersiowej i z boku, na szyi. I wszystkie, których nie widać pod prześcieradłem, pomyślała. Popatrzyła na twarz: przylepce na zamkniętych powiekach, żeby nie mogły się podnieść, bo trzeba ochronić przed światłem rozszerzone źrenice; sine zabarwienie skóry, małe cząsteczki zastygłej krwi przy dziurce od nosa; ciemna

zaskorupiała krew po skaleczeniu obok ucha, skaleczeniu podczas golenia; jeszcze jedna ranka na brodzie. Mój Boże, te skaleczenia...

Patrzyła na to wszystko, patrzyła uważnie i długo, w końcu znowu przeniosła wzrok na czarną gruszkę, która pęczniała i kurczyła się...

Minęło sześć miesięcy.

Zapewnili Marię, że zostanie zrobione wszystko, aby go uratować, i mogła stwierdzić, że rzeczywiście zrobiono wszystko. Poprosili ją więc, aby w zamian „zneutralizowała” wydane przez Michaela Devesa dyspozycje zagrażające tajemnicy Saxona i kilku innym aspektom tej tajnej operacji. Oczywiście odmówiła. Poprzestała, zachowując największą ostrożność, na tym, co należało zrobić, aby dokumenty te, ukryte gdzieś w świecie przez Michaela - nie wiedziała, gdzie - nie ujrzały światła dziennego. Telefonowała więc w umówionych odstępach czasu do biur adwokackich w Nowym Jorku i Montrealu. Czyniąc to ani przez chwilę nie myślała o sobie, lecz wyłącznie o nim, przekonana, że będzie to jedyna gwarancja jego przeżycia.

Później, gdzieś w środku wiosny, powiedzieli jej - bo nie mogli inaczej postąpić, musieli powiedzieć - że nic więcej nie można zrobić, że nie zagraża już bezpośrednio niebezpieczeństwo, ale jest nieprzytomny, a oni nie wiedzą, jak długo to potrwa, nie mogą obiecać, że z tego wyjdzie, ale nie powinna tracić nadziei, bo są pewne oznaki... Pewne „sygnały elektryczne”, tak powiedzieli. Nie zrezygnują, zrobią wszystko, co trzeba, może być tego pewna. Trzymała się więc tej nadziei. Wierzyła w to. Nic nie mogło zniszczyć tej nadziei, ani upływający czas, ani to, że każda wizyta uświadamiała jej, jak ciężki jest jego stan. Dzięki niezręcznościom czy zwierzeniom personelu nabierała stopniowo pewności, że Michael nigdy nie odzyska władzy w rękach i nogach. I tak aż do dnia, w którym nadzieja całkiem odpłynęła.

Wydarzyło się to tak nagle, pewnego niedzielnego ranka na początku lata. Przyszła do szpitala wcześniej i widziała, jak pielęgniarki kończyły go myć, obcinać włosy i golić. Doszła wtedy do wniosku, że wszystko, co zrobiono i co dalej się robi przy nim, jest przeznaczone dla niej. Od tego dnia zaczęły budzić w niej odrazę małe zadraśnięcia, które dostrzegała na jego twarzy. Jak ślady po masce, którą pośpiesznie zrywano z niego przed jej wizytą.

Będą się nim posługiwali aż do końca, pomyślała czując mdłości. Do samego końca...

A nawet później.

Słysząc było tylko szmer czarnej gruszki, nadymającej się i kurczącej.

Maria ciągle na nią patrzyła. Czula się pusta, wykończona. Popatrzyła na twarz na łóżku - twarz bez wyrazu, nieruchomą, ściągniętą. Dostrzegła słaby ruch klatki piersiowej, częściowo przykrytej prześcieradłem, unoszącej się i opadającej w ciszy bez najmniejszego oporu. I powiedziała sobie, że nie ma na co patrzeć, nie ma tu nic do oglądania. Niczego nie można już oczekiwać.

Wstała, podeszła do łóżka, popatrzyła na promienie słońca przeciskające się między listewkami żaluzji; nie była w stanie nic robić. Odwróciła głowę w stronę łóżka i spojrzała na jego twarz. Twarz ściągniętą, bez wyrazu. Niczego nie odczuwała. Słyszała tylko szelest i wzdychanie czarnej gruszki. Mój Boże... Patrzyła na twarz, na jej ściągnięte rysy, i nic nie czuła. Widziała plaster zamiast powiek, blizny jak szwy, rurki zwisające po obu stronach łóżka - i nic nie czuła. A jednak widziała to wszystko, patrzyła na to. Och, mój Boże, jak ona patrzyła!

Wystarczająco już się nim posłużyli, pomyślała. Poczula, że ogarnia ją smutek i litość. Tak, teraz już dość, wystarczy.

Zrobiła parę kroków wzdłuż łóżka.

Teraz już wystarczy, powtórzyła w myśli i przekręciła mały krążek, aby odłączyć kroplówkę. Teraz już zostawię cię w spokoju, powiedziała cichutko. Przykucnęła i wyłączyła z kontaktu aparat do kontroli serca. Gdy wstawiała, dreszcz przebiegł całe jej ciało. Powiedziała: Nie martw się, kochany, zajmę się wszystkim, zrobię wszystko, co trzeba, wiem, co trzeba zrobić. Powiedziała też: Nie zrobię ci już krzywdy, jestem z tobą. Podeszła do aparatu do sztucznego oddychania i naciskała guziczki, aż wskaźniki znieruchomiały. Wiedziała, co powinna zrobić. Teraz już zostawię cię w spokoju, obiecuję ci. Nie zwracała się do ciała leżącego na łóżku, mówiła do kogoś, kto był obok niej. Po chwili odłączyła czarną rurkę wychodzącą z otworu dotchawicznego. Jedną ręką chwyciła rurkę, ścisnęła ją uważając, aby jej nie poruszyć, i zatkała palcem końcówkę. Przymknęła oczy i powtórzyła: Teraz już zostawię cię w spokoju, nie zrobię ci już krzywdy. Poczula,

że na łóżku coś drgnęło, i natychmiast zdreptała jej ręka, skurcz przebiegł mięśnie jej brzucha. Tak, wyszeptała, drżąc, tak, chodź, chodź. Kiedy drgnęło drugi raz, powtórzyła: Nie zrobią ci już krzywdy, kochany, nie zrobią ci już nic złego, nic złego! Poczła jeszcze jedno drgnięcie, bardzo słabe, nic już nie mówiła, potem jeszcze jedno, ledwo wyczuwalne, ciągle nic nie mówiła...

Nie czuła już nic.

- Nie zrobią ci już krzywdy, kochany - wyszeptała jeszcze stłumionym głosem. - Widzisz, już po wszystkim... Nie zrobią ci już krzywdy.

W końcu zdjęła palec z końcówki rurki. Patrząc przed siebie podszła do łóżka. Wyjęła z torebki kartkę papieru i położyła ją na łóżku. Były tam zapisane numery telefonów kancelarii adwokackich w Nowym Jorku i Montrealu, a także hasła, jakie należy podać dla identyfikacji.

Przed wyjściem z sali jeszcze raz się odwróciła. Wszystko wyglądało tak samo. Było tylko nieco ciszej, bardziej normalnie, nie słyhać już było szmeru czarnej gruszki. Ale nic się nie zmieniło. Nic.

Wyszła drugimi schodami, nie spotkała żadnej z pielęgniarek.

Już na zewnątrz, gdy poczuła ciepło słońca na twarzy, gdy ujrzała błękit nieba i duże, białe, jaśniejące obłoki, liście na drzewach w łagodnym powiewie - wiedziała, że on jest przy niej.

- Chodź - szepnęła. - Nie zostawiaj mnie. Chodź ze mną.